

MAY 19 '83

DEC 8 '83

JAN 5 '84

JUN 1 '36

JUL 19 '43

MAY 28 '51



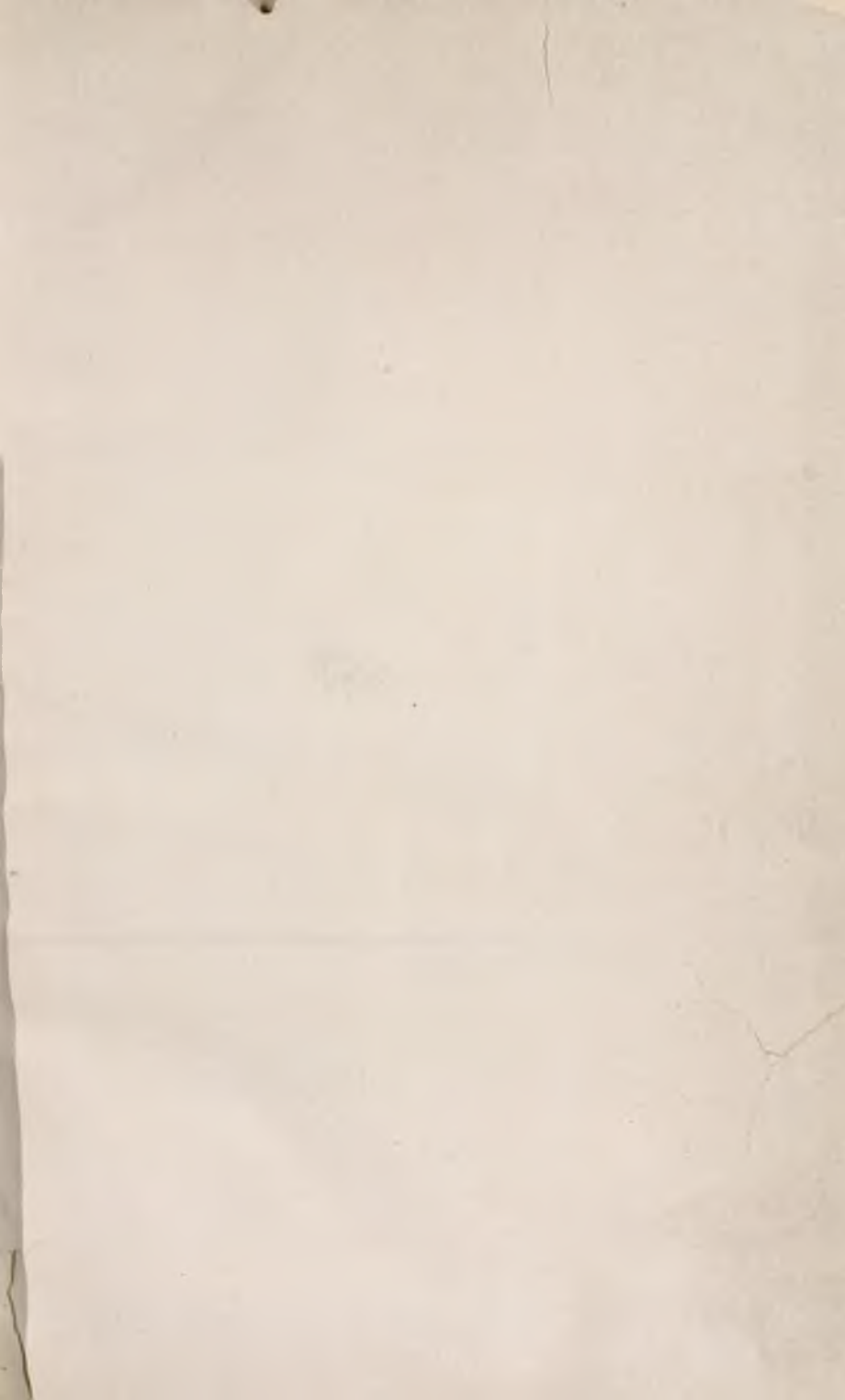
D. 2128



D 2128

KSZTAŁTOWANIE LOSÓW ŚWIATA







WOODROW WILSON

D 2128

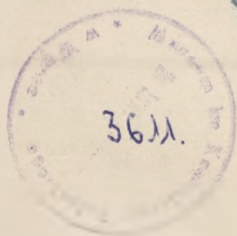
WOODROW WILSON

*KSZTAŁTOWANIE
LOSÓW ŚWIATA*

PAMIĘTNIKI I DOKUMENTY

WYDAŁ R. ST. BACKER

✓
TOM PIERWSZY



W A R S Z A W A 1 9 2 4

INSTYTUT WYDAWNICZY
„BIBLIOTEKA POLSKA“

POLISH NEWS AGENCY, INC.
38 UNION SQ. NEW YORK

Autoryzowany przekład z angielskiego prof. Dra Andrzeja Tretiaka
i Teresy Świderskiej.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Zakłady graficzne Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy

„Jest rzeczą bardzo niebezpieczną opierać zagraniczną politykę narodu na warunkach interesu materialnego... Nie myślcie... że zagadnienia dzisiejsze są tylko zagadnieniami polityki i dyplomacji. Są one przeniknięte nawskroś pierwiastkami życia. Nie wolno nam odchodzić od zasady, że moralność, a nie wzgląd na korzyści materialne jest tem, co nas winno prowadzić...”

Woodrow Wilson, w „Mobile” 1913.

P R Z E D M O W A

Książka ta jest historją konferencji pokojowej paryskiej z r. 1919, spisana wedle oryginalnych i podstawowych dokumentów. Przedstawia ona przede wszystkim amerykańską politykę i walkę Woodrowa Wilsona i jego doradców w dążeniu do zastosowania tej polityki do ciężkich problemów rozdartego wojną świata. Pierwsze dwa tomy zawierają opowiadanie o tem, co się działo i stało w Paryżu; trzeci poświęcony jest w całości tekstowi listów, memorandów, protokółów i innych ważnych dokumentów, do których się opowiadanie odnosi, albo które ono przytacza. Znaczna część tego materiału, czerpana jest z prywatnego archiwum Woodrowa Wilsona, z którego niewiele dotychczas opublikowano.

Celem autora tej książki było oprzeć ją we wszystkich punktach na dokumentach; dlatego używał rzeczywistych cytatów, o ile miejsce pozwalało, dla rozwinięcia opowiadania. Wobec tak poważnych problemów, jak te, które dziś stoją przed wykołojonym światem, lekkomyślnym byłby ten, ktoby zbaczał z drogi, ażeby specjalnie bronić, albo starać się postawić w stan oskarżenia bądź to osobę jakąś, bądź program. To też głównem założeniem tej książki była troska o to, by rozjaśnić wyniki, by pokazać, co Ameryka zdziałała, *jakie* w rzeczywistości były rezultaty. Autor starał się uczciwie wykazać słabości i wadliwości w amerykańskiej polityce, jak również pierwiastki siły w niej oraz podstawy do zdrowej hegemonji. Jakkolwiekby się kto zapatrywał na paryską konferencję, czy jako na rzecz udalą, czy jako na *fiasco* — była to sprawa pełna znaczenia i, biorąc wszystko pod uwagę, był to znamienny pokaz obecnego

stanu cywilizacji, tak materialnej, jak i duchowej: jej problemów, jej światopoglądu, istoty jej odwagi, chciwości jej i ambicji, gnębiących lęków i trwóg, jako też wielkich jej ograniczeń. Gdyby ktoś mógł rzeczywiście dojść do zrozumienia tej jedynej konferencji pokojowej, zrozumiałby, czego dziś brak właściwie ludzkim instytucjom.

„Państwo demokratyczne, które podejmuje się rządzić własnymi stosunkami zagranicznymi“, powiedział jakiś czas temu Elihu Root — „powinno coś wiedzieć o tym przedmiocie“. Początkiem tej wiedzy musi być rozumienie; przede wszystkim więc też usiłował autor nie przekonywać czytelnika o trafności tego lub owego punktu widzenia, ale tłumaczyć i wyjaśniać. Bez zrozumienia nie może być zdrowego myślenia, uczciwych sądów i tej sympatji, która musi być podstawą wszelkiej przyszłej współpracy światowej.

Ta książka jednakże nie była pisaną bez ustalonego punktu widzenia, bez pozytywnego i głęboko odczutego przekonania o tem, co Ameryka czynić powinna. Autor jej wierzy, że jedyna droga wyjścia z obecnych trudności prowadzi przez kooperację, opartą na nowem a wspólnem przestudjowaniu sztuki życia przez tłumnie zaludniony świat. Wierzy nie tylko w polityczną kooperację, jak w Ligę Narodów, ale i w ekonomiczną kooperację, bez której zdrowa polityczna kooperacja nie może istnieć. Wierzy, nadewszystko, że jedyną podstawą kooperacji jest dobra wola każdego z jej członków wzięcia na siebie nowych odpowiedzialności, poświęcenia natychmiastowego interesu dla przyszłych korzyści, dobra wola, przy takim poświęcaniu, z a c z y n a n i a o d s i e b i e, jeżeli tego zachodzi potrzeba. Wierzy w prawdę tego, co Woodrow Wilson powiedział w Manchester:

„Interes nie wiąże ludzi: interes ludzi rozdziela. Jedna jest tylko rzecz, która ludzi związać może, a tem jest wspólne umiłowanie słuszności“.

Przygotowując tę książkę, autor jej korzystał z wielu źródeł i pomocy, za co się nigdy odwdziżyć nie potrafi. Zbytecznie mówić, ile zawdzięcza Woodrowowi Wilsonowi, nie tylko za dopuszczenie go do swoich bezcennych, prywatnych zbiorów dokumentów, nie tylko za gotowość w wielu razach wytłumaczenia dokumentów tam, gdzie słowne brzmienie nie było dość jasnem, ale

za jego stałe zaufanie i chęć, by w każdym punkcie powiedzianą była cała prawda, o ile tylko piszący mógł do niej dotrzeć.

Obok tego z największą wdzięcznością wspomina autor szlachetną dobroć wielu innych członków amerykańskiej Delegacji Pokojowej w Paryżu, którzy dawali mu dostęp do swoich osobistych papierów, albo dostarczali mu swoich własnych, oryginalnych dokumentów, listów, dzienników i t. p. — a w wielu wypadkach odczytywali i krytykowali manuskrypt tej pracy lub korekty. Ta współpraca była nader cenną przy poprawianiu i uzupełnianiu dzieła.

Autor czuje się mocno zobowiązanym, między innymi, względem panów: Normana H. Davisa, Bernarda M. Barucha i Johna Fostera, Dulles'a za pomoc w związku z trudnym przedmiotem ekonomicznych zarządzeń; admirała Cary F. Graysona, za wiele przyjacielskich uwag; profesora Douglasa Johnsona, Dr. Izajasza Bowmana, prof. E. T. Williamsa, panów: Stanleya, K. Hornbecka, prof. Karola Seymoura i innych, w związku z rozmaitemi terytorjalnemi rozstrzygnięciami; profesora Jakóba T. Shotwella, prof. Manley Hudsona, Artura Sweetsera, Karola R. Crane, prezydenta H. Churchill Kinga, Waltera S. Rogersa, Harolda Phelps Stokesa, generała majora Mason M. Patricka i wreszcie pułkownika House'a i generała Blissa za pomoc w rozmaitych kierunkach.

Autor pragnie też wyrazić specjalną swoją wdzięczność Dr. Józefowi V. Fullerowi z uniwersytetu w Wisconsin, którego uczona pomoc w analizie i przetrawieniu olbrzymiej masy materiału dokumentowego była wprost bezcenną w przygotowawczem stadium pracy. Dr. Fuller obrał sobie, jako specjalność, najnowszą europejską historję; był attaché przy amerykańskiej Delegacji Pokojowej podczas paryskiej konferencji, jako doradca terytorjalny; jest autorem dzieła „Dyplomacja Bismarcka w swoim zenicie“, wydanego w r. 1922 przez Harvard University Press. To też przystępował do swego zadania z gruntowną znajomością tła przeszłości i kulis europejskiej dyplomacji, jako też ze zrozumieniem bezpośrednich problemów pokoju — co miało w tej pracy ogromną wagę. Lojalna współpraca Dr. Fullera nie tylko rozszerzyła zakres i znaczenie niniejszej książki,

ale dodała robocie smaku ryzyka, woni dzielonego wysiłku, czego autor nigdy zapomnieć nie zdoła.

Autor usiłował też poważnie korzystać z wszystkich ważnych książek, dotąd napisanych tu i w Europie o konferencji pokojowej, albo o problemach, z niej wyrosłych, i do wielu z nich znajdują się odnośniki w dwu tomach opowiadania. Liczne cytaty pochodzą z tajnych protokółów Rady Dziesięciu, Rady Czterech i Rady Pięciu, które, niestety, nie zostały jeszcze opublikowane.

Nakoniec autor żałuje mocno, że z braku czasu i miejsca nie mógł wykończyć i pomieścić w tej książce kilku rozdziałów, traktujących o ważnych poglądach konferencji pokojowej; jak np. o Rosji i bolszewiźmie, o sprawie robotniczej, o rasowych i religijnych mniejszościach — o Żydach specjalnie — i o walce międzynarodowych organizacji kobiet o uznanie w Paryżu. Może okaże się możliwem opracować te przedmioty kiedyś później.

Amherst, Massachusetts.

15 sierpnia 1922.

WAŻNIEJSZE DATY W ZWIĄZKU Z KONFERENCJĄ POKOJOWĄ

- Kwiecień 6 1917 — Stany Zjednoczone wypowiadają wojnę.
- Listopad 7 1917 — Petrograd dostaje się pod rząd bolszewicki.
- Styczeń 5 1918 — Mowa Lloyd George'a o celach wojennych na konferencji Związków Zawodowych.
- Styczeń 8 1918 — Mowa prezydenta Wilsona o Czternastu Punktach („*Fourteen Points Speech*“) na wspólnej sesji Kongresu.
- Marzec 3 1918 — Pokój w Brześciu Litewskim.
- Czerwiec 4 1918 — Mowa prezydenta Wilsona o Czterech Punktach w Mount Vernon.
- Wrzesień 27 1918 — Mowa prezydenta Wilsona o Lidze Narodów w Metropolitan Opera — House w Nowym Yorku.
- Listopad 4 1918 — Zebranie Naczelnej Rady Wojennej, celem dania odpowiedzi Niemcom, gdzie Anglicy zgłosili swoje zastrzeżenie co do II punktu, a Włosi co do IX punktu z Czternastu Punktów.
- Listopad 11 1918 — Zawieszenie broni podpisane.
- Grudzień 2 1918 — Konferencja Lloyd George'a, Clemenceau i Orlanda w Londynie dla omówienia przygotowań do konferencji pokojowej: pułkownik House reprezentuje Amerykę.
- Grudzień 14 1918 — Prezydent Wilson przybywa do Paryża.
- Grudzień 25 1918 — Prezydent Wilson zwiedza front amerykańskiej armji.
- Grudzień 28 1918 — Mowa prezydenta Wilsona w Guildhall w Londynie.
- Grudzień 30 1918 — Mowa prezydenta Wilsona w Manchester.

- Styczeń 3 1919 — Mowa prezydenta Wilsona w Rzymie.
- Styczeń 12 1919 — Pierwsze zejście się Rady Dziesięciu w francuskim Ministerjum Spraw Zagranicznych.
- Styczeń 18 1919 — Pierwsze plenarne posiedzenie konferencji pokojowej.
- Styczeń 25 1919 — Drugie plenarne posiedzenie konferencji pokojowej, na którym przyjęto rezolucję, że pakt Ligi Narodów „ma być integralną częścią ogólnego traktatu pokoju”.
- Luty 3 1919 — Mowa prezydenta Wilsona w francuskiej Izbie Deputowanych.
- Luty 14 1919 — Trzecie plenarne posiedzenie konferencji pokojowej. Prezydent Wilson przedstawia pakt Ligi Narodów.
- Luty 15 1919 — Prezydent odpływa do domu.
- Luty 19 1919 — Zamach na Clemenceau.
- Marzec 14 1919 — Prezydent wraca do Paryża.
- Marzec 15 1919 — Prezydent Wilson oznajmia, że stoi przy rezolucji z 25 stycznia, że pakt ma być integralną częścią Traktatu Pokoju.
- Marzec 21 1919 — Bolszewicka rewolucja na Węgrzech.
- Marzec 25 1919 — Rozpoczynają się formalne posiedzenia Rady Czterech.
- Kwiecień 3 1919 — Prezydent zapada na zdrowiu, ale Rada Czterech odbywa dalej swoje posiedzenia w gabinecie obok pokoju chorego z pułkownikiem Housem jako jego przedstawicielem. Francuskie przesilenie.
- Kwiecień 5 1919 — W Bawarii zaczynają się rządy komunizmu.
- Kwiecień 7 1919 — Prezydent Wilson każe przygotować okręt *George Washington* i zamierza wycofać amerykańską delegację z Paryża.
- Kwiecień 11 1919 — Czwarte plenarne posiedzenie konferencji pokojowej dla przedyskutowania międzynarodowej konwencji robotniczej.
- Kwiecień 14 1919 — Zaproszenie Niemców do Paryża na 25 kwietnia.
- Kwiecień 19 1919 — Początek urzędowych protokółów z posiedzeń Rady Czterech.
- Kwiecień 23 1919 — Ostre przesilenie włoskie: prezydent Wilson przedstawia publicznie kwestję Fiume.

- Kwiecień 24 1919 — Odpowiedź Orlanda. Orlando z kilkoma z kolegów wyjeżdża do Włoch.
- Kwiecień 28 1919 — Piąte plenarne posiedzenie konferencji pokojowej. Rewizja paktu Ligi Narodów przyjęta i pełny tekst ogłoszony. Przesilenie japońskie.
- Kwiecień 30 1919 — Pretensje Japonji uznane.
- Maj 6 1919 — Szóste plenarne posiedzenie konferencji pokojowej uznaje traktat z Niemcami. Foch protestuje. Włosi wracają.
- Maj 7 1919 — Traktat przedstawiony delegatom niemieckim w Wersalu.
- Maj 14 1919 — Delegacja austriacka przybywa do St. Germain.
- Maj 29 1919 — Siódme plenarne posiedzenie konferencji pokojowej przyjmuje niepełny traktat austriacki.
- Maj 31 1909 — Ósme plenarne posiedzenie konferencji pokojowej w obecności małych państw.
- Czerwiec 2 1919 — Traktat przedstawiony delegatom austriackim w St. Germain.
- Czerwiec 3 1919 — Konferencja amerykańskiej delegacji z prezydentem Wilsonem dla omówienia zmian w traktacie.
- Czerwiec 28 1919 — Niemiecki traktat podpisany w Versailles i prezydent Wilson odplywa do Ameryki.
- Lipiec 8 1919 — Prezydent Wilson przybywa do Nowego Yorku.
- Lipiec 10 1919 — Prezydent Wilson przedkłada Traktat Pokoju Senatowi.
- Lipiec 31 1919 — Dyskusja nad Traktatem zaczyna się w Komisji Spraw Zagranicznych Senatu Stanów Zjednoczonych.
- Sierpień 19 1919 — Konferencja prezydenta Wilsona z senatorami Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie.
- Wrzesień 29 1919 — Prezydent wraca z swej wycieczki na Zachód, złamany na zdrowiu, do Waszyngtonu.
- Październik 4 1919 — Prezydent ulega atakowi paraliżu.
- Październik 29 1919 — Międzynarodowa Konferencja Pracy, odgałęzienie Ligi Narodów, odbywa się w Waszyngtonie.
- Styczeń 16 1920 — Pierwsze zebranie Rady Ligi Narodów.
- Listopad 15 1920 — Pierwsze zebranie Zgromadzenia Ligi Narodów.
- Listopad 12 1921 — Rozpoczęcie waszyngtońskiej konferencji.
- Kwiecień 10 1922 — Rozpoczęcie genueńskiej konferencji.
- Czerwiec 15 1922 — Rozpoczęcie haskiej konferencji.

W S T E P

ŹRÓDŁA MATERJAŁÓW. — DOKUMENTY PREZYDENTA WILSONA.

Prezydent Wilson miał na swoim biurku w Paryżu podczas konferencji pokojowej wielkie stalowe pudło na dokumenty z sprężynowym zamkiem. Widziałem, jak pod wieczór, po sesji Rady Czterech, systematycznie wkładał w to pudło wszystkie papiery i memoranda, które przysłyły do niego w ciągu całodziennych czynności. Od czasu do czasu, w miarę jak się pudło wypełniało, a dokumenty nie były już potrzebne, przekładało się je do większych skrzyń i kufrów, z których jeden pięknie był zrobiony przez okrętowego stolarza z *George Washingtona*. Wszystkie te skrzynie wróciły z nim razem do Białego Domu.

W zimie z 1920 na 1921 starano się usilnie nakłonić Prezydenta, by dał własne sprawozdanie o tem, co się stało w Paryżu. Atakowano go długo i zjadliwie, a przyjaciele jego, ufając, że najlepszą odpowiedzią na tę krytykę byłoby prawdziwe i zupełne sprawozdanie z konferencji, nalegali na niego listownie, by przedstawił przebieg wydarzeń, zużytkowując aktualne zapiski, noty i dokumenty.

Prezydent jednakże, który przebył ciężką chorobę, ugiął się pod ciężarem swej, dobiegającej końca, administracji. Poza tem żaden z mężów, jacy kiedykolwiek zasiadali w Białym Domu, tak mało lubił mówić o sobie, jak Woodrow Wilson. Rzadko kiedy bronił się, gdy go atakowano, ani też przyjaciółom swoim nie dostarczał amunicji do takiej obrony. Osobisty spór kończył zawsze milczeniem — milczenie to niektórych nieprzyjaciół jego doprowadzało do wściekłości. Widocznem było, że nie posiada zdolności do przedstawiania albo dramatyzowania

własnych swoich czynów. Ktoby przestudjował obszerne tomy jego mów i pism, nieliczne znalazłby stronicę, na których mówi, co sam zrobił, jak to zrobił, i dlaczego. Wielkim aktorem był na scenie świata, główną figurą w zdarzeniach najwyższej wagi; ale sam nie obrazuje chętnie ani wypadków, ani osobistości; jego charakterystyczne, instynktowne zainteresowanie leży w dziedzinie idei. Potrafi powiedzieć, co myśli, czego pragnie, w co wierzy — nikt tego lepiej nie potrafi — ale nie ma talentu do opowiadania o tem, co zrobił.

18 grudnia 1920 napisał do mnie w te słowa:

„Widzę jasno, że nie będzie dla mnie możliwem napisać coś takiego, jak mi pan poddaje, ale myślę, że pan zrobiłby to doskonale“.

27 grudnia 1920 napisał, co następuje:

Biały Dom, Washington.

Kochany Panie!

Dziękuję Panu za list Pański z 23-go grudnia, który sprawił mi wielką przyjemność. Mam kufer pełen papierów i będę bardzo rad, jeżeli za następną bytnością Pańską tutaj, Pan je przejrzy i przekona się, co w nich jest i jakby je najlepiej można spożytkować. Wpakowałem je do kufra w Paryżu i nie miałem ani czasu ani fizycznej energii do przesortowania ich i ułożenia. Cieszę się naprzód w oczekiwaniu na dzieło, które Pan zamierza napisać, i ani wątpię, że będzie miało wysoką wartość.

.
.

Woodrow Wilson.

W styczniu 1921-go zacząłem pracować nad temi dokumentami. Złożone one były w dwóch kufrach i trzech stalowych pudłach i większa ich część wcale nie była ruszaną od czasu, gdy je Prezydent odłożył na bok w Paryżu. Można je podzielić na trzy kategorie:

Pierwsza — to komplet protokółów od 19 kwietnia do 24 czerwca 1919 z posiedzeń Rady Czterech (która składała się z Prezydenta Stanów Zjednoczonych, mr. Lloyd George'a, premjera Wielkiej Brytanji, pana Clemenceau, prezydenta Rady Ministrów Francji i signor Orlando, premjera włoskiego).

Mniemano powszechnie, że nie prowadzono sprawozdań z tych niesłychanie ważnych narad Czterech. O tyle to się zgadza z prawdą, że pierwsze dwa czy trzy tygodnie tych konferencji, od 24 marca mniej więcej do 19 kwietnia, były nieformalne; a chociaż urzędowych protokółów w języku angielskim z rozmów tych nie prowadzono, to jednak okres ten jest doskonale udokumentowany memorandumami, listami, raportami i kopjami rezolucyj; istnieją także nieurzędowe sprawozdania, takie, jak moje, z codziennych rozmów z Prezydentem, a te wypełniają lukę. Po 19 kwietnia jednak, aż do końca konferencji, prowadzone były nadzwyczaj wyczerpujące i systematyczne sprawozdania z przebiegu obrad. W paru przypadkach istnieją stenograficzne zapiski rozmowy; ale przeważnie sprawozdania pisywał po angielsku sir Maurice Hankey z brytyjskiego Ministerjum Spraw Zagranicznych, który był sekretarzem Czterech. Bywał on niekiedy jedynym człowiekiem obecnym z Czterema albo z Trzema, ale zazwyczaj bywał też profesor Mantoux, tłumacz francuski, a gdy Orlando brał udział, miewał też ze sobą swego sekretarza, hrabiego Aldrovandi; Orlando bowiem, jedyny z Czterech, nie mówił po angielsku. Z wyjątkiem jakichś dwóch czy trzech okazji, żaden amerykański sekretarz nie był na tych posiedzeniach.

Protokoły Hankeya nie są dosłowne; pisane są angielskim stylem opowiadania nie wprost, gdzie mowy i dyskusje powtórzone są w trzeciej osobie; dochodzą one, wraz z dopisami do nieco przerażającej objętości jakichś 1800 stronic arkuszyowych kancelaryjnego formatu, zapisanych na maszynie — i dają niezmiernie wierne, często żywe, sprawozdanie z dyskusji od dnia do dnia. Hankey był jednym z tych nad wyraz zdolnych i wydajnych w robocie sekretarzy, jakimi się odznaczała konferencja pokojowa. Mantoux był takim również; będę miał sposobność wspomnieć o nim jeszcze.

To sprawozdanie z Rady Czterech, wraz z protokołami z Rady Dziesięciu (składającej się z pięciu głównych przedstawicieli i ministrów spraw zagranicznych wielkich mocarstw — Ameryki, Francji, Anglii, Włoch i Japonii), od 12 stycznia 1919 do 17 czerwca (choć Dziesięciu, po 15 marca, schodzili się rzadko) i tak zwanej Rady Ministrów Spraw Zagranicznych, „Małych

Pięciu“ (sekretarz Lansing dla Ameryki, mr. Balfour dla Anglii, p. Pichon dla Francji, baron Sonnino dla Włoch i baron Makino, chociaż nie minister spraw zagranicznych, dla Japonji), od 27-go marca do 12 czerwca, których mam kompletny zbiór, obejmujący wraz z przypiskami przeszło 1200 maszynowem pismem zapisanych stron — stanowią urzędowe sprawozdanie po angielsku z konferencji pokojowej — z czego nic dotąd nie zostało ogłoszone drukiem.

Druga kategorja zawiera wielką liczbę raportów i memorandów, pisanych przez członków amerykańskiej delegacji dla Prezydenta, także angielskich i francuskich raportów, które mu się w czasie dyskusji do rąk dostały, wraz z wieloma raportami i protokołami komisyj pomocniczych, takich jak Najwyższa Ekonomiczna Rada i różne komisje ekspertów i komisje do badań. Te dokumenty zawierają wiele cennego historycznego materiału, odsłaniając stanowisko różnych narodów, reprezentowanych w Paryżu, przy każdym punkcie w dyskusjach, i dokładne opinie delegatów i ekspertów.

Do tej kategorji zaliczyłbym także nieocenione własne memoranda Prezydenta, często na marginesie dokumentów, niekiedy na osobnych arkuszach, pisane na własnej maszynie albo własnymi stenograficznymi hieroglifami — które wielokrotnie sam tłumaczył dla autora. Specjalnie cenne i interesujące są jego własnoręczne notatki, ukazujące rozwój paktu Ligi Narodów i nadzwyczajną ilość zmian, dokonywanych w pewnych artykułach. Tu także znajdują się oryginalne szkice paktu, robione przez Prezydenta, pułkownika House'a, lorda Roberta Cecila, komisję barona Phillimore, generała Smutsa, pana Bourgeois, włoski i szwajcarski projekt i inne. Cały ten materiał naturalnie przychodził do rąk Wilsona. Prawdopodobnie niema nigdzie dokładniejszego i bardziej objaśniającego sprawozdania o każdym kroku w rozwoju paktu Ligi, jak tutaj.

Trzecia kategorja, pod wielu względami najwięcej interesująca ze wszystkich, obejmuje rozmaitą korespondencję — petycje, rezolucje, listy, skierowane do Prezydenta osobiście podczas trwania konferencji pokojowej, ze wszystkich stron świata. Odślaniały one w sposób nadzwyczajny, — te wezwania do Prezydenta o pomoc w setnych wypadkach — jak uciśnione narody

z nadzieją i wiarą zwracały się do Ameryki, jak dojmującym było cierpienie, jak okropną nędza. Badałem ten materiał z zapartym oddechem i w podnieceniu, jakgdybym przebierał w skrzyni ze skarbami, którą nie złoto wypełniło, lecz dusze ludzkości. Oto na przykład gruba petycja od 17 000 Jugosłowian z okręgu Fiume, pięknie oprawna w haftowany jedwab, z wymownem stwierdzeniem, jak podpisy były zbierane, częściowo przez młode dziewczęta i kobiety, nieraz z wielkiem narażeniem i niebezpieczeństwem. Tu oto wzruszające wezwanie od mrących głodem Armeńczyków, niezadowolonych Persów, cierpiących Albańczyków, ambitnych Ukraińców; wszyscy skwapliwie pragną być słyszani i zyskać życzliwą pomoc Ameryki. Dalej są tutaj listy najróżniejszej treści i od najróżniejszych ludzi; własnoręczne listy od większości szefów rządów europejskich narodów — np. list od króla hiszpańskiego, pisany po angielsku, a załączający list po niemiecku od „mojego kuzyna Karola, byłego cesarza Austrii“, tu listy od Lloyd George’a, memoranda od Clemenceau i Orlanda, apel od leaderów i publicystów Ameryki, Wielkiej Brytanji, Francji i innych krajów, pomysły, podsuwane przez ekspertów nie związanych z konferencją, przestrogi ze strony przywódców radykalnych — nadzwyczajny pokaz myśli świata.

Ci, którzy sobie wyobrażają Prezydenta, zamurowanego w jakimś pewnego rodzaju klasztorze w Paryżu i odciętego od wiadomości o tem, co świat myśli, nie wiedzą, naturalnie, o tych źródłach informacji i rady. Było to przecież rzeczą zwykłą w Paryżu oglądać gorliwe delegacje, które setki mil przebyły, często z trudnością i niebezpieczeństwem, starające się dotrzeć do Prezydenta, by udzielić mu informacji, które on już posiadał. Byłoby może lepiej było, ze względów ludzkości, gdyby Prezydent mógł być widzieć wszystkich tych ludzi twarzą w twarz — zresztą najrozmaitszych widział — gdyż odchodziliby z uczuciem, że mieli rzeczywisty udział w kształtowaniu losów świata; jednakże nie tylko fizycznie nie było to możebnem, ale też nie leżało w systemie pracy Prezydenta.

Nie trzeba bowiem zapominać o tem, czem go urobiło całe poprzednie jego życie; uczonym był, pracownikiem umysłowym — nie politykiem — przyzwyczał się czerpać informacje nie od ludzi, ale z książek, z dokumentów, z listów — z pisanego słowa.

Posiadłszy w ten sposób istotę i treść sprawy, prawdopodobnie nie doceniał wartości zetknięcia się z ludźmi, a zresztą — często nie informacją chciały mu służyć te delegacje, ale zaprzatać głowę kwestjami spornemi, propagandą, błahemi apelami o sympatję.

Przygotowując tę historję, skorzystał autor także wielce z wielu rozmów, prowadzonych tak w Paryżu, jak i później, z różnymi członkami komisyj, tak amerykańskich, jak i obcych — i to dało mu możność uzupełnienia tego, co wiedział o niektórych wydarzeniach. Miał też szczęście przejrzeć osobiste notaty i dzienniki niektórych z tych ludzi, którzy tam byli i zbadać dokumenty, przywiezione przez nich do domu. Przypuszczam, że nigdy jeszcze nie było takiej konferencji, gdzieby każdy biorący w niej udział człowiek tak odczuwał nastrój przeżywanej wielkiej historycznej chwili. Prawie każdy, z wyjątkiem Prezydenta, prowadził dziennik, a w tym dzienniku Prezydent był niewątpliwie centralnym przedmiotem głównego zainteresowania. Niektórzy pisywali ukradkiem, inni śmiało i bez żenady. Sekretarz Lansing był niezmordowanym „diarystą”. Pamiętam, że wiele razy widziałem go, siedzącego samotnie w swoim wielkim, pustem biurze i piszącego w małej, ładnej książeczce drobnem, ładnem, regularnem pismem. Gdy się przychodziło, by z nim pogadać, odkładał pióro, sięgał po kartkę papieru i podczas rozmowy rysował jeden za drugim szkice dziwacznych, groteskowych i ponurych twarzy. Pisał i rysował równie dobrze prawą i lewą ręką. Podczas tych miesięcy w Paryżu, a spędzał czas wśród konferencyj w jednakowy sposób, musiał takich obrazków narysować tysiące.

Pułkownik House dyktował swoje sprawozdania sekretarzowi swemu, siedząc na długiej kanapce, jasną, barwną kołderką mając nakryte nogi. Mówił gładkim, równym głosem, składając od czasu do czasu delikatne ręce, niekiedy tylko końcami palców, niekiedy dłońią o dłoń. Generał Bliss pisywał regularnie i obszernie, wielkiem pismem, a że jest z niego szczerzy, prawdomówny stary żołnierz, więc nie obwijał niczego w bawelnę. Było to u niego raczej metodą, służącą do rozjaśniania własnych myśli, niż dążeniem do spisywania pamiętnika wydarzeń. Sądzę, że najwięcej ze wszystkich będą mi się podobały jego pamiętniki, jeżeli je kiedy wyda. Co do innych, spisujących swoje wspomnienia w tym obszernym hotelu Crillon, było ich, jak piasku w mo-

rzu, a skrzywienie piór wśród nocnej ciszy robiło wrażenie szmeru fal morskich, zmywających wybrzeże.

Tyle o materiale dokumentowym i innym. Ważność przedmiotu, który ma być traktowany, niech wytłumaczy autora, jeżeli poda i własne źródła wiadomości w Paryżu.

Spędziłem prawie cały rok 1918, jako specjalny komisarz Departamentu Stanu, zwiedzając Anglię, Francję i Włochy i pisząc serję raportów o pewnych ekonomicznych i politycznych warunkach w sprzymierzonych krajach. Te raporty szły pierwotnie do Departamentu Stanu i zarazem do pułkownika House'a, stojącego na czele utworzonej przez Prezydenta Komisji Ankietowej (*Commission of Inquiry*), a niektóre były oddawane wprost Prezydentowi samemu. W biegu tego roku, pełnego strasznych a ważnych wydarzeń, poznałem wielu z wybitnych leaderów w sprzymierzonych krajach i starałem się przedewszystkiem poznać i zrozumieć potężne prądy, nurtujące w głębi, ruchy robotnicze i liberalne, działające w tych krajach. Zbliża także przyjrzałem się wojnie samej na francuskim i belgijskim froncie, i we Włoszech; widziałem zdumiewające wysiłki naszej własnej armji, a przedewszystkiem zniszczenie, dokonane przez Niemców. To doświadczenie było dla mnie nieocenionem, gdyż dało mi jasne zrozumienie tła konferencji pokojowej, prawdziwe fundamenty militarnej siły i ekonomicznej potrzeby, na których ona spoczywała i atmosferę cierpienia, strachu, nienawiści, nowc-obudzonych ambicij, w jakiej odbywały się rozprawy w Paryżu. Zbyt wielu z tych, którzy w Ameryce krytykowali konferencję, nie rozumiało tych, leżących na dnie i poprzedzających ją okoliczności i warunków.

W grudniu, 1918, na parę tygodni przed otwarciem konferencji pokojowej, prezydent Wilson w następującym liście, w którym również naszkicował ogólną metodę publicystyki, jaką należałoby zastosować, nazaczył piszącego te słowa na kierownika prasowego oddziału amerykańskiej Delegacji.

Kochany Panie House!

Wiele w ostatnich czasach rozmyślałem o kontakcie komisji z publicznością za pośrednictwem prasy, a zwłaszcza o sposobie, jak komisja ma pracować z dziennikarzami, przybyłymi tutaj

ze Stanów Zjednoczonych. Doszedłem do wniosku, że najlepszym sposobem ujęcia tej sprawy dla Pana i dla innych członków komisji byłoby, urządzać codzienne krótkie zebrania i zapraszać przedstawicieli prasy na te zebrania, celem takiej wymiany informacji albo wskazówek, jaka się wyda potrzebną.

Jestem też przekonany, że przygotowanie całego prasowego materiału, który ma być dostarczony przez komisję, jest zadaniem, wymagającym specjalnie doświadczonego i zdolnego człowieka. Dlatego proszę, żeby Pan i Pańscy współpracownicy w komisji zechcieli się zgodzić na mianowanie pana Ray Stannard Bakera na przedstawiciela Pańskiego w spełnianiu tego obowiązku. Mr. Baker posiada moje największe zaufanie i bez wahania polecam go Panu, jako człowieka zdolnego, o szerokich poglądach i ideałach. Był on tu (w Europie) dłużej niż pół roku, nawiązał stosunki, które będą miały wysoką wartość, i jest szczególnie cenionym w tej właśnie sferze osób, na których należałoby informowaniu przez właściwe interpretowanie wiadomości, jakie będziemy mieli do dania, najwięcej nam zależeć. Jeżeli Pan żadnego poważnego zarzutu nie znajduje, może Pan zechce prosić pana Bakera, żeby zechciał nam oddać tę wielką usługę i podjął się działać w tym charakterze.

Piszę w tej samej treści do reszty członków komisji.

(podpisane) Woodrow Wilson.

Tym sposobem powierzono mi zadanie zorganizowania Biura Prasowego Amerykańskiej Delegacji i biuro nasze zostało otwarte pod nr. 4 przy Place de la Concorde, w pobliżu hotelu Crillon. Przez to biuro przeszły wszystkie urzędowe wiadomości z konferencji; stało się ono, ponadto, środowiskiem, w którym gromadzili się przedstawiciele wszystkich delegacji i komisji ze wszystkich krajów, które przybywały do Paryża, — wszyscy, którzy szukali poparcia wpływu Ameryki i amerykańskiej opinii, a kto tego nie szukał! Oglądaliśmy także wszystkie przeróżne delegacje z Ameryki — Irlandczyków, Żydów, przywódców robotniczych, organizacje kobiet, Murzynów. Było to jedno z najruchliwszych biur Delegacji.

Obowiązki autora wprowadzały go w zetknięcie z członkami Amerykańskiej Delegacji każdego dnia rano przed codzien-

nem posiedzeniem z korespondentami, a podczas wszystkich późniejszych miesięcy konferencji widywał się z Prezydentem każdego popołudnia po zamknięciu posiedzenia Rady Czterech (niekiedy częściej); przechodzili w pełni zdarzenia dnia, postanawiali dokładnie, co ma być publicznie podane, poczem autor spotykał się z amerykańskimi korespondentami. Przebył ocean trzy razy na *George Washingtonie* razem z Prezydentem i miał sposobność usłużyć mu kilkakrotnie w kilku ważnych sprawach, nie związanych z publicystyką. Najwyższa Ekonomiczna Rada także mianowała go członkiem swoim, jednym z czterech, (po jednym z każdego narodu), do kierowania swą publicystyką, tak, że sprawozdania tej ważnej komisji tym sposobem dostały mu się do rąk.

Biuro prasowe, pod jego kierownictwem, miało polecone ułożyć i przesłać amerykański wyciąg z Traktatu.

Autor nie uniewinnia się z tego, że w różnych miejscach opowiadania przemawia wprost od siebie, gdyż tylko w ten sposób mógł przedstawić jasno to, co sam widział i wiedział. Czyni to także z zamiarem jasnego zaznaczenia, że sądy o ludziach i o wypadkach są jego własnymi sądami, a nie sądami Prezydenta. Prezydenta własne zapatrywania wyrażone są z wielką dokładnością w dokumentach, memorandumach i listach, podanych tutaj w całości lub w wyjętych z nich cytatach.

Uczciwość każe przyznać, że autor nie zgadzał się z Prezydentem co do niektórych jego wniosków w Paryżu i argumentował, zanim jeszcze decyzja została powzięta, za innym postąpieniem, niż to, które uchwalono, tak, na przykład, w sprawie Shantungu. Autor pisał w swoim dzienniku z 29 kwietnia:

„Poszedłem do domu Prezydenta dziś o 9-ej rano i przedłożyłem mu notatki, przeze mnie poczynione wraz z rozmaitymi memorandumami, dostarczonemi mi przez Williamsa i Hornbecka (rzeczoznawców Dalekiego Wschodu) i przez Wellingtona Koo i innych z chińskiej delegacji. Nie może być najmniejszej wątpliwości co do tego, po której stronie są osobiste sympatje Prezydenta. Jest on za pełnemi prawami Chińczyków. Powiedziałem mu, że świat niewątpliwie sympatyzuje z Chińczykami.

„Wiem o tem“ — odpowiedział.

Broniłem, jak tylko mogłem, pozycji Chińczyków, nalegając, by chociaż przynajmniej odłożono sprawę. Prezydent wykazał, jak cała ta sprawa została związana nie do rozwikłania ze starymi tajnymi traktatami, jak Anglja czuje się związaną wobec Japonji i jak — zważywszy, że Włochy już wystąpiły z konferencji, że Belgja jest rozgoryczona i niezadowolona — ustąpienie Japonji (co wcale nie jest niedorzeczmem przypuszczeniem), mogłoby nie tylko zerwać konferencję pokojową, ale zniweczyć Ligę Narodów.“

Było także mojem przekonaniem, że o wiele szersza jawność, jawność w budowaniu wyników konferencji, mogła być osiągnięta na konferencji i ten pogląd często z naciskiem przedstawiałem Prezydentowi i członkom Komisji. Dotychczas wierzę, że jednym z największych błędów, popełnionych na konferencji, szczególnie w stosunku do Ameryki, był brak lepszego informowania o tem, co się tam działo, i brak podawania dokładnych przyczyn dlaczego, w każdym poszczególnym wypadku, Prezydent tak a tak zdecydował; ufam bowiem, że gdyby ludzie w Ameryce mogli byli wiedzieć, jakie były problemy w hukiem wojennych bomb rażonej Europie — te problemy, przed którymi stanęli śmiertelnie znużeni przywódcy w Paryżu — istniałoby dzisiaj lepsze i bardziej sympatyzujące zrozumienie naszych nowo rozwijających się międzynarodowych stosunków. Ten cały problem jawności i tajności w Paryżu rozważać będę w dalszych rozdziałach.

To jednak muszę jasno powiedzieć, że wierzyłem wtedy, iż wielkie zasady Prezydenta, przedstawiane w Paryżu, w istocie swojej z gruntu były zdrowe, i tak samo wierzę w to i teraz; że wierzyłem wtedy i wierzę i teraz w absolutną szczerość zamiarów Prezydenta; i że mam przekonanie, jakiekolwiek mogły być jego pomyłki, że walczył za swoje zasady wśród takich trudności i w takiej atmosferze, o jakich ludzie w Ameryce i dziś jeszcze nie mają pojęcia.

Prezydent w tych krótkich miesiącach nie wykończył „nowego świata“, „nowego porządku“, który tak szlachetnie określał, którego tak żarliwie pragnął, o który tak stale walczył — ale obrał pole bitwy i postawił kilka kwestyj, nad którymi latami w przyszłości pracować będzie myśl świata. I nie było też

bardziej pouczającego niepowodzenia — jeśli to było niepowodzeniem — jak to, któremu uległ Prezydent w Paryżu, gdyż, jeżeli przyjrzymy mu się bez zamiaru potępienia albo bronięcia, ale jedynie z chęcią zrozumienia, odkryje nam ono tak wyraźnie, jak nic innego odkryćby nie mogło, prawdziwe elementy walki, jaką liberali świata mają jeszcze przed sobą.

Widzimy, jak w zwierciadle, błędy naszej rządowej maszyny w odniesieniu do spraw zagranicznych; możemy jaśniej osądzić stan naszej własnej opinii publicznej, a przede wszystkim możemy osiągnąć prawdziwe zrozumienie stosunków naszych z innymi wielkimi narodami świata.

Nakoniec mamy przed oczyma rzeźbioną postać człowieka o spotęgowanych do najwyższego stopnia zaletach różnego rodzaju, człowieka z pewnymi brakami temperamentu i fizycznymi niedostatkami, który nigdy nie przestanie pociągać urokiem historyków i biografów, rozmiłowanych w charakterach reprezentatywnych i zdecydowanych.

Dopóki Amerykanie nie pojmą, co się właściwie stało w Paryżu, jakie siły stanęły tam naprzeciw nam do walki, jak byliśmy prowadzeni i co uczyniliśmy, nigdy nie będziemy mieli pewnego gruntu pod stopami, i nie będziemy wiedzieć, co czynić dalej; Paryż musi z pewnością stać się odskocznią dla wszystkich przyszłych zanurzeń się naszych w sprawy zagraniczne. To też książka ta, to amerykańskie opowiadanie, pisane z amerykańskiego punktu widzenia. Jest to sprawozdanie o tem, co się działo i co się stało, pisane przez człowieka, który tam był, który znał ludzi tam działających i który miał wtedy i później, w jeszcze nawet większej mierze, pełny dostęp — nie tylko do urzędowych sprawozdań, ale i do tych ponętnych propozycji, memorandumów i korespondencji, które często odsłaniają, w swej impulsywnej szczerości, wygładzonej później w kształt konwencjonalnych uprzejmości, prawdziwe cele, prawdziwe pragnienia aktorów na wielkiej scenie.

C Z Ę Ś Ć I.

PODSTAWY KONFERENCJI POKOJOWEJ

ROZDZIAŁ I.

AMERYKAŃSKIE ARGO POKOJU PŁYNIE. — JAK WOODROW WILSON ZAPATRYWAŁ SIĘ NA POKÓJ.

W trzy tygodnie i trzy dni po ostatnich zwycięskich strzałach wielkiej wojny, oddanych w francuskich Argonach przez młodych bohaterskich Yankesów, przepłynęło amerykańskie Argo pokoju — *George Washington*, w towarzystwie okrętów wojennych — przez strojny, flagami ubrany port nowojorski, nowa *Santa Maria*, puszczająca się w nadzwyczajną podróż odkrywczą w nieznaną świat. Wielki statek majestatycznie przepłynął przez cieśniny — na niebie w górze krążyły aeroplany, a forty obustronne ryczały nieznanymi dotąd pożegnalnymi salwami dwudziestu jeden dział, gdyż nigdy dotychczas Prezydent Stanów Zjednoczonych nie puszczał się morzem w drogę do obcego kraju.

Działo się to w czasie, zanim jeszcze potęga i chwała, uniesienie i wzruszenie zwycięstwem nie zagasło, i było coś tryumfalnego w wyruszaniu tego amerykańskiego statku. Niósł on przywódcę, który więcej niż ktokolwiek inny w tych ostatnich strasznych latach światowej wojny przemówił do wyobraźni ludzkości i podniósł słabnącego ducha sprzymierzonych szermierzy, dając im nową wizję tego, co okupić miało ich cierpienia. A więc była bliska droga do Indyj.

„W czasie tej wojny“ — powiedział pewien pisarz w paryskiej *L'Illustration*, a mówił to przed końcem wojny — „ku Wilsonowi przewodnicy nasi zwracali się najczęściej; patrzyliśmy na niego tak, jak się patrzy na zegar. Co Wilson mówi? Co myśli? Co robi? — Takie były codzienne pytania ludów...“

Prezydent miał zwyczaj podczas podróży swoich przez Atlantyk — piszący towarzyszył mu w trzech takich podróżach —

codziennie o tej samej godzinie przechadzać się tam i zpowrotem po szerokim pokładzie okrętu. Niekiedy spacerował z panią Wilson, niekiedy z lekarzem swoim, doktorem Grayson, rzadko z innymi członkami orszaku, ale w rzeczywistości był zawsze sam. Przy przypadkowych spotkaniach na zakręcie w przejściu albo u stóp jakichś schodków zdarzały się niekiedy chwile miłej zwykłej rozmowy — a Prezydent nigdy nie jest bardziej zajmującym, bardziej „do ludzi“, jak przy tych krótkich spotkaniach — jednakże rzadko miało się uczucie prawdziwego z nim kontaktu w zakresie tych wielkich spraw, na których istotnie zależało. Niekiedy stawał zupełnie nieruchomo u parapetu na przodzie okrętu, patrząc wdał poprzez zimowe morze — ku Europie.

W okresie rozegzaltowanego uczucia przed końcem wojny przyjęły go narody jako prawdziwego proroka, a słowa jego stały się żywą siłą „wartą tyle, co armja“ w świecie. „W oczach miljonów ludzi“, pisał austriacki hrabia Czernin — „program jego otworzył cały świat nadziei“. Sprawę sprzymierzonych postawił na nowym, moralnym poziomie. Mężowie stanu sprzymierzonych narodów, uznając potęgę tej fali idealizmu, chwycili się jej skwapliwie, jako środka unifikacji i „remoralizacji“, a wielkie amerykańskie agencje prasowe dopomogły do spopularyzowania jej i przeobrażenia w legendę. Dzieło swoje spełniły aż za dobrze. Doprowadziły świat do tego, że spodziewał się za wiele. Jednakże, jeżeli działało to na sprzymierzone narody, jako środek krzepiący i wzmacniający, służyło jednocześnie ku rozszczerpieniu jedności mocarstw centralnych — o co w istocie chodziło.

We Włoszech, ku schyłkowi r. 1918, widziałem nadzwyczajne dowody tego uczucia. Portrety Prezydenta znajdowały się w każdym oknie. Mówiono mi nawet, że chłopci w niektórych okolicach Włoch świece przed niemi palili. Jego „rzeźbione słowa“ widziałem w Turynie, jak tarcze herbowe, na każdym kiosku; jego imię było na ustach każdego. W Ameryce była cała nadzieja. A co było widocznem na bardziej wylewnem łacińskim południu, to prawdą było także na północy. Zwłaszcza był Wilson nadzieją dla słabszych krajów Europy centralnej, gdyż w nim też widziały dobrą wolę Ameryki. Tak silnem było dla niego uczucie, jako dla „oswobodziciela Polski“, że gdy się studenci

spotykali — mówił mi to jeden z nich — witali się uściskiem dłoni i okrzykiem „Wilson!”

Prezydent zabrał ze sobą na pokład *George Washingtona* wielki zbiór dokumentów, przekazanych do Białego Domu przezważnie w ostatnich trzech gorączkowych tygodniach po zawieszeniu broni. Nigdy zadania jego nie były trudniejsze do rozwiązania, jak w owym czasie właśnie, gdyż niespodziewane przerwianie działań wojennych, podczas gdy machina wojenna Ameryki była w pełnym biegu, pociągało za sobą szerokie problemy. Odbывała się sesja Kongresu, wiele domowych spraw nagliło o rozstrzygnięcie. Mało miał dotąd czasu do szczegółowego rozpatrzenia, co może czekać Amerykę przy układach; słyszał jednakże dosyć ostrzegawczych szemrań — nie brakło ich nawet w senacie Stanów Zjednoczonych — żeby wiedzieć, że może przyjdzie stoczyć ostrą walkę dla wprowadzenia w czyn w Paryżu tych zasad, które podał, jako podstawę pokoju. Dlatego to postanowił przełamać wszelkie precedensy, udać się do Europy osobiście i wziąć udział w pracy nad pokojem. Wyłuszczył powody tej decyzji w adresie swoim do Kongresu z dnia 2 grudnia, na trzy dni przed wypłynięciem.

„Ułożenie warunków pokoju, które mają być teraz zgodnie przyjęte, jest rzeczą najwyższej doniosłości, zarówno dla nas, jak dla reszty świata i nie znam sprawy ani interesu, któryby nad nią górował. Dzielni żołnierze naszych armij lądowych i morskich wyraźnie walczyli za ideały, które, wiedzieli, że są ideałami ich ojczyzny. Staralem się te ideały ująć w słowa; przyjęli moje określenie ich jako istotę własnej myśli i własnych zamierzeń, jak je i sprzymierzone rządy przyjęły i jest moim wobec nich obowiązkiem dopatrzeć, o ile to leży w mojej mocy, żeby żadna fałszywa lub błędna interpretacja nie była tu podsunęta i żeby żaden możliwy wysiłek ku wprowadzeniu ich w życie nie został pominięty. Moim obowiązkiem zatem jest wziąć teraz pełny udział w doprowadzeniu do skutku tego, za co oni dali krew i życie. Nie wyobrażam sobie, abym mógł być wezwany do służby donioślejszej, niż ta właśnie.”

Teraz, gdy znajdował się na oceanie pomiędzy dwoma światami — Nowym Światem i Starym Światem, starym porząd-

kiem rzeczy i nowym — zaczął jaśniej widzieć konkretne problemy, leżące poza Ameryką. Tam, w jego skrzynce na depesze, w kabinie jego na *George Washingtonie*, leżał ten nadzwyczajny zbiór dokumentów, o którym wspomniałem. Znamy obraz świata, jaki dają, bo mamy je tu przed sobą. Wiemy też, jak w czasie tej podróży przybywało ich, jak niebiesko ubrany posłaniec codziennie przychodził z górnego pokładu okrętu i znośił depesze iskrowe. Nawet burzliwy ocean nie mógł powstrzymać skarg świata.

Jedna dominująca nuta cechuje te papiery: nuta gorącego i pełnego nadziei wezwania, urastająca niekiedy do stanowczego żądania. Są też i inne dokumenty — korespondencje z panem Balfourem, dotyczące pomocy dla głodującej Europy, memorjał od niemieckiego rządu, zapewniający, że się prawdziwie zreformował, wiadomość o tworzeniu się republiki w Austrii, znaczna ilość pilnych raportów, tyczących stosunków w Rosji, list od kardynała Gibbonsa, wyrażający nadzieję, że Prezydent złoży wizytę papieżowi, telegramy od pułkownika House'a, który już jest w Europie, donoszące o pierwszym zejściu się Lloyd George'a, Clemenceau i Orlanda (2 i 3 grudnia), celem omówienia planów na przyszłą konferencję pokojową, pewne raporty i szkice od ekspertów, dotyczące problemu rozstrzygnięć i proponowanej Ligi Narodów. Ale maleją te wszystkie ważne dokumenty wobec gorącego ujawnienia w wielu z tych wezwań i prośb, czego właściwie świat się spodziewał i żądał od Ameryki i tego amerykańskiego Prezydenta. Tu wylewają się nie tylko cierpienia, pragnienia, potrzeby świata, ale i ambicja, strach i chciwość.

Niepodobieństwem jest dać więcej, jak drobne okruszyny tego materiału — wystarczy to jednak może do pokazania prawdziwego obrazu, jaki teraz ostro zarysować się musiał w umyśle Prezydenta.

„Opuszcza pan Amerykę“, mówi końcowe namiętne wezwanie od Armeńczyków (2 grudnia), „nie wypowiedziawszy uspokajającego słowa co do przyszłości Armenji, a przecież uczynił pan to w wypadku innych uciśnionych narodów. Dlaczegoż my mamy mieć nadal coś wspólnego z Turkami albo innymi i nie otrzymać bezwarunkowo tego, co jest nasze?“

Jest tam list od pełnych nadziei Ukraińców w Rosji, domagających się prawa rządzenia sami sobą.

Pragną oni: zaprowadzenia i ustalenia w swej ojczyźnie, Ukrainie, amerykańskich ideałów rządu i amerykańskiego systemu szkolnictwa, ażeby utrwalić zdrowe demokratyczne zasady wśród swego ludu.

Jest tam wstawienie się Rumunów za swoimi rodakami na Węgrzech; są skargi na okrucieństwa w Szantungu; są obszerne dokumenty od Żydów całego świata, odnośne do przyszłości Palestyny; jest odzew z Persji przeciw rosyjskiemu i brytyjskiemu panowaniu.

„Sprawa chrześcijaństwa“, mówi depesza z Chin do Prezydenta, „silnie jest związana z tem, czego pan bronić będzie na konferencji pokojowej i z tem, co ona uczyni“.

Oto są palące słowa koreańskiej delegacji pod datą 20 listopada, tłumaczącej słowa jego w myśl własnych pragnień.

„Świeżo ukończona wojna rozstrzygnęła raz na zawsze spór pomiędzy demokracją a autokracją, a prezydent Wilson istotnie prawdziwie orzekł, że wszystkim jednoplemiennym narodom, mającym własny i odrębny język, cywilizację i kulturę, powinna być przyznana niezawisłość.

„...Pod japońskim panowaniem Korea, jako naród, skazana jest na zagładę. Dlatego my, niżej podpisani obywatele Korei, niniejszem wołamy do ludu i rządu cywilizowanego świata, żeby podjęli sprawę Korei przeciw Japonji.“

Zdaje się, że panowało ogólne wrażenie, że Ameryka będzie chciała i mogła zagoić wszystkie stare bolączki świata, wspomnienia krzywd, wyrządzonych w przeszłości przez jeden naród drugiemu, dziedziczne nieporozumienia, które się stały ropiejącą raną. Szwedzi np., chociaż nie brali udziału w wojnie i w istocie tylko na niej skorzystali, proszą Prezydenta o skorygowanie „zbrodni z 64.“ i domagają się wysp Aaland, a Belgja żąda rewizji traktatu z 39.

Niema, zdawałoby się, krzywdy dość starej, skargi dość pospolitej — wszystko ma doprowadzić do porządku i wszystko wygoić ten przyszły wiekopomny kongres pokojowy.

Nawet krzywdy, wyrządzone przez Napoleona, mają być naprawione. Polska żąda, żeby jej zwrócono — było to żądanie

uczynione później, w czasie konferencji — historyczne archiwa, zabrane przez Austrię w ośmnastym wieku, a Belgja pragnie odzyskać obrazy Rubensa, „Złote Runo“ i inne przedmioty sztuki, uwieszone mniej więcej w czasie amerykańskiej rewolucji.

A jeżeli te narody miały odzyskać starożytności swoje i skarby sztuki, Wiedeń ze swej strony, złamany i pobity, prosi, żeby go nie łupiono. Znajduję między papierami Prezydenta ten list:

„Mam wzruszającą prośbę od Loehra, kustosza monet i medali w Wiedniu. Pokazuje się, że Włochy, Jugosławja, Czechy etc. grożą rozbiciem wiedeńskiej kolekcji, biorąc każdy część pewną, by zaopatrzyć własne muzea. Twierdzi on, że równałoby się to zniszczeniu naukowej wartości zbiorów. Włochy już zabrały cały szereg obrazów... Jestem silnie przekonany... że konferencja pokojowa powinna wyznaczyć małą komisję dla zapobieżenia temu łupiestwu“.

Nie mogę nakoniec oprzeć się chęci umieszczenia tu kilku zdań z wezwania Albańczyków do Prezydenta:

„Zwracamy się przeto do Pana, jako do szacunkiem otoczonego naczelnika najpotężniejszej demokracji, do człowieka, który poczucie sprawiedliwości wyniósł wysoko ponad wszelaki interes... Dziś Albania walczy boleśnie w szponach tych, którzy raz jeszcze pragną ją rozczłonkować i pojąć terytorja, które do nich nie należą i nigdy nie należały. Na swoje nieszczęście Albania, kraj ubogi, nie znalazła w Europie adwokata, któryby jej bronił. Zaledwie kilka pojedynczych osób, niesprawiedliwością wobec ojczyzny naszej popełnioną uderzonych, dopomogło nam mową i pismem. Nie znaleźli, zdaje się, echa w kancelarjach, mających niebawem wyrokować o losach Europy, którą wszyscy pragniemy widzieć odrodzoną“.

Tu, jednym słowem, leżało serce świata obnażone. Są to petycje po większej części wzruszające i, jak wiele modlitw, domagają się bezpośrednich i materjalnych celów, a niekiedy celów, które, gdyby je osiągnięto, więcej szkody przyniosłyby petentowi, niż pożytku. Tak wielu żąda wysp i kopalni i portów i zabezpieczonych granic i rubensowskich obrazów i staroświeckich monet.

W tem całym zbiorowisku petycyj i wezwań, które Prezydent zabrał ze sobą na pokład *George Washingtona*, nie znajduje ani jednego, ani od silnych narodów ani od słabych, któreby

zawierało ofiarowanie pomocy jemu lub Ameryce bez zastrzeżeń, albo bezinteresownie, pomocy w stosowaniu w Paryżu tych zasad, które wszyscy okrzyknęli tak skwapliwie, jako podstawę pokoju. Jest parę poważniejszych lub ostrzegawczych listów od jednostek — jak list od biskupa Gore z Oxfordu — które jeszcze tchną dobrą myślą i ofiarują poparcie, ale po większej części wszyscy oni proszą Amerykę, aby natychmiast coś dla nich zrobiła, ażeby dopomogła w jakiejś ciężkiej potrzebie — a było, istotnie, tak strasznie wiele tych ciężkich potrzeb — ażeby im dała wolność, lub dała możliwość osiągnięcia gorąco upragnionego celu lub zaspokojenia ambicji. Być może, że w takim czasie innego stanowiska trudnoby było oczekiwać, jednakże ten fakt należy przelotnie zanotować.

Wiemy, jak wiele rozważanie tych petycji i wezwań dało do myślenia Prezydentowi tam, na *George Washingtonie*, i jak jasno sądził już wtedy, jakim może być rezultat w Paryżu, gdyż mamy sprawozdanie o tem, co powiedział pewnego wieczora, przechadzając się po pokładzie, do jednego ze swoich przyjaciół, pana Creela.

„Do Ameryki dzisiaj zwraca się cały świat, nietylko ze swemi krzywdami, ale i z nadziejami i skargami. Głodni spodziewają się, że ich nakarmimy, bezdomni oglądają się na nas w nadziei, że dadzą im dachy, chorzy na duszy i na ciele ufają, że ich uleczymy. Wszystkie te oczekiwania mają w sobie tę właściwość, że strasznie nagłą. Zwłoka jest niedopuszczalna.

„...Jednakże pan wie i ja wiem, że tym starym krzywdom, tym obecnym nieszczęściom, nie można zaradzić w jednym dniu, zażegnać ich jednym ruchem ręki. Co zdaje mi się, że widzę — choć całem sercem pragnę, bym się mylił — to tragedia rozczarowania“¹⁾

Pomimo jednak, że miał wgląd w aktualne żądania, przedstawione mu w owych dokumentach, nie mógł z pewnością Prezydent przewidzieć, z jaką uporczywością problemy te stawiane będą na przyszłej konferencji. Tak wielu rzeczy nie widziały oczy Ameryki z powodu jej braku znajomości spraw europejskich, potęgi europejskich tradycji, naglącej europejskiej nędzy. Miała

¹⁾ „Wojna, Świat i Wilson“ — George Creel str. 163.

stanąć do wyścigu na drodze, której nie poznała, od lat dumnie izolowana i sobie samej starcząca. Ale Prezydent nawet w owej chwili przewidywał możliwość „tragedji rozczarowań“.

Cóż więc wtedy — jaką wiarę, jaką gwarancję siły, jakie głębokie źródło ufności posiadał ten człowiek, ażeby stawić czoło podobnej sytuacji?

Na trzy dni przedtem, zanim w blasku chwały *George Washington* wpłynął do portu Brest, zwołał prezydent grono delegacji na naradę. Było tam na statku dwóch członków samej Delegacji Pokojowej, sekretarz stanu Lansing i mr. White (pułkownik House i generał Bliss byli już w Europie), ale główną część delegacji stanowili geografowie, historycy, ekonomiści i inni, na których Prezydent miał polegać co do podstawowych faktów, potrzebnych mu przy przewidywanych dyskusjach. Wielu z tych ludzi pracowało już od miesiący pod kierunkiem Ankiety (*Inquiry*) pułkownika House — zbierając materiał wszelkiego rodzaju ku rozwiązaniu problemów, podnoszonych w Paryżu. Zabrali oni ze sobą w wielkich skrzyniach, złożonych teraz w magazynach okrętu, pokaźną bibliotekę książek, dokumentów, raportów oraz obfity komplet map.

Nie mamy sprawozdania z tej narady, odbytej w zdobnej kabinie *George Washingtona*, a tylko notatki, skreślone narazie przez Dr. Izajasza Bowmana (które mi powierzył); jednakże te notatki wykazują dość jasno, co zajmowało wtedy myśl Prezydenta, i co zamierzał czynić. Streszczając się do samej istoty rzeczy, Prezydent powiedział, że amerykańska delegacja będzie na konferencji jedynym narodem o stanowisku zupełnie bezinteresownem; że nadewszystko trzeba „iść za głosem opinii ludzkości i wyrażać wolę ludów raczej, niż wolę ich przywódców na konferencji“, i że decyzje winny się opierać na tej opinii ludzkości, a „nie na uprzednich postanowieniach i dyplomatycznych intrygach zebranych przedstawicieli“. Nadewszystko zaś musi powstać organizacja, jakaś liga narodów, żeby równocześnie nadać pewność i elastyczność postanowieniom i ułatwić zmiany w nich, gdy minie czas obecnego podniecenia namiętności.

Prezydent sądził, że niemieckie kolonie powinny być uznane za wspólną własność Ligi Narodów i administrowane przez małe narody. Dochody z każdej kolonii powinny iść na korzyść wszyst-

kich członków Ligi; gdyby tak w tem, jak w innych kwestiach, obejmujących międzynarodowe stosunki, tylko „układy“ były jedynym rezultatem, świat stałby się nie do zniesienia; ma to być konferencja pokojowa, na której nie wolno będzie zawierać układów w starym stylu. Problemu konferencji — odnosił to specjalnie do kwestji odszkodowań niemieckich — nie można pozostawiać „w rękach polityków wyłącznie“, ale musi on być przestudjowany w komisjach. Szczerze prosił obecnych tam ekspertów o ich współpracę podczas konferencji.

„Mówcie mi, co jest słusznem“ — powiedział — „a ja walczyć za to będę; dajcie mi mocno obwarowaną pozycję“.

Nie taił także, że nie ma złudzeń co do czekającej go walki. Przewidując trudności na konferencji w sprawie uczynionej przez siebie propozycji, dotyczącej tęsknoty ludów świata za nowym porządkiem rzeczy, zauważył: „Jeżeli nie będzie chciała działać, trzeba ją zmusić do działania“, ponieważ świat stoi przed zadaniem straszliwych rozmiarów i tylko godząc się na proces oczyszczenia go, można go będzie odrodzić.

Trucizna bolszewizmu, mówił, dlatego chętnie została przyjęta, gdyż „jest to protest przeciw kolejom, jakimi poszedł świat“.

Miało być naszym zadaniem na konferencji pokojowej walczyć o nowy porządek, „w sposób miły, jeśli się da, niemiły, jeśli będzie trzeba“.

Taką była zapowiedź walki, udzielona przez Prezydenta współpracownikom swoim tam na statku, na trzy dni przed przybyciem do Francji. Musimy jednak zbadać szczegółowiej ideę amerykańską. Co było istotą programu Prezydenta? Co on rozumiał przez określenie „nowy porządek?“ Jeżeli bolszewizm był protestem przeciw kolejom, jakimi poszedł świat — co mógłby podać jako lekarstwo?

Dwie były wielkie centralne idee w jego programie, obydwie amerykańskie w swem pochodzeniu. Jedna dotyczyła politycznych praw i swobód ludów, druga zobowiązań i kontroli ludów. A mianowicie były to:

1. Prawo „samostanowienia narodów“; rząd musi się opierać na „zezwoleńiu rządzonych“.

2. Zobowiązanie do współpracy w światowym zrzeszeniu dla wzajemnej pomocy i ochrony: jednym słowem, liga narodów.

Taki oto był ten dwoisty, zrównoważony program Prezydenta, zawierający dwie nieuniknione, a ścierające się zasady rządu w państwie demokratycznym, wyrażone na przykład, w niektórych jej fazach, poprzez całą historję Ameryki, przez szukanie równowagi między „prawami stanów“ a „federacyjną władzą“.

Jakkolwiek mogli go atakować przeciwnicy jednej lub drugiej z tych zasad, Prezydent nigdy nie pojmował ich oddzielnie; w mowie i w czynie łączył je zawsze. Program swój ujął zwięźle w mowie swojej w Mount Vernon 4 lipca 1918:

„Te wielkie cele (pokoju) można ująć w jednym zdaniu. To, czego żądamy, to panowania prawa, opartego na zgodzie (*consent*) rządzonych, a podtrzymywanego przez zorganizowaną opinię ludzkości“.

W zasadach przeto, które przedłożył w latach 1917—1918, Wilson nic nowego ani oryginalnego świata nie przyniósł. Od dawna były one zdawkową monetą amerykańskiej elokwencji. Były one, w istocie, daleko starsze niż Ameryka; bywały one często na ustach reformatorów i proroczych mężów stanu innych narodów. Znalazły wyraz w najbardziej amerykańskiej poezji, u Emersona i Whitmana. Lincoln wygłosił tę żywotną ideę w swoim: „rząd ludu, przez lud, dla ludu“.

R a z z a r a z e m głosił Prezydent koncepcję samostanowienia.

„Nie wolno państwom między sobą przerzucać z rąk do rąk ludów — jakgdyby były ich prostą własnością i zastawem w grze.

Każde terytorjalne rozstrzygnięcie, tą wojną wywołane, musi być powzięte w interesie i dla dobra dotyczącej ludności.

Samostanowienie... jest imperatywną zasadą działania, którą odtąd niebezpiecznie będzie dla mężów stanu ignorować“.

Tutaj tylko powtarzał to, o co walczone i co zamieszczono w najpoważniejszych amerykańskich dokumentach: *the Virginia Bill of Rights*, *the Declaration of Independence* i w *Konstytucji*.

„Wszelka władza jest złożoną w ludzie i wskutek tego od ludu wychodzi“ — mówi *Virginia Bill of Rights*.

„Rządy ustanowione są z ludzi, którzy słuszną swoją władzę wywodzą z zezwolenia (*consent*) rządzonych“ — mówi Deklaracja Niezawisłości.

„My, lud“, mówi Konstytucja — „nakazujemy i ustanawiamy tę konstytucję“.

Jednakże idea „rządu z zezwolenia rządzonych“ tak samo nie była amerykańską, jak idea zrzeszenia się dla wzajemnej ochrony, leżąca u korzenia całego amerykańskiego systemu — „dla stworzenia“ słowami Konstytucji, „doskonalszej spójni, dla ustanowienia sprawiedliwości, zapewnienia domowego spokoju, dbania o wspólną obronę“. Cały nasz federacyjny system wyrasta stąd, jak z korzenia.

Tak więc tę jasną ideę z deklaracji niezawisłości, ideę „rządu z zezwolenia rządzonych“, wszczepił Wilson w pierwszą zasadę swojego programu; mądrość państwową konstytucji chciał naśladować, o ileby to było możebnem, w tak wielce różnych a trudniejszych warunkach, w drugiej połowie swojego programu.

Jako też oświadczył w adresie do Senatu z 22 stycznia roku 1917:

„To są amerykańskie zasady, to amerykańska polityka. Nie mogliśmy innej popierać. A są to także zasady, jest to polityka wszystkich w przyszłość patrzących mężczyzn i kobiet wszędzie, w każdym nowoczesnym narodzie, w każdym oświeconem zbiorowisku. Są to zasady ludzkości i muszą zwyciężyć“.

Wiara w te amerykańskie zasady zakorzeniona była w najgłębszym gruncie jego żarliwej, samotniczej, namiętnie zdeterminowanej natury. Przez całe życie studjował historję Ameryki, konstytucję Ameryki, amerykańskie ideały. Studjował specjalnie bohaterski okres narodu i zasady, na których się oparł. Tytuły jego wcześniejszych dzieł mówią o tych jego głębokich zainteresowaniach: „Życie Jerzego Washingtona“, „Historja Stanów Zjednoczonych“, „Rządy Kongresu“ (*Congressional Government*), „Państwo“ (*The State*), „Rząd konstytucyjny w Stanach Zjednoczonych“.

Prezydent pochodzi z rodu szkockiego i szkocko-irlandzkiego, który nietylko jest głęboko religijnym, ale zarazem namiętnie miłującym ideały wolności. Niemal jak dogmaty wiary

objął i przyjął podstawowe amerykańskie doktryny. „Ktokolwiek“, pisał w jednym orędziu, 4 listopada 1916, „czytał i badał wielkie dzieje tego kraju, musiał czuć, jak mu się krew zagrzewa, gdy odczuwał, jak wielkie moce ludzkości coraz to potężniały i urastały w siłę“.

Niefortunne to było w Paryżu, że frazes o „samostanowieniu“ stał się rodzajem hasła dla pokoju, jakąś mistyczną formułą, gdyż wyraża on tylko połowę programu Prezydenta. Tak łatwo było wołać o prawa; tak trudno, zwłaszcza w owej chwili, gdy lęki i nienawiści wojenne tak jeszcze były żywe, żądać od narodów, by brały na siebie zobowiązania nowego zrzeszenia. Pozostawało prezydentowi Wilsonowi, niekiedy niemal samemu, bronić drugiej, równie istotnej połowy swego programu; i to też czynił aż do pełnego goryczy końca. Widział bowiem, że próżno byłoby spodziewać się urzeczywistnienia jednego bez drugiego.

Niema wątpliwości, że Prezydent ujął w wymowne słowa to, czego Ameryka w najwyższych swych aspiracjach pragnęła dla wielkich mas własnego swojego ludu i dla świata. A jednak można tu podnieść pytanie — chociaż nie tutaj miejsce je roztrząsać — jak dalece bogata i potężna Ameryka z roku 1917 i 1918 przyjmowała to, co wynikało z pełnego znaczenia tych zasad. Czy Ameryka istotnie wierzyła w zastosowanie do innych krajów zasad, które ją samą wolną i wielką uczyniły? Czy wierzyła, że te zasady mogą być zastosowane? Możliwe także zapytać, jak dalece szereg zasad, tak wyłącznie politycznych, nadawał się do rozwiązania problemów świata, w którym ekonomiczne ostateczności tak nagłąciami się stały i tak nalegały o pośpiech. Dyskusję nad tym problemem musimy jednakże narazie odłożyć, wrócimy do niej w innej części książki. (Część VIII-ma, Tom II).

Był również na tym samym statku, również płynący do Europy, by pomagać przy likwidowaniu wojny, członek wyznaczonej Komisji Pokojowej, sekretarz stanu Prezydenta, mr. Lansing, i on też chodził po pokładzie *George Washingtona* i rozmyślał o przyszłej konferencji. I otóż widzimy, że niektóre z myśli swoich zwierzał potajemnie dziennikowi swojemu niebawem po przybyciu do Paryża.

„Im więcej myślę nad deklaracją Prezydenta co do prawa o „samostanowieniu“, tem bardziej jestem przekonany o niebezpieczeństwie zasiewania takich idei w umysłach pewnych ras. To musi się stać podstawą do niemożliwych żądań na kongresie pokojowym i wytworzyć zamęt w wielu krajach...

Ten frazes jest poprostu naładowany dynamitem... Co za klęska, że wogóle został wypowiedziany! Ileż kłopotów on spowoduje!“

Brany pod uwagę osobno, tak jak to czyni pan Lansing (gdyż jego wyobraźnia nigdy nie sięgnęła do idei nowego a skutecznego zrzeszenia narodów), był to istotnie frazes, pełen dynamitu. Miał p. Lansing na oku raczej bezpieczeństwo, niż wzajemną pomoc.

Mówi o „bezpieczeństwie narodów, jako o pierwszorzędnym celu, który się winno osiągnąć przy rozstrzygnięciach terytorjalnych“. Tak samo dowodzili Niemcy, gdy przekreślili swój traktat i wpadli do Belgji, twierdząc, że ich interes i bezpieczeństwo ich państwa wyższe są ponad wszelkie inne względy, to samo czyniły sprzymierzone rządy, gdy podpisywały tajne traktaty w r. 1915, 1916 i 1917, i ta walka pomiędzy ideą praw i interesów ludów a ideą interesów i bezpieczeństwa państw leżała na dnie większości, jeżeli nie wszystkich, problemów w Paryżu.

Jednakże, czy to był dynamit czy nie dynamit, Prezydent do głębi duszy wierzył w prawo ludów do kontroli nad swym własnym rządem i do urządzania u siebie swego własnego życia — i z gorącą mocą i wyrazistością to głosił. Jeżeli doktryna amerykańska zagraża staremu porządkowi świata, w takim razie musi nastać nowy porządek.

A podczas gdy mr. Lansing lęka się trwożliwie, że niektóre z uciśnionych ludów ziemi, niezadowolone, mogą zapragnąć żyć pod innemi rządami, takimi, na które się zgodzą — Prezydent mówi z namiętną mocą o misji Ameryki do niesienia pomocy takim właśnie słabym i uciśnionym ludom.

„Gdybyście mogli posłyszeć niektóre z tych głosów, wyrażających ostateczną tęsknotę uciśnionych i bezradnych ludów po całym świecie“, mówi on 16 maja 1918 — „i gdybyście usłyszeli coś jak „Wojenny Hymn Republiki“, i kroki stóp wielkich armij wolności, idących ich oswobadzać, duszom ich wracać

wolność, dzieciom ich wracać wolność, wtedy zrozumielibyście, co się budzi w sercach tych, którzy usiłują wszystkimi zdolnościami i mocą, jaką mają, przyczynić się do tego wielkiego dzieła wolności.“

Były także grupy Amerykanów, mające swoich przywódców w Senacie, którzy zawzięcie sprzeciwiali się drugiej zasadzie programu Prezydenta, Lidze Narodów. Byli oni przeciwni zaciąganiu międzynarodowych zobowiązań, albo braniu istotnego udziału w zrzeszeniu nowego świata. Stanowili oni rodzaj partji praw Stanów w sprawach międzynarodowych; zazdrośni byli o prawa Ameryki, zatrwożeni na samą wzmiankę o federacji nowego świata. W odpowiedzi tym elementom opozycyjnym, które ciągle jeszcze wierzyły w Amerykę izolowaną, w Amerykę, oddaną swemu własnemu samolubnemu rozwojowi, Prezydent przeciwstawiał płomienną wizję Ameryki, jako potężnego państwa, mającego misję, nietylko dbać o własne powiększenie, ale służyć światu. Tu wznosił się do szczytnych wyżyn proroczej wymowy. Jego wizja Ameryki była odległa o światy całe od niemieckiej idei państwa, szukającego tylko własnego bezpieczeństwa i własnego powodzenia. Miał w oczach obraz wielkich Stanów, na podobieństwo największych mężów, poszukujących nie własnych celów, ale służących ludzkości i w tym duchu zakładających nowy porządek międzynarodowych stosunków.

Możemy powiedzieć, że wizja jego była bezpodstawna, „niepraktyczna“, że niedostatecznie liczyła się z nowymi ekonomicznymi problemami, gęsto narzucającami się światu — ale oto była, tworzyła część *spiritus movens* czasu i historyk musi jej przyznać pełną wartość, jako istotnemu pierwiastkowi w kształtowaniu roli Ameryki w Paryżu.

Zagraniczni pisarze jaśniej, zdaje się, pojęli istotną naturę i znaczenie wizji Prezydenta, niż wielu z jego ziomków, lepiej spostrzegli, jakie ma znaczenie dla świata, jakim natchnieniem czy udręczeniem będzie dla przyszłych pokoleń. Píše w *Hibbert Journal* profesor L. P. Jack z uniwersytetu w Oxfordzie:

„Kiełkującą ideą w polityce Wilsona jest, że Ameryka, z racji swojej wielkości, potęgi i wielkich zasobów, jest sługą wpośród narodów, nie panem. Jest to szlachetna koncepcja i specjalnie zdolna natchnąć młody i potężny naród wizją swego przeznacze-

nia i wykreślić dla niego na przyszłe wieki drogę rozwoju różną, ale sądzę, że wyższą niż te, którei starsze państwa świata szły dotąd. Jakkolwiek idea wielkości w służbie oddawna była znaną, w innych coprawda zastosowaniach, gdzie zresztą może świadczone jej więcej słowem, niż czynem, prezydent Wilson jest pierwszym mężem stanu, który wprowadza ją w życie, czy też usiłuje wprowadzić ją w życie jako przewodni pierwiastek polityki międzynarodowej — i to jedno, czy mu się powiedzie, czy nie powiedzie, zapewnia mu wybitne miejsce w historii i wdzięcznej pamięci ludzkości. Zbytecznem jest mówić, że ta idea — że największy naród musi koniecznie być służącym narodem — stoi w biegunowem przeciwieństwie do pojęcia o wielkości narodowej, jak ją rozumieją władcy i, zdaje się, ludy germańskie; to też przewidujący umysł, słysząc ją głoszoną przez Wilsona w pierwszych stadjach wojny, mógł przepowiedzieć, że przyjdzie chwila, gdzie dwa przeciwieństwa, parte dramatyczną lub moralną koniecznością, wybuchną otwartem starciem ze sobą“.

Jednem słowem Prezydent stosował do stosunków między narodami najwyższe zasady moralności — chrześcijańskiej, moralności — przyjętej jako regulator w życiu jednostek. „Kto z was będzie najprzedniejszym, niechaj będzie sługą wszystkich“. Pojmował Amerykę nie w charakterze wielkiej politycznej potęgi, ani wielkiego bogactwa, ani ogromnego handlu, ale w duchu moralnego przodownictwa i międzynarodowej służby.

Raz po raz, zarówno przed wojną, jak po jej rozpoczęciu i podczas konferencji pokojowej, Prezydent powtarzał te zapatrywania.

„Ameryka stworzona jest po to, by jednoczyć ludzkość“. Ameryka ma „najpierw myśleć o ludzkości“.

Na miesiąc przed wybuchem wielkiej wojny, 4 lipca 1914, Prezydent proroczo mówił o swojej wizji Ameryki, jako przewodniczki świata:

„Mojem marzeniem jest, by, w miarę jak lata płynąć będą, a świat będzie coraz więcej i więcej wiedział o Ameryce... by zwrócił się on do Ameryki po te moralne natchnienia, które leżą u podstaw wszelakiej wolności; żeby świat nigdy nie obawiał się Ameryki, chyba gdyby czuł, że zaangażował się w jakieś przedsięwzięcie, z prawami ludzkości niezgodne; i żeby Ame-

ryka stała w pełnym świetle dnia, gdy wszyscy wiedzieć będą, że stawia ludzkie prawa ponad wszelkimi prawami, i że sztandar jej jest nie tylko sztandarem Ameryki, ale sztandarem ludzkości. Któryż inny wielki naród poświęcił się tak wzniosłemu ideałowi?“

W mowie swojej z 2 kwietnia 1917, tuż przed wypowiedzeniem wojny przez Amerykę, powiedział:

„Nie służymy żadnym samolubnym celom. Nie pragniemy podboju ani panowania. Nie chcemy odszkodowań dla siebie, ani żadnych materialnych wynagrodzeń za ofiary, które dobrowolnie poniesiemy. Jesteśmy tylko jednym z bojowników ludzkości. Będziemy zadowoleni, jeżeli te prawa będą tak zabezpieczone, jak tylko wiara i wolność narodów zabezpieczyć je mogą“.

Podczas męczarni wojny i większej jeszcze męczarni konferencji pokojowej stale krzepił ducha myślą o wielkich amerykańskich mężach stanu, którzy założyli podwaliny państwa i o zasadach, jakie oni głosili. Powiedział w jednej z mów swoich, podczas uciążliwej wycieczki na Zachód we wrześniu 1919 — w ostatnim swoim beznadziejnym wezwaniu do narodu — tuż przedtem, nim uległ chorobie:

„Wyobrażam sobie tych mężów pierwszej generacji, którzy z tak głębokim przemyśleniem tworzyli to wielkie państwo — generację Washingtonów, Hamiltonów, Jeffersonów i Adamsów, wyobrażam ich sobie, patrzących na to z zachwytem i zdumieniem, że duch amerykański dokonał podboju świata“.

Gdyby był czuł wtedy, na statku, że tak pojmowane przezeń problemy pokoju są li tylko jego własnym dążeniem, byłby musiał czuć się zatrzwożonym do głębi duszy, jednakże wiedział, że dzieli je z nim Ameryka, i czuł, że ma Amerykę za sobą.

Miał jeszcze inną silną podstawę dla swojej ufności. Ta polegała na prawie jednomyślnym przyjęciu amerykańskich zasad przez narody świata, zwłaszcza przez grupy liberalne i grupy partji pracy państw zjednoczonych. Zgodzono się na nie, podpisano je i przypieczętowano przy zawieszeniu broni.

I w istocie, amerykańska idea tak potężnie świat opanowała, że stała się dla polityków sprzymierzonych narodów najlepszym atutem w grze. Sprawozdanie Lloyd George'a o celach wojny (ze stycznia 1918), na konferencji Związków Zawodowych

w Londynie, zawiera wiele tych samych propozycji co do poszczególnych rozstrzygnięć, jakie ogłosił prezydent Wilson we wcześniejszych swoich orędziach. Z charakterystyczną skwapliwością Lloyd George nie tylko przyjmuje to, co spostrzega, że będzie zwycięskim kamertonem przyszłych rozstrzygnięć, to jest „samostanowienie“, ale w rozpędzie swoim zapędza logikę zasady w dżungle, dokąd się Prezydent nigdy nie zapuszczał. Oświadcza w swej mowie do robotników, że „zezwoenie rządowych musi być podstawą wszelkich terytorjalnych rozstrzygnięć w tej wojnie“, a potem twierdzi, że nawet afrykańskim tubylcom niemieckich kolonij przysługuje kompetencja decydowania o własnym politycznym losie.

Jedną z interesujących osobistości w Paryżu, dżentelmanem i uczonym, chociaż nie silnym przywódcą, był Orlando, premier włoski. Nikt tam lepiej od niego nie rozumiał rzeczywistej misji Prezydenta — chociaż później Orlando zawzięcie oponował przeciw jego programowi. W listopadzie 1918, na dwa miesiące przed konferencją pokojową, w mowie swej w Izbie Deputowanych w Rzymie, przedstawiał, jak on rozumiał stanowisko Stanów Zjednoczonych:

„Ten problem nie tyle jest problemem znalezienia nowej formy społecznego życia, takiej, któraby zapewniała pokojowe załatwienie każdej przyszłej trudności, ale raczej problemem czucia i życia w myśl tej zasadniczej prawdy, że w świecie etyki potęga nie jest źródłem większych praw, ale szerszych odpowiedzialności i stąd większych obowiązków. Uznając to, prezydent Wilson zasachował imperjalistyczną niemiecką teorię „siły przed prawem“ zasadą „obowiązków najsilniejszego“ — i tej zasadzie dał najszlachetniejszy wyraz, stawiając autorytet prawa moralnego ponad potęgę Stanów Zjednoczonych“.

Ta to myśl wielkiego narodu, najpotężniejszego w całym świecie, działającego w służbie ludzkości, ku ochronie słabych, ku podniesieniu uciśnionych i deptanych, ku ściągnięciu na świat sprawiedliwości — to właśnie poruszało te potężne, okrzykujące tłumy w Rzymie, w Paryżu, w Londynie. To właśnie, jak się wyraził hrabia Czernin, światu nędzy „otwierało świat nadziei“.

Nawet pan Clemenceau uznał tę zmianę stanowiska w miarę postępu wojny ku bardziej idealistycznym zapatrywaniom. Powiedział w odpowiedzi Prezydentowi 26 maja:

„To co prezydent Wilson powiedział o zmianie poglądów u narodów świata w czasie trwania wojny, jest bardzo głęboką uwagą. Na początku wojny ludzie mówili tylko o zdobyczach terytorjalnych, później przyszły pojęcia wolności ludów i zbudowania nowych stosunków“. ¹⁾

Krótko mówiąc, te idee, ten kompleks zasad moralnych, przedstawiał nie tylko głęboko ugruntowane aspiracje i przekonania Prezydenta albo Amerykanów, ale również, o czym europejscy przywódcy polityczni wiedzieli, wyrażał dążenia i przekonania szerokich mas ludów wszystkich krajów.

Liga Narodów była logiczną konsekwencją idei Prezydenta o służbie, jako obowiązku narodowym. Narody świata powinny się wiązać w duchu wzajemnej usługi — usług wielkich względem małych, bogatych względem mniej rozwiniętych, usług tych, którzy mają doświadczenie wolności, względem politycznie zacofanych. Jeżeli autokracja ma być zniesioną, a wiele nowych a słabych demokracji ma zacząć istnieć, potrzebną jest silna liga narodów, nie tylko dla zapobieżenia przyszłej wojnie, ale dla opieki nad temi nowemi państwami, dopóki się same w sobie nie umocnią.

Znamiennym jest objawem, że ze wszystkich przywódców sprzymierzonych, choćby jak najszlachetniej dźwigali ciężary wojny, Wilson jedyny wywołał wielkie ludowe powitania — niezrównane przyjęcia — w stolicach Europy. Nie było nigdy parady dla Clemenceau; Lloyd George wsuwał się do Paryża i wysuwał z Paryża prawie nieoznajmiany; Orlando i Sonnino przybywali i odjeżdżali, w istocie, jak wielcy ambasadorowie, ale bez ludowych owacyj. Przypuszczam, że nigdy czegoś podobnego u ludności Europy nie bywało, jak to uczucie, które w niej budził Wilson — i warto to tutaj zanotować jako fakt historyczny, bez względu na to, jaki będzie sąd o przyszłych wypadkach.

„Zasady Prezydenta“, robi uwagę ostrożny pisarz Instytutu Spraw Zagranicznych, „podbiły Europę“ i dodaje: „Po-

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Czterech.

każe się jeszcze, czy wilsońskie zasady potrafią podbić Amerykę¹⁾.

Naturalnie, te wielkie zasady zostały ogłoszone światu i przyjęte przez świat w momencie wielkiego wzruszenia, w chwili wspólnych obaw i wspólnego cierpienia. Jaki był los tych idei, gdy ten moment wzruszenia minął, a naglące potrzeby i ambicje i wielkie ekonomiczne problemy wytoczono natarczywie przed wymęczonych delegatów w Paryżu, to należy jeszcze rozpatrzyć. Są to dzieje konferencji pokojowej.

13 grudnia *George Washington* przybył do Brestu, a 14-go przejechał Prezydent z prezydentem Francji przez Pola Elizejskie — powitania ze strony ludności na wielką skalę. „*Vive l'Amérique!*” „*Vive le Président!*” wołał tłum. Nad ulicą, której przejeżdżał orszak, wisiała wielka chorągiew z napisem: „Cześć Wilsonowi Sprawiedliwemu.”

¹⁾ „A History of the Peace Conference of Paris”, edited by H. W. V. Temperley, Vol. I p. 204.

ROZDZIAŁ II.

STARA DYPLOMACJA I CZEGO ONA BRONIŁA. — EUROPEJSKIE TAJNE TRAKTATY I ICH ODDZIAŁYWANIE NA KONFERENCJĘ POKOJOWĄ. — STANOWISKO AMERYKI W STOSUNKU DO TAJNEJ DYPLOMACJI.

Prezydent był we Francji. Już przejechał w blasku chwały przez Pola Elizejskie i bulwary. Przyjęto go, jak dotąd nikogo nie przyjmowano. Przyjechał z amerykańskimi ideami i amerykańskimi zasadami i stanął nareszcie twarzą w twarz wobec Starego Świata, problemów Starego Świata, polityków Starego Świata, dyplomacji Starego Świata i wreszcie wobec ekonomicznych zagadnień Starego Świata, których wagę mało kto z Amerykanów doceniał w owym czasie.

Wykazałem w poprzednim rozdziale, jakim był program amerykański, taki, jakim go Prezydent przedstawiał. Wykazałem, jak potężną była jego wiara weń i zdecydowane postanowienie użycia go dla stworzenia „nowego porządku“.

Pozostaje teraz, zanim przedstawimy istotną walkę tam nad Sekwaną, albo na kamienistym wzgórzu w Paryżu, gdzie Prezydent mieszkał — pozostaje nam wykazać, czego bronił Stary Świat środkami dyplomacji i polityki. Zanim zrozumiemy tę „wojnę o pokój“, musimy rozejrzeć się w siłach opozycji i mieć pewność, że je doceniamy. Ostatecznie, istniała przeszłość, istniały starodawne tradycje; inne narody na świecie miały także swoje pragnienia, potrzeby, ambicje — fakty, o których Amerykanin z łatwością mógłby zapomnieć.

Jeżeli Prezydent, przez czas więcej niż dwuletni, stopniowo budował — mową po mowie, orędziami do Kongresu, korespondencją z obcemi mocarstwami — wszystko to na świeżem otwar-

tem powietrzu na oczach całego świata, ze świadomością każdego amerykańskiego żołnierza — jeżeli w ten sposób budował solidną i okazałą strukturę zasad, przedstawiającą stanowisko Ameryki wobec przyszłego pokoju — to również i narody Europy i Azji wypracowywały swoje koncepcje przyszłych rozstrzygnięć, także w notach, „*conversations*“, traktatach. Wiele z tego wszystkiego dokonano, zanim Ameryka przyłączyła się do wojny, a w rzeczywistości wszystko w tajemnicy, w formie „tajnych traktatów“ — układów między dyplomatami, ukrytych przed ludami, które właściwą walkę toczyły. Było to prawdopodobnie koniecznością, żeby to wszystko tak się odbywało, gdyż Świat Stary płatał się w sieci przedawnionego systemu, którego żaden naród, nawet przy najlepszej chęci, nie byłby mógł obalić. Pomimo to bezwzględnie szczere oświadczenia prezydenta Wilsona, nie zawierające żadnych ukrytych celów, przedstawiały „nową dyplomację“ czyli „otwartą dyplomację“ — zaś te tajne traktaty z lat 1915, 1916, 1917 przedstawiały „starą dyplomację“, na której, jak na skale, spoczywał cały imperjalistyczny i militarystyczny system Starego Świata.

Mógłby ktoś powiedzieć, że rządy państw sprzymierzonych przyjęły idee amerykańskie. To prawda, przyjęły je: przy zawieszeniu broni zgodziły się uroczyście na zasady Prezydenta. Wielkie grupy liberalne i grupy pracy były wszędzie za nim, a byli przywódcy nawet w rządach, zwłaszcza w Wielkiej Brytanji, którzy usiłowali poważnie wytrwać przy nim. Ale gdy się zaczęła konferencja pokojowa, te same elementy w każdym narodzie, często ci sami przywódcy, którzy owe tajne traktaty przeprowadzali, byli w dalszym ciągu przy władzy. Większość z pomiędzy nich nie tylko znała te metody dyplomacji i wierzyła w nie — niektórzy z nich przez całe życie pracowali w tej szkole — nie tylko ufała w pełną wartość militarystycznej metody, którą rozumiała doskonale — ale, co o wiele ważniejsze, te t a j n e traktaty zawierały rzeczywiste poglądy, rzeczywiste pragnienia, rzeczywiste potrzeby rozmaitych rządów. Bo to, czego człowiek albo naród pragnie w skrytości, to jest rzeczywista prawda; to, co mówi, to pozór.

Dość powiedzieć, że choć z biegiem wojny warunki zmieniły się radykalnie, choć wstąpiła Ameryka, a amerykańskie zasady

zostały ogólnie przyjęte, chociaż Rosja zniknęła, jako czynnik przy rozstrzyganiu, a Austro-Węgry całkowicie się załamały (tego wyniku żaden odpowiedzialny mąż stanu na początku wojny nie przewidywał, chociaż Lloyd George w r. 1914 nazwał Austrię „państwową rudą”), chociaż nawet tajnych traktatów wypierano się w niektórych wypadkach — to jednak żądania, wysuwane podczas konferencji pokojowej przez różne narody (jak to wykazemy) były dokładnie żądaniami, zawartymi w owych tajnych traktatach.

Jeżeli więc zrozumiemy, że fundamentem było to, co zawierały stare tajne traktaty, to scena dramatu paryskiego zyska silne oświecenie.

Jest rzeczywiście rzeczą zdumiewającą, że w żadnym ze sprawozdań z konferencji pokojowej, dotychczas pisanych, nie oświecono dokładnie ani wystarczająco sprawy tych tajemnych układów, ani nie dano właściwej oceny ich wpływu na narady. Pochodzi to z kilku przyczyn. Po pierwsze, tajne sprawozdania z konferencji pokojowej — w których wszystkie ważniejsze z tych traktatów są przedyskutowane — nie były dotychczas dostępne i niemożliwym było dla piszących wiedzieć, ile dni i ile stron poświęcono na nieskończone kontrowersje, które dokoła nich szalały. Po drugie, niektórzy z tych pisarzy, którzy bardzo dobrze wiedzą o istnieniu niektórych z tych tajnych układów, radzi podtrzymują tajemnicę — raczej resztki, jakie z niej pozostały — i bagatelizują wpływ ich na konferencję. Można przeczytać gruby tom pana André Tardieu, który on zatytułował „Prawda o Traktacie”, i nie dowiedzieć się, że wogóle coś takiego, jak tajny traktat, istniało!

Jednakże, nie rozumiejąc tych traktatów, nie można prawdziwie zrozumieć, co się właściwie działo i stało w Paryżu. Dwa z wielkich konfliktów tamże, włoskie i japońskie rozstrzygnięcia przeważnie obracały się około istnienia tajnych traktatów, a czarny ogon węża tajnej dyplomacji z pierwszych czasów wojny zniekształcił też dyskusje nad rozporządzeniem niemieckimi kolonjami, nad postanowieniami co do Turcji i grał rolę w każdym nieledwie ważnym sporze.

Był to najniebezpieczniejszy, najbardziej zdradziecki moment, działający przeciw pełnej jawności postępowania, gdyż

zawierał cele, których europejskie mocarstwa nie śmiały dyskutować publicznie. Krępował ekspertów, zawadzał im sprawiał, że naczelnicy europejscy doradcy sami musieli między sobą grę dwuznaczną prowadzić. Nic w olbrzymio długich sprawozdaniach z Rady Dziesięciu i Rady Czterech w Paryżu tak nie uderza, jak ilość czasu — drogiego czasu, bezcennej energii — poświęcanych szukaniu dróg do obejścia tych starych tajnych powikłań, albo do przejścia ponad nimi lub poprzez nie. Tam to tracono czas, a nie w dyskusjach nad Ligą Narodów.

Byłoby niemożliwym, na przykład, zrozumieć sytuację, w jakiej takie małe narody, jak Serbia i Rumunia, stały przed konferencją i stanowisko dwuznaczności wielkich mocarstw względem nich, gdyby się nie wiedziało dokładnie o istnieniu tajnego traktatu z Rumunią i o sposobie, w jaki ukryto go nawet przed Serbią, sprzymierzeńcem, walczącym wtedy do ostatnich granic możliwości przeciw państwom centralnym, a którego interesy ten traktat wprost naruszał. Proszę zwrócić uwagę na tę rozmowę, odsłaniającą jeden z najbezwstydniejszych czynów całej wojny; miała ona miejsce na Radzie Dziesięciu, wkrótce po otwarciu konferencji:

Pan Vesnicz (delegat serbski) oświadczył, że.... słyszał z ubolewaniem, że rumuńska delegacja opiera pretensje swoje częściowo na tajnym traktacie z 1916. Gdy ten traktat zawierano, Serbia walczyła po stronie aliantów, nie zażądawszy żadnych zapewnień, w pełnej wierze, że po wojnie zapadnie rozstrzygnięcie na podstawach sprawiedliwości, na podstawach samostanowienia narodowości i w zgodzie z przyrzeczeniami aliantów...

Pan Clemenceau powiedział, że nie wie o tem, jakoby traktat z r. 1916 miał być tajnym.

Pan Vesnicz odpowiedział, że nie tylko traktat nigdy nie był opublikowanym, ale że on, jako reprezentant państwa, walczącego po stronie aliantów, kilkakrotnie zapytywał tu w Ministerjum Spraw Zagranicznych, chcąc się dowiedzieć o warunkach traktatu. Odpowiedziano mu, że treść traktatu nie może być rozgłaszana.

Pan Bratianu (delegat rumuński) oświadczył, że dyskusję o żądaniach Rumunii zaczęto w Londynie w 1916, a potem przeniesiono do Petrogradu, jako do miejsca, gdzie zbadanie

kwestij wschodnich powinno było być właśnie przeprowadzone, zwłaszcza ze względu na Serbję.

Pan Pichon (francuski minister spraw zagranicznych) odczytał wtedy ostatni paragraf traktatu, który zastrzegał utrzymanie go w tajemnicy do końca wojny¹⁾.

Widać z tej rozmowy, jaką atmosferę nieufności te tajne traktaty wytworzyły w Paryżu. Tego rodzaju sprawy, rozpowiadane szeroko, zarażały wszystkie małe narodowości sceptyczną podejrzliwością. Kto mógł wiedzieć, jakie tam inne tajne traktaty istnieją, lub uknute zostały za ich plecami? Kto mógł wiedzieć, czy tajnych traktatów jeszcze teraz się nie zawiera? Nietylko małe narodowości podejrzewały wielkich aljantów, ale wielcy aljanci, jak to wykażę, podejrzewali się wzajemnie.

Taką to atmosferę zastał prezydent Wilson, gdy przybył i zażądał, by narody zaufały sobie wzajemnie, by miały wiarę jedne w drugie. Gdyż o ile podstawą starej dyplomacji była podejrzliwość, podstawą nowej — jeśli ma kiedyś przyjść nowa — musi być zaufanie wzajemne; to zaś zaufanie między narodami, jak pomiędzy jednostkami ludzkimi, musi polegać na mówieniu prawdy, na szczerości, na otwartości zamiarów.

Można zaiste powiedzieć, — obfite dokumenty tego dowodzą, że ta tajna dyplomacja była nietylko kłutwą Europy podczas starego zbrojnego pokoju, lecz nieledwie przegrała wielką wojnę dla aljantów.

Sprowadziła ona bowiem w każdym z państw sprzymierzonych, ale przedewszystkiem w Anglii i we Włoszech, głębokie wewnętrzne niezadowolenie i nieufność ze strony partji pracy i grup liberalnych. Nie należy bowiem zapominać, że wielka wojna wybuchła w świecie zupełnie różnym od tego, jakim był, powiedzmy, za czasów Napoleona, w świecie, posiadającym klasę robotniczą lepiej już wykształconą, lepiej zorganizowaną, więcej siebie pewną, niż kiedykolwiek pierwej — klasę robotniczą, we wszystkich wojujących krajach mającą prawo wyborcze. Te grupy doszły w 1914 do takiej potęgi, że w niektórych krajach chwyciły już w ręce polityczną władzę, a w innych, jak w Rosji, bliskie były rewolucji. Były one przeciwne całemu staremu sy-

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 31 styczeń.

stemowi militarystom i dyplomacji. Żądały tak, jak i prezydent Wilson, „nowego porządku“, „nowego świata“ — chociaż określały swój „nowy porządek“ inaczej, z ekonomicznym programem o wiele dalej idącym, niż sięgały zamierzenia Prezydenta.

Gdy wybuchła wielka wojna, wszystkie klasowe spory i niezadowolenia robotnicze poszły szybko w niepamięć w jednolitym wysiłku celem odparcia najeźdźcy, gdyż pruska monarchja była symbolem tego, czego nienawidzili.

Ta zupełna łączność jednakże trwała tylko krótko we wszystkich europejskich krajach. Potężne partje pracy i grupy socjalistyczne zaczęły znów zajmować oporne stanowisko. Zdawna znały starą dyplomację i obawiały się jej, a do swych rządów odnosiły się z głęboką podejrzliwością. Zanim jeszcze wiedziano o istnieniu jakichś tajnych traktatów, te grupy opozycyjne podejrzewały, że rządy ich nie poprzestają na obronie sprzymierzonych z nimi narodów przed najazdem Niemców, ale myślą o terytorjalnych zaborach i rozszerzeniu własnej nacjonalistycznej potęgi. Niebawem też doczekały się potwierdzenia swoich podejrzeń.

26 kwietnia 1915, w dziewięć miesięcy po rozpoczęciu wojny, został podpisany tajny traktat londyński, który wciągnął Włochy do wojny. Liberali Europy, znając częściowo obietnice, jakie aljanci dali Włochom (byli zmuszeni dać je!), znali także niebezpieczeństwo, tkwiące w takich aneksjonistycznych umowach. Wiedzieli także, że inne tajne układy gotują się między aljantami, nie obcą im była wzmianka o traktacie z Rosją, dotyczącym Konstantynopola i z pewnością o traktacie z sierpnia 1916, który wciągnął Rumunję do wojny — nigdy jednakże nie byli pewni, czy znają wszystkie warunki tych umów i bystro podejrzewali, (słusznie, jak to obecnie wiemy), że muszą być jeszcze inne umowy, o których nie wiedzieli nic. Z jednej strony ta tajemniczość sprawiała, że grupy opozycyjne przesadzały rozmiary umów między aljantami, z drugiej powstrzymywała odpowiedzialnych polityków, jak Asquith i Grey, od wyjaśnienia, dlaczego aljanci byli zmuszeni dawać przyrzeczenia, np. Włochom i Rumunji, ażeby je wciągnąć do wojny po stronie swojej. I niewątpliwie, chociaż lęk ich przed tajnymi traktatami był

rzeczywisty, te grupy radykalne używały ich także jako broni w generalnej kampanji opozycyjnej przeciw rządowi u steru.

I tak we Włoszech, na przykład, opinja bynajmniej nie była jednomyślną co do tajnego traktatu londyńskiego, który dawał Włochom tak znaczne terytorjalne nabytki. We Włoszech bowiem, jak w innych sprzymierzonych krajach, istniały potężne partje robotnicze i liberalne, a te żywioły energicznie usiłowały spowodować rewizję imperjalistycznych zamierzeń traktatu. Będąc we Włoszech w 1918-ym, przekonałem się, że ruch ten był bardziej poważny, podtrzymywany przez tak potężne pisma postępowe, jak *Corriere della Sera* i medjolański *Secolo* i, samo się rozumie, przez robotniczych i socjalistycznych przywódców. Nawet signor Orlando w owym czasie silnie krytykował ten traktat. Stali oni na stanowisku, że traktat był błędem w interesie samych Włoch i że najlepszą polityką na dalszą metę było, nie starać się anektować terytorjów ani ludności kosztem narodów wschodnich i tym sposobem robić sobie z nich nieprzyjaciół, ale wspólnie pracować z nimi i zyskać ich przyjaźń.

W myśl tej dalekowidzącej liberalnej polityki zwołano w Rzymie w kwietniu 1918 kongres uciśnionych narodowości Austro-Węgier, gdzie uczyniono próbę zatarcia złego wrażenia, wywołanego na Bałkanie przez traktat londyński. Po zwycięstwach włoskich jednakże i upadku mocarstw centralnych zaniechano rewizji traktatu i Włochy przysły na konferencję pokojową, żądając nietylko tego, co zawierał tajny traktat londyński, ale ponadto miasta Fiume, które według tego traktatu, przyznane być miało Kroacji. O wpływie tego tajnego traktatu na prace konferencji pokojowej, a był on głęboki, opowiem we właściwem miejscu.

W grudniu 1916 po propozycjach pokojowych, uczynionych przez Niemcy Ameryce i papieżowi, prezydent Wilson sam, odczuwając brak jasnego oświadczenia co do rzeczywistych celów wojennych i zaniepokojony pogłoskami o tajnych umowach, zażądał od prowadzących wojnę, by przedstawili szczegółowo swoje warunki pokoju. 10 stycznia 1917 (na trzy miesiące zanim Ameryka wojnę wypowiedziała) nadeszło pierwsze jasne oświadczenie aljantów. Czytane w świetle późniejszej znajomości rzeczy, jest oświadczenie to niezmiernie niewyraźne i albo unika,

albo ukrywa w ogólnikach wiele realnych i specjalnych celów, co do których aljanci uroczyście pomiędzy sobą zgodzili się w tajnych traktatach. Jednakże był tu stanowczy postęp co do jasności w stosunku do wszystkich poprzednich oświadczeń (o wiele szersze, niż niemiecka odpowiedź) — przynosiło ono zdeklarowanie się za dwiema wielkimi głównymi zasadami, którymi prezydent Wilson głównie się zainteresował: bardzo silne za Ligą Narodów i mniej jasne za „samostanowieniem“.

W kwietniu Ameryka przystąpiła do wojny, co dało jeszcze więcej realną podstawę potężnym wysiłkom prezydenta Wilsona ku zdefiniowaniu na nowo i w konstruktywnych warunkach — ku nadaniu wysokiego moralnego znaczenia — celom wojennym sprzymierzonych.

Jednakże wątpliwości i podejrzenia opozycji ucichły na krótki tylko przeciąg czasu. Nowe dowody przeciekały — często drogą nieprzyjacielskich krajów — że rządy ich nie były względem nich szczerze; że zamierzeń tajnych traktatów nie zaniechano istotnie, chociaż o celach wojennych nowe czyniono oświadczenie i że były tam jeszcze inne tajemne umowy, o których nikt nic nie wiedział. I tak, na przykład, stary rząd rosyjski, przed samym swoim upadkiem (w marcu 1917), chcąc ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem wzniecić poparcie u swego ludu (choć miało to wręcz przeciwny skutek), opublikował fakt, że aljanci potajemnie obiecali Rosji dać Konstantynopol, jako łup wojenny.

Zawsze to jeszcze trudno Amerykanom zrozumieć, że z taką powagą na te rzeczy zapatrywano się w Europie.

My w Ameryce mało wiedzieliśmy o tych europejskich tajnych traktatach i jeszcze mniej o nie dbaliśmy. Naszych narodowych interesów w żadnym one punkcie nie dotyczyły; a nie mieliśmy też u siebie potężnej partji liberalnych czy radykalnych opinij, jak w Anglii, któraby w ich sprawie agitowała.¹⁾ Każdy wiedział, naturalnie, że Włochy ciężki okup wzięły za przystą-

¹⁾ Poważne starania czyniła istotnie w Ameryce mała grupa radykałów w Nowym Jorku, by odsłonić publicznie te z tych tajnych traktatów, które zostały ogłoszone przez bolszewików w listopadzie 1917. Ogłoszone zostały w nowojorskiej *Evening Post*, a częściowo w sześciu innych czasopismach z pomiędzy tych tysięcy amerykańskich czasopism — a odnośne egzemplarze przesłano członkom Kongresu, ale z małym albo żadnym skutkiem. Nietylko,

pienie do wojny po stronie aliantów — ale to była wojna, a wojna stwarza różne konieczności. Ale ile zaważy ten specjalnie tajny traktat — traktat londyński — gdy przyjdzie czas na zawieranie pokoju, tego nigdy nie pojęto w Ameryce, nawet prezydent Wilson nie uświadomił sobie tego należycie; mało też wiadano, aż do czasu konferencji pokojowej, z wyjątkiem niewielkiej liczby studujących międzynarodowe sprawy — a i w tym wypadku bynajmniej nie w pełni — o zdumiewająco zawitym splocie innych tajnych traktatów i umów, w jakie się narody Europy przez konieczność, strach albo chciwość uwikłały. Ta obojętność była symbolem naszej narodowej izolacji.

Nawet Departament Stanu Stanów Zjednoczonych, organizacja, mająca specjalny obowiązek być obznajmioną ze sprawami zagranicznymi, nie interesowała się, zdaje się, temi tajnymi traktatami, i, jeżeli mamy wierzyć sekretarzowi Lansingowi, mało, albo nic o nich nie wiedziała. Oniemieć można ze zdumienia, gdy się czyta jego zeznanie przed Komisją Senatu, 6 sierpnia r. 1919. (p. 190):

Senator Johnson z Kalifornii. — Czy były panu znane traktaty, zawarte po rozpoczęciu wojny, a dotyczące rozporządzenia terytorjami przez różnych belligerentów?

Sekretarz Lansing. — Więcej znaną była mi umowa londyńska, dotycząca granic Włoch, niż inne.

Senator Johnson. — Czy znane panu były jakie inne umowy pomiędzy....

Sekretarz Lansing. — Nie.

Senator Johnson. — Czy pan wiedział, że takie istnieją?

Sekretarz Lansing. — Nie.

.....

Senator Johnson. — Czy pan wie może, czy były jakie traktaty zawierane podczas wojny, czy też nie były?

że ich poważne znaczenie nie zostało ogólnie ocenione, ale nastrój wojenny był wtedy gorączkowy i szeroko rozpowszechnione było uczucie, któremu np. daje wyraz nowojorska *Nation* z 3 sierpnia 1918, która pisze: „co się tyczy tajnych traktatów... odkrycie ich osłabiłoby moralną powagę i prestige aliantów, to też prezydent Wilson bardzo właściwie odsunął je na bok.“

Sekretarz Lansing. — Nie; ponieważ nigdy nie zwracałem na to uwagi.

Sekretarz byłby mógł z łatwością otrzymać informacje co do tej sprawy, ale podzielał ogólne amerykańskie stanowisko co do niej. Wiadomo nam, że roztrząsał kiedyś tajne umowy, dotyczące Japonji, z ekspertami Ankiety. Notatka jego ręki na kablogramie od pułkownika House, z datą 15 listopada 1918, świadczy, że wiedział cośkolwiek o tych przynajmniej traktatach. Najgorszem ze wszystkiego było to, że zaniedbał przedsięwzięcia jakiejś akcji na skutek wzwyż wspomnianego kablu, w którym francuskie Ministerjum Spraw Zagranicznych rzucało chwilowo myśl zgodzenia się na przekreślenie wszystkich tajnych traktatów (dla poskromienia Włoch). Była to sposobność stracona przez brak ocenienia jej wielkiej wagi.

Chociaż Prezydent musiał ogólnikowo wiedzieć o tych tajnych umowach, gdyż często piętnował praktyki „tajnej dyplomacji“, jednakże widocznie nie starał się o gruntowne poznanie ich i zrozumienie. Ze wszystkich jego współpracowników pułkownik House, szef Ankiety, był prawdopodobnie najlepiej poinformowany. Gdy mr. Balfour przybył do Washingtonu jako brytyjski poseł pełnomocny w kwietniu 1917, wytłumaczył niektóre z tych traktatów pułkownikowi House'owi. Pułkownik House jednakże odpowiedział, że mniej się tem interesuje, ponieważ zdawało mu się ważniejszem skierować całą energję ku wygraniu wojny, a wkońcu powiedział panu Balfour, że „dzielą skórę na niedźwiedziu, który jeszcze jest w lesie“. Mr. Balfour, o ile piszącemu wiadomo, nie poruszał już więcej tego przedmiotu z naszym rządem, a pułkownik House widocznie przedmiot ten pominął, nie odnosząc się z tem do Prezydenta. Tak więc doradcy Prezydenta nie doceniali ważności całej tej sprawy i sądzili, że tracić na nią czas przeszkadzałoby tylko energicznemu prowadzeniu wojny, co uważali za najważniejszy wzgląd danej chwili. Ufali, tak jak kraj cały, że wszystko wkońcu będzie dobrze, „jak tylko ostatecznie pobijemy cesarza“.

Rzeczywistego pojęcia o tych układach, albo o ważności ich na przyszłej kiedyś konferencji pokojowej nie można też wyczytać z raportów naszych ambasadorów zagranicznych. Jeżeli niekiedy przy sposobności wspominają o dyplomatycznych za-

biegach aliantów między sobą, to dają tylko najpobieżniejsze i wielce nieściśle wrażenia o tych sprawach.¹⁾

Widocznie mało informacji dawano im dobrowolnie, zaś ich niezręczne dopytywania wywoływały wymijające odpowiedzi, których, nie posiadając właściwego tła, nie potrafili wytłumaczyć sobie jasno. To też ich raporty prawie nic nie znaczą same przez się. Wysoce ważnym jest fakt, że pomiędzy wszystkimi papierami, które prezydent Wilson tak starannie przechował, niema żadnego dokumentu, dającego wyraźną i zrozumiałą informację w kwestji tajnych traktatów.

¹⁾ Oto raport ambasadora Sharpa w Paryżu, odnoszący się do układów, dotyczących Azji Mniejszej.

Green.

datowane 2 sierpnia 1917.

Sekretarz Stanu
Washington D. C.

Poufne. 2353. Sierpień 2, 7 popoł.

Pański telegram Nr. 2501, Lipiec 2, 7 popoł. W rozmowie z panem Cambon dziś rano dowiedziałem się o bardzo interesującej i raczej skomplikowanej sytuacji odnośnie do kwestji przyszłych interesów aliantów w Azji Mniejszej. Wynika z niej, że przed przystąpieniem Włoch do wojny Anglja, Francja i Rosja związały się umową, a przynajmniej weszły w porozumienie co do odnośnych swych interesów w tym kraju. Interesy i cele Anglji w dolinie Eufratu zostały dokładnie określone, także interesy Rosji w Armenji i interesy Francji w Syrii, gdzie Francja ma wartościowe posiadłości i wielu ludzi francuskiej narodowości albo przynależności. Poza tem do pewnego stopnia od kilku wieków była protektorką chrześcijaństwa w tym kraju. Ta ugoda naturalnie opierała się na przypuszczalnym upadku i zniesieniu tureckiego panowania w tych krajach. Mr. Cambon, jednakże, wyraził to, jako swoje przekonanie, że Anglja i Francja niechętnie popierałyby Rosję w jej kontroli spraw, twierdząc, że ten kraj powinien być autonomicznym i wolnym od zewnętrznego panowania.

Gdy jednakże Włochy przyłączyły się do aliantów, zamanifestowały odrazu chęć podtrzymania swych praw i brania udziału w przyszłym sprawowaniu władzy i możliwym rozszerzeniu terytorjalnem nad wschodniem morzem Śródziemnem, co nie zostało dobrze przyjęte ani przez Francję, ani przez Anglję. Sonnino, włoski premier, był w Londynie po odłożeniu konferencji tutaj przeszłego tygodnia na naradzie z Lloyd Georgem w tych kwestiach, dotyczących tych rozmaitych zainteresowań w Azji Mniejszej i otaczających ją terytorjach. Mr. Cambon powiedział, że Sonnino stawia żądania Włoch bardzo wytrwale, że sądzi (Cambon) jednak, że zawczasie jeszcze wchodzić w definitywne porozumienia, a ja odniosłem wrażenie, że

Słyszemy Prezydenta, dającego odpowiedź na pytania senatorów na konferencji w Białym Domu 19 sierpnia 1919:

Senator Borah. — ...Kiedy po raz pierwszy doszły do wiadomości pańskiej tajne traktaty pomiędzy Wielką Brytanią, Francją i innemi narodami Europy odnośnie do pewnych regulacji w Europie? Czy także dopiero, gdy pan przybył do Paryża?

Prezydent. — Tak jest, cały szereg porozumień został odsłonięty przede mną po raz pierwszy dopiero wtedy.

Senator Borah. — Zatem nie wiedzieliśmy o tych tajnych traktatach, o ile to rządu naszego dotyczy, dopóki pan nie przybył do Paryża?

Prezydent. — Nie, chyba że były informacje w Departamencie Stanu, o których ja nic nie wiedziałem.

Łatwo jest, naturalnie, po fakcie, urągać tej amerykańskiej ignorancji i błędowi, że się „nie zwracało żadnej uwagi“ na tak żywotne dyplomatyczne sprawy. Jest to w istocie nie do darrowania, a jednak są okoliczności łagodzące. Ameryka nigdy nie posiadała gruntownie wyrobionej, dobrze płatnej, zawodowej służby dyplomatycznej, podobnej do tejże służby w europejskich państwach. Jej Departament Stanu, choć niekiedy miewał świetnych sekretarzy, w niższym swoim personelu był naogół mało wyborowy i niesprawny. Wielkie dyplomatyczne stanowiska amerykańskie w Europie podczas wojny, w historii największej, obsadzone były przeważnie przez politycznych nomi-

wygasza on także poglądy Anglii, wyrażając to zdanie. Dochodziły do mnie także od czasu do czasu wiadomości o tem, że zabiegi Włoch stały się kamieniem obrazy, przeszkadzającym zgodnej akcji z innemi sprzymierzonymi krajami, a p. Cambon nie tał faktu, że Serbja już poprzednio miała powód być dotkniętą i niezadowoloną z przyczyny uroszczeń Włoch, jak o tem pokrótce referowałem moim w numerze 2321, z 24 lipca. Kwestja, wspomniana w trzecim pytaniu pana Cambona i do którego pański telegram numer 2581 się odnosi, ma do czynienia z sytuacją, którą powyżej pokrótce przedstawiłem.

Pan Cambon dodał, że, naturalnie, pytania były przedłożone naszemu rządowi, ażeby można (luka w kablogramie) pytania, które staną przed mo- carstwami sprzymierzonymi do rozwiązania prędzej czy później. Jak podałem w moim numerze 2352, 2 sierpnia 6 popoł. pan Cambon otwarcie powiedział, że ze względu na przykrą naturę jednego czy dwóch zagadnień spornych, rad jest rzeczywiście, że nasz rząd nie jest reprezentowany na konferencji.

S h a r p.

natów, kilku z nich ludzi zdolnych, ale najzupełniej bez wprawy i specjalnej znajomości spraw zagranicznych. Nie było też wystarczającej służby wywiadowczej. Ten stan rzeczy nie był ani demokratycznym, ani republikańskim — był amerykańskim. Demokratyczna administracja wyrzuca republikańców, którzy zaczęli obznajmiać się trochę i wprowadza demokratów; następuje republikańska administracja i czyni dokładnie to samo. Rezultat jest ten, że amerykańscy dyktanci mają do czynienia zawsze z europejskimi lub azjatyckimi fachowcami. To też służba nasza dyplomatyczna jest nietylko niezręczną w metodach, ale brak jej zrozumienia jej zadań. Mało ma uzbieranej wiedzy o celach i politykach, zazdrościach i intrygach, któremi nasiąknięta jest dyplomacja europejska. Słomki, które zdradzają całe wichry w międzynarodowej polityce oku wytrawnego obserwatora w europejskich kancelariach, wydają jej się słomkami i niczem więcej — więc się je odsuwa na bok, jako małoważne.

Jeżeli naszej dyplomacji brakło należytego tła dla zrozumienia znaczenia tajnych traktatów, to cóż dopiero mówić o naszej publicznej opinii? Dla pchniętej na zupełnie obce sobie wody, dla gnanej ślepo powiewem wojennego nastroju — parę listków tajnych traktatów na wietrze nic absolutnie nie znaczyło. Łatwo to było zlekceważyć, jako „propagandę“ — czy to niemiecką czy też rosyjską.

Co się tyczyło samego Prezydenta, ten był przekonany, że pełne przyjęcie jego programu rozstrzygnięć przez wszystkich aliantów przy zawieszeniu broni, programu, którego punkt pierwszy odnosił się do tajnej dyplomacji — dawało rękojmię, że na konferencji pokojowej każda kwestja dyskutowaną będzie merytorycznie, nie na podstawie uprzednich tajnych umów. Narody przyrzekły, a on, jak powiedział na wspólnej sesji Kongresu 11 listopada 1918, wierzył, że dotrzymają tego, co przyrzekły. Może to była nieuzasadniona ufność, ale Prezydent się nią rządził i podczas całego trwania konferencji odmawiał przyjęcia tajnych traktatów za podstawę do rozstrzygnięcia jakiegokolwiek kwestji.

I tak powiedział w dyskusji nad żądaniami Włoch:

„Niewiedział, nie był pewny, czy mu wolno zapytać, czy Francja i Wielka Brytania uważają traktat (tajny traktat londyński)

za zgodny z zasadami, na których traktat pokojowy ma być oparty. Wolno mu jednak powiedzieć, że on sam go za taki nie uważa. Dyskutować nad kwestją na podstawie paktu londyńskiego byłoby to przyjęciem za podstawę tajnego traktatu. Jednakże czuje się zobowiązany oznajmić światu, że ustanawiamy nowy porządek, z którego tajne traktaty są wykluczone... Pakt londyński niezgodny jest z ogólnymi zasadami rozstrzygania. (Prezydent) wie bardzo dobrze, że pakt londyński zawierany był w zupełnie odmiennych okolicznościach i nie pragnie krytykować tego, co uczyniono. Jednakże przypuszczenie, że decyzja mogłaby być powziętą na podstawie traktatu londyńskiego, postawiłoby Amerykę w niemożliwej sytuacji.“

Po ogłoszeniu celów wojennych przez przywódców aliantów w styczniu 1917 podejrzliwość opozycyjnych grup w sprzymierzonych państwach, chwilowo uspokojona, zaczęła niebawem znów wzrastać — a równocześnie szczęście wojenne aliantów zaczęło się przedstawiać wątpliwie, jeśli nie rozpaczliwie.

W marcu tego roku (1917) stary rosyjski rząd runął i rozpadł się, car uciekł, a jednym z pierwszych czynów rewolucyjnego rządu (jeszcze nie bolszewickiego), było postawienie programu (10 kwietnia), który nie tylko proponował pokój prawie dokładnie taki sam, jak prezydenta Wilsona, ale eo ipso zrzekał się wszelkich pretensyj Rosji, opartych na tajnych traktatach. Gdy jednakże bolszewicy później przyszli do władzy (6 listopada 1917) — uczynili krok dalszy jeszcze — krok wicherzący. Nie tylko oświadczyli się za ogólnymi zasadami, nie tylko w myśl ich potępiли tajne traktaty, ale ogłosili je. A niema na świecie nic niezręczniejszego, nic niedorzeczniejszego, jak ogłoszenie tajnego traktatu. Otworzyli na światło dzienne zatęchłe tajne archiwa starego rosyjskiego rządu.¹⁾

Nigdy jeszcze nie było podobnego przykładu bezwzględnego posługiwania się jawnością. Żenujące teksty tajnych traktatów (znanych do owego czasu) zostały wydrukowane przez Trockiego, bolszewickiego ministra spraw zagranicznych, w *Izwestiach*, oficjalnym organie sowietów w listopadzie 1917, i dały

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Czterech, 19 kwietnia.

mu możność ukucia z tego kapitału w swoim wstępnym manifestcie, gdzie z siłą zwraca się do lewicowych partij wszelkich krajów i mówi: „Ludy powinny znać udokumentowaną prawdę o tych intrygach, uknutych potajemnie przez finansistów i przemysłowców wraz z ich parlamentarnymi i dyplomatycznymi agentami“.

Pomimo, że publikację tę atakowano i starano się wszędzie umniejszyć jej znaczenie, traktując ją jako prostą „bolszewicką propagandę“, to jednak późniejsze wypadki, zwłaszcza na konferencji pokojowej, wykazały, że wydrukowali prawdę.

Chociaż teksty tajnych traktatów zostały ogłoszone przez bolszewików 17 listopada 1917, a zawierające je egzemplarze *Izwiestij* dotarły do zachodniej Europy dopiero w kilka tygodni później, jednakże wieści o tem, co te traktaty zawierały, przenikać zaczęły odrazu i wywołały wielkie podniecenie w opozycyjnych obozach wszystkich państw sprzymierzonych.

Ważniejszem może jeszcze było niewątpliwe poruszenie, wywołane tą zupełnie niespodziewaną publikacją ich sekretnych umów, w gabinetach spraw zagranicznych Anglii, Francji i Włoch, oraz wrażenie nadzwyczajnych żądań, postawionych przez Rosjan w Brześciu Litewskim, ażeby żadna „tajna dyplomacja“ nie była kamieniem węgielnym układów pokojowych z Niemcami.

Przywódcy rządów w sprzymierzonych krajach wiedzieli, że fakty, ogłoszone w Rosji, niebawem szczegółowo znane będą w całej Europie i mogą nietylko wyrzucić złe wrażenie na i tak już odporne grupy opozycji w państwach sprzymierzonych, ale obudzić podejrzenia i wątpliwości w Ameryce, a nadto rozniecić ducha wojowniczego w Niemczech. Bez wątpienia to było główną przyczyną, że Lloyd George zaczął natychmiast schlebiać labour-party i Ameryce — postępowszem i bardziej idealistycznem określeniem celów wojennych aliantów.

Znajdujemy pomiędzy papierami Prezydenta następujący, wielce rewelacyjny kablogram z daty 5 stycznia, od pana Balfoura, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych do amerykańskiego Departamentu Stanu dla zakomunikowania go Prezydentowi:

Dla informacji Prezydenta, prywatne i poufne:

Negocjacje były prowadzone od pewnego czasu pomiędzy premierem a Związkami Zawodowymi. Głównym punktem było życzenie rządu, by uzyskać zwolnienie z pewnych zobowiązań, danych leaderom labour-party w wcześniejszych stadiach wojny. To zwolnienie jest absolutnie koniecznem z militarnego punktu widzenia, dla zwiększenia liczby żołnierza na zachodnim froncie. Wkońcu układy doszły do punktu, gdzie pomyślny ich wynik zależał jedynie od natychmiastowego wydania przez rząd brytyjski oświadczenia, wymieniającego ich cele wojenne. To oświadczenie obecnie premier uczynił. Jest ono rezultatem narad z przywódcami labour-party, jak również z przywódcami parlamentarnej opozycji.

W tych okolicznościach nie było czasu radzić się aliantów co do brzmienia oświadczenia, na które zgodził się premier i wyżej wymienione osoby. Okaże się przy zbadaniu, że jest ono zgodne z deklaracjami, czynionymi dotychczas przez Prezydenta w tym przedmiocie.

Gdyby Prezydent sam wydał oświadczenie o swoich własnych poglądach, co ze względu na apel do ludów świata, uczyniony przez bolszewików, byłoby bardzo pożądanym krokiem, premier ufa, że takie oświadczenie byłoby także w ogólnej zgodzie z linią poprzednich mów, które w Anglii, jak również i w innych krajach tak gorąco zostały przyjęte przez opinię publiczną. Takie dalsze oświadczenie byłoby naturalnie równie gorąco powitane.

Tego samego dnia, gdy Balfour wysyłał ten kablogram do Prezydenta, 5 stycznia 1918, Lloyd George wygłaszał swoją wielką mowę o celach wojennych i to tak znacząco wygłaszał ją przed kongresem Związków Zawodowych w Londynie, w której rzeczywiście przyjął zasady, których prezydent Wilson oddawna bronił. Z wytrawną polityczną przenikliwością, jakiej tak częste dowody dał w swej karierze, chwycił tę grupę idei, którą widział urastającą nagle do prawdziwej potęgi w świecie. Chciał przede wszystkim zjednać sobie i zadowolić masy robotnicze. W tej mowie specjalnie wyparł się imperjalistycznych celów aliantów, ujawnionych w niektórych tajnych traktatach, zwłaszcza tych,

które odnosiły się do Turcji. Powiedział, że podwładne Turcji kraje „mają prawo do uznania ich odrębnych narodowych warunków“ i że wcześniejsze (tajne) umowy nie będą przeszkadzały swobodnej dyskusji między aljantami, co do ich przyszłości, ponieważ upadek Rosji zmienił wszystkie warunki. Przez to oświadczenie się co do Turcji przebiegle wywołał dwojaki skutek: uspokoiło ono labour-party i uspokoiło zaniepokojonych muzułmanów Indji, gdzie Anglicy wtedy usiłowali brać rekruta. Jednakże, jak nam teraz wiadomo, nie wyparł się innych tajnych traktatów, jako to z Japonją w sprawie Szantungu i wysp na Oceanie Spokojnym — co później w Paryżu spowodowało tyle kłopotu (które to traktaty nie były opublikowane przez bolszewików i prawdopodobnie wcale im nie były znane).

Pierwsza i jedyna z nielicznych gazet w Wielkiej Brytanji, która ogłosiła tłumaczenie owych tajnych traktatów, opublikowanych przez bolszewików, był *Manchester Guardian* (z 12 grudnia 1917), a w lutym 1918 zostały one wydane w małej broszurce przez National Labour Press w Manchester, z mapami, określającymi treść i znaczenie tych traktatów. Jednakże inne czasopisma angielskie, francuskie, włoskie i amerykańskie ignorowały tę broszurkę kompletnie. Naturalnie, był do tego powód, którego historyk tych wypadków, starający się spisać to, co się rzeczywiście wydarzyło, nie potrzebuje dłużej tać — a był nim fakt, że wojna w owym czasie była w krytycznem stadium, i wyjawienie istnienia tych traktatów siałoby niepokój i zmierzałoby do podniecenia głosów powątpiewania i opozycji.

Jakkolwiek wielkie mowy Lloyd Georga i prezydenta Wilsona (mowa o Czternastu Punktach) zostały wygłoszone w styczniu r. 1918 i warunki pokoju na nowej podstawie zdawały się zapewnione, gdyż cały świat uniósł się uznaniem — głosy sceptycyzmu i powątpiewania pomimo to nie zupełnie ucichły. Grupy opozycyjne wciąż niepokoiły się tajnymi traktatami, wciąż podejrzewały swoje rządy, a równocześnie rozpaczliwie poddawały się znużeniu wojny.

Dla amerykańskiego obserwatora, który tak, jak ja, pojechał do Europy w krytycznym okresie wojny w 1918, nic na wstępie nie było tak niespodziewanem i niezrozumiałem, jak odkrycie rozmiarów i powagi tej podejrzliwości i tego niezadowolenia.

W 1918, 11 maja, *Herald* londyński, główny organ labour-party w Anglii, wydrukował te traktaty w całej pełni, także z mapami i z takim wstępem:

„Poświęcamy ten tydzień tajnym traktatom, ponieważ uważamy za absolutną konieczność dać natychmiast tym warunkom ukrytych celów i umów Wielkiej Brytanji możliwie najszerszy rozgłos. Prasa z wyjątkiem kilku chwalebnych wyjątków... zignorowała warunki tych traktatów, ogłoszonych przez bolszewików, a większość ludzi zawsze jeszcze przyjmuje wzmiankę o tajnych traktatach pustem spojrzeniem niezrozumienia. W kraju, szczącym się tem, że jest demokratycznym, głoszącym, że walczy za demokratyczne cele, taki stan rzeczy jest równie absurdalny, jak niebezpieczny.“

To jednakże ogłoszenie tekstu traktatów nie było wszystkim, gdyż *Herald* przedstawił w równoległych kolumnach serję porównań celów wojennych, jako głoszonych przez różnych odpowiedzialnych mówców sprzymierzonych krajów, z sekretnymi zamiarami, zawartymi w traktatach. Chcąc pokazać, jak się te sprawy wydawały partjom opozycyjnym w sprzymierzonych krajach, podajemy tu próbkę tych porównań:

„Nie żądamy żadnych terytorjalnych zaborów“.

Zasady:

„Nie walczymy o nowe terytorja“. — Mr. Bonar Law, Izba Gmin 20 lutego 1917.

Praktyka:

„Na wiosnę r. 1916 sprzymierzone rządy Wielkiej Brytanji, Francji i Rosji doszły do porozumienia w sprawie przyszłego rozgraniczenia ich oddzielnych stref wpływu i terytorjalnych nabytków w Turcji Azjatyckiej... Wielka Brytanja otrzymuje południową część Mezopotamji z Bagdadem i wymawia dla siebie w Syrii porty Haifa i Akka“. Memorandum rosyjskiego Biura Ministerjum Spraw Zagranicznych, 6 marca 1917.

„Wolność małych narodów“

Zasady:

„Jest to wojna... o wyzwolenie mniejszych państw“. Asquith, Guildhall 9 listopada 1916.

„Sympatja, z jaką rząd Jego Królewskiej Mości odnosi się do uprawnionych dążeń albańskich ludu...“ List z Ministerjum Spraw Zagranicznych do Miss Durham, 16 stycznia 1918.

Praktyka:

„Neutralna strefa w Persji ma być włączoną w angielską sferę wpływów...“

Rosyjsko - brytyjska ugoda 20 marca 1916.

„Otrzymawszy... zatokę Valony, Włochy zobowiązują się... nie przeszkadzać możliwemu życzeniu Francji, W. Brytanji i Rosji, podzielenia północnych i południowych okręgów Albanji pomiędzy Czarnogórę, Serbję i Grecję.“

Traktat z Włochami, kwiecień 28, 1915.

Nie trzeba też zapominać, że podobne publikacje skwapliwie puszczano w obieg także w Niemczech i w Austrii i że w tych krajach zamysły aljantów, odkryte w owych tajnych traktatach, miały poważny skutek, wzmacniając wpływ partji wojennej. Przywódcy niemieccy bowiem, z trudem podtrzymujący ducha w swym narodzie, mogli powiedzieć do swoich ludów: „Widzicie, o co w rzeczywistości walczą sprzymierzeni — walczą o rozczłonkowanie Niemiec, Austrii i Turcji i o zagarnięcie dla siebie terytorjów we wszystkich częściach świata“.

Niewątpliwie też odkrycie przez Kroatów i Słoweńców, którzy nigdy względem Austrii bardzo lojalni nie byli, że aljanci potajemnie przyrzekli oddać Rumunji część Banatu, zamieszkałą całkowicie przez ludność słowiańską, a Włochom dalmatyńskie wybrzeże — niewątpliwie odkrycie to sprawiło, że Słowianie, będący jeszcze pod panowaniem Austrii, z nowym wigorem zabrali się do walki po stronie mocarstw centralnych.

„Jeżeli takie cyniczne zamiary mają aljanci“ — mogły zapytać te małe narody, tak jak się później zapytały w Paryżu — „dlaczego lepiej ma nam być z aljantami, niż z centralnymi mocarstwami?“

Gdyby nie silne zaznaczenie przez prezydenta Wilsona nowych zasad rozstrzygania w tym krytycznym okresie i gdyby nie skwapliwe przyjęcie jego kierownictwa, co się tyczy programu pokojowego, przez sprzymierzone mocarstwa, efekt tych publikacji byłby był prawdopodobnie o wiele gorszy, niż był — mógł z łatwością stać się groźnym. Dobrze wiadano, że Ameryka w żaden sposób nie jest związana przez jakikolwiek z tych układów i że Prezydent wyraźnie potępiał te właśnie praktyki starej dyplomacji. Dobrze wiadano również, że Ameryka nie służy żadnym tajemnym ani specjalnym interesom. Ponadto Prezydent przewidująco starał się przygotować zawczasu do tej sytuacji. Akcentował przez cały czas, że nie jesteśmy mocarstwem „sprzymierzonym”, lecz „stowarzyszonym”; pragnął w ten sposób jasno postawić sprawę, że nie jesteśmy związani żadnym poprzednim działaniem europejskich sprzymierzonych, że rezerwujemy sobie wolną rękę i niezależność w każdej decyzji na przyszłość. W swoim pierwszym odniesieniu się do kwestji tajnych traktatów na konferencji pokojowej, stanowisko swoje określił jasno:

„Ponieważ Stany Zjednoczone Ameryki nie są związane przez żaden z tych (tajnych) traktatów, o których mowa, są one gotowe uznać rozstrzygnięcie na podstawie faktów¹⁾. Nie poprzestał też prezydent na jednorazowym ogłoszeniu swego pokojowego programu. Jeżeli sceptycyzm opozycji w Europie trwał mimo wielkich oświadczeń w styczniu 1918, to i Prezydent ponawiał oświadczenia swoje z jeszcze większym naciskiem, jeszcze bardziej przekonujące o nowej podstawie pokoju. W lutym 11, 1918 rozwijał zasady swoje w Kongresie; w marcu (11) wysłał orędzie swoje do Wszechrosyjskiego Kongresu Sowietów (był to rewolucyjny, ale jeszcze nie bolszewicki rząd); w tem orędziu mówi im, że „lud Stanów Zjednoczonych łączy się całym sercem z ludami Rosji w ich usiłowaniu uwolnienia się na zawsze od autokratycznych rządów i stania się panami własnego życia“. W lipcu (4) w Mount Vernon wygłosił jeszcze silniejsze oświadczenie o swoich postępowych zasadach i przedstawił cztery punkty rozstrzygnięć. ²⁾ Pamiętam dobrze, jak ta

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 1 lutego.

²⁾ Patrz Tom III, Dokument 3.

mowa znanem echem odbiła się w Europie i jak głęboko i przekonująco przemówiła do niezadowolonych, znużonych wojną czynników.

Do tych to liberalnych i robotniczych grup prezydent Wilson najsiłniej się zwracał. Wyrażną zaznaczał różnicę pomiędzy pragnieniami rządów a ludów. Pragnął być uważanym za przedstawiciela „nie rządów, ale ludów“. A zwłaszcza starej dyplomacji nie znosił i w pierwszym ze swoich czternastu punktów określił swój ideał nowej dyplomacji:

„Jawne umowy pokojowe, jawnie osiągnięte, poczem niema już być żadnych międzynarodowych porozumień żadnego rodzaju“.

Temu punktowi nazbyt ciasną nadawano interpretację, jakgdyby miało to znaczyć, że każda dyplomatyczna dyskusja winna być otwartą dla korespondentów dziennikarskich; co jednakże Prezydent rzeczywiście miał na myśli, jest jasno przedstawione w dziwnie mało znanym ustępie z listu do sekretarza stanu, z 12 czerwca 1918:

„Gdy oświadczałem się za otwartą dyplomacją, rozumiałem przez to nie, żeby nie było prywatnych dyskusyj w sprawach delikatnej natury, lecz żeby nie zawierano żadnych tajnych układów, i żeby we wszelkich międzynarodowych stosunkach, gdy się je ustala, działa się to otwarcie, uczciwie i wyraźnie“.

Wszystkie narody przyjęły tę zasadę jako fundamentalną podstawę pokoju; miał powstać „nowy porządek“, nowe zrzeszenie się. To właśnie leżało głęboko na dnie pod powierzchnią tego wielkiego entuzjazmu, z jakim ludność powitała Wilsona, gdy przybył do Europy w grudniu 1918. Jednakże poza tem leżał cały splot brzydkich starych powikłań. Ameryka nie była niemi związana, Prezydent je nienawidził i uważał, że nie powinien ich w żadnym razie uznawać. Masy ludowe Europy — o ile miały głos — gorzko się na nie skarżyły. Ale one istniały i walczyć trzeba było z rządami, które je stworzyły albo popierały; więc zarówno jest potrzebnem zrozumieć ich punkty widzenia, jak i ten zasób idei, z jakim Ameryka na konferencji pokojowej stanęła.

ROZDZIAŁ III.

WARUNKI GŁÓWNYCH TAJNYCH TRAKTATÓW Z LAT 1915, 1916 I 1917.

Trzeba zwrócić baczną uwagę na to, czem były te „tajne traktaty“, jakie istotne układy zawierały w sobie. Tutaj są przedstawione w zarysie nietylko te, które były już znane od chwili, gdy tajemnice starego rosyjskiego Ministerjum Spraw Zagranicznych odkryto w listopadzie 1917, a później potwierdzono lub dalej wytłumaczono w Paryżu — lecz i inne, jak traktat Sykes-Picot i tajny układ w St. Jean de Maurienne, tyżący podziału Turcji, które wypłynęły w półświecie konferencji pokojowej i wywołały tam przykre spory.

Z pomiędzy tych tajnych porozumień jedno, w skutkach swoich dla Stanów Zjednoczonych należące do najważniejszych, było co do specjalnych warunków, jakie zawierało, utrzymywane w tajemnicy, dopóki konferencja pokojowa w Paryżu nie doszła do rozważania problemów Pacyfiku. Mówię tu o porozumieniu pomiędzy aljantami a Japonją w kwestji rozporządzenia Szantungiem w Chinach i podziału niemieckich wysp na oceanie Spokojnym pomiędzy Japonją a Anglią. Jeden tylko z tych wielce ważnych traktatów — londyński traktat z 1915, przez który Włochy zostały wciągnięte do wojny — był do owej pory urzędownie ogłoszony.

Pewna liczba mniejszych tajnych „porozumień“ — których dotknąć tylko możemy w tym wstępnym przeglądzie, ale które obszerniej traktować będziemy w ich właściwych miejscach — wypłynęła, niekiedy prawie przypadkowo, podczas konferencji pokojowej, jak np. umowa pomiędzy W. Brytanią a Francją co do podziału krainy Togo i Kamerunu w Afryce, dalsze układy w sprawie podziału Turcji, projekty budowy linii kolejowych

(nawet przewodu rurowego), dla połączenia Mezopotamji z morzem Śródziemnem. Niektóre z tych pertraktacyj trwały dalej, nietylko po przystąpieniu Ameryki do wojny, nietylko po ogólnem przyjęciu pokojowego programu, przedstawionego przez prezydenta Wilsona w styczniu 1918, ale trwały dalej przez rok 1918, a nawet wkroczyły w okres konferencji pokojowej, jak to wykażę.

I trwają jeszcze wciąż dalej, gdyż są naturalnym i nieuniknionym wyrazem starych metod dyplomatycznych. Jeden tydzień nie mija, żeby się nie słyszało o takim potajemnie dokonanym handlu. Zważywszy, że to, co dochodzi do wiadomości, to tylko rzuty oka za kurtynę, wskazują one na olbrzymią odbywającą się w ukryciu robotę.

I.

Rosja targuje się o Konstantynopol; Wielka Brytania zawarowuje sobie prawa w Persji i Turcji.

Pierwszym co do czasu z tych tajnych traktatów był traktat zawarty między W. Brytanią i Francją z jednej strony a ich sprzymierzeńcem, Rosją, z drugiej, a nasza wiadomość o nim opiera się na trzech zapiskach rosyjskiego Ministerjum Spraw Zagranicznych z daty 4 marca 1915, 18 marca 1915 i 20 marca 1915. W pierwszym z tych zapisków wyrażone jest „życzenie” Rosji anektowania Konstantynopola „o ile wojna pomyślnie się zakończy”; przyzwolenie Francji i Anglii jest zanotowane, o ile ich „żądania... zarówno w granicach ottomańskiego państwa jak i w innych miejscach, będą zaspokojone”. Drugie memorandum konstatuje „kompletną zgodę pisemną” rządu brytyjskiego „na anektowanie przez Rosję Cieśnin i Konstantynopola”. Trzeci i najważniejszy dokument, który ostatecznie ujmuje całą sprawę i wykazuje, co Anglia miała otrzymać, jako swój udział w handlu, podany jest niżej w całości:

Poufny telegram od rosyjskiego ministra spraw zagranicznych do rosyjskiego ambasadora w Londynie Nr. 1265.

20 marca 1915.

Odnosnie do memorandum brytyjskiej ambasady tu 12 marca 1915, proszę, niech Pan wyrazi Greyowi głęboką wdzięcz-

ność cesarskiego rządu za kompletną i ostateczną zgodę Wielkiej Brytanji na rozwiązanie zagadnienia Cieśnin i Konstantynopola w zgodzie z pragnieniami Rosji. Cesarski rząd ocenia w pełni uczucia brytyjskiego rządu i jest pewnym, że szczere uznanie wzajemnych interesów na zawsze odąd zapewni stałą przyjaźń pomiędzy Rosją a Wielką Brytanią.

Dawszy już obietnicę, odnośnie do warunków handlu w Cieśninach i Konstantynopolu, cesarski rząd nie ma nic przeciw potwierdzeniu swej zgody na ustanowienie 1) wolnego tranzytu przez Konstantynopol dla wszelkich towarów, nie idących z Rosji albo idących do Rosji, oraz na 2) wolny przejazd przez Cieśniny dla okrętów handlowych...

Rząd cesarski najzupełniej podziela pogląd rządu brytyjskiego, że święte miejsca muzułmańskie muszą także w przyszłości pozostać pod niezależną muzułmańską władzą. Byłoby koniecznem wyjaśnić odrazu, czy zamierza się zostawić te miejsca pod rządami Turcji, a sułtan żeby zatrzymał tytuł kalifa — czy też utworzyć nowe niezależne państwa, gdyż cesarski rząd mógłby tylko formułować swoje życzenia w zgodzie z jednym lub drugim z tych przypuszczeń. Ze swojej strony cesarski rząd uważałby oddzielenie kalifatu od Turcji za bardzo upragnione. Naturalnie swoboda pielgrzymek musi być kompletnie zapewniona.

Cesarski rząd potwierdza zgodę swoją na włączenie neutralnej strefy w Persji w sferę wpływów brytyjskich. Równocześnie jednak uważa za słuszne zaznaczyć, że okręgi, graniczące z miastami Ispahan i Yazd, tworzące z nimi nierozłączną całość, powinny być przyznane Rosji ze względu na rosyjskie interesy, które tam powstały. Neutralną strefę tworzy klin między rosyjską a afganistańską granicą i dochodzi do samej granicznej linii Rosji pod Zufalgar. Stąd część tego klinu będzie musiała być przyłączoną do rosyjskiej sfery wpływów. Istotnie ważną jest dla cesarskiego rządu kwestja budowy kolei w sferze neutralnej, to też będzie wymagało dalszej przyjacielskiej dyskusji.

Cesarski rząd spodziewa się, że w przyszłości jego pełna wolność działania będzie uznaną w przyznanej mu sferze wpły-

wów, a z tem szczególnie prawo uprzywilejowania w rozwijaniu w tej sferze swej finansowej i ekonomicznej polityki...

(Podpisane) Sazonow.

(Sazonow był rosyjskim ministrem spraw zagranicznych).

Cel tej tajnej umowy jest, oczywiście, wystarczająco jasny. Od czasów Piotra Wielkiego Rosja chciwemi oczyma patrzyła na Konstantynopol i na Cieśniny, gdyż ambicją jej i potrzebą było zapewnić niekępowany dostęp do ciepłych mórz dla swego handlu. Tego nie mogła sobie zapewnić głównie skutkiem angielskiej polityki, podtrzymującej panowanie „Chorego Człowieka Europy“, sułtana, który panował nad Bosforem. Dlatego skorzystała z pierwszej sposobności w wielkiej wojnie, żeby zażądać od swych sprzymierzeńców prawa anektowania tego tureckiego terytorjum (jakieś 1600 kwadratowych mil powierzchni) na wypadek, jeżeli wojnę wygrają aljanci.

Ale to była tylko jedna strona targu. Wzamian za przyzwolenie Anglii i Francji (a później i Włoch) na takie rozszerzenie rosyjskiego terytorjum i potęgi, Rosja obiecuje zabezpieczyć ekonomiczne interesa Anglii „i zachować podobne życzliwe stanowisko... względem politycznych aspiracyj Anglii w innych krajach“. Te „inne kraje“ to Persja, Mezopotamja i Egipt.

Otóż, w 1907 Anglja i Rosja zawarły konwencję, mocą której te dwa rządy zobowiązywały się „szanować całość i niezawisłość Persji“, chociaż godziły się na stworzenie pewnych „sfer wpływów“ dla celów handlowych. Persów samych nie radzono się w tej sprawie ani w 1907, ani później w 1915, gdy tajny traktat układano. Persja w istocie, była jednym z tych małych narodów, które zaraz na początku w Paryżu upominały się u Prezydenta o prawo samostanowienia.

Na mocy tej nowej tajnej umowy z r. 1915 Anglja uzyskuje kontrolę nad strefą Persji dotychczas neutralnej, a Rosji zapewnia się „swobodę działania“ w północnej Persji. Znaczącym jest szczegół, że przez to posunięcie rząd brytyjski, który posiadał kontrolujący udział w Anglo-Persian Oil Company, zyskał w swej nowej „sferze wpływów“ cenne źródła naftowe. Towarzystwo to ma sześćdziesięcioletnią koncesję (od 1901) na wszystkie naftowe tereny Persji, z wyjątkiem znajdujących się w północ-

nych prowincjach, nad któremi kontrolę miała Rosja. Układ ten trzymany był w zupełnej tajemnicy przed ludami Anglii i Francji (jak również Rosji) aż do chwili przed samym upadkiem starego rosyjskiego rządu, — myślano wtedy, że jeżeli faktem, iż Rosja ma nareszcie osiągnąć spełnienie starodawnej ambicji swej i pojąć Konstantynopol, zabłyśnie się ponętnie przed rosyjskim ludem — to może lud ten silniej podeprze chwiejący się tron cara. W tym celu umowę nagle ogłoszono; jednakże skutek okazał się wręcz przeciwnym temu, na co liczone. Wiadomość o umowie posłużyła rewolucjonistom tylko jako jeden dowód więcej dwulicowości ich własnego rządu; zaś jedną z pierwszych rzeczy, które rząd rewolucyjny uczynił, było wyrzeczenie się wszelkich terytorjalnych ambicji i oparcie się na formule: „żadnych aneksyj; żadnych odszkodowań; samostanowienie narodów“.

II.

Tajny traktat londyński: Włochy wciągnięte do wojny obietnicą Dalmacji i innych terytorjów.

Drugi co do czasu tajny traktat — londyński traktat z 26 kwietnia 1915, który wciągnął Włochy do wojny — obejmował może najwięcej zagadnień i w skutkach swoich może najdalej sięgał z pomiędzy wszystkich tajnych układów między sprzymierzonymi mocarstwami zawartych. On to stanowił na konferencji pokojowej główną przeszkodę. Więcej czasu poświęciła Rada Czterech i inne rady i komisje w Paryżu sporom, jakie się wszczęły dokoła tego traktatu, niż jakimukolwiek innemu podanemu dyskusji zagadnieniu.

Gdy wybuchła wielka wojna, Włochy trzymały się zdala i prowadziły targi z obu grupami mocarstw. Była to dla nich złota sposobność zaspokojenia niektórych nacjonalistycznych ambicji. Ożywiało je, jak się wyraził włoski minister spraw zagranicznych (signor Salandra) uczucie „świętego egoizmu“ (sacro egoismo) — i to, powiedział, powinno je prowadzić w układach z wiodącymi wojnę mocarstwami. Sonnino oświadczył Radzie Czterech 19 kwietnia (tajne protokoły), że „Austria ofiarowała Włochom Adygę i wyspy“. Jednakże aljanci w Londynie

przystali widocznie na korzystniejsze warunki, niż je dać chciały Niemcy i Austrija. Broniąc swojego udziału w tym targu, angielski premier, mr. Asquith (2 lutego 1920 w Paisley) powiedział, że:

„...w czasie, gdy się zawierało traktat z Włochami, Francuzi i my walczyliśmy o śmierć lub życie na zachodnim froncie... Traktat włoski, za który nietylko my, ale Francja i Rosja zarówno są odpowiedzialne, przedstawiał warunki, na mocy których Włochy gotowe były przyłączyć swoje siły... Pociągał on za sobą niewątpliwie, gdyby nam się powiodło, przyłączenie do Włoch wcale znacznych obszarów terytorjalnych“.

Krótko mówiąc, traktat ten dawał Włochom okręgi Trentino i Triest, dawniej włoskie; hrabstwo Gorycji i Gradiskę, terytorjum Istrii i wiele wysp; a także przyznawał im część Tyrolu w wąwozie Brenner, który zawierał zwartą niemiecką ludność 200.000 głów, austriackich poddanych od czternastego wieku. Większość ludności Istrii i Gorycji-Gradiski była słowiańską, a nie włoską. Przyznawał także ten traktat Włochom prowincję Dalmację, z wszystkimi najlepszymi portami (z wyjątkiem Fiume) na wschodnim wybrzeżu Adrjatyku, miasto i okręg Valona w Abanji i tak zapewniał neutralizację wszystkich innych terytorjów dotykających Adrjatyku, że czynił z tego zbiornika wód „włoskie jezioro“ i dawał Włochom kontrolę wszystkich najlepszych portów przywozowych (z wyjątkiem Fiume) dla wielkiego handlu południowo-wschodniej Europy. Austro-Węgry mocą tego traktatu miały być zupełnie odcięte od morza, a wiele setek tysięcy Słowian, Niemców, Albańczyków i Greków miało się dostać pod włoskie panowanie.

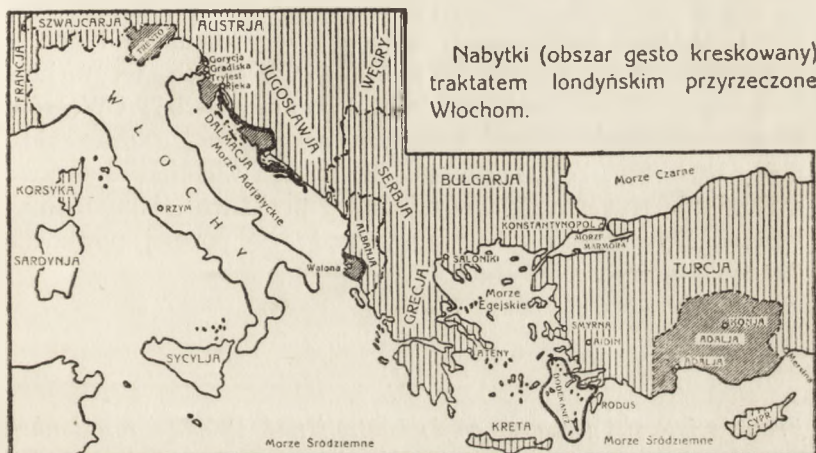
Ale to jeszcze nie wszystko. Włosi mieli jeszcze dostać wyspy Dodekanezu na wschodnim morzu Śródziemnem, całkowicie zamieszkałe przez greków, i „prawo, w razie podziału Turcji, do udziału równego ich udziałowi (t. j. Anglii, Francji i Rosji) w basenie Śródziemnomorskim“, to znaczy, obszerne terytorjum w Azji Mniejszej, zamieszkałe przez Greków, Turków i inne narodowości. Obiecano im także rozszerzenie ich terytorjum w Afryce na wypadek, że Francja i Anglja „rozszerzą swoje kolonjalne posiadłości w Afryce, kosztem Niemiec“.

Obok wszystkich tych terytorjalnych obietnic, Włochy „mają dostać udział w odszkodowaniach wojennych“ (tu jest pierwsza formalna wzmianka o kwestji odszkodowań wojennych) i pożyczkę od Anglii w sumie 50.000.000 funtów. Tak pomoc Włoch we wojnie kupiona została ustępstwami.

Końcowy artykuł (16) tego traktatu oświadcza:

„Niniejszy traktat ma pozostać tajnym“.

Nie był też, w istocie, urzędowo ogłoszonym aż do 20 kwietnia 1920, jest to też jedyny z tajnych traktatów, który się dotychczas urzędowego ogłoszenia nie doczekał. Był on jednakże



ogłoszony przez bolszewików w listopadzie 1917, a ogólne jego warunki na długo przedtem znane były w Niemczech i w Austrii. Istotnie, były one szeroko rozgłaszane przez austriackich generałów, by pobudzić nienawiść Kroatów i Słoweńców przeciw Włochom — gdyż Kroaci i Słoweńcy, pragnąc połączenia z Serbią w jedno państwo, a na aljantów patrząc, jak na swych przyjaciół, widzieli oto Włochy wynagrodzone oddaniem terytorjów i portów, które uważali za im właśnie należne. Ten traktat także, niewątpliwie, musiał wywołać rozczarowanie i najgorsze wrażenie na całym Bałkanie; prawdopodobnie też był jednym z wielkich argumentów, użytym przez Niemców dla przyciągnięcia Bułgarii na stronę mocarstw centralnych. Niewątpliwie rozgoryczył on i przedłużył wielką wojnę.

III.

Tajny traktat rumuński.

W sprawie Rumunji działo się to samo, co w sprawie Włoch, tylko Rumunja wahała się o wiele dłużej, po której stronie ma walczyć. Obiedwie strony ofiarowywały łakome kęsy. Niemcy obiecywały dać jej Besarabję, która należała do Rosji, a Rosja obiecywała Siedmiogród, należący do Austro-Węgier. Jednakże do formalnej umowy przyszło dopiero 18 sierpnia 1916, kiedy to został podpisany przez aljantów tajny traktat, dający Rumunji nie tylko Siedmiogród, mający liczną rumuńską ludność, ale także bogate rolnicze terytorja na Węgrzech, terytorjum Banatu, w znacznej części zamieszkałego przez Serbów i Węgrów i Bukowinę, dawniej część Austrii, w znacznej części zamieszkałą przez Rusinów. Ten traktat między trzema wielkimi aljantami a Rumunją trzymany był w tajemnicy przed ich lojalnym małym sprzymierzeńcem, Serbją, co stało się później powodem dużego rozgoryczenia.

IV.

Francja i Rosja godzą się co do kontroli nad Polską i rozczłonkowania Niemiec.

D. 11 marca 1917, na miesiąc przedtem zanim Ameryka przystąpiła do wojny, ciekawy tajny układ został zawarty pomiędzy Francją a Rosją -- zdaje się bez naradzenia się z Anglją. Celem jego było „dać Francji i Anglji zupełną swobodę w oznaczeniu zachodnich granic Niemiec“ pod warunkiem, że one dały Rosji „równą swobodę w oznaczeniu naszych (t. j. jej) granic z Niemcami i Austriją“. Innemi słowy Francja miała decydować, co ma się stać z całemi Niemcami na zachód od Renu, a Rosja miała mieć wolną rękę co do Polski. Te potajemne memoranda są tak wysoce ważne ze względu na dalsze ich oddziaływanie później, w czasie konferencji pokojowej, że trzy z nich podajemy poniżej:

DOKUMENT Nr. 2.

*Poufny telegram od rosyjskiego ministra spraw zagranicznych
(Pokrowskiego) do rosyjskiego ambasadora w Paryżu.*

Petrograd 12 lutego 1917.

Kopja do Londynu poufnie. Na audjencji u Najjaśniejszego (cara) pan Doumergue przedłożył cesarzowi pragnienie Francji zapewnienia dla siebie po skończeniu obecnej wojny zwrotu Alzacji i Lotaryngji i specjalnej pozycji w dolinie rzeki Saar, jak również osiągnięcia politycznego oddzielenia od Niemiec jej okręgów poza Renem i ich organizacji na osobnej podstawie tak, iżby w przyszłości rzeka Ren mogła stanowić stałą strategiczną granicę przeciw niemieckiej inwazji. Doumergue wyraził nadzieję, że rząd cesarski nie odmówi natychmiastowego podpisania swojej zgody na te propozycje w sposób formalny.

Jego Cesarska Mość raczył zgodzić się na to w zasadzie, w następstwie czego prosiłem Doumergue'a, by, skomunikowawszy się ze swoim rządem, dostarczył mi szkicu umowy, której następnie nadałoby się sankcję formalną przez wymianę not pomiędzy francuskim ambasadorem a mną.

Działając tak dla spełnienia życzeń naszego sprzymierzeńca, ja mimo to uważam za swój obowiązek przypomnieć stanowisko, zaznaczone przez rząd cesarski w telegramie z 24 lutego 1916, Nr. 948, gdzie powiedziano, że „pozostawiając Francji i Anglii zupełną swobodę w oznaczaniu zachodnich granic Niemiec, spodziewamy się, że sprzymierzeni ze swej strony udzielą nam równej swobody w ustanawianiu naszych granic z Niemcami i Austro-Węgrami“. Dlatego to czekająca nas wymiana not w kwestji, poruszonej przez Doumerguea, usprawiedliwi nasze równoczesne zwrócenie się do francuskiego rządu o potwierdzenie zgody swej na danie swobody Rosji w wykreślaniu przyszłych granic swych na zachodzie. Dokładnych danych w tej kwestji dostarczymy w właściwym czasie gabinetowi francuskiemu.

(Podpisane) Pokrowski.

DOKUMENT Nr. 3.

Kopja noty od rosyjskiego ministra spraw zagranicznych do francuskiego ambasadora w Petrogradzie (M. Doumergue).

14 lutego 1917.

W swej dzisiejszej nocie Jego Ekscelencja był łaskaw poinformować rząd cesarski, że rząd republiki zamierza zamieścić w warunkach pokoju, mających być przedstawionemi Niemcom, następujące żądania i gwarancje terytorjalnej natury:

1. Alzacja i Lotaryngja mają być zwrócone Francji.

2. Granice mają sięgać co najmniej do granic dawnego Księstwa Lotaryngji i mają być wykreślone wedle uznania francuskiego rządu w ten sposób, by uwzględnić strategiczne potrzeby i włączyć w terytorjum francuskie cały lotaryński okręg rud żelaznych i cały okręg węglowy doliny Saary.

3. Reszta terytorjów położonych na lewym brzegu Renu, która dziś tworzy część cesarstwa niemieckiego, ma być zupełnie oddzielona od Niemiec i uwolniona od wszelkiej politycznej i ekonomicznej zależności od nich.

4. Z terytorjów na lewym brzegu Renu, poza francuskim terytorjum, ma być stworzone autonomiczne i neutralne państwo i ma ono być zajęte przez wojska francuskie aż do czasu, gdy nieprzyjacielskie państwa spełnią w zupełności wszelkie warunki i gwarancje, zawarte w traktacie pokoju.

Wasza Ekscelencja oświadczył, że rząd republiki pragnąłby móc polegać na poparciu cesarskiego rządu dla wykonania swoich planów. Z rozkazu Jego Cesarskiej Mości, mojego Najjaśniejszego Pana, mam zaszczyt, w imieniu rosyjskiego rządu, uwiadomić Waszą Ekscelencję niniejszą notą, że rząd republiki może polegać na poparciu cesarskiego rządu w przeprowadzeniu swoich planów, tak jak są powyżej przedstawione.

DOKUMENT Nr. 4.

Telegram od rosyjskiego ambasadora w Paryżu do rosyjskiego ministra spraw zagranicznych.

11 marca 1917.

Por. moją odpowiedź na telegram Nr. 167, Nr. 2. Rząd francuskiej republiki, pragnąc potwierdzić ważność traktatów,

zawartych z rosyjskim rządem w 1915, co do załatwienia po skończeniu wojny kwestji Konstantynopola i Cieśnin zgodnie z pragnieniami Rosji, pragnąc, z drugiej strony, zapewnić sprzymierzeńcowi swemu z militarnych i przemysłowych względów wszelkie gwarancje, upragnione dla bezpieczeństwa i ekonomicznego rozwoju cesarstwa, przyznaje Rosji zupełną swobodę w ustanawianiu jej zachodnich granic. (Podpisane) Izwolski.

Zamiary Francji są tu jasno przedstawione: dostać Alzację i Lotaryngję, żelazo lotaryńskie i węgiel zagłębia Saary, a z nadreńskich prowincji zrobić państewko buforowe pod kontrolą francuską na nieokreśloną liczbę lat.¹⁾

Tajna umowa została zawartą 11 marca 1917, więcej niż w dwa miesiące po odpowiedzi, danej prezydentowi Wilsonowi w kwestji warunków pokojowych przez aljantów, w której to odpowiedzi ciż aljanci oświadczyli się za „samostanowieniem“. Prezydent Wilson wystąpił także (22 stycznia 1917) za „połączoną, niezależną i autonomiczną Polską“. Jest godnem uwagi, że Anglicy nie tylko zaprzeczyli, jakoby mieli aprobować ten traktat, ale nie chcieli przyznać, jakoby zachęcali do tej myśli. Mr. Balfour, minister spraw zagranicznych, dla przeciwdziałania wrażeniu skutkiem ogłoszenia tego tajnego traktatu przez bolszewików w listopadzie 1917, powiedział w Izbie Gmin 19 grudnia 1917:

„Nigdy nie wyraziliśmy naszego uznania... Nigdy nie pragnęliśmy i nigdy nie dawaliśmy zachęty do tej myśli“.

W tydzień po zawarciu tej tajnej umowy pomiędzy carem i republiką francuską upadł rząd rosyjski. Pomimo to, francuski program, taki jak przedstawiony w tym tajnym traktacie, zawartym w marcu 1917, był w rzeczywistości identycznym z tym, za którym się ubiegali na konferencji pokojowej w 1919, chociaż określonymi propozycjami.

V.

Japonja i Wielka Brytania dzielą między siebie byłe niemieckie posiadłości na Dalekim Wschodzie.

Pozostaje jeszcze jeden nader ważny tajny układ, zawarty przed samym upadkiem cara. Nie był ogłoszony podczas kon-

¹⁾ Porównać z francuskimi żądaniem na konferencji pokojowej, jak są przedstawione w rozdziale XXV.

ferencji pokojowej, ale znany był Radzie Czterech w Paryżu i jego treść była przedmiotem wielu dyskusyj na konferencji pokojowej. Był to traktat, czy „wymiana myśli“, jak baron Makino go nazwał, pomiędzy Anglią i Francją z jednej strony a Japonją z drugiej, który stanowił podstawę żądań Japonji na konferencji pokojowej. Treścią jego było rozporządzenie niemieckimi prawami i posiadłościami na Oceanie Spokojnym. Koncesja na zajęcie Szantungu w Chinach wraz ze wszystkimi niemieckimi wyspami na północ od równika miała się dostać Japonji, podczas gdy Anglicy mieli otrzymać wszystkie dawniej niemieckie wyspy na południe od równika.

Podczas gdy to stanowiło cenę umowy, rzeczywiście podaną w tekście traktatu, istotnem *qui pro quo* ze strony Japonji była pomoc w walce z łodziami podwodnymi na morzu Śródziemnem, której Japonja, pomimo zobowiązań swych z roli sprzymierzeńca płynących, dać nie chciała, dopóki nie otrzymała żądanego zapewnienia. Negocjacje trwały cały miesiąc, a sytuacja na morzu Śródziemnem stawała się tak poważną, że Wielka Brytania ostatecznie zgodziła się na japońskie żądania w lutym 16, 1917. Lloyd George, tłumacząc tę umowę na Radzie Trzech (reprezentanci Japonji nie byli obecni) tak rzecz przedstawił:

Mr. Lloyd George wytłumaczył, że w owym czasie kampanja podmorska była bardzo groźna. Większość kontrtorpedowców użyta była na morzu Północnem, a brakło ich na Śródziemnem. Japońska pomoc była nagle potrzebna, a Japonja zażądała zawarcia tego układu (w sprawie wysp na północnym Oceanie Spokojnym i Szantungu). Byliśmy bardzo przyciśnięci i zgodziliśmy się.¹⁾

Oto dosłowny tekst pierwszego memorandum, datowanego z Tokio 16 lutego 1917. Jest ono od brytyjskiego ambasadora do wicehrabiego Motono, japońskiego ministra spraw zagranicznych:

Odnośnie do przedmiotu naszej rozmowy z 27 ostatniego miesiąca, gdzie Wasza Ekscelencja poinformował mnie, że rząd cesarski pragnie otrzymać zapewnienie, iż przy sposobności konferencji pokojowej brytyjski rząd Jego Królewskiej

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Czterech, 22 kwietnia.

Mości poprze żądania Japonji co się tyczy rozporządzenia niemieckimi prawami w Szantungu i posiadłościami w wyspach na północ od równika, mam honor w myśl instrukcyj, otrzymanych od głównego sekretarza Stanu Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości dla Spraw Zagranicznych, zakomunikować Waszej Ekscelencji następującą odpowiedź rządu Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości:

Rząd Jego Królewskiej Mości przychyła się z przyjemnością do życzenia Japońskiego Rządu co do dania zapewnienia, iż będzie popierał żądania Japonji w przedmiocie rozporządzenia niemieckimi prawami w Szantungu i posiadłościami w wyspach na północ od równika przy sposobności konferencji pokojowej, rozumiejąc, że Japoński Rząd przy ewentualnych pokojowych układach traktować będzie w tym samym duchu żądania Wielkiej Brytanji co do niemieckich wysp na południe od równika.

W lutym, 19-go, 1917, gdy już najważniejsze kwestje aljantów zostały załatwione, wicehrabia Motono napisał do ambasadorów rosyjskiego i francuskiego w Tokjo, że, skoro aljanci ułożyli się już co do „rozporządzenia Bosforem, Konstantynopolem i Dardanelami“, przyszedł już czas na Japonję także „wyrazić swoje życzenia“ i wypowiedzieć, czego „zamierza żądać“ przy układach pokojowych, mianowicie ustąpienia jej Szantungu i wysp na północ od równika. Francja ze swej strony zgodziła się 1 marca. Cenę, jakiej wymagała, było, by Chiny wstąpiły do wojny po stronie aljantów. Było to oględne określenie życzenia, by Japonja cofnęła swój sprzeciw co do przystąpienia Chin do wojny. Chiny już po trzykroć poprzednio ofiarowywały się przystąpić do aljantów, ale z początku odradziła im tego Anglja z tego powodu, że nie podobałoby się to Japonji, gdzie jeden z polityków powiedział, że „Japonja nie może na to pozwolić, by 400.000 Chińczyków pod bronią gotowało się do wojny“. Później Francja i Anglja nalegały na Chiny, by przystąpiły do akcji zbrojnej, ale Japonja i Niemcy sprzeciwiały się, choć przypuszczano, że stoją ze sobą na wojennej stopie. Rosja, wtedy już właśnie lecąca w przepaść, zgodziła się ostatnim tchem na ten tajny traktat. Ostatecznie też, 23 marca, gdy już wszystko było załatwione, Japonja wciągnęła Włochy w zaufanie.

Ten traktat spowodował jedno z wielkich przesileń na konferencji pokojowej i miał główny wpływ na to, co się nazywa rozwiązaniem sprawy Szantungu. Zawarty został po oświadczeniu się aljantów co do zasad pokojowych w styczniu 1917 (w odpowiedzi na zapytanie prezydenta Wilsona), jeszcze zanim Ameryka w kwietniu przystąpiła do wojny. Szersze przedstawienie wpływu, jaki wywierał ten traktat na dyskusje w Paryżu, znajdzie się w rozdziałach, traktujących o przesileniu japońskim.

VI.

Dzielenie Turcji.

Największym i najbogatszym łupem wojennym było cesarstwo tureckie. Można się było spodziewać, że rozporządzenie temi olbrzymiej wartości terytorjami będzie dla starej dyplomacji złotą sposobnością — i tak też, jak widzimy, stało się rzeczywiście. Znajdujemy tu pokaźną ilość tajnych traktatów, „układów“, „wymian zdań“, wikłających sprawę niepospolicie, a równocześnie rozjaśniających wiele przez to, że odsłaniają rzeczywiste cele i metody „starego porządku“. Tutaj przejawiają się najwyraźniej nowsze, ekonomiczne punkty widzenia dyplomacji, z jej naciskiem na źródła naftowe, koleje żelazne i przewozy rurowe. W sprawie Turcji tajemne wymiany zdań nie ustały z przystąpieniem Ameryki do wojny, nie ustały nawet wtedy, gdy już przyjęto Czternaście Punktów jako podstawę pokoju, z ich zastrzeżeniami przeciw starej dyplomacji i porozumieniu (w punkcie XII) co do rozporządzenia Turcją. Trwały one nawet potajemnie między Anglią i Francją dalej jeszcze i wtedy, gdy już konferencja pokojowa posiedzenia swe rozpoczęła!

ROZDZIAŁ IV.

PAŃSTWO TURECKIE ŁUPEM WOJENNYM. — WARUNKI TAJNYCH TRAKTATÓW I POROZUMIEŃ W CELU PODZIAŁU TURCJI.

Dochodzimy teraz do najbardziej typowego przykładu o metodach starej dyplomacji — do grupy „tajnych traktatów“, „porozumień“, „wymian zdań“, mocą których stare tureckie państwo miało być podzielone pomiędzy sprzymierzone państwa. Możemy już teraz przedstawić nie tylko warunki tych traktatów, ale całą pouczającą historję ich burzliwego przesuwania się przez konferencję pokojową, gdzie na tajnych naradach rzeczywiste zamiary narodów występowały bez ogródek.

Turcja była zewszecmiar najbogatszym łupem wojennym, bogatszym od Szantungu. Były, co prawda, kolonie w Afryce i wyspy na Pacyfiku, były wąskie graniczne prowincje w Europie, jak Alzacja i Lotaryngja, jak Dalmacja — ale nic nie dorównywało prawdziwem, niewyzyskanem bogactwem staremu państwu Turków. Tu były nietknięte zagłębia naftowe, miedź, srebro, sól; wielkie bogactwa rolnych obszarów, łatwo dostępnych irygacyj. Tu nadewszystko, była liczna i pracowita ludność, zdawna do pracy przywykła, która, gdyby jej dać stały rząd, natychmiast stałaby się wielkim producentem bogactw i twórcą handlu. Co więcej, zniesienie Turcji prowadziłoby za sobą nowe urządzenia w Egipcie i nowe możliwości otworzenia dla komunikacji i eksploataowania innego starego państwa — Persji. Kontrola nad wschodniem morzem Śródziemnem wymagała także posiadania nadbrzeżnych miast Azji Mniejszej, Syrii i Palestyny.

Niemcy rozumiały jasno olbrzymią wartość Bliskiego Wschodu. — Przed wojną projektowały i częściowo zbudowały kolej

berlińsko-bagdadzką i próbowały „penetracji pokojowej“ we wszelki możliwy sposób. Wielką wojnę nawet określano, jako pierwotnie walkę o Bliski Wschód.

Było zupełnie naturalnem, że dyplomaci aljantów, gdy raz wojna wybuchła, zaczęli zastanawiać się nad tem, co będzie, jeśli wygrają, a Niemcy przegrają; co należy zrobić z Turcją?

Jeżeliby chodziło o tajne traktaty z Włochami, z Rumunją, a poniekąd i z Japonją, aljanci mieli na swoje wytłumaczenie, że tego rodzaju umowy były im potrzebne dla wciągnięcia nowych narodów do swej rozpaczliwej walki z Niemcami, ale dla tureckich traktatów, z wyjątkiem może skrawka tureckiego terytorjum, oddanego Włochom, nie istnieje taka wymówka. To były poprostu porozumienia co do podziału wojennego łupu.

Potajemne negocjacje rozpoczęły się wkrótce po wybuchu wielkiej wojny, a na wiosnę 1915 pierwszy z ważnych tajnych traktatów pomiędzy aljantami (opisany w poprzednim rozdziale), dawał Rosji „o ile wojna pomyślnie się zakończy“, jej dawno pożądaną — Konstantynopol. Anglja zato miała otrzymać, raczej nieokreślone, ale obszerne „kompensaty... w obrębie ottomańskiego państwa i w innych miejscach“.

Tyle narazie. Około tego czasu jednakże aljanci poruszali niebo i ziemię, by wciągnąć do wojny Włochy. Niemcy i Austrija błyskały Włochom w oczy świetnemi przynętami, byle ich przeciągnąć na swoją stronę. Włochy znały swoją siłę i targowały się twardo z aljantami. Spoglądały także pożądliwem okiem ku tureckiemu skarbcowi i wymogły w londyńskim traktacie (również opisanym w poprzednim rozdziale) — „prawo, na wypadek podziału Turcji, uzyskania działu, równego ich działowi (Anglji, Francji i Rosji) w basenie Śródziemnomorskim — w tej jego części, która graniczy z prowincją Adalją“.

Te „prawa“ i „działy“ były nieokreślone, jedynie dział Włoch był dokładnie zlokalizowany, a to się dyplomatom, zwłaszcza francuskim, bardzo nie podobało. Anglicy bowiem byli rzeczywiście na miejscu i pertraktowali z Arabem, królem Husseinem, o stworzenie niezależnego arabskiego państwa wzamian za pomoc Arabów w wojnie. Francuzi obawiali się, że Anglicy zyskają zbyt wielką potęgę w tej części świata i zbyt silny wpływ na Turcję. Z tego powodu zaczęli się porozumiewać

ze starymi przyjaciółmi swymi, Rosjanami, i równocześnie zażądali odkrycia kart przez Anglię. Wynikły z tego dwa nowe tajne traktaty, poświęcone całkowicie rozbiorowi Turcji.

P i e r w s z y, traktat Sazonow-Paléologue, pomiędzy Rosją a Francją (odkryty w memorandum starego rosyjskiego Ministerjum Spraw Zagranicznych, datowanego o rok później, w marcu 1917), dotyczył północnej azjatyckiej Turcji. Według tego porozumienia Rosja zastrzegła dla siebie wielki obszar, 60 000 mil kwadratowych, pomiędzy perską granicą i morzem Czarnym, z bogatymi kopalniami miedzi, srebra i soli. Fortece Erzerum i ważny port Trebizonda włączone były do tego terytorjum.

Francuzi jako swój dział mieli dostać wielki odcinek ku południo-zachodowi, sięgający morza Śródziemnego, którego dokładne granice ustalić mieli w porozumieniu z Anglikami.

D r u g i T r a k t a t. — Ponieważ w ten sposób rozporządzono północną Turcją, pomiędzy Francją a Wielką Brytanią porozumiano się co do obszernej południowej części azjatyckiej Turcji. Sir Mark Sykes był przedstawicielem Anglii a p. Picot Francji w tych pertraktacjach, zaś wynikły z nich tajny traktat z maja r. 1916 nazwany został traktatem Sykes-Picot. Według tego układu Francja otrzymywała całe ważne wybrzeże Syrii nad morzem Śródziemnym aż do Acre na południe i wszystkie porty — z tym wyjątkiem, że Alexandretta miała być wolną dla brytyjskiego handlu. Francja także dostawała wielki kraj w głębi, sięgający na wschód aż do rzeki Tygrys.

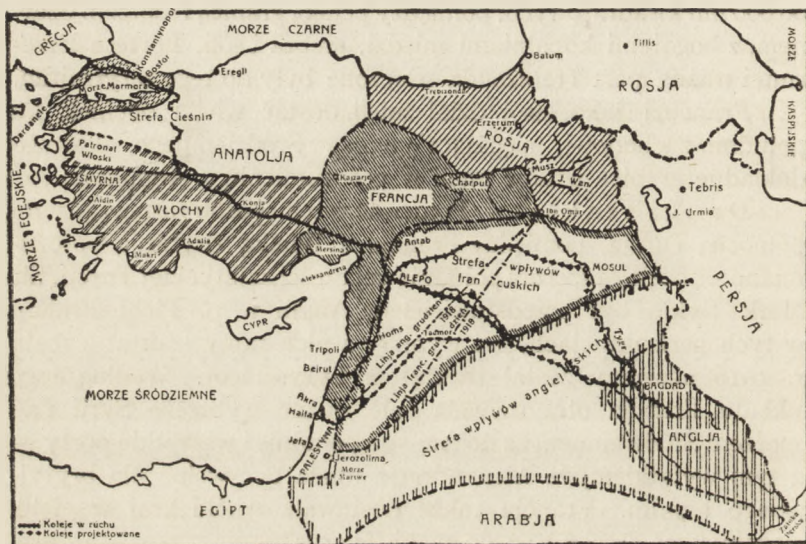
Wielka Brytania dostawała ku bezpośredniej administracji tylko śródziemnomorskie porty Acre i Haifa i część Mezopotamji pomiędzy Bagdadem a Zatoką Perską — przyzwoity kęs terytorjum z wielkimi bogactwami w nafcie i ziemi urodzajnej, o ile nawodnianej.

Pomiędzy temi, zastrzeżonemi dla siebie przez Francję i Anglię terytorjami, na północ od półwyspu Arabskiego, leżała wielka wewnętrzna przestrzeń tureckiego terytorjum z ważnemi miastami Damaszek, Homs i Aleppo. To zostało przysądzone jakiemuś przypuszczalnemu „Arabskiemu Państwu albo konfederacji arabskich państw“, z któremi Francja i Anglja miały się porozumieć później. Ale i to terytorjum także zostało podzielone na strefy wpływów, w których odnośne mocarstwa miały mieć

„pierwszeństwo praw co do lokalnych przedsiębiorstw i pożyczek“ i „być jedynymi dostarczycielami zagranicznych doradców i urzędników“.

Pozostawała Palestyna — i tę także zostawiono na boku do późniejszego postanowienia.

Ten tajny traktat jednakże nie ograniczał się tylko do podziału terytorjów. Zawierał on także ze strony Francji i Anglii uroczystą zgodę na to, że nie przyznają żadnemu innemu państwu



Podział Turcji (sześć tajnych układów).

żadnych praw w tej całej wielkiej części starej tureckiej monarchji — mieli tu na myśli, niewątpliwie, sprzymierzeńca swojego, Włochy —; rozpoczynano też plany gospodarczego rozwoju przez budowę nowej kolei z Bagdadu wprost do Aleppo, skąd Anglia mogła zyskać połączenie ku morzu przez Alexandrettę dla nafty swej z Mezopotamji.

Zaledwie jednak zakończyły się te tajne układy pomiędzy Francją a Anglią, gdy Włochy, niewątpliwie dowiedziawszy się o tych ogólnych zastrzeżeniach krętenia drogami, znanymi starej dyplomacji, okazały wielkie swe niezadowolenie. Widziały, że Francja dostaje dział o wiele większy w Turcji, niż ten, który był im zagwarantowany tajnym traktatem londyńskim. Tak

więc zaczęły się nowe tajne rokowania, tym razem wespół z Włochami i ciągnęły się przez cały rok ostatni przed wstąpieniem Ameryki do wojny i w tym właśnie czasie, gdy politycy aliantów wygłaszali deklaracje o niesamolubnych celach wojny.

W kwietniu 1917 (Ameryka wypowiedziała wojnę 6 kwietnia) Lloyd George zjechał się z Francuzami i Włochami w St. Jean de Maurienne i starał się załatać niezgodę i zadowolić Włochów. Były tam i inne także ważne sprawy do załatwienia — propozycje odrębnego pokoju z Austro-Węgrami, świeżo poruszone w „listach ks. Syxtusa“, i dalsze prowadzenie wojny na Bliskim Wschodzie, do czego Francja i Anglja bezwarunkowo potrzebowały włoskiej pomocy. A Włochy nigdy nie dawały swej pomocy za darmo!

Ażeby ją pozyskać, Lloyd George ofiarował Włochom Smyrnę i niektóre inne tureckie terytoria.

Mr. Balfour, jego minister spraw zagranicznych, trzeba pamiętać, był właśnie wtedy w Ameryce, dopomagając do oklaskiwania udziału Ameryki w wojnie. Powiedział Wilsonowi i Clemenceau podczas spotkania na Radzie 11 maja 1919:

„Podczas mej nieobecności mr. Lloyd George, niewątpliwie dla przyczyn, które wydały mu się wystarczającymi, zgodził się, w St. Jean de Maurienne, by Włochy dostały Smyrnę na pewnych warunkach“. ¹⁾

Ale i to jeszcze nie zadowoliło Włochów. Rokowania przeciągały się i ostatecznie, w sierpniu, zostało osiągnięte tajne porozumienie, przyznające Włochom nie tylko Smyrnę, ale na północ od niej bardzo wartościową sferę wpływów, zamieszkałą przeważnie przez Greków i Turków. To porozumienie jednak miało zależeć od uznania przez Rosję. Rząd rosyjski jednakże, właśnie świeżo przez rewolucjonistów obalony, nigdy tego przyzwolenia nie dał. Rezultatem był wielki spór, wynikły na konferencji pokojowej, czy mianowicie obietnice, dane Włochom w St. Jean de Maurienne, zobowiązywały Francję i Anglię, czyli też nie. ²⁾

W styczniu 1918 prezydent Wilson przedstawił swoje Czternaście Punktów, jako proponowaną podstawę pokoju, a Lloyd

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Czterech, 11 maja.

²⁾ Patrz dokładniejsze sprawozdanie o tym sporze, Rozdział XXXIII.

George ogłosił światu (5 stycznia), że aljanci nie czują się już dłużej skrzępowani tajnymi traktatami przy dyskusjach o przyszłości Turcji; tymczasem te tajemne dyskusje trwały w dalszym ciągu, gdyż istotnie, nader bogate były łupy do podziału.

W listopadzie, przy zawieszeniu broni z Niemcami, program Prezydenta, jako podstawa przyszłego pokoju, został ogólnie przyjęty. Program ten zawierał punkt I, ustalający zasadę otwartej, jawnej dyplomacji i punkt XII, odnoszący się do Turcji.¹⁾ Pomimo to potajemna wymiana zdań między Anglikami a Francuzami w sprawie ich pretensji tureckich wciąż trwała dalej. Mamy potemu najwiarogodniejsze świadectwo w słowach pana Pichon, francuskiego ministra spraw zagranicznych, podczas tajnego zejścia się Czterech w apartamencie Lloyd George'a 20 marca 1919. O tem spotkaniu przyjdzie nam mówić szerzej później, gdyż było ono ważne z wielu względów. P. Pichon powiedział wtedy, że po porozumieniu z Włochami w 1916 „była jeszcze długa dalsza korespondencja i wymiana wielu pomiędzy Francją a Anglią“ w sprawie pretensyj co do Turcji.

Rzecz prosta, te wymiany zdań były tajemne i zdaje się, że to Anglicy teraz byli niezadowoleni. Prowadzili oni szturm bez francuskiej pomocy i chcieli uzyskać więcej koncesyj w Turcji. Niezmiernie sprytny gest Lloyd George'a (w styczniu 1918), polegający na usunięciu starych traktatów, dotyczących Turcji, nie tylko uspokoił partję robotniczą w Anglii, nie tylko podniecił rekrutację w Indjach, gdzie muzułmanie drżeli o przyszłość Turcji, nie tylko zaświadczył o poparciu, danem prezydentowi Wilsonowi, ale także tak bardzo nastraszył Francuzów, że okazali się skłonni okupić potwierdzenie traktatu Sykes-Picot przyzwoleniem na jego rewizję. Było to posunięcie wyjątkowo sprytnie. Posłużyło za jednym zamachem trzem różnym sprawom i obu rodzajom dyplomacji! Poparło jawną dyplomację Wilsona i zyskało jeden punkt więcej w potajemnych targach z Francuzami.

A oto dalszy ciąg opowiadania Pichona:

„Ponieważ trudności między dwoma rządami nie ustępowały, a rząd francuski przedewszystkiem nie życzył sobie, by doszły do punktu, gdzie ostateczne porozumienie mogłoby być na szwank narażone, prezydent Rady (Clemenceau) za

¹⁾ Patrz Dokument 3, tom III, tekst Czternastu Punktów.

bytnością swoją w Londynie w grudniu 1918, poprosił pana Lloyd George'a o potwierdzenie porozumienia pomiędzy obu państwami. Mr. Lloyd George odpowiedział, że nie widzi żadnych trudności w sprawie praw Francji w Syrii i Cylicji, ale zażądał kilku miejscowości, które, sądził, że powinnyby być włączone w sferę brytyjską, a które, podług układu z 1916, znalazły się w francuskiej sferze wpływów, mianowicie Mossul. Zażądał także Palestyny¹⁾.

To działo się w grudniu 1918, po ukończeniu wojny, kiedy, zapamiętać to trzeba, aljanci przyjęli Czternaście Punktów, jako podstawę pokoju. Było to również w tym właśnie czasie, gdy prezydent Wilson gotów był wypłynąć do Europy, by pomóc przy zawieraniu pokoju.

Nawet wtedy jednak jeszcze nie skończyły się dyskusje. Ciągnęły się dalej na osobności między Anglikami a Francuzami, (bez wiadomości „stowarzyszonych“ Amerykanów i „sprzymierzeńców“, Włochów) i wtedy nawet, gdy konferencja pokojowa posiedzenia swe rozpoczęła.

Francuzi nie chcieli ustępować a ostateczną swoją zgodę na angielską propozycję dał Clemenceau dopiero w lutym, 15-go, w miesiąc po rozpoczęciu posiedzeń konferencji. Trudność polegała na wykreśleniu nowej linii demarkacyjnej. Francuzi wciąż pragnęli zatrzymać całą głąb kraju w Syrii, podczas gdy Anglicy nalegali, by linia biegła dosyć daleko na północ-zachód, tak, żeby im przypadła oaza Tadmor i całkowita kontrola nad linią kolejową, (będącą w planie) przechodzącą przez nią pomiędzy Bagdadem a portem Haifą nad morzem Śródziemnem. Jednem słowem, upierali się, by mieć linję kolejową całkowicie w sferze własnych wpływów, gdyż inaczej, w razie wojny, ich dostawy nafty z Mezopotamji mogłyby być wstrzymane przez Francuzów. Na tym punkcie cała transakcja wisiała jeszcze w powietrzu, gdy konferencja z 20 marca zwołaną została w apartamencie Lloyd George'a i całe zawikłanie zostało odkryte.

Jak już powiedziałem, to posiedzenie z 20 marca było jednym z tych wielkich i męczących posiedzeń konferencji pokojowej. Odkonano je na długo przedtem, zanim taktyka małych, poufnych konferencyj „Wielkich Czterech“ została

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Czterech, 20 marca.

formalnie przyjętą. Rada Dziesięciu była wtedy ciałem oficjalnem. To też ta narada z 20 marca była potajemną nawet w stosunku do reszty członków Rady Dziesięciu i protokoły z niej nie były zamieszczone w urzędowym oprawnym ich zbiorze, dostarczonem Prezydentowi Wilsonowi. Większość narad „Wielkich Czterech“ odbywała się w gabinecie prezydenta Wilsona, ta jednakże odbyła się u Lloyd George'a, naprzeciw na pierwszym piętrze przy ulicy Nitot. Prezydent Wilson reprezentował Amerykę; Lloyd George, Balfour i generał Allenby reprezentowali państwo brytyjskie; Clemenceau, Pichon i Berthelot Francję, a Orlando i Sonnino Włochy.

Uważano naradę widocznie za żywotnie ważną. Prezydent Wilson dopiero co powrócił z Ameryki. Przed wyjazdem dokonał dwóch nader ważnych rzeczy: po pierwsze, przeforsował przyjęcie, po ostrym sporze, zasady mandatów dla kontroli „dawnych państw“ i niemieckich poprzednio kolonij. Po wtóre, bez ogródek zadeklarował amerykańskie stanowisko w stosunku do dawnych tajnych traktatów, jakkolwiek w owym czasie wiedział na pewno tylko o niewielu z nich i nie miał pojęcia, jak wielka sieć tajnej dyplomacji miała się jeszcze wydobyć na światło dzienne.

„Ponieważ Stany Zjednoczone Ameryki nie są związane żadnym z tych (tajnych) traktatów, są gotowe uznać rozstrzygnięcie tylko na podstawie faktów“.¹⁾

Musiano się tam widocznie mocno namyślać nad temi oświadczeniami Prezydenta, podczas gdy jego nie było. Co on przez to rozumiał? Jak daleko zamierzał się posunąć? Bóżeżeliby system mandatów miał być szczerze przyjętym, jako polityka światowa, byłoby to ciosem niweczącym wiele z tych korzyści, jakie zapewniały sfery wpływów w obcych krajach — a temi przecież stara dyplomacja tak mocno się interesowała. Oznaczało to, naprzykład, „otwarte drzwi!“ A nacóżby się przydała kolonialna ekspansja bez ekonomicznej kontroli lub uprzywilejowania?

A rozstrzygnięcie „na podstawie faktów!“ Stara dyplomacja chciała posiadania, nie faktów! To prowadziłoby odrazu do ankiet — nie w kierunku tego, czego one, wielkie mocarstwa,

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 1 luty.

potrzebowały dla siebie w nafcie, srebrze, miedzi, przewodach rurowych — ale czego potrzebował lud, zamieszkujący wszystkie te obszerne przestrzenie, o którego potrzebach nikt nie myślał, ani też o tem, jak jemu dobrą dolę zapewnić. Fakty — znaczyło to różnego rodzaju kłopotliwe i nie mile wglądy w zapas olejów, w kontrolę kolei, w zarząd portów i morskich kanałów, w zbrojenie tubylców, w fortyfikacje, a nawet w wpływy celne i finanse.

Te więc zasady Prezydenta, gdyby miały być przeprowadzone, wysadziłyby całą starą dyplomację w powietrze i obrałyby tajne traktaty z wszelkiego śladu znaczenia i wartości.

Dlatego tak było ważnem to spotkanie z 20 marca. Francuzi zawiesili na ścianie u Lloyd George'a wielką mapę Turcji Azjatyckiej z terytorjami kolorowanemi, by uwidocznic całą historję tajnych rokowań. Była to, zdaje mi się, pierwsza sposobność, przy której Prezydent posłyszał o traktacie Sykes-Picot albo o porozumieniu w St. Jean de Maurienne.

Przypominam sobie, że mówił potem do mnie z wielkim niesmakiem o tym traktacie Sykes-Picot i wyraził się, że to brzmi, jak nazwa herbaty i nazwał go „pięknym przykładem starej dyplomacji“.

Pichon otworzył posiedzenie długim sprawozdaniem o całej historji usiłowań podzielenia Turcji, bronił francuskich pretensyj i sprzeciwiał się domaganiu się Anglii o więcej praw w Turcji. Z kolei Lloyd George bronił angielskich pretensyj, zarzucając równocześnie Francuzom, że przygotowują się do wkroczenia w dziedzinę Arabów. Dowodził bez ogródek, że Anglicy bili się w Turcji prawie zupełnie bez pomocy Francuzów i że przeto winni dostać to, co im potrzebne.

Oto niektóre z jego powiedzeń:

„Prosił rząd francuski o współdziałanie i wykazał im, że toby im pozwoliło zająć Syryję, chociaż w owym czasie wojska angielskie jeszcze nie zajęły Gazy. Działo się to w 1917 i 1918, w czasie gdy najcięższy napór we Francji także brały na siebie wojska brytyjskie. Od tego czasu w dalszym ciągu większość ciężkich i bezustannych walk we Francji także toczyły wojska angielskie, jakkolwiek marszałek Pétain wykonał szereg cennych mniejszych ataków. To była jedna z przyczyn, że czuł się w prawie prosić marszałka Focha o wojska (dla użycia ich w Turcji).

Opowiedział to, żeby wykazać, że powód, iż tak ostro walczyliśmy w Palestynie, nie w tem leżał, jakobyśmy mieli nie walczyć we Francji“.

W tem miejscu Lloyd George odkrył fakt tajnego układu Anglii z Husseinem, królem Arabów, układ dawniejszy, niż traktat Sykes-Picot. Zaraz też się pokazało, że nawet Francuzi przedtem o nim nie wiedzieli. Zatajono go przed nimi. Oto, co powiedział Pichon:

„P. Pichon powiedział, że ten układ zrobiła Anglja sama. Francja go nigdy nie widziała, dopiero parę tygodni temu sir Maurice Henkey wręczył mu jego kopję.

Mr. Lloyd George powiedział, że układ mógł być zawarty przez Anglję samą, ale też Anglja zorganizowała całą syryjską kampanję. Nie byłoby wogóle kwestji syryjskiej, gdyby nie Anglja. Wielka Brytania wysłała w pole przeciw Turcji 900 000 do 1 000 000 ludzi, ale pomoc arabska miała zasadnicze znaczenie; o tem najlepiej może generał Allenby powiedzieć.

Generał Allenby powiedział, że ta pomoc była nieocenioną.

.....

P. Pichon powiedział, że temu nikt nigdy nie przeczył, ale jak może być Francja związana układem, o którego istnieniu nawet nie wiedziała, w czasie gdy układ z 1916 był podpisywany?“

W tem miejscu, gdy spór stawał się coraz gorętszym, prezydent Wilson przerwał, pytając wprost, w jakim celu on się na tej konferencji znajduje?

„Prezydent Wilson powiedział, że będzie się teraz starał określić swoje miejsce na tej konferencji. Dotychczas nie miał żadnego. Mógł tylko tutaj być, jak jego kolega, pan Orlando, jako jeden z przedstawicieli, zebranych tu, by ułożyć pokój światowy. To jest jego jedynym celem, chociaż samo się rozumie, jest przyjacielem obu stron, ten spór wiodących. Nie jest mu obojętnem porozumienie, osiągnięte między rządami Anglii i Francji, radby też dowiedzieć się o obietnicach, uczynionych królowi Husseinowi i o układzie z 1916 — ale nie wolno mu wyrażać o tem swego zdania.

Następnie zrobił kilka uwag, w których znowu przedstawił jasno amerykańskie stanowisko i program.

Najpierw, prawo samostanowienia tych ludów. Oto jego słowa: „Punktem widzenia Stanów Zjednoczonych Ameryki jest... obojętność na żądania zarówno Wielkiej Brytanji, jak Francji, panowania nad ludami, chyba że te ludy same tego chcą. Jedną z fundamentalnych zasad, przy której stoją Stany Zjednoczone Ameryki, to przyzwoleństwo rządzących. To jest rdzeń idei Stanów Zjednoczonych Ameryki. Dlatego... Zjednoczone Stany (radeby wiedzieć) czy Francja byłaby chętnie przyjętą przez Syryjczyków, tak samo czy Wielka Brytania byłaby chętnie przyjętą przez mieszkańców Mezopotamji. Może on (prezydent Wilson) nie ma nic w tem do powiedzenia — ale gdyby miał coś w tej sprawie do powiedzenia, zważywszy, że została wytoczona przed konferencją, za jedyny sposób załatwienia jej uważał poznanie życzenia ludności tych krajów“.

Po drugie, pragnął postanowienia na zasadzie, nie tajnej dyplomacji, ale na zasadzie faktów.

„Obecny spór... urastał do rozmiarów sprawy, zagrażającej pokojowi całego świata... Mówiono mu, że jeżeli Francja nalegać będzie na zajęcie Damaszku i Aleppo, wybuchnie natychmiast wojna“.

To też podsunął myśl utworzenia komisji, któraby przeprowadziła ankietę w Turcji i objawił zdanie swoje o tem, co-by dokładnie wykonać miała.

„Ich zadaniem powinnyby być wybadać stan opinji i grunt, na którym miałyby pracować jakikolwiek mandatarjusze. Po powrocie zdadzą sprawę przed konferencją z tego, co znaleźli w zakresie tych spraw... toby... przekonało świat, że konferencja starała się uczynić wszystko, co możliwe, dla znalezienia jak najbardziej naukowej podstawy do orzeczenia. Komisja powinna by się składać z równej liczby francuskich, angielskich, włoskich i amerykańskich przedstawicieli. Chciałby ich wysłać, dając im *carte blanche* do opowiedzenia o faktach, tak jak je znaleźli“.

Prezydent zapalił się wielce i nagle popierał swoją myśl. p. Clemenceau powiedział, że „zgadza się w zasadzie“ na ankie-

tę — jeden z ulubionych frazesów dyplomatycznych — ale jeżeli ankietą ma być powołana, to chciałby ją zastosować nietylko do Syrii i francuskich żądań, ale i do Palestyny i Mezopotamji, gdzie byli Anglicy. Gdy Lloyd George także przyjął tę myśl „w zasadzie” i oświadczył, że gotów jest poddać się takiej ankiecie, Clemenceau „ostygł” nieco. Prezydent jednak uważał swój pomysł za przyjęty. Widziałem go wkrótce potem i z entuzjazmem opowiadał mi o swoim planie.

„Chciałbym wpakować dwóch najzdolniejszych Amerykanów, obecnych teraz w Europie, do tej komisji”.

Zapytał mnie, czy nie mógłbym mu podsunąć jakiej myśli co do możliwych kandydatów. Podałem mu prezydenta Henryka Churchill Kinga z Oberlin College, człowieka zdrowego sądu i wysokich ideałów. Prezydent natychmiast poprosił mnie, żebym wszedł w kontakt z prezydentem Kingem, i on i Karol R. Crane zostali mianowani członkami komisji.

Francuzi jednak odmówili mianowania swoich członków, a Anglicy raz byli za tem, raz przeciw, i ostatecznie, po długim opóźnieniu, amerykańscy komisarze wyruszyli sami, odbyli swoje wybadywania w Turcji i przywieźli raport.

O dalszych jednak stadjach tureckiego sporu będę mówił w późniejszych rozdziałach, gdyż moim jedynym celem tutaj jest dać obraz metod starej tajnej dyplomacji. Niech wystarczy, gdy powiem, że prezydenta Wilsona propozycja oparcia ostatecznego rozstrzygnięcia na rezultacie badań bezinteresownej komisji spełzła ostatecznie na niczem, gdyż udaremnili ją Francuzi z milczącym poparciem Anglików.

Jeden jednakże jeszcze szczegół w tej walce należy zanotować, ponieważ wykazuje on jasno, jak tajna dyplomacja nietylko się polityczną i terytorjalną ekspansją zajmowała, ale — co o wiele ważniejsze — bezpośrednią ekonomiczną eksploatacją. Chociaż níc jeszcze nie było postanowionem co do Turcji, chociaż pokój nie był jeszcze zawarty, wypłynęła naraz na tajnych naradach, 22 maja, wiadomość, że potężne, angielskie i francuskie koncerny układały się w danej chwili o założenie przewodu rurowego z terenów naftowych w Mezopotamji do portu Tripoli w francuskiej strefie Syrii. Te układy rozpoczęli Anglicy — przedstawicielem ich był mr. Walter Long — chociaż

Lloyd George powiedział na radzie z naciskiem, że jemu o tem nie mówiono. Ze strony Francuzów prowadził je p. Béranger, a Clemenceau także zaprzeczył, jakoby wiedział cośkolwiek o tem.

„(Clemenceau) słyszał tylko, właśnie dziś rano, o negocjacjach pomiędzy panem Béranger i niektórymi angielskimi nacierzami o założenie przewodu rurowego do wybrzeża. Nie wiedział nic o szczegółach tego porozumienia. Wcale nie był mocno zainteresowany tą sprawą, jak Lloyd George mylnie przypuszczał dnia wczorajszego“.

Na to Lloyd George odpowiedział:

„O przewodzie rurowym nie wiedział nic i bardzo go to przykro obeszło, gdy się o tem dowiedział. Zdaje się, że tam były jakieś pertraktacje pomiędzy ludźmi z Paryża, zainteresowanymi w nafcie, i nacierzami z Londynu. To też, z chwilą, gdy p. Clemenceau powiedział, że mu się robota nie podoba, (pan Clemenceau wtrącił, że do zupełnie czego innego to odnosił), zakazał jej. Nie chciał mieć nic wspólnego z naftowymi trustami w Londynie, czy w Ameryce, czy w Paryżu, gdyż boi się, że to mogłoby popsuć cały interes. Skutkiem tego, wczoraj po południu napisał do pana Clemenceau, żeby zamknąć wszystkie te naftowe negocjacje“.¹⁾

W związku z tem należy zauważyć, bo to świadczy o panującym w tych czasach kierunku, że te tajne umowy nabierają coraz bardziej przeważnie ekonomicznego charakteru. Układ Sykes-Picot był w głównych zarysach politycznym układem, choć z silnem ekonomicznem zabarwieniem, przenikającym wszystkie jego warunki; ostatni francusko-turecki traktat (1921) jest prawie całkowicie ekonomiczny — w istocie, Francuzi zrzekają się słabej politycznej pozycji wzamian za o wiele szersze ekonomiczne korzyści. W negocjacjach, dotyczących kolei i przewodu rurowego, a które nastąpiły po traktacie Sykes-Picot, względy ekonomiczne przeważały nad politycznemi tranzakcjami. Takie to gospodarskie „handle“ prowadzą się dziś niewątpliwie we wszystkich zakątkach świata. Chociaż początkowo mają na celu produkcję i wzajemne udogodnienia, jednak często głęboko dotyczą losów licznych ludności tubylczych i całą sferę międzynarodowych stosunków. Chociaż często załatwiają je przemysłowi

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Czterech, 22 maja.

i finansowi raczej, niż dyplomatyczni agenci, jednak rządy stoją poza nimi ze zbrojną siłą narodów. Stary porządek zmienia swe metody, ale ducha swojego nie zmienia.

Takie były, naogół, pragnienia, potrzeby, ambicje sprzymierzonych rządów, przedstawione w tajnych traktatach. Tak oni zamierzali, w razie wygrania wojny, podzielić między siebie świat; tak też istotnie starali się go podzielić na konferencji pokojowej. Chociaż napozór zwalczali imperjalizm, jako symbolizowany przez Niemcy, sami oni dążyli do rozszerzenia na wielką skalę własnej państwowej i ekonomicznej potęgi. Układy te taili przed własnymi ludami, lękając się wrażenia na szerokie masy robotnicze i liberalne stronnictwa; taili je także przed mniejszymi sprzymierzeńcami swymi, jak Serbją, taili je przed Ameryką — i w chwili, nim jeszcze Ameryka przystąpiła do wojny i potem. Traktaty te, częściowo wyjawione w nieprzyjacielskich krajach przez opublikowanie bolszewickie i wielce tam przesadzone, były tem, czem proch i armaty — czem całe korpusy wojsk! — dla nieprzyjaciela, gdyż posłużyły współzawodniczącym w imperjaliźmie junkrom niemieckim jako dowód, że aljanci walczą istotnie dla połknięcia świata.

W ostatecznym rezultacie przyniosły one całe żniwo podejrzeń, sporów, udaremnionych ambicyj, które dwa razy co najmniej o mało nie rozbiły konferencji pokojowej a zatrwały jej dyskusje i poobcinały i zniekształciły jej ostateczne decyzje.

Zdaję sobie sprawę, że to wszystko przedstawia bardzo ciemny obraz, ale trzeba na to spojrzeć szczerze, gdy się rozważa atmosferę, w której się rokowania paryskie odbywały. A jednak, poprzez to wszystko, Prezydent nie tylko zwalczał, stale i z determinacją, postanowienia, oparte na tych starych tajnych pragnieniach i porozumieniach, ale cierpliwie wypracowywał zapobiegawcze zastrzeżenia w Pakcie Ligi Narodów, mające w przyszłości wymazać ten cały haniebnny system. Artykuł XVIII Paktu brzmi:

Każdy traktat albo międzynarodowe zobowiązanie, przyjęte odtąd przez któregośkolwiek z członków Ligi, ma być natychmiast zarejestrowane w sekretarjacie i możliwie najprędzej przezeń ogłoszone. Żaden traktat ani żadne między-

narodowe zobowiązanie nie będzie wiążącym, dopóki w ten sposób zarejestrowaniem nie będzie.

To zastrzeżenie, jeżeli kiedyś wszystkie narody przystąpią do Ligi z zdecydowaną dobrą wolą, jest niesłuchanie wielkiej wagi. Podcięłoby wszelką tajną dyplomację — otworzyłoby nową erę dyplomacji jawnej.

Wszystko jednakże zależy od dobrej woli i szczerości, z jakąby narody poparły i przeprowadziły te zastrzeżenia. Prezydent Wilson mógł dopomóc, dając narodom instrument do wyrażenia ich dobrej woli, ale dobrej woli dać im nie mógł. Od czasu gdy powstała Liga Narodów, więcej niż sto pięćdziesiąt traktatów w myśl tego zastrzeżenia zarejestrowano — wielki krok naprzód — a jednak wiemy, że „tajne porozumienia“ wciąż się zawiera, z których część tylko zarejestrowaną została.

Staralem się oto przedstawić dojrzałe owoce starej dyplomacji. Do pewnego stopnia, naturalnie, te układy zostały aljantom przymusowo narzucone, były bronią w wojnie; Niemcy bowiem także robiły poufne oferty Włochom, Rumunji, Bułgarji, Turcji i prawdopodobnie Japonji, więc trzeba im było przeciwdziałać. Wiemy, że Niemcy nawet z Meksykiem spróbowaly tajnej dyplomacji. Przywódcy liberalni i postępowi we wszystkich sprawach wewnętrznych, jak Asquith i Grey, zmuszeni byli, dzięki zastarzalemu a złemu systemowi starej dyplomacji, brać udział w takich tajnych praktykach.

W okresie wysokiego napięcia uczuć wobec niebezpieczeństwa i cierpienia, pod przewodnictwem prezydenta Wilsona zapomniano napozór tych starych celów, tych tajnych pragnień, napozór się ich zaparto. Cały świat podniósł się chwilowo na wyższy poziom moralny. Narody świata stanęły przy Prezydencie. Lecz z chwilą, gdy skończyła się wojna, rozpoczęła się reakcja. Stare rządy i stary system odzyskały panowania i odbył się gwałtowny szturm na idealizm — który opiszę w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ V.

SZTURM NA IDEALIZM.

Wszystkie wielkie ludzkie katastrofy są mniej albo więcej do siebie podobne. Przypominam sobie, że byłem w San Francisco świeżo po wielkiem trzęsieniu ziemi r. 1906-go, kiedy to na krótką chwilę, na jakieś kilka tygodni, ludzie byli „wytrząśnięci z siebie samych“.

„Ludzie usługiwali zamiast wymagać usług, dawali zamiast przyjmować. Dopomagali swoim sąsiadom. Na jedną wspaniałą chwilę to zburzone miasto stało się chrześcijańskim miastem“.

Ludzie nazywali to „miłością trzęsienia ziemi“ i wkrótce też ona zgasła. Układano skwapliwie wielkie utopijne plany odbudowania miasta, rozszerzenia ulic, usunięcia dzielnicy chińskiej, układano plany lepszego zarządu miasta, lepszej współpracy między robotnikiem a kapitałem. Nic na przyszłość nie miało zostać takim, jakim było w przeszłości. San Francisco miało stać się pięknem, czystem, sprawiedliwem!

„Okres wzajemnej pomocy trwał około miesiąca . . . Stopniowo, trochę tu, trochę tam, osobista chciwość i prywatny interes zaczęły się przejawiać. Ludzie przypomnieli sobie znowu, czem są“. ¹⁾

Wielkie plany współpracy poszły w niepamięć, Brunhama plan odbudowy piękniejszego miasta unicestwiony został przez natarczywość w dążeniach i chciwość prywatnych właścicieli, praca i kapitał zaczęły kłócić się po dawnemu, polityczna manja, czasowo uciszona, powróciła do władzy. „Dlaczego musi tak być koniecznie“ — wołał obserwator patrzący na to z boku —

¹⁾ „Probiez Człowieka: Katastrofa w San Francisco“, — przez Ray Stannard Bakera, *American Magazine*, listopad 1906.

„by ludzie inteligentni, zdolni służyć i pracować razem, tak jak to czynili w pierwszych dniach po trzęsieniu ziemi, spadali zpowrotem pod władzę instynktów i poddawali się znów prawu dżungli?”

Jakżeż często w miesiącach, następujących bezpośrednio po zawieszeniu broni z Niemcami d. 11 listopada 1918, przypominała się ta dawniejsza katastrofa! Wspólne cierpienie i wspólny strach wojny wytworzyły taki sam wspaniały moment „miłości świata”; sprzymierzone narody podporządkowały własne interesy i szlachetnie pracowały razem. „Stary porządek” miał być na zawsze usunięty — „świat piękny” miał być zbudowany na wstrząśniętych i dymiących gruzach starej cywilizacji. Małe narody, zarówno jak wielkie, miały doznać sprawiedliwości, a wielkie miały się rozbroić. Miała nastać światowa liga pokoju.

Zaledwie ukończyła się wojna, a już wielki uczuciowy i moralny entuzjazm, który cechował ostatni jej rok, zaczął błędnąć i znikać. Duch jedności zaczął się rozkładać. Aljanci, ostatecznie, nie mieli wspólnych celów. Każdy miał swoje zobowiązania, potrzeby, zazdrości, ambicje i te natychmiast zaczęły się ujawniać. Cele tajnych traktatów znowu tłumnie wysuwały się naprzód. I nie stał się żaden cud. Ludzie odnaleźli się zpowrotem w dawnym, znajomym świecie — a co więcej, w stanie wyczerpania i demoralizacji, który przyczyniał się raczej do rozdrażniania niż do uspokojenia, gdy z samej natury rzeczy różnice zdań pojawiały się. Nie wolno nigdy o tem zapominać, że Traktat układał się w okresie, gdy narody drżały jeszcze nerwowym wstrząsem od wybuchu granatów, gdzie pożogę widziano w większych niż należało rozmiarach i przesadną rządzone się trwogą.

Nie można z historyczną prawdziwością ocenić wypadków na konferencji pokojowej, jeśli nie zrozumie się jasno tych zmian psychologicznych. Znamiennem jest, że te siły, które dały Prezydentowi najmocniejsze poparcie i najbezwzględniej na nim polegały, to jest liberalne stronnictwa i grupy pracy w sprzymierzonych krajach (a zresztą i w Niemczech i w Austrii), pierwsze odkryły tę nagłą i cyniczną zmianę w nastroju. Ktokolwiek był w Europie bezpośrednio po zawieszeniu broni w listopadzie i grudniu 1918 i w styczniu 1919 (tak jak ja byłem), nie zapomni nigdy, jaki krzyk na alarm podniósł się u wszyst-

kich tych grup, gdy przywódcy starego porządku znowu zaczęli podnosić do góry swoje głowy.

„Czyśmy przegrali pokój?“ woła ktoś w *Heraldzie*, głównym dzienniku angielskiej partji pracy. — „Żołnierze wygrali wojnę“, mówi „nasi demagogowie przegrają pokój“.

Manchester Guardian, naczelny liberalny dziennik Wielkiej Brytanji, komentuje już w dniu 3-go grudnia, „Szturm na idealizm“, a 19 grudnia, w parę tygodni po zawieszeniu broni, a mniej niż na miesiąc przed posiedzeniami konferencji pokojowej — w ten sposób zdaje sprawę z sytuacji:

Prezydent Wilson przybył z pewnemi, ściśle określonymi zasadami polityki w duszy i z silną i stanowczą intencją przeprowadzenia ich w każdym z postanowień, w których będzie brał udział. Są to te zasady, które sam wygłosił, które wielka większość amerykańskiego ludu uznaje i które sprzymierzeni zupełnie formalnie i definitywnie przyjęli. Jednakże, pomimo że zostały tak przyjęte i że poddanie się Niemiec nastąpiło na podstawie właśnie tych zasad — prezydent Wilson nie potrzebował długo dyplomatycznem powietrzem Paryża oddychać, by zauważyć pewne dziwne rozdźwięki pomiędzy tem głośno wyznawanem przyjęciem a nacjonalistycznemi pretensjami, istotnie wysuwanemi w różnych krajach, naszego nie wyłączając.

Nation, inny liberalny dziennik, woła 21 grudnia temi słowy: Mało lub nic nie słyszymy o Lidze Narodów. Zato słyszymy wiele o całym szeregu czysto indywidualnych, nacjonalistycznych awantur. Zwrotu Alzacji i Lotaryngji nie można uważać za jedną z ich liczby. Zastrzeżony był w Czternastu Punktach, a połączenie z krajem macierzystym jest kwestją raczej formy, niż zasady. Ale francuski protektorat na lewym brzegu Renu, francuska aneksja zagłębia węglowego Saary, belgijska pretensja do holenderskiej i niemieckiej ziemi włoskie żądanie Dalmacji prowadzą nas prostą drogą do Brześcia Litewskiego, do polityki silnej pięści, do strategicznych granic, do praktyk agresywnych nacjonalizmów. To samo można powiedzieć o teorii odszkodowań Lloyd George'a, jako dającej prawo zwycięskiemu narodowi do odzyskania

wszystkich kosztów wojny od zwyciężonego. Złóżcie razem teorię z praktyką, dodajcie do tego wojnę przeciw rewolucyjnej Rosji, a Czternaście Punktów pójdzie wniwecz. Misja prezydenta Wilsona będzie udaremniona, a polityka partji pracy obalona.

Mniej więcej ten sam alarm podnoszą francuskie i włoskie czasopisma liberalne i robotnicze, oraz kierownicy tych grup. *L'Oeuvre* paryskie z 10 stycznia, na dwa dni przed pierwszą sesją konferencji pokojowej pisze:

Promienna perspektywa powszechnego pokoju, oparta na wzajemnem zaufaniu i przyjaźni narodów, schodzi coraz więcej do nowej równowagi sił... Mówi się tylko o wzmacnianiu granic, a stara recepta „jeśli chcesz pokoju, gotuj wojnę“, zdaje się być ćwiekiem w głowach starych polityków, mających świat odnawiać.

Ta sama nuta obawy i pesymizmu dźwięczy też u liberałów-widzów w neutralnych krajach, którzy może jaśniej od innych widzą potęgę starej dyplomacji, siłę starych nacjonalizmów i zawikłanie tajnych traktatów. Jerzy Brandes, duński uczony, w interviewie z amerykańskim korespondentem powiedział:

Sprzymierzonych upaja zwycięstwo, stąd są nazbyt skłonni wymierzać kary, by sprawiedliwy i trwały pokój ułożyć. Jestem starym człowiekiem i pamiętam dobrze, że, gdy się Paryż poddał (w 1870), całe wagony żywności szły z Anglii w dwadzieścia cztery godzin potem dla nakarmienia głodnych. Ale co my teraz widzimy? Niemcy poddały się więcej jak trzy miesiące temu, a aljanci wciąż bronią zaprowadzenia Niemiec. Żaden pokój z pewnością, w tym duchu zawierany, nie może wywołać tych uczuć politycznego zadowolenia, na których pokój wogóle musi się opierać...

Podziwiam i wysoko cenię zasady prezydenta Wilsona, ale nie mogę zrozumieć, jak ktokolwiek, kto ma oczy otwarte, może choć na chwilę wierzyć w ich realizację... Polityka umiarkowania Wilsona jest jedynie słuszną... Wojna nie może przynieść pokoju. Tylko miłość i litość przynoszą pokój, a gdzie jest miłość i litość?

Przywódcy tych grup obawiali się, że Prezydent nie zdaje sobie dokładnej sprawy z rozmiarów i potęgi reakcji przeciw sobie. *Herald* ogromnymi literami z grudnia wydrukował na całej frontowej stronnicy te słowa:

„Don't be wrangled, Wilson!” Nie daj się, Wilsonie!

23 grudnia 1918 biskup Gore z Oksfordu, który świeżo powrócił z Ameryki, w osobistym liście ostrzega Prezydenta, że „coraz więcej przekonywa się, jak wielu jest pomiędzy „wykształconymi” klasami w Europie takich, którzy postanowili sprzeciwiać się idei międzynarodowej sprawiedliwości i zasadom pokojowych rozstrzygnięć takich, jakich Pan broni. Ale równocześnie jestem przekonany, że serca i dusze prostego ludu są z Panem”.

Jeżeli stronnictwa liberalne i stronnictwa pracy, najszczerzej popierające program Prezydenta, były zaalarmowane, starzy przywódcy i konserwatywna prasa nabierali zato pewności siebie i cynizmu.

„Tu i owdzie” — pisze paryski *Figaro* — „słyszysz się o ludziach, którzy marzą o pokoju Wilsona”.

„Odbudujemy Środkową Europę w zgodzie z francuskimi interesami”, mówi *Le Temps*.

W listopadzie (26) 1918 Winston Spencer Churchill, brytyjski minister amunicji, przemawiając w Dundee, powiedział że jest zwolennikiem Ligi Narodów, ale że to nie zastąpi supremacji floty brytyjskiej; oświadczył także, że żadna z niemieckich kolonij nie będzie zwrócona Niemcom, a żadna ze zdobytych części Turcji, nigdy nie będzie oddaną zpowrotem Turcji.

W początkach grudnia 1918 byłem we Włoszech i słyszałem, jak mówiono wszędzie (jakżeż odmiennie niż w kwietniu 1918!) o ekspansji Włoch, o posiadaniu dalmatyńskiego wybrzeża i kontroli włoskiej nad całym Adriatykiem. A już tam były starcia w Fiume między Włochami a Kroatami o posiadanie tego miasta.

Reakcja nie tylko była dziełem przywódców — choć tak ostro ich ganiły liberalne stronnictwa i stronnictwa pracy — leżała ona w samej psychologii mas ludowych. Najbystrzejszy polityczny leader w Europie — można powiedzieć w świecie całym — mr. Lloyd George wiedział to dobrze, zainscenizował swoje

ogólne wybory 14 grudnia w kulminacyjnym punkcie tej reakcji, hasłem swoim uczynił ciężki i surowy pokój z Niemcami — „powiesić cesarza i niech Niemcy zapłacą kosztą wojny“ („hang the Kaiser and make the Germans pay the cost of the war“) — i odniósł wspaniałe zwycięstwo. Podczas zaś gdy prezydent Wilson bawił w Anglii, wygłaszając wielkie swe mowy w Manchester i gdzie indziej, w których z nową mocą przedstawiał swój program pokoju i Ligi Narodów, Clemenceau mówił do Izby Deputowanych w Paryżu, że zawsze wierzy w staromodny system sojuszów. Chociaż oni obaj, on i Lloyd George, przyjęli w pełni podstawę rozstrzygnięć, postawioną przez Prezydenta, jego Czternaście Punktów — Lloyd George był teraz za tem, by Niemcy zapłaciły „do ostatniego szylinga“, a wybitni francuscy przewodcy wysuwali terytorjalne i inne żądania, które, gdyby były uznane, zburzyłyby same zasady, na które aljanci zgodzili się przy zawieszeniu broni.

Rzecz prosta, był powód do tej „ludowej“ reakcji, o której polityczni przywódcy doskonale wiedzieli. Francuzi, zwłaszcza, ucierpieli straszliwie podczas tych czterech lat wojny; stracili miliony ludzi w zabitych i rannych, widzieli kilka ze swych najpiękniejszych prowincyj zniszczonych z niemiłosierną srogością, nieznaną w żadnej z dawniejszych wojen, a teraz, gdy wojna skończyła się zwycięstwem, każdy człowiek pragnął natychmiastowego zadosyćuczynienia. Clemenceau powiedział na jednym z pierwszych posiedzeń konferencji:

Pierwszem życzeniem chłopów z nad granicy francuskiej było odzyskać bydło, które im ukradziono setkami, tysiącami, a które mogli widzieć pasące się po niemieckiej stronie. Ci chłopci wciąż powtarzali: „Zwyciężyliśmy, to prawda, ale czyby nie można Niemców poprosić, żeby nam oddali nasze krowy?“ ... Mr. Balfour nie chciał mu, jako filozof, przezczyć, gdy powiedział, że jest coś takiego, jak filozofja wojny, kiedy wypadki nagromadzają się w ludzkim umyśle i wytrącają go z karbów, psując równowagę całych narodów.¹⁾

Takie wypadki nagromadziły się i w owym okresie czasu całe narody, istotnie, wytrącone były z równowagi!

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, luty 12.

A jak było w Ameryce? I tutaj nastąpiła dokładnie taka sama reakcja. Pomimo krytycyzmu Roosewelta, Lodge'a i innych leaderów opozycyjnych, Wilson niewątpliwie miał potężne i prawie jednomyślne poparcie Ameryki aż do upadku w r. 1918 — a to pomimo faktu, że jego polityka przez cały czas jego administracji była wrogą temu, co by można nazwać konserwatywnymi interesami w kraju. Jego program prawodawczy odczuły owe grupy jako zbyt faworyzujący robotnika, farmera, człowieka o małym *businessie* przeciwko wielkim *businessmanom*. W listopadzie, 1918, gdy wybory wypadły na niekorzyść jego partji i lud wyłonił Kongres, jemu opozycyjny, wszystkie głosy opozycji wybuchły z nową siłą.

Podczas gdy Prezydent mówił w Europie, że Stany Zjednoczone niczego nie żądają dla siebie, — „nie mamy żadnych samolubnych celów” — senator Lodge oświadczył w Senacie (mowa z 21 grudnia), że Niemcy muszą zapłacić grube odszkodowania (choć w umowie przy zawieszeniu broni powiedziane było, że tylko *reparacje* a nie *odszkodowania* mają być zapłacone) i że „w tych odszkodowaniach Stany Zjednoczone muszą mieć swój właściwy i proporcjonalny udział”. A podczas gdy Prezydent głosił silnie swoje zapatrywanie, że naród amerykański powinien służyć światu i zająć miejsce w związku narodów, senator Johnson i senator Borah wzywali Amerykanów, żeby się zarządzili własnymi obawami, żeby zachowali swe odosobnienie, a narody europejskie pozostawili ich własnym losom.

„Mam nadzieję” — mówił senator Johnson — „że wyniknie z tego ze strony Senatu i rządu Stanów Zjednoczonych postanowienie, by pozostawić nadal narodom poza morzami układanie polityki na świecie, a nasze wojska, gdziekolwiek one są, sprowdzić zpowrotem do domu, jak tylko obecne zobowiązania nasze zostaną dopełnione.”

Zaś senator Borah zaoponował przeciw uchwale dostarczenia 100 000 000 funtów dla nakarmienia głodujących ludów Europy, ponieważ dzieło mr. Hoovera „przeprowadzone było bez uwzględnienia interesów amerykańskich płatników podatkowych”.

Tym to sposobem ideę Wilsona „ludzkość przede wszystkim”, ten jego wymarzony obraz Ameryki, jako wielkiej służebniczki

świata, zaczęło wypierać nowe hasło: „Ameryka przedewszystkiem“.

Pomimo to wszystko, Prezydent wciąż jeszcze czuł całą żarliwością swej wiary, że jest szczerym tłumaczem rzeczywistych pragnień i aspiracyj ludów świata, że ma te ludy za sobą i że jeżeli odzywa się opozycja, potrzeba tylko, by do nich przemówił, a staną przy nim ku pomocy. Miał wprost wzruszającą wiarę w lud i w Amerykę. W jednej ze swoich najdonioślejszych mów, wygłoszonych w Europie, w Sorbonie, w Paryżu 25 stycznia 1919, (w dziesięć dni po otwarciu konferencji pokojowej), wyraził znowu swoje przekonanie, że:

..... wybrane klasy ludzkości nie są już dzisiaj panami ludzkości. Losy ludzkości są dzisiaj w rękach prostego ludu całego świata. Zadowolcie je, a nie tylko usprawiedliwicie ich zaufanie, ale ustalicie pokój. Jeśli ich nie zadowolicie, żaden przez was robiony układ ani nie ustanowi ani nie utrwali pokoju na świecie“.

Czuł także, że lud, „prosty lud“ Stanów Zjednoczonych, jest za nim. „Możecie sobie wyobrazić“ (mówi w tem samem wezwaniu) uczucia i zamiary, z jakimi przedstawiciele Stanów Zjednoczonych popierają ten wielki projekt Ligi Narodów. Uważamy go za zasadniczy ton całości, wyrażający zamiary nasze i ideały w tej wojnie, a przyjęty przez stowarzyszone narody za podstawę postanowień.

Gdybyśmy wrócili do Stanów Zjednoczonych, nie włożywszy wszystkich wysiłków, w naszej mocy będących, w urzeczywistnienie tego programu, spotkałaby nas zasłużona wzgarda naszych współobywateli. Są oni bowiem ciałem, które stanowi wielką demokrację. Od swoich przywódców wymagają, by mówili, od swoich przedstawicieli, by im służyli“.

Błędem byłoby mniemanie, że Wilson nie zdawał sobie sprawy, iż czeka go walka. Jeszcze w lipcu 1917 powiedział: „Pokoju nie będzie można uzyskać bez ustępstw i ofiar“. Zaś na pamiętnej konferencji, odbytej z amerykańskimi rzeczoznawcami na *George Washingtonie* podczas pierwszej swej podróży z Ameryki, nie tylko dał wyraz swoim przewidywaniom przyszłych trudności, ale oświadczył z wielką siłą, że jest gotów stanąć przed „zadaniem straszliwych rozmiarów“.

Przewidując trudności na konferencji odnośnie do poruszanej przez siebie myśli o dążeniach ludów świata do nowego porządku, zauważył: „Jeżeli nie będzie chciała pracować, trzeba ją zmusić do pracowania“, ponieważ świat stoi przed zadaniem straszliwych rozmiarów i tylko godząc się na proces oczyszczenia go, możnaby odtworzyć czy odrodzić świat. Trucizna bolszewizmu została chętnie przyjętą, ponieważ „jest protestem przeciwko kolejom, jakimi poszedł świat“. Naszem zadaniem na konferencji pokojowej będzie walczyć o nowy porządek „w sposób miły, jeśli się da, niemiły, jeśli będzie trzeba“. ¹⁾

Miał jednakże tak głęboką wiarę w potęgę moralnych idei i w ochoczość „prostego ludu“ do czynienia tego, co słuszne, skoro tylko pozna, co jest słusznem — a czyż cały świat nie przyjął jego zasad, jako podstaw pokoju? — że z niezmniejszoną ufnością szedł na konferencję. W każdym razie — nie licząc się z tem, jaka będzie opozycja, gotów był walkę toczyć.

Tę jego siłę ducha lud Europy wyraźnie odczuwał. On tego „tak naprawdę poważnie pragnął“. A ze wszystkich przywódców tam obecnych, on jeden — dzięki amerykańskiemu systemowi obierania prezydenta na określony termin lat — on jeden jedyny nie potrzebował się liczyć z groźnem chwilami falowaniem popularności. Lloyd George przeszedł samego Wilsona w zastosowaniu jego idei o samostanowieniu w styczniu 1918 — gdyż było to wtedy zwycięskie hasło świata — ale w grudniu 1918 przeprowadzał wybory pod wprost przeciwnem hasłem! Jednakże Prezydent postawił swoje zasady i przy nich trwał. „Naszem zadaniem na konferencji pokojowej będzie walczyć o nowy porządek“ — powiedział — „w sposób miły, jeśli się da, niemiły, jeśli będzie trzeba“.

Mr. Balfour, któremu nikt z grających wielkie role na konferencji pokojowej nie dorównał w umiejętności patrzenia na wypadki nieco ironicznem okiem swobodnego obserwatora, powiedział 28 listopada:

„Zanosi się na to, że będzie to historia pełna niespodzianek, ta konferencja pokojowa!“

¹⁾ Z notatek współcześnie robionych przez Izajasza Bowmana.

C Z Ę Ś Ć II.

STARA I NOWA DYPLOMACJA — ORGANI-
ZACJA I PROCEDURA



ROZDZIAŁ VI.

ORGANIZACJA I PRZYGOTOWANIE „NOWEJ DYPLOMACJI“ DO WALKI ZE STARĄ. — AMERYKAŃSKA „ANKIETA“. — POWSTANIE CZTERNASTU PUNKTÓW PREZYDENTA WILSONA.

Od owego dnia wielkiego, gdy zapadła kurtyna nad ponurą tragedją wojny (11 listopada 1918), do dnia, kiedy się podniosła nad dramatem konferencji pokojowej w Paryżu (12 stycznia 1919), upłynęły pełne dwa miesiące. Prezydent Wilson przybył do Europy 13 grudnia, przygotowany na rozpoczęcie konferencji zaraz albo za dni kilka — a tymczasem miesiąc upłynął.

Niecierpliwej publiczności świata, wzdychającej do pokoju, ta zwłoka mogła się wydawać okresem pustym i jałowym; był to jednakże okres pełen znaczenia i w znacznej mierze cały przebieg konferencji pokojowej został już nakreślony przy zawieszeniu broni i w biegu tych dwóch miesięcy przygotowawczych.

Pewna zwłoka, jakiś miesiąc może, byłaby, oczywiście, zrozumiałą i nieuniknioną. Był to pokój światowy. Przygotowywać się musiało dwadzieścia siedm sprzymierzonych narodów, delegacje musiały przybyć z dalekich końców świata, z Japonji, Chin, Australji, Południowej Afryki, Ameryki, Indji. Miesiąc przewidywano, podpisując zawieszenie broni; termin przybycia oznaczano każdemu na 31 dni, z wyjątkiem jednego, któremu oznaczono dni trzydzieści sześć. Lloyd George, który pojechał do kraju, chcąc uzyskać silniejsze oparcie dla polityki swojej w Paryżu, naznaczył brytyjskie ogólne wybory na 14 grudnia. Tym sposobem Lloyd George swoją polityczną kampanję już sobie usunął z drogi. Prezydent Wilson był w Europie i był

gotów zaczynać, a liberalna i radykalna prasa w Anglii i we Francji już zaczęła skarżyć się ostro na zwłokę.

Otóż w dyplomacji niema rzeczy nieobliczonych, a opóźnienie, które zawsze sprzyja temu, co jest, było zdawien dawna jedną z zapasowych broni w systemie prowadzenia tego rodzaju wojen. Gdyby dyplomaci, a zwłaszcza Francuzi, którzy tu grali rolę gospodarzy konferencji i przeto byli głównie odpowiedzialni za tego rodzaju kwestje procedury — do nich przecież należało oznajmić, że ich dom już gotów i w porządku — gdyby oni wszyscy byli pragnęli albo uważali za zgodne ze swym interesem przyspieszenie konferencji pokojowej, byłoby się to stało, bo były potemu wszelkie dane. Widocznie jednakże obrachowali oni, że zwłoka, do pewnego stopnia, pracuje na ich korzyść. Odkładanie na czas możliwie najdłuższy demobilizacji olbrzymiej armji pod komendą francuskiego wodza, marszałka Focha, dawało podwójną pewność rozgromowi centralnych mocarstw, a wraz z blokadą, wciąż jeszcze utrzymywaną przez najpotężniejszą flotę, stalowym chwytem ścisłało Niemcy, kruszące się tymczasem w politycznym i ekonomicznym rozpadzie. Nawet i w tym okresie światem sterował kompas francuskiej obawy.

Dodać tu trzeba, że dyplomaci sprzymierzonych chętnie się ociągali, dopóki nie zebrali do ostatniego ziarnka korzyści z niebywale ostrych warunków zawieszenia broni. Chociaż prezydent Wilson ustanowił zasady pokoju, sfery wojskowe, do których wtedy należały istotne rządy, ustanowiły warunki zawieszenia broni i to zawieszenie broni było w istocie swojej narzuconym preliminowanym traktatem, w którym nietylko były zawarte zwykłe i bezpośrednie, odnoszące się do działań wojennych na lądzie i morzu warunki, ale nakreślono teraz także w szerokich zarysach wiele granic, o które się później miano upominać, a nawet dodano finansowe i ekonomiczne zarządzenia. Tym sposobem prezydenta Wilsona, zanim jeszcze przyjechał do Europy, częściowo pobili, a przynajmniej utrudnili mu zadanie — wojskowi. Podczas tych tygodni zwłoki w grudniu i styczniu Francuzi obejmowali w fizyczne posiadanie Alzację i Lotaryngję, zagłębie węglowe Saary i granicę Renu. Włosi także zajęli terytorja, których żądali dla siebie w tajnym traktacie londyńskim. W ten sposób, na zasadzie zawieszenia broni,

zajęli silną pozycję wobec zbliżających się układów pokojowych. Można powiedzieć, że w dziewięciu dziesiątych wygrali stan posiadania.

Poza tem — przywódcy Europy rozumieli dobrze, jaka reakcja nastąpiła w opinii publicznej świata z chwilą, gdy emocjonalne napięcie wojenne minęło. Wykazaliśmy to w poprzednim rozdziale. Lloyd George zagrał na tej nowej strunie w swoich wyborach grudniowych; w mowach Clemenceau w Izbie francuskiej brzmiała ona z brutalną niemal szczerością. Mógł sobie prezydent Wilson jeździć po Europie i wygłaszać mowy, powtarzając swój program; mogły go gorąco oklaskiwać liberalniejsze i radykalne warstwy ludności, ale kierownictwo spraw było znowu silnie w rękach starych przywódców, a ci wiedzieli, że prąd, przynajmniej czasowo, zwraca się przeciw Prezydentowi, przeciw szerokiemu jego programowi sprawiedliwego pokoju, a za twardym, surowym, mściwym pokojem, jakiego Francuzi i Włosi i — w znacznie mniejszym stopniu — Anglicy pragnęli. Z tych przyczyn zwłoka z jednej strony przyczyniała się do wzmocnienia pozycji starych przywódców i do dodania nowej siły tradycyjnym znanym metodom, które działały, chociaż źle, w przeszłości, z drugiej — zmierzała do osłabienia amerykańskiego kierownictwa i do zamącenia jego programu, który — wobec chaotycznego i cierpieniem zgnębionego świata — wydawał się jakimś dalekim i do urzeczywistnienia trudnym.

Jednem słowem, jeżeli stara dyplomacja, stary porządek drżał w posadach podczas ostatnich miesięcy wojny, gdy prezydenta Wilsona uznano na przywódcę świata, teraz ten stary porządek zbierał swoje żniwo. Od chwili zawieszenia broni wszystko zaczynało iść po dawnemu, i tak to trwało aż do potężnych walk w pierwszych czasach samej konferencji.

Są na to wszelkie dowody, że starzy przywódcy mieli nadzieję przeprowadzić rzecz lekką ręką. Nie trzeba zapominać, że jedni wobec drugich byli związani wieloma tajnemi traktatami, nieznanemi wtedy przeważnie Amerykanom; tak byli pewni siebie w czasie tej dwumiesięcznej przerwy, że toczyli dalej między sobą potajemne konferencje, dotyczące, na przykład, podziału Turcji. Nie brali jednakże w rachubę licznych nowych czynników, wstępujących z pełnią sił, po raz pierwszy, w dzie-

dzinę spraw międzynarodowych. Był to poprostu z ich strony brak wyobraźni (większość omyłek w Paryżu pochodziła z braku wyobraźni), gdyż nie wiedzieli oni — nigdy nie wiedzieli, ani nie czuli — tak jak widział i czuł prezydent Wilson — tego nowego świata, w którym żyli i tych nowych sił, które nieodparcie w nim powstawały i chociaż chwilowo przyćmione, miały niebawem silnie zacząć działać na konferencji pokojowej.

Spójrzmy przez chwilę na te zastępy „nowego porządku“, stające do walki w Paryżu. Jeżeli nie był on dostatecznie zorganizowany, to miał za sobą ogromną, mniej albo więcej wyraźnie powiadającą się opinię. Jeżeli nie miał tradycji, miał zasady i aspiracje; jeżeli nie miał wielu wyrobionych przywódców, to miał zato proroka.

Paryż tak był różnym od Wiednia, jak różną była bitwa w Argonach od bitwy pod Waterloo. Latał w powietrzu, pędził elektrycznością! Co się powiedziało, albo co się stało w Wiedniu, dochodziło do Londynu po tygodniu — pocztą konną, pocztowymi karetkami, żaglowcami — a i wtedy nie przenikało wiele poza zakłętę koło sfer rządowych; ale co się stało w Paryżu, o tem czytało się nazajutrz w kawiarniach w Melbourne i w Cape Town, o tem z wilgotnych jeszcze od farby drukarskiej odbitek czytali targarze w Tokio. Z wysokiej wieży telegrafu bez drutu w Bordeaux, którą właśnie wtedy wykończyła marynarka amerykańska, można było równocześnie pchnąć wiadomość do San Francisco, Bombayu i Buenos Ayres.

W Wiedniu, sto lat temu, wytańczono drogę do pokoju. „Cesarzowie tańczyli, królowie tańczyli, tańczy Metternich, tańczy Castlereagh. Tylko księżę de Talleyrand nie tańczy“ — bo jest kulawy — „on gra wista“. Tańczyli przez piętnaście miesięcy.

Ale w Paryżu w r. 1919 nie tańczył nikt. W Paryżu pracowali. Była to konferencja srodze poganiana biczem wypadków. Nie mogę nigdzie odnaleźć w pamięci tego miłego obrazu, tak nadobnie malowanego przez niejednego komentatora, obrazu czterech olimpijczyków, rządzących biegiem świata. Pamiętam tylko gromadki strasznie śpieszących się i udręczonych istot ludzkich — tych czterech przedewszystkiem — walczących z zadaniami nad siły, a wystawionych na niemiłosierne ataki

opinii publicznej, wielce różnej i o wiele zwawszej, niż w roku 1815.

Nie, oni nie tańczyli w Paryżu. Albo mniej było cierpienia w świecie po napoleońskich wojnach, albo też świat odąd stał się wrażliwszym na nędzę ludzką i ludzkie nadzieje. Albo też może być, że ci, co na wojnie cierpią najwięcej, stali się w tem stuleciu mniej pokorni i poddani, a więcej mowni. Żywo to pamiętamy, jak naradom w Paryżu nie dawano spokoju ni w dnie ni w nocy, jak szturmowano do nich żalami i skargami świata: jak bezustannie niepokojono je wołaniem głodnych ze wszystkich stron, płynącym z Wiednia, Armenji czy Rosji, straszono szczeniem broni nowych wojen, wybuchłych w Polsce lub na Bałkanach, alarmowano dzikimi buntami ludów, jak na Węgrzech, zbyt nieszczęsnych, głodnych, beznadziejnych, by czekać aż działanie pokoju wszystko uporządkuje. A zawsze i każdej chwili, przy każdym nawrocie w rokowaniach, wstawało widmo chaosu, jak czarna chmura ze wschodu, grożąc zalewem i zniszczeniem świata. Nie było tam Rosji, pukającej do bram, wtedy w Wiedniu! W Wiedniu mieli rewolucję bezpiecznie daleko poza sobą — w Paryżu mieli ją wciąż tuż przy sobie.

Być może, nie był to mędrszy świat, lepszy świat, dobrotliwszy świat, ten, który dramat swój rozgrywał na wielkiej scenie Paryża (jest to zagadnienie dla filozofa raczej, niż dla historyka), lecz był nieskończenie bardziej skomplikowany, niż świat Wiednia, tłumniejszy, niespokojniejszy, o wiele silniej sam siebie świadomy, lepiej, pod względem mechanicznym urządzony dla zwalczania przestrzeni i czasu. Podczas zasiadania konferencji pokojowej w Paryżu było to niczem dla członków angielskiej delegacji skoczyć do Londynu aeroplanem na poobiednią herbatkę; a w czerwcu tego roku młody Read z amerykańskiej marynarki po raz pierwszy przebył powietrzem burzliwy Atlantyk i odwiedził Prezydenta na odległości czterech dni za ledwie od amerykańskiej ziemi. O, był to czas cudów — mechanicznych cudów przynajmniej — okres owych miesięcy w Paryżu!

Tylko pod warunkiem, że obejmiemy okiem te sprawy, te nowe siły, co w świat wstąpiły, możemy dojść do dostatecznego zrozumienia tego, co się działo w Paryżu. Mechaniczna wyanalizacja zmieniła cały świat od czasów Wiednia, zbliżyła

ludzi w drażniące zetknięcie, jak nigdy pierwej; nauka ludowa obudziła niższe warstwy ludów do nowej samowiedzy; popularna prasa i, jak świat szeroki, tania komunikacja położyła podwaliny nowego świata opinii publicznej. A ta opinia publiczna zdolną była w momencie wysokiej egzaltacji, podczas ostatnich lat wojny, dać się prowadzić i natchnąć tak, jak ją natchnął i prowadził prezydent Wilson, ku najwyższym i najszlachetniejszym zasadom. Mogła ona nawet przemóc stary porządek i ustanowić podstawy pokoju, nie na strachu, ambicji, chciwości albo mściwości opartego, ale na sprawiedliwości, wolności i usiłowaniu współpracy. Nikt jaśniej nie widział i nie czuł możliwości siły, tak użytej w tych wielkich ostatnich latach wojny, jak prezydent Wilson. Raz za razem wspomina o władzy ludów w przeciwieństwie do rządów, myśli o sobie, jako o przedstawicielu ludu raczej, niż rządu, rozgrzewa się przy wyobrażeniu nowego porządku, opartego o wolę — o dobrą wolę — ludu.

„Panowie“ — powiedział na konferencji pokojowej — „wybrane klasy ludzkości nie są już dzisiaj panami ludzkości. Losy ludzkości spoczywają dziś w rękach prostego ludu całego świata. Zadowolcie ich, a nie tylko usprawiedliwicie ich zaufanie, ale ustalicie pokój. Jeśli ich nie zadowolicie, żaden układ, jakibyście zrobili, nie ustanowi i nie utrwali pokoju świata.“¹⁾

Tak namiętnie wierzył on w lud — w wyższą naturę ludu.

• Ta publiczna opinia jednakże potrafiła również podlegać nagłym a potężnym zwrotom w swym uczuciowym kierunku, jak tego dowodem to, co się stało po zawieszeniu broni. Ale wielki, ustalony i ważny fakt leżał nie w stanowisku, zajętem przez nią w jakiejś danej chwili, ale w tem, że ona istniała, że, nakoniec, stała się żywą siłą.

W czasie zawieszenia broni był Wilson — można to śmiało stwierdzić — przywódcą większości opinii publicznej tego świata. Panował nad sytuacją, ustanawiał politykę światową. Na konferencji pokojowej, jednakże był tylko przywódcą opozycji, potężnej opozycji, ale niewątpliwie mniejszości.

¹⁾ Protokół. Posiedzenie plenarne 25 stycznia 1919.

Stary porządek lepiej był przygotowany, lepiej od nowego zorganizowany, ale i nowe siły świata nie były bez organizacji i potężnej reprezentacji w Paryżu, a były to siły, które prezydent Wilson miał za sobą. W rzeczywistym znaczeniu przygotowania do konferencji paryskiej opierały się na przypuszczeniu, że będzie to nowy rodzaj pokoju. Większość ich poczyniono podczas gdy świat był jeszcze pod urokiem przywództwa Prezydenta — zanim jeszcze przyszło do ich realizacji — i komisje przybyły do Paryża z nadzieją przeprowadzenia przyjętych punktów i zasad Prezydenta.

Gdy lord Castlereagh, jako przedstawiciel rządu brytyjskiego, jechał do Wiednia w r. 1815, zabrał ze sobą sztab czterestu ludzi. Brytyjska delegacja w Paryżu zapełniała pięć hoteli. Co do Ameryki to personel Amerykańskiej Delegacji składał się z 1 300 osób, (włączając oficerów armji i żołnierzy, przeznaczonych do służby w rozmaitych departamentach delegacji) — a zajmowali oni stanowisko i spełniali zadanie, dziwnie niedoceniane w związku z pracą nad pokojem. Oprócz tych osób urzędowych, związanych z Amerykańską Delegacją, przebywały stale w Paryżu rozmaite niezależne delegacje, często wielce wpływowe, przedstawiające wszelkie warstwy amerykańskiego społeczeństwa, interesy amerykańskie wszelkiego rodzaju — Irlandczyków, Żydów, Murzynów, kobiety, stowarzyszenia pokojowe, stowarzyszenia niosące pomoc, organizacje farmerów, przedstawiciele rozmaitych handlowych interesów, nie mówiąc już nic o licznym zastępie korespondentów dziennikarskich i innych pisarzy (mieliśmy w pewnym czasie przeszło stu pięćdziesięciu akredytowanych korespondentów na naszych listach w Paryżu), fotografów, historyków, artystów. Sama Delegacja zajmowała jeden cały hotel — hotel Crillon — i przelewała się do kilku innych budynków, a mimo to niektórzy z Delegatów, zwłaszcza ci, którzy mieli łączność z ekonomicznymi i finansowymi komisjami, zajmowali apartementa w innych hotelach. Prezydent miał dom swój własny, a mr. Hoover ze swoim sztabem także zajmował osobny apartament.

Interesy, jakich nigdy Wiedeń nie oglądał, w Paryżu żyły pełnem życiem. Reprezentowane tu były ekonomiczne interesy i walka światowa o surowce dla przemysłu, a leżała za niemi

potęgą, o możliwości której Talleyrand i Castlereagh nie mogli mieć nawet wyobrażenia. Bo, jeżeli stary porządek najlepiej wyraża żołnierz i dyplomata, nowy najlepiej reprezentuje pracownik, że użyję tego wyrażenia w najszerszym jego znaczeniu dla określenia ekonomicznych czynników świata — pracujących pomyślnie w pokoju. Nie było Najwyższej Ekonomicznej Rady w Wiedniu, (choć handel i finanse, naturalnie, reprezentowane były) — a właśnie połowę traktatu wersalskiego wypełniają ekonomiczne postanowienia. Organizacje pracy były tam także, a były dość silne, by żądać i otrzymać miejsce w Radach; kobiety tam były (o cienie Wiednia!) i obce, zalane większościami mniejszości rasowe ze wszystkich stron globu ziemskiego — Żydzi z Polski, Palestyny, Ameryki, Murzyni z naszego własnego Południa, Arabowie ze swych pustynnych siedzib, Koreańczycy, Persowie, Egipcjanie, i mieszkańcy starych gór Libanu, gdzie król Salomon ścinał cedry dla swojej świątyni. A wszystko to pełne życia, pełne mocno rozbudzonego samopoczucia.

Ciekawa rzecz, coby pomyśleli owi tańczący delegaci w Wiedniu, gdyby im kazano przyjmować i rozważać potrzeby i prawa albo ambicje Arabów, lub Indów, lub Żydów, lub Murzynów — i robotników — i kobiet!

W istocie, praca Delegacji była organizowaną na podstawie tego zasadniczego pojęcia, że jest to wielkie publiczne przedsięwzięcie, że powinno otworzyć szerokie drogi porozumiewania się ludów całego świata między sobą i obmyśleć środki obecnej i przyszłej jawności. Już to pojęcie samo było rzeczą w świecie nową. Tak nową, że nawet, niestety, nie zostało w praktyce wyzyskane w całej możliwej pełni!

I tak, Amerykańska Delegacja miała swoją własną służbę kurjerską, sięgającą na całą zachodnią Europę i nawet do Ameryki, obsadzoną czterdziestu dwu urzędnikami. Miała ona być w natychmiastowym zetknięciu ze sprawami świata — tak jak Anglicy i jak Francuzi, bo i tu także współubiegano się w przygotowaniach. Nawet z taką obsadą nasza służba kurjerska nie dorównywała brytyjskiej.

Mieliśmy naszą własną, ciężko pracującą drukarnię, zaspakajającą znaczne, w kierunku drukarskim, zapotrzebowanie

Delegacji i drukującą przez pewien czas codzienne streszczenie informacji. Mieliśmy nasze własne pocztowe biura i służbę pocztową, stojącą w zetknięciu z pocztą wojskową i z służbą pocztową w Ameryce. Mieliśmy departament fotografii i historii, dla sprawozdań z dokonanej pracy. Mieliśmy sekcję transportową; pięćdziesiąt dwa wojskowe motorowe wozy oddano na użytek Delegacji; a na koniec mieliśmy nasz własny, amerykański, telefoniczny i telegraficzny system, zupełnie niezależny od francuskiego, łączący wszystkie lokalne biura w Paryżu i nawet sięgający do wielu miast zachodniej Europy. Z każdego biura w hotelu Crillon można było każdej chwili amerykańskimi drutami na daleką przestrzeń mówić z Londynem, Liverpoolem, Koblencją, Brestem, Bordeaux, a później i z Brukselą. Amerykańskie telefonistki obsługiwały rozmaite centrale. Osobny telefon, urządzony przez amerykańską służbę, łączył dom prezydenta Wilsona z hotelem Crillon, dając Prezydentowi możliwość natychmiastowego skomunikowania się z którymś z delegatów albo doradców. Amerykańskie aparaty telefoniczne stukwały i amerykańskie telefony dzwoniły tuż za szklanymi ścianami Zwierciadlanej Sali starego pałacu Ludwika XIV w Wersalu w chwili, gdy podpisywano pokój. Jeszcze nikt nie opowiedział zajmującej może historii, jak to Amerykanie przeprowadzali druty swoje przez te stare mury... Ale pomimo wszelkich zabiegów Amerykanie nigdy nie wprowadzili telefonu do świętego przybytku francuskiego Ministerjum Spraw Zagranicznych.

Cała ta współczesna organizacja i to wyekwipowanie kosztowało, za cały czas trwania konferencji, wedle raportu, jaki przedstawił Prezydent Kongresowi 28 sierpnia 1919, zgorą funtów 1 500 000. A jednak było to tylko dotrzymywanie kroku w tem, co robiły inne wielkie mocarstwa. Brytyjskie państwo miało w niektórych departamentach liczniejszy personel; zaś Francuzi, będąc w swojej własnej stolicy, mieli wyższość posiadania własnych urzędów państwowych, czego inne narody osiągnąć nie mogły. Włosi i Belgijczycy zajmowali osobne hotele i mieli liczne sztaby. Nawet mniejsze albo odleglejsze państwa — Grecja, Polska, Jugosłowianie, Czechosłowacy, Hedžas, Japonja i Chiny — miały obszerniejsze lub mniej obszerne kwatery i urzędowych doradców.

Lecz podczas gdy to wszystko świadczyło o współczesnym duchu i współczesnej łatwości udogodnień — najważniejszym i najwięcej znaczącym postępem w Paryżu była obecność rzeczoznawców, doradców i ludzi nauki, oraz usiłowanie, tam czynione, opierania postanowień nie na kaprysie, albo na sile, albo na chciwości, albo na obawie, ale na dokładnej wiedzy. Bo nic nie zwalcza z taką siłą, pod każdym względem, brutalnych, oszukańczych i niszczyielskich metod starego militarnego i dyplomatycznego régime, jak duch współczesnych dochodzeń i badań. Powstał tedy zasób zupełnych i ścisłych wiadomości o całej ziemi, o jej ludach i skarbach, z którego można było korzystać w Paryżu, co przechodziło pojęcie i zdolność objęcia Wiednia z roku 1815-go.

Kongres wiedeński posiadał, co prawda, w swej komisji statystycznej zaczątki działalności rzeczoznawców, ale ograniczała się ona do statystyki ludnościowej, ponieważ liczenie głów było wtedy podstawą przy rozdzielaniu terytoriów. W Wiedniu „lud poto istniał, by nim handel prowadzić“. Na długo jednakże przedtem, zanim wielka wojna dobiegła końca, uznały wszystkie wielkie narody, że naukowa wiedza grać będzie niebawem dotąd rolę na konferencji pokojowej, a szczególnie, jeżeli postanowienia mają być oparte na szerokich ogólnych zasadach, takich, jakie przedłożył prezydent Wilson.

Pokój starego typu można było skleić przez dyplomatów, ale pokój nowego typu wymagał ogromnej i ścisłej wiedzy naukowej. Z tej przyczyny każdy z wielkich narodów wyznaczył komitety ankietowe; komitet Stanów Zjednoczonych został zorganizowany we wrześniu 1917 przez pułkownika Edwarda M. House'a z główną kwaterą w Amerykańskim Geograficznym Towarzystwie w Nowym Yorku, którego sekretarz, Dr. Izajasz Bowman, był urzędowym wykonawcą; Dr. S. E. Meres był generalnym dyrektorem. W pewnym okresie personel ankiety liczył około stu pięćdziesięciu osób. Gromadził on wybitne grono historyków, geografów, statystów, etnologów, ekonomistów, i badaczy politycznego i międzynarodowego prawa. Wielkie skrzynie książek, map i raportów zabrano do Paryża w podróży Prezydenta na *George Washingtonie*. Ci specjaliści, ich asystenci i ich sztaby, licząc razem kilkaset osób, dzielili się

na trzy ogólne grupy — doradcy ekonomiczni, doradcy międzynarodowego prawa i rzeczoznawcy terytorjalni i etnograficzni. Stali także w styczności z komisją, wyłonioną z armji i marynarki Stanów Zjednoczonych, z kompetentnymi doradcami w problemach militarnym, morskim i powietrznym, oraz w delikatnych kwestjach zarządu międzynarodowej komunikacji za pomocą kabli i telegrafu bez drutu.

Anglicy i Francuzi również mieli rozległe ankiety, pracujące na długo przed ukończeniem wojny, a obsługiwane przez liczne sztaby ekspertów. Francuzi mieli dwie komisje, jedną, *comité d'études* z profesorem Ernestem Lavisse na czele, drugiej przewodniczył senator Jean Morel. W Wielkiej Brytanji studja odbywał Sztab Generalny, Admiralicja i Wojenne Ministerjum Handlu. Dwie obszerne serje podręczników zostały wydane przez Anglików, jedna, wydana przez profesora Henry N. Dicksona, druga przez sir George Prothero, z historycznej sekcji Ministerjum Spraw Zagranicznych.

Amerykańska Ankieta wielkie oddawała usługi Prezydentowi, formułując, nie jego ogólne zasady pokojowe, ale ich zastosowanie do pewnych specyficznych problemów.

Naturalnie, idee, przenikające wszystkie punkty, tkwiły głęboko w wielu oświadczeniach mów jego w biegu wcześniejszych lat wojny. Tak, na przykład, w mowie z 27 stycznia 1917 powiedział:

„Proponuję: rządy za zgodą rządzonych, wolność mórz, o którą upominali się nasi przodkowie, i umiarkowane zbrojenia, które sprawią, że armje i marynarka będą tylko siłą dla utrzymania porządku, a nie narzędziem zaczepnem i narzędziem samolubnego gwałtu“.

Staranne studja różnych terytorjalnych postanowień czynił Komitet Ankiety w myśl tych zasad i w początkach stycznia 1918, na żądanie Prezydenta; Dr. S. M. Meres, Dawid Hunter Miller i Walter Lippmann przedstawili mu opracowany referat. Sześć z jego czternastu punktów jest wprost zbudowanych na zasadzie tego referatu.¹⁾ Prezydent w każdym wypadku opinię swoją

¹⁾ Patrz Dokument 2, Tom III o tym podstawowym referacie, z notatami prezydenta Wilsona.

i uwagi notował stenograficznie na marginesie referatu. Może będzie interesującym szkic, przedstawiający dokładnie, jak rozwijał się jeden z tych punktów; ten, na przykład, który odnosi się do Polski.

Ostateczny wniosek Komitetu Ankiety co do Polski brzmiał:

„Niezawisła i demokratyczna Polska powinna być ustanowiona. Jej granice powinny być oparte na sprawiedliwej równowadze narodowych i ekonomicznych względów, kładąc należyty nacisk na odpowiedni dostęp do morza. Formę rządu Polski i jej ekonomiczne i polityczne stosunki należy pozostawić decyzji ludu polskiego, działającego przez wybranych przez siebie przedstawicieli“.

Na marginesie tej oceny Prezydent zrobił następujące memorandum stenograficznym pismem:

„Niezawisłe polskie państwo musi być ustanowionem, którego polityczna i ekonomiczna niezależność i terytorjalna integralność będzie zagwarantowana międzynarodowym paktem. Obejmować będzie terytorja, zamieszkałe przez bezsprzecznie polską ludność i będzie mu udzielony wolny i pewny dostęp do morza“.

W ostatecznej swojej formie staje się punktem XIII z czterestu punktów i brzmi jak następuje:

„Niezawisłe polskie państwo powinno być utworzone, które powinno obejmować terytorja, zamieszkałe przez niezaprzeczenie polskie ludności, któremu powinien być zapewniony wolny i bezpieczny dostęp do morza i którego polityczna i ekonomiczna niezawisłość i terytorjalna integralność winna być zagwarantowaną międzynarodowym paktem“.¹⁾

Proszę zauważyć różnicę tego nowego sposobu robienia pokoju — ukazują nam go te przygotowania — w stosunku do starego sposobu. Stary sposób polegał na tem, że grono dyplomatów, z których każdy przedstawiał pewne samolubne narodowe interesy, odbywało tajne posiedzenia, na których handlując,

¹⁾ Patrz Czternaście Punktów, Dokument 3, Tom III.

targując się, tworząc prywatne kółka i kombinacje jedni z drugimi, dochodzili wkońcu do układu, potwierdzonego następnie traktatem (często tajnym) i do równowagi, opartej na militarnej sile.

Nowy sposób, tak śmiało zainaugurowany w Paryżu (tak mało skutecznie przeprowadzony!) polegał na tem, by najpierw zaczynać od ogólnych zasad sprawiedliwości, tak jak je prezydent Wilson przedłożył, a cały świat przyjął; a następnie, by te zasady stosować, nie przez polityków i dyplomatów, z których każdy gorliwie służyłby tylko własnym interesom, ale przez bezstronnych uczonych — geografów, etnologów, ekonomistów — którzy przestudjowali odnośne zagadnienia. Zarzucano często, że Wilson nie miał programu: to właśnie było jego programem.

Zasady te świat poznał i zasady te ogólnie zostały przyjęte. Ci sami specjaliści Ankiety, którzy dopomogli Wilsonowi do ich sformułowania, towarzyszyli mu do Europy, by mu pomóc w ich stosowaniu. Magazyn *George Washingtona* zapelniony był materiałami do badań naukowych co do wszelkich problemów pokoju. Po przybyciu zaś do Paryża, amerykańscy rzeczoznawcy, pod kierunkiem Wilsona, przedstawili poglądy swoje o terytorjalnych postanowieniach zgodnie z zasadami Prezydenta w „Czarnej Księdze“, rozdanej pełnomocnikom w styczniu.

Taką była amerykańska metoda — a łatwiej ją było wprowadzać w czyn Ameryce, niż innym narodom, gdyż tak mało miała materialnych interesów do pilnowania. Była to przede wszystkim metoda prezydenta Wilsona, i zastosowywał ją, lub usiłował zastosować, przy każdej sposobności.

Widział w niej jedyną spokojną, bezpieczną, pewną podstawę, na której możnaby oprzeć pokój; jedyny środek, który wyprowadzał tę sprawę z dziedziny bezpośredniego roznamietnienia, ambicji i strachu. W podróży przez Atlantyk powiedział do specjalistów Delegacji:

„Mówcie mi, co jest słuszne, a ja będę o to walczył. Dajcie mi obwarowaną pozycję“. ¹⁾

¹⁾ Notatki współcześnie robione przez Dr. Izajasza Bowmana.

Żadna z delegacji w Paryżu nie polegała tak mocno na swoich naukowych doradcach, jak amerykańska, gdyż żadna tak nie pragnęła istotnej prawdy rzeczy, prawdy, odartej z wszelkiego politycznego i strategicznego interesu; szczególnie powiedzieć to można o Prezydencie.

W lutym, 12-go na Radzie Dziesięciu daje Prezydent świadectwo swego polegania na rzeczoznawcach amerykańskiej Delegacji:

„Prezydent Wilson powiedział, że usłyszał od pana Clémenceau niezasłużony komplement. W technicznych sprawach rozum, którego używał, był pożyczony; właściciele tego rozumu byli w Paryżu“.

Dziekan Charles H. Haskins z uniwersytetu Harvard, jeden z terytorjalnych specjalistów w Paryżu, powiedział:

„Z pewnością żadnemu z głównych delegatów tak mocno nie zależało na faktach, jak Prezydentowi Stanów Zjednoczonych i nikt ich nie umiał prędzej sobie przyswajać i skuteczniej ich używać w dyskusji o terytorjalnych problemach“. ¹⁾

O tem, jak Prezydent polegał na rzeczoznawcach komisji, mówi Tomasz W. Lamont, jeden z ekonomicznych doradców:

„Nie widziałem człowieka, któryby chętniej i skwapliwiej szukał rady, jak on... Raz za razem mówił do pana Lloyd George'a lub do pana Clémenceau: „Mój rzeczoznawca tutaj, pan ten a ten, mówi mi to a to, a ja wierzę, że on ma słuszość. Musi pan jego przekonać, jeśli pan chce, żebym ja zmienił zdanie“. ²⁾

Stawiano Prezydentowi zarzuty, tak jak mr. Lansing je stawiał, że „nie przyjmował rad“. Niewątpliwie, nie przypuszczał członków własnej delegacji do narad tyle, ile był powinien; jest on za bardzo pracownikiem samotnym; z trudnością przelewa autorytet na drugich; za mało ocenia potrzebę wytłumaczenia, naradzenia się, działania zbiorowego; ale znów pan Lansing był

¹⁾ „Kilka Problemów Konferencji Pokojowej“, przez C. H. Haskinsa i R. H. Lorda, p. 31.

²⁾ „Co się rzeczywiście działo w Paryżu“, przez E. M. House'a i Charles Seymoura, p. 273.

typem wielu ludzi na konferencji, którzy wiecznie częstowali Prezydenta swoim zdaniem, albo narzucali mu punkty widzenia zasad, zupełnie różnych od jego własnych, kiedy on żądał tylko faktów, wiedzy, informacji. Przemyślał on swoje podstawowe zasady i obrał kierunek; te zasady wysnuł z rdzennej przędzy swego życia. Były jego wiarą. Były jego religią. I były niezmiennie, o ile to jego tyczyło. To też nie pragnął innych zasad ani przekonań (pan Lansing żądał on niego, żeby opierał pokój w pierwszej linji na legalnych podstawach, podczas gdy on zdecydowany był opierać go przede wszystkim na podstawach moralnych) — ale pragnął i skwapliwie poszukiwał informacji, faktów i wszelkiego światła, jakiego mógł znaleźć dla zastosowania tych zasad, przez siebie, jako podstawy pokoju postawionych, a przez cały świat przyjętych. Jeżeli był twardym, jak stał, w swych ogólnych zasadach, był on najpokorniejszym z ludzi wobec faktów.

Mr. Lansing, naturalnie, miał równe prawo, jak Prezydent, mieć swoje zasady, swoją wiarę; znajdując jednak, że różnią się zasadniczo, na przykład w kwestji „samostanowienia“, jak zwierza się w swoim dzienniku,¹⁾ powinien był zrezygnować; gdyż odpowiedzialnym za pokój był nie on, ale Prezydent.

Taką była organizacja i takie zamiary nowego porządku w Paryżu i tacy przewodnicy. Zanim opiszemy samą walkę ze starym porządkiem, który od zawieszenia broni wszystko po swojemu prowadził, musimy jeszcze jeden obraz nowego świata w Paryżu — może ze wszystkich najważniejszy — w całej pełni ukazać. Mowa tu o reprezentacji w Paryżu publicznej opinji świata przez jej nieoficjalnych ambasadorów: prasę — krótko mówiąc, o całym wielkim nowym problemie jawności i tajności.

¹⁾ „Rokowania Pokojowe“ przez Roberta Lansinga str. 97.

ROZDZIAŁ VII.

JAWNOŚĆ I TAJEMNICZOŚĆ W PARYŻU. — INSTYTUCJA AMERYKAŃSKIEGO BIURA PRASOWEGO. — ORGANIZACJA I KORESPONDENCI. — ZWIĘKSZENIE ŹRÓDEŁ WIADOMOŚCI.

Jest fakt, który na paryskiej konferencji pokojowej zaznacza się wyraźnie i stanowczo: fakt, że ludy świata, publiczność, była tam reprezentowaną i zorganizowaną, jak nigdy przedtem na żadnej pokojowej konferencji. Na dawniejszych kongresach dyplomaci zajmowali całą scenę, targowali się, układali i potajemnie się godzili; ale w Paryżu demokracja, jak ślepy bożek w sztuce Dunsany'ego, wchodzi sama na scenę, hałasując brutalnie, potężnie.

Pod wielu względami najpotężniejszą a najmniej cenioną grupą ludzi w Paryżu byli korespondenci czasopism — mieliśmy ich stu pięćdziesięciu z samej Ameryki. Słyszałem, że ich nazywano „ambasadorami opinii publicznej“. Byli tu, mając bogate i potężne towarzystwa prasowe albo dzienniki albo miesięczniki za sobą i możność natychmiastowego skomunikowania się z wszystkimi stronami świata. Od czasów Wiednia w r. 1815, od czasów Werony w 1822, gdy wielkie mocarstwa zgodziły się potajemnie znieść wolność prasy, ponieważ „jest to najpotężniejszy środek, używany przez mniemanych obrońców praw narodów na szkodę praw panujących“ — od tych dawnych czasów ludowe wykształcenie, powszechne głosowanie, tania prasa i ułatwiona komunikacja zmieniły świat w zupełności.

W Paryżu ci ambasadorowie opinii publicznej — przynajmniej ci z Ameryki — przyszlizli nie żebrać, ale żądać. Siadywali w każdym korytarzu, zaglądali każdemu przez

ramię, chcieli każdą rezolucję i każdy referat i chcieli go mieć natychmiast. Nigdy nie zapomnę delegacji amerykańskich dziennikarzy, prowadzonej przez Johna Nevina, gdy mijając kroczącą po tem *sacro sanctum*, francuskim Ministerjum Spraw Zagranicznych z żądaniem, by ich wpuszczono na pierwszą generalną sesję konferencji pokojowej. Zatrzęsły się oburzeniem filary starych metod, obraził się szanowny stary obyczaj — byli szorstcy i bez ogródek, jak sama demokracja.

Chociaż niektórzy przywódcy zdobywali się na gest obojętności, na gest jakiegoś „nie dbam o to, co tam mówią” — jednakże w rzeczywistości żaden obraz konferencji tak ich nie drażnił, jak te wiadomości, opinie, domysły — które dziesiątkami tysięcy wyrazów wylatywały co noc — i reakcja na nie, która tak prędko wracała. Nie tak, jak monarchowie w Wiedniu przed stu laty — każdy prawie z przywódców w Paryżu wiedział dobrze, że zależy od parlamentu a poza nim od wyborców, którzy mogli krzyknąć każdej chwili: „Precz z nim!” i że sąd tych wyborców opierał się na tem, co ci agresywni ambasadorowie opinii publicznej rzucali na cztery wiatry z wieży bez drutu w Lionie, lub kablem wysyłali poprzez morze.

Dyplomatów w Paryżu nietylko zaalarmowała ta inwazja publiczności — zwłaszcza agresywna i potężna inwazja amerykańskiej prasy — ale wprowadziła ich w kłopot, w szczerzy kłopot. Dopiero co skończyli z żelazną cenzurą prasy, trwającą cztery lata. Ludzie, jak Balfour, urobieni w starej szkole, byliby chętnie znaleźli nową drogę, ale nie wiedzieli jak i bali się. Cała technika, w istocie, postępowania z publicznością w sprawach polityki zagranicznej była zupełnie nową. Nie było tradycji, nie było doświadczenia, by się niem kierować — z wyjątkiem ponurych tradycji człowieka takiego, jak włoski Sonnino, który był za tem, by knuć prosto dalej, bez pamięci o opinii publicznej, zgodnie ze starymi metodami tajnych schodzeń się, tajnych targów i tajnych traktatów. Był to jedyny z przywódców w Paryżu, który chyba nigdy nie doznawał zwątpień.

Jak dalece mieli delegaci wtajemniczać publiczność? Jakim sposobem możnaby prasę utrzymywać w niewiadomości, a jednocześnie mieć ją dość powolną, by dała się użyć, kiedy potrzeba? Czy prasa miała być cenzurowaną albo kontrolowaną

przez przywódców u steru rządów czy przez Ministerjum Spraw Zagranicznych, jak to spróbowali uczynić Francuzi? Clemenceau miał tuzin gazet w Paryżu, które na skrzywienie jego palca zdolne były zmienić stanowisko od dnia do dnia.

Czy należało prasę śmiało odepchnąć na bok, jak to jedna grupa Włochów starała się zrobić, czy też poić winem i karmić obiadami i propagandą, jak to próbowała druga? Czy też należało prasę traktować, jak ją traktował Lloyd George, schlebając jednej grupie, a zwalczając drugą; obdarzając tytułem sira i podnosząc do godności para przyjaznych redaktorów, a nieprzyjaznych obrzucając w parlamencie napaściami — jak na przykład londyńskiego *Timesa* — gdzie nazwał lorda Northcliffe'a konikiem polnym? Czy też należało przyjąć metodę Wilsona, biegunowo przeciwną metodzie Lloyd George'a, metodę nierobienia żadnych różnic między dziennikami, żadnych usiłowań wpływania na nie lub atakowania ich?

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że ważność problemu tajności czy jawności na konferencji została tu przesadzona, jednakże zbadanie protokołów i dokumentów daje zadziwiające świadectwo, jak wiele czasu, niepokoju, dyskusyj poświęcono rozważaniu tego, co należy uczynić z opinią publiczną i prasą. Usiłowano zaraz od samego początku dojść do jakiejś zasady, jakiejś metody, któraby odpowiadała wielce różnym warunkom w rozmaitych krajach i trwało to poprzez całą konferencję. Wpływało to na całą procedurę, przyczyniło się części do wpędzenia ostatecznie czterech szefów mocarstw w małe tajne konferencje. Pełne przeprowadzenie jawności przy jednej okazji — włoska nota Wilsona — o mało nie rozbiło konferencji i nie obaliło jednego z rządów. Przy innych okazjach samo zagrożenie nią zmieniało bieg dyskusji. W istocie, nic bardziej nie niepokoilo konferencji, jak pytanie, co demokracja zrobi z dyplomacją.

Jednem z pierwszych nieledwie zarządzeń Prezydenta w związku z konferencją pokojową, po przybyciu do Paryża, było stworzenie organizacji dla publicystyki. Podczas wojny Komitet Publicznej Informacji (*Committee on Public Information*), pod dyрекcją George'a Creela, rozsiewał wiadomości po świecie, służąc celom Ameryki. Była to instytucja prasowa

otwarcie propagandystyczna, była częstką wojny, a na wojnie propaganda jest równie potrzebną, jak proch. Z chwilą jednak, gdy wojna ustała, przestała i ona działać, a mr. Creel zaczął swój interes zwijać. 14 listopada, w trzy dni po zawieszeniu broni, ogłoszono, że ustaje dobrowolna umowa cenzuralna, której prasa amerykańska lojalnie była posłuszną, a 15 listopada cenzura prasowa kabli i poczty ustała. Prezydent Wilson silnie obstawał za tem, by stosunki rządu z prasą postawić co rychlej na pokojowej stopie absolutnej wolności.

Niedość na tem, że rząd wstrzymywał się od wywierania jakiegokolwiek wpływu na publicystykę, ale wszelkimi sposobami starał się ułatwić przejazd dziennikarzy wszelkich odcieni przekonań do Francji, znosząc przepisy paszportowe i dostarczając statek *Orizaba* dla ich wolnego transportu; później zaś, w czasie konferencji, dla ulżenia przeładowanym kablom handlowym przepuszczał darmo, na mocy układu z rządem francuskim, bez żadnej cenzury i bez rozróżniania między gazetami przychylnymi administracji i oponującemi jej, wielką ilość depesz dziennie telegrafem bez drutu. Podczas więc, gdy prasa niezmiernie była podejrzliwą, bojąc się rządowego wpływu na swe wiadomości, to jednak prosiła tenże rząd o ułatwienia i od tegoż rządu otrzymywała wybitną materjalną i mechaniczną pomoc.

13 grudnia Prezydent przybył do Europy, a towarzyszyli mu na *George Washington* przedstawiciele trzech wielkich towarzystw prasowych; tuż za nim przybyło z ośmdziesięciu korespondentów dziennikarskich na *Orizabie* i innych okrętach. Ze trzydziestu do czterdziestu amerykańskich korespondentów już było wtedy w Paryżu, a każdy z nich głodny był wiadomości. Należało odrazu urządzić jakiś kanał dla informowania tych ludzi, a przez nich publiczności w Ameryce. 17 grudnia przeto Prezydent wziął tę sprawę pod rozwagę, naradzając się z pułkownikiem House'm i panem Creelem i nakreślił swój plan w liście do wszystkich członków Delegacji.¹⁾

Plan wysuwał dwie metody: jedną — dostępu wprost do członków Delegacji, chociaż nie do Prezydenta samego; drugą, —

¹⁾ Patrz wstęp w tym tomie — pełny tekst tego listu.

organizacji publicystycznej, z autorem niniejszego na czele — obiedwie w celu dania korespondentom tyle dostępu i tyle pomocy, ile było możliwe. Nie dał i nie mógł oczywiście dać wstępu na posiedzenia konferencji pokojowej samej, gdyż to zależało od przyszłej akcji delegatów sprzymierzonych.

Od tego punktu walka za jawnością i przeciw jawności w Paryżu — cały nowy problemat, jak publiczność ma być informowaną o sprawach międzynarodowych — popłynęła dwoma szerokimi łóżykami: jednym w obrębie tajnych narad konferencji pokojowej, drugim nazewnątr, wśród potężnych agencji prasowych. Jedno oddziaływało potężnie na drugie. Pod tym kątem widzenia nikt jeszcze nie ujął dostatecznie sprawy konferencji.

Weźmiemy najpierw pod uwagę siły, działające nazewnątr tajnych konferencji; były to siły zaczepne, żądające większej jawności. Co one przedstawiały, jak były zorganizowane i jak prowadziły swoją kampanję? Następnie rozważymy (w następnym rozdziale), jak konferencja pokojowa na to reagowała, o czym nam mówią Tajne Protokoły. Stara dyplomacja wyraźnie trzymała się w pozycji obronnej, z ociąganiem się i rozgoryczeniem ustępowała każdy cal placu, aż wkońcu okopała się. Tutaj rola Ameryki i prezydenta Wilsona jest wielce ważną i znaczącą.

Nie było dotąd nigdy czegoś podobnego, jak to nagromadzenie armij publicystów ze wszystkich stron świata. Lekko licząc, w punkcie kulminacyjnym konferencji pięciuset piszących poświęcało cały swój czas rozsiewaniu nazewnątr informacji i opinii o tem, co się działo — pochwalając, krytykując, mówiąc prawdę, mówiąc nieprawdę — jednym słowem, urabiając opinię świata. Potężna to była korporacja mężczyzn i kobiet, może w pewnej mierze potężniejsza od samych delegatów.

Byli tu pisarze nie tylko ze strony tak zwanych wielkich mocarstw, ale z Chin, Korei, Indyj, Egiptu, Południowej Ameryki, a przez czas pewien także z Niemiec i z Austrii. Większość neutralnych krajów też miała swoich przedstawicieli, często nadzwyczajnie zdolnych ludzi, jak np. dziennikarze z Holandji. Każdy odcień opinii od konserwatywnej do radykalnej był reprezentowany. Utworzył się jakiś rodzaj kongresu prasowego — konferencji ambasadorów opinii publicznej — poza konferencją

pokojową — wielkiej wartości dla obecnych tam pisarzy, gdyż dawało to sposobność do nawiązywania pożytecznych znajomości i przyjaźni, do porozumień wysoce cennych.

Jeżeli amerykańscy pisarze, z których wielu nie miało rzeczywiście w początkach żadnego zasobu znajomości spraw zagranicznych, szczególną korzyść odnosili z tych zetknięć, to znów można powiedzieć, że zarazili oni potrosze korespondentów innych krajów swoim agresywnym duchem. Jednym z ubocznych, ale bardzo ważnych, rezultatów paryskiej konferencji było wyszkolenie licznych młodych pisarzy różnych krajów, którzy kształcić będą opinię publiczną najbliższego ćwierćwiecza w znajomości spraw świata i w zrozumieniu innych narodów.

Francuzi, w swej pięknej gościnności, urządzili wspaniały klub, hotel Dufayel na Champs Elysées, jako grunt, na którym mogli się spotykać pisarze wszelkich narodowości. Chcieli z tego także zrobić wspólną pracownię, ale towarzyskie względy przeważały tam i zanadto nęciły, to też korespondenci amerykańscy specjalnie zapragnęli znaleźć się bliżej głównej kwatery Amerykańskiej Delegacji.

Gdyby duchy kierowników narad wiedeńskich z r. 1815 — Castlereagha, Talleyranda i cara Rosji — mogły nagle znaleźć się w Paryżu, nicby ich bardziej nie dziwiło i nie zgorszyło, jak ta nadzwyczajna gromada pisarzy, których nie można było kontrolować — i z trudem ledwieby chyba pojęły, czym jest ta nowa opinja świata, która stoi poza nimi i popiera tych nieoficjalnych delegatów. I ostatecznie beznadziejnem byłoby chcieć im wytłumaczyć, jak ci ludzie pracują, jakim sposobem ich słowa, pisane dziś wieczór, czytane będą jutro rano na drugim końcu kuli ziemskiej.

I rzeczywiście — przejmowało chwilami współczesnego człowieka w Paryżu nagle poczucie prawdziwej cudowności tej sprawy. Piszący te słowa nieraz siadywał w biurze swoim wieczorami i słuchał stukania maszyn korespondentów i myślał o tych falach idei, przekonań, informacji, wypływających w świat poprzez ciemności i przestrzeń lotem błyskawicy i przez powietrze i pod morzami — i o tem myślał, jak wieści te czytane będą rankiem w New Yorku, w Melbourne, w Cape Town, w Tokio; jak będą budowały potrochu, potroszeczek, w takim czy to

w innym kierunku, tę subtelną, lecz nieobliczalną potężną nową siłę, opinię publiczną świata. Tutaj był ganglion, centrum nerwowe konferencji pokojowej, wysyłający ludzkości impulsy do czynu — mądrego czynu lub niemądrego czynu — na którym spoczywała przyszłość świata. Wydawało mu się w takich chwilach, że nic na świecie nie jest ważniejszym od pracy tych ludzi, że niema poważniejszego zadania w Paryżu nad utrzymywanie kanałów swobodnie otwartych, a źródeł czystych i szczerze prawdziwych.

Mechaniczny problem kontynentalnej a nawet angielskiej prasy (angielscy korespondenci dużo używali telefonów, a przy sposobności mogli któregośkolwiek południa skoczyć do domu na aeroplanie) był stosunkowo prosty; ale dla amerykańskiej, azjatyckiej, australijskiej, południowo-afrykańskiej pracy bywał często trudnym i skomplikowanym. Objętość wiadomości była ogromna. Amerykańscy korespondenci sami wysyłali iskrowo i kablami dobry tom 70 000—80 000 wyrazów (często więcej) codziennie, już nie mówiąc o olbrzymiej ilości pocztą.

Na początku konferencji pokojowej istniało siedmnaście kabli między Ameryką a Europą, ale tylko ośm z nich było w dobrym stanie do użycia, a te musiały przenosić nie tylko depesze prasowe, ale wszelkie pilne rządowe i wojskowe interesy, jak również wielką ilość depesz handlowych. Dwie z trzech głównych linii połączenia na wschód z Azją były nie do użycia, uszkodzone w czasie wojny, tak że te atlantyckie linje zachodnie musiały także przenosić wielki ciężar korespondencji z Japonją i Dalekim Wschodem. Rezultatem było stałe przeciążenie, a podczas ostatniej części konferencji wiele opóźnień.

Rząd Stanów Zjednoczonych starał się wszelkimi sposobami dopomóc dziennikarzom do przewyciężenia tych mechanicznych trudności. Walter S. Rogers, który był w Komitecie Publicznej Informacji i który miał obowiązek dostarczać wiadomości amerykańskiej Delegacji Pokojowej, ułożył się z rządem francuskim co do wysyłania 9 000 wyrazów dziennie materiału prasowego z wieży telegrafu bez drutu w Lionie. Tę przysługę wspinałomyślnie spełniali Francuzi bez kosztów dla Ameryki. Rozdział tego „przydziału“ był następujący: 3 000 słów rezerwowano

osobno na teksty rutynicznych dokumentów rezolucji, referatów i mów dla użytku gazet amerykańskich. Dzięki tej metodzie uniknięto w zupełności podwójnego wysyłania, raz przez prasowe towarzystwa, a drugi raz przez korespondentów prasowych. Dokumenty, które miały być wysłane, wyznaczało nasze Biuro Prasowe; posyłało się je kurjerem do biura pana Rogersa, stamtąd do operatorów telegrafu bez drutu w Lionie, a stamtąd do Nowego Yorku, gdzie rozdzielano je między towarzystwa prasowe. Dalsze 3 000 wyrazów dzielono, po 1 000 słów każdemu, pomiędzy trzy amerykańskie towarzystwa prasowe — „The Associated Press“, „The United Press“ i „The Universal Service“ — do dowolnego użytku. Pozostałych 3 000 słów rozdzielano pomiędzy dwudziestu specjalnych korespondentów wielkich dzienników — niektórzy nie dostawali więcej jak po 100 słów dziennie.

Przeszło milion słów zostało w ten sposób przesłanych darmo podczas konferencji dla amerykańskiej prasy. Ilość pieniędzy, wydanych przez amerykańskie dzienniki, miesięczniki i towarzystwa prasowe w samych opłatach za kabel — nie licząc kosztownej imprezy wysłania do Paryża i utrzymywania tam całej małej armji ludzi — musiała wynosić miliony dolarów.

Jednym z największych problemów, wobec którego stanęli dziennikarze świata, była kwestja przesłania streszczenia traktatu. Gdy traktat zbliżał się do dokończenia, przekonaliśmy się nagle o ogromnej jego objętości. Był prawie tak długi, jak jaka powieść Dickensa, i gdyby go chciał podać kablem w całości odrazu, byłby zabagnił i zdeorganizował całą obsługę na szereg dni. Autor przedyskutował tę kwestję szczegółowo z prezydentem Wilsonem, i jeszcze zanim Rada Czterech zadecydowała, czy sam traktat na być wtedy wydany czy też nie — temat, o którym będzie obszerniej mowa w przyszłym rozdziale — dostał polecenie rozpoczęcia natychmiast przygotowań do streszczenia i upoważnienie wyciągnięcia od rozmaitych komisyj wszystkich szkiców klauzul, mających być wstawionemi w traktat. Francuzi ze swej strony także rozpoczęli streszczenie pod kierunkiem pana Tardieu. Właściwa praca ze strony Ameryki była w rękach pana Sweetzera, a pracowaliśmy wspólnie z Anglikami, których przedstawicielem był George Mair.

Gdy streszczenie wydano po raz pierwszy w Ameryce, atakowano je w Senacie Stanów Zjednoczonych, jako że rzekomo nie było wiernem odbiciem tego, co się znajdowało w traktacie; jednakże samo się rozumie, że różne w nim paragrafy były jak najstaranniej przygotowane, często przez tych samych ekspertów, którzy szkice robili do nich — to też, o ile mi wiadomo, po porównaniu z samym traktatem, już nie było dalszej kwestji co do jego dokładności.

To streszczenie liczyło około 14 000 słów i problem przesłania go do różnych części świata w ten sposób, by gazety każdego narodu miały równą i sprawiedliwą szansę i żeby gdzieś nie było przedwczesnej publikacji — ten problem trudnym był w najwyższym stopniu. Gdyby był przesyłany osobno przez każde towarzystwo prasowe albo przez każdego korespondenta swojemu dziennikowi, ułatwienia komunikacyjne światowe byłyby zabagnione na dni całe, a ogólny koszt ogromny.

Autor zaprosił na zebranie w hotelu Dufayel wszystkich szefów prasy amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej wraz z ekspertami co do komunikacji każdej z nich (dla Ameryki był nim mr. Rogers), ażeby tę sprawę omówić. Techniczne problemy były nader trudne, ale zgodziliśmy się na metodę podzielenia świata w ten sposób, żeby streszczenie dotarło do każdej jego części za jednym wysłaniem (*transmission*).

Urządziliśmy rzecz tak, że Stany Zjednoczone miały wysłać streszczenie dla północnej Ameryki drogą na Kanadę, gdzie miało być odebrane dla kanadyjskiej prasy, stamtąd do Nowego Yorku dla amerykańskiej prasy. Zgodziliśmy się także dopilnować, żeby było udzielone dla zachodniego wybrzeża południowej Ameryki, dla Japonji i dla Chin. Anglicy podjęli się wysłać je do swoich własnych posiadłości po całym świecie — do Australji, południowej Afryki i Indji — oraz do wschodniego wybrzeża południowej Ameryki i do krajów skandynawskich. Francuzi ze swej strony, zgodzili się rozesłać je iskrowo szerokim rzutem, po dokładnem zaznaczeniu długości fali, mającej być użytą, ze swej wysokiej wieży telegrafu bez drutu w Lionie, skąd mogło być podjęte przez wszystkie stacje telegrafu bez drutu w Europie. Czegoś podobnego nigdy dotychczas nie bywało w świecie — a był to realny przykład funkcjonowania jakiejś, swego rodzaju,

ligi narodów i to wszystkich narodów, sprzymierzonych i nieprzyjacielskich, wielkich i małych, korzystających z swych praw w równej części.

Gdy streszczenie było gotowe, zaniósłem je Prezydentowi, by uzyskać jego aprobatę; jednakże on zaledwie spojrzał na nie, taki go wtedy nad siły wielki ciężar odpowiedzialności co do samej konferencji przygniatał. To też wziąłem już na siebie odpowiedzialność wysłania go w tym układzie, w jakim było. Była to, o ile mi wiadomo, najdłuższa z dotychczas wysłanych jednym ciągiem pojedynczych depesz kablowych. Po jej wysłaniu wielce drżeliśmy z obawy, czy kto nie złamał umowy i czy dzienniki którego narodu nie zdobędą pierwszeństwa przed innymi. Jednakże ku naszej radości wszystko poszło dokładnie według planu, i streszczenie, wysłane z Paryża o 10 wieczorem 6 maja, zostało ogłoszone równocześnie w całym świecie w czwartek 8 maja, w dzień po wręczeniu niemieckim delegatom samego traktatu.

Mając taką „ambasadę“, przedstawiającą opinię publiczną w Paryżu, z tak wysoce rozwiniętą mechaniczną organizacją do rozsiewania wiadomości na świat cały, jakżeż należało ją połączyć z konferencją pokojową samą? Jak przeprowadzić otwarte kanały pomiędzy rządami świata a ludami świata?

To był sam rdzeń zagadnienia; w tem tkwiły wszystkie trudności; i tu, trzeba przyznać, nastąpiło częściowe niepowodzenie; rozważanie jego przyczyn dużo nam wyjaśni.

Zobaczmy przedewszystkiem, jak wyglądało samo urządzenie i źródła informacji.

Biura dla Amerykańskiego Biura Prasowego otworzono zaledwie o parę kroków od hotelu Crillon, głównej kwatery naszej Delegacji Pokojowej. Było to na tym sławnym w całym świecie zbiegu ulic — gdzie Rue Royale wychodzi na obszerny Place de la Concorde — i stało się wkrótce jednym z najruchliwszych biur Delegacji. Ktokolwiek chciał dotrzeć do Amerykanów albo do amerykańskiej opinii — a któż tego nie chciał? — prędzej lub później trafiał do naszych biur. Stary czerwony dywan, który przykrywał podłogę, gdyśmy przybyli, poszedł prędko w strzępy. Dostarczono nam ze strony rządu maszynistów,

kurjerów, posłańców i uczyniono wszystko, by ułatwić pracę przedstawicieli prasy.

Uważaliśmy za zadanie Biura Prasowego w niczem nie wpływać na opinię, ale służyć i pracować na warunkach najlepszej współpracy z korespondentami. Staliśmy się drogą uwiadomienia o zebraniach, o wszystkich urzędowych dokumentach i sprawozdaniach. Wytrzymywaliśmy bezustanny ogień broszur propagandowych z innych krajów. Mieliśmy niezmiernie trudne — wybuchowej natury! — zadanie do rozwiązania — kwestję reprezentantów prasy na plenarnych i innych otwartych sesjach, gdzie tylko po kilka miejsc dla prasy można było otrzymać. Urządziliśmy system przepustek, stwierdzających tożsamość osoby, i mieliśmy na naszych listach, przez większą część trwania konferencji, od stu pięćdziesięciu do stu siedmiesięciu pisarzy. Wśród nich było wielu przedstawicieli trzech potężnych nowych towarzystw, byli specjaliści korespondenci jakich trzydziestu czy czterdziestu głównych czasopism Stanów Zjednoczonych i tacy, którzy pisywali dla syndykatów dziennikarskich i dla miesięczników. Żadnych różnic nigdy nie czyniono wśród reprezentantów czasopism. Mieliśmy u siebie nie tylko korespondentów najpotężniejszych dzienników nowoyorskich, ale też małych radykalnych i socjalistycznych gazetek i kilku przedstawicieli pism w obcych językach.

Wkrótce po zadomowieniu się w Paryżu, amerykańscy przedstawiciele prasy — między którymi znajdowało się kilku weteranów, korespondentów z Washingtonu, znających z doświadczenia, nabytego na galerjach prasowych Kongresu, wartość organizacji — zeszli się w obręb naszego Biura Prasowego i utworzyli stowarzyszenie; odtąd już nadal oni nie tylko decydowali o wielu trudnych problemach reprezentacji na publicznych posiedzeniach Konferencji Pokojowej, o rozdzielaniu przyznanych przez rząd „przydziałów“ na telegrafie bez drutu, ale wywierali wpływ i presję na samą konferencję, o wiele ważniejszą, niż o tem dotychczas publiczność sądzi. Gdyby nie energiczna kampanja tej amerykańskiej organizacji, jak tajne referaty konferencji pokojowej jasno świadczą, dostęp do konferencji byłby znacznie trudniejszy i skąpszy, niż był ostatecznie, a może nie byłoby wcale plenarnych posiedzeń. Prezydent Wilson, jak

później to wykażę, używał rezolucyj i żądań amerykańskich korespondentów jako potężnej broni na radach w walce swojej o większą jawność.

Jedną z większych z początku trudności, wobec których stanęła większość amerykańskich dziennikarzy, był podstawowy brak znajomości tła spraw międzynarodowych. Przybywali z kraju, tradycyjnie izolowanego, nie mającego żadnych wielkich interesów poza własnymi granicami. Większość nie mówiła żadnym innym językiem, prócz angielskiego; niektórzy nigdy przedtem nie byli zagranicą, a jednak żądano od nich, pod grozą utraty dobrej reputacji, żeby pisali o najbardziej skomplikowanej i najtrudniejszej sieci spraw, jaką ludzkość znała. Niektórzy korespondenci amerykańscy byli oddawna w Europie; ci obeznani byli z międzynarodowymi sprawami równie dobrze jak angielscy i francuscy pisarze — ale dla znacznej ilości Amerykanów z początku — choć szybko się nauczyli — warunki, problemy, osobistości, psychologja, język, wszystko było nowem, a gra szła o wielką stawkę.

Mieliśmy, to prawda, przy Amerykańskiej Delegacji Pokojowej, grono rzeczoznawców, którzy mieli całe to tło informacyjne przygotowane i natychmiast dostępne. Roztrząsałem z panem Lansingem i z pułkownikiem Housem i ostatecznie z Prezydentem, czy należałoby zapewnić korespondentom dostęp do tych źródeł — przedstawiało to jednak wiele trudności. Eksperci byli pilnie zajęci pracą w swoich komisjach, a przechodzenie po tym samym gruncie z kilkudziesięcioma korespondentami byłoby zadaniem przerażającym.

Podsunałem przeto myśl, żebyśmy — w miarę jak różne zagadnienia powstawały — przygotowywali pod kierunkiem Biura Prasowego po naradzie z ekspertami komisji sprawozdanie o historycznych, geograficznych i politycznych wchodzących w nie czynnikach, i takie sprawozdanie przedkładali dla użytku korespondentów dziennikarskich. Temu zrazu silnie przeciwstawiał się pan Lansing, ponieważ myślał, że takie sprawozdania mogą nas wciągnąć w dyplomatyczne trudności, ale ja powróciłem do tego w rozmowie z prezydentem Wilsonem i wytłumaczyłem mu, że chcemy tylko dawać zupełnie niezabarwione sprawozdanie o faktach i że miałoby to jak największą

wartość dla korespondentów. Prezydent od razu zaaprobował tę myśl. Pierwsze nasze sprawozdanie było o Polsce, a napisał je Dr. R. H. lord z Harvard University, nasz amerykański ekspert w tym przedmiocie. Powitane zostało radośnie przez dziennikarskich korespondentów, a nawet niektórzy przesłali je w całości. Było to pierwsze z długiej serii takich sprawozdań. Żadne z nich (przez nasze Biuro wydanych) nie miało w sobie cienia propagandy. Były przygotowane jedynie dla informacji korespondentów.

Tyle o formalnej stronie maszyneryj, zakreślonej pierwotnym planem Prezydenta. Drugie źródło informacji dla korespondentów w myśl Prezydenta — codzienny dostęp do członków Delegacji — okazało się z początku bardzo pożytecznem. Pan Lansing zasiadał wtedy w Radzie Dziesięciu, a przez jakiś czas wszyscy czterej członkowie Delegacji, a więc i panowie pułkownik House, mr. White i generał Bliss, przyjmowali korespondentów; zebrania dwudziestu do pięćdziesięciu korespondentów każdego rana w obszernym pokoju sekretarza Lansinga w hotelu Crillon należały do ważnych wypadków dnia. Stopniowo jednak członkowie Delegacji zaniechali pilnego przychodzenia. Generał Bliss i pułkownik House przestali się pokazywać, a w okresie późniejszym konferencji korespondentów przyjmował tylko sekretarz Lansing albo mr. White, i te spotkania dostarczały nader mało istotnych wiadomości — zakrawały na farsę — choć dyskusje, na które sobie korespondenci często pozwalali, miały pewną wartość. Chociaż mr. Lansing w książce swojej o konferencji pokojowej skarży się na brak jawności w Paryżu, sam był w praktyce jednym z najnieдоступniejszych ludzi i w komisjach, do których osobiście i bezpośrednio należał, był najmniej udzielającym się ze wszystkich członków Delegacji.

Innem źródłem informacji i dyskusji były małe zebrania dziennikarzy, którzy podczas ostatniego okresu konferencji odwiedzali codziennie pułkownika House'a. Pułkownik House był nie tylko w bliższych stosunkach z Prezydentem, niż którykolwiek inny z członków Delegacji, ale miał prawdziwy talent do rozmowy z ludźmi — on to zawsze przyjmował przedstawicieli innych delegacji i gości z Ameryki, szukających przez niego drogi do Prezydenta — tak, że konferencje z nim zawsze były

zajmujące, choć ku końcowi konferencji pokojowej mało realnych wiadomości dawały o tem, co się dzieje na Radzie Czterech — o tych sprawach bowiem pułkownik House prawie równie mało wiedział, jak inni członkowie Delegacji.

Przez pewien czas przyjmowali amerykańskich korespondentów także członkowie obcych delegacyj, jak mr. Balfour i lord Robert Cecil z Anglików i p. Pichon z Francuzów — zresztą własne ich coraz szersze znajomości i oswojenie się ze stosunkami otwierały im jeszcze dalsze drogi informacji.

Po powrocie Prezydenta z Ameryki w marcu i ustanowieniu Rady Czterech, dostęp do rzeczywiście ważnych informacji o tem, co czynili ci szefowie rządów, stał się jeszcze trudniejszym. Ostry protest podniósł się wśród członków prasy przeciw temu stanowi rzeczy. Autor poruszył tę sprawę w rozmowie z Prezydentem i nalegał, by otwarto jakąś drogę regularnej informacji; ostatecznie urządzono sprawę w ten sposób, że autor miał przychodzić do domu Prezydenta, gdzie się Rada Czterech schodziła, codziennie o godzinie 6-tej — i tak też trwało odtąd aż do końca konferencji. Przychodziłem zazwyczaj właśnie wtedy, gdy inni członkowie konferencji wychodzili.

Żywo mam w pamięci obraz Lloyd George'a, wychodzącego z gabinetu Prezydenta, z głową odrzuconą wtył i z siwym włosom zwichrzonym w podnieceniu dyskusji; siedł, rozmawiając a często żartując z sir Maurycym Hankey, który siedł za nim ze swoim zwojem dokumentów. Potem siedł zwykle Orlando ze swoim sekretarzem, panem Aldrovandi, a najczęściej ostatni ze wszystkich Clemenceau w swym długim czarnym tużurku, postać czyniąca wrażenie solidności i siły. Z nim siedł jego sekretarz i tłumacz p. Mantoux. Ja zazwyczaj zastawiałem Prezydenta w jego gabinecie, zbierającego papiery z tego dnia i odkładającego je do stalowego pudła na dokumenty. Czasem rozmawialiśmy tam, w gabinecie, a czasem przechodziliśmy przez hal do salonu pani Wilson, zawsze strojnego w kwiaty, i Prezydent przechodził wypadki dnia, a potem decydował, co z tego podać do publicznej wiadomości. Bywały dni i dni nieskończonych sporów nad takimi przedmiotami, jak reparacje, rozporządzenie doliną Saary, kwestja Polski, gdzie nie dochodzono do żadnej

absolutnie decyzji i gdzie nie było żadnej wybitnej wiadomości, wartej doniesienia.

Po tej konferencji z Prezydentem wracałem odrazu do naszego Biura Prasowego i dzieliłem się z korespondentami tem wszystkim, co miałem upoważnienie powiedzieć. Zdarzała się niekiedy wiadomość bardzo ważna, jak w owym dniu, gdy doniosłem im o decyzji co do Szantungu, ale zazwyczaj mój raport przynosił im rozczarowanie, gdyż sama działalność Czterech, niezdecydowana, nie doprowadzająca do szybkich wyników, musiała budzić rozczarowanie.

Im dłużej przyglądałem się zbliiska konferencji pokojowej, tem lepiej oceniałem trudności, na jakie natrafiał tak Prezydent, jak amerykańscy delegaci naogół — w sprawie publicystycznej jawności. Warunki były tak skomplikowane, a interesy i obawy innych narodowości tak zaostrzone, że problem jawności stawał się sprawą niezmiernie delikatną i drażliwą.

Wielce pouczający przykład tego miałem, jako członek Komitetu Prasowego, stworzonego 9 kwietnia dla prowadzenia publicystyki Najwyższej Rady Ekonomicznej.

Komitet nasz składał się z czterech przedstawicieli, po jednym ze strony Wielkiej Brytanji, Stanów Zjednoczonych, Francji i Włoch. Wszystkie protokoły i inne informacje, odnoszące się do działalności Najwyższej Rady Ekonomicznej, przychodziły do naszych rąk. Zostawszy mianowany członkiem, uważałem to za doskonałą sposobność uzyskania realniejszych informacji o tych ważnych sprawach dla publiczności amerykańskiej; jednakże od samego początku powstały najrozmaitszego rodzaju trudności. Ważne poczynania Najwyższej Rady Ekonomicznej zaczynały wchodzić w życie, jak np. plany żywienia głodującej Austrii. Zdawałoby się, że byłaby to wielce interesująca i ważna wiadomość, którą należałoby podać Ameryce, wiadomość pomocna ku budzeniu nowego prądu współpracy i życzliwości, na jakim pokój musi się opierać, jednakże napotkałem odrazu silny i do pewnego stopnia uzasadniony opór ze strony Włochów, popartych przez Francuzów. Włosi obawiali się wrażenia, jakie na ich własną opinię publiczną uczyni wiadomość, że Austria otrzyma żywność, podczas gdy ich własna ludność cierpi głód w wielu wypadkach. Kierowano się jedynie

względami na wrażenie wiadomości, nie na jej wartość informacyjną, a w owym czasie zamętu i wojny jeszcze wiszącej w powietrzu, wrażenie musiało być względem najważniejszym.

Niekiedy odgrywały rolę rzeczywiste militarne względy, częściej dyplomatyczne albo polityczne. W każdym razie rozchodziliśmy się zazwyczaj po godzinach mniej lub więcej bezowocnych dyskusyj z referatem nadzwyczaj ogólnikowym i nieokreślonym w ujęciu.

Co było robić? Gdyby Amerykanin w Komitecie upierał się absolutnie przy swojej zasadzie pełnej jawności, jedno z dwojga musiałoby nastąpić: albo komitet musiałby przestać działać, gdyż stanowisko swoich w nim przedstawicieli popierali ludzie, stojący za nimi w Najwyższej Ekonomicznej Radzie — albo amerykański przedstawiciel musiałby zrezygnować i trzeba by obmyśleć jakąś inną metodę zdobywania informacji. A w konferencji narodów, której podstawowym celem było przyjść do porozumienia i stworzyć system dla przyszłego porozumienia, czyż mógł jeden pojedynczy naród narzucać politykę swoją drugim? Czyż nie należało się rządzić zasadą: dawaj i bierz? Czyż nie lepiej było pozostać w Komitecie, stale broniąc amerykańskiego punktu widzenia i starać się zdobywać możliwie najwięcej jawności? W ten to sposób przykład, oparty na tej drobnej sferze działalności, oświeca jasno problem, który stał przed Prezydentem i innymi Amerykanami w Paryżu. W tym poszczególnym wypadku autor w Komitecie pozostał i usiłował, ile tylko mógł, zdobywać pożądane informacje.

Łatwo to, rozumie się, krytykować publicystyczne metody w Paryżu, ale niepowodzenie, jeśli to było niepowodzenie, miało wysoce skomplikowane przyczyny. Nie trzeba zapominać, że wojna wciąż jeszcze tylko wstrzymaną była zawieszeniem broni i że liczne małe starcia, mogące łatwo stać się większemi, już powstawały po całej Europie. Wojna otacza się tajemnicą, strach i chciwość, które się kryją poza nią, także szukają tajemnicy. Stara dyplomacja ze swemi upartemi tradycjami była pełną tajemniczości, a narody były uwikłane w sieć tajnych traktatów. Przez dłużej niż cztery lata prasę dusiła surowa cenzura. Było to nową rzeczą dla publiczności być wogóle reprezentowaną na tego rodzaju konferencjach; nie było reguł, nie było techniki.

Żądać zupełnej szczerości w owym czasie równało się żądaniu, by świat wyrzekł się natychmiast strachu, chciwości, mściwości.

Walka o jawność była tym sposobem częścią silenia się o przejście z wojny w stan pokoju, z tradycji starej dyplomacji do nowych metod, z pojęcia międzynarodowych działań, jako wyłącznej dziedziny kilku autokratycznych głów państw, do pojęcia, że międzynarodowe działania są sprawą ludów.

Atak w ten sposób prowadzony był atakiem zewnętrznym; odbywał się on również w obrębie tajnych Rad Dziesięciu i Czterech, jak wykażę w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ VIII.

WALKA PREZYDENTA WILSONA O JAWNOŚĆ. — W OBREMBIE TAJNYCH RAD. — STANOWISKO FRANCJI I WIELKIEJ BRYTANJI. — PROBLEM OGŁOSZENIA TRAKTATU.

Pierwsze posiedzenie konferencji pokojowej (12 stycznia) odbyło się dopiero w dwa miesiące po podpisaniu zawieszenia broni, a w miesiąc po przybyciu prezydenta Wilsona do Europy. Przez ten czas prasę i opinię publiczną całego świata, a zwłaszcza amerykańską, pożerała niecierpliwość oczekiwania. Dziennikarze w Paryżu rozesłali iskrowo po świecie ogromną ilość wstępnego materiału. Wyczerpali zasób przymiotników w opisach grzmiącej fanfary uroczystości, jakimi główne osoby przyszłego dramatu, a specjalnie prezydenta Wilsona, powitano na paryskiej scenie. Odmalowali wszystkie te niezrównane urządzenia, tam nad Sekwaną, w starym brudnym budynku francuskiego Ministerjum Spraw Zagranicznych na Quai d'Orsay, gdzie główne sceny miały się rozgrywać — nie zapominając zerknąć prowokacyjnie w stronę takich rekwizytów scenicznych, jak tajemnicze pokoje konferencyjne o podwójnych drzwiach.

Gdy się ten materiał zaczynał wyczerpywać, a właściwe rokovania wciąż się odwlekały, popłynęła szeroka fala pogłosek, kombinacyj, domysłów, przewidywań. Niewątpliwie, sytuacja była przedramatyzowana, niewątpliwie, oczekiwania cierpiącego świata osiągnęły stopień niebywałego napięcia.

Różne czynniki składały się na stworzenie tego olbrzymiego napięcia, nadmiernego oczekiwania. Sama zwłoka może była jednym z głównych czynników. Drugim czynnikiem był fakt, że amerykańscy korespondenci posiadali na wstępie zbyt mało

zasobów znajomości spraw zagranicznych, jako też historii i tradycji, poza tym dramatem leżącej. Za wiele przeto nacisku położono z początku na to, co było powierzchowne, przemawiające do oka, optymistyczne — a za mało na poważne, podstawowe sprawy w grze będące. Zbyt wiele było politycznego dramatu, zbyt mało uwagi zwrócono na głęboko tkwiące ekonomiczne i finansowe zagadnienia. Wszystko tak przedstawiono, że wydawało się za łatwym. Zbierająca się konferencja była nawet opisywana jako rodzaj międzynarodowego cyrku, inscenizowanego dla zabawy świata, nie jako zgromadzenie — i to nawet tragiczne zgromadzenie — stojące wobec zadań zbyt wielkich — a jednak zmuszona działać, działać, działać — każdym posunięciem swoim dotykając losów ludzkości.

Jeszcze jednym ważnym czynnikiem w tem nadmiernem oczekiwaniu świata było dowolne tłumaczenie pierwszego punktu prezydenta Wilsona:

„Jawne układy pokojowe, do których się doszło jawną drogą...” (*Open covenants of peace openly arrived at...*).

Rozumiano, że przebieg układów w każdym swoim punkcie będzie podany szeroko dla wiadomości publicznej. Prezydent nigdy nie miał na myśli, że „bóle porodowe pokoju” mają być przez wszystkich oglądane, ale jego wyjaśnienie, które usilnie starał się rozpowszechnić, nigdy nie zdążyło zatrzeć wrażenia wcześniejszych jego słów.

„Oświadczając się za otwartą dyplomacją” — pisał 12-go czerwca 1918 w memorandum dla Senatu — „rozumiałem, nie, iżby nie miało być poufnych dyskusyj nad drażliwymi sprawami, ale żeby nie zawierano tajnych porozumień i żeby wszystkie międzynarodowe stosunki, raz ustalone, były jawne, uczciwe i jasne”.

Chciał zniesienia tajnych traktatów, a nie tajnych dyskusyj. Wkrótce po zaczęciu posiedzeń konferencji zapytałem Prezydenta, chcąc sam wiedzieć, czem się mam kierować, jak on się zapatruje na sprawę jawności.

„Jestem za tem, żeby wydobyć jej jak najwięcej” — rzekł — „ale muszę pracować z innymi ludźmi, innych narodowości, których pojęcia o jawności różne są od naszych. Narazie tylko porównujemy nasze zapatrywania, starając się zorjen-

tować, na czym stoimy. Jest to rodzaj światowej narady gabinetu, gdzie każdy członek może swobodnie zdanie swe wypowiadać. Gdybyśmy ogłaszali częściowe rezultaty, albo osobne decyzje, mógłby z tego łatwo wyniknąć rozlew krwi. Nie możemy robić niczego, co by mogło pobudzić do dalszej wojny, musimy robić wszystko dla uzyskania szybkiego pokoju. Gdy osiągniemy realne decyzje, wszystko musi być ogłoszone światu“.

Innym razem Prezydent porównywał konferencje do posiedzeń dyrektorów jakiejs korporacji, albo do komitetów wykonawczych związków zawodowych z poufnymi dyskusjami, lecz publicznymi decyzjami.

Jakiegolwiek jednak były te złożone przyczyny, fakt, że 12 stycznia, gdy tych dwudziestu dwóch ludzi — czterech z Ameryki, czterech z Wielkiej Brytanji, trzech z Włoch i jednastu z Francji — zeszło się po raz pierwszy w tej sławnej już sali narad na Quai d'Orsay, zainteresowanie publiczności, lęk, oczekiwanie urosły do olbrzymich rozmiarów. Kurtyna nareszcie miała się podnieść. Miały się odsłonić nowe niebo i nowa ziemia.

A otóż zawód! Kurtyna się nie podniosła. Przy końcu dnia pewien sekretarz, wysunawszy się z poza tej kurtyny, oznajmił audytorjum w pięciu suchych wierszach, co aktorzy zdziałali. Oto jego słowa:

„Po zebraniu się Naczelnej Rady Wojennej, upoważnionej do przestudjowania potrzebnych warunków dla odnowienia zawieszenia broni, przedstawiciele mocarstw zajęli się badaniem procedury i metod rozpraw ku ustaleniu preliminarjów pokojowych“.¹⁾

Obowiązkiem autora tej książki było tworzyć pewnego rodzaju łączne ogniwo pomiędzy Radą Dziesięciu a prasą. Gdy komunikat ten wypracowano w Ministerjum Spraw Zagranicznych, wziąłem go do ręki i zaniósłem odrazu korespondentom, zgromadzonym w Biurze Prasowem. Nigdy nie zapomnę tego zawodu, tego rozdrażnienia, tego niesmaku, gdy ten pierwszy komunikat się ukazał.

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 12 styczeń.

Coprawda, gdyby każde słowo, wypowiedziane na tej pierwszej konferencji, było się dostało do publicznej wiedzy, wydałaby się ona, wogóle biorąc, dosyć nudną historją; publiczność byłaby zawiedziona, ale wiedziałaby, rozumiałaby cośkolwiek. Zauważył to Prezydent, gdy nazajutrz, czy w parę dni później dowodził na Radzie potrzeby większej jawności:

„Mr. Wilson powiedział, że myśli, iż gdyby to, co się dotychczas wyjawilo na tych poufnych sesjach, przedostało się nawet do publicznej wiadomości, jeszczeby od tego nie powstał pożar świata“.¹⁾

Pomimo to w łonie Rady istniały poważne racje do utrzymania tajemniczości. Przedewszystkiem, wojna jeszcze nie była skończoną; ciągle jeszcze rozprawiano o warunkach zawieszenia broni, a wojna i tajemnica to rodzone siostry. Było to prawdopodobnie wielkim błędem ze strony liberalnych sił w Paryżu mieszać sprawy wojenne ze sprawami pokoju na tychże samych konferencjach; prowadziło to do metod militarnych i potajemnych działań. Dalej — istniały tradycje, zwyczaje, względy przyzwoitości i właściwości, których żywotnego znaczenia Amerykanie nigdy odpowiednio nie doceniali, a które od wieków murami ogrodziły dyplomację. Pewne dekorum, jakoby donośnych a ukrytych spraw, niezrozumiałych dla zwykłych śmiertelników, należało utrzymać, a tajemniczość była tu istotą rzeczy.

Istniały jeszcze o wiele głębsze i potężniejsze powody dla tej tajemniczości, niż wojenne niebezpieczeństwo albo dyplomatyczna tradycja. Amerykanie mogli się dowoli domagać większej jawności; przywódcy sprzymierzonych wiedzieli, że zamiary ich, w tajnych traktatach ujęte, prędzej czy później przyjdą pod dyskusję. Wiedzieli też, że byłoby wiele trudności z niespokojnemi, podejrzliwemi i ambitnemi małemi państwami, gdyby wszystkie karty odrazu odkryto.

Reakcja po pierwszym tajnem posiedzeniu z 12 stycznia, jak powiedziałem, była bardzo silna. Zaczęły wszędzie krążyć pogłoski. Zaczęto szeptać, że powstał nowy zatarg z Niemcami (czyż marszałek Foch i jego generałowie nie byli obecni?), że wy-

¹⁾ Tajne protokóły, Rada Dziesięciu, 15 styczeń.

buchły ostre nieprzyjemności między Wilsonem a Clemenceau, że przedsięwzięto kroki dla zgniecenia bolszewizmu, a ostatecznie, co najważniejsze, mówiono, że konferencja postanowiła posiedzenia swoje odbywać absolutnie tajnie i że prawie nie będzie nawet widywać delegatów rozmaitych komisyj. Gdzie nic nie wiadomo, przekręca się wszystko. Plotka rośnie, jak grzyb, w ciemnościach. Zarówno amerykańscy jak angielscy korespondenci zaczęli wyrażać wielkie oburzenie zwłaszcza, że spostrzeżono „ostrożne przeciekanie przez szparę“, jak to kiedyś ironicznie prezydent Wilson nazwał, pewnych wiadomości do francuskiej prasy.

Natychmiast też zaczęły płynąć do Ameryki całe tomy gorączkowych komentarzy o „tajemniczości“, o „systemie kagańcowym“, o „dyplomacji w ciemnościach“, a 14-go stycznia amerykańscy korespondenci, zeszedłszy się w biurach Biura Prasowego, po gorącej sesji napisali i podpisali następujące wezwanie do prezydenta Wilsona:

Panie Prezydencie!

Amerykańska delegacja prasy w Paryżu została w tej chwili urzędowo poinformowaną, że konferencja pokojowa przyjęła zasadę, wedle której prasa nietylko jest odgradzoną od bieżących sesji, ale także wyłączoną z osobistego zetknięcia z członkami rozmaitych komisyj. Informują nas również, że wszelkie wiadomości z posiedzeń mają się ograniczać do krótkich codziennych komunikatów ze strony sekretarjatu, do których będą ewentualnie dołączone sprawozdania z dnia poprzedniego w formie komentarza nad protokołami.

Zwracamy uwagę Pana na fakt, że ta metoda, jeśli ma być zastosowaną, ograniczy nasze informacje do rzeczy dokonanych. Dalej przeszkodzi ogłaszaniu spraw, jeszcze nie rozwiązanych, co do których publiczność żąda, by miała prawo śledzić przebieg aż do końca. Jeśli jej się tego prawa nie przyzna, odmówi się zarazem publiczności informacyj o stanowiskach, zajętych w łonie konferencji przez różne czynniki — i w ten sposób opinia publiczna nie będzie mogła działać tym trybem, jakiego Pan zawsze bronił i jaki Pan określił w Czternastu Punktach.

To też usilnie protestujemy, imieniem przedstawicieli amerykańskiej prasy, przeciw temu, co mamy wszelki powód uważać za system kagańcowy — i wspólnie z akcją naszych brytyjskich kolegów, którzy swoją sprawę przedłożyli premierowi, apelujemy do Pana o ulgę w tych nieznośnych warunkach.

Stoimy przy tem, przy czem Pan stoi: „Jawne układy pokojowe, do których się doszło jawną drogą“.

Z uszanowaniem

Ed. L. Keen, *United Press*.

J. J. Williams, *Universal News Service*.

H. C. Probert, *Associated Press*.

John Edwin Nevin.

H. B. Swope, *New York World*.

A. M. Evans, *Chicago Tribune*.

R. V. Oulahan, *New York Times*.

Laurence Hills, *New York Sun*.

Burr Price, *New York Herold*.

Doręczyłem ten protest Prezydentowi wraz z memorandum, w którym nalegałem o natychmiastową akcję. Równocześnie niemiłe echa zaczęły płynąć z Ameryki. Sekretarz Tumulty depeszował kablem 13 i 16 stycznia, donosząc o nieprzychylnych komentarzach w amerykańskiej prasie. W kablogramie z 13-go powiedział:

„Mógłby Pan łatwo zaradzić sytuacji, gdyby Pan zechciał przy sposobności wezwać do siebie przedstawicieli trzech prasowych towarzystw, którzy przepłynęli z Panem na *George Washingtonie*, i tylko objaśniać ich o przebiegu spraw, w miarę jak zachodzą, i poprosić, żeby nie użyli tej informacji, ako pochodzącej od Pana, ale jedynie by sami wiedzieli czem się kierować“.

16 stycznia depeszował do admirała trenu, Graysona, lekarza Prezydenta:

„Amerykańskie gazety dzisiejsze poranne, zapełnione historjami o charakterze krytyki co do reguły tajności, przyjętej dla obrad konferencji pokojowej, wołają, że pierwszy z czternastu punktów został naruszony. Mojem zdaniem, jeżeli

Prezydent zgodził się na to, będzie to fatalne. Sprawa ta jest tak ważną dla ludów świata, że mógł być pójść jak najdalej, choćby nawet doszło do opuszczenia konferencji raczej, niż poddać się tej regule. Przez swoje stanowisko w tej sprawie utraci wiele z tego zaufania i poparcia ludów świata, jakie dotychczas miał za sobą“.

Prezydent był szczerze zakłopotany tym problemem; wiadać to z jego odpowiedzi sekretarzowi Tumulty 16 stycznia:

„Pański kablogram o nieporozumieniach, dotyczących mojego stanowiska względem problemów, stworzonych przez kablogramy dziennikarskie, dotyczy sprawy, którą, przyznaję, że nie wiem, jak ująć. Wszystko, o czym Pan wspomina, to bajka. Nietylko w niczem nie ustąpiłem, ale mnie nawet nie proszono, bym w czemkolwiek ustąpił. Te manewry, o których kablogram mówi, są czystym wymysłem. Nie mogę ich z tej tu strony powstrzymać, ponieważ ludzie, którzy je wysłali, muszą koniecznie mieć coś do omawiania, czy wiedzą, jakie są rzeczywiste fakty, czy też nie wiedzą. Zrobię, co będę mógł z trzema towarzystwami prasowymi“.¹⁾

Wrażenie, jakie to wielkie i nagłe wzburzenie uczyniło na konferencję, wraz z faktem, że odbywały się przeciekania do francuskiej prasy — gdy to, co przeciekało, mogło posłużyć francuskim interesom — było gwałtowne i przykre. Dnia 15-go stycznia, na samym wstępie narad, Lloyd George wniósł ostry protest przeciw tym francuskim „przeciekaniom“:

Mr. Lloyd George przypomniał umowę, wedle której żadnych innych informacyj o tem, co się działo na naradach, nie miano dostarczać, prócz tych, które wydawał sekretarjat. Chciał jednakże zaznaczyć, iż zauważył, że francuska prasa ogłosiła klauzulę, dotyczącą propozycji, by żądać od niemieckiego rządu wydania swej rezerwy złotej etc. etc.

P. Pichon odpowiedział, że chociaż jest prawdą, iż to w prasie francuskiej ogłoszono, ale to tylko dzięki temu, że francuscy dziennikarze wiedzieli, że wiedzą o tem także brytyjczy

¹⁾ „Woodrow Wilson, jakim go znam“, przez J. Tumulty, pp. 518—519.

i amerykańscy dziennikarze i że się to w ich gazetach ukaże, ponieważ niema angielskiej ani amerykańskiej cenzury prasy.

W rzeczy samej jednak amerykańscy dziennikarze nigdy o tych faktach nie wiedzieli, ani ich nie ogłaszali.

Mr. Lloyd George zauważył, że, jeżeli to prawda, w takim razie cały ich system jest wadliwy. Wskazał na to, że brytyjska delegacja ma w Paryżu człowieka specjalnie dla celu kierowania prasą, i oświadczył, że jest zupełnie pewien, iż tę informację otrzymano nie od tego przedstawiciela.

Francuzi wtedy przedstawili swoje poglądy na ujęcie sprawy prasy. Powinna być zachowana absolutna tajność obrad, komunikat codzienny będzie wydawany przez sekretarjat, a wkońcu, jak się wyraził pan Pichon, „wszystko inne powinno podlegać cenzurze“.

Żeby to uczynić skutecznem „trzebaby zamknąć wszelką komunikację kablową i zaproponował, by każdy z rządów wyznaczył swego przedstawiciela dla przedyskutowania tej sprawy i przedsięwzięcia potrzebnych kroków“.

Taki system byłby uczynił konferencję absolutnie tajną, absolutnie pod kontrolą obecnych przywódców, którzy mogli wydawać takie informacje światu, jakieby uważali za służące sprawom, w którychby byli zainteresowani.

Nic nie mogło być bardziej rażącym dla amerykańskiej tradycji i dla prezydenta Wilsona jak jakakolwiek wogóle cenzura. Był on nawet przeciwnikiem tego, co czyniły wszystkie wojujące państwa, cenzurowaniu poczty, choć silnie o to na niego nalegał w maju 1917 jego sekretarz stanu, mr. Lansing. A zaledwie wojna ustała, wszelka cenzura kablowych i iskrowych depesz została zniesioną. Ponadto istniała jasna umowa z rządem francuskim, że, o ile konferencja pokojowa będzie zasiadała w Paryżu, nie będzie francuskiej cenzury dla depesz amerykańskich. W samych początkach było parę przypadków, gdzie francuscy wojskowi cenzorowie wmieszali się na tej podstawie, że chodziło o kwestje militarne, ale to były drobnostki i przez cały bieg konferencji amerykańskich korespondentów nie krępowala wogóle żadna cenzura.

Prezydent Wilson przeto zaprotestował przeciw francuskiej propozycji i wywiązała się następująca dyskusja:

Mr. Wilson przypomniał o przepuszczaniu depesz kablowych przez pośrednictwo rządu Stanów Zjednoczonych. To postąpienie z jego strony dało politycznym jego oponentom sposobność do krytykowania go, do zarzucania, że wydał to rozporządzenie w celu cenzurowania informacji o swojej działalności w Europie. Naturalnie, zaprzeczył podobnemu przypuszczeniu. To też, gdyby teraz spróbował ustanowić cenzurę, dałby przeciwnikom swym nową sposobność do sprawiania mu trudności. Ufał, że gdyby tu obecni uważali na to, co komunikują prasie, cenzura byłaby niepotrzebną.

P. Clemenceau zauważył, że, gdyby nie było cenzury w Stanach Zjednoczonych, a była w Europie, połowa świata wiedziałaby, co się dzieje, a druga połowa pozostawałaby w nieświadomości.

Mr. Lloyd George zauważył, że lud brytyjski miałby też coś do powiedzenia „gdyby wszystkie wiadomości pochodziły z Ameryki.“¹⁾

Tu oto wyraźnie zaznaczyła się różnica między ideą francuską a amerykańską. Im głębiej się bada paryską konferencję, tem jaśniejsze odnosi się wrażenie, że walka przez cały jej przebieg, tak w tym przedmiocie, jak nieomal we wszystkich innych, toczyła się wprost między francuską polityką a amerykańskimi zasadami.

Gdy się konferencja zaczynała, prezydent Wilson spodziewał się wielkiego i stałego poparcia ze strony Lloyd George'a, lecz nadzieja ta rozwiała się wkrótce. W miarę, jak się konferencja pogłębiała, rósł osobisty szacunek i podziw Prezydenta dla Clemenceau. Nie zgadzali się prawie w niczem, ale każdy z nich uznawał, że drugi obstaje uczciwie przy pewnej określonej i inteligentnej polityce, którą można było motywować i za którą można było walczyć. I każdy uznawał w drugim przeciwnika, z którym warto się było zmierzyć.

Ta walka o jawność przeto toczyła się pierwotnie pomiędzy Francuzami, obstającymi za tajną dyplomacją, cenzurowaną

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 15 stycznia.

prasą, wieloma pismami pod kontrolą i wpływem Ministerjum Spraw Zagranicznych, albo subsydjowanemi przez obce rządy (jako to Turcję i Włochy) — a Amerykanami, żądającymi możliwie największej jawności, wolności prasy bez żadnej cenzury. Włosi we wszystkim brali stronę Francuzów. Japończyk, opanowany i milczący, jak sfinks, nie mówił nic, ale nigdy nie przeczył żadnego zwrotu w dyskusji. Lloyd George obawiał się i lękał prasy, a jednak miałby być ochotę ją kontrolować. Byłby niewątpliwie najchętniej zagrał w pełni grę francuską, ale pochodził z kraju, gdzie prasa, a przynajmniej część jej znaczna, uparcie obstaje za wolnością. Przy każdej kwestji, dotyczącej publicystyki, miał zawsze na myśli polityczne względy. I tak 16 stycznia:

„Mr. Lloyd George zauważył, że były w każdym z krajów sprzymierzonych pisma opozycyjne w stosunku do rządu i że te pisma używałyby informacji, któreby mogły otrzymać od delegatów jednego rządu, do dyskredytowania delegatów innego. Było kilka pism angielskich, o których wiedział, że stanowczo zamierzają dyskredytować rząd brytyjski“.

To była tajemna sprężyna polityki Lloyd Georgea i jego strachu; Clemenceau nie obawiał się swojej prasy, ponieważ mógł większość jej kontrolować; Wilson nie mógł skontrolować ani jednej gazety w Ameryce, ale wcale się prasy nie bał, bo myślał, że ma amerykańską opinię publiczną za sobą.

16 stycznia dyskusja nad jawnością wybuchła na Radzie Dziesięciu z nową gwałtownością. Prezydent Wilson położył na stole list z protestem, który otrzymał od amerykańskich korespondentów. Dodał także, że otrzymał niepomysłne wiadomości z Ameryki w sprawie tajności konferencji. Oświadczył, że stanowczo musi domagać się większej jawności.

I Clemenceau ze swej strony nie miał się z czego cieszyć. On także spostrzegł fakt nowy, o którym każdy naród musiał się przekonać, że wielka wojna wymiotła na śmietnik odosobnienie narodów: jeżeli naprzykład jeden naród miał cenzurowaną prasę, groziło mu niebezpieczeństwo ze strony wszystkich narodów, mających wolną prasę. Oto co powiedział Clemenceau:

„P. Clemenceau oświadczył, że nie sądzi, by rozwiązanie, do którego się doszło w sprawie prasy, było praktyczne. Wska-

zał na to, że niema cenzury prasy w Stanach Zjednoczonych ani w Anglii, podczas gdy we Francji cenzura działa. Wynika stąd wielka niesprawiedliwość, gdyż fałszywe wieści mogą być wysłane stąd do Stanów Zjednoczonych albo do Anglii i wracać via Ameryka. Jako przychodzących z Ameryki niepodobna ich zatrzymać. Wspomniał też o historii, zamieszczonej w nowojorskiej *Tribune*, która rzeczywiście grozi sprzymierzonym rządóm wycofaniem wojsk Zjednoczonych Stanów z Europy.

Należałoby pragnąć albo zupełnej tajności ze wszystkich stron, co jest absolutnie niemożliwem, albo zupełnej jawności“.

Tu prezydent Wilson rzucił bombę w dyskusję, proponując „zupełną jawność wszystkiego, co się dzieje“.

Prezydent Wilson poszedł dalej w wniosku swoim o zupełną jawność, mówiąc, że publiczność Stanów Zjednoczonych domaga się otwartych posiedzeń.

Ile razy delegaci w ten sposób dochodzili do punktu bez wyjścia, grożącego zupełną niezgodą, Clemenceau zawsze odzywał się z mównicą, nawołując konferujących do utrzymania jednomyślności za wszelką cenę. „Ja jestem gotów wiele poświęcić dla jednomyślności“, mawiał często, bardzo często. I pamiętali też o tem stale inni tam obecni. Na świecie był chaos, trzeba było wybierać między pokojem a anarchją; jedyny autorytet, pozostały w świecie, spoczywał w ręku ich czterech. Lekkomyslnym byłby zaiste ten, ktoby pozwolił, żeby jakiś wzgląd mniejszej wagi zerwał konferencję. Gdy ci dwaj zawzięcie zdeterminowani ludzie, Wilson i Clemenceau — a chociaż w niczem nie byli podobni do siebie, to w tem jednym byli podobni, że obaj byli upartymi szermierzami — stawali naprzeciw siebie, trzeba było albo zrywać, albo znaleźć drogę pośrednią. To też obie strony zaczęły poddawać kompromisy.

„Mr. Lloyd George zauważył, że przemawiałaby bardzo do niego myśl wydania jakiegoś rodzaju oświadczenia, tłumaczącego, że niebezpiecznie jest dawać informacje z dnia na dzień, zanim ostateczna decyzja co do jakiejś kwestji nie zostanie osiągnięta. Myślał, że dobrzeby było wydać wezwanie do publiczności, żeby nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do nieautoryzowanych wiadomości... Sądził, że większość pu-

bliczności zrozumiałaby taki apel i nie dawała wiary takim wiadomościom“.

Prezydent Wilson powrócił wtedy do swego pomysłu komitetu prasowego sprzymierzonych narodów, pomysłu, który podsunął dnia poprzedniego i zapytał:

„Czy panowie obecni uznaliby za odpowiednią, propozycję, by panowie sir George Riddle, mr. Baker i przedstawiciele włoskich i francuskich delegatów widzieli się z korespondentami dzienników i szczerze im oznajmili, że przedmiotem tych narad jest dojście do porozumienia i że, gdyby wiadomości były podawane z chwili na chwilę wywołałoby to fałszywe wrażenie“.

Pan Clemenceau nie wierzył, by to powstrzymało kogokolwiek, kto by chciał wysłać fałszywą wiadomość.

Prezydent Wilson nie widziałby sposobu na powstrzymanie takiego faktu w żadnym razie. Myślał, że propozycja jego podaje najskuteczniejszy sposób ujęcia sprawy, co się tyczy małych konferencji i podał myśl, by tymczasem obecni postanowili, że wielkie konferencje otwarte będą dla prasy.

Mr. Lloyd George zauważył, że prasy, raz ją dopuściwszy, nigdy nie będzie można wykluczyć...

Mr. Balfour zapytał, czy obecni starannie rozważyli, czem stałyby się funkcje wielkich konferencji, gdyby je całkowicie otworzyć dla prasy? Czy nie skończyłoby się na tem, że stałyby się czystą formalnością?

Po dalszej dyskusji Lloyd George ostatecznie wrócił do pomysłu prezydenta Wilsona i oświadczył, że popiera propozycję, ażeby przedstawiciele delegatów zasięgli opinii prasy następnego dnia. Prosił prezydenta Wilsona, by zechciał propozycję swoją powtórzyć.

„Prezydent Wilson oświadczył, że pragnie, aby trzej przedstawiciele, (sir George Riddle, Ray Stannard Baker i kapitan Pneux) zwołali reprezentantów prasy i wytłumaczyli im, na jakie trudności napotykają delegaci w sprawie wydawania informacji, i żeby dali im do zrozumienia, że delegaci sądzą, że nie ułatwiłoby im osiągnięcia rezultatów publiczne roztrząsanie szczegółów

obecnych dyskusyj. Trzej przedstawiciele powinni by też jasno przedstawić prasie, że delegaci pragną poinformować ją możliwie najpełniej i najswobodniej o postanowieniach, powziętych na tych konferencjach. Nakoniec powinni trzej reprezentanci poprosić prasę, by wyraziła swój pogląd co do tego, jaką metodę uważa za najlepszą dla spełnienia życzeń delegatów".¹⁾

Zebranie, zaproponowane przez Radę, zostało zwołane przez przedstawicieli i zgromadziło się w Hotel Dufayel (*Interallied Press Club*) o godzinie 5-ej. Liczni członkowie prasy wszelkich krajów byli obecni; było to może pierwsze posiedzenie tego rodzaju. Ciekawe były wyraźne różnice zapatrywań, które zaznaczyły się wśród samych korespondentów co do stopnia jawności, jakiego należało się domagać. Amerykańscy korespondenci byli naogół za zupełną jawnością we wszystkim. Brytyjscy, pomiędzy którymi prawie wszyscy mieli o wiele więcej doświadczenia w sprawach międzynarodowych, niż Amerykanie, lepiej rozumieli problemy i trudności, związane z temi okolicznościami, i nie uważali wcale, by bezwzględna jawność przebiegu obrad była mądrą albo możliwą; francuscy zaś korespondenci, czy to, że byli w tak bliskim zetknięciu z Ministerjum Spraw Zagranicznych, czy też, że tak przejęci byli wspólnymi obawami i ambicjami Francji, dość, że ich stanowisko nie było różnem od stanowiska Clemenceau.

Z powodu tej różnicy zdań, braku wspólnej platformy czy techniki, zebranie, naturalnie, chybiło celu. Na dnie propozycji Prezydenta leżała znana Amerykanom idea, że wobec prasy należy być szczerym, wytłumaczyć trudności uczciwie, a potem zaufać honorowi i zdrowemu rozsądkowi korespondentów. Doświadczenie wykazało wielokrotnie, że żadnej grupie ludzi nie można pełniej ufać, iż potrafi utrzymać w tajemnicy zwierzenie lub mądrze go użyć, niż grupie doświadczonych korespondentów dziennikarskich — jeżeli się ich uczciwie informuje i przedewszystkiem im się ufa. Gdy jednak amerykański przedstawiciel prasy powstał, by przemawiać, nie mógł przyrzec pierwszego warunku rzeczywistej szczerości i nie mógł też, skutkiem tego, zażądać otwartości. Zdałem sprawę Prezydentowi z rezultatów tego ze-

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 16 styczeń.

brania i powiedziałem mu otwarcie, że nie sędzę, by rezultaty były zadowalające.

Rada próbowała też, następnego dnia, planu, podsuniętego przez Lloyd George'a, wysłania ogólnego upomnienia do prasy, przestrzegając przed niebezpieczeństwem zbytnej jawności, porównyującego konferencję do posiedzenia gabinetu i wysuwającego zasadniczą myśl poglądu Prezydenta w tych słowach:

„Istotą demokratycznej metody nie jest, by narady Rządu były prowadzone publicznie, ale żeby ich wyniki stawały się przedmiotem rozważania w reprezentacji, jak w parlamentach, i przedmiotem wolnej i otwartej dyskusji na tej platformie i w prasie“.¹⁾

Te usiłowania jednakże zdawały się tylko zachęcać amerykańskich korespondentów do tem ruchliwszej działalności, do zwoływania zebrań i dalszych rezolucyj.²⁾

Prezydent wysunął także propozycję, by wielkie konferencje, plenarne posiedzenia, otwarte były dla publiczności. Temu z początku przeciwstawili się wszyscy inni przywódcy i już raz zostało to rozstrzygnięte w kierunku negatywnym, ale ostatecznie Prezydent wygrał sprawę i korespondentów dopuszczono na pierwsze ogólne posiedzenie konferencji 18 stycznia i na większość późniejszych. Chociaż było to rzeczywistym zwycięstwem amerykańskiej idei, skutek był, jak to Balfour przepowiedział, taki, że otwarte posiedzenia stały się przeważnie kwestją formalności.

Taka była ogólna przyjęta metoda. Chociaż dała ona więcej jawności, niż sobie „stary porządek“ życzył, ograniczała ona jednocześnie prawo Prezydenta apelowania do opinii publicznej w wypadkach niezgody z innymi przywódcami — a była to broń jego potencjalna, jedna z najważniejszych. Trzymał się on reguły „gabinetowej“ w sprawie sporu z Francją, ale przełamał

¹⁾ Patrz tom III, Dokument 4, pełny tekst.

²⁾ 16 stycznia amerykańscy i brytyjscy korespondenci na zebraniu w hotelu Ritz starali się przeprowadzić jednolitą akcję ze strony prasy wszystkich narodów, lecz spotkali się z upartą opozycją Francuzów. Dwie rezolucje zostały ostatecznie przyjęte i wysłane szefom rządów — jedna, do której przyłączyli się Francuzi, druga niezależna od Francuzów. Patrz tom III, Dokument 5, pełny tekst.

ją w sprawie z Włochami — o następstwach tego będzie mowa na innym miejscu.

Przychodzimy teraz do innego trudnego czynnika w problemie jawności, do usterek w samym temperamencie Prezydenta. Dziwne, ale przecież prawdziwe, że ani korespondenci sami nie wiedzieli, ani publiczność w Ameryce nie dowiedziała się nigdy, jaką walkę Prezydent stoczył. Miał tutaj cudowną sposobność; jego stanowisko było w istocie takie samo, jak stanowisko amerykańskiej prasy i amerykańskiego ludu. Gdyby był w owej chwili przypuścił korespondentów do swego zaufania — jak go do tego piszący usilnie namawiał — mógł był potem iść z nimi w porozumieniu i byłby ich przywiązał do siebie więzami ze stali. Mógł był mieć poparcie prasy, jakiego nigdy dotąd nie miał, a które w rezultacie byłoby mu zdobyło to trochę tego dodatkowego poparcia, jakiego potrzebował w Ameryce do przeprowadzenia traktatu i Ligi. Nawet później nie uwiadomił korespondentów o tem, co uczynił; nie poinformował i mnie dosyć wyraźnie o swoim udziale, tak, ażeby w moim oficjalnym charakterze mógł to ogłosić; prawdopodobnie nawet nie przyszło mu na myśl, żeby to pani Wilson powiedzieć.

Częstokroć prosiłem go usilnie, by zechciał odbywać konferencje z korespondentami; przy jakichś dwóch czy trzech sposobnościach, gdy się z nimi widział, zrobił na nich wrażenie przekonujące, ale zdawał się lękać takich spotkań. Zdaje się, że nigdy nie doceniał wartości zetknięcia się człowieka z człowiekiem. Wiem, że sympatyzował z apelem korespondentów z 14-go stycznia; zrobił z niego skuteczny użytek; ale na myśl mu nie przyszło powiedzieć im o tem; nigdy im nie podziękował i skutkiem tego wielu z nich sądziło, że mają w nim wroga. Pewnego razu, gdy nalegałem, żeby zobaczył się z gronem korespondentów i przemówił do nich w pewnej sprawie, odpowiedział mi:

„Ale ja to już powiedziałem“.

Powiedział to, to prawda, ale w jednej z dawniejszych mów!

Jedną z przyczyn tego oderwania, które stawało się coraz wyraźniejszym w miarę, jak wzrastał się ciężki trud konferencji, był stan jego zdrowia. Pracował zawsze do ostatecznych granic wytrzymałości lub może i poza nią. Często ku końcowi dnia,

gdy przychodziłem do niego, robił wrażenie przybitego, wyczerpanego do ostateczności. Okrucieństwem wydawało się żądać od niego, by jeszcze coś zrobił, jeszcze choć jedno słowo powiedział. Dr. Grayson wciąż go przestrzegał, żeby nie przeciągał struny. Stykanie się z korespondentami zużywało fizyczną i nerwową energję i z tej przyczyny rezerwował siły swoje dla tego, co uważał za sprawę najważniejszą. Ale w Paryżu, gdzie tak wiele zależało od właściwej publicystyki i od poparcia publicznej opinii światowej, te wady temperamentu i fizyczne braki kosztowały go zaiste drogo!

Jednakże, pomimo wszelkich upomnień i starannych zarządzeń w celu utrzymania tajności małych posiedzeń, „przeciekania“ wciąż się zdarzały. Amerykańscy i angielscy korespondenci dowiedzieli się, że jednak prywatne kanaliki pootwierano i że nieraz tamtędy wypływały informacje, które Rady pragnęły zachować w tajemnicy. Ale „przeciekanie“ to — na wielką skalę odbywało się zawsze w kierunku prasy francuskiej. Francuskie Ministerjum Spraw Zagranicznych miało całą sieć takich informacyjnych kanalików dla przyjaznych dziennikarzy, ci zaś byli tak jakoś kierowani, że otrzymywali rezultaty, jakich Francuzi pragnęli. Korespondenci innych krajów, odgradzeni od informacji wprost o tem, co się działo, czerpali z tych francuskich źródeł, i tym sposobem wiadomości, dochodzące do wszystkich zakątków świata, nabierały coraz więcej francuskiego zabarwienia.

Pewnego dnia w lutym Prezydent, który właśnie wtedy znajdował się w najcięższym momencie walki swej o Ligę Narodów, pokazał mi memorandum, które, jak mówił, otrzymał z najpewniejszego źródła, a które podawało wskazówki, świeżo właśnie wysłane rządowej francuskiej prasie:

1. Ukazać w zwiększonych rozmiarach opozycję w Stanach Zjednoczonych przeciw Prezydentowi i jego administracji.
2. Kłaść nacisk na chaotyczne stosunki w Rosji.
3. Wykazywać, że Niemcy chcą wznowić wojnę i że są do tego zdolne.

„Jeżeli to tak dalej potrwa, proponuję przeniesienie konferencji do Genewy, albo gdzieś poza Paryż“ — powiedział Prezydent.

W istocie, co można pomyśleć o sytuacji, gdzie podczas przyjacielskiej konferencji sprzymierzonych narodów grupa dziennikarzy, o których wiadomo, że są inspirowani przez rząd jednego z nich, użyta jest do atakowania głównego delegata innego narodu i do utrudniania mu, o ile możliwości, działania.

14 marca Tumulty przesłał depeszę kablową do Prezydenta: „Publicystyka europejska wyrządza tu wielką szkodę“. Tego samego dnia telegrafował: „Kraj wielce zaniepokojony wiadomościami, ukazującymi się w Paryżu i gdzie indziej pod nagłówkiem „Associated Press“, że Liga Narodów nie ma być włączona do traktatu pokojowego“.

Zaszyły jeszcze też inne okoliczności, szkodzące sprawie jawności. Podczas gdy Rada Dziesięciu, na początku, ściśle była ograniczoną do dwóch naczelnych delegatów każdego z czterech czy pięciu państw i kilku sekretarzy i ekspertów, później nieco pojawiła się tendencja do coraz liczniejszych zebrań. 6 marca byli obecni rzeczoznawcy wojskowi, a to wraz z członkami delegacji i sekretarzami stanowiło obecność pięćdziesięciu pięciu osób. Mowy stawały się coraz dłuższe, ogromnie też wzrastało prawdopodobieństwo „przecieków“.

Lloyd George specjalnie niecierpliwił się w tych warunkach, a 6 marca powiedział, że sądzi, że sam tekst nie będzie dyskutowany wobec tak liczego zebrania. „Brytyjscy delegaci bez wielkich zmian nie mogą przyjąć warunków, tak, jak się obecnie przedstawiają; ale są to kwestje, które delegaci sami tylko mogą przedyskutować, ponieważ sami tylko będą odpowiedzialni za ostatecznie powzięte decyzje“.

Innym razem powiedział, że „boi się, żeby się z tego nie zrobił rodzaj publicznego wiecu“.

Wszystkie te czynniki, wraz z nowem, gwałtownie nalegającym wołaniem całego świata o prędką pokój, sprawiły, że powstały jeszcze mniejsze Rady Czterech szefów wielkich mocarstw, gdzie zasiadali tylko czterej przywódcy (niekiedy bywało ich tylko trzech) z dwoma lub trzema absolutnie nieprzeniknionymi sekretarzami. Na tych to konferencjach „Wielkich Czterech“ decyzje, długo smażone na wolnym ogniu, dochodziły do skutku prędko i traktat został sformułowany. Dokładniejsze sprawozdanie o skomplikowanych przyczynach tej tajności i jej na-

stępstwach musi być odłożone do rozdziałów Ciemny Okres (*Dark Period*), w którym toczyła się prawdziwa walka między Wilsonem a Clemenceau.

Wystarczy, gdy powiemy, że od połowy marca do końca konferencji rzeczywiste narady Wielkich Czterech utrzymywano dziwnie ściśle w tajemnicy, ale decyzje ogłaszano w pełni od czasu do czasu. Prezydentowi Wilsonowi zarzucano silnie, że swoich kolegów, członków delegacji, nie dopuszczał do swego zaufania — nawet pułkownika House'a — ale tak samo krytykowano i Clemenceau i Lloyd George'a, że ich koledzy delegacji nie wiedzieli, co się dzieje i wykryć tego nie mogli. Nawet mr. Balfour bywał często w zupełnej nieświadomości co do szczegółów tego, co się działo. Każdy z czterech dawał codziennie swojemu urzędowemu przedstawicielowi prasy, jak Prezydent mnie (już to w poprzednim rozdziale opisałem) — ogólny pogląd na przedmioty w tym dniu omówione, które znów ten przedstawiciel podawał korespondentom; nie była to jednak zadowalająca metoda.

Dwa inne krytyczne problemy publicystyczne powstały w ciągu konferencji. Jeden powstał, gdy prasa zażądała zgody na obecność swą przy wręczaniu traktatu Niemcom w Wersalu, drugi odnosił się do jeszcze większego zagadnienia ogłoszenia samego traktatu.

Prawdopodobnie było najdramatyczniejszym i największe czyniło wrażenie z całej konferencji pokojowej zebranie 7-go maja, gdy kierownicy zwycięskich mocarstw sprzymierzonych zeszli się z kierownikami zwyciężonych Niemiec po raz pierwszy. Wtedy to gotowy już traktat został formalnie niemieckiej delegacji przedstawiony. Żaden naród na świecie nie potrafiłby tak zręcznie, jak Francuzi, zainscenizować takiego widowiska; to też zrobili wszystko, co było można, żeby wywołać odpowiednie wrażenie i nadać uroczysty nastrój temu wyjątkowemu zebraniu, symbolizującemu zwycięstwo ich nad historycznym wrogiem. Mieli w duszy, niewątpliwie, tradycje dawnych niegdyś zebrań tego rodzaju, pełnych ceremonjału, lecz pełnych też dystynkcji prostoty; to też sama myśl o prasie — przedstawicielach demokracji — tłoczących się tłumnie na scenie, była im wysoce nie-miłą.

Musieli jednakże przyznać, że jest publiczność i że jest prasa na świecie, zrobili więc jakieś urządzenia w podwórku zewnętrznym, blisko bramy, które zamaskowali krzewami, poza którymi zaproponowali, by wolno było korespondentom stać i widzieć delegatów wchodzących, a potem wychodzących. Można sobie wyobrazić, jaki krzyk podnieśli amerykańscy korespondenci. Opłotki w podwórku przerwano odrazu „rowami strzeleckimi” i „przejściem łącznikowym.” Znowu zwołano zebranie w salach Biura Prasowego i przegłosowano rezolucję.¹⁾ Udałem się do Wersalu i przekonałem się, że byłoby miejsce dla pewnej liczby korespondentów wewnątrz budynku. Wróciwszy, starałem się pozyskać pomoc pana Lansinga ku zmienieniu tych zarządzeń, lecz on zgadzał się zupełnie z Francuzami — to też poszedłem z tą sprawą do Prezydenta, i ten obiecał stoczyć za nas walkę na Radzie Czterech. Uczynił też to 30 kwietnia:

„Prezydent Wilson powiedział, że informują go, iż sprzymierzonym i stowarzyszonym dziennikarzom bardzo zależy na widzeniu aktu wręczania traktatu pokojowego Niemcom. Zrozumiał, że przy obecnem urządzeniu będzie im tylko wolno widzieć zbliżanie się Niemców z za płotu. Mówiono mu także że jest tam pokój... gdzie pewna liczba dziennikarzy mogłaby się pomieścić... i widzieć przebieg rzeczy”.

Temu Lloyd George sprzeciwił się energicznie:

„Mr. Lloyd George oświadczył, że to byłoby bardzo nietaktowne i niewłaściwe wpuszczać dziennikarzy i traktować to spotkanie nieledwie, jakby to była menażerja. Nie miałby nic przeciw temu, żeby dwóch, trzech było obecnych. Ale trzeba pamiętać, że Niemcy są w bardzo drażliwej i nie milej pozycji i że mieliby słuszny powód do uskarżania się, gdyby się ukazały opisy, w jaki dokładnie sposób przyjmowali traktat. Nie miał współczucia dla Niemców, ale uważał, że dopuszczenie dziennikarzy przy takiej sposobności, byłoby rzeczą dotychczas niebywałą.

P. Clemenceau zaproponował, że w każdym razie możnaby się zgodzić, by byli obecni na końcu korytarza, skądby mogli być świadkami przybycia i odejścia delegatów.

¹⁾ Patrz tom III Dokument 6.

Prezydent Wilson powiedział, że nie zgadza się z tą decyzją, ponieważ uważa z zasady, że dziennikarze powinni być obecni, ale nie stawia dalszej opozycji.

(Zgodzono się na to, że dziennikarzom będzie dozwolonym patrzeć na przybycie delegatów z końca korytarza w Hotel Trianon). ¹⁾

Tym sposobem dostali się dziennikarze na korytarz; jeszcze jedna walka Prezydenta przeniosła ich do samego pokoju — ale ostatecznie, by jasno zaznaczyć różnice, zażądano od nich, by weszli tylnymi drzwiami! Pięciu dziennikarzy z każdego narodu, nie wyłączając Niemców, zostało dopuszczonych. Trzy bilety amerykańskiej prasy dostały się naturalnie towarzystwom prasowym, a dwa drugie, po długich dyskusjach, puszczone zostały na losy i dostały się panu Oulahan z nowojorskiego *Timesa* i panu Hayden z *Detroit News*. W tym wypadku prasa całego świata skorzystała z walki amerykańskich korespondentów i poparcia, jakie im dał Prezydent na Radzie Czterech.

Ważniejszym i dalej sięgającym w swoich konsekwencjach był problem czasu ogłoszenia traktatu. Zaczęło się to na Radzie Trzech (Włosi byli wtedy nieobecni) jeszcze w kwietniu (23-go) i często wracało w dyskusjach w następnym miesiącu. Tu rozwinęła się ciekawa sytuacja. Clemenceau nalegał na ogłoszenie traktatu, skoro tylko będzie doręczony Niemcom, 7 maja. Mówił on:

„P. Clemenceau silnie nalegał, by traktat został opublikowany, skoro tylko będzie doręczony Niemcom. Nie byłoby to sprawiedliwie względem naszego własnego narodu pozwolić Niemcom znać traktat, a przed nim go ukrywać. Jego własna pozycja byłaby niemożliwą, gdyby traktat nie był ogłoszony. Jest absolutnie rzeczą pewną, że go Niemcy ogłoszą, zwłaszcza, jeżeli będą chcieli zrobić nam na złość, i bardzo by to złe wrażenie sprawiło w krajach mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych, gdyby publiczność najpierw się dowiedziała o warunkach traktatu pokojowego z depesz iskrowych niemieckich“. ²⁾

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 30 kwietnia.

²⁾ Tajne protokoły, Rada Czterech, 23 kwietnia.

Inne w gruncie rzeczy były przyczyny, dla których Francuzi pragnęli natychmiastowego ogłoszenia. Traktat nie tylko poszedł daleko w kierunku dania Francuzom warunków, o które się upominali, zwłaszcza w sprawie reparacji, Śląska i Saary, ale ogłoszony odrazu i zanimby Niemcy mogli odpowiedzieć, trudnijszem czynił wprowadzenie zmian. A Francuzi chcieli każdy punkt traktatu bezwarunkowo narzucić Niemcom: nie chcieli żadnych zmian.

Jednakże Lloyd George sprzeciwiał się publikacji równie uporczywie, jak Clemenceau ją popierał. Gdy w Anglii zaczęto zapoznawać się z warunkami traktatu, podniosły się tam ostre krytyki, zwłaszcza w kołach liberalnych i partyj pracy. Tak wybitni przywódcy, jak generał Smuts i generał Botha, byli niezadowoleni, — generał Smuts nawet groził, że nie podpisze traktatu; przedstawiciele niektórych z wielkich brytyjskich ekonomicznych firm odkryli, że to jest „pokój francuski“ i że tak okaleczy Niemcy, że opóźni ekonomiczne odzyskanie Europy. To zaniepokoiło Lloyd George'a i zaczął przemyśliwać nad robieniem zmian.

„Mr. Lloyd George powiedział, że otrzymał list od generała Smutsa, który uważał, że Niemcy odnieśliby dużą dyplomatyczną korzyść, gdyby traktat został ogłoszony. W tak olbrzymim dokumencie będzie trzeba zapewne zrobić wiele zmian, a Niemcy poczytują to sobie za swoje dyplomatyczne zwycięstwo. Wykazywał, że w wielu częściach traktatu on sam musiał polegać na rzeczoznawcach, którzy nie obejmowali traktatu, jako całości. Przewidywał, że gdy odczyta traktat jako całość, znajdzie sporo niespodziewanych klauzul, niezgodnych między sobą, tak właśnie, jak mu się niekiedy zdarzało, gdy wnosił skomplikowany wniosek do parlamentu“.¹⁾

Prezydent z początku wahał się, jaką ma obrać drogę. 24-go kwietnia powiedział, że chociaż publikacja jest niepożądaną, to jednakże sądzi, że jest nieuniknioną — ale później, słuchając dowodzeń Lloyd George'a — i w nadziei, że, połączywszy się teraz z Lloyd George'm, uzyska pewne zmiany niektórych ostrzejszych warunków traktatu — zgodził się na to, że tekst

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Czterech, 4 maj.

nie powinien być opublikowany odrazu. Doszli jednakże z Clemenceau do kompromisu, umawiając się o ułożenie i ogłoszenie streszczenia traktatu (jak to opisałem w poprzednim rozdziale). To jednakże nie przeszkodziło, że Clemenceau wciąż dowodził potrzeby publikacji traktatu, zanim niemiecka odpowiedź ukaże się w druku.

Zaczęto też domagać się tekstu traktatu w angielskim parlamencie i w amerykańskim senacie. Części jego przedostały się drogą przeciekania. Kopja dostała się potem niebawem na Wall Street i widział ją senator Lodge, który potem wygłosił przykrą mowę w senacie, krytykując Prezydenta za ukrywanie traktatu. Pewnego dnia, gdy spór doszedł do kulminacyjnego punktu, położono na mojem biurku pełną kopję traktatu po niemiecku i dowiedzieliśmy się, że takie odbitki sprzedawane są w Belgji po dwa franki. Wobec kabli, telegrafów bez drutu, maszyn drukarskich, tajność stała się, zaiste, niemożliwością na świecie. 18 maja następująca dyskusja odbyła się na Radzie Czterech:

Mr. Lloyd George powiedział, że w parlamencie brytyjskim żądają, by traktat pokojowy przedłożony był Izbie. Odpowiedział, że musi się wpierv naradzić z kolegami, zanim będzie mógł pozwolić. Mr. Bonar Law zaopiniował, że skoro streszczenie zostało ogłoszone, wysnutym będzie wniosek, jeśli się traktatu nie ogłosi, że streszczenie było nieścisłe.

P. Clemenceau powiedział, że już odmówił przedłożenia traktatu, zarówno senatowi jak izbie deputowanych.

P. Orlando powiedział, że nieradby widział ogłoszenie, ponieważ bardzoby to utrudniło porobienie zmian.

P. Sonnino podziela ten pogląd.

Prezydent Wilson powiedział, że nie mógłby przedłożyć traktatu senatowi, dopóki nie powróci do Stanów Zjednoczonych.

(Zgodzono się na to, że tekst traktatu pokojowego taki, jak doręczony Niemcom, nie ma być przedłożonym ciałom ustawodawczym sprzymierzonych i stowarzyszonych mocarstw).

Prezydent, tak postanowiwszy, trwał przy swoim i traktat nie został oficjalnie opublikowanym w Ameryce, dopóki nie został doręczony Senatowi.

Taką była walka o jawność w Paryżu. Nie miała ona żadnego precedensu w dotychczasowych kongresach światowych, a głęboki skutek wywarła na narady samej konferencji.

Naszpicowawszy w ten sposób siły „nowego porządku“ w odróżnieniu od starego, możemy przejść do taktycznych walk o pozycję, o kontrolę, o organizację, które zaznaczyły wcześniejsze stadjum konferencji. Wiele zależało od tych kwestyj procedury.



ROZDZIAŁ IX.

MOCE STAREGO I NOWEGO PORZĄDKU TOCZĄ WALKĘ W PARYŻU. — WALKA MIĘDZY PRZYWÓD- CAMI MILITARNYMI A CYWILNYMI.

„Zanosi się na to, że będzie to historia pełna niespodzianek, ta konferencja pokojowa“ przepowiedział mr. Balfour na dwa miesiące przedtem, zanim się zaczęła.

Była to bystra przepowiednia. Moce starego porządku przybyły do Paryża, ufne najzupełniej, że zrobią pokój po swojemu. Były one w silniejszej taktycznie pozycji. Miały za sobą tradycję, doświadczenie, wyszkolone dyplomatyczne kierownictwo, i, nadewszystko, doskonałą organizację. Żaden dział rządowych instytucyj w Europie, dbałych o własne bezpieczeństwo, nie był tak doskonale rozwinięty, jak system dyplomatyczny i militarny.

Z drugiej strony, moce nowego porządku, jak wykazałem w poprzednich rozdziałach, były także zgromadzone w Paryżu, nie bez silnej organizacji i kierownictwa i, choć pozbawione tradycji, pełne entuzjazmu i aspiracyj; ufne, że chociaż nie miały poparcia przywódców europejskich rządów, to zato miały za sobą ludy świata. Te dwojake moce starły się pomiędzy sobą ostro, w pierwszym rzędzie, zupełnie naturalnie, w taktycznych kwestiach organizacji i procedury. Kto będzie rządził na tej żywotnie ważnej światowej konferencji? Czy ludzie wojskowi, którzy zarządzili Europą od lat czterech, czy też cywilne władze obejmą znów panowanie?

Mało ludzi zdaje sobie sprawę z tego, jaka walka toczyła się w Paryżu przez czas konferencji — między grupą wojskowych a szefami państw. O tem usiłowaniu w łonie tajnych kon-

ferencyj, uniknięcia militarnego panowania i militarnego ducha, mowa będzie w niniejszym rozdziale. Później przyszła niemniej ważna walka o to, które mocarstwa mają rządzić na konferencji, jaką procedurę ma się zastosować i jaki język — język jest zawsze symbolem potęgi — ma być uważany za oficjalny.

W skwapliwej ciekawości chcąc wiedzieć, co się robiło w Paryżu, za mało uwagi poświęcono tym niezmiernie ważnym początkowym sprawom organizacji. W każdym politycznym zebraniu, każdym związku zawodowym, w organizowaniu każdego finansowego przedsięwzięcia, a, b, c postępowania — to upewnienie się, że opiera się ono na organizacji i stałej procedurze. Tak też było przeważnie i w Paryżu. Wielka część postanowień była już albo zdecydowaną, albo weszła już w sferę poważnych wpływów, zanim jeszcze przyszła pod obrady.

Pamiętam dobrze chwilę, gdy po raz pierwszy ujrzałem marszałka Focha w dziwnie dramatycznym momencie, który upamiętnił mi się, jako rodzaj symbolu całej konferencji pokojowej. Było to w przedpokoju gabinetu pana Pichon w francuskim Ministerjum Spraw Zagranicznych na Quai d'Orsay, w tym wysokim pokoju o starych obiciach i bogatych kobiercach, miękkich meblach i liberyjnej służbie, ciągle kręcącej się cicho tam i z powrotem.

W drugim pokoju obradowali szefowie czterech wielkich mocarstw z różnymi swymi doradcami i sekretarzami. Prezydent Stanów Zjednoczonych był tam i premier brytyjski i premier włoski i prezydent ministrów francuski.

Wchodziło się do „cabinet d'Etat“ pana Pichona podwójnymi drzwiami, zaopatrzonymi w drążki żelazne, tak że zamykały się razem szczelnie i nie przepuszczały żadnego głosu. Odkryłem to później, że ta tajemniczość był to tylko jeden ze szczegółów pięknego dyplomatycznego ceremonjału i że to, co się tam działo, przeciekało kanalikami niezamkniętymi na podwójne drzwi; jednakże, jako szczegół ceremonjału, robiło to wielkie wrażenie.

Pewnego ranka, — a było to w styczniu, krótko po zaczęciu konferencji — ujrzałem te drzwi, otwierające się nagle, jakgdyby silnem pchnięciem ze środka, i wymaszerował z nich krótki, suchy, siwowłosy mężczyzna, trzymający się bardzo prosto, wy-

glądający na starego, pracowitego profesora, ale mający na sobie mundur marszałka Francji. Za nim biegł mały, żwawy Pichon, błagając go, żeby wrócił.

— *Jamais! Jamais!* — odpowiedział marszałek Foch gniewnie.

Nie, nie chciał wracać. Dość miał tej całej konferencji pokojowej. Nigdy tam nie wróci.

Ale za chwilę dał się jednak przekonać; wrócił i tajemnicze drzwi znowu się za nim zamknęły. Ile razy go później widziałem, zawsze odnosiłem wrażenie, że raczej ma wygląd zatopionego w kontemplacji starego uczonego, niż wielkiego generała. A miły był i pełen uroku w obejściu.

— Chciałbym panu dłoń uściśnąć, panie marszałku Foch — powiedział pewien Amerykanin, spotkawszy go.

— Uściśnij pan obie — odpowiedział serdecznie, wyciągając obie ręce.

Nieraz przychodziło mi na myśl to drobne wydarzenie, które opisałem jako symbol konferencji pokojowej, gdyż przez cały okres tych zamętu pełnych miesięcy w Paryżu generałowie i admirałowie, zdaje się, byli wiecznie wyrzucani z narad przez tuzurki i znowu odwoływani, albo też wracali własnowolnie. Nie trzeba nigdy o tem zapominać, że aż do tej chwili, przez więcej niż cztery lata, byli oni najwyższą instancją w świecie. Mieli oni w ręku w Paryżu, w Najwyższej Radzie Wojennej z jej potężnymi ekonomicznymi satelitami, rząd świata, rzeczywiste nad-państwo, Ligę Narodów — której ta Liga, później ułożona w Paryżu, o ile chodzi o bezpośrednią władzę, słabem tylko była przypomnieniem. Silni to byli ludzie, ci generałowie, przyzwyczajeni dzierżyć niekrępowaną władzę i niechętnie z rąk ją wypuszczali.

A teraz to już nie alegoria, ale przyczynek do sposobu, w jaki się konferencja pokojowa zaczęła: Na czele pierwszej stronicy tajnych protokółów konferencji pokojowej z 12 stycznia r. 1919, pierwszego dnia posiedzeń, znajdujemy ten tytuł: „Notatki z Zgromadzenia Najwyższej Rady Wojennej“.

Nietylko byli tam ci, którzy układali pokój, ale generałowie także: Foch i Weygand ze strony Francji, sir Henry Wilson ze strony Wielkiej Brytanji, generał Bliss ze strony Ameryki. I mar-

szalek Foch, bohater Francji, był tam i wnosił ze sobą wielkie nowe wojenne plany. Marszałek Foch chciał bić się dalej! Zalecał natychmiastowe wysłanie sprzymierzonej armji (głównie amerykańskiej i pod wodzą Amerykanina) do Polski; był za natychmiastowem zgnieceniem bolszewików w Rosji; był za przesortowaniem olbrzymiej masy rosyjskich jeńców wojennych w Niemczech i za wysłaniem do domu tych, którzy przeciwni byli bolszewikom; był za stałą wojskową okupacją Renu przez Francję.

I tak, amerykańscy wysłannicy pokojowi, przybywszy do Europy dla brania udziału w konferencji pokojowej, znaleźli się na samym wstępie wśród Najwyższej Rady Wojennej, zajętej odnowieniem zawieszenia broni i bezpośrednimi problemami wojennymi Europy. Początkowem przeto ich zadaniem była nie walka o zastosowanie przyjętych zasad do istniejącej sytuacji, nie ścieranie się w imię nowego porządku ze starym, nie wielkie i szlachetne usiłowanie stworzenia organizacji światowej, ale w samej istocie był niem uciążliwy wysilek gaszenia wciąż jeszcze uparcie żarzących się ognisk wojny. Na pokój, istotnie, zgodzono się w listopadzie, ale pokój jeszcze nie nadszedł.

Na 7-ej stronicy tych historycznych zapisków z pierwszego dnia posiedzeń (12 stycznia), znajdujemy te słowa:

„Wtedy (p. Pichon, prezydujący) postanowił, że posiedzenie ma się dalej ciągnąć bez panów wojskowych, którzy się usunęli“.

Po przerwie na stronicy następują te słowa:

„P. Pichon sądził, że na porządku dziennym posiedzenia powinnyby teraz stanąć sprawa rozważenia procedury konferencji“.

W ten nieformalny, a jednak jakoś obmyślany sposób zaczęła się konferencja pokojowa, przedzierzgując się z Najwyższej Rady Wojennej w Najwyższą Radę Pokojową — jak się to i wielokrotnie później z taką łatwością działo. Amerykanie, którzy przybyli do Paryża, wstąpili przeto do ruchomej maszyny, dobrze naoliwionej i prowadzonej przez ludzi, którzy oddawna razem pracowali — a pracowali dla destruktywnych, nie dla rekonstruktywnych celów. Poza tem, wojskowość, układając tak

zachłanne warunki zawieszenia broni, przesądziła niejako, uprzedziła postanowienia pokojowe. Francuzi trzymali linię Renu, Włosi tę, którą im dawał traktat londyński, a posiadanie — to już dziewięć dziesiątych wygranej.

Krytycy po fakcie zapominają, że trzeba układać pokój w atmosferze jeszcze dymiącej oparami wojny i jeszcze mniej lub więcej przesiąkniętej wojennym duchem. Nie mogło być inaczej. Przez cztery lata narody były zmuszone używać wszelkich środków dla wyhodowania psychologii wojennej: krzewić w ludziach ducha wojennego, wszczepiać nienawiść, jako przeciwważnik strachu, wciągać narodowości w sztuczną jedność celów siłą prostej konieczności. Jako pomnik tego roznamietnienia i rozsierdzenia siedm i pół miliona trupów leżało na polach Europy, a 20 milionów ludzi odniosło rany; poniszczono miasta, zrujnowano kopalnie i stacje handlowe, zaciągnięto olbrzymie długi. Wytwarzać tego rodzaju psychologję przez cztery lata, przepoić nią całą publiczną opinię świata, a potem chcieć, ażeby czterech ludzi w Paryżu — albo jeden człowiek w Paryżu — zmienił to wszystko w ciągu trzech miesięcy! Tu nie tylko trzeba było układać pokój światowy, ale psychologję świata trzeba było zmienić.

Konferencja w ciągu swego trwania wiele uwagi musiała zwracać na gaszenie małych ognisk, pozostałych po wielkim pożarze — w Rosji, na Węgrzech, w Azji i gdzie indziej. Kiedyś doliczyliśmy się nie mniej, niż czternastu takich małych wojenek, toczących się w różnych stronach Europy. Panowie wojskowi, „którzy się usunęli“ 12 stycznia, wciąż powracali w biegu konferencji ze swemi militarnemi metodami, militarnemi propozycjami, militarnemi ambicjami, lub też wprowadzali zamęt w jej cele i przeszkadzali jej działalności przez bezpośrednią akcję na własną rękę. Wciąż występowali, to w Polsce, to w Rosji, to w Niemczech, na Węgrzech, w Jugosławji i wszędzie — starając się ująć sprawy w własne ręce, a zbyt często, jak to później wykaże, zachęcani będąc potajemnie przez przywódców z łona rad samych mocarstw. Spotykamy francuskich generałów, popierających rewolucję w nadreńskich prowincjach — angielskiego generała, ustanawiającego „biały“ rząd w zachodniej Rosji, włoskich oficerów, działających na własną rękę na Adria-

tyku i w Azji Mniejszej, a nawet amerykańskiego oficera, dowodzącego Czechami w najściu na cieszyńskie zagłębie węglowe!

Pierwsze skrzyżowanie szpad na konferencji powstało na skutek próby zastąpienia wojennych metod cywilnymi. Tak więc, gdy marszałek Foch postawił wniosek, by armja sprzymierzone, głównie z amerykańskich wojsk utworzona, wysłana została do Polski natychmiast dla zwalczania bolszewików, prezydent Wilson silnie sprzeciwił się temu planowi. „Miał bardzo silne wątpliwości co do tego” — powiedział — „czy bolszewizm da się stłumić bronią, dla tego wydawało mu się rzeczą nierozsądną zaczynać działać militarnie, zanim mocarstwa zgodzą się na linję działania w celu stłumienia bolszewizmu, jako społecznego i politycznego niebezpieczeństwa”.

Wodzowie wojskowi tak długo byli wszechpotężni, że trudno im było przestać działać. Szukali nietylko wojskowej władzy, ale pragnęli równie dobrze panować w politycznych i ekonomicznych sprawach. Gdy nasz przedstawiciel skarbu, mr. Davis, przybył do Paryża, poinformował go Klotz, francuski minister finansów, że będzie poprostu doradcą marszałka Focha, ale ten natychmiast i stanowczo sprzeciwił się temu. Gdy zaproponowano, by cywilni eksperci towarzyszyli marszałkowi Fochowi w jego układach z Niemcami w Spa, marszałek z oburzeniem odrzucił tę propozycję i przez pewien czas odmawiał wykonania rozkazów własnego rządu, chyba że mu pozwolą zachować pełną władzę. Clemenceau musiał go prosić.

„P. Clemenceau powiedział, że, usuwając na bok zupełnie własne swe opinie, pozwala sobie zapytać marszałka Focha, czyby nie zechciał podporządkować swoich własnych, osobistych uczuć i skłonności i zostać rzecznikiem sprzymierzonych... Jest rzeczą bardzo ważną, by żadne nieporozumienia nie ujawniły się wśród sprzymierzonych w wilję powzięcia decyzji, któraby mogła doprowadzić do bardzo poważnych następstw, nawet do wznowienia kroków nieprzyjacielskich.¹⁾

Jednakże Foch odrzucił myśl uznania jakiegoś autorytetu nad sobą. Nie chciał pojechać do Spa „poto tylko, żeby list oddać”. Nie był tylko „puszką do listów”.

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 21 marzec.

Potrzeba było całej prywatnej sesji z szefami rządów (24-go marca) nato, ażeby go ostatecznie przekonać.

W ten sposób walka o ugięcie albo o uciszenie militarnego ducha doprowadzała czasem do najostrzejszych sporów. Pewnego dnia (7 lutego) Clemenceau wybuchnął uwagą, że „marszałek Foch nie był militarnym papieżem; mylił się niekiedy. Był wielkim wodzem i wszyscy są gotowi oddać mu cześć, jako takiemu, ale tu czekała inna praca!“ Na jednym z późniejszych posiedzeń, gdy marszałek Foch istotnie zażądał, by warunki pokojowe były gotowe do 1 kwietnia, pan Balfour zauważył, że wojskowi delegaci „chcą zmusić Radę do ustanowienia pokoju w tej dacie, grożąc, że nie będą zdolni inaczej woli swej wyśmóc na nieprzyjaciela. To tyle znaczy, co przyłożyć Radzie pistolet do głowy“.

Lloyd George musiał często stawiać czoło generałom. „Żadnego generała opinia nie zachwieje decyzji mojej“ — powiedział 7 marca.

Jako środek zaradczy na wszystko stale podsuwano siłę. Oto są wielkie armje jeszcze nie zdemobilizowane — dlaczegoż by ich nie użyć? Ta armja 2.000.000 młodych Amerykanów w świetnym stanie była dla generałów wielką pokusą; wyprawy z nią po całym świecie układano ciągle przez te sześć miesięcy po zawieszeniu broni.

Nikt nie walczył uporczywiej, niż prezydent Wilson, o zapobiegnięciu dalszemu szerzeniu się wojny, o chronieniu się przed tym duchem wojennym, o ustaleniu zpowrotem stosunków normalnych i cywilnego toku życia. Pamiętam, że zaniósłem mu kiedyś kilka doskonałych referatów od ekspertów o sytuacji w Europie centralnej. Przeczytał je uważnie i powiedział:

„Podobne są do większości raportów, jakie dostajemy; są dobre jako przedstawienie faktów, ale nie mówią nam, co należy zrobić. Oni wszyscy żądają od nas dalszych wojen“.

Była to pruska idea siły, militarnych sankcyj i militarnych metod, od których starał się odejść — które należało porzucić, zanim pokój mógł być zawartym. To było częścią „starego porządku“, który spowodował wojnę; on był tu poto, „by nowy porządek“ wprowadzić. Odcięli olbrzymim wysiłkiem głowę

pruskiej hydrze, a oto nowe głowy hydry odrosły po całej Europie. Stare moce były tu nawet, na konferencji pokojowej, pragnąc dyktować, a przynajmniej wpływem swym kierować układy. W wymownem wystąpieniu na Radzie Czterech, gdy włoska kwestja była w toku obrad i Sonnino dopominał się na podstawie tajnego traktatu londyńskiego o panowanie Włoch nad Adrjatykiem ze względu na militarne powody, Prezydent powiedział:

„Militaryści ze swojemi strategicznemi, wojskowemi, ekonomicznemi argumentami byli odpowiedzialni za traktat z r. 1815. Podobnie militaryści odpowiedzialni byli za Alzację i Lotaryngję. Militaryści prowadzili Europę z jednego błędu w drugi..... My teraz zajmujemy się ustanowieniem międzynarodowego związku..... Gdyby to nie wystarczyło, natenczas musiałyby dwa porządki istnieć — stary i nowy..... Nie moglibyśmy równocześnie dosiadać dwóch koni. Lud Stanów Zjednoczonych wyparłby się tego. Obrzydł im stary porządek. Nietylko lud amerykański, ale lud całego świata znużony jest starym systemem i nie zniósłby rządu, któryby go popierał“.

Jednakowoż Francuzi pragnęli silnego, surowego pokoju, a chociaż okropnie ucierpieli od militarnej siły, wciąż jeszcze jej się rozpaczliwie trzymali. Jeszcze ciągle i nie bez słuszności bali się Niemiec. Oni to ucierpieli najwięcej, oni znieśli cały napór wojny; oni najprawdopodobniej musieliby ucierpieć znowu, gdyby Niemcy znów odzyskały potęgę i zapalały mściwością. Dobrze rozumieli, jakie warunki nałożyliby im Niemcy, gdyby oni byli zwycięzcami. To też lękali się zbyt prędkiej demobilizacji sprzymierzonych armij, zbyt szybkiego ostygnięcia wojennego ducha. Pragnęli utrzymać wielkie armje, ażeby ich użyć przeciw Niemcom albo Rosji. Było jasnem, że im silniej podtrzymany byłby nastrój wojenny, tem surowsze możnaby ustalić warunki pokoju.

Jednym z ciężkich zarzutów, czynionych Prezydentowi ze strony Francuzów było, że tak długo się ociągał ze zwiedzeniem zniszczonych terenów. Chcieli widocznie pobudzić go do surowości, dając mu naocznie obraz tego, co Francja ucierpiała, co

Francja czuła, chcieli udzielić mu coś ze swojej boleści i goryczy. 10 lutego p. Klotz, francuski minister finansów, przyprowadzony na Radę, zaczął odczytywać broszurę, opisującą straszliwe zniszczenie francuskiego przemysłu w strefie okupowanej. Ale prezydent Wilson powiedział: „ten widok musi niewątpliwie wzburzać ich uczucia, ale jak to podziała na ich plany?” Czuł silnie, że do pokoju przystępować nie należy w roznamiętnieniu, z nienawiścią lub strachem, ale z całym spokojem, rozumem, cierpliwością, na jaką się zdobyć można. Świat potrzebował pokoju, nie ducha mściwości. Nad tem Wilson pracował od rana do nocy.

Przy każdym odnowieniu i tak już surowych warunków zawieszenia broni, marszałek Foch starał się nałożyć coraz więcej i coraz surowsze warunki nieprzyjacielowi, a nawet uprzedzić, przez rozszerzenie warunków zawieszenia broni — ewentualnie akcją wojenną popartych — postanowienia, które właściwie do pokojowego traktatu należały.

Prezydent Wilson oparł się stanowczo temu rozszerzaniu, dowodząc, iż Niemcy zaprzestali walki na pewnych umówionych warunkach i że nie jest ani sprawiedliwym, ani słusznym zmuszać ich do przyjmowania warunków przed traktatem. Aljanci przyjęli jego plan postanowień, a Niemcy zaprzestali walki, jasno rozumiejąc, co ten plan przewidywał. W takich metodach widział on tylko odżywanie nienawiści i rozgoryczeń wojennych, które przecież pragnął załagodzić.

„Prezydent Wilson powiedział, że... uważał to za swój obowiązek sprzeciwić się wszelkim dodatkom do warunków zawieszenia broni. Uważa, że Rada powinna była wiedzieć, co robi, gdy formułowała projekt zawieszenia broni i że nie przystoi próbować teraz poprawiać błędy, wtedy popełnione.¹⁾

W tem silnie poparł go generał Bliss, który już przedtem walczył o to w Sekcji Militarnej Najwyższej Rady Wojennej, a nawet wysłał do Rady Dziesięciu wniosek mniejszości, zawierający jego sprzeciw. „Wprowadzanie takich żądań przy odnawianiu zawieszenia broni, z dodatkiem gróźb, że się siły użyje,

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 7 luty.

jest niehonorowe... nie jest potrzebne i... może oznaczać podjęcie dalszej wojny“.¹⁾

Lloyd George, a jeszcze bardziej Balfour, poparli Amerykanów w tym sporze.

Jednakże przez ciąg całej konferencji marszałek Foch uparcie walczył za najdalszemi żądaniami Francji. Cała konferencja pokojowa musiała być nieznośnem przedsięwzięciem dla szpakowatego starego generała, który wygrał wojnę. Przez całe życie pracował tylko dla jednego celu, wojny; znał tylko militarne metody i przez całą konferencję namiętnie pracował dla dobra Francji tak, jak je rozumiał, i na jedyny dla siebie zrozumiały sposób, sposób wojskowy. Miało się często wrażenie, że choć był najwięcej sławionym człowiekiem w całej Francji, chodzącym zawsze w chwale, jednak rozgoryczonym był w głębi ducha. Gdyby był mógł postanawiać po swojemu, byłby był wtrącił Europę w dalszą wojnę, nietylko w natychmiastową wojnę, ale jeszcze straszniejsze przyszłe wojny, a jednak czuł się zupełnie usprawiedliwionym w swojej opozycji. Potrafił klęczeć pokornie na mszy co rano, jak miał stały zwyczaj i prosić o błogosławieństwo Boże dla tego, co czynił. Ostatecznie, opozycja jego była tak nieubłagana, że spisano traktat, nie pokazując mu nawet kopji uchwał, zanim je przedstawiono na szóstej plenarnej sesji.

„Miałbym kilka uwag do zrobienia“, — powiedział w silnem przemówieniu przy tej sposobności — „gdybym miał tekst traktatu w ręku, ale muszę przyznać, że nie posiadam go dotąd“.

Pomimo to stał tam, ten śmiały, uparty, dzielny, krótkowidzący stary żołnierz, by zwalczać do ostatka traktat, który uważał za niedość surowy; że miał za sobą liczne zastępy wyrazicieli publicznej opinji we Francji, to pewna — opinji publicznej, która usunęła Clemenceau, jak tylko się konferencja pokojowa skończyła.

Nieuchronnym dodatkiem wobec takiego napięcia wojennego ducha, rezultatem przemożnego zwycięstwa sprzymierzonych było to, że zarówno u wielkich, jak małych narodów Europy —

¹⁾ Z listu generała Blissa do prezydenta Wilsona, zawierającego ten wniosek mniejszości.

małe były równie niepohamowane, jak wielkie — zbudził się impuls do natychmiastowego chwytania materialnych owoców zwycięstwa, zbudził się instynkt — grabieży. Straty poniesiono wielkie, straty w ludziach i we własności; te trzeba było powetować, a powetować odrazu. A leżało to nie tylko w duchu przywódców, którzy pragnęli wysep, kopalń węgla, miast albo okrętów — każdy chłop który stracił krowę, chciał mieć swoją krowę, albo i dwie krowy i to natychmiast. Z tego względu sytuacja, po rozpoczęciu się konferencji pokojowej, stała się tak zaostrzoną, tak groźną, że 24 stycznia prezydent Wilson naszkicował następujące orędzie do narodów świata, odczytał je towarzyszom swoim na konferencji i z ich aprobatą je ogłosił. Ta przestroga przeciw szerzącemu się w świecie duchowi grabieży była przeto pierwszym jego ważnym odezwaniem się na konferencji pokojowej:

„Rządy, złączone teraz na konferencji w celu osiągnięcia trwałego pokoju między narodami, głęboko niepokoją się dochodzącymi je wieściami o wielu wypadkach, gdzie używa się sił zbrojnych w różnych stronach Europy i Wschodu, dla zyskania terytoriów, co do uprawnionych pretensyj do których winno się zwrócić do konferencji po orzeczenie. Rządy te uważają za swój obowiązek uroczyście przestrzec, że posiadanie, osiągnięte siłą, poważnie zaszkodzi żądaniom tych, co takich środków używają. Stworzy ono przypuszczenie, że ci, którzy używają siły, wątpią o słuszności i wartości (*validity*) swojej pretensji i zamierzają podstawić fakt posiadania za dowód słusznego prawa i panowanie osiągnąć przymusem racze, niż na podstawie rasowego i narodowościowego wolnego wyboru i naturalnego historycznego skojarzenia. Tym sposobem rzucają cień na wszelki dowód czy tytuł, na któryby się później powoływać chcieli, i okazują brak zaufania samej konferencji. Najgorsze tylko rezultaty mogą z tego wyniknąć. Jeżeli spodziewają się sprawiedliwości, powinni powstrzymać się od gwałtu i złożyć żądanie swoje z niezmaconą dobrą wiarą w ręce konferencji pokojowej“.

Ale słowa jego wtedy, jak to później wykażę, były to słowa rzucone na wiatr.

Konferencja pokojowa przeto nie może być rozważana niezależnie od tła swego, od swego otoczenia: patrzeć na nią należy nie jako na odrębne i oderwane ciało, spokojnie rozważające, co będzie dla świata z największą korzyścią, ale jako na burzliwy okres przejściowy pomiędzy wojną i wojenną psychologią — a najlepszym urządzeniem spraw w pokojowych, na jakie stać było daną chwilę, opanowaną jeszcze duchem wojny. Był to czas, gdy ludzie, „błądzili między dwoma światami, z których jeden już nie żył, a drugi nie miał sił, by się urodzić“.

ROZDZIAŁ X.

ORGANIZACJA KONFERENCJI POKOJOWEJ — WALKA O WŁADZĘ.

Gdy przyszło do zmagania się ze sobą narodów w Paryżu, jednym z pierwszych i najważniejszych pytań było: kto będzie rządził?

Było tam dwadzieścia siedm narodów; który miał rządzić na konferencji? Czy małe i słabe narody dostaną równe prawa reprezentacji z wielkimi państwami i mocarstwami? Czy nieprzyjacielskie narody będą dopuszczone? Jeżeli tak, to w którym okresie prac?

Te pytania docierają do samego rdzenia starć w Paryżu; w dyskusjach nad nimi odsłaniało się prawdziwe stanowisko narodów i ich przedstawicieli; one były probierzem prawdziwej wartości każdego z przywódców; ostateczne linje postępowania w nich zostały ustalone.

Najbardziej podstawowy problemat rządzenia, choć dziwnem-by się to wydawało, został w praktyce rozwiązany bez dyskusji. Samo się rozumiało, że konferencja ma być prowadzoną przez narody sprzymierzone, bez radzenia się Niemiec, Austrii, Węgier, Turcji i Bułgarji. Było to w istocie nieuchronnem następstwem druzgoczącego zwycięstwa, odniesionego przez aljantów, i strasznej nienawiści, wywołanej wojną o niebywałej dotąd dzikości. Pokój miał być narzuconym, nie uzyskanym na drodze rokowań. Nie miał to być kongres, gdzieby wszystkie narody, poprzedni nieprzyjaciele i przyjaciele, były reprezentowane, ale konferencja samych aljantów.

Chociaż decyzja ta wyrosła tak naturalnie z samych warunków danej chwili, że zaledwie drobne wywołała komentarze,

posiadała ona jednak w rzeczywistości daleko sięgającą wagę; nakładała bowiem odrazu na aljantów wielki ciężar, będący jednym z najtrudniejszych probierzy ludzkiej natury, ciężar wymierzania sprawiedliwości — a przynajmniej udawania, że się ją chce wymierzyć — podczas gdy sami jeszcze drżeli od gryzącego bólu potwornej krzywdy; a uczynić to mieli bez wysłuchania, bez naradzania się z drugą stroną, której się w głębi duszy wciąż jeszcze bali, której niedowierzali, którą nienawidzili.

Prezydent Wilson obejmował ten problem, jak większość problemów wojny, jasnym i pewnym wzrokiem. We wcześniejszym okresie wojny, zanim jeszcze rozgoryczenie dosięgło swego najwyższego stopnia, zanim Ameryka wstąpiła do wojny i gdy jeszcze tajne traktaty przedstawiały prawdziwą zagraniczną politykę narodów, mówił (w styczniu 1917) o „pokoju bez zwycięstwa“. Widocznie miał nadzieję, że pokój drogą rokowań byłby możebnym — i była, jak obecnie wiemy, pewna wówczas gwarancja na to, że można go może było do skutku doprowadzić — gdyż lękał się rezultatów przemożnego zwycięstwa i pokoju, narzuconego czy przez tę stronę, czy tamtą.

„Chcę tylko spojrzeć w twarz rzeczywistości (mówił)... Zwycięstwo oznaczałoby pokój, wymuszony na przegrywającym, warunki zwycięzcy, narzucone zwycięzonemu. Przyjęty byłby w upokorzeniu, pod przymusem, z poświęceniem nie do zniesienia i pozostawiłby piekącą ranę, urazę, gorzkie wspomnienie, na którym warunki pokoju spoczywałyby nie trwale, ale jak na ruchomym piasku.“

Bezwzględne w istocie zwycięstwo aljantów w owym czasie (a to odnosiłoby się jeszcze tem bardziej do niemieckiego zwycięstwa), z dosłownem wykonaniem umów, już pozawieranych przez dyplomatów, bądź to tajnie, bądź też jawnie, bez programu postanowień na zasadach sprawiedliwości, bez widoku jakiejś nowej podstawy dla międzynarodowych stosunków, byłoby miało jako wynik ostateczny to, co Prezydent jasno przewidywał, nowe tylko i jeszcze niebezpieczniejsze układy równowagi sił, i nowe, jeszcze zazdrośniejsze kombinacje interesów; ewentualnie stałoby się podstawą nowych wojen.

Tymczasem wojna stawała się coraz więcej zażartą; Niemcy szaleńczo postanowili wyciągnąć logikę militarnej siły do jej krańcowych wyników. W kwietniu 1917 Ameryka przystąpiła do wojny i z miesiąca na miesiąc stawało się coraz widoczniej-szem, że wojnę trzeba będzie prowadzić „do upadłego“. Tak to określił Lloyd George. Jednem słowem, stało się jasnem, że, pomimo przewidywanych przez Prezydenta niebezpieczeństw, do pokoju zwycięskiego przyjść musi. Prezydent przyjął to za fakt rzeczywisty i zaczął odrazu obmyślać metodę, której podstawy już był położył, dla zmierzenia się z tym faktem. Musiał rozwinąć, ale rozwinąć tak potężnie, żeby żaden naród uchylić się od niej nie mógł, politykę tak obmyśloną, by pokój zwycięski stał się bezpiecznym dla świata. Musiał podnieść całą psychologję walki na wyższy poziom, na poziom moralny. Musiał, zwracając się z wezwaniem do wszystkich idealistycznych sił w świecie, używając wielkiego prestige Ameryki, śmiało głosząc bezinteresowność amerykańską, nakłaniać zawczasu zwycięzców do sprawiedliwego i słusznego pokoju, opartego na nowej międzynarodowej kooperatywnej organizacji, ażeby zagwarantować trwałość tego pokoju.

Program jego był zarówno jasnym, jak prostym: opierał się na historycznych amerykańskich zasadach i przemówił światu do przekonania, gdyż przedstawiał poprostu to, co w głębi duszy ludzie uważali za prawdę. Wszyscy pamiętają, jak się budował ten gmach mądrości politycznej: różne adresy, „punkty“, przyjmowanie amerykańskiego programu przez jeden naród za drugim, a wkońcu to finale, które doprowadziło do zawieszenia broni. W przeciągu roku Prezydent dźwignął cały świat na nowy poziom sumienia i działania. Nawet przywódcy przyjęli jego program, jeśli nie z pełnem zaufaniem i zrozumieniem, to w każdym razie jako moment ku jedności.

Tym sposobem w listopadzie 1918 otrzymała Ameryka uroczystą obietnicę Francji, Wielkiej Brytanji i Włoch — a także Niemiec — że pokój zostanie zawartym na podstawie Czternastu Punktów. Przyjęli, zupełnie formalnie, zasadę (Prezydent postawił ją jako pierwszą z pięciu zasad w swoim orędziu z sierpnia 1918), że „wymiar bezstronnej sprawiedliwości nie pozwala czynić różnicy pomiędzy tymi, względem których pragniemy

być sprawiedliwi, i tymi, względem których nie pragniemy być sprawiedliwi.“

Prezydent — a z nim Ameryka — szczerze wierzyli, że narody Europy myślały to, co mówiły, i wierzyli nie tylko, że zamierzają spełnić to, co obiecali, ale że spełnić to mogą. W sam dzień zawieszenia broni — kto, obecny tam wtedy, może o tem zapomnieć? — Prezydent stanął przed Kongresem — obie Izby zeszły się razem — by objawić wielką nowinę, że koniec wojny nadszedł, „tej tragicznej wojny, której pożerające płomienie ogarniały naród za narodem, aż cały świat stanął w ogniu.“ Udzielił Kongresowi tej wielkiej wieści, że „zbrojny imperjalizm się skończył..... w przepaści ostatecznej klęski.“ Poczem wyraził swoją własną wiarę i wiarę Ameryki w to, że można zaufać zwycięzcom, iż zawrą pokój na amerykańskich zasadach.

„Wielkie narody, które stowarzyszyły się dla zniszczenia jej (militarnej potęgi Niemiec), teraz złączyły się ostatecznie w wspólnym zamiarze ustanowienia takiego pokoju, któryby zadowolił tęsknotę całego świata ku bezinteresownej sprawiedliwości, wcielonej w postanowienia, oparte na czemś o wiele lepszym i o wiele trwalszym od samolubnych, współzawodniczących między sobą interesów potężnych państw. Nie potrzebujemy dopiero przypuszczeń co do zamiarów, jakie mają na myśli zwycięzcy. Duszę włożyli w tę sprawę, a nie tylko duszę, ale i serce także. Ich zgodnem zamierzeniem, które jawnie wyznali, jest opiekować się słabymi i również słuszne prawa przyznać silnym.....“

Ufam, że narody, które się nauczyły prawa wolności i z opowaniem samych siebie poddają się jej niosącym ład przepisom, podbiją teraz świat samą siłą przykładu i przyjacielskiej gotowości do usług.“

Nie rozumiał on jednakże wtedy — mało kto z Amerykanów mógł to rozumieć, gdyż dalekimi byli od nienawistnych uczuć Europy — jak strasznie narody ucierpiały od wojny, jak zawziętemi się stały i jak duch wojny i wszystkich najgorszych namiętności, wojną rozpętanych, przeżarł, niby rak, duszę Europy i zatrął ją — i jak trudno będzie utrzymać przy życiu to podniesienie ducha, na którem Ameryka opierała ziszczenie szlachetnych zasad, przez siebie niesionych. Ani tego nie uświadamiał

sobie Prezydent, że ta sama reakcja — może mniej gwałtowna — niebawem zapanuje i w własnej jego ojczyźnie. Poznał później, jaka go walka czeka, ale postanowił stoczyć ją do końca „w sposób przyjemny, jeśli się da, nieprzyjemny, jeśli będziemy zmuszeni“, jak powiedział do towarzyszy swoich na *George Washingtonie*.

I tak się stało, że ta wielka pierwotna decyzja, jak powiedziałem, zapadła prawie bez dyskusji. Było to zgóry postanowieniem. Jednakże każdy, kto rzeczywiście oczekiwał sprawiedliwego pokoju w Paryżu — trwałego pokoju — a nie na starą modłę, chciwego, mściwego pokoju — wiedział, jaki ciężar podjęli pokój czyniący zaraz u samego wstępu.

Lecz zaraz następny krok doprowadził do żywych utarczek na konferencji 12 stycznia. Było bowiem nie mniej jak dwadzieścia siedm pełnych oczekiwania narodów, wielkich i małych, które przybyły do Paryża pomagać przy zawieraniu pokoju. Były tam nietylko wielkie mocarstwa i Stany, które wygrały wojnę, ale małeństwa takie, jak Siam, Nicaragua i Liberia, które także wygrażały pięścią Niemcom, i nowe państwa, jak Polska i Czechosłowacja, które jeszcze nie stały pewno na nogach, ale pełne były ambicji. A była to rzecz dziwna, ale ludzka, że te małe państewka, nad którymi opieka była jednym z uznanych celów wojny, odrazu stały się hałaśliwsze, bardziej imperjalistyczne, niż wielkie państwa, co wojnę stoczyły. I każde z nich, powołując się na równe prawa małych narodów, żądało równego udziału w dziele układania pokoju.

Odrazu powstała kwestja: Czy należało wszystkie dwadzieścia siedm dopuścić na równych warunkach, czy też, w przeciwnym razie, które państwo miało rządzić konferencją i w jaki sposób?

W tem był rdzeń sprawy i dwa biegunowo przeciwne poglądy wyłoniły się odrazu.

Pierwszy, był to szczerzy pogląd starych militarnych i dyplomatycznych przywódców, ażeby utrzymać rząd wyłącznie w rękach czterech czy pięciu wielkich mocarstw, które, jak się Lloyd George wyraził, „odbyły wyścig wojenny“, i ażeby regulować postanowienia przedewszystkiem względami na obawy i pragnienia tych wielkich narodów. Clemenceau, który zupełnie

uczciwie był głównym rzecznikiem tego poglądu, mając na oku jedynie interes i bezpieczeństwo Francji, nie miał zrazu ochoty nawet zastanowić się nad naradzaniem się z mniejszymi narodami. Ujął całą sprawę treściwie zaraz pierwszego dnia konferencji:

P. Clemenceau: Czy mam rozumieć z oświadczenia prezydenta Wilsona, że niema kwestji, choćby najważniejszej dla Francji, Anglii, Włoch albo Ameryki, co do której przedstawiciele Honduras albo Kuby nie byliby wzywani, by wyrazić swoje zdanie? Byłem dotychczas zawsze tego zdania, że pięć wielkich mocarstw powinno dojść do decyzji w kwestiach ważnych, zanim wejdą do sali kongresu, by zawrzeć pokój. Gdyby nowa wojna miała powstać, Niemcy nie rzuciliby wojsk swoich na Kubę albo na Honduras, ale na Francję; zawsze tylko na Francję. Dlatego proszę, żebyśmy zostali przy propozycjach już uczynionych, propozycjach, ażeby schodzić się na posiedzenie, w których uczestniczyć mają przedstawiciele pięciu państw wspomnianych, by dojść do decyzji w ważnych kwestiach i żeby przestudjowanie mniej ważnych powierzono komisjom i komitetom przed zebraniem się konferencji.¹⁾

Taka była jedna ostateczność. Za drugą obstawało tych niewielu, którzy wierzyli, przynajmniej w teorii, że wszystkie narody powinny być dopuszczone na konferencję na jednakowej podstawie i, co za tem idzie, że wszystkie powinny mieć równe prawo głosowania — Siam i państwo brytyjskie, Costa Rica i Stany Zjednoczone. Pan Lansing widocznie stał na tem stanowisku, chociaż nie upierał się przy niem wprost na konferencji.

„Prezydent, jak teraz to widzę,” (mówi), „powinien był nalegać, żeby wszystko przedkładano na plenarnej konferencji. Byłby miał wtedy zaufanie i poparcie wszystkich mniejszych narodów, gdyż byliby w nim widzieli swego obrońcę i przewodnika. Byliby za nim poszli.”

Wynika stąd, że Prezydent na takiej konferencji dwudziestu siedmiu narodów mógł utworzyć blok mniejszych naro-

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 12 stycznia.

dów i w ten sposób opanować konferencję przeciw Anglii, Francji, Włochom i Japonji. Pan Lansing, zdaje się, przypuszczał, że mniejsze narody, w ten sposób w pełni reprezentowane na konferencji, byłyby jakoś mniej chciwe, mniej rządzące się interesem, jak wielkie narody.

Mamy tutaj dwie ostateczności: pierwsza, militarystyczna idea, oparta na twierdzeniu, które Clemenceau zawsze szczerze głosił, parafrazując Klausewitz, że „pokój jest tylko wojną, inaczej prowadzoną”; druga, idea legalistyczna (głęboko zakorzeniona w starym pojęciu równości monarchów z bożej łaski), że wszystkie państwa są sobie równe. Pierwsza idea, choćbyśmy nią gardzili, była wykonalną — co więcej, była ona w zgodzie z tradycją — i nadawała się jako środek rządzenia w Paryżu, podczas gdy druga, jako sposób działania w niespokojnej sytuacji światowej takiej, jaka istniała w czasie konferencji w Paryżu, była zupełnie niewypróbowaną i nikt jej nawet poważnie nie rozważał, chyba jeden pan Lansing potajemnie w swoim dzienniku.

Jednakże krańcowi legaliści zarówno niecierpliwili Prezydenta w Paryżu, jak krańcowi militaryści; tak jedni, jak i drudzy dalecy byli od pojmwania, od zrozumienia zapatrywań jego na uregulowanie spraw świata. Jego idea bowiem była ideą moralną w przeciwieństwie tak do militarystycznej, jak legalistycznej. Całe ujęcie, duch jej — były inne. Rzeczywisty pokój, w jego pojęciu, nie mógł się opierać ani na militarnej sile, ani na legalnym mechanizmie, choć jedno i drugie mogło odegrać swą rolę w doprowadzeniu go do skutku; musiał być natchniony nowem mozolnem zamierzeniem, kierowany beznamietnem, naukowem zbadaniem i zagwarantowany pozytywną odpowiedzialnością. Żądał nietylę zmiany metod, choć i tego pragnął także, ile zmiany stanowiska. W swem gorącym dążeniu do istoty rzeczy, do jej ducha, za mało dbał o te czynniki organizacji i procedury, których taktyczną pożyteczność jasno oceniali pospolici dyplomaci. Tych myślenie obracało się ciasno w zakresie praw, interesów, bezpieczeństwa swoich własnych państw, podczas gdy Prezydent szeroko obejmował myślą obowiązki, odpowiedzialność, sposobność niesienia usług ze strony wielkich państw, a zwłaszcza Ameryki. Te dwa poglądy, naturalnie, są biegunowo odległe i nie można zrozumieć konferencji pokojowej bez jasnego zro-

zumienia różnicy tych dwóch stanowisk. Prezydent śmiało zastosował jedną z najstarszych i najszlachetniejszych moralnych zasad do zepsutego, egoistycznego, chciwego spłotu stosunków starej dyplomacji, ale wierzył wtedy całą duszą, — i Paryż nawet nie zdołał zaćmić jego przekonania — że ani prawdziwy pokój, ani prawdziwa sprawiedliwość nie jest odtąd możliwą na starej podstawie „interesu“ jedynie i że świat musi stanąć na innym stanowisku, zanim ludzkość rozwiąże problemat życia i śmierci, przed jakim obecnie staje.

„Wiedziecie“ — przemawiał do obywateli Manchesteru 30 grudnia 1918 — „że dotychczas światem rządziły, a przynajmniej próbowały nim rządzić, spółki interesów, ale te zbankrutowały. Interes nie wiąże ludzi; interes ludzi rozdziela. Bo z chwilą, gdy nastąpi najmniejsze odchylenie od dokładnego podziału korzyści, zaraz zaczynają budzić się zazdrości. Jedna jest rzecz tylko, mogąca ludzi związać, a tem jest wspólne umiłowanie słuszności. Od samego początku dziejów wolności ludzie mówili o swoich prawach i trzeba było na to kilku wieków, ażeby spostrzegli, że zasadniczą częścią prawa jest obowiązek i że, jeżeli człowiek nie spełnia całego swego obowiązku, nie należy mu się żadne prawo.“

Jakkolwiek pogiębioną została ta wielka idea w Paryżu, podniesie ona nie jeden raz swój głos, by — dręczyć i oczyszczać narody ziemi tak, jak drażniła i oczyszczała duszę człowieka — jest ona bowiem prawdą. A nie tylko jest prawdziwą, jak Prezydent stale upominał na konferencji, ale jest w niej zawarty jedyny rzeczywiście praktyczny moment. I tak, na przykład, powtarzał raz za razem, że nie leżałoby to bynajmniej w interesie Włoch zagarniać wybrzeże Adrjatyku i Fiume i robić sobie tym sposobem nieprzyjaciół z Jugosławian; że raczej powinno się mieć w nich przyjaciół, dopomóc im, by zyskać podstawę do przyszłego powodzenia i rozwoju obu krajów. Jednakże Włosi woleli bezpośrednie korzyści, bezpośrednie bezpieczeństwo i woleli ryzykować przyszłość.

Gdy 12 stycznia powstał ten problem rządzenia, Prezydent zmuszony był znowu spojrzeć oko w oko rzeczywistej sytuacji. Miał to być narzucony pokój — chociaż konferujący unikali tego określenia przez cały czas konferencji — a wielkie mocar-

stwa, mając wielkie swoje floty i armję jeszcze ciągle gotowe, wobec tego, że świat wciąż jeszcze oddychał wojną, dzierżyły nadal jeszcze rzeczywiste panowanie i z konieczności musiały rozwiązywać wiele problemów — które z początku były równocześnie problemami wojny i pokoju. Ale ci ludzie i przedstawiane przez nich narody przyjęły amerykańską podstawę pokoju! Trzeba im ufać i pracować z nimi! Poza tem Prezydent miał głębokie poczucie sprawiedliwości, bezinteresowności, jak również potęgi Ameryki i bezgranicznie stanowczą wolę ze swej strony, bez względu na innych delegatów, trwać przy swoich zasadach, utrzymać stanowisko właściwe. Za bardzo ufał w prostą moc właściwego stanowiska.

Ostatecznie, starłszy się z Clemenceau i z Lloyd George'm o danie większej sposobności mniejszym narodom, Prezydent przedstawił swój pogląd na procedurę w sposób następujący:

Prezydent był za prowadzeniem nieformalnych narad w gronie przedstawicieli wielkich mocarstw, ale uważał, że powinna też być organizacja dla wszystkich narodów, gdyż inaczej istniałoby ryzyko, że mała ilość narodów regulować będzie sprawy świata, a inne narody mogą być z tego niezadowolone¹⁾.

Myślał nie tylko o bezpośrednich postanowieniach pokojowych, ale i o przyszłej organizacji świata i ten kompromis w praktyce przyjęto: małe konferencje wielkich mocarstw, od których ostateczne decyzje zależały (Rada Dziesięciu, później Rada Czterech), i organizacja wszystkich państw, wielkich i małych, gromadzących się na sesjach plenarnych. Mniejsze państwa były także dopuszczone do wielu komisij i dopuszczano je swobodnie do głosu, gdy ich interesa podlegały naradom wielkich mocarstw. Był to wielki postęp w stosunku do metod, stosowanych w Wiedniu przed stu laty, gdyż tam mniejsze państwa były zupełnie pozbawione głosu.

Przyjmując ten system rządu w rękach wielkich mocarstw przez czas niespokojnego okresu przejściowego do chwili, aż się powoła do życia Ligę Narodów, w której wszystkie narody,

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 12 stycznia.

wielkie i małe, miały być reprezentowane, Prezydent czuł się silnym na swojej pozycji — choć wtedy jeszcze nie uświadamiał sobie potęgi tradycji, ani żywotności interesów starej dyplomacji. Rozważmy, jakie miał gwarancje. Miał, najpierw, solenną obietnicę sprzymierzonych — tych samych przywódców, zasiadających w Paryżu — że ułożą pokój, oparty na przyjętych, amerykańskich zasadach; po wtóre miał żywe poczucie potęgi i bezinteresowności Ameryki w popieraniu go w jego własnem niezachwianem postanowieniu.

Oprócz tego jednak był jeszcze jeden nader ważny czynnik, na który wiedział, że może liczyć. Już wspominałem o przygotowanym w Paryżu sztabie rzeczoznawców i uczonych, o wiele przewyższającym to, co uczyniono na wszelkich dawniejszych konferencjach. Leżało w pierwotnem założeniu tego nowego rodzaju pokoju, mającego się opierać na ogólnych zasadach sprawiedliwości raczej, niż na starych tajnych traktatach i nacjonalistycznych chciwościach i strachu, że te zasady mieli ustalić beznamiętni uczeni i rzeczoznawcy, badający tylko fakty, szukający tylko prawdy. Z tego to powodu Prezydent przy każdym zwrocie w dyskusjach, często wbrew ostrej opozycji reszty konferujących, domagał się, by problemy wpierv przestudjowała komisja rzeczoznawców. Wiedział bowiem, że otwarty, beznamiętny, naukowy duch ankiety w zastosowaniu do międzynarodowych problemów był przeciwieństwem wszystkiego tego, czego stara, wykoszlawiona dyplomacja i stary militarizm broniły; było to światło w ciemnościach.

Ta walka, w której Prezydent starał się używać broni nowej dyplomacji przeciw starej, zaznaczyła się we wszystkich stadjach konferencji. Stara metoda wytaczała swoje tajne traktaty, swoje strategiczne konieczności, swoje nacjonalistyczne ambicje — nowa domagała się zawsze przestudjowania faktów, opartych na przyjętych zasadach. W tem prym wiodła Ameryka, gdyż Ameryka rzeczywiście żadnym bezpośrednim materjalnym celom nie służyła; Wielka Brytania szła następnie, ponieważ jej interesy były już przeważnie zaspokojone, zanim konferencja pokojowa zaczęła swe posiedzenia. Francuscy rzeczoznawcy, choć często ludzie jak największej wiedzy, zbyt często byli zarazem politykami, a Włosi byli naogół przeciwni badaniom.

1-go lutego, naprzykład, powstała na Radzie Dziesięciu bardzo znacząca i wiele mówiąca dyskusja nad dwiema przeciwnymi metodami postępowania. Problem skomplikowanych rumuńskich żądań terytorjalnych stanął przed konferencją — zasiadającą wtedy w Radzie Dziesięciu z prezydentem Wilsonem i sekretarzem Lansingiem, jako przedstawicielami Stanów Zjednoczonych.

Po wysłuchaniu oświadczenia pana Bratianu, rumuńskiego prezesa ministrów, mr. Lloyd George, naradziwszy się z prezydentem Wilsonem, powiedział, że niezmiernie jest trudno decydować o kwestjach granic, opierając się na twierdzeniach, chociażby jasnych, uczynionych w ciągu jednej rozmowy, i dlatego proponuje komisję z dwóch rzeczoznawców z każdego z wielkich mocarstw, któraby przestudjowała problemy odnoszące się do kwestji rumuńskiej, a nawet, dodał, która byłaby upoważnioną „zasięgnąć zdania przedstawicieli dotyczących ludów.“

P. Orlando, premier włoski, odrazu zaniepokoił się i zaczął mówić o tajnym traktacie aljantów z Rumunją.

„Nie pragnął (powiedział), bronić tajnych traktatów, które, w istocie, wyszły już teraz z mody; ale skoro traktat został podpisany przez Włochy, Francję i Wielką Brytanię, nie widział różnicy pomiędzy tajnym traktatem a traktatem opublikowanym.“

Następnie zaatakował całą ideę używania specjalistów:

„Rezolucja pana Lloyd George’a mówi o wyznaczeniu specjalistów. Jakiego rodzaju specjalistów? Jeżeli się zamierza wyznaczyć specjalistów do kwestji rumuńskiej, on sam takich niema i trudnoby ich znaleźć. Ale gdyby nawet, postawił pytanie: którą gałąź rumuńskiej kwestji mieliby nam ci specjaliści przedstawiać? Czyby to mieli być geograficzni, historyczni, strategiczni, etnograficzni specjaliści?... Dalej mówi rezolucja, że „Komitet zasięgałby zdania dotyczących ludów.“ Tym sposobem rzeczoznawcy stawiliby się badającymi urzędnikami. Propozycja pana Lloyd George’a staje się tym sposobem bardzo poważną, ponieważ eksperci stanowiliby sąd pierwszej instancji, a delegaci mocarstw ostateczny sąd apelacyjny. Nie mógł zrozumieć, jak taka

procedura załatwiałaby sprawy. Jego zdaniem, wprowadzałoby to z konieczności zwłokę, zwłaszcza, gdyby eksperci postanowili, że badania musi odbywać się na miejscu.“

Bardzo niepokoiła Włochy w tym wypadku, a inne narody w wielu późniejszych wypadkach, gdzie wchodziły w grę ich własne interesy, myśl, że badań będą dokonywać bezstronne uczone komisje. Baron Sonnino, włoski minister spraw zagranicznych, poparł swojego szefa, wyrażając zdanie, że „eksperci mogliby czuć się zmuszeni udać się na miejsce, by zasięgnąć zdania przedstawicieli dotyczących ludów.“ On wcale nie pragnął, by ludy dotyczące były pytane!

Prezydent Wilson wyraził swój pogląd:

„Prezydent Wilson..... powiedział, że szuka wyjaśnienia, a tego niewątpliwie dostarczy przekonujące przedstawienie rzeczy przez ekspertów. Jeżeli rezolucja, proponowana przez pana Lloyd George'a nie uzyska przyjęcia, będzie zmuszony traktować tę kwestję jedynie na podstawie opinii amerykańskich rzeczoznawców; wolałby jednak, gdyby ich wnioski uzupełnione były poglądami francuskich, brytyjskich i włoskich rzeczoznawców.“

Przedstawił równocześnie swoją ogólną politykę w kwestji używania ludzi nauki. Powiedział:

„Od samego początku, skoro tylko Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, miał grono uczonych, stale studjujących takie faktyczne kwestje, jak względy rasowe, przeszłość historyczną i ekonomiczne i handlowe czynniki, ponieważ te dwa ostatnie mają wielkie znaczenie w wielu kwestjach spornych, jak się można było przekonać w sprawie o Banat. Dalej, trzeba pamiętać, że, chociaż można mieć pełne zaufanie do delegatów Rumunji, Serbji i innych krajów, któreby występowały ze swemi żądaniami, są oni tylko adwokatami i żądania ich nieraz mogą stać w sprzeczności z rzeczywistymi wnioskami, wyciągniętymi z faktów. Nie przedstawiali oni faktów wszyscy w ten sam sposób i zawsze pozostawać mogła jakaś niejasność. Ponieważ Stany Zjednoczone nie są związane żadnymi z wiadomych traktatów, gotowe są uznać rozstrzygnięcie na pod-

stawie faktów. Zresztą żądający niezawsze nawet poprzestają na granicach, zakreślonych traktatami, i żądania ich często przewyższają to, co usprawiedliwiają traktaty.“

Rezolucje, przyjęte na tem posiedzeniu konferencji w sprawie używania rzeczoznawców są tak ważne, jako wzór późniejszych rezolucyj, odsyłających sprawy do ekspertów, że je poniżej podajemy:

„Zgodzono się co do tego, że kwestje, podniesione przy pokojowym rozstrzyganiu co do oświadczenia pana Bratianu w sprawie terytorjalnych interesów rumuńskich, mają być odesłane do zbadania w pierwszej instancji przez komitet ekspertów, w skład którego ma wchodzić po dwóch ekspertów Stanów Zjednoczonych Ameryki, Brytyjskiego Imperjum, Francji i Włoch.

Będzie obowiązkiem Komitetu zredukować kwestje dla decyzji do możliwie najszczęplejszych rozmiarów i dołączyć zalecenia dla sprawiedliwego rozstrzygnięcia.

Komitet jest upoważniony do zasiągania opinij dotyczących ludów.“

W miarę jak się dyskusja posuwała naprzód, coraz to więcej ważnych problemów poddawano rzeczoznawcom do zbadania i do przedstawiania wniosków, a niebawem działo się w praktyce tak, że, o ile rzeczoznawcy wszystkich narodów byli w zgodzie, Czterej czy Pięciu przyjmowało ich wyniki bez dalszych komentarzy. Prawdopodobnie trzy czwarte, a może i więcej postanowień traktatu zapadło w ten sposób. Tak ważną była praca tych rzeczoznawców, że myślało się o nich czasami jako o rodzaju improwizowanego albo nieoficjalnego parlamentu, rozstrząsającego problemy i wypracowującego rozwiązanie, by oddać je następnie szefom państw do aprobaty albo veta.

Było tych technicznych komisij nie mniej, jak pięćdziesiąt ośm, a zasiadali w nich specjaliści czterech albo pięciu wielkich narodów dla rozważania wszelakiego rodzaju terytorjalnych, ekonomicznych, etnograficznych i strategicznych problemów i te ciężko pracujące komisje odbyły 1.646 zebrań. Również mimo zarzutów, jakie spotkały pierwszą w tym względzie uczy-

nioną propozycję, komisje te odbyły dwadzieścia sześć badań na miejscu, wysłuchując życzeń miejscowej ludności. Pewna liczba komisyj, jak komisja badająca Syrię, wysłana była tylko przez Amerykanów, mimo silnej opozycji Francuzów, w celu pogłębienia dla własnego użytku znajomości sytuacji, będącej przedmiotem dyskusji.

Decyzje rzeczoznawców nie zawsze uzyskiwały posłuch. Namietności wojenne zbyt jeszcze były podniecone, polityczne i militarne dążenia i potrzeby państw zbyt silnie naciskały, żeby zawsze można było przyjąć chłodne, naukowe orzeczenie. Niekiedy eksperci różnili się ostro między sobą, jak w sprawie włoskiej, w niektórych wypadkach bywali tak stronnymi i politycznymi względami natchnieni, jak każdy dyplomata; a były i takie wypadki, że ludzie, wyznaczeni na ekspertów, wogóle prawdziwymi ekspertami wcale nie byli, a tylko dyplomatycznymi adwokatami zainteresowanego państwa.

Przytem nie odsyłało także do komisji rzeczoznawców dla przedwstępnych badań większych problemów pokojowych, jako to: żądań Francji, Włoch i Japonji. Zainteresowane mocarstwa zdołały wspólnie temu zapobiec. Te problemy rozstrąsano na tajnych naradach, zgodnie z tradycjami, uznaniami praktykami dyplomacji. Jednakże metody nowego porządku nie dały się całkowicie zignorować na zebraniach, gdzie naczelnym ich obrońcą był obecnym i musiał być przekonywanym. Żądania musiały być przedstawione zarówno na podstawie słuszności, jak interesu; życzenia ludów w argumentacji figurowały w szerszej mierze, niż wzgląd na równowagę sił. Mapy i statystyki wprowadzano swobodnie do dyskusji i stale radzono się rzeczoznawców, to pojedynczych delegatów, to w łącznych komitetach. Jednakże oliwa i woda tych dwóch systemów nigdy się dobrze z sobą nie zmieszały. Rzeczoznawców, nawet tych amerykańskich, w najbliższym zetknięciu z prezydentem Wilsonem stojących, trzymano w niewiadomości co do tych wewnętrznych sporów, choć usług ich potrzebowano. Z drugiej strony, interes często stawał się ostatecznie decydującym czynnikiem przy rozstrzyganiu tych sporów.

Jednakże konferencja, więcej niż którakolwiek poprzednia, odeszła od prostych dyktatorskich metod rządzenia, zbliżając

się do metody naukowego i bezinteresownego badania, na której wszelkie postanowienia w przyszłości — jeżeli mają być trwałe — będą musiały się opierać.

W ten sposób, chociaż władza na konferencji pokojowej spoczywała w ręku czterech czy pięciu wielkich mocarstw, jednakże stosowanie tej władzy ze względu na potrzeby i interesy starej dyplomacji głęboko zmienił i złagodził od wewnątrz prezydent Wilson, który przez cały przeciąg konferencji uparcie zwalczał ciężkie przeszkody, torując drogę swemu zapatrywaniu na nowe stosowanie narodowej czy też światowej potęgi. W rzeczywistość potęgi wielkich narodów wierzył tyleż, co i Clemenceau. „Gdzie leży wielka siła“ — mówił — „tam powinna być sankcja pokoju“¹⁾ — ale wielką jego misją dla świata było, że ta potęga winna być użytą dla służby, a nie do ucisku ludzkości, ku korzyści świata, a nie interesów poszczególnych państw, wyrażać się w spełnianiu obowiązków, a nie w przypisywaniu sobie praw. „Wyborną jest rzeczą“, powiedział, „posiadać siłę olbrzymią, ale tyranem jest, kto jej, jak olbrzym, używa.“

¹⁾ Protokoły. Siódma plenarna sesja.

ROZDZIAŁ XI.

WALKA O PROGRAM PROCEDURY. — FRANCUSKI PLAN. — WILSONA LISTA PRZEDMIOTÓW.

Konferencja pokojowa, oglądana z różnych punktów widzenia, była tylko politycznym wiecem na szerokiej scenie. Nieuchronną koniecznością były starcia na początku, nie tylko przy zagadnieniu, kto zawładnie jej organizacją, ale i przy drugim, kto przeprowadzi program jej procedury. Nikt lepiej od dyplomatów w Paryżu nie znał starej maksymy, że „wszystkie wielkie polityczne problemy są w gruncie rzeczy problemami procedury”; każdy z nich wiedział, ile zależy od tego, by zapewnić sobie przyjęcie swojego planu czy programu.

Mr. Lansing poświęca w swojej książce cały rozdział „brakowi amerykańskiego programu” i gani prezydenta Wilsona. P. Tardieu w swojej książce obwinia zarówno Amerykanów jak Anglików, nie mających, jak twierdzi, własnego planu, o to, że zwalczyli plan francuski, i przypisuje to „instynktownej odradzie Anglo-Sasów do systematyzowanych konstrukcyj łacińskiego ducha”.¹⁾

To, co obaj, mr. Lansing i p. Tardieu, rozumieją, naturalnie, przez program, jest schematem procedury, starannie opracowanym zawczasu, opartym na legalnych przesłankach i przyjętym przez konferencję.

W tym sensie konferencja pokojowa nigdy nie miała programu — żaden naród go nie miał, z wyjątkiem Francuzów. Jednakże jakże jasną jest walka o sprawę procedury — o plan, wedle którego konferencja pokojowa miała się toczyć, o program każdego narodu! Jasnym było, na przykład, że częścią brytyj-

¹⁾ „Prawda o Traktacie”, przez Andre Tardien, p. 91.

skiego i amerykańskiego planu było: nie przyjmować francuskiego planu. Cały kłopot w Paryżu polegał, istotnie, nie na tem, jakoby nie było planu, ale raczej na tem, że były dwa plany, dwa programy. I to omal nie rozbiło wiecu.

Był w Paryżu wyraźnie narysowany program, platforma starej dyplomacji, wysunięta przez Francuzów a pochlebnie nazwana przez pana Tardieu „systematyzowaną konstrukcją łacińskiego ducha“. Był także program, platforma „nowego porządku“, wysunięta przez Amerykanów i broniona przez prezydenta Wilsona. Tu, jak przez całą konferencję, prawdziwa walka toczyła się pomiędzy ideami i kierownikami Francuzów a Amerykanami.

Otóż „organizacja“, „machina“ ma zawsze silną pozycję i wyrazistość celów, której „insurgentom“ brak. Tamta zawsze wie dokładnie, czego chce. Stara gwardja obstaje przy tem, co jest i co było, chce w dalszym ciągu trzymać w ręku urzędy, nagrody — podczas gdy „insurgenci“ nie tylko chcą zmiany w rządzie, ale zazwyczaj także zmiany „systemu“.

Prezydent Wilson bardzo jasno przewidywał rozdwojenie, jakie rzeczywiście nastąpić miało. W mowie swojej w Guildhall w Londynie 28 grudnia 1918, na dwa tygodnie przed początkiem konferencji, powiedział:

„Naszem przekonaniem było zawsze, że kluczem do pokoju są gwarancje pokoju, nie artykuły w nim zawarte; że te artykuły byłyby bez wartości, gdyby poza niemi nie stał stały zespół mocy dla ich utrzymania“.

Rozumiał, że „stary porządek“ — jak go nazywał — położy cały nacisk na „artykuły“ pokoju — na wyspy, pasy terytorjalne, źródła naftowe, „strefy wpływów“, reparacje, ukaranie cesarza. Gdy ułożą swój program i przygotują swój szkic traktatu, te pierwiastki z pewnością ukażą się na samem czele.

„Nasza myśl przewodnia“ jednakże — jak powiada — „program nowego porządku“ — na zupełnie coś innego kładzie nacisk. Kładzie nacisk na zupełną zmianę systemu, na nową kooperację dla wspólnej obrony, na kooperację nie ograniczonych sojuszków, ale wszystkich narodów. A celem takiej kooperacji byłyby nie wyspy i źródła naftowe, ale międzynarodowa sprawiedliwość

i pokój, zagwarantowane przez jedną przemożną, potężną grupę narodów, która będzie kuratorem pokoju światowego". Gdyby przeto „nowy porządek" opracował swój program i wykreślił szkic swego traktatu, ten nowy pierwiastek, z równą logiką, byłby się znalazł na czele.

Zbadajmy teraz dokładnie, co się stało.

Widzimy, że stary porządek wyprzedził nowy, gdyż przedstawił swój program, choć nie całkowicie rozwinięty. Doświadczeni dyplomaci europejscy istotnie wiedzieli dobrze, co znaczy mieć plan, pracowicie i dokładnie wykonany, na wszelką ewentualność sytuacji przysposobiony; gdyż plan zawsze wpływa na kształtowanie poglądów wszystkich obecnych, a resztę konferujących stawia w pozycji krytyków. A tak łatwo było zagrać grę starą, znaną, tradycyjną; tak trudno zagrać nową.

W mniej niż trzy tygodnie po podpisaniu zawieszenia broni, zręczny weteran dyplomacji, francuski ambasador w Waszyngtonie, pan Jusserand, przeszedł z francuskiej ambasady do Departamentu Stanu i własnoręcznie zaniósł (jak korespondencja wykazuje), to, co nazwał „preliminaryjnym studjum" różnych problemów, mogących powstać na konferencji pokojowej. Choć ten dokument nosił datę 29 listopada i był przesłany kablem z Paryża, musiał być przygotowanym, gdy jeszcze amerykańscy żołnierze szturmowali gniazda karabinów maszynowych w Argonach.¹⁾

„Rząd mój" pisze p. Jusserand w memorandum, towarzyszącem temu wręczeniu, „byłby rad wiedzieć, czy plany studjów w nim podane i zasady, na których się opierają, zyskają ogólną aprobatę amerykańskiego rządu".

Znaczyłoby to wiele, w tem stadjum, dla Francji, gdyby Ameryka zaaprobowała „plan" i „zasady" tam podane.

2 grudnia, gdy Prezydent znajdował się w zamęcie przygotowań przed wypłynięciem do Europy, doręczono mu ten dokument, a on go zabrał ze sobą na pokład *Georgia Washingtona*.

Otóż ten dokument francuski spełniał rolę dwojaką i spełniał ją dobrze. Przedkładał francuską ideę taktyki odnośnie do kie-

¹⁾ Patrz tom III, Dokument 7, kompletny tekst tego podstawowego dokumentu.

rowania konferencją pokojową, a po wtóre odsłaniał zręcznie, ale jednak dość jasno, czym, w myśl Francuzów, miał być układ pokojowy.

Odkrywamy w pierwszym zaraz paragrafie, że Francuzi, myśląc o planie konferencji w Paryżu, oglądają się wstecz na wzory starych kongresów europejskich.

„Rząd francuski“, mówi dokument, „po zbadaniu kongresów: wiedeńskiego z 1814—1815, paryskiego z 1856 i berlińskiego z r. 1878, wziął pod rozwagę różne problemy, podniesione“ — przez przyszłą konferencję pokojową w Paryżu.

Sam plan, dalej przedstawiony, stosuje się do tradycyjnych wzorów. Ma być to kongres, na którym mają być reprezentowane nieprzyjacielskie państwa. Ale zanim się ten kongres zbierze, „po przybyciu prezydenta Wilsona do Paryża w połowie grudnia“, ma się odbyć konferencja „czterech wielkich mocarstw (w tym planie Japonja jest pominięta), ażeby ułożyć pomiędzy sobą warunki preliminarjów pokojowych, które mają być zosobna poddyktowane nieprzyjacielowi bez żadnej z nim dyskusji“. Główne nasuwające się kwestje mają nawet być „rozstrzygnięte pomiędzy wielkimi mocarstwami wprost, bez wzywania jakiejkolwiek komisji dla przedyskutowania ich“. Przytem była specjalna uwaga, że „stosuje się to do spraw kolonialnych, które w istocie rzeczy obchodzą tylko Anglję i Francję“.

Gdy już wszystko zostanie zdecydowane, terytorjalne linje ustanowione, kolonje rozdzielone, odszkodowania ustalone, wtedy sam kongres pokojowy ma się zejść. Na tym kongresie pokojowym mają być obecni przedstawiciele wszystkich nieprzyjacielskich i neutralnych narodów — nie wyłączając małych narodów — ale, jak mówi dokument, „wielkie zwycięskie mocarstwa jedynie uczestniczyć będą w jego sesjach... co do neutralnych i państw, tworzących się dopiero, można je wzywać, gdy ich własne interesy będą w grze“.

Na zakończenie, po rozwiązaniu wszystkich materjalnych problemów, miało nastąpić ogólne zgromadzenie kongresu z udziałem wszystkich narodów, a to, jak naiwnie zauważono, mogłoby stać się, jak to niekiedy czyniono w przeszłości, pod hasłem niektórych z tych wielkich zasad, głoszących sprawiedliwość, moralność i wolność, co byłoby proklamowaniem na samym wstępie“.

Innemi słowy, gdy już układ będzie gotów na podstawach starego systemu dyplomacji, gdy każde wielkie państwo dostanie wszystko, co może dostać, wtedy ma się nabożnie wspomnieć o „zasadach, głoszących sprawiedliwość, moralność i wolność“. Ta część kongresu ma dyskutować o organizacji zrzeszenia narodów.

Taki, w ogólnych zarysach, był plan, którego pragnęli Francuzi i o którego przyjęcie zawzięcie walczyli w wczesnych stadjach konferencji, ale który upadł, skutkiem — jak to wytłumaczył p. Tardieu — „odrazy Anglo-Sasów do systematyzujących konstrukcji łacińskiego ducha“.

Prezydent miał przed sobą dwie drogi: albo sprzeciwiać się przyjęciu francuskiego planu, albo wystąpić ze swoim własnym. Uczynił jedno i drugie.

Prezydent bał się przyjęcia wymierzonego suchego programu wedle starych dyplomatycznych wzorów Wiednia, Paryża, Berlina, opartego na interesie i strategicznych koniecznościach, jako względach pierwszorzędnych, a odsuwającego rozprawy o lidze narodów do jakiegoś nieokreślonego przyszłego kongresu, który miał się odbywać, gdy już wszystkie łupy wojenne będą rozdzielone. Miał nowe ogólne zasady do zastosowania, a do użycia nowoczesne środki i czynniki, mianowicie komisje ekspertów. Miał też o wiele bystrzejszą świadomość, niż którykolwiek z przywódców w Paryżu, z wyjątkiem Lloyd George'a, świadomość nowej potęgi opinii publicznej w sprawach światowych, oraz obecności i nacisku gorliwej prasy. Przejęty swemi nowemi planami, swoim wyobrażeniem nowego pokoju i postanowieniem doprowadzenia go do skutku, niewątpliwie mniej, niż był powinien, interesował się formami i tradycjami albo metodami, których ostatecznie trzeba użyć, rozważając „artykuły“ pokoju.

I to właśnie niepokoiło człowieka takiego, jak mr. Lansing, z jego legalistyczną i konwencjonalną umysłowością. Mr. Lansing, chociaż pomstuje na starą dyplomację, sam w gruncie rzeczy był dyplomatą starej szkoły; patrzył bez ogródek wstecz, oglądając się za precedensem; nigdy nie umiał zrozumieć, a tem mniej ocenić, typu umysłowości Prezydenta — proroczej, twórczej, usiłującej do nowych celów stosować nowe środki — umysłowości, gorąco interesującej się istotą i duchem sprawy, zbyt

mało metodą. To też dla pana Lansinga, gdzie nie było spisanego programu, nie było wogóle programu.

Lecz żeby Prezydent miał wchodzić na konferencję potykając się ślepo „bez jakiegokolwiek programu, a nawet listy przedmiotów“, jak mówi pan Lansing¹⁾, to jest, naturalnie, absurdem. Wiedział dokładnie, czego chciał i co zamierzał czynić. Na tydzień przed pierwszym posiedzeniem prosił kolegów swoich z Delegacji, by dostarczyli mu listy przedmiotów, które najpierw rozważać będzie trzeba na konferencji i w odpowiedzi otrzymał list następujący (datowany 8 stycznia):

„Panie Prezydencie! Stosownie do Pańskiego życzenia, by Mu dostarczyć listę przedmiotów, które, naszym zdaniem, powinny być najpierw rozważane na naszych konferencjach, pozwalamy sobie donieść, że zaczynamy teraz rozważać następujące kwestje w podanym poniżej porządku:

1. Reprezentacja.
2. Liga Narodów.
3. Reparacje.
4. Nowe państwa.
5. Terytorjalne uzupełnienia.
6. Posiadłości kolonjalne.

Pozostajemy, Panie Prezydencie
z poważaniem

Robert Lansing,
Henry White,
E. M. House,
Tasker H. Bliss

Pełnomocni Członkowie Delegacji.

13 stycznia, gdy ten problem miał być rozstrzygany na Radzie Dziesięciu, także w obecności pana Lansinga, Prezydent powiedział:

„Sądził, że obecni nie zgodzą się na żadną ustaloną kolej dyskusji. Naprzykład, sądzi, że ważniejszym jest w tej chwili, by obecni rozważyli całą kwestję traktowania Rosji“.

¹⁾ „The Peace Negotiations“ by Robert Lansing, p. 199.

Przedłożył więc swoją listę przedmiotów, idąc dokładnie za radą innych członków Amerykańskiej Delegacji (z wyjątkiem punktu o reprezentacji, który już był omawiany przez Radę):

Liga Narodów.

Reparacje.

Nowe Państwa.

Granice.

Kolonje.

Poddał myśl, by tę listę odesłać odrazu do delegacji poszczególnych narodów i żeby otrzymane od nich poglądy służyły za podstawę do przyszłych dyskusyj. Wydawało mu się, że będzie to rozsądna metoda rozwinięcia poglądów każdej z grup i dojścia do czegoś, coby się nadawało do dyskusji. Zaraz pierwszego dnia konferencji kwestja rosyjska i kwestja polska, obie bardzo zawikłane i bardzo ważne, dostały się pod obrady, nie mówiąc o militarnych problemach odnowienia zawieszenia broni. Prezydent nie rozumiał, by było możliwem wobec zaburzenia, panującego jeszcze w świecie, pilnować się jakiegoś suchego, schematycznego planu. Jak się później wyraził w innym wypadku o tej samej sytuacji: „Trzeba było badać tę kwestję, jak problem dynamiki, dotyczący działania sił w ciele o niestalej równowadze“.

I tak konferencja improwizowała, w miarę jak się posuwała naprzód, i chwyciała każdy problem w miarę, jak powstawał. Było to nieuniknione następstwo przyjęcia systemu małych tajnych konferencyj wielkich mocarstw — zwłaszcza, gdy Czterej schodzili się sami, bo wtedy jakiś wypracowany plan procedury byłby niedorzecznością. Ta nieformalność miała zarówno swoje wielkie dodatnie, jak i wielkie ujemne strony. Niewątpliwie dawała ona Czterem możność załatwiania spraw, kończenia rzeczy. Dawała także możność Prezydentowi wywierania nacisku przy każdym punkcie w myśl swoich ogólnych zasad, zachęcania do używania komisji rzeczoznawców, dawała mu możność zyskania szerszego pola dla rozważań nad Ligą Narodów.

Skądinąd miało to swoje rzeczywicie niekorzystne strony. Dawało wielką władzę w ręce przewodniczącego, pana Clemenceau, gdyż w szerokiej mierze mógł on dyktować przedmioty, które mogły się nasunąć od czasu do czasu — miał możność — a uży-

wał jej w pełni, tak na małych, jak na wielkich konferencjach — ograniczania debat, oznaczania terminów odłożenia spraw i t. d. Dawało także możność temu nadzwyczajnemu wirtuozowi, Lloydowi George'owi, do wywoływania niekiedy zupełnie niespodziewanie, wprost niesłychanych teatralnych efektów — jako to, gdy pewnego razu wziął szturmem Radę Czterech, wprowadzając na scenę świat muzulmański dla zdobycia punktu, o który mu chodziło. Wprowadził oryginalną grupę brytyjskich mahometańskich przywódców, dziwnie ubranych w kombinację swoich narodowych kostjumów i mundurów brytyjskiej armji, poczem jeden po drugim, w sposób dramatyczny, przedstawiali położenie islamu w związku z postanowieniami co do Turcji. Innymrazem, zupełnie równie nagle, zainscenizował Imperjum Brytyjskie przed Radą Dziesięciu, w osobach prezydentów ministrów wszystkich brytyjskich kolonij. A Brytyjskie Imperjum może robić wielkie wrażenie, gdy się je odpowiednio zainscenizuje!

Nikt nie umiałby dorównać Lloydowi George'owi w tego rodzaju sztuczkach, chociaż raz Clemenceau, zupełnie nie uprzedziwszy nikogo i bardzo nie w smak Lloydowi George'owi, wprowadził Belgijską Delegację, ażeby broniła swoich kolonialnych pretensyj w Afryce i przy tej sposobności poparła francuskie kolonialne pretensje przeciw brytyjskim. Jeżeli prezydent Wilson sam takich sztuczek nie używał, mało też był na nie wrażliwym ze strony drugich. Wielce także niekorzystnem było zamieszanie i niejasność w pierwszych tygodniach konferencji co do tego, czy ma być układany pokój preliminaryjny, czy zawieszenie broni, rozszerzone włączeniem części postanowień pokojowych, czy też ostateczny i definitywny traktat. Nakoniec, okolicznością bardzo niekorzystną było, że narady konferencji pokojowej nie były prowadzone zupełnie oddzielnie od narad Najwyższej Rady Wojennej, chociaż nawet ci sami ludzie, a przynajmniej kilku z nich, zasiadało w obu. Bądź jak bądź, była to, jak Tardieu się wyraża, anglo-saska metoda.

Tyle o sprawie programu w ogólnych konferencjach — Radach Dziesięciu i Czterech, które zajmowały się przedewszystkiem raczej artykułami pokoju, niż szerszemi zasadami pokoju.

Mieć wyraźnie określony program, wynikający z dzielenia świata starym sposobem, było rzeczą łatwą; ale mieć wyraźnie

określony program, gdy chodziło o obmyślenie środków dla ugruntowania nowego porządku, opartego na zasadach, w stosunkach międzynarodowych, jak dotąd, nowych — zwłaszcza, gdy duch tego nowego porządku zaledwie lekko się w umysłach ludzkich zarysowywał, — to było zupełnie inne, o wiele trudniejsze zadanie.

Co do samego Prezydenta i jego własnego silnego przekonania, co było właściwie najważniejszym celem konferencji paryskiej — wprowadzenie w czyn amerykańskich zasad pokoju — to nikt w Paryżu nie miał jaśniejszego i bardziej określonego pojęcia o tem, co zamierza czynić. Zaczął myśleć i mówić o swoim zamierzeniu na długo przedtem, zanim się wojna skończyła; opracował — jak to obszernie opisanem będzie w dalszym rozdziale — swój projekt Ligi Narodów. W tym pakcie określił szczegółowo, co rozumiał przez niektóre ze swych „Punktów“, między temi przez punkt o ograniczeniu zbrojeń. Swój projekt przedstawił w Paryżu na początku konferencji. Został przewodniczącym komisji do studjowania go i referowania o nim. Była to najważniejsza komisja w Paryżu, często budząca nie mniejsze zainteresowanie, jak Rada Dziesięciu lub Rada Czterech. Zapewnił przyjęcie planu utworzenia Ligi Narodów, jako integralnej części traktatu pokojowego, już na drugim plenarnem posiedzeniu, 25 stycznia, i przez cały przebieg konferencji walczył z nieugiętą stanowczością o urzeczywistnienie tego, co uważał za amerykańskie zasady. Jeżeli plan jego nie był napisany zawczasu, tem niemniej był to plan i był to program — o tyle prawdopodobnie określony, o ile dał się obmyśleć dla zbadania dyplomatycznych gąszczów, dotychczas nieprzeniknionych. Nie mamy tutaj zamiaru opisywać tej walki — później o tem będzie mowa — chcemy tylko wykazać, że Prezydent miał program, ściśle określony, celem wywalczenia istoty rzeczy, na której, jego zdaniem, rzeczywiście zależało — nie „artykułów“ pokoju, lecz twórczych jego pierwiastków.

ROZDZIAŁ XII.

BITWA O JĘZYK: CZY ANGIELSKI CZY FRANCUSKI MA BYĆ JĘZYKIEM OFICJALNYM TRAKTATU.

„Czy nawrót do przeszłości“ pyta Clemenceau, „nie jest pierwszym impulsem narodów, których potęgą opiera się na sile tradycji?“

Tymi, którzy najgoręcej bronili starych praktyk europejskiej polityki, byli Francuzi, a domagała się zmian i szukała nowych dróg dla obracania się w nowej rzeczywistości przede wszystkim — Ameryka.

W czasie, gdy problemy procedury stawiały przed konferencją, rozwinął się namiętny spór o wybór oficjalnego języka dla traktatu. To, że język ich panował w dyplomacji, było zawsze oznaką władzy, którą sobie Francuzi wysoko cenili — teraz więc była rozstrzygająca bitwa między Francuzami a Anglikami.

Ta dyskusja z 15 stycznia jest równocześnie tak symboliczną dla rosnącego wpływu nowych potęg w świecie i tak typową, jako przykład targów i ustępstw na tajnych radach w Paryżu, że podajemy ją tutaj w nieco obszerniejszem streszczeniu. Rozprawiano wtedy nad częścią VIII zaproponowanego przez Francuzów planu procedury, w myśl którego język francuski miał być oficjalnym językiem traktatu.

P. Pichon wykazywał, że język francuski był zawsze miarodajnym dla tekstu traktatów może być tylko jeden dokument, zawierający tekst miarodajny. Bez wyjątku zawsze język francuski był używany w tym celu... Przypomniiał ostatnią konferencję w Hadze. Zresztą to nie odejmuje delegatom prawa użycia ich własnego języka, jako to angielskiego, który jest najszerszej rozpowszechnionym na świecie.

Mr. Lloyd George zauważył że nie ma uprzedzeń, ale po raz pierwszy zachodzi ta okoliczność, że Stany Zjednoczone biorą udział w europejskim pokoju, i to sprawia, że wraz z Imperjum Brytyjskiem — stowarzyszone mocarstwa obejmują w sobie większość, której oficjalnym językiem jest angielski. Pan Pichon mówi o jednym tylko dokumencie, ale trzeba tu przypomnieć, że w Południowej Afryce angielski i holenderski używane są równorzędnie, podobnie angielski i francuski w Kanadzie. W obu krajach wszystkie dokumenty wydawane są w obu językach i nie powstają stąd żadne trudności... To też, skoro większość koalicji używa języka angielskiego, proponuje poprawkę do części VIII z tem, ażeby oficjalnym językiem konferencji uznać zarówno język angielski jak francuski.

P. Sonnino oświadczył, że woli, aby jeden język był użyty, bo jeśli się uzna dwa, będzie się wydawało, że włoskiemu przyznano podrzędne stanowisko.

Mr. Wilson zauważył, że wszyscy uznają historyczne prawo francuskiego... ale są niektóre okoliczności, których nie należy pominąć. Tak np. oficjalnym językiem Wschodu jest angielski i tam dyplomatyczne dokumenty są pisane w tym języku. Tu nie zachodzi kwestja porównywania, jak powiedział pan Sonnino, ale kwestja powszechności używania. Wydawałoby mu się, że język, który jest oficjalnym językiem większej części świata, powinien być oficjalnym językiem konferencji. Nie proponuje jednakże, by francuski był wykluczony, prosiłby tylko, by był uwzględniony raczej, niżli włoski.

P. Pichon przypomniał, że rezolucje konferencji wersalskiej były pisane po francusku.

P. Clemenceau przyznaje, że jest w wielkim kłopotcie. Uznaje słuszność tego, że język angielski jest najbardziej rozpowszechnionym w świecie i że niósł cywilizację i liberalne instytucje wszędzie, dokąd dotarł, ale chciałby też podkreślić, że francuski zajął miejsce łaciny, która, swego czasu, była oficjalnym językiem świata, że przytem ma zaletę nadzwyczajnej precyzji. Pomimo to, chciałby najmocniej przyznać każdemu językowi jego pełne prawo. Stąd, jeśli dopuszcza się język angielski, nie byłoby słusznie wykluczać włoski.

Dlatego proponuje, żeby były trzy oficjalne języki, a gdyby miała kiedyś powstać kwestja interpretacji, francuski miałby pierwszeństwo.

Mr. Lloyd George robi uwagę, że w takim razie francuski byłby oficjalnym, czyli, jak to mr. Wilson nazywa, miarodajnym językiem. Mr. Balfour poprosił, by p. Clemenceau był łaskaw podać swoją propozycję na piśmie i żeby ją przedstawić do rozważenia na południowej sesji.

.

Narady podjęto znów o 2 ½ po południu.

P. Pichon przedłożył nowy tekst części VIII, proponowany przez pana Clemenceau. (angielski, francuski, włoski mają być językami oficjalnymi — francuski tekst miarodajnym).

Mr. Wilson prosił, żeby mu pozwolono przedstawić następujący pogląd na sprawę: Francuski był językiem europejskiej dyplomacji, ale jesteśmy teraz na początku nowej ery, zaczyna się dyplomacja światowa. Niekoniecznie decydującym jest europejski precedens, dający francuskiemu językowi to stanowisko. Językiem drugiej półkuli ziemskiej jest angielski, a to jest kongres światowy. Zresztą większa część ludów, reprezentowanych na tym kongresie, używa angielskiego języka. Szczerze wątpił, czy Amerykanin, patrząc na dokument pisany po francusku, byłby pewien, że to jest dokładne wyrażenie decyzji konferencji.

Co do włoskiego języka, ośmieliłby się wskazać na to, że mała część tych, którzy wchodzi w skład konferencji, mówi tym językiem. Mr. Wilson zwrócił i na to uwagę, że ma powstać stały sekretariat dla konferencji, więc tembardziej dokumenty tego sekretariatu powinny być w obu językach. Ponadto, gdyby jeden jeszcze język mniejszości dopuszczono, inniby także chcieli, by ich włączyć...

...jeszcze raz położył nacisk na fakt, że nowy pierwiastek został wprowadzony do dyplomacji światowej przez wstąpienie mocarstwa, którego językiem jest angielski. Dla tych powodów prosił, by angielski i francuski były uznane za oficjalne języki konferencji.

Mr. Lloyd George przedłożył wniosek, by uznano francuski i angielski za oficjalne języki konferencji, a gdyby miały kiedy

powstać wątpliwości co do interpretacji, żeby się z tem odnoszono do Ligi Narodów.

P. Pichon wkońcu odwołał się do własnych słów prezydenta Wilsona, że Francja w tej sprawie ma historyczny przywilej Zważywszy na to, co Francja przeszła, co przecierpiała, uważa, iż dziwnem to jest, że pierwszym czynem tej konferencji ma być odebranie jej tego prawa. Wykazywał, że p. Clemenceau zaproponował formułę, która, zdaje się, odpowiadała życzeniom Prezydenta, a jednak Francji zostawiała jej przywilej.

P. Sonnino dowodził, że, chociaż to prawda, że Włochy nie mają większości ze względu na ilość ludności, to jednak nie trzeba zapominać, że pełny swój udział wzięły w wojnie, wysyłając w pole od czterech do pięciu milionów żołnierzy. Powtórzył, że gdyby odstąpiono od historycznej reguły, a Włochy pominięto, byłoby to dla Włoch wyraźnem lekceważeniem. Pragnął poprzeć propozycję pana Clemenceau.

Mr. Wilson przemówił następująco:

„Uczucia moje odpowiedziałyby w tej chwili na wezwanie pana Pichona, — nietylko moje własne, ale uczucia wszystkich ludów Stanów Zjednoczonych — lecz uważałem, że powinienem nie uczuciem się rządzić, lecz względami na praktyczne skutki. Ta konferencja patrzy w przyszłość. Staramy się złączyć się wspólnie, zażegnać spory. Te dokumenty, które mamy wygotować i podpisać, będą podstawą i życiem rządu całego świata. Interpretowanie ich będzie dotykało rozmaitych sytuacji w przyszłości, a do takiego interpretowania większość ludów świata używać będzie angielskiego tekstu. Nie mogę nie przypominać sam sobie, że pracujemy tutaj nad sprawą praktyczną i że zmuszony jestem względy precedensu odsunąć na bok. Które języki w przyszłości dadzą się najłatwiej interpretować? Francuski i angielski. Światu łatwiej będzie interpretować tekst francuski i angielski, o wiele łatwiej, niż którykolwiek inny. Niech mi wolno będzie powiedzieć, że nie mam w sercu nieuszanowania dla nikogo. Działajmy tak, by przyszłe pokolenia mogły powiedzieć: „Ci ludzie mieli zdrowy rozum i wysunęli praktyczne względy na pierwszy plan“.

Po pewnej ogólnej dyskusji prezydujący (Clemenceau) odczytał tekst części VIII i zapytał, czy zyskuje aprobatę. Przy-

toczył jeszcze fakt, że francuski był oficjalnym językiem konferencji wersalskiej i Najwyższej Komisji między aljantami (*the Inter-Allied High Commission*).

Mr. Lloyd George zauważył, że, gdy ta komisja zasiadała w Londynie, oficjalny był tekst angielski. Wrócił jeszcze raz do swego poprzedniego argumentu, że angielski język jest oficjalnym językiem wielkiej części świata. Położył nacisk na to, że obecna konferencja miała otworzyć nową erę, a ponieważ trzeba się teraz liczyć z realnemi względami, dawał poparcie wezwaniu prezydenta Wilsona, jakkolwiek było mu bardzo trudno oprzeć się wezwaniu włoskiego ministra spraw zagranicznych.

P. Clemenceau sądzi, że obecni zgodniejsi są, niżby się zdawało. Mr. Wilson wspomniał o udziale w wojnie ludzi, mówiących po angielsku. To prawda. Szczerze uznawał dług, jaki Francja zaciągnęła względem ludzi, którzy mówią po angielsku. Podobnie, jak mr. Wilson, gotów był stanąć wobec nowych problemów... Ta wojna jednak rozgrywała się we Francji. Nie trzeba zapominać, że jego propozycją brzmiała, by oficjalny tekst był angielski, francuski i włoski, a zaproponował to on, Francuz. Słyszał teraz twierdzenie, że ludzie, mówiący po angielsku, muszą mieć możność czytania tekstu — uznaje to i zaproponował dlatego angielski, francuski i włoski jednakże z czysto praktycznego punktu widzenia patrząc, powinien być tylko jeden tekst w rękach sędziego. Powinien być jeden miarodajny tekst, do którego się można odnosić.

Mr. Lloyd George zauważył, że tak, jak kwestja stała, pytaniem jest, czy ma być tylko jeden tekst, a nie dwa albo trzy?

.
Dlaczego nie mógłby francuski język, tak się wyraziwszy, służyć dla wszystkich łacińskich ludów, a angielski tekst dla reszty? Dlatego sądziłby, że byłoby lepiej przejść do rozważania poprawki najpierw zaproponowanej, mianowicie, żeby były dwa oficjalne teksty, angielski i francuski

Mr. Wilson zauważył, że może będzie interesowało obecnych przypomnienie, że w traktatach pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Francją, tekst jest po angielsku i po francusku. Senat Stanów Zjednoczonych aprobuje angielski tekst. To też, o ile o Stany Zjednoczone idzie, angielski tekst byłby miarodajnym.

P. Clemenceau zauważył, że traktat wersalski był tylko w francuskim języku.

Mr. Wilson zauważył, że ten traktat już nie istnieje.

P. Pichon powtórzył, że we wszystkich międzynarodowych umowach francuski tekst był panującym. Nawet na kongresie berlińskim używano języka francuskiego.

Mr. Wilson zaznaczył, że nie przeczy faktowi, iż francuski był miarodajnym, ale co do kongresu berlińskiego, to chciał zauważyć, że Ameryka nie była tam reprezentowaną.

P. Clemenceau oświadczył, że nie może pójść dalej poza poprawkę, którą zaproponował.

Mr. Lloyd George zauważył, że jeżeli sprawa ma na tem stać, to lepiej będzie nie mieć wcale oficjalnego tekstu, a każdy kraj dostałby tylko ten tekst, który jego przedstawiciele podpiszą.

P. Clemenceau zauważył, że jeżeli tyle wagi przywiązuje się do rzeczy tak drobnych, to doprawdy, zły początek dla towarzystwa Ligi Narodów.

Mr. Wilson oświadczył, iż niezmiernie mu przykro, że taki obrót nadało się kwestji. Nie lubi zostawiać kwestji tego rodzaju na martwym punkcie, więc proponuje, żeby delegaci przemysleli tę sprawę, przespalili się i podjęli ją na następnej zebraniu.¹⁾

Rezultat był ten, że uznano oba języki, angielski i francuski, za oficjalne i że traktat został wydrukowany po angielsku na jednej stronicy, a po francusku na drugiej. Był to jeden z wielu przykładów przesuwania się władzy od starego porządku ku nowemu. W istocie, język angielski był przeważającym językiem na konferencji. Wielka część obcych delegatów, jako to Chińczycy, Japończycy, Południowi Amerykanie i inni, mówili nim, jako swoim drugim językiem — zaś w Radzie z pomiędzy pięciu szefów wielkich mocarstw tylko Orlando nie mówił po angielsku, podczas gdy tylko dwaj, Clemenceau i Orlando, mówili po francusku. Clemenceau i Sonnino (włoski minister spraw zagranicznych) mówili po angielsku płynnie, a baron Makino, Japończyk, mówił dobrze.

¹⁾ Tajne Protokoły, Rada Dziesięciu, 15 stycznia.

Gdy Trzej, (Prezydent, Lloyd George i Clemenceau) byli na posiedzeniach sami, jak się to często w późniejszym okresie konferencji zdarzało, rozmowa ich całkowicie toczyła się po angielsku. Kiedy indziej i na wszystkich liczniejszych konferencjach mowy trzeba było tłumaczyć z angielskiego na francuski i z francuskiego na angielski. To zadanie spełniał wybitny Francuz, profesor Mantoux. Widziałem go, siedzącego przez całe długie posiedzenie konferencji i przy każdej mowie, wypowiadanej po angielsku, robiącego szybko notatki po francusku, albo, jeżeli mowa była po francusku, notującego po angielsku; gdy zaś mówiący kończył, on wstawał natychmiast i powtarzał jego mowę w całej długości — często wymownie — a z taką dokładnością, z takim zupełnem zrozumieniem, że rzadko go poprawiano.

Włoski język na konferencji słyszał się czasem, a niemiecki, oczywiście, przy jedynem spotkaniu z Niemcami w Wersalu, ale innych języków nie słyszało się prawie nigdy. Gdy malowniczy emir Feisal, delegat z Arabji, który tylko mówił swoim rodzinnym arabskim, przemawiał na konferencji, tłumaczył mowę jego na angielski pułkownik Lawrence. Venizelos, premier grecki, mówił po francusku znakomicie.

Niewątpliwie, ta decyzja, robiąca język angielski narówni z francuskim, dyplomatycznym językiem światowym, raniła drażliwość Francuzów, ale przede wszystkim zraniła Clemenceau. Ale Clemenceau zniósł i to, i inne jeszcze momenty, w których go odsuwano na bok, w Paryżu — za co go później ostro krytykowano — jak mądry stary filozof. Bo takim był naprawdę.

„Stan dusz naszych sprzymierzeńców (tłumaczył, jak cytuje pan Tardieu) niekoniecznie jest taki sam, jak nasz, i jeśli się z nimi nie możemy porozumieć, niesprawiedliwością jest ganić tych, których się nie udaje nam przekonać, albo obwiniać ich o złe intencje, których nie mają w sercu.

Cóż na to poradzić można? Każdy z nas żyje, zamknięty w swej własnej przeszłości. Auguste Comte powiedział, że przeżywamy życia umarłych — i to jest prawda...

Nie można się dziwić, że na taki opór natrafiliśmy. Jeden mówił albo myślał: „Jestem Anglikiem“, drugi myślał: „Jestem

Amerykaninem“. Każdy miał takie samo prawo to powiedzieć, jak my, że jesteśmy Francuzami. Czasami, to prawda, boleśnie przez nich cierpiałem. Ale do takich dyskusyj należy przystępować nie z myślą rozbijania stolików i porcelany, jak to Napoleon zwyczajnie robił, ale z myślą, że trzeba się dać zrozumieć“. ¹⁾

¹⁾ „Prawda o Traktacie“, André Tardieu p, p. 95—96.

C Z E Š Ć III.

L I G A I P O K Ó J.



ROZDZIAŁ XIII.

GENEZA LIGI NARODÓW. — DZIEJE PAKTU. — SZKICE WILSONA.

Najżywotniejszą walką na konferencji pokojowej była walka o wprowadzenie w życie Ligi Narodów i o związanie jej definitywne z traktatem pokoju. Był to kulminacyjny punkt starcia między Nowym Światem — w najszerszem słowa znaczeniu — a Starym; głównym szermierzem pierwszego była Ameryka, drugiego Francja.

Trzeba się przedewszystkiem rozejrzeć w tem, jak powstał ten ważny i znaczący dokument — pakt — o który teraz Amerykanie walczyli. Nie było przedmiotu od r. 1918 do dzisiejszego dnia, któryby wywołał żywszą dyskusję. Kampanja wyborcza na prezydenta w Ameryce około niego się obracała, głęboki wpływ wywarł na politykę Europy i Azji. Ligę, która z niego wyrosła, przyjęło dziś pięćdziesiąt jeden narodów świata; funkcjonuje ona prawidłowo. Każdy ważny naród świata, z wyjątkiem Ameryki, Niemiec i Rosji, przyłączył się do niej. Jakikolwiek kto ma na nią pogląd — a poglądy na to w Ameryce są różne, od najzjadlejszej niechęci do najgorętszego poparcia, nie można zaprzeczyć, że dokument ten ma w sobie dziwne utajone moce, zdolne na nowo pobudzić albo poróżnić myśl świata.

Skądże on, zatem, wiedzie swój początek? Kto go utworzył i jak? Jakie siły leżą poza nim?

Żaden zbiór dokumentów z pomiędzy tych wszystkich, które Prezydent przywiózł ze sobą z Paryża, nie jest zupełniejszym, ważniejszym i więcej interesującym, jak ten, który się odnosi do Ligi Narodów. Są tu wszystkie rozmaite szkice, korespondencje, memoranda — prawie cały inwentarz myśli

Prezydenta. Są tu jego własne ciekawe notatki stenograficzne lub też pisane na własnej maszynie — nigdy nie odrzucał kartki papieru z notatką; a dziwne to wszystko sprawia wrażenie, jak-gdyby się widziało kogoś, co myśli, nie głośno, ale notatkami i memorandumami. Te dokumenty nie tylko traktują o powstaniu Ligi w biegu roku 1918 i początku 1919, ale oświetlają dyskusje całej konferencji.

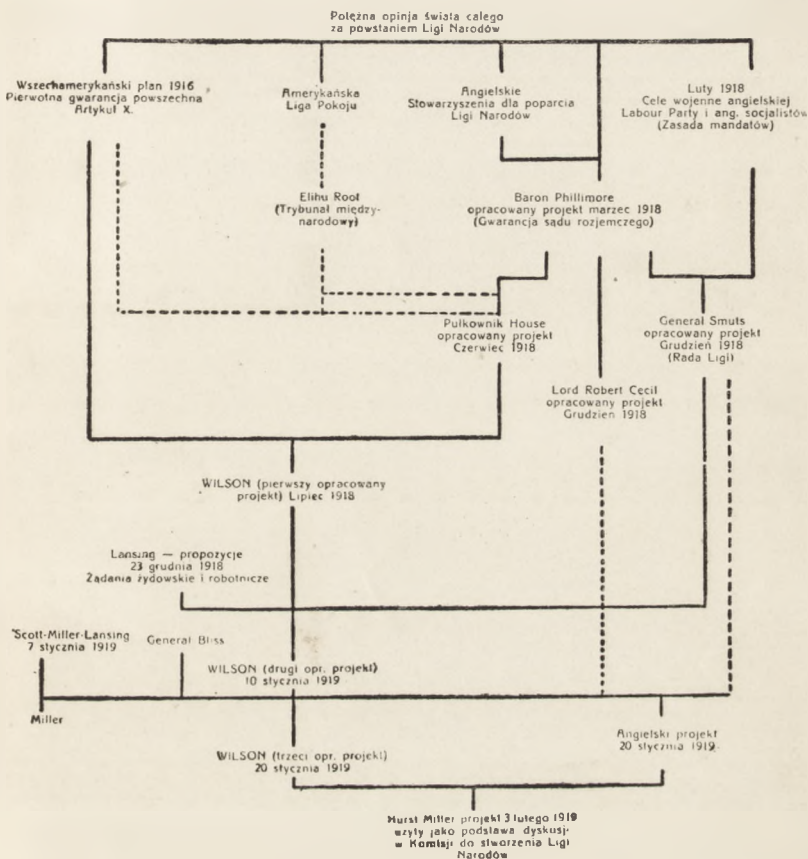
Jeden fakt wybija się ponad wszystkie inne, gdy się bada te interesujące dokumenty: w rzeczywistości nic — ani jedna idea — w pakcie Ligi nie jest oryginalnym pomysłem samego Prezydenta. Stosunek jego do paktu był po prostu stosunkiem wydawcy lub kompilatora, wybierającego lub odrzucającego, przerabiającego albo kombinującego prospekty, które wpływały do niego z innych źródeł. Miał dwa wielkie zasadnicze przekonania: że Liga Narodów jest potrzebna i że musi być niezwłocznie powołaną do życia. Głosząc zaś to, czuł się rzecznikiem ludów świata.

Cały materiał tej budowli był stary — tak stary, jak Artykuły Konfederacji i Konstytucji¹⁾ — o wiele starszy! Wilson tylko dostosowywał je do nowego celu, jaki miał na oku. Żaden przywódca nie może być oryginalnym w pomysłach; może być oryginalnym tylko w wyrażaniu ich i w czynie. Lincoln nie był oryginalnym w swojej idei, że niewolnictwo powinno być zniesione, i tylko decyzja z jego strony usunięcia niewolnictwa natychmiast poruszyła cały współczesny mu świat. Idea Ligi nie była oryginalną ideą Wilsona: świat w Paryżu poruszyła jego stanowcza wola obleczenia jej w czyn natychmiast i jako części traktatu pokoju.

Około połowy roku 1918, ostatniego roku wojny, projekt Ligi Narodów przybrał realne kształty w umysłach wielu myślicieli, tak w Ameryce, jak w Europie. Wczesną wiosną tegoż roku rząd brytyjski, działając przez pana Balfoura, wyznaczył komitet z wybitnych międzynarodowych prawników dla naszkicowania podstawy określonego planu. Referat tego komitetu, sporządzony 29 marca 1918, został wysłany w maju do gabinetu

¹⁾ Autor ma tu na myśli podstawowe dokumenty Konstytucji Stan. Zjedn. Am. Póln. (Przyp. tłu macza).

JAK POWSTAŁA LIGA NARODÓW



ŹRÓDŁA STATUTU LIGI

wojny, do premierów wszystkich dominjów i do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ten dokument o ośmnastu artykułach, znany jako referat Phillimore'a, od przewodniczącego, barona Phillimore, stał się fundamentem konstytucji Ligi. Nie był to twór nowy, podobnie jak inne plany, które z niego wypłynęły. Formułował w legalnej, dyplomatycznej frazeologii to, co się wydawało najpraktyczniejszym w pomysłach starych, jak świat.

Wilson, naturalnie, stał w styczności z ogólnymi prądami myśli, przepływającymi wtedy świat i obracającymi się dokoła przyszłej Ligi. W Ameryce istniała wtedy Liga dla Przeprowadzenia Pokoju, a później Liga Stowarzyszenia Wolnych Narodów (*League of Free Nations Society*). W Anglii istniało stare Stowarzyszenie Ligi Narodów, z sir W. H. Dickinsonem na czele, były tam także czynne nowe organizacje. Liga została włączoną do celów wojennych na konferencji grup pracy sprzymierzonych krajów (*Inter-Allied Labour*) i grup socjalistycznych w lutym 1918, która to konferencja postanowiła także, że Liga ma być częścią przyszłych postanowień. Idea ta przeniknęła Anglię więcej, niż Amerykę. W referacie dla Departamentu Stanu Stanów Zjednoczonych, posłanym przez autora z Anglii 30 czerwca 1918, znajdują się te słowa:

„Zainteresowanie się Ligą Narodów przybrało poprostu formy powodzi. Wszędzie o niej dyskutują w publikacjach wszelkiego rodzaju. *Daily Mail* dogryza jej, są też listy z opozycją i powątpiewaniem i w innych gazetach, ale nawet *Times* zdaje się ostrożnie ją aprobować, a Izba Lordów przyjęła wnioski, uznający „zasady Ligi Narodów“ i zalecający rządowi „przestudjowanie warunków, potrzebnych dla jej realizacji.“ Największą niespodzianką była uroczysta przemowa, wygłoszona wczoraj w Izbie Lordów przez lorda Curzona, w której z niezbyt wielkim zapalem popierał coś w rodzaju Ligi. Broszura Greya została jak najprzychylniej przyjęta. Konferencja Pracy była za propozycją energicznie wyrażoną. Siły, które są jej przeciwnie, to, jak zawsze, starzy konserwatyści bez wyobraźni i grupy imperjalistyczne, o wiele potężniejsze, niż się to na pozór wydaje.“

Gdy więc prezydent Wilson zapragnął zbadać konkretnie zagadnienie Ligi Narodów, w czerwcu r. 1918 zwrócił

się do projektu Phillimore'a, który mu posłano w przeszłym miesiącu. Nawiasem mówiąc, zasadnicze idee projektu Phillimore'a były prawie te same, co programu amerykańskiej Ligi dla Przeprowadzenia Pokoju. A mianowicie:

Żaden naród nie ma wypowiadać wojny, nie przedłożywszy wpieryw przedmiotu sporu przed jakiś sąd, któryby miał rozstrzygać lub doprowadzić do zgody.

Narody świata powinny się jednoczyć dla wymierzenia kary rozmaitego stopnia, nawet przy użyciu siły zbrojnej, temu narodowi, któryby rozpoczął wojnę, nie przedłożywszy w ten sposób przedmiotu sporu.

Te postanowienia, które przeszły do artykułów od XII do XVI obecnego paktu Ligi, stanowią rodzaj pośredniej gwarancji. Wszyscy członkowie obowiązani są pomagać każdemu z członków, któryby był zaatakowany albo niespodzianie, albo mimo rozstrzygnięcia przez sąd międzynarodowy.

Poza temi tezami referat Phillimore'a zawierał mało rzeczy określonych. Organem godzącym, który miał działać jako alternatywa tradycyjnych metod sądu rozjemczego, miała być poprostu „Konferencja Sprzymierzonych Państw“, zgromadzająca się, ile razy zasłaby potrzeba jej usług; postanowienia jej zaś, by działać jako skuteczny zapobiegawczy środek przeciw wojnie, muszą być powzięte jednogłośnie z wyłączeniem stron zainteresowanych.

Prezydent Wilson roztrząsał propozycję Phillimore'a z pułkownikiem House'm. Uważał ją za niewystarczającą pod wielu względami i ostatecznie oddał ją pułkownikowi House'owi z prośbą, żeby zredagował nowy szkic paktu (*covenant*) — to słowo jest jego własne — na podstawie myśli, wypowiedzianych w ich poprzednich dyskusjach, przy pomocy prawników i rzeczoznawców, z którymi pułkownik House współpracował dłużej już, niż rok w Ankiecie.

Pułkownik House spędzał lato nad brzegiem morza w Mognolji, w stanie Massachusetts i tam wypracował swój szkic, który posłał Prezydentowi wraz z listem wyjaśniającym 15 lipca 1918. Ten szkic o dwudziestu trzech artykułach stanowi drugi krok w rozwoju paktu.¹⁾

¹⁾ Patrz tom III, Dokument 9, tekst szkicu pułkownika House'a, oraz list towarzyszący i wyjaśniający do prezydenta Wilsona.

Szkic House'a różnił się od brytyjskich propozycji w kilku ważnych punktach. Nietylko traktował szczegółowiej sprawę organizacji i projektował stały sekretariat, ale wносił liczne dodatki. W czasie wiosny naradzał się pułkownik House z Elihu Rootem i w rezultacie dodał do ustroju Ligi międzynarodowy trybunał. W liście swoim do Prezydenta pisał:

„Poprzednio byłem przeciwnikiem trybunału, ale przy opracowaniu przedmiotu doszedłem do przekonania, że jest on konieczną częścią maszyny. Z czasem może się okazać, że trybunał to najważniejsza jej część.“

Trybunał nie znosiłby procedury przez arbitraż lub prowadzenie do zgody, ale przedstawiał trzeci sposób rozstrzygania sporów. Tamte dwa sposoby utrzymane były z referatu Phillimore'a, jednakże z wybitnymi zmianami. Lecz najbardziej zasadniczą była zmiana w sposobie ukarania państwa, któreby naruszyło umowę. Uciekania się do siły zbrojnej projekt House'a zaniechał, pozostawiając, jako ostateczny i najsurowszy sposób represji, kompletną blokadę państwa, które zawiniło.

Obok opracowania projektu Phillimore'a i wprowadzenia zmian do niego zawierał szkic House'a artykuły w wielu dodatkowych sprawach. Ważny artykuł traktował o redukcji zbrojeń do normy „bezpieczeństwa“, o nacjonalizacji produkcji materiału wojennego i o pełnej jawności w sprawach militarnych.

Najważniejszym ze wszystkich nowych pierwiastków w szkicu House'a był artykuł o bezpośrednim zagwarantowaniu „terytorjalnej integralności i politycznej niezawisłości“ członków Ligi. Ta zasada, która się rozwinęła w sławny artykuł X, miała bardzo zajmującą historję.

Dwie metody gwarancji omawiano obszernie w związku z Ligą — a i trzecią wspomniano także.

1. Gwarantowany proces arbitrażu, taki, jak go zaleca referat Phillimore'a. Ten został ostatecznie wcielony do artykułów od XII—XVI paktu.

2. Prosta gwarancja praw i posiadłości przeciw inwazji była popierana przez prezydenta Wilsona i stała się artykułem X paktu.

Bezpośredniej gwarancji nie uznawali brytyjscy pisarze o Lidze. Zadowalają się oni wszyscy gwarancjami, zabezpieczającymi ugody arbitrażowe, jako wystarczającymi dla zapewnienia bezpieczeństwa członków. Nie znajdujemy jej w żadnym z poważnych planów lat późniejszych, z wyjątkiem Wilsona.

Prezydent sądził, że gwarancja musi być silna i bezpośrednia. Nie widział innego sposobu wprowadzenia w stan trwałego pokoju wzburzonego i zbyt szybkim zmianom podlegającego świata. Nie widział innego sposobu uspokojenia Francji, zatrzymanej możliwością nagłej inwazji na wschodniej granicy. Ale jakkolwiek stworzył silną gwarancję w artykule X, nie była ona jeszcze dość silną, by zadowolić Francję.

Tu znowu, w tej metodzie bezpośredniej gwarancji, zaczerpnął natchnienie wprost z podstawowych amerykańskich dokumentów, jako to z Artykułów Konfederacji, gdzie (artykuł III) kolonie zobowiązują się „pomagać jedne drugim przeciw wszelkiej sile lub napaściom, skierowanym na nie, albo na którąkolwiek z nich” — i z Konstytucji, gdzie (artykuł IV, sekcja 4) powiedziano: „Stany Zjednoczone zagwarantują każdemu Stanowi w tej Unji republikańską formę rządu i będą broniły każdy z nich przeciw inwazji.....“

Wcielił on tę ideę bezpośredniej gwarancji w swój tak zwany pan-amerykański plan dla zapewnienia pokoju na zachodniej półkuli. Dnia 6 stycznia 1916 oznajmił Kongresowi, że toczą się dyskusje z innemi amerykańskimi państwami w kwestji ogólnego porozumienia, opartego na umowie, co do złączenia się dla „wzajemnego zagwarantowania zupełnej politycznej niezawisłości i terytorjalnej integralności.“ Pan-amerykański projekt nie wszedł w życie, ale słowna forma gwarancji, jakiej użył do tego celu, pozostała mu w pamięci. W czternastym punkcie z 8 stycznia 1918 zrzeszenie narodów jest określone, jako mające za cel danie tej bezpośredniej gwarancji.

To też, gdy doszedł go plan Phillimore'a, Prezydent nie zadowolił się przyjęciem jego gwarantowanych umów co do sądów arbitrażowych lub prowadzących do zgody, jako ostatecznego wyrazu dla swego celu. Gwarancja bezpośrednia powinna być także włączoną, a House, znając życzenia Prezydenta, umieścił ją w swoim szkicu.

Jednakowoż House uznał, jak zresztą i sam Prezydent, że ta gwarancja „terytorjalnej integralności“ państw mogłaby nadać organizacji świata zbytnią stężalność i dlatego, po artykule gwarancyjnym w szkicu House'a następuje długi szereg klauzul, przewidujących w przyszłości możliwość zmian *status quo*, gdyby ich zażądano „w myśl zasady o samostanowieniu i gdyby to trzy czwarte delegatów uznało za potrzebne i właściwe.“ To ograniczenie gwarancji, tłumaczy House w swoim liście, jest wskazane, ażeby nie nadać „gwarancjom terytorjalnym nienaruszalności“; jako przykład takiej możliwości, dla której należałoby zawsze zostawić drzwi otwarte, przytacza ewentualne życzenie Kanady, albo południowej Kalifornii, złączenia się ze Stanami Zjednoczonymi.

Tyle o szkicu House'a, który Prezydent miał w rękę w lipcu r. 1918. Zabrał się zaraz do pracy nad nim, zakreślając na marginesie aprobowane przez siebie artykuły. Jednym z najwyraźniej nie zakreślonych w ten sposób, był artykuł, przewidujący ustanowienie międzynarodowego trybunału. Następnie zaczął przerabiać to, co wybrał, w nowy projekt.

Przepadał za tego rodzaju robotą. Kocha się on w słowie, w ścisłym wyrażaniu się. W słowach samych istnieje dla niego piękno; lubuje się w nowych wyrazach, które jak najściślej ujmują treść jego myśli. „*Covenant*“, pakt, uchwycił, jako doskonale wyrażające jego pojęcie o nowem ustosunkowaniu się narodów. Później podjął skwapliwie wyrażenie Smutsa „*mandatory*“ dla wyrażenia idei opiekuńczości wielkich narodów w Lidze w stosunku do ludów słabych i cofniętych w rozwoju. Spotyka się w wielu dokumentach, które szybko wpadały mu do rąk na konferencji pokojowej, wiele zmian, mających na celu jedynie jak najwyraźniejsze, jak najjaśniejsze angielskie wyrażenie. W jedynych prawie dwóch wycieczkach, jakie w życiu swem uczynił poza dziedzinę polityki, historii i ekonomji — w swoim *essay* pod tytułem „Tylko literatura“ i w orędziu na temat Biblii — daje wyraz temu umiłowaniu literackiej formy.

W ciekawym szczególe objawiał się pewien rys zagadkowy jego charakteru. Zawsze silnie go obchodziła cyfra trzynaście (liczba zgłoszek w jego imieniu i nazwisku), która to cyfra istotnie cie-

kawie i uderzająco stosowała się do różnych wydarzeń w jego życiu. Przerabiając projekt pułkownika House'a, składający się z dwudziestu trzech artykułów, zredukował go do liczby trzy-nastu i trwał przy tej liczbie, nawet w późniejszych szkicach, dodając inne potrzebne uzupełnienia, jako „dodatkowe umowy.“

Tego roku pracował w obszernym, cichym gabinecie w Białym Domu, z widokiem poprzez mały zielony park na szary szczyt pomnika Washingtona, rysujący się na niebie. Pisywał na własnej maszynie na małych arkuszkach papieru.¹⁾

Oprócz skreślenia międzynarodowego trybunału, najwięcej znaczącą zmianą, zrobioną przez Prezydenta, było przywrócenie użycia siły zbrojnej w szeregu zarządzeń karnych za naruszenia umowy. Zrobił to w ten sposób, że, zatrzymując formę artykułów House'a o arbitrażu, dodał, godząc się na użycie blokady, jako sankcji, te słowa: „I użyć takiej siły, jaka będzie potrzebna, dla spełnienia tego zadania.“ Jeszcze inna znamienita zmiana polegała na normie redukcji zbrojeń — dla „wewnętrznego bezpieczeństwa“. Artykuł o gwarancji (który w pierwszym jego szkicu był artykułem III) pozostawił Wilson takim, jak go House naszkicował (z pewnemi zmianami w wyrażeniu) — wraz z określającemi klauzulami. Trzeba pamiętać, że aż do końca stycznia 1919, gdy Prezydent mówił o gwarancji, jako o „kluczu do pokoju“, to tę właśnie, określoną, giętką gwarancję miał na myśli.

Ukończywszy pracę, Prezydent udał się na kilkodniowy odpoczynek do Magnolji, gdzie omawiał pakt z pułkownikiem House'm, tłumaczył swoje poprawki, ale dalszych zmian w szkicu nie robił.

Ten to pierwszy szkic paktu miał Wilson ze sobą, opuszczając Amerykę. Przybywszy do Europy spotkał się z dwoma nowemi projektami, obu brytyjskimi, naszkicowanemi przez generała Smutsa i lorda Roberta Cecila. Obydwa opierały się w dużym stopniu na referacie Phillimore'a, ale każdy z nich miał charakterystyczne rysy własne. Plan Smutsa zwłaszcza zrobił wrażenie na Prezydencie, jako dobrze przemyślany, i przekonał go, że jego własny szkic potrzebuje rewizji.

¹⁾ Patrz tom III, Dokument 10 — prezydenta Wilsona tekst pierwszego szkicu paktu.

Generał Smuts był jednym z dwóch czy trzech światowych leaderów, którzy się wybili na konferencji pokojowej. Niezwykły człowiek; zaledwie pięćdziesięcioletni, jeden z najmłodszych leaderów na konferencji, a jednak generał-porucznik w brytyjskiej armji i prezydent ministrów Unji Południowo-Afrykańskiej. Urodzony na farmie w Kaplandzie, z boerskiego rodu, był swego czasu jednym z najświetniejszych uczniów uniwersytetu w Cambridge, odznaczony wszystkimi nagrodami. Zaznaczył się wcześniej jako krańcowy idealista. Bił się zacięcie przeciwko Anglikom w wojnie boerskiej, a gdy Boerowie zostali pobici — usunął się w zacisze — mając lat trzydzieści. „Wolę cicho siedzieć, podlewać moje drzewa pomarańczowe i studjować filozofję Kanta!“ W kilka lat później stał się pierwszym przywódcą w Unji Południowo-Afrykańskiej. Pojmował sytuację światową szeroko i trzeźwo. Choć w działalności jego w Paryżu można spostrzec pewne ciekawe sprzeczności, był on jednym z tych, którzy prezydenta Wilsona najsilniej popierali. Osobiście był to raczej milczący i niełatwy w zbliżeniu człowiek, o wysokiem czole, stalowych oczach, prosto zarysowanych brwiach, ściągniętych właściwym mu pół-marsem, silnie zaciśniętych ustach i potężnej brodzie; był to człowiek, któremu z oczu patrzyło, że jest przywódcą. Był zawsze pod ręką, gdy była trudna robota do zrobienia — jak na przykład, gdy mu powierzono misję do Węgier.

Generał Smuts chciał rzeczywiście, taksamo, jak Wilson, stworzyć z Ligi Narodów podwaliny nowego międzynarodowego systemu, opierającego swój autorytet dla zapobieżenia wojnie na swoim *préstige* w czasie pokoju. Co więcej, starał się nadać Lidze obowiązki i odpowiedzialności, któreby ją uczyniły źródłem porządku przy odbudowie świata z chaosu. „Europa jest w stanie likwidacji — oświadczył — a Liga Narodów musi być spadkobierczynią tych wielkich dóbr“.

Zalecenia Smutsa nie były przedstawione schematycznie, ale rozsiane w tekście broszury z paragrafami objaśniającymi. Prezydent kazał je sobie wszystkie razem przepisać i zabrał się do opracowania ich i włączenia do własnego szkicu.¹⁾ Spisał je

¹⁾ Patrz Tom III, Dokument 11, kopja zaleceń Smutsa.

wszystkie na własnej maszynie, tak jak pierwiej i na takiej samej wielkości arkusikach; zatrzymał swoich trzynaście artykułów, dodając sześć dodatkowych. Skończywszy, miał jedenaście stronic nowego materiału obok dziewięciu pierwotnego szkicu.¹⁾

Od Smutsa przejął Wilson zupełnie nowy schemat organizacji, dodający mniejszą Radę do ogólnej konferencji Ligi. Pomysł ten nie był bynajmniej oryginalnym pomysłem Smutsa. Zwyczaj składania spraw międzynarodowych w ręce małych, skutecznie działających rad, opanowanych przez główne sprzymierzone i stowarzyszone mocarstwa, rozwinął się na szeroką skalę w ostatnim roku wojny. Uzyskał już nawet nazwę „dyplomacji przy pomocy konferencji.“ Wielu zatem wydawało się to naturalnem, że ten zwyczaj także utrzyma się w czasie pokoju i że zrobi z Ligi skuteczniejszy organ od ciężkiej maszyny ogólnej konferencji wszystkich narodów. W Lidze problem ilości małych państw przedstawiałby się trudniej, niż w czasie wojny, gdzie czynny udział biorących małych państw był stosunkowo niewielki. Można je było spokojnie dopuścić do pewnego udziału w pracy rad, nie obawiając się zmajoryzowania przez nie. Na Naczelną Radę Wojenną bywały one zaproszone, ile razy zachodziły w dyskusji ich interesy. W Lidze byłaby duża ilość małych państw, których nie byłoby dogodnie dopuszczać do załatwiania wszystkich spraw. Zamiast zasięgać rady tylko poszczególnych państw w wypadkach, kiedy o ich interesy chodzi, Smuts poddawał plan stałej reprezentacji małych państw w Radzie, mniejszą o jeden głos w stosunku do wielkich mocarstw. Całą tę konstytucyjną maszynę przejął Wilson żywcem z planu Smutsa i pomieścił ją w miejsce artykułu, poprzednio zaczerpniętego z szkicu House'a. Także został włączony plan stałego sekretarjatu.

Zalecenia Smutsa co do arbitrażu i gwarancji w stosunku do niego także zostały przyjęte, po części zamiast uprzednich klauzul, po części jako do nich dodane. W gruncie rzeczy większość tego materiału odnieść należy do referatu Phillimore'a, skąd Smuts go zaczerpnął. Forma wyrażenia się jest energiczniejsza,

²⁾ Patrz Tom III, Dokument 12 — prezydenta Wilsona drugi szkic paktu.

niż przeróbka Wilsona rozwodnionej wersji House'a. Ale sposób działania arbitrażu został taki, jak u House'a.

Artykuł o ograniczeniu zbrojeń został rozszerzony dwoma paragrafami, wziętymi od Smutsa — jeden traktuje o zniesieniu przymusowej służby wojskowej, drugi o ustanawianiu skali ekwipowania i materiału wojennego, odpowiedniej do rzeczywistej liczby wojska.

Najobszerniejszy dział nowego materiału, wcielonego z projektu Smutsa do nowego szkicu Wilsona, to cztery dodatkowe uchwały, określające system pełnomocnictw (*the mandatory system*). Nie trzeba jednak przypuszczać, że system ten wymyślił Smuts samoistnie. Nietylko zasadnicza idea tkwiła głęboko korzeniami w polityce amerykańskiej, tak że Prezydentowi wydała się rodzimą rośliną — ale Smuts zapożyczył ją u radykalniejszych od siebie myślicieli. Program partyj pracy w państwach sprzymierzonych i partji socjalistycznej z lutego 1918 przewidywał nadzór Ligi nad wszelkimi kolonialnymi krajami — należącymi do aljantów, jak również wydartymi nieprzyjacielowi, włączając ziemie, podległe Turcji. Pomysł Smutsa, ograniczając się do terytorjów oderwanych od starych cesarstw, Rosji, Austrii i Turcji, chociaż obejmował także odcinki Europy, nie włączone w program pracy — nie poszedł za nim bynajmniej, ściśle mówiąc, w dziedzinę kolonialną. Wilson, przejmując ten projekt, rozszerzył jego zakres do dawnych niemieckich kolonij.

Jednakże w tej skorygowanej wersji paktu ukazały się jeszcze dwie dodatkowe uchwały obok czterech, omawiających system pełnomocnictw. Te pochodziły z innego źródła, nie z planu Smutsa. Jedna była dowodem wzrastającego uwzględnienia pracy przy układaniu spraw świata. Żądała od wszystkich członków Ligi, żeby dążyli do ustanowienia u siebie i w innych krajach, „sprawiedliwych godzin i ludzkich warunków pracy.“ W trochę zmienionej formie stało się to punktem A artykułu XXIII istniejącego paktu.

Ostatnią dodatkową uchwałą tego drugiego szkicu Wilsona był artykuł, żądający od wszystkich nowych państw za pewnienia równych praw swoim „rasowym lub narodowym mniejszościom.“ Ten artykuł niewątpliwie wynikł z propagandy Żydów, którzy zawsze swoją sprawę stawiają na tej samej podstawie, co sprawa

Litwinów w Polsce lub Słoweńców we Włoszech. Prawdopodobnie w związku z tym artykułem był paragraf nowy, później rozwinięty w obecny artykuł XI, który Wilson często nazywał swoim „ulubionym artykułem” — a dodający giętkości artykułowi X. Zawierał on postanowienie o przyjacielskiem prawie które-gokolwiek narodu do zwrócenia uwagi wszystkim na „jakiiegokolwiek okoliczności gdziekolwiek, grożące zaburzeniem międzynarodowego pokoju, albo zagrażające dobremu porozumieniu między narodami.” Ta klauzula pozwalałaby litewskiemu albo jugosłowiańskiemu państwu wytaczać przed Ligę sprawy, dotyczące ich rodaków w Polsce albo we Włoszech — a Stanom Zjednoczonym podnosić kwestję traktowania Żydów gdziekolwiek.

Smuts, partja pracy i Żydzi są tym sposobem źródłem wszystkich zmian, jakie znajdujemy w drugim szkicu Prezydenta. Miał jeszcze inne projekty przed sobą, ale tych nie zużytkował. Jednym był krótki zarys, naszkicowany przez lorda Cecila. Podobnie do planu Smutsa, ustanawiał on też wyższą radę, ale w przeciwieństwie do tamtego miało to być ciało, złożone wyłącznie z przedstawicieli wielkich mocarstw, i miało spełniać całą rzeczywistą pracę Ligi. Jakkolwiek Prezydent silnie odczuwał odpowiedzialność wielkich mocarstw, jednakże taka naga forma dyktatury, oparta w swojej istocie na precedensie z roku 1815, nie odpowiadała jego zamiarom.

Nareszcie były tam jeszcze te sławne propozycje, dostarczone przez Lansinga wraz z listem z 23 grudnia.¹⁾ Leży to wpośród innych papierów jakby nieruszone i tak świeże, jak gdy sekretarz kładł na tem swój podpis. Prezydent znał poglądy Lansinga nawet bez czytania jego dokumentu. Silniej jeszcze, niż House, sprzeciwiał się Lansing użyciu siły zbrojnej, jako sankcji dla autorytetu Ligi wobec opornych członków. Nie chciał nic słyszeć o przymusowych gwarancjach, ani o postępowaniu arbitrażowem, ani o terytorjalnem i politycznem status quo. W kierunku kolektywnej akcji nie poszedł dalej, jak do propozycji zerwania stosunków z państwami, które zawiniły — jakiś rodzaj „negatywnej gwarancji”. Jego dziwnie

* ¹⁾ Patrz „The peace Negotiations”, by Robert Lansing, pp. 48ff.

pokręcone ujęcie artykułu o ogólnej gwarancji, który ustanawiał zobowiązanie się wszystkich państw-członków do wzajemnego nienaruszania swej integralności albo niezawisłości, ale pozwalał szczególnym państwom czynić to za zezwoleniem Ligi — było zaiste zapewnieniem bardzo wątpliwej wartości dla pokoju świata. Do szkicu Prezydenta nie wniósł ten projekt żadnych zmian.

Wiele innych propozycji pochodzenia amerykańskiego, jako też francuski plan, przysłany mu zo stycznia, jakaś szwajcarska dyskusja, belgijskie pomysły i t. d. znajdują się wśród dokumentów Prezydenta, ale żaden z nich, zdaje się, nie wywarł wpływu na ułożenie jego drugiego szkicu.

Ukończywszy drugi szkic swego projektu, wręczył go Prezydent pułkownikowi House'owi i śpiesznie a tajemnie dał go wydrukować. Ten to szkic, rozdany przez Prezydenta między członków Amerykańskiej Komisji i niektórych brytyjskich przywódców dnia 10 stycznia, wywołał wielkie poruszenie między dyplomatami. Ujrzeni bowiem w nim, po raz pierwszy, konkretne wypowiedzenie zamiarów Prezydenta — np. w sprawie ograniczenia zbrojeń i zarządu kolonjami. Był to specyficzny program. Ten to szkic został oddany przez pana Bullitt komisji Senatu, jako oryginalny pakt Prezydenta — czem jednak nie był.

Szkic Prezydenta, dostawszy się w obiegu, wywołał liczne komentarze i krytyki (o co zresztą Wilson prosił). Dwie z nich tylko, przedłożone przez generała Bliss'a i Dawida Hunter Millera — uważał za dość ważne dla przeprowadzenia zmian w swoim szkicu.

Dość długi komentarz generała Bliss'a zawierał wiele zdrowych uwag i propozycji, większość z nich odnosiła się do słownego ujęcia. Dwie z nich, które zostały przyjęte, idą razem. Pomiedzy celami, które Liga miała członkom swym zabezpieczać, a wymienionymi w przedwstępnem słowie Wilsona, wymieniono: „prawidłowe rządy“ (*orderly government*). Przeciw temu Bliss zrobił zarzut: „Są niektóre narody, które te słowa mogłyby przestraszyć... jako przypuszczenie, że Liga mogłaby być użyta do poskramiania wewnętrznych nieporządków.“ To echo świętego przymierza zostało, w poprawionym szkicu, wymazane. W myśl Bliss'a także bezpośrednia gwarancja integralności i nie-

zawisłości została określona przez dodanie: „wobec napaści z zewnątrz”. Komentarze i pomysły Millera o wiele dłuższe, zostały już ogłoszone.

Z temi projektami w ręku Prezydent przygotował odrazu trzeci amerykański szkic paktu.¹⁾ Został on wydrukowany, tak jak i drugi, ale prawdopodobnie nie był w obiegu, gdyż jest mało znany. Oprócz zmian, wyżej podanych, a pochodzących od Blissa, zawierał ten trzeci szkic jeszcze cztery dodatkowe paragrafy. Jeden z nich dotyczył kłopotliwej klauzuli równoprawnienia wszystkich wyznań. Mógł to być, prawdopodobnie, własny dodatek Prezydenta, oparty na rodzimej amerykańskiej tradycji. Żydzi zawsze upominali się o to, żeby ich nie uważano za wyznaniową grupę. Klauzula o mniejszościach narodowych zadowalała ich główne żądania. Ale być może, że ta podsunęła tamtą — zwłaszcza jako sposób traktowania takich kwestyj w innych, nie koniecznienowopowstałych państwach.

Trzy ostatnie z nowych artykułów są, zdaje się, zaczerpnięte albo z szeregu pomysłów, wręczonych Prezydentowi przez Lansinga 7 stycznia, albo też z krytyki Millera. Jeden dotyczył tej starej, drażliwej kwestji wolności mórz — którą Anglicy sądzili, że już bezpiecznie usunęli swoim zastrzeżeniem co do drugiego z czternastu punktów. Tylko że, o ile Lansing naszkicował swój artykuł, by zastrzec kodyfikację międzynarodowego prawa w tym przedmiocie — Wilson opierał się na przypuszczeniu, że to już zostało spełnionem, i wykombinował uchwałę, że „żadne mocarstwo, ani żadne przymierze mocarstw, nie będzie miało prawa przekroczyć w żadnym szczególe wyraźnego znaczenia określeń, tak ustanowionych.” Jednakże Liga, działając zbiorowo, będzie miała moc zamknięcia mórz w całości lub w części, posługując się tem prawem, jako środkiem zmuszającym do spełnienia uchwał. Dwa pozostałe artykuły nakazywały ogłaszanie na przyszłość wszelkich traktatów i zakazywały różnego handlowego traktowania (*commercial discrimination*) między członkami.

Rozglądając się w tej historii ewolucji planu Prezydenta w sprawie Ligi poznajemy, jak gruntownie był przygotowany,

¹⁾ Patrz Tom III, Dokument 14, prezydenta Wilsona trzeci szkic paktu.

jak nawskroś przemyślał dotyczące problemy, zanim jeszcze jakakolwiek komisja została utworzona. Analizując, odkrywamy także, jak mało w tym projekcie było jego własnego, jak właściwie, prawie jedynie wybierał tylko pomysły, same wysłownienie nawet, innych ludzi. Scieranie się zdań dowodzi także, że wielu było w Paryżu równie dobrze przygotowanych, jak on sam. Dalsze zmiany jeszcze miały mu w przyszłości narzucić czynniki inne, niż własne. Jedną rzecz własną swoją (obecnie, jeśli nie w pierwotnym początku) miał jednak przeprowadzić — mianowicie bezpośrednią gwarancję, która przeszła w artykuł X.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Wilson wykończył swój trzeci szkic, ukazał się również urzędowy projekt Brytyjskiej Delegacji, zawierający bardzo szczegółowy plan, na podstawie którego była ona gotową zająć stanowisko w dyskusji.¹⁾ Wręczył go Prezydentowi pułkownik House 19 stycznia, wraz z listem, przypominającym mu o konferencji, mającej się odbyć z lordem Cecilem tegoż wieczora. Nazajutrz lord Robert Cecil sam przysłał mu drukowany egzemplarz. Że szkicu Wilsona użyto w kreśleniu tego planu, jasno wynika z momentu, iż zawiera on artykuł o bezpośredniej gwarancji, w wyrażeniach mocno zmienionych i odnoszącej się tylko do „terytorjalnej integralności.“ Inny artykuł przewiduje możliwą rewizję układów terytorjalnych, ale ogranicza działalność Ligi do zalecenia zmiany państwom interesowanym i do usunięcia z pod gwarancji dotyczących terytorjów.

Gorącym pragnieniem Prezydenta było niewątpliwie, by trzeci jego szkic paktu, w którym starał się pogodzić wszelkie poglądy, stał się podstawą dyskusji szefów państw na Radzie Dziesięciu. Szkic brytyjski jednakże zawierał zbyt wiele istotnie ważnych różnic, by się z nim można było załatwić w krótkim przeglądzie. Była tam np. wielce sporna kwestja, czy brytyjskie kolonie mają mieć swoją reprezentację odrębną od brytyjskiego państwa, były problemy stałego międzynarodowego trybunału i praw mniejszości. Rozmowy Prezydenta z Cecilem i ze Smutsem przekonały go, że to są kontrowersje, które rozstrzygnąć się dadzą jedynie drogą osobistych narad i gruntownego

¹⁾ Patrz Tom III, Dokument 15 — tekst brytyjskiego planu.

przestudjowania. Właśnie też w tym czasie nawał pracy w Radzie Dziesięciu i inne obowiązki, zabierające czas Prezydentowi, urosły do nadmiernych rozmiarów.

Ułożono przeto między Amerykanami a Anglikami, że obydwa ich szkice będą oddane do zreferowania prawnym doradcom ich, Dawidowi Hunter Millerowi ze strony Ameryki i A. J. B. Hurstowi ze strony Wielkiej Brytanji. Wynikł z tego szkic złożony; zupełnie zadowolającym nie był on dla żadnej strony, ale ostatecznie został przyjęty, jako podstawa dyskusji, gdy komisja Ligi Narodów zeszła się 3 lutego.¹⁾

Tak powstał pakt, który stał się podstawą dyskusji w Komisji Ligi Narodów.

Inna walka równocześnie, ściśle związana z rolą Ameryki w Paryżu, była właśnie w pełnym toku. Dwa wyraźne momenty zawierał program Prezydenta: po pierwsze, że musi być Liga Narodów, po drugie, że musi być integralną częścią traktatu pokojowego. I należycie zrozumiemy to, co się stało w Paryżu, jeżeli się zastanowimy nad sporem, który szalał dokoła tego drugiego momentu w czasie, gdy sposobem wyżej opisanym rozwijał się pakt Ligi w programie Prezydenta.

¹⁾ Patrz Tom III, Dokument 16—plan Hursta-Millera, z protokółów Komisji Ligi Narodów.

ROZDZIAŁ XIV.

KLUCZ DO POKOJU. — WALKA PREZYDENTA WILSONA O UCZYNIE NIE LIGI NARODÓW „INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ OGÓLNEGO TRAKTATU POKOJU“.

„Liga Narodów wydaje mi się jednym z koniecznych punktów układu. Pojmuję ją jako klucz do całego układu“. — Odpowiedź prezydenta Wilsona, dana delegacji, przedstawiającej Międzynarodową Ligę Narodów, a składającej się z lorda Parmoora, lorda Buckmastera, biskupa Oxfordu i mr. G. H. Gooch'a w Londynie 28 grudnia 1918.

Przechodzimy teraz do rzeczywistych powodów, dla których prezydent Wilson z tak niezachwianą stanowczością nalegał na uczynienie Ligi Narodów integralną częścią ogólnego traktatu pokoju.

Jest to, pod wielu względami, najważniejszy przedmiot w związku z konferencją pokojową — był to bowiem widomy symbol całej walki pomiędzy „starym“ porządkiem a „nowym“. Raz za razem nazywał Wilson Ligę „kluczem do całego układu“.

Europejscy aljanci i Japonja chcieli, ażeby terytorjalne, militarne i ekonomiczne układy zostały załatwione najpierw, ogólnie, w myśl umów starych, tajnych traktatów: chcieli pokoju, opartego na potrzebach, interesach i obawach wielkich narodów. Liga miała przyjść później — jeśli wogóle przyjść miała!

Prezydent Wilson chciał zastosować amerykańskie zasady i program, przyjęte przy zawieszeniu broni, odrazu i do wszystkich warunków układu. Uważał Ligę Narodów za kamień węgielny tego programu, bez którego ani zasady nie dałyby się utrzymać, ani przyszły pokój świata — dla Ameryki sprawa naj-

ważniejsza — nie mógłby zyskać pewnej gwarancji. Dlatego chciał on stworzyć Ligę odrazu i wpleść ją w każdą część układu. Nie zasady Wilsona wywołały zamęt i niepokój w Paryżu, ale jego stanowcza wola stosowania tych zasad.

Prezydent Wilson powiedział kiedyś o sobie, że ma umysłowość jednotorową. Przykładem tego były pierwsze czasy konferencji. Cokolwiekbyś zachodziło, on zawsze szedł prosto naprzód — ku swoim zamierzeniom.

Pierwszego dnia konferencji Francuzi przedłożyli swój plan procedury, który rozważania nad Ligą Narodów odkładał na koniec. Następnego dnia Prezydent przedstawił swoją „listę przedmiotów“, w której Ligę Narodów umieścił na początku. Oczywiście spodziewał się, że Rada sama będzie nad nią dyskutować i że jej zasady, jeśli nie szczegóły, opracowane będą przez szefów państw, jako podstawa rozstrzygnięć.

Anglicy swoim zwyczajem zabrali się zaraz do roboty i wystosowali rezolucję, że sprawa ta, opracowana definitywnie, ma być przedstawiona na konferencji. Tak Anglicy, jak Francuzi byli mistrzami w wygotowywaniu tego rodzaju dokumentów; dobrze znali taktyczną wartość przedłożenia aktualnej propozycji na piśmie.

Głównym celem brytyjskiej rezolucji było usunąć dyskusję nad Ligą z Rady, a oddać ją w ręce specjalnego komitetu. Kopja, którą znajdujemy w papierach Wilsona, drukowana jest na pojedynczej karcie papieru z pieczęcią brytyjską i datą 15 stycznia. Wręczono ją Prezydentowi, niewątpliwie licząc się z tem, że natychmiast na nią przystanie, on jednakże przetrzymał ją przez tydzień.

Przez cały ten czas dyskusje toczyły się poza Radą. Pakt Prezydenta, a w każdym razie niektóre konkretne w nim propozycje, jak ograniczenie zbrojeń i pełnomocny (mandatowy) zarząd kolonij — wpadły jak bomba w obóz europejski. Sprawy te po raz pierwszy otworzyły oczy przywódców sprzymierzonych na to, co Amerykanie zamierzają uczynić — jeśli tylko będą mieli siły po temu. Wielkie różnice poglądów zaznaczyły się odrazu, zwłaszcza u Francuzów i u Włochów.

Pomimo to, Prezydent wciąż jeszcze miał nadzieję, że szefowie państw wezmą Ligę pod obrady, przedewszystkiem główne

jej zasady, na większych Radach. Dnia 21 stycznia powiedział to przewodniczącemu, Clemenceau, ten zaś oznajmił Radzie Dziesięciu, że prezydent Wilson zamierza „wnieść kwestję Ligi Narodów na następnem posiedzeniu“. Tu nastąpiła dyskusja:

„Mr. Lloyd George oświadczył, że zgadza się na to i zaproponował, by kwestja Ligi Narodów była podjęta na następnem posiedzeniu, by tu obecni ustalili ogólne zasady, a potem mianowali międzynarodowy komitet dla opracowania konstytucji Ligi...

Prezydent Wilson zapytał, czy mr. Lloyd George ma na myśli komitet, złożony z delegatów.

Mr. Lloyd George odpowiedział, że sądzi, iż byłoby do życzenia mieć kompetentne osoby w komitecie.

Tu prezydent Wilson wytłumaczył, dla poinformowania obecnych, w jaki sposób naszkicował konstytucję. Oświadczył, że wziął referat Phillimore'a i prosił pułkownika House'a, żeby go przerobił. Następnie przerobił projekt pułkownika House'a, dostosowując go do swoich własnych idei. Później przestudjował plany, przygotowane przez generała Smutsa i lorda Roberta Cecila, i znowu, raz jeszcze, przerobił konstytucję. Nakoniec rozmawiał z panem Bourgeois i z przyjemnością stwierdza, że poglądy pana Bourgeois, generała Smutsa i lorda Roberta Cecila są w zasadniczej zgodzie z jego poglądami.

Mr. Balfour zaproponował, by szkic Prezydenta odesłać do komitetu.

Prezydent Wilson zauważył, że dobrzeby było, gdyby komitet złożony był z ludzi, którzy tę kwestję już studjowali.

Mr. Lloyd George zgodził się na to, a że radby mieć obu, i generała Smutsa i lorda Cecila, w komitecie, więc proponuje, żeby w skład komitetu weszły po dwie osoby, mianowane przez każdą z delegacyj wielkich mocarstw.¹⁾

Jedynie występująca na jaw różnica zdań co do paktu skłoniła Prezydenta do przyjęcia pomysłu komitetu, lecz z drugiej strony Rada sama ugięła się pod brzemieniem problemów Rosji, Polski i chaosu wciąż jeszcze panującego w całym świecie. Gdyż świat nie czekał ani na Radę Dziesięciu, ani na Komitet

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 22 stycznia.

Ligi Narodów. Wszędzie jeszcze wzbierała fala niebezpieczeństw. I tak 19 stycznia przyszło polityczne przesilenie we Włoszech i ogólne wybory w Niemczech, jedno i drugie było źródłem niepokoju. Austrija umierała z głodu; Węgry już się chyliły ku rewolucji.

O następnym dniu (22 stycznia) opowiadają protokoły:

„Mr. Lloyd George odczytał pewne rezolucje, dotyczące Ligi Narodów, które zostały przyjęte z pewnemi poprawkami, proponowanemi przez prezydenta Wilsona“.

Były to owe brytyjskie rezolucje, które Prezydent miał w ręku od tygodnia, a poprawki, o których mowa, zrobione przez Prezydenta, miały ogromne znaczenie. Drukowany tekst brzmiał:

„Liga powinna być stworzoną j a k o c z ę ś ć pokoju“.

Według tego postanowienia, układy mogły być przeprowadzone tak, jak wskazywał plan francuski, dzielący konferencję pokojową na dwa okresy; w pierwszym miało się ułożyć wszelkie postanowienia, wedle starych zasad, a potem w drugim kongresie, dyskutować o „Stowarzyszeniu Narodów“.

Z poprawkami Prezydenta ustęp ten brzmiał:

„Liga powinna być stworzoną jako integralna część ogólnego traktatu pokoju“.

Jednem słowem, chciał, żeby Liga była integralną częścią — w istocie, kamieniem węgielnym — pokoju.

Nietylko takim był dawno hodowany jego zamiar, ale i natychmiastowe taktyczne znaczenie miała ta poprawka. Gdyby mógł uzyskać natychmiastowe rozważanie zasad Ligi w Radzie i przez szefów państw, postawiłby Radę w takim położeniu, że nie mogłaby już usunąć Ligi na bok. Podczas gdy rezolucja ta została przyjęta, choć z zastrzeżeniem barona Makino, Lloyd George zaraz nazajutrz (23 stycznia) zrobił pośpieszną próbę (o czem więcej w następnym rozdziale) podzielenia niemieckich kolonij między dominja brytyjskie, Francję i Japonję — co samo w sobie było próbą odsunięcia Ligi na bok i uzyskania postanowień na podstawie tajnych umów raczej, niż na podstawie „nowego porządku“. Dnia 25 stycznia, podczas drugiej plenarnej

sesji konferencji, podczas gdy spór o kolonje wrzał w Radzie Dziesięciu, te rezolucje z 22 stycznia zostały pchnięte naprzód, przyjęte przez wszystkie narody, fakt, który później okazał się niespodziewanie ważnym. Tym sposobem projekt Ligi został skutecznie rzuconym. Wilson w potężnej mowie dnia tego wygłosił swe przekonanie, że Liga powinna być jednym z punktów całego programu pokoju.

„To jest zasadniczy cel naszego zebrania się (powiedział). Rozstrzygnięcia mogą być czasowe, ale czyny narodów w interesie pokoju i sprawiedliwości muszą być trwałe. Możemy ustanowić trwałą ciągłość procesu, choć nie możemy powziąć trwałych decyzji“.¹⁾

Czy wszyscy słuchacze dzielali z sympatją jego punkt widzenia, o tem można wątpić; przyjęli jednak rezolucję, że ma być utworzony komitet dla opracowania paktu. Zawsze jeszcze pozostawało im dosyć szans, by, bądź przeprowadzić co ważniejsze postanowienia, zanim pakt będzie gotów i przyjęty — jak to w tej chwili próbowali uczynić z niemieckimi kolonjami, — bądź też postarać się o taki pakt, jakiby im dogadzał.

Niema też żadnej wątpliwości, że inni szefowie państw — z których żaden nie wierzył w Ligę (Smuts i Cecil wierzyli w nią, ale nie Lloyd George), uważali, że, odsyłając ją do komisji, usuwają ją sobie z drogi, przynajmniej czasowo — i że tym sposobem będą mogli przejść do spraw, rzeczywiście ich obchodzących: do podziału kolonij, oznaczenia odszkodowania od Niemców i t. d. Zaczęli też od tego, że nową komisję stworzyli tak niezręczną i ciężką, jak tylko być mogło, przez dodanie do niej możliwie największej ilości członków z mniejszych państw. Clemenceau, Lloyd George i Sonnino, tak gorliwi w wykluczaniu małych państw z ważnych obrad wielkich mocarstw nad warunkami traktatu, teraz nalegali na to, by te małe narody miały udział w formułowaniu Ligi.

To też rzekomo dla względów, że tak uczynić wypada, zgodzono się dopuścić do komisji delegatów pięciu mniejszych państw — cyfrę tę podniesiono do dziewięciu po rozpoczęciu

¹⁾ Protokóły — druga plenarna sesja, 25 stycznia.

posiedzeń. Że zaś wielkie mocarstwa miały, każde, po dwóch delegatów, utworzyła się ostatecznie komisja z dziewiętnastu; małe państwa bowiem miały mniejszość o jednego, jak projektowane było dla Rady Ligi.

Ta rozmowa na tajnym posiedzeniu Rady Dziesięciu, 22-go stycznia, jest zarazem tak subtelna, tak znacząca, a rozumiejącemu rzecz tak ironiczne nasuwająca refleksje, że ją tutaj przytaczamy:

Prezydent Wilson zauważył, że ze względów praktycznych byłby zdania, iż pierwotny projekt Ligi Narodów powinienby być przygotowany przez komisję, naznaczoną przez wielkie mocarstwa. Ten projekt możnaby następnie przedstawić obszerniejszej komisji, na której wszystkie mniejsze państwa byłyby reprezentowane. Jednem słowem projekt wykonywałyby wielkie mocarstwa, a rezultat byłby poddany pod krytykę małych.

Mr. Lloyd George uważał, że skoro Liga Narodów ma być, w rzeczywistości, rodzajem tarczy ochronnej dla małych narodów, powinnyby one być reprezentowane w Komitecie redagującym. Może byłoby lepiej, gdyby wielkie mocarstwa mianowały swoich własnych przedstawicieli i zarazem mianowały te małe państwa, które również mają mieć przedstawicieli swoich w komisji.

Prezydent Wilson oświadczył, że wołałby widzieć urządzenie bardziej giętkie i że bardzoby pragnął, żeby zasięgano opinii ludzi myślących, reprezentujących małe państwa. Czyby nie było dobrze stworzyć komisję, złożoną z dziesięciu, mianowaną przez wielkie mocarstwa i upoważnioną do wzywania, kogo zechce, i dyskusowania z przedstawicielami małych państw o tych stronach projektu, któreby ich najwięcej dotyczyły? A nadto nie potrzebowaliby się ograniczać do kilku. Sądził, że najlepiej byłoby postępować w ten sposób. O wiele więcej możnaby wydostać od małych państw, gdyby się je wzywało, jako przyjaciół i doradców. Dalej, w ten sposób wielkie mocarstwa uniknęłyby trudności, polegającej na pozorze, że wybierają ludzi — gdyż obierałyby ich małe państwa same.

P. Clemenceau zauważył, że dzieło to ma służyć zarówno wielkim mocarstwom, jak małym państwom. Uważał za naj-

bardziej upragnione, by wielkie i małe państwa zeszły się razem i żeby ich praca była ścisłą współpracą. Ważnem jest dać poczuć publiczności, że ich praca jest wspólną. Proponował, żeby każde mocarstwo mianowało po dwóch przedstawicieli, a małe państwa, żeby mianowały ich pięciu. Przypuszczał, że one jak najchętniej pójdą za radą przedstawicieli wielkich mocarstw. Proponował, żeby Biuro poprosiło małe państwa, by się zebrały i wybrały pięciu. Odpowiedzialność wtedy będzie spoczywała na nich samych. Mówił, naturalnie, o uczestniczących w wojnie tylko, a nie o neutralnych. Wielceby pragnął, żeby praca zacząć się mogła jak najprędzej, i miał nadzieję, że komisja będzie mianowaną odrazu...

Prezydent Wilson zauważył, że było niepodobieństwem zreagować tego rodzaju akt w obszernym Komitecie. Daleko praktyczniej byłoby ustanowić podatniejszy komitet redakcyjny i polecić temu ścisłemu komitetowi z kilku ludzi przygotować i przedłożyć projekt innym dla zbadania wrażenia i opinii tychże.

Mr. Balfour rozumiał, że było zamierzonym, by komitet od czasu do czasu zasięgał zdania członków wielkich mocarstw.

Mr. Lloyd George uważał, że należy pamiętać, iż małe państwa zaczynają się mocno niecierpliwie i czuć się niejako wykluczonymi. Dlaczego nie ma prezydent Wilson przygotować projektu dla natychmiastowego rozważenia przez komisję? Nie sądzi, iżby miało być niemożliwem mieć komisję z piętnastu przedstawicieli. Co do obawy, by wyznaczenie tylko pięciu dla reprezentowania wszystkich małych państw miało sprawić pewien kłopot ich delegatom, to nie widzi racji, dla czego by ta sprawa nie miała być im przedłożoną, pozwalając im dyskutować i walczyć o kwestję, kto ich ma reprezentować.

P. Clemenceau powtórzył, iż sądzi, że najpotrzebniejszym względem jest, by wielkie państwa dały do pocucia konferencji, że pragną małych państw i że zapraszają wszystkie do wzięcia udziału wraz z niemi.

Lloyd George i Clemenceau w ten sposób ideę Ligi czasowo usunęli na bok, zepchnąwszy ją do komisji, a potem przeładowali tę komisję, robiąc z niej rodzaj placu, gdzie małe państwa wystrzelać mogły swoje naboje; wszystko to w celu, by, mając

teraz swobodę, moc na ścisłych radach wielkich mocarstw układać i dzielić świat wedle woli. Jednakże Prezydent, choć przeszkoda ta mocno go wstrzymała, przyjął wyzwanie i uczynił coś, na co tamci w żadnym razie nie rachowali. Spodziewali się, że pułkownik House zostanie głównym amerykańskim przedstawicielem w Komisji Ligi Narodów — gdyż znali jego głębokie zainteresowanie się tym przedmiotem, jednakże Prezydent sam został członkiem i przewodniczącym Komisji Ligi Narodów, nadając jej tym sposobem niespodziewaną moc i znaczenie. On i Orlando byli to jedyni szefowie wielkich mocarstw, zasiadający w tej komisji. Lloyd George, naznaczywszy już Smutsa i Cecila, sam nie mógł już się tam dostać, choćby nawet był chciał. Zainteresowanie przesunęło się nawet z samych Rad na Komisję Ligi Narodów. Była to zręczna obustronnie gra strategiczna!

Czego europejscy i japońscy przywódcy nigdy, zdaje się, nie rozumieli, to głębokiej powagi i zdecydowanej stanowczości tego amerykańskiego prezydenta. Nie zdawali sobie sprawy w owym czasie, jak on jasno widział drogę swojego działania, ani do jakiej głębi sięgało jego przeświadczenie, że jest przedstawicielem nie tylko ideałów i tradycji Ameryki, ale zarazem nadziei całego świata. Podczas tragedii i cierpień wojny wszyscy myśleli, mówili, pisali o jakimś wielkiem, nieokreślonem zrzeszeniu się narodów, które musi się wyłonić przy ostatecznych układach, ażeby zapobiec powtórzeniu się takiej katastrofy. Pełne tego poczucia były dusze ludzkie. Wszyscy mężowie stanu, francuscy, brytyjscy, zarówno jak amerykańscy, włączali to w swoje polityczne deklaracje. Tylko Japończycy nigdy nie dawali się ponieść uczuciowej fali! Nikt nie dał jaśniejszego i silniejszego wyrazu tej nadziei, jak Wilson; tylko że, o ile wielu z tamtych mówiło o tem pod przelotnym impulsem uczuciowego prądu lub oportunizmu politycznego, zatrzymując w głębi duszy nienaruszone motywy mniej czyste i mniej humanitarne, amerykański prezydent wierzył szczerze w każde słowo, które wypowiadał, i przybył do Paryża zdecydowany wykonać to, na co się zgodził i co przyrzeczono.

Jest wielce ciekawą rzeczą — a w tem miejscu nawet potrzebną — zbadać genezę postanowienia Wilsona, by uczynić Ligę

„integralną częścią ogólnego traktatu pokoju“ i, w istocie, częścią najważniejszą. Nie była to decyzja nagła ani kapryśna, nie prosta taktyczna sztuczka, jak niektórzy dyplomaci zdawali się mniemać. Porał się on z tym problemem przez trzy lata, podczas męki wielkiej wojny. Rozwijał się ten problem stopniowo i był w przekonaniu Wilsona nieuchronnym i logicznym rezultatem amerykańskiej interwencji wojennej. Jakiż inny interes, jakiż cel miała Ameryka, jeśli nie zapewnienie trwałego pokoju świata, czego te układy byłyby początkiem! Dyplomaci europejscy nie mieli pojęcia, jak głęboko tkwiło to przekonanie w duszy Prezydenta.

Myślenie jego o tym przedmiocie przeszło przez cztery wyraźne stadia, a każde odpowiadało zmianie stanowiska Ameryki w stosunku do pożaru świata.

W pierwszym okresie wojny zrozumiał, że Amerykę, bez względu na wynik, dotknie ona głęboko, że nasza izolacja, jako narodu, stanie się odtąd niemożliwą.

„Bierzemy udział, czy chcemy, czy nie chcemy, w życiu świata... Jesteśmy współnikami reszty pozostałych. Co dotyka ludzkości, jest tak samo bezwarunkowo naszą sprawą, jak zarówno sprawą narodów Europy i Azji.“

Powiedział to w przemowie do Ligi dla Przeprowadzenia Pokoju, 27 maja 1916, prawie na rok przed przystąpieniem Ameryki do wojny. Jeżeli ten wielki nowy fakt jest prawdą, to co powinna Ameryka uczynić? Czego powinna żądać na miejsce bezpieczeństwa swej poprzedniej, a teraz z konieczności rozchwiejającej się izolacji? Mogła się uzbroić; mogła stać się wielkiem, militarnem państwem; tak czyniły europejskie narody. Odrzucił tę myśl w zupełności. Jedyną alternatywą była jakaś forma międzynarodowej kooperacji, w którejby Ameryka mogła przodować. Powinnaby przeto połączyć się z innymi narodami świata „by czuwać nad tem, ażeby słuszne prawo hamowało wszelkiego rodzaju egoistyczną napaść“ i tym sposobem zabezpieczyć pokój świata. Jednem słowem, powinno powstać zrzeszenie narodów. Ten logiczny postulat wydawał mu się nieuniknionym. Jednakże podówczas byliśmy neutralni, obecna wojna musi być rozstrzygniętą tak, „jak się wojujący między sobą ułożą“. My, natural-

nie, nie mogliśmy mieć głosu w sprawie warunków pokojowych. Mogliśmy przystąpić do zrzeszenia narodów później.

„Nas interesuje tylko pokój i jego gwarancje w przyszłości“.

Innemi słowy, wojujący mieli ułożyć warunki pokoju na drodze rokowań (z Niemcami, naturalnie, przy stole pokojowym), a my mieliśmy wstąpić później, jako członek, do zrzeszenia narodów, ażeby utrzymywać stały pokój w świecie.

Ale im dzikszą stawała się wojna, im bliższą chwila, która miała Amerykę w nią wciągnąć, tem poważniej zaczął Prezydent zadawać sobie pytanie, jaki ma być stosunek tego zrzeszenia narodów do warunków pokojowych. Wciąż jeszcze wyobrażał sobie pokój na drodze rokowań, „pokój bez zwycięstwa“, jak powiedział Senatowi 22 stycznia 1917; i wciąż wierzył, że przyszły pokój świata nie może być zagwarantowany bez udziału Stanów Zjednoczonych. Widział jednakże, jak roznamiętnienie w Europie wzrastało do coraz to większej potęgi; zaczął rozumieć, jak trudnem będzie, w takiej atmosferze nienawiści, strachu i chciwości, zawarcie „sprawiedliwego pokoju“. To też zaczął się niepokoić o warunki pokojowe. Mówi Senatowi, że „zanim damy naszą gwarancję pokojowi, musi on sam przez się być wart gwarantowania“. Musimy uzależnić nasze przystąpienie do przyszłego zrzeszenia od sprawiedliwości warunków.

Gdy jednakże w kwietniu przyszło nam samym uczynić ten wielki skok w fale i przystąpić do wojny, zmieniło się wszystko. Już nie byliśmy dłużej neutralnymi: ramię przy ramieniu walczyliśmy ze sprzymierzonymi; będziemy musieli zasiadać przy pokojowym stole. Będzie to pokój zwycięski, pokój narzucony, a nie rokowaniami doprowadzony do skutku. W układaniu pokoju Ameryka będzie brała udział— Niemcy nie będą. Stawaliśmy się teraz mocno odpowiedzialni za warunki: nie mogliśmy już, jak przedtem, stać z rezerwą na boku i mówić: „Waszą jest rzeczą przeprowadzić sprawiedliwy układ, inaczej my mu nie damy naszej gwarancji“.

W następstwie tego Prezydent poświęcił wiele chwil owej myśli i wysiłku ku sformułowaniu warunków takich, jakimby Stany Zjednoczone mogły dać pozytywne poparcie oraz gwarancję. Zrzeszenie narodów zawsze się pojawiało wśród tych warunków. Był to ostatni z Czternastu Punktów w styczniu 1918.

Dopiero jednak we wrześniu 1918 (mowa w Metropolitan Opera House) dochodzi on ostatecznie do decyzji, że ustanowienie Ligi Narodów ma być „najważniejszą częścią samego układu pokojowego“, ponieważ „bez takiego środka, któryby mógł gwarantować pokój światowy, pokój będzie spoczywał po części na słowie wyjętych z pod prawa“. Wielki jednak nacisk zawsze kładzie na warunki pokoju. Cena, którą muszą wszyscy zapłacić, to „bezzstronna sprawiedliwość w każdym artykule układu, bez względu na to, czyj to interes krzyżuje“.

I znowu w swojej mowie do Kongresu 11 listopada, z okazji zawieszenia broni, powtarza tę myśl z nową siłą.

Prezydent przybył do Europy i stanął tam wobec surowej rzeczywistości. W samej atmosferze odczuwał rosnącą opozycję, „szturm na idealizm“. Lawina problemów, wyrażanych w petycjach, żądaniach — wszystkie o zaradzenie jakimś natychmiastowym albo materialnym potrzebom — spadła na niego. Zaczął odczuwać, że niełatwo będzie uzyskać „bezinteresowną sprawiedliwość“, pomimo uroczyście danych zapewnień. Zaczął rozumieć, jak niezmiernie trudno będzie zapewnić pełną sprawiedliwość wszystkich warunków.

Wyznaje w mowie swojej w Manchester, w Anglii:

„Nie mam nadziei, żeby indywidualne warunki układu były zupełnie zadowalające“.

Wszystko to jednak nie tylko nie osłabiło jego zamiaru, ale jeszcze bodaj, że go wznieciło. Zawsze bowiem jest przekonany, że w przyszłym pokoju leży cały interes, potrzeba i nadzieja Ameryki. Ażeby go zapewnić w zanarchizowanym świecie, gdzie niesprawiedliwość nie da się natychmiast wyplenić, Liga jest jeszcze konieczniejszą, niż kiedykolwiek. Ważniejszą jest sprawą nawet, niż same warunki. Powiedział słuchaczom swoim w mowie w Guildhall w Londynie, 28 grudnia, że „kluczem do pokoju jest gwarancja pokoju, nie jego artykuły“. W dwa dni później, w Manchester, wygłosił dalszą ideę, dalszy logiczny krok — gdyż, jeżeli indywidualne warunki nie są zadowalające, musi być dany sposób dla zmienienia ich — że Liga także „ustanowi środki sprostowania,... środki dobrej woli, środki przyjacielskie“, dla oczyszczenia układu z ewentualnych błędów, które gorączka i na-

miętności czasu mogły do niego wprowadzić. Musi przeto Liga, więcej niż kiedykolwiek, stać się żywotną częścią samego traktatu.

Ważnem jest i trzeba to zapamiętać, że Wilsona pierwotny projekt artykułu gwarancyjnego w naszkicowanej przezeń konstytucji Ligi zawierał postanowienie co do zmian *status quo*, jakieby traktat pokoju zostawił, przez samostanowienie i przy poparciu trzech czwartych głosów państw-członków. I zawsze też uważał, że artykuł XI ostatecznego paktu — który nazywał swoim ulubionym artykułem — także służył temu celowi uczy-nienia gwarancji giętką. Nigdy nie pojmował gwarancji w ten sposób, jakoby miała niesprawiedliwy układ na zawsze w świecie utrwać.

Prezydent zatem miał już ustalony pogląd na stosunek Ligi do traktatu pokoju na długo przedtem, nim się konferencja rozpoczęła. Liga musiała stać się częścią samego układu; była nieodzownie potrzebną dla zagwarantowania pokoju świata, ponieważ była jedynym środkiem, który, prostując przyszłe powody wojen, zwłaszcza takie, jakie mogły wyniknąć z traktatów, mógł służyć do powstrzymania narodów od wzajemnego chwytania siebie za gardło. Krótko mówiąc, na tej drodze jedynie mogła Ameryka osiągnąć to, o co pierwotnie walczyła: pokój i bezpieczeństwo (bez wielkich zbrojeń) po wojnie.

W miarę dalszego rozwoju konferencji pokojowej, jeszcze jeden czynnik, którego Prezydent początkowo nie mógł mieć na myśli, pobudził go do większej jeszcze stanowczości w domaganiu się, by Liga z traktatem stanowiły jedną całość. Tym czynnikiem była rosnąca teraz wątpliwość, czy — gdyby się nie uczyniło Ligi nieodłączną częścią traktatu, równocześnie przyjętą, — czy dałoby się uzyskać zgodę na nią wszystkich mocarstw (może nawet Ameryki!) ? a jeżeli, to może po dłuższym dopiero czasie. Nie przewidywał pierwotnie u nikogo braku chęci wstąpienia do Ligi — czyż wszystkie narody tego nie chciały ? — a gdy się ten brak chęci objawił, umocniło go to tylko w przekonaniu, że Liga i traktat muszą być przyjęte, jako jeden wspólny akt.

Taką była sytuacja aż do 25 stycznia, gdy owa sławna rezolucja, odnosząca się do Ligi Narodów, została przyjętą. Była to walka, zręcznie przez Prezydenta przeprowadzona i (we

wszystkich tych wczesnych starciach) wygrał we wszystkich punktach. Cała maszynierja dla stworzenia Ligi ruszała szczęśliwie z miejsca; osiągnął swój wielki cel — zapewnienie przyjęcia przez wszystkie narody, na jawnej konferencji z 25 stycznia, swej głównej zasady, że Liga musi być „integralną częścią traktatu pokoju“. A chociaż siła okoliczności nie pozwoliła mu, jak się spodziewał, poddać pod dyskusję Najwyższej Rady szerokich zasad Ligi i uzyskać przyjęcia przez nią pierwiastków programu — to jednak miał niebawem stworzyć Komisję Ligi Narodów, której miało być powierzone zadanie organizacji, a która przez to, że on sam miał być jej przewodniczącym, stawała się niemal tak ważną — przynajmniej w oczach publiczności — jak sama Rada. Istotnie, te długie narady w hotelu Crillon, gdzie roztrząsano sprawę nowej Ligi, przez pewien czas zaćmiewały nawet pracę Rady Dziesięciu.

Jak już jednakże powiedziałem, były to tylko pierwsze utarczki. Wielkie bitwy miały przyjść później. Jeżeli sprzymierzeni przyjęli ideę paktu Ligi, jako części traktatu, to czynili to naturalnie w przypuszczeniu, że będzie to taki rodzaj paktu, jaki im będzie dogadzał i jaki ich zadowoli. To też przenieśli — zwłaszcza Francuzi — walkę na teren Komisji Ligi Narodów — jak to później wykażemy. Mieli oni jednakże drugą jeszcze metodę — i tej się pośpiesznie starali chwycić. Utopiwszy dyskusję nad Ligą bezpiecznie, jak sądzili, w Komisji — dlaczegoby się nie mieli połączyć i nie popchnąć natychmiast naprzód sprawy podziału łupów wojennych — niemieckich kolonij — zanim komitet Prezydenta gotów będzie z raportem? To nadzwyczajne *coup* starej dyplomacji, zareżyserowane z skończoną zręcznością przez Lloyd'a George'a, opiszemy w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ XV.

ŁUPY WOJENNE W PARYŻU. — WALKA O ZAPEWNIENIE SOBIE PODZIAŁU BYŁYCH NIEMIECKICH KOLONIJ, ZANIM ORGANIZACJA LIGI BĘDZIE GOTOWĄ. — PREZYDENT WALCZY O SVOJE ZASADY.

Dwa ostatnie rozdziały pokazały, z jaką siłą i powodzeniem Prezydent popchnął naprzód dwa zasadnicze momenty programu amerykańskiego w Paryżu. Wysunął swój projekt Ligi Narodów na pierwszy plan dyskusji i sam został przewodniczącym komisji, mającej ułożyć konstytucję dla tej Ligi. Zdobył także, choć nie zbyt ochocze, przyjęcie równie ważnego dezyderatu swego programu, ażeby tę Ligę zorganizowano jako część samego układu pokojowego. Zdawało się napozór, że nowy porządek zwycięża na całej linii.

Ale podstępniejsi dyplomaci starego porządku nie zasypiali sprawy.

Nie była im miłą ta Liga — a przedewszystkiem, nie pragnęli mieć jej w traktacie. Poza tem, szczerze zaniepokoiły ich niektóre propozycje w pakcie Wilsona. Czyż on rzeczywiście zamierzał obstawać, np. przy mandatoryjnym zarządzie wszystkich, dawniej niemieckich, kolonij i całej Turcji, tak, jak to proponował? Zawadzało to szczególnie brytyjskim dominjom i Japonji, pragnącym podzielić odrazu, jako łupy wojenne, niemieckie kolonje na Oceanie Spokojnym i w Afryce.

Niepokój stał się większym, gdy Prezydent zaczął naglić z przyjęciem swojego planu Ligi — i był widocznie zdecydowany zrobić z niego realną i żywotną część pokojowego układu. Co miały zainteresowane sfery uczynić?

Plan ich był prosty — żądać odrazu podziału łupów, zanim jeszcze będzie można zacząć dyskusję o Lidze albo o systemie mandATORYJNYM. Rozważanie paktu odsunęli bezpiecznie na dalszą przyszłość, jak sądzili, przez odesłanie go do komisji, mocą rezolucji z 22 stycznia.

Zaraz następnego dnia, 23 stycznia, impetyczny Lloyd George pośpieszył się z rozpoczęciem dyskusji nad rozporządzeniem niemieckimi kolonjami. Zrobił to pomimo faktu, że Rada już była przyjęła (13 stycznia) Prezydenta „listę przedmiotów, mających przyjść pod dyskusję“, gdzie na pierwszym miejscu stała Liga Narodów, dalej reparacje i kwestje terytorjalne, zaś „kolonje“ znajdowały się na samym końcu.

Było to posunięcie taktyczne niezmiernie śmiałe i zręczne, obliczone w pierwszym rzędzie na danie aljantom tego, co mieć chcieli, a w drugim na wypróbowanie zdolności i sprawności bojowej tego amerykańskiego przywódcy.

Prezydent Wilson bowiem był wielkim nieznanym czynnikiem w Paryżu. Chociaż wszyscy wiedzieli, co powiedział, nikt jeszcze nie wiedział, co zrobi.

Czy był tylko natchnionym kaznodzieją, który porwał entuzjazmem świat, czy też umiał i trzeźwo działać? Ile w jego charakterze było bojowniczego pierwiastku?

Lloyd George, Clemenceau, Sonnino oddawna pracowali razem i znali się nawzajem dobrze. Schodzili się na naradach i rozstrzygali militarne zagadnienia pierwszorzędnej wagi; razem stawiali czoło politycznym przesileniom i układali się — jak o tem wiemy teraz dokładniej, niż wiedzieliśmy wówczas — co do rozmaitych przyszłych postanowień pokojowych, bądź tych, które opierali na wcześniejszych tajnych traktatach, bądź też tych, które wynurzały się od chwili, gdy Ameryka przystąpiła do wojny i tem samem zapewniła ostateczne zwycięstwo broni sprzymierzonych.

Ale ani jeden z głównych przywódców, z wyjątkiem Balfoura, nie stanął przedtem twarzą w twarz z tym amerykańskim prezydentem, który tak potężne moralne kierownictwo pozyskał w świecie. Przyjęli go chętnie, jako wspaniałego stratega dyploma-

macji ostatniego roku wojny, gdyż był wyobrazicielem potęgi Ameryki, a zasady jego, szeroko przyjęte przez opornych liberałów i radykałów całej Europy, wywarły wpływ, który tak jednoczył kraje sprzymierzone, jak działał rozkładająco w państwach centralnych. Teraz jednak nadszedł czas, gdzie trzeba było użyć taktyki dyplomatycznej, a już nie dyplomatycznej strategii. Walka zaś miała się teraz toczyć pomiędzy nimi samymi — nie z obcym nieprzyjacielem. Co Wilson uczyni? Czy ta Ameryka, pełna dziwnych pomysłów i nowych zasad, zasiądzie wpośród rodziny europejskiej, jak gość honorowany, grzecznie przyjmujący jej stare zwyczaje? Czy też będzie jak ten możny, zbogacony syn, który szedł przebojem, wrócił z dalekich krain i uratował zbiedzoną ojcowiznę, a teraz chce wyrzucać staroświeckie meble i zmieniać obicia?

To też, gdy Lloyd George proponował 23 stycznia obrady nad kolonjami, pp. Clemenceau i Sonnino zgodzili się na to natychmiast — jak gdyby po uprzednim porozumieniu.

Najzupełniej wyraźnie zrozumiał Prezydent, co znaczyło to szybkie i zadziwiająco bystre posunięcie taktyczne. Żaden inny sposób nie nadawał się lepiej do zaznaczenia ich pojęć o układzie pokojowym, jako przeciwnych pojęciom Prezydenta w tym względzie. W żadnym innym problemie tak, jak w tym właśnie stosunkowo prostym problemie podzielenia łupów wojennych, już trzymanych w ręku, nie mogłyby sprzymierzone państwa wykazać tak jednolitego frontu. Oto były tu setki wysp, rozsianych po Oceanie Spokojnym, był wielki kawał Chin i duży obszar w Afryce, zamieszkały przez trzystaście milionów ludności — były niemieckie kolonie — i to należało „podzielić”. Lloyd George myślał także o skarbnicy starych państw Bliskiego Wschodu i mówił o „cesarstwie tureckiem”, którego znaczna część miałaby być „rozparcelowaną”. To były najbardziej namacalne łupy wojenne i najłatwiej było nimi rozporządzać. Podział, dokonany teraz, byłby dał wszystkim stronom poczucie, że „dostały coś określonego” i byłby im dodał dyplomatycznego dobrego humoru do borykania się z trudniejszymi problemami. Powodem zaś, podanym przez Lloyd George’a dla umotywowania tego wniosku, było, że „wschodnia kwestja i kolonjalna kwestja mniej są zawile

(niż europejskie kwestje), więc, dla oszczędzenia czasu, proponuje, żeby do tych spraw zabrać się natychmiast“¹⁾).

Prezydent zastrzegł się odrazu — wszystkie cytaty, tu użyte, czerpane są wprost z tajnych protokółów — i argumentował w ten sposób:

„Niepokój w świecie pochodzi z nieuregulowanych warunków Europy, nie ze stanu spraw na Wschodzie, albo w kolonjach i odkładanie tych spraw zwiększy tylko nacisk na delegatów konferencji pokojowej. Dlatego wolałby puścić w ruch wszystko, co potrzebne, dla przyspieszenia rozwiązania kwestyj europejskich“.

Rezultatem tej dyskusji była, zdawałoby się, wygrana Prezydenta, gdyż

„postanowiono, by sekretarjat generalny poprosił wszystkie delegacje, reprezentujące mocarstwa, które mają terytorjalne żądania, o przysłanie swoich pisemnych oświadczeń do dni dziesięciu“.

Prezydenta jednakże sprawa ta zaniepokoiła głęboko. Zobaczył teraz wyraźnie, że będzie miał przebiegłych oponentów — najprzebieglejszych w świecie. Nie będą go zwalczali w jego ogólnych dążeniach. Byłaby to marna taktyka. Tę ich swoistą politykę on sam tak później określił na Radzie: „przyjmuje się w zasadzie, ale neguje w szczególe“.

Innemi słowy, po rozstrzygnięciu, do któregoby się doszło wzorem starej dyplomacji i zgodnie z obietnicami starych traktatów, gdyby już każdy naród dostał, coby tylko mógł dostać, materialnie, strategicznie i politycznie — mogłoby nastąpić pobożne oświadczenie się za „zasadami sprawiedliwości, moralności i wolności“ i nawet dyskusja nad zorganizowaniem zrzeszenia narodów.

Prezydent jednakże postanowił rozstrzygnąć tę wojnę zgodnie z nowymi zasadami, przyjętymi przy zawieszeniu broni. Teraz należało je zastosować. Liga Narodów nie będzie odesłaną do jakiegoś nieokreślonego przyszłego kongresu, ale odrazu powołaną do życia. Wcale nie jest rzeczą przykrą obcować z ideali-

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 23 stycznia.

stami na świecie, byle tylko nie upierali się stosować swoich ideałów natychmiast!

Pierwszą jednak zasadą powodzenia w dyplomacji, tak jak na wojnie, jest atak — szybki i niespodziewany atak. Prezydent Wilson, mniemając, że udało mu się dyskusję nad kolonialnymi pretensjami odsunąć na czas późniejszy, nie wziął w rachubę ruchliwego, jak żywe srebro, Lloyd George'a. W czasie popołudniowej sesji 24 stycznia powstał nagle wielki ruch w zewnętrznym pokoju francuskiego Ministerjum Spraw Zagranicznych, gdzie za podwójnie zamkniętymi drzwiami obradowała Rada Dziesięciu.

„W tym momencie“ referują Tajne protokoły — „weszli do pokoju prezydenci ministrów dominjów“. Suchy, zaiste, sposób przedstawienia efektownego wkroczenia Brytyjskiego Imperjum. Lloyd George był nieprześcigniony w inscenizowaniu takich efektów.

Największe może wrażenie na pierwszy rzut oka wśród przybyłych robiły postacie Massey'a z Nowej Zelandji, wielkiego o krzaczastych brwiach, grubo ciosanego kolosa-mężczyzny, i Smutsa z Południowej Afryki, najmłodszego i najbardziej dystyngowanego z całej grupy, w mundurze generała lejtnanta brytyjskiej armji. Hughes z Australji, mały, głuchy, zasuszony stary człowieczek, z elektrycznym przyrządem usznym, i Borden z Kanady, „najprzystojniejszy mężczyzna na konferencji“, dopełniali grupy. Wpuszczono ich do sali obrad, gdzie ich Clemenceau powitał. Przyszli przedstawić swoje życzenia co do większej części byłych niemieckich kolonij, które, jak Lloyd George wytłumaczył, zostały zajęte przez dominjalne wojska. Mr. Lloyd George w krótkim przemówieniu wykazał, że niemiecka polityka kolonialna była złą — „w Południowo-Zachodniej Afryce prowadzili Niemcy rozmyślnie politykę eksterminacyjną“.

„Wszystko, co chciałby powiedzieć imieniem Brytyjskiego Imperjum, jako całości, jest, że byłby bardzo przeciwnym oddaniu Niemcom którejkolwiek z tych kolonij. . . .“

Prezydent Wilson powiedział, że myśli, iż wszyscy zgodnie są przeciwni zwróceniu Niemcom kolonij.

P. Orlando, imieniem Włoch, a baron Makino, imieniem Japonji, zgodzili się na to.

(Nie było różnicy zdań i ta zasada została przyjętą...)“.

W ten krótki i ogólnikowy sposób wszystkie niemieckie kolonie zostały uznane za wyjęte z pod niemieckiego panowania. Sprzymierzeni już zastosowali militarne i polityczne sankcje dla tego kroku, a czuli, że zła administracja tych kolonii przez Niemców dawała im sankcję moralną. Nawet Erzberger w dniach przedwojennych — gdyż skandale kolonizacji niemieckiej wentylowano zarówno w kraju, jak zagranicą — zauważył, że „byłoby to kłętą, gdyby z kolonii niemieckich tylko w ten sposób można ciągnąć zyski, że się użyźnia ziemię krwią jej tubylców“.¹⁾

Następne pytanie tyczyło decyzji, co zrobić z licznymi pozostałymi tam jeszcze ludami mniej lub więcej bezradnych tubylców. Jeżeli istniała moralna sankcja dla odebrania ich Niemcom, nakładała ona również na aljantów moralny obowiązek obmyślenia systemu, któryby nie doprowadził do podobnych nadużyć pod innym przyszłym rządem.

Mr. Lloyd George odegrał pięknie swoją rolę, przedstawiając i dramatyzując tego rodzaju sytuację. Wyprostowany, z lwią swoją głową, odrzuconą w tył, lejąc barwne potoki argumentów, ujmował i przekonywał. Przedstawił w danej chwili trzy możliwe metody przyszłego zarządu kolonjami. Pierwszą była internacjonalizacja czyli zarząd wprost przez Ligę Narodów — i tę odrzucił bez argumentów — i nigdy też tego konferencja poważnie nie rozważała. Dawniejsze doświadczenia z tego rodzaju międzynarodową kontrolą — jako to w Kongo, na wyspach Samoa i Nowych Hebrydach, w Egipcie i w Marokko — okazały się niefortunne. Drugą możliwością było „iżby jeden naród podjął się opieki z ramienia Ligi, jako mandatarjusz“ — myśl już szeroko omawiana jako część planu Ligi Narodów. Trzecią była otwarta, staromodna aneksja — i tego chciały brytyjskie

¹⁾ Wielu niemieckich przywódców równie ostro krytykowało niemiecką politykę kolonialną. Dernburg, ówczesny minister spraw zagranicznych, który zwiedził kolonie w r. 1907, powiedział w parlamencie 18 lutego 1908: „Plantatorowie są w wojnie ze wszystkimi... Ich jedyną zasadą jest zrobić tyle pieniędzy, ile tylko można... Ciągłe się żąda od państwa, żeby trzymało bat w ręku“.

Bebel, przywódca socjalistyczny, powiedział w parlamencie 20 marca 1918: „To, co do dziś dnia słyszeliśmy o naszych kolonjach, często dorównywa czynom wschodnich despotów. I tam także dzieją się akty okrucieństwa, akty brutalności, przechodzące pojęcie“.

dominja, a chciały to mieć zaraz — i w tej polityce aneksyjnej popierał je mr. Lloyd George. Gdyby mógł przeprowadzić tę politykę w stosunku do kolonij, gdzie mu nie tyle o W. Brytanję chodziło, ile o jej dominja, jużby potem łatwiej poszło z problemem „parcelowania państwa tureckiego“, co widział już w bliskiej przyszłości.

„Chciałby“ — powiedział — „ażeby Konferencja traktowała te terytoria jako część dominjów, które te zajęły“.

Równie silnie i żywo argumentował teraz za tem rozwiązaniem, które prezydent Wilson nieco później nazwał „prostym podziałem łupów“, jak silnie i żywo przemawiał w styczniu 1918, wtedy, gdy hasło „samostanowienia“ obiegało świat, a on nalegał na jego zastosowanie dalsze, niż kiedykolwiek Prezydent zamyslał — na zastosowanie go do tubylczych plemion Afryki. Dn. 5 stycznia, 1918 powiedział do kongresu Związków Zawodowych, który silnie podtrzymywał zasadę „bez aneksji“:

„Co się tyczy niemieckich kolonij, oświadczyłem kilkakrotnie, że zostały one do dyspozycji konferencji, której decyzje muszą uwzględnić przede wszystkim życzenia i interesy tubylczych mieszkańców tych kolonij“.

Wówczas wyobrażał sobie żywo te kolonje jako rozporządzające w jakiś sposób własnymi losami, ale przy obecnem dowodzeniu, gdzie miał zupełnie różny cel do osiągnięcia, równie żywo wyobrażał sobie niektóre z nich jako „kolonje ludożercze, gdzie ludzie jedni drugich zjadają“.

Po przemowie Lloyd George'a premierzy dominjów przedstawiali kolejno każdą swoją sprawę: najpierw mr. Hughes z Australji, który pragnął Nowej Gwinei i innych wysp; następnie mr. Massey z Nowej Zelandji, który chciał dostać wyspy Samoa; wkońcu generał Smuts, który pretendował do niemieckiej Południowo Zachodniej Afryki. Wszyscy byli szczerze za prostą aneksją, a ich argumenty opierały się w praktyce na tych samych przesłankach:

1) Koszt i straty dominjów w wojnie i fakt, że dominjalne albo brytyjskie wojska miały tam obecnie stan posiadania.

2) Strategiczne bezpieczeństwo i militarne potrzeby dominjów. „Każde silne państwo, panujące w Nowej Gwinei“, mówił

mr. Hughes, „panuje nad Australją“. „Wyspy Samoa“, dowodził mr. Massey z Nowej Zelandji, „mają wielkie strategiczne znaczenie i są kluczem do Oceanu Spokojnego i dlatego Nowa Zelandja musi je koniecznie mieć pod swoją władzą”.

3) Każde dominjum dowodziło, że interesy tubylców będą zabezpieczone w razie bezpośredniej aneksji. Dominja były to państwa demokratyczne: „dbały usilnie o cywilizację w tej części świata“. Mr. Massey zacytował fakt, że „w parlamencie Nowej Zelandji jest obecnie sześciu członków z pośród tubylców”.

Generał Smuts trochę odmiennie sprawę swą przedstawił, gdyż wytłumaczył, że niemiecka Południowo Zachodnia Afryka jest w rzeczy samej „pustynną krainą bez wartościowszych produktów“, a z powodu nielicznego jej zaludnienia mandatoryjny system nie działałby tam tak praktycznie, jak prosta aneksja.

Nakoniec sir Robert Borden z Kanady oświadczył, że „dominjum, którego on jest przedstawicielem, nie ma żadnych terytorjalnych pretensyj co do siebie“, ale byłby za tem, by inne dominja otrzymały to, co im jest potrzebne. Przez cały czas trwania konferencji, chociaż Kanada poniosła wielkie straty i wielkie ofiary w wojnie — daleko większe stosunkowo, niż Stany Zjednoczone — żadnych egoistycznych żądań nie stawiał dla siebie. To prawda, że Kanada znajdowała się w położeniu o tyle różnem, niż inne dominja, że nie potrzebowała się lękać o swe bezpieczeństwo. Australja i Nowa Zelandja, śledząc rosnącą potęgę Japonji i przewidując walkę o panowanie nad Oceanem Spokojnym, w bardzo odmiennych były warunkach. Przytem Kanada, tak jak Stany Zjednoczone, posiadała obfite, niewyczerpane jeszcze zasoby i nie potrzebowała rozszerzenia terytorjum.

Nietylko brytyjskie dominja z całą szczerością występowały z żądaniem szybkiego podziału „łupów wojennych“ — zanim zapadnie jakiegokolwiek inne postanowienie — Japończycy i Francuzi nie ustępowali im w szczerości. D. 27 stycznia na Radzie Dziesięciu Japończycy, których ktoś nazwał „cichymi współnikami pokoju“, ukazali się w osobie barona Makino i oświadczyli, że „rząd japoński czuje się w prawie żądać od rządu niemieckiego bezwarunkowego ustąpienia:

a) zadzierżawionego terytorjum Kiauczau wraz z kolejami i innemi prawami, posiadanemi przez Niemcy w prowincji Szantung;

b) wszystkich wysp, będących w niemieckim posiadaniu na Oceanie Spokojnym, na północ od równika“.

Następnego dnia p. Simon, francuski minister kolonij, przedstawił równie szczerze żądanie Francji zaanektowania krainy Togo i Kamerunu w Afryce, opierając swoją pretensję poczęści na istnieniu pewnych tajnych umów pomiędzy W. Brytanią a Francją. Domagał się aneksji *pure et simple* i tak stawiał wniosek. Zaraz też pokazało się, że i Belgijczycy spodziewali się kawałka niemieckiej Wschodniej Afryki i że Włochy miały pewne inne zastrzeżone pretensje, oparte na tajnym traktacie londyńskim. Nieco później, dowiedziawszy się, co się dzieje, i Portugalia także podniosła cienkie tremolo, ale na nią nikt nie zważał.

Dla Prezydenta wszystko to było zaprzeczeniem jego pojęcia o podstawowej zasadzie pokoju — zasadzie, przyjętej przez wszystkie narody przy zawieszeniu broni.

„Bez aneksji“ i „samostanowienie“ to były hasła programu pokojowego; nie „proste frazesy“, ale „najmocniej wiążące zapewnienia“. „Ludy i kraje nie mogą być przrzucane z rąk do rąk między państwami, jak zwykle przedmioty lub pionki w grze“. „Minał już okres podbojów i rozszerzania swych granic“ — powiedział w swojej „mowie o Czternastu Punktach“ a piąty punkt z czternastu brzmiał:

„Swobodne, jawne, absolutnie bezstronne wyrównanie wszelkich kolonialnych pretensyj, oparte na ścisłym dopilnowaniu zasady, że przy decydowaniu o wszelkich takich kwestiach suwerenności, interesy dotyczących ludności muszą być wazone narówni z sprawiedliwymi pretensjami rządów, których prawo będzie rozważanem“.

Tutaj jednak, tak się Prezydentowi wydawało, pretensje opierano w pierwszym rzędzie na bezpieczeństwie i interesie wielkich rządów, a nie na „zasadzie, że interes najsłabszego jest równie świętym, jak interes najmocniejszego“. Jednym słowem, w jego oczach, było to proste zastosowanie starej metody „grabienia“ — było prostym „podziałem łupów“. Słów swych nie obwijał w bawełnę, wyrażając opinię na Radzie — siedząc, nieco naprzód przechylony w swoim fotelu, mówiąc głosem równym,

raczej cichym, utkwivszy oczy przez chwilę w Lloyd George'u, a potem w Clemenceau:

„Świat powiedziałby, że wielkie mocarstwa najpierw porozdzielaly bezradne kraje świata, a potem utworzyły Ligę Narodów. Jako nagi fakt zostałoby, że każdy taki kraj świata został przyznany jednemu z wielkich mocarstw. Pragnąłbym zaznaczyć, z zupełną szczerością, że świat nie uznałby takiego postąpienia: uczyniłoby to Ligę Narodów niemożliwą i trzeba byłoby powrócić do systemu współubiegania się w zbrojeniach, z rosnącymi długami i ciężarem utrzymywania wielkich armij“.¹⁾

Nową zasadę chciał on ustanowić, „nowy porządek“; nowy stosunek silnych narodów do słabych i bezradnych. A czynił to nietylko w imię słuszności i ideału, ale ponieważ był to najpraktyczniejszy sposób usunięcia niebezpieczeństw, kosztów militarizmu i przyczyn wojny.

Każdy przywódca jednakże, który odrzuca jakąś starą metodę lub układ, musi mieć możność postawienia i wytłumaczenia nowej metody. Tym sposobem prezydent Wilson był zmuszony — o tem, że tak będzie, dobrze wiedzieli tamci — bronić systemu, którego on i jego Komisja Ligi Narodów jeszcze nie mieli czasu opracować! Zaczepili front jego w najsłabszym punkcie. Ale Prezydent bronił się silnie.

D. 27 stycznia, w Radzie Dziesięciu, wygłosił „jasne oświadczenie co do tego, co mieli na myśli ci, którzy proponowali opiekę ze strony Ligi Narodów za pośrednictwem wyznaczonych mandatarjuszów“. Było to bardzo wybitne grono ludzi, ci, którzy go dnia tego słuchali w starym francuskim budynku na Quai d'Orsay. Miał przed sobą główne osobistości trzech wielkich europejskich narodów — Imperjum Brytyjskiego, Francji i Włoch — każdemu z nich towarzyszył jego minister spraw zagranicznych. Byli także obecni wszyscy premierzy brytyjskich dominjów i przedstawiciele Japonji (Makino, Matsui i Saburi) i Chin (Wang, Koo i Chao). Ze wszystkimi, z ekspertami, sekretarzami i tłumaczami, było tam trzydzieści dwie osób w sali,

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 28 stycznia.

a prawdopodobnie dwadzieścia pięć z pomiędzy nich (może wszyscy, z wyjątkiem Chińczyków), byli to czynni wrogowie nowych zasad Prezydenta. Prezydent przemówił w ten sposób:

„Podstawą tej idei jest uczucie protestu, powstałe w całym świecie przeciw dalszym aneksjom. Jednakże, gdyby kolonie miały być zwrócone Niemcom, należałoby wynaleźć jakąś inną podstawę dla rozwinięcia ich i zaopiekowania się mieszkańcami tych zacofanych terytoriów. W tym to celu powstała idea administrowania przez mandatarjuszów, działających z ramienia Ligi Narodów.... Jakaś instytucja musi być obmyślona dla przeprowadzenia idei, podzielanej przez wszystkich, mianowicie idei rozwinięcia danego kraju dla dobra tych, którzy już go zamieszkują, i dla korzyści tych, którzyby w nim później mieszkać mieli. . . .

Cel zamierzony, to dbanie o ludność tych nierozwiniętych krain, to strzeżenie jej przed nadużyciami, jakie się działy pod administracją niemiecką i jakie działaby się mogły pod inną administracją. Dalej — tam, gdzie ludy i terytoria są w rozwoju zacofane, zapewnić im rozwój, ażeby — gdy chwila odpowiednia nadejdzie — interes ich własny, tak jak go pojmować będą, dał im możliwość wyboru ich ostatecznych stosunków i może obudził w nich pragnienie połączenia się z państwem mandatoryjnym....

Liga Narodów, w pierwszym rzędzie, nakładałaby w mandacie pewne ogólne zasady, mianowicie, żeby okręgi były administrowane przede wszystkim z punktu widzenia poprawy warunków bytu mieszkańców, żeby nie czyniono różnic wśród członków Ligi Narodów, stosując restrykcje w ekonomicznym dostępie do zasobów danych okręgów... Wszystkie kraje obowiązywałyby te same taryfy (*duties*), wszystkie miałyby to samo prawo dostępu...

Gdyby proces aneksji trwał dalej, Liga Narodów byłaby zdyskredytowaną w samym początku. Wiele fałszywych pogłosek rozpuszczono o konferencji pokojowej. Jej nieprzyjacielem głoszą, że jej celem jest tylko podział łupów. Gdyby to zdanie okazało się usprawiedliwionem w jakiegokolwiek mierze, zdyskredytowałoby zupełnie konferencję“.

Taką, w krótkości, była idea Prezydenta co do nowej zasady, którą pragnął widzieć w zastosowaniu w życiu. W samej istocie swojej była ona przeciwieństwem starych praktyk imperjalistycznych.

Użyłem tu określenia „idea Prezydenta“, lecz nie jego to była idea — była to idea Ameryki. Korzeniem tkwiła w tradycyjnych zasadach i polityce Stanów Zjednoczonych, chociaż, jak to wykażę, prezydent Wilson posunął ją o krok dalej naprzód, używając planu systemu mandatoryjnego generała Smutsa, jako podstawy swego programu w praktyce.

Ameryka naturalnym biegiem rzeczy miała w swojej kolonialnej polityce liberalniejszą przeszłość, niż którykolwiek z narodów starego świata. Potrzeby handlu i inwestycji kapitału nigdy nie nakładały na nas konieczności kolonialnej ekspansji, jak na Wielką Brytanię. Mus znalezienia upustu dla nadmiaru zaludnienia nigdy nie zachodził u nas tak, jak to jest w Japonji, Włoszech albo Niemczech. Silna mniejszość stanęła w opozycji przeciw takiej nawet warunkowej ekspansji, jakiej się chwycił nasz kraj po końcu wojny hiszpańskiej, i rozpoczęty spór o „imperjalizm“ toczył się z mocą, choć bez powodzenia.

Ideał opiekuństwa, w zastosowaniu do posiadłości kolonialnych, był przedstawiany przez wielu poprzednich amerykańskich przywódców, bez względu na ich przynależność do politycznego stronnictwa: Elihu Root, wtedy minister wojny, w instrukcjach swoich do komisji Tafta z roku 1900 dla wysp Filipińskich ostrzega komisję, by „pamiętała, że rząd, który tam zaprowadzamy, nie powstał dla naszej satysfakcji albo dla wyrażenia naszych teoretycznych zapatrywań, ale dla szczęścia, pokoju i powodzenia ludności wysp Filipińskich“.

Prezydent Mac Kinley pisał w orędziu swoim do Kongresu (3 grudnia 1900):

„Losy wojny narzuciły naszemu narodowi sprawę opieki, której nie szukaliśmy, którą trzeba bez samolubnych pobudek wykonywać, która nakłada na nasz rząd moralną, zarówno jak i materialną odpowiedzialność względem tych milionów, które uwolniliśmy z pod gniotącego jarzma... Naszego obowiązku jako opiekuna nie podjęliśmy się lekkomyślnie“.

Prezydent Roosevelt oświadczył w swoim dorocznym orędziu do Kongresu z 6 grudnia 1904, że:

„Głównym motywem naszym, iż w dalszym ciągu trzymamy Filipiny, musi być to, że powinniśmy z dobrą wiarą starać się wypełnić naszą część pracy światowej“.

Prezydent Taft posunął się o krok dalej i w swem dorocznym orędziu do Kongresu z grudnia 1912 powiedział, że:

„usiłujemy obudzić poczucie narodowe, a nie, wedle starej teorii kolonjalnej, tłumić takie poczucie. Charakter pracy, jaką spełnialiśmy, został zupełnie uznany na Wschodzie, uznano również nasze w tym kierunku powołanie — co budzi niemałą zazdrość u tych, którzy, rozpoczynając tę samą politykę, natrafiają na przeszkody w warunkach, wytworzonych w dawniejszych czasach, pod działaniem innych teoryj administracyjnych“.

Prezydent Wilson przyjął z zapalem tę amerykańską politykę i poszedł jej śladem. D. 20 kwietnia 1915, powiedział:

„My nie potrzebujemy ani piędzi niczyjej ziemi. Jeżeli nas zniewoliły okoliczności, czy też jeżeli uważaliśmy się za zniewolonych okolicznościami do zajęcia terytorjum, o zajęciu którego skądinąd nie bylibyśmy pomyśleli, — to sędzę, że mam słuszość, jeśli powiem, że uważaliśmy za swój obowiązek administrować tem terytorjum nie dla siebie, ale dla ludności tam zamieszkałej — i że uważaliśmy za swój obowiązek wziąć ten ciężar na nasze sumienie, nie myśląc, że ta rzecz jest naszą i dla naszego użytku, ale uważając siebie za kuratorów wielkiej sprawy dla dobra tych, do których on rzeczywiście należy“.

Różnych wyrażen używano dla określenia tej nowej zasady w stosunku do kolonij. Mac Kinley myślał o Ameryce, jako o „opiekunie“, a Wilson jako o „kuratorze“.

Był jednak jeszcze drugi żywotny i dalej idący moment w amerykańskiej idei. Mieliśmy być nie tylko kuratorami słabszych narodów — idea, znana także najlepszym brytyjskim myślicielom, rozważającym obowiązki kolonjalne (ciężar „białego człowieka“ — *the „white man's burden“* ale mieliśmy, ponadto,

słowami prezydenta Tafta, „budzić poczucie narodowe, a nie, wedle starej teorii kolonjalnej, takie poczucie tłumić“.

Tę ideę prezydent Wilson raz za razem rozwijał w swoich mowach, jak n. p. w Topeka, w czasie swego przygotowawczego objazdu po Zachodnich Stanach:

„Za największą niespodziankę dla świata w zakresie polityki, uważam wycofanie się Stanów Zjednoczonych z Kuby. Powieździeliśmy: „Prowadzimy tę wojnę dla dobra Kubańczyków, a gdy się skończy, oddamy Kubę jej własnej ludności“ — a politycy we wszystkich stolicach Europy śmiali się w kulak... Lud amerykański tak samo czuje w sprawie Filipin, choć reszta świata jeszcze w to nie wierzy. Jesteśmy kuratorami dla ludności Filipin i jak tylko poczujemy, że oni sami potrafią zająć się własnymi sprawami bez naszego bezpośredniego mieszania się i protekcji, flaga Stanów Zjednoczonych znowu uczczoną będzie wypełnieniem obietnicy“.

Taką była istota amerykańskiej idei przy końcu wojny. Była to idea narodowej służby w usługach świata.

Aż do czasu jednak przybycia do Europy, Prezydent, jak się zdaje, nie brał pod uwagę wcielenia takiej zasady w Ligę Narodów. Nie znajdujemy jej w żadnym z wcześniejszych szkiców paktu. Przyjechawszy jednak do Paryża, przeczytał broszurę („*The League of Nations, a Practical Suggestion*“), napisaną przez generała Jana Smutsa z Południowej Afryki, a wydaną w grudniu 1918 i rozważył szczegółowe propozycje Smutsa co do Ligi Narodów. Znalazły się tu propozycje zaprowadzenia „systemu mandatoryjnego“ dla terytoriów, należących do starych cesarstw Rosji, Austro-Węgier i Turcji. Na prezydencie Wilsonie, jak już wykazaliśmy, te pomysły mądrego statysty, generała Smutsa, wywarły silne wrażenie — a idea mandatoryjnego systemu, jako części odpowiedzialności Ligi, odrazu skojarzyła się z zasadami amerykańskimi, jakie już miał w myśli, tak, że ją sobie z łatwością przyswoił. A gdy raz już znalazł się na samej konferencji, gdy ujrzał zażartą rywalizację co do nacjonalistycznej i militarystycznej ekspansji — przy zupełnem zaćmieniu pojęcia opiekuństwa — wtedy nabrał silniejszego niż kiedykolwiek przekonania, że potrzeba będzie całej potęgi Ligi Narodów,

z Ameryką w tej Lidze, dla poparcia żywotnych zasad kolonialnych, przez Amerykę przedstawianych.

Prezydent jednakże, robiąc użytek z propozycji Smutsa, posunął się dalej, niż Smuts zamierzał: uogólnił je. General Smuts nie myślał nigdy o zastosowaniu swej zasady do dawnych niemieckich kolonij, a tylko do starych państw, skazanych na „zlikwidowanie“. Prezydent jednakże spostrzegł, że prosta aneksja tych obszernych kolonialnych terytorjów w Afryce, Azji i na Oceanie, z milionami ludności i wielką strategiczną, polityczną i ekonomiczną wartością, mogłaby się stać równie niebezpieczną w praktyce i z równem prawdopodobieństwem przyczyną przyszłych wojen, jak aneksja części Turcji, Rosji albo Austrii. Przewidywał jasno trudności, mogące później powstać w sprawie panowania nad Oceanem Spokojnym i nad Chinami — jeżeliby nowa zasada na samym zaraz wstępie nie została przyjęta.

To też widzimy, że ciekawym zbiegiem okoliczności, — w pierwszych gorących dyskusjach nad rozporządzeniem niemieckimi kolonjami Prezydent popiera szerokie ogólne stosowanie zasady mandATORYJNEJ, a generał Smuts obstaje, o ile o niemiecką Południowo-Zachodnią Afrykę chodzi, o przyłączenie jej wprost to swego dominjum Afryki Południowej. W istocie, cała walka w obrębie Rady w kwestji nowej zasady spadła na samego tylko Prezydenta: nawet jego własny sekretarz stanu, mr. Lansing, był mu potajemnie przeciwny,

Dyskusja, w ten sposób przedwcześnie przez Lloyd George'a wywołana 23 stycznia, zajmowała większość czasu Rady Dzieśięciu przez cały tydzień, a toczyła się nieraz bardzo gorąco i z wielkiem rozgoryczeniem. Jeżeli walka ta rozmyślnie była obrachowana na wypróbowanie szczerości i bojowych zdolności Prezydenta, nie pozostawiła ona na końcu tego tygodnia w niczyjej duszy najmniejszej wątpliwości co do zalet jego, jako bystro patrzącego i zdeterminowanego szermierza, jak również co do tego, że „stary porządek“ nie tak łatwo swego dopnie. Dowodzone z pewnej strony, że gdyby Prezydent był jakoś potrafił opanować organizację konferencji, albo podyktować jej program, że byłby mógł przeprowadzić zasady swoje w pełniejszy sposób, jednakże zasadnicza różnica poglądów nie dałaby się

zwalczyć żadną sztuczką organizacji, ani też żadnem chytrem ułożeniem programu. Prędzej czy później musiało nastąpić spotkanie i musiała nastąpić walka: chodziło o samą istotę rzeczy a nie, jak starzy taktycy, zdaje się, mniemali, o formę jedynie, „Nowy „régime“ mamy teraz ustanowić“, powiedział Prezydent, a bodaj czy jeden człowiek tam obecny wierzył w ten nowy régime!

Chcąc pokazać, jak mało tamci drudzy rozumieli, a jak bardzo serjo traktował sprawę Prezydent, spójrzmy oto na Lloyd George'a, który sam wniósł 22 stycznia rezolucję o ustanowienie mandatoryjnego systemu, a 27 stycznia robił taką uwagę:

„Oto teraz po raz pierwszy usłyszeliśmy przedstawienie (mandatoryjnej) zasady... Nowa zasada została nam przedłożoną, radbym, żeby ją zbadano“.

Powiedział, że podobają mu się zasady mandatoryjne, ale chętnie widziałby również, by brytyjskie kolonie najpierw dostały to, co im potrzebne. „Nie sądził“, notują Tajne protokoły, „by specjalny wyjątek na rzecz dominjów miał popsuć całą rzecz“. Mr. Hughes z Australji „gotów był przyznać, że system mandatoryjny dalby się zastosować do innych krajów, ale nigdyby się nie dał zastosować do Nowej Gwinei“. Mr. Massey z Nowej Zelandji powiedział, że jest „wielkim entuzjastą Ligi Narodów“, ale bałby się „obarczyć ją zbyt wielkim ciężarem na początek“ i dlatego porozdzielałby kolonie najpierw, a potem „niech Liga Narodów zaczyna na czysto“. Chętnie godzili się na to, żeby Prezydent miał swoje zasady i Ligę, ale już po zaanektowaniu potrzebnych im kolonij.

Francuzi ze swej strony byli o wiele uczciwsi; nie udawali, że wierzą, czy to w system mandatoryjny, czy w Ligę Narodów, jako w metodę zajmowania się kolonjami. P. Simon, francuski minister kolonij, przemawiał za aneksją „*pure et simple*“; powiedział, że Francja prosi, „żeby jej pozwolono prowadzić dalej jej dzieło cywilizacyjne w tropikalnej Afryce“. P. Simon był także gotów opierać żądania Francji, zupełnie szczerze, na tajnych traktatach, zawartych wcześniej w ciągu wojny. Zaproponował nawet, że „przeczyta dwa listy, wymienione pomiędzy panem Cambon (francuskim ministrem spraw zagranicznych) a sir Edwardem Greyem (brytyjskim ministrem spraw zagranicz-

nych) podczas wojny, traktujących o przyszłym podziale krainy Togo i Kamerunu“, ale powstrzymał go szybko Lloyd George, który „uważał, że nie prowadziłoby to do celu odczytywać te dokumenty właśnie teraz“.

Jakkolwiek Lloyd George'owi zależało na tem, by tajnych traktatów nie wtrącać w danej chwili do dyskusji, pokazało się niebawem, jak bardzo aljanci uważali się za związanych temi staremi umowami; np. w dyskusji o wyspach na Oceanie Spokojnym odkrył Prezydent wkrótce, że będzie musiał walczyć o zastosowanie swojej nowej zasady wbrew upartemu tajnemu porozumieniu między Japonją a W. Brytanją, w myśl którego W. Brytanja miała otrzymać wszystkie niemieckie wyspy na Oceanie Spokojnym na południe od równika, a Japonja wszystkie, położone na północ.

D. 28 stycznia dyskusja omal że nie doprowadziła do otwartego zerwania.

Prezydent Wilson (jak opowiadają protokoły) zauważył, że „dyskusja, jak dotąd, była w swej istocie negacją w szczegółach... całej zasady mandatoryjnej. Dyskusja została doprowadzoną do punktu, gdzie tak wygląda, jakby się nasze drogi rozchodziły“.

Tu mr. Balfour, tak często łagodzący trudne sytuacje, wmieszał się z uwagą, że „brytyjscy delegaci nie odrzucają idei mocarstwa mandatoryjnego“. On sam bardzo sprzyjał tej zasadzie. Sprzeciw odnosił się nie do „obszarów, zdobytych brytyjską bronią i zarządzanych z Londynu“, lecz do obszarów, „zdobytych przez samorządne dominja“. Pragnąłby, żeby sobie dać czas dla przemyślenia tych kwestyj.

Prezydent Wilson w silnem przemówieniu domagał się przyjęcia nowej zasady:

„Przyznawał, że idea ta była nową i że nie można się spodziewać znaleźć ją rozwiniętą zupełnie w referatach i sprawozdaniach... W tej chwili np. doszliśmy do stadium, w którym przyjętą została jedynie ze strony rządu brytyjskiego w odniesieniu do obszarów, zabranych Niemcom przez wojska, będące pod bezpośredniem kierownictwem rządu w Londynie. Był to ważny wyjątek, niezawodnie, ale jak się zdaje, był też

to jedyny wyjątek wobec odrzucenia idei kuratorjum z ramienia Ligi Narodów. . . .

Liga Narodów musi powstać — nie można powracać do *status quo ante*... Dla zapewnienia jej istnienia niema ofiary zbyt wielkiej.

Nie mógł odkładać tej sprawy, podobnie jak mr. Lloyd George odkładać jej nie mógł. Data wyjazdu jest oznaczona.

Gdy się wyjaśniło nareszcie, że Prezydent nie ustąpi — że nie można go będzie zbalamucić i skłonić do przyjęcia nieokreślonej obietnicy jakiejś ligi w przyszłości, układając równocześnie postanowienia na podstawie starych militarnych i nacjonalistycznych interesów — oponenci jego odrazu, i znów bardzo sprytnie, przesunęli metodę swego ataku. Francuzi próbowali jednym sposobem, Anglicy drugim — wybitnie charakterystycznym dla każdego z atakujących narodów. W Paryżu przez cały okres trwania konferencji Francuzi byli zawsze szczerzy i otwarci, niż Anglicy. Jeżeli w coś wierzyli, to mówili o tem głośno. Wiedziało się, przy czem obstaje Clemenceau i co zamierza zrobić; nigdy się nie wiedziało, przy czem stoi Lloyd George; a nigdy nie stał dwa razy na tem samym miejscu.

Tak więc Francuzi, gdy nie mogli zmusić Prezydenta do przyjęcia swej prostej teorii aneksji „*pure et simple*” na tajnych radach, zaczęli nań gorącym atakiem nacierać z zewnątrz, w prasie, zwłaszcza w tych organach, które notorycznie działały, jako narzędzia francuskiego Ministerjum Spraw Zagranicznych. Zaczęły się pełne rozgoryczenia komentarze o Prezydencie i jego „w praktyce niemożliwych ideałach”. Chociaż to, co się odbywało poza zamkniętymi drzwiami na Quai d'Orsay było rzekomo absolutnie tajnem — tak tajnem, że korespondenci amerykańscy prawie nic się o tem dowiedzieć nie mogli — francuskie gazety były widocznie gruntownie informowane. Niektóre brytyjskie gazety wydrukowały też zupełnie dokładne sprawozdanie ze sporu między Prezydentem a mr. Hughesem z Australji, sprawozdanie, któremu nie brakło ani werwy, ani dramatycznego zacięcia, ani też istotnej prawdy faktów podanych, pomimo że posiedzenie było tajne. Mr. Hughes udzielał wywiadów z nieledwie otwartymi atakami na pana Wilsona.

D. 30 stycznia Prezydent zaprotestował przeciwko tym atakom, „nie tracąc dobrego humoru“, jak powiedział, „ale nie chcąc też być uprzywilejowanym“.

„Napisano (powiedział), że, co się tyczy ideałów prezydenta Wilsona, on sam nie wie, jakby one w praktyce działały. Gdyby takie artykuły miały się w dalszym ciągu ukazywać, byłby zmuszony ogłosić swoje poglądy. Dotychczas mówił tylko do osób w tym pokoju i do członków Amerykańskiej Delegacji, tak że nic o poglądach prezydenta Wilsona nie było zakomunikowane prasie ani przez niego, ani jego towarzyszy... Jednakże może przyjść chwila, gdzie będzie zmuszony, wbrew własnemu życzeniu, dać pełne publiczne *exposé* swoich poglądów“.

Odrazu ustaliły otwarte ataki w prasie francuskiej w sprawie sporu o ich aneksjonistyczny program; ale odtąd pewną liczbę pism zabarwił subtelny duch krytyki Prezydenta. Ta stała sprytna, dowcipna opozycja, tak nieuchwytna, że trudno było z nią walczyć — ten rodzaj krytyki lekkimi napomknieniami, w której Francuzi są skończonymi mistrzami, czytana codziennie przez wszystkich, związanych z konferencją pokojową, utrudniała w najwyższym stopniu zadanie Prezydentowi. Byli tacy wśród członków Amerykańskiej Komisji, którzy poddawali myśl przeniesienia konferencji do jakiegoś neutralnego miasta, np. do Genewy, żeby uciec z tej atmosfery.

Brytyjczycy ze swej strony mieli plan daleko subtelniejszy. Jeżeli nie mogli skłonić Wilsona do ustąpienia od swego żądania, by kolonie dostały się pod zarząd mandatoryjny, to jednak — pomyśleli — możeby się dało przeprowadzić ich podział i określić warunki zawczasu i niezależnie od paktu Ligi. Dlatego wysunęli kuszącą teorię, że „Liga już się urodziła“, jak się wyraził Lloyd George, przez to, że przeszła owa rezolucja na plenarnej sesji 25 stycznia.

Hughes z Australji oświadczył, że „*de facto* Liga Narodów już istnieje w tym pokoju“. Ta Liga *de facto* mogła zatem porozdawać kolonie — jako mandaty, jeśli jej się podoba tak to nazwać, ale na warunkach, dogodnych dla przyjmujących. Za wszelką cenę pragnęli posiadać te obszary. Lloyd George odbył

osobną naradę z delegatami Brytyjskiego Imperjum — jak slyszeliśmy bardzo gorącą i z wielką trudnością przeprowadził zgodę premierów dominjów na rezolucję, określającą mandatoryjny system dosyć szeroko, w nadziei, że to zadowoli Prezydenta i że zgodzi się on na natychmiastowy podział. Przyszedł na Radę Dziesięciu (30 stycznia) i powiedział:

„W. Brytanja po namyśle zdecydowała się przyjąć zasadę mandatów: ale tej zasady w zupełności nie przyjęły dominja. Dominja jednakże są gotowe przyjąć wyniki, które zawiera ten dokument, sposobem kompromisowym, gdyż doskonale rozumieją, że nie może być gorszej katastrofy dla delegatów, jak rozejść się, nie doszedłszy do stanowczej decyzji. Postanowiono przyjąć doktrynę mandatoryjną dla wszystkich zdobywszy w dawnem tureckiem państwie i w niemieckich kolonjach“.

Rezolucja, którą następnie przedstawił Lloyd George, była dosyć szeroko pojęta, o ile chodziło o tureckie terytorja i niemieckie kraje w centralnej Afryce — tworzyło to dwie klasy mandatów. Ale trzecia klasa, obejmująca niemiecką Południowo-Zachodnią Afrykę i wyspy na Oceanie Spokojnym, kraje, w których dominja były zainteresowane, ujęta była w terminy tak bliskie, jak tylko być może, prostej, upragnionej przez nie aneksji, przy zachowaniu słabych zaledwo pozorów systemu. Miały one być „administrowane według praw państwa-mandatarjusza, jako integralne części tegoż“, a jedyne zastrzeżenia zrobiono w sprawie „zapewnienia opieki . . . w interesie tubylczej ludności“. „Równe sposobności dla handlu i przemysłu innych członków Ligi Narodów“, jednym słowem zasada „otwartych drzwi“, zastrzeżona dla terytorjów środkowej Afryki, była tu wyraźnie opuszczona.

Prezydent nie spierał się jednak o terminologję rezolucji; rzeczywiście, wyraził się nawet: „to bardzo miły dokument“. Nie chciał jednakże na jej podstawie dać się przynaglić do akcji.

„Zarzucano mu, że był beznadziejnym idealistą, jednakże, w rzeczywistości nigdy nie przyjmował niczego za swój ideał, czego nie widział zgóry w zastosowaniu praktycznem“. Mandatoryjny system, zresztą, zależał co do swego właściwego funk-

cjonowania od Ligi Narodów, a Liga Narodów nie została jeszcze opracowaną, ani przyjętą przez narody. „Byłoby niepodobieństwem odnosić się do nieokreślonej instancji“.

Krótko mówiąc, był wciąż jeszcze przeciwnym rozdzielaniu kolonij, dopóki nie był pewnym przyjęcia całego programu. Gdyby bowiem raz już wyspy i afrykańskie kolonje zostały faktycznie rozdane, nie byłoby dalszego interesu w budowaniu „solidnych fundamentów“, jak się wyraził „któreby dźwigały tę budowlę“. Mandaty muszą poczekać na Ligę, ale powstanie Ligi należy przyspieszyć.

To jednakże nie zadowoliło aljantów. Jak baron Sonnino zauważył przy innej sposobności: „pragnęli wiedzieć dokładnie, co mają dostać“. I spór wybuchł odrazu na nowo z niemniejszą gwałtownością.

Mr. Lloyd George zauważył, że „przy całym należnym szacunku dla Prezydenta, musi powiedzieć, że to oświadczenie, które usłyszeli przed chwilą, napelnia go rozpaczą“.

Przypomniał Prezydentowi, że premierowie dominjów dali się nakłonić do przyjęcia idei mandatoryjnej z trudnością jedynie i tylko kompromisowo.

„A teraz prezydent Wilson wyraził pogląd, że na mandatoryjnym interesie (*business*) nie można polegać, dopóki się o nim czegoś więcej nie będzie wiedziało — to znaczy, dopóki Liga Narodów nie będzie ostatecznie przedstawiona na papierze. Na to przedstawiciele dominjów odpowiedzieliby oczywiście, że chcieliby ją widzieć w działaniu, a nie na papierze... Przypuszczenie, że konstytucja Ligi Narodów może być dokończoną z końcem przyszłego tygodnia, uważałby za nieco śmiałe, ponieważ tu przecież chodzi o sformułowanie konstytucji dla całego świata... Pomyśleć, że federacja całego świata da się stworzyć w dziewięć albo w dziesięć dni — to ideał. A on (Lloyd George) tylko przemawia za natychmiastowym pokojem“.

Było to naturalnie nonsensem twierdzić, że „natychmiastowy pokój“ zależał od rozdania niemieckich wysp na Oceanie Spokojnym, albo od rozstrzygnięcia afrykańskich, a nawet tureckich kwestyj. Nie było kwestyj, któreby można z taką łatwością

odłożyć — a jednak odkładano je ostatecznie długo. Wielkie i ważne problemy leżały przed nimi, w Europie. Żadna jednakże inna kwestja tak, jak ta, nie dawała się użyć, taktycznie, z takim powodzeniem i mocą ku pognębieniu Prezydenta i ku nadaniu pozorów niemożliwości jego usiłowaniom.

„Prezydent Wilson oświadczył, że nie powiedział nic takiego, coby usprawiedliwiał zniechęcenie. Chętnie przyjmuje propozycje pana Lloyd George'a z tem, że będą raz jeszcze rozważone, gdy pełny projekt Ligi Narodów będzie opracowany... Mr. Lloyd George powiedział, że Liga Narodów została już przyjętą i że trzeba będzie zwracać się do niej po rozstrzygnięcie w rozmaitych kwestjach. Jego zdaniem, ten pogląd kładł tylko tem większy nacisk na konieczność poznania instytucji, która ma się temi kwestjami zajmować... Dlatego będzie prosił swoich kolegów, by przyspieszyli wygotowanie projektu Ligi Narodów w definitywnej formie“.

Przy szczegółowej dyskusji nad rezolucją Lloyd George'a przyszło znowu do sporów i do zarzutów ze strony pana Massey'a i pana Hughesa, ciągle obstających przy prostej aneksji. Nareszcie dyskusja zaczęła nabierać tak cierpkiego tonu, że Prezydent zwrócił się ostro do panów Hughesa i Massey'a:

„Prezydent Wilson zapytał, czy ma rozumieć, że Nowa Zelandja i Australia przedstawiają swoje ultimatum konferencji. Żądają aneksji Nowej Gwinei i Samoa. Czy ma rozumieć, że to jest minimum ich ustępstw? Że ich zgoda na plan zależy od tego ustępstwa? I jeżeli nie będą mogli dostać tego ostatecznie teraz, czy zamierzają pracować z całych sił, by zgwoździć całą umowę?“

Mr. Hughes był bardzo głuchy i przez to w tem niekorzystnem położeniu, że nie słyszał argumentów drugiej strony.

„Mr. Hughes odpowiedział, że prezydent Wilson bardzo to dobrze przedstawił i że takim właśnie było ich stanowisko, z tem zastrzeżeniem, jakie zrobił dziś rano... Na teraz to przedstawia *maximum* ich ustępstw w tym kierunku“.¹⁾

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 30 stycznia.

Pomimo jednak tej wyzywającej odpowiedzi, obaj, Hughes i Massey, powiedzieli ostatecznie, że rezolucję zamierzają przyjąć. Ale pozwalając w ten sposób odesłać sprawę mandatów do Komisji Ligi Narodów, dominja były mocno rozbolełe. Francuzi także odczuwali gorzki zawód, nie tylko dlatego, że im się nie udało przeprowadzić natychmiastowego podziału kolonij, ale i dla innej bardzo ważnej przyczyny. Pragnęli oni w swoich mandatoryjnych kolonjach werbować wojska z tubylców, nie tylko na użytek policyjny w kolonjach, ale żeby się mogły bić za Francję gdzie indziej także. W tem także natknęli się na stanowczy opór prezydenta Wilsona, jak się to szerzej wykaże w jednym z dalszych rozdziałów. Niewątpliwie i Japończycy także doznali zawodu, ale siedzieli cicho i czekali, aż na nich czas przyjdzie.

Takiem było pierwsze wielkie starcie na Konferencji pokojowej. Prezydent jasno pokazał, że zamierza zwalczać każdą próbę uchwalania postanowień na modłę „starego porządku“, że będzie żądał, by Ligi nie odesłano do nabożnych rozważań jakiegoś nieokreślonego przyszłego kongresu, lecz by ją uznano za „integralną część pokoju“. Ale była to pierwsza bitwa dopiero w długiej i śmiertelnej wojnie.

ROZDZIAŁ XVI.

FORMUŁOWANIE PAKTU. — PRACE KOMISJI LIGI NARODÓW. — USIŁOWANIA UNIKNIĘCIA ATMOSFERY WOJENNEJ PRZEZ ZAWARCIE PRELIMINARYJNEGO TRAKTATU, USTANAWIAJĄCEGO WARUNKI MILITARNE LĄDOWE, MORSKIE I POWIETRZNE.

Wykazawszy jasno walką swą przeciw natychmiastowemu podziałowi dawniej niemieckich kolonij, że zamierza odpierać każdą próbę postanowień drogą „starego porządku“ — i przeprowadziwszy sławną rezolucję z 25 stycznia (że Liga Narodów ma być integralną częścią traktatu), Prezydent, pod naciskiem okoliczności, musiał się teraz zabierać do jak najśpieszniejszego opracowania konstytucji Ligi. Plan miał gotów i 3 lutego odbyło się pierwsze posiedzenie Komisji Ligi.

Jednakże, chociaż zdobył uznanie tego, co uważał za „klucz do całego układu“ — to przecież inni aljanci mieli mimo to niezmiernie silną taktycznie pozycję. Mieli oni dwie metody przeciwdziałania zamiarom Prezydenta i spróbowali ich teraz obu. Pierwszą było przyśpieszenie samego układu zgodnie z ich interesem i tajnemi traktatami, podczas gdy projekt Ligi Narodów grzął w przedwstępnych dyskusjach Komisji. Skoro im się to, jak widzieliśmy, nie udało, uciekli się do metody drugiej — mianowicie, by Ligę Narodów ułożyć taką, jakaby dla nich była dogodną. Pakt taki, jakiby im się nadawał, widzieliby chętnie „integralną częścią traktatu“. Gdyby Francuzi np. mogli uzyskać Ligę, któraby była militarnym sojuszem, z międzynarodową armją (pod wodzą, naturalnie, generałów francuskich) i z możliwością ogólnej przymusowej służby wojskowej — a taką

starali się uzyskać — bardzo chętnie widzieliby ją związaną z traktatem i weń wplecioną.

To nam tłumaczy, dlaczego zainteresowanie przesunęło się po dniu 3 lutego z Rady Dziesięciu na Komisję Ligi. Sam Prezydent poznał wielkie znaczenie tej walki, stając się przewodniczącym Komisji i wodzem w tych zapasach. Zdobył przyjęcie tej Ligi, jako części pokoju, teraz miał wywalczać taką Ligę, jaką mieć chcieli Amerykanie.

Nie bez znaczenia było, że główna kwatera Rady Dziesięciu, gdzie układano postanowienia terytorjalnej, ekonomicznej i militarnej natury, znajdowała się w starym francuskim Ministerjum Spraw Zagranicznych nad Sekwaną, w atmosferze i w środowisku starej dyplomacji — podczas gdy główna kwatera Komisji Ligi Narodów była w czasowym i nieurzędowym lokalu Amerykańskiej Komisji w Hotel Crillon — zupełnie pozbawionym tradycji. Tam była tajność ze „starannem przeciekaniem“, tu wszystko zupełnie było otwarte dla świata. Tamto gościło u siebie tylko wielkie mocarstwa — to i wielkie i małe. Tamto patrzyło wstecz — to naprzód. Tamto zajmowało się głównie bezpośrednimi interesami i obawami wielkich sprzymierzonych mocarstw — to ustaleniem w przyszłości pokoju całego świata i rządów sprawiedliwości na nim.

Przez następnych sześć tygodni, od 3-go lutego do połowy marca, w okresie, który obejmował formułowanie paktu (3—14 lutego) i wycieczkę Prezydenta do Ameryki (15 lutego do 14 marca) — uwaga całego świata skupiała się w znacznej mierze na amerykańskim programie, na „nowym porządku“, na Lidze Narodów. Był to wielki okres konferencji, okres pełen nadziei. Amerykanie, zdawało się, wygrywali; Crillon zajął miejsce Quai d'Orsay. Było to świetne posunięcie strategiczne — Prezydent pokazał, co potrafi.

Ale świat jest bardzo stary; stare są zwyczaje, tradycja jest starą; gmach na Quai d'Orsay stoi tam, nad Sekwaną, od wielu, wielu lat. Posiwał od starości. Wielkie kamienne mury i żelazne bramy otaczają go. Czeką tam w obwarowaniu mocno. Spogląda poprzez Place de la Concorde ku hotelowi Crillon i czeka. Mądry jest i sceptyczny — i pewien siebie! „Co było“, mówi, „to i będzie“. „Przeżywamy życia umarłych“ — powiedział

Clemenceau, cytując Comte'a, „i to jest prawda“. Tak, Clemenceau — i Francuzi — są istotnie uosobieniem „starego świata“. A Wilson i Amerykanie uosabiają „nowe“.

Nikt w Paryżu bardziej nie przedstawiał „nowego świata“, jak pułkownik House — z Teksasu. Teksas i Paryż! Teksas — prawie bez przeszłości, ale z ideałami i hasłami — pełny sąsiedzkiej życzliwości osadników, ale nie bez bystrego sądu o ludziach: otwarty, śmiały i optymistyczny, lecz nazbyt skłonny mniemać, że trudne zagadnienia rozwiązuje się raczej sercem, niż głową — Teksas, to prawdziwe antypody Paryża.

Tak to odpowiednio inscenizuje historia wielkie swoje wydarzenia. W biurze pułkownika House'a w hotelu Crillon — na trzecim piętrze — odbywały się zebrania narodów w celu ułożenia nowej konstytucji dla świata. Wjeżdżało się szybko windą — i było się na miejscu.

Pułkownik House zręcznie usadził obecnych. Na czele stołu siedział Prezydent. Po jego prawej ręce Orlando, jedyny drugi szef wielkiego mocarstwa. Po lewej sam pułkownik House, czynny, czujny, milczący, o jasnym spojrzeniu. Na krześle tuż za nimi i pomiędzy nimi, pochylony naprzód, by móc szeptać, siedział amerykański doradca prawny Komisji, Dawid Hunter Miller. Po lewej ręce pułkownika House'a siedzieli brytyjscy członkowie, lord Robert Cecil i generał Smuts. To był, możnaby tak się wyrazić, blok za Ligą. Nieco dalej siedzieli francuscy delegaci, p. Bourgeois i p. Larnaude, których można nazwać opozycją.

Baron Makino i wicehrabia Chinda byli tam ze strony Japonji: milczący, chłodni, ale czujni; podnoszący głos silnie, ale tylko wtedy, gdy ich interes był zaczepiony. Koo, ze strony Chin, mówił o wiele więcej, niż obaj Japończycy razem i bliżej stał stanowiska Ameryki, niż którykolwiek inny z delegatów. Belgja, Brazylja, Portugalja i Serbja były reprezentowane na wcześniejszych zebraniach, później i Grecja — w osobie zdolnego Venizelosa — Polska, Rumunja i Czechosłowacja były dodane do Komisji.

Co do czasu, zużytego na dyskusje, to p. Bourgeois mówił więcej, niż wszyscy inni członkowie Komisji, razem wzięci. Prezydent, jako przewodniczący, nadmiernie był względny i chętnie

widział dyskusje: sam, jedną wielką miał mowę — o doktrynie Monroego; ci, co ją słyszeli, zgodnie twierdzą, że była to jedna z jego najświetniejszych mów, wygłoszonych w Europie. Ludzie ci, z których kilku, jak Prezydent i Orlando, byli już przeciążeni pracą na innych konferencjach — zeszli się tutaj na piętnastu posiedzeniach (na dziesięciu przed wyjazdem Prezydenta do kraju i na pięciu po jego powrocie), przeważnie wieczornych, przeciągających się niekiedy do późnych godzin po północy. Była to najmocniej przynaglana komisja w Paryżu. Poganiał ją Prezydent, wiedząc, co znaczy czas, wiedząc, jak układy, skwapliwie przyśpieszane w Radzie Dziesięciu, zwracały się przeciw niej, jak całkowicie był z nią amerykański program związany.

Pierwsze posiedzenie odbyło się 3 lutego o 2¹/₂ po południu. Trzy proponowane projekty konstytucji przyszłej Ligi Narodów zostały poddane pod rozpatrzenie przez delegatów: amerykańsko-brytyjski projekt, francuski i włoski. Podaliśmy w rozdziale XIII, jak się rozwijał plan paktu Prezydenta przez trzy kolejne szkice. Trzeba go było uzgodnić z brytyjskim planem, to też wykonali szkic kompromisowy panowie D. H. Miller ze strony Ameryki i C. J. B. Hurst ze strony W. Brytanji ¹). Zadowolającym nie był on dla żadnej strony, szczególnie nie był nim dla Prezydenta, ale ostatecznie został przyjęty za podstawę do dyskusji. To samo w sobie było już taktycznym zwycięstwem. Stawiało Francuzów, jedynych silnych oponentów, w pozycji krytyków, szukających poprawek dla dokumentu, już w zasadzie przyjętego. Francja była w takim stopniu skrepowaną w Crillon, jak Ameryka na Quai d'Orsay.

Dziesięć posiedzeń Komisji Ligi Narodów, odbytych przed chwilowym wyjazdem Prezydenta do Ameryki (ostatnie 13 lutego), starało się uzgodnić różnaitość poglądów na sprawę paktu. Byłoby stosunkowo łatwo pogodzić poglądy amerykańskie i brytyjskie, ale spór z Francuzami (i Włochami) wykazał nieledwie niedające się pogodzić różnice co do pojmowania, czem w gruncie rzeczy miała być Liga i jej działanie.

W dyskusjach tych podniesiono kilka grup zagadnień:

¹ Patrz tom III. Dokument 16 pełny tekst szkicu Millera-Hursta.

1. Organizacja i reprezentacja.
2. Ustrój arbitrażu.
3. Gwarancje.
4. System mandatoryjny.
5. Prawa mniejszości: rasowe i religijne.
6. Ograniczenie zbrojeń.
7. Handlowe równouprawnienie i wolność tranzytu.

Ostatnie pięć z tych grup są tak ważne, że wymagają specjalnego omówienia. O kolonjach i o systemie mandatoryjnym mówił poprzedni rozdział. Kwestję gwarancyj rozpatrzyliśmy dość szczegółowo w rozdziale XIII, a podejmiemy ją jeszcze w związku z rewizją paktu. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że określające klauzule artykułu Prezydenta, pozwalające na rewizję *status quo*, zostały opuszczone w szkicu Hursta-Millera, tak że ostateczna forma artykułu X stała się prostem zagwarantowaniem układów traktatowych, tyle tylko, że zmodyfikowanym artykułem XI, który pozwalał sprawy, zagrażające pokojowi świata, wytaczać przed Radą każdemu członkowi. Trzy ostatnie tematy traktujemy w związku z innemi sprawami.

Od samego początku było naturalnie ideą Wilsona, by wszystkie narody weszły do Ligi. Mogła nastąpić jakaś zwłoka, zanimby Niemcy i inne nieprzyjacielskie narody zostały dopuszczone, ale prędzej czy później i one także powinnyby wstąpić.

Była to rzeczywista liga z wzajemnemi gwarancjami o bezwzględnej wartości, a nie prosta konferencja, albo sąd, jak Trybunał Haski — musiała zatem mieć jakieś narzędzie władzy. Ale co tem miało być? Jakie narody miały w niem mieć przedstawicieli?

Dwie idee wypłynęły odrazu w kwestji tego żywotnego problemu, gdyż im silniejsza była Liga, tem ważniejszy stawał się problem organizacji i reprezentacji:

I. Nieukrywana i zupełna władza, wykonywana przez wielkie mocarstwa. Taki był plan Cecila (grudzień 1918) i, w rzeczy samej, była to zasada świętego przymierza z r. 1815. W czasie wielkiej wojny, zwłaszcza ku jej końcowi, rozwinął się rodzaj dyplomacji przy pomocy konferencyj, na których spotykali się szefowie wielkich państw i decydowali o postępowaniu narodów

sprzymierzonych¹⁾. Działo to znakomicie w czasie wojny: dlaczegoby nie można ciągnąć tego dalej?

2. Władza, sprawowana przez ciało albo ciała, składające się z przedstawicieli zarówno wielkich, jak małych państw, gdzie jednak prawo ostatecznej rezolucji przysługiwałoby wielkim mocarstwom. To była niewątpliwie pierwotna myśl Wilsona, nie została jednak opracowaną do końca. Również i Smuts myślał to samo, — Wilson zaś wcielił szczegółowsze propozycje Smutsa w swój drugi szkic. Było to rozwinięcie tych właśnie linii systemu, które wywołały dyskusję.

Prawdziwe stanowisko Wilsona w stosunku do władzy wielkich mocarstw jest jasne. Podczas gdy inni przywódcy — może z wyjątkiem Smutsa — myśleli zawsze o tej władzy, jako o narzędziu praw i interesów wielkich mocarstw, Wilson myślał zawsze o niej, jako o źródle odpowiedzialności, jako o ciężarze, o obowiązku. Nigdy nie tracił z oczu szerszych moralnych skutków i dlatego nigdy go zrozumieć nie mogą krytycy — a takich Lansing jest typem — dla których tego rodzaju urządzenia muszą się opierać albo na fikcyjnej „równości praw“, albo na równowadze między równością praw a równością siły. I tak prezydent Wilson dowodzi przedstawicielom małych państw (31 maja), przemawiając za władzą w ręku wielkich mocarstw, iż „podstawowo ważnym jest fakt, że gdy zapadną decyzje... główny ciężar ich utrzymania spadnie na większe państwa“²⁾.

Prezydent zawsze wyobrażał sobie rolę Ameryki w Lidze jako obowiązek, jako służbę — któraby wkońcu, naturalnie, utrwalając stosunki światowe, przyniosła ogromną materjalną i moralną korzyść Ameryce i wszystkim narodom — ale nigdy, jako o czemś, coby samej tylko Ameryce albo samym wielkim mocarstwom służyć miało. Nie można zrozumieć działalności Wilsona w Paryżu, jeżeli się stale nie ma w pamięci głównego czynnika jego doktryny: że zawsze i przede wszystkim myślał o dobru ludzkości, o dobru wszystkich narodów, a nie tylko kilku z nich. Chodziło mu o zorganizowanie narzędzia, któreby

¹⁾ Patrz cenne studjum: „Diplomacy of Conference“ przez sir Maurice Hankeya.

²⁾ Protokoły, ósma sesja plenarna 31 maja 1919.

w istniejących na świecie warunkach najlepiej temu celowi służyło.

To, co się rzeczywiście stało w Komisji Ligi Narodów jest bardzo proste, choć wiele czasu spędzono na dyskusjach. Sama Komisja składała się z przedstawicieli pięciu wielkich mocarstw i dziewięciu małych państw — a gdy sprawa składu Rady Ligi przyszła na stół, małe państwa natychmiast zażądały reprezentacji i nie można im było tego odmówić. Tym sposobem (13 lutego) przyjęto plan Rady, złożonej z przedstawicieli pięciu wielkich mocarstw i czterech mniejszych państw, z dalszą propozycją, by każde małe państwo, choćby nienależące do Rady „gdy jego interesy będą bezpośrednio dotknięte”... „zasiadało, jako członek”. Tak więc małe państwa w Lidze są dopuszczone do Rady z dwoma zastrzeżeniami: stałej mniejszości przedstawicielstwa i specjalnego przedstawicielstwa, gdy ich interesy są w grze. Ta Rada, wraz ze Zgromadzeniem, złożonem ze wszystkich narodów, tworzy właściwy szkielet Ligi.

Kwestja, o której wiele dyskutowano w Ameryce, kwestja reprezentacji brytyjskich dominjów w Lidze, nigdy wprost w Komisji nie była roztrząsaną. Wilson sprzeciwiał się z początku osobnej ich reprezentacji na konferencji pokojowej, ale ustąpiwszy na tym punkcie, nie mógł już podnosić opozycji co do Ligi.

Dyskusje o reprezentacji i organizacji rozjaśniły dostatecznie to, co by można nazwać, jakkolwiek tylko w zawiązku pojętami, funkcjami wykonawczemi i prawodawczemi Ligi. Pozostawały funkcje sądowe.

Wilson zrazu był przeciwnym stałemu sądowemu ciału, jako organowi Ligi. Pułkownik House, jak to poprzednio wykazaliśmy, obmyślił taki sąd w swoim szkicu paktu, uważał go za potrzebny i przepowiadał mu wielką przyszłość. Wilson nie uwzględnił go w swoich szkicach. Polegał natomiast zupełnie na systemie arbitrażowym, przewidzianym we wszystkich poprzednich projektach Ligi, a który był objęty artykułem V jego pierwszego szkicu. Długa i zawiła dyskusja wywiązała się nad całym tym przedmiotem, tak na pierwotnych dziesięciu posiedzeniach, gdzie układano projekty paktu, jak i na tych pięciu, gdzie projekt poddawano rewizji. Ostatecznie uchwalono

i Stały Międzynarodowy Trybunał (artykuł XIV) i pracownicy obmyślany system arbitrażowy (artykuły XII, XIII, XV). Od tego czasu Trybunał został istotnie zorganizowany i odbył pierwszą swoją sesję (1922) w Hadze.

W taki więc sposób Liga została opracowaną w Komisji ¹⁾.

Dnia 14 lutego odbyło się najważniejsze i najbardziej zajmujące plenarne posiedzenie konferencji pokojowej. Prezydent przedstawił i odczytał głośno ukończony pakt.

„Szczęśliwy jestem, że mogę oświadczyć, iż jest to jedno-głośna uchwała przedstawicieli czternastu narodów“.

Mowa jego była gorącą i pełną nadziei.

„Narodziła się nowa żyjąca sprawa... Chociaż jest elastyczną, chociaż jest ogólnikową w swych zewnętrznych zwrotach, jest ściśle określoną w tem jednym, co mamy obowiązku ściśle określonem uczynić. Jest to ściśle określona gwarancja pokoju. Jest to ściśle określona gwarancja słowna przeciw napaści“.

Wyraźnie też wypowiada, czem te gwarancje mają być poparte.

„W tym programie siła zbrojna jest w odwodzie, ale j e s t, choć w odwodzie, a jeżeli siła moralna woli świata nie wystarczy, fizyczna siła wystarczy. Jednakże jest to ostatnia ucieczka, ponieważ akt obecny ma być konstytucją pokojową, nie ligą wojenną“.

Kładzie także nacisk na używanie Ligi, nie tylko jako gwarancji pokojowej, ale i w innych sprawach międzynarodowej współpracy.

„Nie ma to być jedynie i wyłącznie Liga dla zapewnienia pokoju świata. Jest to Liga, której można użyć do współpracy w każdej międzynarodowej sprawie“.

Prezydent zatem uzyskał swój pakt, ale tuż przed wyjazdem z Europy, by go przedstawić własnemu ludowi (15 lutego), musiał się jeszcze zetknąć z innym wielkim i żywotnym problemem, który go niepokoił od samego początku.

¹⁾ Patrz tom III, Dokument 18, tekst paktu z 14 lutego.

Odnosiło się to do tego, co by można nazwać atmosferą konferencji pokojowej.

Wojna, w istocie, zaledwie minęła. Paryż żył w atmosferze alarmów, armij w pogotowiu, wciąż jeszcze otwartych ran i wciąż jeszcze dymiących zgłiszcz. Była to atmosfera, sprzyjająca ułożeniu twardego, surowego, mściwego pokoju, takiego, jaki chciał uzyskać „stary porządek”; to nie była atmosfera dla pokoju „bezinteresownie sprawiedliwego”, atmosfera, w którejby oddychać i pracować mogła swobodnie taka poprawiająca i uśmierzająca organizacja, jak Liga Narodów.

Amerykanie wcześniej odczuli konieczną potrzebę wydestynowania się z tej atmosfery, kończąc z wojną i układając ostateczne warunki dla sił zbrojnych lądowych i morskich. Wtedy, w spokojniejszym już nastroju, możnaby się zabrać do układania pokojowych warunków. Generał Bliss przy rokowaniach o zawieszenie broni domagał się stanowczo natychmiastowego rozbrojenia Niemiec. Gdyby niemiecka armja raz została zdemobilizowana, dowodził, broń oddana, wtedy armje sprzymierzone mogłyby także prędko przejść do demobilizacji i być odesłane do domu. Normalne warunki wróciłyby prędzej i pokój mógłby być omawianym na sprawiedliwszej podstawie.

Jednakże Bliss przegłosowali inni aljanci. Francuzi obawiali się przede wszystkim szybkiej demobilizacji wielkich armij sprzymierzonych, i byli przeciwni wszystkiemu — nawet natychmiastowemu rozbrojeniu Niemiec — co by do tego prowadziło. Ich programem było skrępowanie Niemiec, a równocześnie utrzymanie potężnych sprzymierzonych armij. Mieli ku temu dwa powody:

Po pierwsze, mieli postawić surowe i ciężkie warunki, obejmujące trwałe ekonomiczne skrępowanie i przyszłą militarną kontrolę nad Niemcami, a tych nie mogliby nałożyć bez groźby wielkich armij, gotowych do natychmiastowego marszu na Berlin.

Po drugie, krańcowi militaryści francuscy, jak to Foch proponował zaraz w najpierwszych dniach konferencji i później nalegająco powtarzał — pragnęli użyć tych wielkich armij, w tem dwóch milionów świeżego amerykańskiego żołnierza, do marszu przez Niemcy dla podbicia Rosji. Miał on napoleońskie

sny o kolosalnych nowych wojnach, w których podbój Rosji grał wielką rolę.

Przy osądzaniu tych planów trzeba zawsze pamiętać, co czuli Francuzi, co ucierpieli, jakiego niebezpieczeństwa zaledwie uniknęli, jak głęboką mieli nieufność do wroga swego z poza Renu, i jak go się bali. Niemiecka polityka ekonomiczna, zarówno jak wojskowa, zniszczenie Belgii i północnej Francji, dawały im żywy przedsmak tego, co by zrobili Niemcy, gdyby byli wygrali. Cały naród francuski, istotnie, cierpiał na szok nerwowy.

Amerykanie w Paryżu jednakże nie mogli się dać porwać tym krańcowym żądaniom, tym nerwowym lękom, którymi rządził nie rozum, lecz paniczny strach. Wilson, z drugiej strony, rozumiał bezwzględłą konieczność zabezpieczenia Francji przed atakiem — uspokojenia jej obaw — i to chciał osiągnąć za pomocą silnych i bezpośrednich wzajemnych gwarancji wszystkich narodów w artykule X paktu. Później zaś, gdy to jeszcze nie uspokoiło Francji, dla większego jej zabezpieczenia zgodził się na specjalny układ anglo-amerykański celem osłaniania Francji, dopóki Liga nie zostanie solidnie zorganizowaną, układ, ostro atakowany w Ameryce i nie ratyfikowany przez Senat. Jednakże, jakim sposobem doprowadzić do pokoju w świecie i do jakiejś realnej miary rozbrojeń bez uspokojenia obaw Francuzów (i innych narodów także) — tego oponenti konstruktywnych planów Prezydenta nie powiedzieli.

Zgodziwszy się w ten sposób (w pakcie) bronić Francji przed „napaścią z zewnątrz“, Amerykanie byli obowiązani poskramiać zbytne żądania, wyjednać rozsądne postanowienia — postanowienia, któreby utrzymały się po wojnie i nie prowadziły zaraz do nowych wojen odwetowych.

W myśl tego Prezydent walczył przy każdej sposobności o jak najprędsze wydostanie się z atmosfery militarnej siły i z pod przewagi generałów. Zwalczał cały francuski program ekonomicznego spętania Niemiec, walczył przeciw stałej wojskowej kontroli przemysłu niemieckiego, przeciw użyciu armij sprzymierzonych przeciwko Rosji. Francuzi, omawiając miesięczne odnowienie zawieszenia broni, które wypadało około tego czasu, gdy Wilson miał odpłynąć do Ameryki — proponowali rozszerzenie warunków i dodanie nowych, które tylko groźbą

użycia broni wymusićby można. Temu stanowczo sprzeciwiali się i Wilson, i Bliss. Dowodzili oni, że nastąpił układ z Niemcami 11 listopada i że zmienić go nie mogą, gdyż honor na to nie pozwala. Obaj też byli przeciwni idei militarnego pokoju.

Burzliwe to były te posiedzenia, które nastąpiły w Radzie Dziesięciu przy roztrząsaniu tych problemów, zwłaszcza 7 i 12 lutego; spór wiedli głównie Clemenceau i Wilson. Brytyjczycy naogół stali po stronie Amerykanów; Włosi sympatyzowali z Francuzami, ale narazie nie wysuwali się zbyt naprzód.

Jednakże, wbrew zamierzeniom Francuzów, same wypadki nieubłagane działały przeciw nim. Prostem niepodobieństwem było utrzymywać na stopie wojennej olbrzymie sprzymierzone armje. Lloyd George czuł, że, powstrzymując demobilizację, sam politycznie za wiele ryzykuje. Co do Wilsona, ten pragnął odesłać chłopców do domu „tak prędko, jak tylko okręty ich ponieść mogą”. Nawet Clemenceau (ale nie Foch) czuł się udręczonym ogólnem w kraju żądaniem, by zwolniono wreszcie znużonych wojną weteranów.

Spór doprowadził do najostrzejszego starcia w dniu 12 lutego, na trzy dni przed odjazdem Prezydenta. Przyszło do burzliwego zatargu nad odnowieniem zawieszenia broni (przypadającym na dzień 16 lutego). Clemenceau obstawał za nowymi warunkami, które miały być istotnie reparacjami, narzuconymi przy zawieszeniu broni; chciał, żeby to zawieszenie broni znowu na miesiąc przedłużyć; chciał, żeby armje sprzymierzone nadal utrzymywać. Wilson żądał, by ostateczne warunki co do sił lądowych i morskich wygotować i przedstawić Niemcom, tak, iżby można Niemcy odrazu i zupełnie rozbroić, a sprzymierzone armje natychmiast zdemobilizować. Clemenceau jednakże wprost szalał na tę myśl, zarzucał Wilsonowi, że „ujmuje kwestję po akademicku, teoretycznie i doktrynersko“, twierdził, że „zna Niemców“ i że jedyne bezpieczeństwo leży w utrzymywaniu armji i napędzaniu im strachu. Nie wierzył w nic innego, jak tylko w pokój militarny, im narzucony, i w długotrwałą ekonomiczną kontrolę, opartą o militarną siłę.

Tu Prezydenta poparł silnie Balfour i przedstawił rezolucje w tym duchu, by zawieszenie broni na poprzednich warunkach odnowić na czas nieokreślony, militarne lądowe i morskie wa-

runki ułożyć natychmiast w formie traktatu preliminaryjnego i ten przedstawić Niemcom.

Była to rezolucja wprost przeciwna żądaniom Clemenceau, jednakże zgodził się na nią na popołudniowym posiedzeniu.

Tym sposobem Wilson osiągnął to, do czego dążył. Postanowiono ułożyć traktat preliminaryjny, zawierający warunki militarne na lądzie, morzu i w powietrzu. Ten traktat mieli opracować eksperci militarni, podczas wyjazdu jego do Ameryki. Powiedział, że:

„... miał zupełne zaufanie do zapatrywań swoich militarnych doradców. . . nie pragnął, by nieobecność jego powstrzymała tak ważną, istotną i nagłą pracę, jak przygotowanie preliminaryjnego pokoju. Miał nadzieję powrócić 13 albo 15 marca, przeznaczając tylko tydzień na pobyt w Ameryce. . . Prosił pułkownika House'a, by go zastąpił podczas jego nieobecności“.

Uważał prędkie załatwienie warunków militarnych za bardzo ważne posunięcie. Dostosowywało się ono doskonale do innych jego planów w sprawie pokoju. Nim powróci, już te kłopotliwe warunki militarne lądowe i morskie będą usunięte z drogi, a skoro Liga Narodów została już przyjętą, konferencja będzie mogła przystąpić w spokojniejszej atmosferze do ustanawiania szerokich ogólnych warunków układu.

Wypływając z portu Brest do Ameryki owego wietrznego dnia 15-go lutego przy huku armat ze starych fortów francuskich i z okrętów francuskiej marynarki na jego cześć — miał prezydent Wilson dosyć powodów, by poić się uczuciem tryumfu. Płynął do ojczyzny z ciężko zdobytą konstytucją ligi nowego świata — zasadniczego pierwiastka amerykańskiego programu — w tece. Przyjęły ją jednomyślnie, na konferencji dnia poprzedniego, wszystkie narody. Wiózł ją ze sobą, by ją własnemu ludowi przedłożyć.

Pierwszy miesiąc konferencji pokojowej od 12 stycznia do 15 lutego ważnym był i godnym uwagi. Na początku, jak to opisaliśmy w poprzednich rozdziałach, fala zdawała się ciężko wznosić przeciw Wilsonowi i amerykańskiemu pojmowaniu ukła-

dów. Jak świat szeroki podniósł się „szturm na idealizm“. „Stary porządek“ przybywał na konferencję paryską z silną ufnością w swoje siły. Prezydent jednak, po szeregu śmiałych i zręcznych uderzeń, chwycił lejce przewodnictwa, wyprowadził amerykański program na pierwszy plan i przez długi czas Komisja Ligi Narodów dzieliła zainteresowanie świata z konferencjami na Quai d'Orsay. Zahamował jeden po drugim, projekty „starego porządku“, z których najważniejszym było usiłowanie podzielenia natychmiast „łupów wojennych“, niemieckich kolonij. Zapewnił, przez wywalczenie preliminaryjnego traktatu, bieg spokojnej pracy konferencji poza atmosferą wojenną. I ostatecznie wygrał stanowczo w dwóch zasadniczych sprawach, dla których przybył do Europy.

Po pierwsze, sprowadził dn. 25 stycznia jednogłośnie przyjęcie tego, co uważał za „klucz do całego układu“ — mianowicie, że Liga Narodów ma zostać integralną częścią ogólnego traktatu pokoju“.

Powtórę, uzyskał dn. 14 lutego, jednomyślne przyjęcie paktu, który odpowiadał w dostatecznym stopniu amerykańskiemu dążeniom.

Walka była ciężką; mimo największych trudności, wbrew zaciętemu oporowi, amerykański program, zdawało się, że wygrywa. W rzeczywistości jednak, Prezydent nie był bezpiecznym na żadnym punkcie, prawdziwe bitwy miały dopiero przyjść.

Jakkolwiek Prezydent mógł z zadowoleniem powiedzieć, że obie jego wielkie, zasadnicze propozycje zyskały „jednomyślne przyjęcie“, to jednak w gruncie rzeczy żaden ze sprzymierzeńców nie był zadowolony. Czuli, że ponieśli porażkę; niezadowoleni byli z rezultatu. Nie widzieli sposobu — w myśl programu Prezydenta — dostania tego, czego rzeczywiście chcieli — bezpieczeństwa, którego sądzili, że potrzebują — terytorjalnych i ekonomicznych korzyści, które spodziewali się osiągnąć na mocy tajnych traktatów.

Rozważmy sytuację. Brytyjskie dominja chybiły w swem usiłowaniu przeprowadzenia natychmiastowego podziału niemieckich kolonij. Przyjęły, pod naciskiem, rezolucję z 30 stycznia o systemie mandatoryjnym; widziały ją wcieloną do

paktu, ale to nie wywołało spodziewanego pokrajania kolonialnego pasztetu. Dopóki to ulegało zwłoce, nie widziały powodu cieszyć się ani samym paktem, ani włączeniem go w traktat pokojowy.

Francuzom jeszcze gorszy zawód przyniósł bieg wypadków. Przyjęli plan włączenia paktu w traktat pokojowy, jako części jego integralnej, ponieważ byli pewni, albo że przeprowadzą układy tak, jak zechcą, zanim Liga wejdzie w życie, albo że Ligę będą mieli taką, jakiej zapragną. Tymczasem nie osiągnęli ani jednego, ani drugiego. Ich plan ligi — silnej, scentralizowanej organizacji z potężną siłą zbrojną do dyspozycji, został bezwzględnie przegłosowany w Komisji Ligi Narodów. Liga, tak jak się przedstawiała 14-go lutego, nie zadowalała ich, a choć p. Bourgeois oświadczył na plenarnej sesji, że nie daje za wygraną, pakt został jednogłośnie przyjęty i małą wydawała się nadzieja osiągnięcia zmian zasadniczych. Lepiej o wiele usunąć ją na bok i tem intensywniej pracować nad innymi środkami prawdziwego zabezpieczenia się.

Japończycy także mieli powód do niezadowolenia, chociaż milczeli — gdyż ich klauzulę o równouprawnieniu rasowem, co dumę ich dotknęło do żywego, spotkał ten sam los, co francuskie poprawki. Zresztą oni — podobnie jak w tej kwestji i Francuzi — dzielali zawód brytyjskich dominjów, którym odmówiono dożąnego udziału w niemieckich kolonjach.

Włochom, którzy głównie interesowali się postanowieniami co do austriackiego spadku i dotychczas niezbyt czynny brali udział w dyskusjach, jednakże stanowczo nie podobał się taki układ, jaki Prezydent widocznie uparł się przeprowadzić.

To też zaledwie Prezydent odpłynął, otwarły się wrota dla szerokiej fali niezadowolenia — które niebawem rozwinęło się w znaczącą dyplomatyczną intrygę.

Nieobecność jego w tym czasie była prawdopodobnie nie do uniknięcia: była jednakże niebezpieczną. Pozostawiała za stępy „nowego porządku“ bez skutecznego dowództwa; wszystkim czynnikom, jemu przeciwnym i przeciwnym układom na amerykańskiej podstawie, dawała sposobność do nabrania tchu, do zrekonstruowania swoich pozycyj, do zaczęcia potężnego kontr-

ataku. Gdyby Prezydent był został w Paryżu, gdyby prosto naprzód prowadził dalszą ofensywę i zdobycze swoje utwierdził, ostateczne rezultaty mogłyby być inne. Ale go tam nie było.

Z tego powodu ten miesiąc nieobecności Prezydenta staje się dla badacza jednym z najbardziej interesujących i znaczących z całej konferencji.

ROZDZIAŁ XVII.

PODCZAS NIEOBECNOŚCI WILSONA. — USIŁOWANIA
USUNIĘCIA NA BOK LIGI NARODÓW. — REZOLUCJA
BALFOURA Z 22 LUTEGO. — WILSONA WAŻNA DEKLA-
RACJA Z 15 MARCA, ŻE LIGA NARODÓW MA ZOSTAĆ
INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ TRAKTATU POKOJU. — PO-
CZĄTEK OCHŁODZENIA STOSUNKÓW POMIĘDZY
WILSONEM A PUŁKOWNIKIEM HOUSEM.

Zaledwie Prezydent opuścił 15 lutego Paryż, zaraz też opozycja niezadowolonych zabrała się do działania. W dniu 24 lutego Rada Dziesięciu przyjęła rezolucje, które, gdyby były weszły w życie, byłyby rozbiły cały amerykański plan pokoju.

Niezmiernie przebiegłą grę strategiczną prowadzili ci zręczni dyplomaci. Niemiałą była im Liga taka, jaką zaprojektowano, nie chcieli mieć paktu w traktacie, a jednak nie zaatakowali wprost ani jednego ani drugiego. Zaledwie wspomniano o Lidze na konferencjach, aż dopiero przed samym powrotem Prezydenta.

Strategia ich była równie prostą, jak dowcipną. Jak o tem była mowa w poprzednim rozdziale, Prezydent, wyjeżdżając po zostawił im rezolucje, silnie przez siebie popierane, mające na celu szybkie wygotowanie preliminaryjnego traktatu pokojowego, zawierającego tylko warunki militarne lądowe, morskie i powietrzne. Cóż było łatwiejszego i więcej naturalnego, jak uogólnić ten traktat, wsunąć do niego i te inne warunki, na których im rzeczywiście zależało — granice, reparacje, kolonie: jednym słowem, wtłoczyć cały pokój w traktat preliminaryjny, bez żadnej wzmianki o Lidze. Tym sposobem mogli osiągnąć to, czego chcieli i powstrzymać demobilizację armij sprzymierzonych,

dopóki by nie nałożono Niemcom ostatecznych warunków. Była to tylko w innej formie powtórzona próba Francuzów, już raz udaremniona przez Wilsona i Blissa, wpakowania warunków pokojowych w zawieszenie broni i tym sposobem wymuszenia ich, zanimby jeszcze sprawa Ligi przeszła przez dyskusję. Że tam Liga w tym wypadku zostałaby zupełnie poza nawias wysuniętą, albo odesłaną do jakiejś nieszkodliwej późniejszej konferencji — to któż o to dbał?

Tak więc, jeżeli by za silnem było twierdzenie, że był wyraźny spisek podczas nieobecności Wilsona celem zniweczenia Ligi, lub choćby wyrzucenia jej z traktatu, to jednak z całą pewnością utrzymywać można, że istniała intryga przeciw jego planowi preliminaryjnego traktatu militarnego na lądzie i na morzu. Pośrednio wywołałoby to ten sam skutek.

Wszelkie militarystyczne i nacjonalistyczne czynniki odrazu wystąpiły na czoło niemal z chwilą wyjazdu Wilsona. Lloyd George pojechał do domu, ale zamiast zostawić liberalnych przywódców przy władzy w Paryżu, ludzi, przepojonych zasadami, wyrażonemi w Lidze: — Cecila, Smutsa i Barnesa — którzy byli istotnie towarzyszami Lloyd George'a w Brytyjskiej Delegacji Pokojowej, jako jej członkowie — przysłał z za morza, Winstona Churchilla, największego militarystę z brytyjskich leaderów. Churchill nie był członkiem Delegacji Pokojowej i przedtem z konferencją pokojową nie miał nic wspólnego. Co więcej, był cichym przeciwnikiem Ligi. Przez pewien czas także sir Robert Borden, szef kanadyjski, zasiadał w Najwyższej Radzie. Ten, chociaż niczego nie żądał dla Kanady, silnie popierał żądania innych brytyjskich dominjów o natychmiastowy podział niemieckich kolonij. Ci ludzie zatem, z panem Balfourem i lordem Milnerem, mieli kierować sprawami brytyjskiemi w Paryżu pod nieobecność Prezydenta.

Winston Churchill zaczął od tego, że zażądał natychmiastowej akcji przeciw Rosji; popierał on napoleońskie plany Focha, odżywające teraz z nową stanowczością, plany użycia siły zbrojnej przeciw sowieckiej Rosji. Planowano stworzyć wielkie armje, w tem liczono i na amerykańskie, i podjąć wielką wojnę dla uspokojenia wschodniej Europy.

Dnia 19 lutego rano, w chwili, gdy Clemenceau wsiadał do automobilu, by udać się na konferencję, morderca podsunął się i dał strzał do niego.

„Jestem Francuz i anarchista!“ krzyknął Cottin.

„Ta bestja dobrze strzela“ — powiedział Clemenceau, pochylając się naprzód: „Ale to nic.“

Jednakże ten twardy, nadzwyczajny starzec, musiał się położyć do łóżka. Ten wypadek sprawił, że najwybitniejszym mężem stanu na konferencji został obecnie Balfour wraz z Pichonem, uosobieniem wszystkiego, co najstarsze w dyplomacji, a przedstawicielem teraz Delegacji Francuskiej. Chociaż Clemenceau nie był liberałem, ale był mądrym. To też Foch, którego tylko Clemenceau potrafił utrzymać w ręku, teraz potężnie wysunął się naprzód.

Ciekawym też zbiegiem rzeczy — jakby to było częścią dobrze obmyśłonego planu — i Orlando także, przedstawiciel liberalnych prądów we Włoszech, wyjechał do domu, pozostawiając przy władzy Sonnina, niewątpliwie najbardziej reakcyjnego polityka w Paryżu.

Co do Ameryki, mr. Lansing był tytularnym szefem delegacji, chociaż Prezydent oznajmił Radzie Dziesięciu (12 lutego), że „prosił pułkownika House’a, by go zastąpił podczas jego nieobecności.“

Przez cały pierwszy tydzień nie powiedziano na Radzie ani jednego słowa o preliminaryjnych militarnych warunkach — o najważniejszej dla nich, czekającej na nich sprawie. Jednakże wiemy o tem, że konferencje pilnie odbywały się za sceną. Z ust samego Balfoura wiadomo, gdyż mówił o tem na tajnych radach, że naradzał się prywatnie z p. Pichon, a nawet za tak ważną uważał to sprawę, że wraz z p. Pichon odwiedzał Clemenceau, chorego wtedy skutkiem otrzymanych ran.

Na posiedzeniu 22 lutego Balfour przedstawił swoją nadzwyczajną nową rezolucję, proponując, by Rada niezwłocznie przystąpiła do rozważania innych warunków preliminaryjnego pokoju z Niemcami — obejmujących granice Niemiec, finansowe i ekonomiczne zarządzenia, odpowiedzialność za złamanie praw wojennych (a później i kolonje) — jednym słowem wszystko, z wyjątkiem Ligi Narodów! Rezolucja wymagała także po-

śpiechu i zastrzegła, by komisje przysłały swoje raporty nie później, jak do soboty, 8 marca — zatem na tydzień wpięrw, nim mógł powrócić Prezydent.

Chociaż tej propozycji nie wspomniano nawet wcale na Radzie i nie zanotowano też żadnej nad nią dyskusji, rezolucję¹⁾ natychmiast i z zapalem przyjęli wszyscy — z wyjątkiem lorda Milnera i Sonnina, który nie był przeciwnym w zasadzie, ale byłby wolał, by układy z Niemcami nie uprzedzały układów z Austrią. Oto są komentarze:

P. Pichon przyznał, że mr. Balfour bardzo trafnie wytłumaczył poglądy pana Clemenceau. P. Clemenceau uważał, że całość warunków pokojowych winna być z najmniejszą możliwie zwłoką przyśpieszoną, by wykorzystać w pełni obecne położenie w Niemczech. W tej opinii popierają pana Clemenceau marszałek Foch i jego militarni doradcy.

Mr. House powiedział, że bardzo się cieszy, widząc, że konferencja zamierza doprowadzić coprędzej do skutku pokój preliminaryjny.... Zawsze rozumiał, że zwłoka mogłaby tylko na korzyść wyjść Niemcom i że im dłużejby się odkładało pod-

¹⁾ Tekst rezolucji Balfoura z d. 22 lutego, wedle Tajnych protokółów R. D.:

1. Nie przesadzając decyzji Najwyższej Rady Wojennej co do przedstawienia Niemcom warunków militarnych na lądzie, morzu i w powietrzu w wcześniejszej dacie, konferencja zgodnie uznaje, iż jest bardzo pożądanem, by zebrać się bez zwłoki do rozważenia innych preliminarjów warunków pokojowych z Niemcami i możliwie przyśpieszyć potrzebne badania.
2. Preliminaryjne warunki pokojowe, poza warunkami militarnymi na lądzie, morzu i w powietrzu, mają obejmować następujące punkty:
 - a) W przybliżeniu przyszłe granice Niemiec.
 - b) Finansowe warunki, które należy nałożyć Niemcom.
 - c) Nasze ekonomiczne stosunki z Niemcami po wojnie.
 - d) Odpowiedzialność za przekroczenie praw wojennych.
3. Ażeby konferencja mogła mieć do dyspozycji z możliwie najmniejszym opóźnieniem rezultaty pracy komisyj, które te przedmioty badały, uprasza się, by te różne komisje nadesłały swoje raporty generalnemu sekretarzowi nie później, jak do soboty, 8 marca. To może się nie stosować do komisyj, ustanowionych po 15 lutego, które może nie zdążą przedstawić swoich raportów w tak wczesnej dacie, ale uprasza się, żeby w tych wypadkach przedstawiono tymczasowe raporty w kwestjach, dotyczących preliminarjów pokoju z Niemcami.

pisanie pokoju, tem więcej zwiększałyby się szanse, że okoliczności będą mniej pomyślne dla sprzymierzonych. Co do dwóch propozycji, przedłożonych teraz konferencji, uważa, że bardzo surowe warunki powinny być nałożone Niemcom. I sądzi, że Niemcy skłonniejsi byłiby do przyjęcia tych warunków, gdyby równocześnie zapoznano ich z całością warunków pokojowych....

Mr. Lansing (powiedział)... wolałby zamknąć wszystkie warunki preliminaryjnego pokoju w jednym dokumencie.... Najzupełniej się zgadzał z poglądami pana Clemenceau.

Jedyne szczere poparcie propozycji Wilsona dał lord Milner, który był obecnym, gdy była przyjętą 12 lutego (również i Lansing był wtedy obecnym), a teraz proponował, by zostać przy uchwale, wtedy powziętej. Uważał, że „ważniejszym od wszystkiego innego jest, by konferencja poświęciła swój czas rozważeniu ostatecznych militarnych i morskich warunków dla Niemiec. Gdyby raz przyszło do układu w tym przedmiocie, jeden dział pracy nad pokojem byłby ostatecznie załatwiony.“ Na następnej posiedzeniu lord Milner powrócił jeszcze raz, energiczniej, do tego samego argumentu, wyrażając prawie dosłownie ideę Prezydenta i generała Bliss'a. Powiedział:

„Mówiąc od siebie, osobiście, ja zawsze myślę, że ostateczne rozbrowienie Niemiec — rozumiem przez to obniżenie do tego stopnia ich sił wojskowych, jaki chcemy im pozwolić utrzymywać stale — jest nadzwyczajnie nagłym, że jest to krok, który powinniśmy jak najprędzej uczynić i że jest to krok, który wielce przyspieszy przyjęcie.... wszystkich innych warunków pokoju. Jest to także bezwzględnie istotny krok przedwstępny — do własnej naszej demobilizacji.“

Demobilizacja jednakże, to przecież właśnie było to, czego Francuzi nie chcieli! Jak to Pichon powiedział, Clemenceau był w zgodzie z Fochem — a Balfour, Lansing i House byli w zgodzie z Clemenceau. Pułkownik House, istotnie, odpowiedział na argumenty lorda Milnera:

„Mr. House trwał w swoim zdaniu, że konferencja powinna wrócić do pierwotnej propozycji pana Balfoura co do Niemiec.“

To też mając przeciw sobie i Francuzów, i Amerykanów, i Balfoura, delegata brytyjskiego, daremnie byłby lord Milner dalszy spór prowadził.

Jeden jeszcze naród miał w tej sprawie coś do powiedzenia — Japończycy. Delegaci japońscy, Makino i Matsui, jak dwa kamienne posągi ich Buddy, czekali zawsze w milczeniu, dopóki nie zaszło coś takiego, co ich rzeczywiście obchodziło. A wtedy, głosem cichym, w możliwie niewielu słowach, z miną prawie nieśmiałą, na końcu posiedzenia, strzelali tak celnie, jak ich żołnierze pod Portem Artura.

„Baron Makino zapytał, czy „granice Niemiec w przybliżeniu“, o których mówi paragraf 2 (a) (w rezolucji Balfoura) obejmują także kolonje niemieckie.

Mr. Balfour odpowiedział, że zamierza się objąć tem i kolonje.....

P. Matsui zapytał, w odniesieniu do paragrafu 2 (a), czyby to obejmowało wszystkie prawa, jako to prawa do kolei i do kopalń w Chinach, nabytych przez Niemcy.

Mr. Balfour sądził, że słowami „*inter alia*“ możnaby objąć takie kwestje.

Mr. Lansing zgodził się na to i zauważył, że słowa „*inter alia*“ obejmowałyby także kwestję jeńców wojennych, którą zamierzał podnieść osobno.¹⁾

I tak Japończycy, zapytawszy o kolonje, koleje, kopalnie, Szantung, wspaniałomyślnie uspokojeni przez Balfoura, zapadli znowu w milczenie. Tu oto układ o Szantung, tak ostro atakowany w Ameryce, tu oto miał swój początek — pod nieobecność Wilsona.

Tym sposobem wszyscy uzyskali zapewnienie, że wszelkie „praktyczne szczegóły“ wejdą do preliminaryjnego traktatu — granice, reparacje, kolonje, kopalnie, koleje — bez przeszkody ze strony hamującego idealizmu zasad Wilsona albo odnoszenia się do Ligi Narodów.

Bardzo jest trudno wytłumaczyć, dlaczego mr. Balfour stanął na czele tego ruchu. Anglicy skwapliwie pragnęli, jak

¹⁾ Tajne protokoły, Rada Dziesięciu, 22 lutego.

dowodził lord Milner, osiągnąć takie warunki, któreby pozwalały na demobilizację wpierw, nim się zaczną długie debaty nad innymi warunkami. Balfour sam (zaraz po wyjeździe Lloyd George'a) sformułował i popierał jeszcze przed dziesięciu dniami rezolucję, zawierającą Wilsona plan preliminaryjnego militarnego traktatu. Napozór stał — wówczas — silnie po stronie Wilsona.

Cóż go tak nagle nawróciło?

Prawdopodobnie najwłaściwszą będzie odpowiedzią: Lloyd George.

Lloyd George pojechał do domu, jak Wilson, zdać sprawę swojemu krajowi; w Radzie Ministrów odbyło się wielkie, bardzo gorące posiedzenie. Przedstawiano stosunki w Rosji, bardzo niepokojące. Był tam Churchill i żądał nowej, energicznej polityki w kierunku Rosji — prawdopodobnie atakował też „ten nonsens”, jakąś Ligę Narodów. Omawiano tam jeszcze inną sprawę — rozgoryczenie premierów dominjów o to, że nie dostają kolonii, które mieć chcieli — gdyż premier Hughes z Australji miał szereg drażniących mów w Londynie. Wszyscy też zaczęli się niecierpliwić, że się rzecz opóźnia — pokój trzeba przyspieszyć!

Lloyd George uległ widocznie jednemu z tych charakterystycznych u niego ataków zmiany zdania — co u niego przychodziło tak łatwo, jakby z procy strzelił. Opozycja, wobec której Wilson zawsze jeszcze twardziej stawał przy swoich zasadach, wywierała wręcz przeciwny skutek na krewkiego Walijczyka, który był politykiem, ale nie miał zasad — przerzucało go to jednym skokiem na przeciwny biegun. Lloyd George zaczął myśleć, że posunął się za daleko w tym całym interesie z Ligą. To też posłał do Paryża najbardziej wojowniczego przywódcę z nich wszystkich, Churchilla, a w parę dni później Balfour dokonał tej swojej zadziwiającej zmiany programu.

Balfour był jedną z najbardziej zajmujących i ujmujących postaci na konferencji pokojowej. Prawdziwie wybitna inteligencja — żadne memoranda, wygotowane w Paryżu, żadne przemowy na konferencjach nie dorównywały świetnością i dowcipem temu, co pisał albo co mówił Balfour. Memorandum jego w kwestji tureckiej, w związku z pretensjami Włoch, ma klasyczną wartość literacką. Ciekawem było widzieć go przy pracy, z tem nawpół ironicznym, filozoficznym zainteresowaniem w roz-

grywających się wypadkach. Ale był on do szpiku kości konserwatystą, a filozofja jego była filozofją sceptycyzmu (tak jak Wilsona filozofja była filozofją wiary); zawsze był pewien, jak ten „prawdziwie angielski Hamlet“, że „każdy czyn ma swoje złe strony.“ Pod mocnem a krzepiącem kierownictwem Wilsona zaszedł daleko — za daleko! Gdy brakło Wilsona, widoki zbladły, walka wydała się ciężką; jak najprędniejszy pokój i na jakichkolwiek warunkach wydał się nieskończenie upragnionym, a zwłaszcza pokój, któryby prędko zadowolił krzykliwe brytyjskie dominja i dał Anglii to, co mieć chciała w Turcji. Mając przy boku takiego męża, jak Churchill, który gwałtownie i wybuchowo wiedział, czego chciał, i takiego szefa w kraju, który dziś chciał jednego, a jutro czegoś wręcz przeciwnego — Balfour wniósł swoją rezolucję dnia 22 lutego.

Można powiedzieć prawdziwie: gdyby Lloyd George był lojalnie i stale wytrwał przy planie, uznanym przez Radę Dziesięciu w dniu 12 lutego, przy planie zawarcia preliminaryjnego militarnego pokoju — ten plan byłby przeszedł.

A cóż powiedzieć o Amerykanach? O Lansingu niema wiele do powiedzenia. Był przeciwnym takiej Lidze, jaką zaprojektowano, był przeciwnym włączeniu jej do traktatu. Nie miał najsłabszego pojęcia o tem, jak Prezydent przedstawiał sobie pokój, ani o roli, jaką w nim Ameryka grać miała. Jeżeli nawet nie miał wyraźnych instrukcyj od Prezydenta (jak twierdzi w swojej książce), co do tego, co ma czynić podczas jego nieobecności, ale przecież bywał na każdym posiedzeniu Rady, wiedział dokładnie, co się tam działo, wiedział, o co Prezydent walczył i czego chciał, i sam przyjął rezolucję, przewidującą militarny traktat preliminaryjny. Z chwilą jednak, gdy się Prezydent oddalił, zgodził się najzupełniej z Balfourem i z Clemenceau i z Fochem na krok, który miał rozbić cały plan Prezydenta. Nigdy widocznie nie myślał na serjo popierać rezolucyj Prezydenta: prawdopodobnie nigdy nawet nie rozumiał szerszych dyplomatycznych konsekwencji tego posunięcia, ani nie rozumiał, co „przewraca“.

Sytuacja pułkownika House'a była o wiele więcej skomplikowana. Nie należał do Rady Dziesięciu; nie znał tak, jak Lansing, całego przebiegu walki. Nie stykał się z całą wewnętrzną

strategią tak, jak Lansing. Prezydent Wilson oznajmił Radzie, że zostawia House'a w swoim zastępstwie, ale nie objaśnił go dostatecznie, nie pouczył go. Tu znowu mamy przykład szczególniejszych braków Prezydenta — tej nieumiejętności wytłumaczenia się, tego przesądzania, że umysły jego współtowarzyszy, przyjąwszy jego kierownictwo, nadążą bezwarunkowo za jego własnymi jasnymi, żywymi, szybko odbywającymi się logicznymi procesami. Przyjmował on zawsze za pewnik, że moralne i uczuciowe poparcie idzie w parze z intelektualnem zrozumieniem, a tymczasem to wcale nie jest koniecznem. To stanowisko jego w stosunku tak do ludzi naogół, jak i do bliskich współtowarzyszy, stało się dla Prezydenta źródłem wielu poważnych trudności. Powiedziawszy coś raz jeden, myślał, że to wszyscy już jasno zrozumieli i przyjęli — bo czyż to nie było rozumne? — podczas gdy niejeden skromniejszy polityk mógłby mu powiedzieć, że trzeba jedno i to samo tysiąc razy powtórzyć, ogłosić we wszystkich gazetach, podłożyć nawet pod muzykę!

Pułkownik House od lat już niezmiennie był pożytecznym i pomocnym temu samotnemu myślicielowi i działaczowi. Był prawdziwym przyjacielem tam, gdzie przyjaźń była trudną; nie żądał niczego dla siebie tam, gdzie inni dobijali się o urzędy i honory. Miał wiele z tych zalet, których Prezydentowi nie dostawało; genialny zmysł rozumienia istot ludzkich, zamięłowanie osobistego obcowania z ludźmi, ducha przyjacielskiej pojednawczości. Przełamał swoją nieodpartą, pocziwą dobroduszością rodowitego obywatela Teksasu — zapory i obronne szanse, za które się chronił Prezydent. Nie można się oprzeć pułkownikowi House'owi. W długi czas potem, gdy myślano, że Prezydent i pułkownik House „zerwali“ ze sobą, po chorobie Prezydenta, powiedział tenże na zebraniu swego gabinetu, gdy ktoś odważył się krytykować House'a:

„Pułkownik House bardzo mi jest drogi.“

Pomiędzy papierami Prezydenta znajdują się starannie przechowane, liczne drobne karteczki, ołówkiem pisane, które mu pułkownik House przysyłał w Paryżu albo gdzie indziej, po jakiejś mowie albo w związku z jakąś proponowaną rezolucją. Są to serdeczne słowa uznania, radosnej zachęty. I nie było

to pochlebstwem; on to istotnie myślał i czuł. A Prezydentowi było to nieskończenie miłem.

Dopóki pułkownik House był, jak to Clemenceau określił, „uchem tylko, nie językiem“, — milczącym, słuchającym, prawdziwie a obszernie donoszącym o wszystkim Prezydentowi — wszystko szło dobrze. Pomoc jego była wielka i cenna. Prezydent przez niego dochodził do znajomości faktów, poglądów, osób, czego inaczej nie byłby mógł osiąść. House dostarczał surowego materiału, którego Prezydent do swego myślenia potrzebował. Przy swojej życzliwości dla ludzi House miał doświadczoną bystrość sądu o ludziach i o wypadkach. Prezydent mógł skorzystać albo i nie skorzystać z dostarczonych przez niego faktów i opinij — co też czynił — a potem działać, jak mu się podobало.

Ale gdy pułkownik House znalazł się na wysokim stanowisku, które wymagało działania, opartego na bezwzględnie jasnym myśleniu i stanowczych, ściśle określonych decyzyj, zaczął cierpieć na wady swoich własnych zalet. Instynktowo i uczuciowo był on równie szczerym liberałem, jak Prezydent, i lojalnym obrońcą Ligi Narodów: nigdy jednakże w myśleniu nie dochodził do dna. Nigdy nie widział pewno, przy czem stoi, ale zawsze rzecz ujmował optymistycznie. W jego intelektualnych procesach nie było nic twardego, jasnego, pewnego, definitywnego. Lubił ludzi, sympatyzował z nimi i nie mógł znieść decydowania wbrew nim; byłby chciał wszystkich ich pogodzić, używać słów łagodnych i zapewniać ich, że niema tam prawdziwej różnicy — gdzie była. I tak, kiedy lord Milner spierał się z marszałkiem Fochem o plan preliminaryjnego militarnego pokoju dnia 24 lutego, znajdujemy taką uwagę:

„Mr. House wyraził pogląd, że w istocie niema różnicy zdania pomiędzy członkami konferencji.“

A przecież właśnie, najgłębsze i najżywotniejsze różnice istniały tam i Prezydent dobrze to wiedział: nie była to walka udana, lecz walka rzeczywista; nie można jej było ugłaskać, wygładzić, kompromisem załagodzić. Nie była to sprawa, która przy osobistej dobrej woli tylko i przyjacielskości stosunków, dałaby się na bok odsunąć: była to naga różnica zasad. Zdaje

się, że pułkownik House nigdy rzeczywiście nie dopatrzył wielkich, wyraźnych linii konfliktu, ani nie uświadomił sobie, czego temi falistemi ruchami „stary porządek” usiłował dokonać. Nigdy, na jedną chwilę, nie chciał być niełojalnym względem Prezydenta; myślał, że służy sprawie szybkiego pokoju; posyłał Prezydentowi długie kablogramy, donosząc, co się dzieje w Paryżu. Lecz jedynym rezultatem jego działania tutaj, jak i później na konferencji było, że wszystko zagmatwał, zaś rezultatem działania jego w tej przynajmniej sprawie, że służył wręcz przeciwnym celom, niż te, do których Prezydent dążył. Ten sąd opiera autor nietylko na wnioskach, wysnutych z osobistego zetknięcia z obu tymi ludźmi w Paryżu, ale na starannem przejrzeniu całego sprawozdania i wszystkich dokumentów konferencji pokojowej.

Właśnie depesze od pułkownika House’a pierwsze ostrzegły Prezydenta o biegu spraw w Paryżu — i to niewątpliwie zaostriżyło wyzwanie w jego wielkiej mowie z 4 marca w Metropolitan Opera House w Nowym Yorku, tuż przed odpłynięciem do Francji; w mowie tej zapewniał, że pakt musi być wpleciony w traktat.

Pułkownik House spotkał Prezydenta w Brest i pojechał z nim razem do Paryża. Od tego czasu zaczęło się ochłodzenie stosunków między tymi dwoma ludźmi — do czego jeszcze powrócę, gdyż oddziało to poważnie a niefortunnie na konferencję pokojową. Ten chłód nie wynikał z pospolitych osobistych powodów, ani małych, marnych zazdrości, jak ogólnie mówiono — chociaż miał rzeczywiście osobiste i pospolite pozory — ale oparty był na głębszych o wiele rozbieżnościach w rozumieniu i w działaniu.

Prawdę powiedziawszy, działalność Rady przez czas tego ważnego miesiąca była raczej niemądrą, niż rozmyślnie złośliwą. Tak nadzwyczajnie ludzkim było to wszystko! Wilson, przywódca i prorok, żądający takiej karności i poświęceń z siebie, wyjechał; postawili złotego cielca. Powrócili do sposobów i do metod, na jakich się rozumieli, poszli drogą, która im się wydała najłatwiejszą dla dostania tego, co dostać pragnęli. Ze wszystkich ludzi, tam obecnych, jeden Clemenceau ze swoją nadzwyczajnie jasną inteligencją rozumiał, co się dzieje, i on też pierwszy (jak to pokażemy) dał znak zaprzestania, gdy spostrzegł, że

plan się nie udaje. Postępowanie tego rodzaju, jak ówczesne w Paryżu, rzadko, sędzę, przypisywać należy złym zamiarom, raczej składać je trzeba poprostu na karb braku szerszego poglądu, moralnego zapалу, przewidywania przyszłości. Ludzie tamci zapatrzyli się w bezpośrednie, egoistyczne cele, a te zasłaniały im wszystko inne. Decydowali po kawałku, nie odstępując na odległość, by ogarnąć całość wrażenia swej pracy. Obserwatorzy z zewnątrz, jednakże, śledzili nowiny to z żalem, to z radością, stosownie do swoich przekonań. Nieprzyjaciele Ligi zbyt pochopnie, bez wątpienia, przeskoczyli do upragnionego przez siebie wniosku, — że Liga już stracona, wycięta z traktatu, że pozwala jej się zginąć z wycieńczenia. A jednak ziarno prawdy było w tych przepowiedniach. Powtarzano je skwapliwie, dotarły one do Stanów Zjednoczonych i wywołały alarmujący kablogram Tumulty'ego (14 marca), ostrzegający Prezydenta za powrotem do Paryża o tem, co się przeciw niemu gotowało.

Prawie pierwszy dobrze poinformowany człowiek, z którym autor rozmawiał, wylądowawszy znów na francuskiej ziemi, powiedział doń z uśmiechem:

„No tak, wasza Liga już nie żyje.“

I takie też, rzeczywiście, było przekonanie francuskiej prasy iż Ligę co najmniej usunięto na bok — odłożono, dopóki się nie skończy realnych układów. Tak, zupełnie otwarcie, głosił Pichon; to nawet lord Robert Cecil, prawdziwy Ligi przyjaciel, przyznawał; to nawet londyński *Times* przypuszczał, dowodząc, że pokój, jaki się teraz planuje, to tylko rodzaj rozszerzonego zawieszenia broni. Była nawet mowa o przyszłym kongresie — po obecnej konferencji pokojowej — który miał dyskutować nad Ligą i wprowadzić ją w życie.

Nie wydaje się, jakoby miano zamiar nowy plan popchnąć do końca przed powrotem Prezydenta, ale chciano związać Konferencję takim *fait accompli* i tak pobudzić oczekiwania ludów na prędkie postanowienia, żeby już Prezydent nie mógł zahamować fali. Całkowity układ nie byłby możebnym, nawet gdyby, jak pierwotnie żądano, raporty wszystkich komisyj gotowe były na 8-go marca. Foch, mając na myśli swoje własne plany, próbował nakłonić Radę do większego pośpiechu, żądał terminu 3-go marca, ale bezskutecznie. Były bowiem zasadnicze

przyczyny, dla których plan, choć bystro pomyślany, skazany był od początku na nieudanie. Chociaż wszyscy oni pragnęli szybkiego pokoju wedle „starego porządku“, jednak, gdy przyszło do szczegółów, wszelakiego rodzaju kwestje sporne zaczęły się wyłaniać. Brytyjczycy i Francuzi w żaden sposób nie mogli się pogodzić co do militarnych warunków, a zwłaszcza co do kwestji rozporządzenia wziętą w niewolę flotą niemiecką. Brytyjczycy i Japończycy różnili się w sprawie podziału dawniej niemieckich kabl; Włosi i Jugosłowianie szli prawie na noże. Wilson nigdy nie powiedział mędrszego i prawdziwszego słowa, jak w mowie swojej w Manchester (30 grudnia 1918):

„Interes nie wiąże ludzi; interes ludzi rozdziela..... Jedno jest tylko, co ludzi z wiązać może, a tem jest wspólne umiłowanie słuszności.“

Tak więc, mimo że mieli najszczerzy zamiar wspólnie obalić cały plan Wilsona, pokazało się, że sami między sobą nie mogą dojść do zgody. Każdy z nich zaczął odnosić się podejrzliwie do Focha i jego wojowniczych zamiarów. Lloyd George klócił się z Clemenceau, a Włosi coraz więcej zaczęli się sprzeciwiać szybkiemu pokojowi z Niemcami, któryby problemy austriackie pozostawiał w zawieszeniu. Zaczęli wszyscy szukać poomacku za jakąś „zasadą układów“. Odrzuciwszy zasadę Wilsona, z konieczności — dla zażegnania tych szybko i przykro jawiących się zazdrości i rywalizacyj — musieli znaleźć inną zasadę — a takiej nie było. Zaczęli nawet znów wspominać o Lidze Narodów. Ostatecznie Clemenceau, powróciwszy do Rady, błady jeszcze, ale zawsze silny, oświadczył, że układy trzeba odłożyć, dopóki obaj, Wilson i Lloyd George (który tymczasem znowu był wyjechał do kraju), nie wrócą.

Prezydent o przebiegu wypadków podczas swej nieobecności uwiadamiany był fragmentarycznie, ale szybko za powrotem (14-go marca) poinformował się dokładnie. Rada zapowiedziała posiedzenie na 15-go dla rozważania już teraz ukończonych (ale nie przyjętych) warunków militarnych. Wilson, nie chcąc być przynaglonym do decyzji, poprosił o odłożenie tej sprawy i zaczął starannie studjować skomplikowany szkic tych warunków. Mamy ten szkic przed sobą w zbiorze jego dokumentów,

z własnymi jego ważnymi i żywotnymi zapiskami na marginesie. Jednym z głównych jego wskazań było: zniesienie całego planu stałej militarnej (a nawet, po części, i ekonomicznej) kontroli nad Niemcami po zawarciu pokoju przez sojusznicze militarne komisje. Ukazał się na Radzie dopiero w poniedziałek 17-go.

W międzyczasie jednak działał — zdumiewająco odważnie i stanowczo. W sobotę rano, 15-go marca, przyzywał mnie telefonem do siebie i polecił zaprzeczyć wieści, krążącej wszędzie w Europie — a do pewnego stopnia i w Ameryce — że ma być zawarty osobny preliminaryjny traktat pokojowy z Niemcami, wykluczający Ligę Narodów.

„Chcę, żebyś pan powiedział, że stoimy dokładnie przy tem, na czem stanęliśmy 25 stycznia, gdy konferencja pokojowa przyjęła rezolucję, czyniącą pakt integralną częścią traktatu pokojowego.“

Zredagowałem przeto deklarację, zaniósłem Prezydentowi i za jego aprobatą wydałem ją natychmiast prasie.

To śmiałe oświadczenie podziałało w Paryżu, jak prawdziwy wybuch bomby. Przewróciło szybkim uderzeniem wyniki najważniejszej działalności konferencji podczas nieobecności Prezydenta. Ukryte dążenia, „ciemne moce“, pracujące nad swą robotą przez ubiegły miesiąc, poszły wniwecz za jednym zamachem.

Prezydent nie zbaczał ze swej drogi, by krytykować to, co zrobiono, albo by kogokolwiek atakować: oznajmiał tylko o swoim zamiarze. Był to niezmiernie zręczny krok. Przypominając wyraźnie poprzednią uchwałę konferencji, uchwałę, która nie uległa reasumpcji, był w pozycji nie do zdobycia. Tym czynem ściągnął znowu zainteresowanie na Ligę Narodów. Czy pokój, który teraz układali, ma się nazywać „preliminaryjnym“ czy „ostatecznym“, to mu było obojętne, byle zapewnił urzeczywistnienie tego, o co mu chodziło: byle pakt uczyniono podstawą „ogólnego“ traktatu pokoju, zawierającego terytorjalne, ekonomiczne, kolonjalne i inne układy.

Zjadliwe i ostre ataki na Prezydenta posypały się natychmiast w francuskich i brytyjskich gazetach, ale on na nie wcale

nie odpowiedział. Jego oświadczenie rozwiało widocznie powszechną nadzieję rychłego pokoju, płynącą nietylko z śmiertelnego znużenia, z prawdziwego, głębokiego pragnienia demobilizacji armji i puszczenia w ruch przemysłu, ale także i z oczekiwania, podniecanych przez pewne reakcyjne czasopisma w Anglii i we Francji. Hasłem tych pism było: „Nie zaprzatajcie sobie głowy nowymi zasadami albo ideałami; skończcie wojnę prędko; utwórzcie nowy wojenny sojusz między sprzymierzonymi, włączając w to Amerykę, podzielcie łupy pomiędzy zwycięzców, wyłączając Amerykę, i wracajcie do domu.“

Londyński *Daily Express*, np. nazwał to „zwycęstwem pyrrhusowem“ i żądał, by rząd brytyjski odmówił poparcia Prezydentowi. Pichon, francuski minister spraw zagranicznych, w pewnym wywiadzie ostro krytykował Prezydenta, co jednakże śpiesznie skonfiskowano.

Ataki te były zwiastunami strasznej walki, która teraz nastąpiła. Ostateczne rezultaty śmiałego kroku z dnia 15 marca były mieszane i bynajmniej nie oznaczały zupełnego zwycięstwa po stronie Prezydenta. Opuścił pole bitwy, a teraz nie mógł odzyskać całości utraconego terenu. Jeśli się już nic nie słyszało o ogólnym pokoju bez Ligi, to zato nie było też mowy o militarnym układzie i demobilizacji, mającej uprzedzić ogólny pokój, którego tak Wilson pragnął i co do którego sądził, że zapewnił jego dojsście do skutku przed swoim wyjazdem z Paryża. Na tym punkcie wygrali Francuzi. Żadnych preliminarjów wogóle nie podpisano; gdy podpisywano ostateczny traktat, wielkie armje stały pod bronią, gotowe do marszu na Niemcy. Były one zdekompletowane stopniową demobilizacją do stanu, który Focha nie zadowalał, ale dalekie były od uszczuplonych rozmiarów, o jakich myślał Wilson przed wyjazdem swoim w połowie lutego. Ogólne warunki formułowano zatem w atmosferze wojny, nie pokoju i znać też było tego skutki.

Pomimo to jednak mógł może Wilson powiedzieć sobie, że jego wygrana przeważa. Trzeba pamiętać, że zgóry mniej liczył na warunki traktatu, ile, z pełną wiarą, na Ligę. Otóż miał Ligę, taką mniej więcej, jaką ją mieć sobie życzył, i powstrzymał Francuzów od stworzenia międzynarodowego woj-

skowego nadzoru rad Niemcami z zewnątrz. Były to ważne zdobycze. Przedewszystkiem zaś dopiął tego, że Liga była ściśle związaną z traktatem, co dawało pewność, że będzie natychmiast utworzoną, jako korektywa dla mniej pożądaných szczegółów, jakieby się mogły znaleźć w traktacie. Liczył na to, że pod *régime* Ligi nowy porządek wejdzie w życie i poprawi poprzednie błędy i pomyłki.

Jednakże czekała go jeszcze wielka walka.



ROZDZIAŁ XVIII.

AMERYKAŃSKA KRYTYKA PAKTU. — WILSONA PROGRAM REWIZJI. — ZACIĘTA FRANCUSKA OPOZYCJA. ZASADA MONROE'GO A PAKT. — ARTYKUŁ X CENTRUM BURZY.

Żaden chyba przywódca nie zaznał tak przykrego zewszestron nacisku, jak prezydent Wilson za powrotem swoim do Paryża w marcu. Wódz nie może, opuściwszy na miesiąc wielką bitwę w momencie jej największego napięcia, zastać jej po powrocie w tem samym stadjum, w jakim była. Śmiała jego deklaracja z 15-go wpadła istotnie, jak bomba, w narady na Quai d'Orsay i przyczyniła się mocno do odzyskania gruntu, utraczonego w czasie nieobecności, w rzeczywistości jednak o wiele poważniejsze trudności stały teraz przed Prezydentem, niż kiedykolwiek przedtem.

Nietyle może niepokoiła go świeżo powstała opozycja europejskich i japońskich przywódców, którzy intrygowali przeciw jego programowi i gromadzili siły na nową kampanję, podczas gdy był nieobecny; nietyle może nawet bolesne odkrycie, że jego własni, amerykańscy delegaci nie zrozumieli go i nie poparli; najgorszem było poczucie, że nie mógł liczyć na zupełnie pewne poparcie w ojczyźnie.

Pozostawiając poza sobą niezadowolenie w Europie, musiał Prezydent w kraju stawić czoło opozycji, płynącej z źródeł zupełnie różnych. Opozycja to była w znacznej mierze polityczna, a nawet osobista; jednakże polityczna opozycja, choćby była sztuczną, musi mieć jakąś solidną podstawę w opinii lub w uczuciu ogółu. W Ameryce nastąpiła potężna reakcja — poczęści

ten sam, co w świecie „szturm na idealizm“. Przeprowadziliśmy wojnę; teraz pozwólcie nam wrócić do naszej bezpiecznej izolacji. Wracajmy do interesów. „Ameryka przede wszystkim!“

Istniał w czasie wojny szeroko rozpowszechniony, mniej lub więcej określony, ale przychylny, życzliwy dla Ligi Narodów nastrój. Patrzano na nią, jak na szybko działające uniwersalne lekarstwo na wszystkie choroby świata. Dajmy je narodom! Poza tem jednak leżała głęboka, jak przepaść, nieznajomość realnych międzynarodowych stosunków i problemów — wynik naszej długotrwałej izolacji; gdy więc zaczęliśmy pojmować, jak poważną jest choroba świata i jakim kosztem ofiar ze siebie, z pieniędzy, a nawet z własnego bezpieczeństwa trzeba ją leczyć, obudził się rodzaj panicznej opozycji. Pragnęliśmy Ligi z przychylności — ale nie spodziewaliśmy się, że przyjdzie coś za nią zapłacić!

Więc też głosy reakcji, strachu i partyjnej opozycji, podnoszące tradycyjne hasła „unikać wikłających sojuszów“, „broń doktryny Monroe’ego“, znalazły chętnych słuchaczy. Prezydent liczył na moralną stałość przekonań i jasność zrozumienia w kraju, która, z braku podstawowej wiedzy, nie istniała. On sam przemyślał tę sprawę nawskroś; on znał całe zagadnienie: wiedział, co to będzie kosztować; ale kraj, jako całość, nie rozumiał tego. Prezydent sam, później, widząc tę trudność, starał się ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem, we wrześniowym objeździe, z roku 1919, po kraju — który go ostatecznie złamał — wyłożyć sytuację ludowi, wytłumaczyć, co zrobił i dlaczego — ale i wtedy nawet było to niemożliwem.

Tak więc, narazie, szarpały go dwie obawy. Francuzi bali się, że pakt, który Prezydent wiozł za Atlantyk, jest za słabym dla ich bezpieczeństwa, Amerykanie bali się, że jest za silnym dla bezpieczeństwa Ameryki.

Wycieczka do kraju była w każdym razie niebezpiecznem przedsięwzięciem; wydawała się jednak absolutnie konieczną. Bezpośrednią sposobność, naturalnie, nastęrczało odłożenie Kongresu do 4-go marca; ale rzeczywistym powodem była chęć zdania sprawy z postępu swej pracy i utrwalenia, przy pomocy poważnego wysiłku, poparcia dla siebie w kraju. Bo jakżeż mógł w dalszym ciągu walczyć śmiało w Paryżu za amerykański pro-

gram, jeżeli wiedział, że wszystko, co uczyni, może być później zagwożdżone w Waszyngtonie?

Czuł przez cały czas — zawsze to czuł — że siła jego leży w oparciu o lud Ameryki — i świata — o ile tylko mógł dotrzeć do niego i wytłumaczyć. Jednakże ludzie, z którymi miał właściwie do czynienia, w których ręku leżało prawo *veto* przeciw niemu, to byli przywódcy opozycji w Senacie Stanów Zjednoczonych.

Tutaj mało elastyczny amerykański system zawierania traktatów — rozdzielona odpowiedzialność za politykę w sprawach zagranicznych pomiędzy prezydenta a Senat — stała się tem większą przeszkodą, że sprawa była poważniejsza od jakiegokolwiek innej w dotychczasowej historii. Ameryka nie wytworzyła, jak dotąd, zdrowej i skutecznej techniki dyplomatycznej. Można by rozszerzyć to twierdzenie, mówiąc, że państwa demokratyczne nigdzie jeszcze nie przyswoiły sobie dobrej dyplomatycznej metody. Pierwsze amerykańskie kolonie, usposobione podejrzliwie i nie bez słuszności, do potajemnych działań starych dyplomatów, tak obwarowały swój nowy system rządów różnemi zastrzeżeniami — ustanawiając, że o ile prezydent może zawierać traktaty, to dwie trzecie Senatu muszą je ratyfikować — że stało się dla Ameryki niemożliwością przemawiać śmiałym i jednolitym głosem. Prawie każdy ważny traktat, który kraj musiał zawierać, stawał się kością niezgody pomiędzy władzą wykonawczą a Senatem. To pewna, że w przyszłości, jeśli mamy iść naprzód nowemi ścieżkami i dbać o wyraźnie zakreśloną politykę światową, musimy obmyśleć jakąś metodę mówienia do świata szybko i głosem nierozdzielonym. Nasz obecny system prowadzi do ostatecznej słabości, do zamętu, do zwłoki: zmusza obie strony do bawienia się w politykę i, zamiast zmierzania prosto do jądra sprawy, zniewala do szerokich sporów o prerogatywy dwóch współrzędnych organów rządu. Martwy punkt pomiędzy władzą wykonawczą a Senatem, ile razy stajemy wobec rzeczywiste ważnego zagranicznego problemu, jest nie do zniesienia. Nietylko okrywa nas wstydem wobec innych narodów, ale w jakiejś przyszłej katastrofie światowej może nas zgubić.

Prezydent, oczywiście, widział jasno tę trudność, ale dla ominięcia jej liczył na tak żywe pobudzenie opinii publicznej,

na takie pozyskanie jej dla zasad pokoju, bronionych przez siebie, żeby to dało mu możność przeforsowania jednolitości działania.

Jednakże kłopot tak w Waszyngtonie, jak w Paryżu był w tem, że, podczas gdy reakcja w społeczeństwie demokratycznym odbywa się leniwie i powoli, Prezydent musiał działać szybko. Nie miał czasu wyjaśniać ludowi, o ile pakt, który przywiózł ze sobą, odpowiadał ich zapatrywaniom. Do tego potrzebna była znajomość historii, spraw zagranicznych, prawa — a tej nawet kierownicy stronnictw nie posiadali. Zaczęły się przejawiać wątpliewania i zupełnie naturalne wahania — i w ten to przygotowany grunt wątpliwości przywódcy Senatu zasiali ziarna swojej opozycji. Niektórzy z nich szczerze wątpili, inni chętnie z wahań ludu wybijali polityczny kapitał.

Długie podróże przez Atlantyk, podczas których Prezydent pozostawał prawie zupełnie sam, dawały mu czas do przemyślenia w własnej duszy wszystkich tych problemów. Z przenikliwą jasnością widział wrogie siły, szykujące się do boju przeciw niemu — ale to tylko utwierdzało go w postanowieniu walczenia o zwycięstwo przewodniej swojej idei. Świat zaczynał tonąć w anarchji i chaosie; zdawało się, że wszystko coraz bardziej zależy od utworzenia silnej, kooperatywnej organizacji, zdolnej spoić go i odbudować — ale i od tego także, żeby tę organizację utworzyć co prędzej.

Podróże na wygodnym *George Washingtonie* dostarczały Prezydentowi nie tylko czasu do myślenia, ale i wielce potrzebnej sposobności do odpoczynku pod staranną opieką Dr. Graysona. Gdyby nie te okresy wytchnienia wśród ciężkiego ścierania się w Paryżu, możnaby wątpić, czyby Prezydent wytrzymał był fizycznie takie napięcie tak długo. Jak już powiedziałem, wiele przebywał sam, „zatopiony w własnym duchu“; jednakże ten obraz oderwania trzeba oświecić i uzupełnić rysami prostej ludzkiej istoty Prezydenta.

W tym celu pozwolę sobie dać wyjątek z współczesnych moich notatek z tej podróży:

Na morzu, 13 marca.

„Byłem na lunchu u Prezydenta i pani Wilson wczoraj w ich prywatnej kabinie. Rozmowa była bardzo zajmująca.

W takich nieoficjalnych stosunkach Prezydent i pani Wilson są to niezmiernie mili, przyjacielscy, pełni prostoty ludzie. Prezydent umie pełno historyjek — pamięta różne anegdoty, dykteryjki, gry słów. Zastosowuje je zadziwiająco trafnie. Wczoraj opowiadał cały szereg szkockich golfowych historyj, zabawnie naśladując szkocką gwarę tak, jak też umie naśladować gwarę murzyńską, gdy coś opowiada o murzynach.....

Teraz, gdy podróż nasza dobiega końca, chciałbym spisać, nietylko fakty, ile właściwe wrażenia tej podróży. Spokojne było i proste małe grono ludzi, silnie z sobą zaprzyjaźnionych. Po dniach nateżonej pracy, sporów, wielkich wieców, Prezydent odpoczął. Wyglądał wyczerpany, posiwiał, gdy wstępował na pokład. Nigdy go nie widziałem tak zmęczonym, jak w czasie mowy w Metropolitan, ale wkrótce przyszedł do siebie pod opieką Dr. Graysona, tak, że teraz wygląda równie dobrze, jak przedtem. W tych spokojnych, przyjacielskich stosunkach można go poznać z najkorzystniejszej strony — chciałbym, żeby wielu Amerykanów, którzy sądzą, że jest on zimnym, nie miłym człowiekiem, mogło go wtedy widzieć. I on i pani Wilson często bywają na pokładzie. Zupełnie regularnie przychodzili na przedstawienia kinematografu, które, zdaje się, że sprawiały im dużą przyjemność; przysłuchiwali się też doskonalej muzyce orkiestry okrętowej. Niejednokrotnie po jedzeniach albo wieczornych rozrywkach spotykało się Prezydenta i panią Wilson u stóp schodów w pobliżu ich kabiny i wtedy wywijały się miła gawędka — bardzo mało o polityce, ale ot, tak, gawędka; raz np. mówiło się o Lafayecie, to znów o Francuzach i ich charakterystycznych cechach, kiedy indziej o golfie i grze w golfa z dodatkiem wielu historyjek i wielkiego śmiechu. Pani Wilson jest nietylko najmiłą z kobiet, ale posiada wielką odwagę i rozsądek, widać też to, że Prezydent wielce na niej polega. Parę razy miewał Prezydent u siebie na lunchu albo na obiedzie po parę osób z towarzystwa; zaczynało się od prostej modlitwy, zmówionej przyciszonym głosem, a sam obiad przechodził w przyjaznym, naturalnym tonie każdego amerykańskiego domu w rodzinnym kółku. Kiedyś po jednym z takich lunchów słyszałem, jak jedna z osób obecnych powiedziała: „Doprawdy, wcale nie wiedziałem, że Prezydent to taki rodzaj człowieka — taki szczery,

tak pełen prostoty!" Prezydent i pani Wilson zdobyli sobie zupełnie serca oficerów i załogi statku. „To zaczyna coś być, jak dom rodzinny na okręcie" — powiedziała pani Wilson — „prawie, jak jedna wielka rodzina". Przy końcu przyjęcia w kabinie w czwartek wieczorem, właśnie gdy mieliśmy się żegnać, grono marynarzy w głębi hallu zaczęło śpiewać: „Niech Bóg będzie z Wami, aż się znów spotkamy" i dalej przez resztę wierszy. Potem całe towarzystwo, nie wykluczając Prezydenta, zaśpiewało razem „*Auld Lang Syne*". Zadawałem sobie pytanie, czy wśród innych ludzi na świecie mógłby się rozwinąć taki stosunek i taki nastrój".

.....

Prezydent postanowił bezwarunkowo włączyć pakt w ogólny traktat pokojowy; pozostawał mu równie ważny problem — co miał uczynić wobec amerykańskiej krytyki paktu samego, zwłaszcza gwarancji w artykule X? Było to prawdziwie „samo serce paktu", gdyż dotyczyło najważniejszego czynnika w całym układzie — bezpieczeństwa Francji. Nie uspokoiwszy wpierw obaw Francji światową gwarancją, nie można się było spodziewać szybkiego ograniczenia zbrojeń, ani układów na szerokiej podstawie sprawiedliwości i słuszności. Gwarancję w pakcie, mającą spełnić to zadanie, już i tak Francuzi uważali za zbyt słabą. Prezydent z trudem wywalczył, że przyjęli ją Francuzi, którzy żądali silnego militarnego sojuszu. Jednakże w Ameryce uważano ją za zbyt silną, za zagrażającą naszej tradycyjnej doktrynie Monroe'go, za wciągającą nas w ewentualne „wikłające sojusze". Prezydenta zdziwiła i głęboko strapiła obfitość krytyk w tym kierunku, na jakie się natknął w Ameryce.

Gdyby jednakże usiłował zadowolić opozycję amerykańską i wzmocnić poparcie za sobą w kraju, wprowadzając poprawki, proponowane przez Tafta i innych, byłby odrazu natrafił na opozycję Francuzów i zarzut, że pakt się w ten sposób osłabia.

Z drugiej strony, gdyby nie zważał na opozycję w kraju i nie zaprowadzał zmian w pakcie, dorzuciłby tylko dREW do ognia krytycyzmu, który mu zarzucał, że jest dyktatorem, że idzie swoją drogą, nie uważając na rady innych kierowników opinii publicznej; i tak walka, gdy powróci ostatecznie z traktatem, mogłaby zniweczyć cały jego program.

Co miał uczynić? Obie drogi były niebezpieczne.

Chwilami, niewątpliwie, zastanawiał się nad pójściem na przód przebojem, nad zwalczeniem paryskiej opozycji na podstawie paktu takiego, jak brzmiał w projekcie. Bał się, że żądając zmian ze względu na Amerykę, otworzy wrota nowym żądaniom sprzymierzonych i będzie zmuszony do ustępstw, które cały plan jego zrujnują. Czuł także, że cokolwiekby uczynił, opozycja w Senacie, stronnictwo wiedzioną, zawsze znajdzie podstawę do krytyk. I tak się też istotnie stało.

„Cokolwiekbym uczynił“ — powiedział do kogoś z bliskich na *George Washingtonie* — „oni zawsze będą mnie atakować“.

Widział jednakże jeden jasny promyk nadziei. Tym była przyjacielska gotowość pomocy ze strony pewnych działaczy, bardzo wybitnych w Ameryce — był między nimi dawny prezydent Taft — którzy byli poza stronnictwami sporami i gotowi byli w interesie publicznym popierać cały program międzynarodowej współpracy. Taft przemawiał z prezydentem Wilsonem do tego samego wielkiego audytorjum w Metropolitan Opera House dn. 4-go marca. Gdyby mógł tych ludzi zadowolić i równocześnie bliżej przyciągnąć potężnych przywódców z własnego stronnictwa, jak senatora Hitchcocka, naradzając się z nimi i korzystając z ich zdania, mógłby posunąć się daleko ku uspokojeniu opornej grupy w Senacie, pozyskaniu opinii publicznej i zapewnieniu sobie niezbędnego poparcia w Ameryce. Oznaczałoby to nowy i straszny spór z Francją — ale temu jużby mógł stać czoło, gdyby tylko był pewnym Ameryki.

Postanowił przeto wybrać to ostatnie: podjąć rewizję paktu, żeby zadowolić opozycję amerykańską i znaleźć jakiś inny sposób wynagrodzenia Francji za osłabienie gwarancji. Zaledwie powrócił, podsunęto mu niespodziewanie pomysł w tym kierunku. Opracowali go Brytyjczycy. Była to anglo-amerykańska umowa przyjsia na pomoc Francji w razie, gdyby była zaatakowana.

Miało to wiele ujemnych stron, patrząc na to z punktu widzenia Prezydenta; wiedział, że będzie się to nazywało „specjalnym sojuszem“ i że trudnem będzie do przeprowadzenia przez Senat, jednakże było to rodzajem pokojowej kooperacji, nie zaś pokój przy pomocy siły zbrojnej i miało tylko działać przez pewien czas, jako most pomiędzy wojną a chwilą, gdy Liga

Narodów znacznie prawidłowo i silnie działać; wreszcie, skoro musiał osłabić gwarancje w pakcie dla dogodzenia amerykańskiej opozycji, widział w ten sposób zadośćuczynienia żądaniom Francji.

Zdecydowawszy się raz już na obranie jednej z tych niebezpiecznych dwóch dróg, Prezydent z właściwą sobie prostolinijnością w zmierzaniu do celu nie tylko przeprowadził swoje zamierzenia do końca, ale zrobił to gruntownie, przyjmując za podstawę głównych zmian propozycje Tafta.

W tydzień po jego powrocie, 22 marca, zebrała się Komisja Ligi Narodów, celem rozpoczęcia rewizji projektu. Odkonano pięć wyczerpujących wieczornych posiedzeń, z których dwa przeciągnęły się poza północ — wśród tego zaszło pierwsze zasłabnięcie Prezydenta — i 11 kwietnia poprawiony pakt został ostatecznie przyjęty. Stało się to, czego się właśnie Prezydent obawiał. Próba rewizji aktu ze strony Amerykanów zerwała tamy wszystkich dawnych sporów, świeżo podrażnionych zwłoką. Wznowione bowiem za powrotem Prezydenta żądanie, by pakt uczynić „integralną częścią traktatu“, pobudziło Francuzów do tem usilniejszego starania, by osiągnąć pakt po swojej myśli. Chcieli w nim przedewszystkiem zastrzec swoje interesy. Prezydent jednakże przeprowadził swój program — równocześnie rozpoczynając nową walkę „ciemnego okresu“ z resztą przywódców „wielkich czterech“, teraz jednakże już inaczej obciążony i z uczuciem niepewności, czy własny kraj go poprze.

Wracając do Paryża, miał Prezydent dość jasne pojęcie, jakie poprawki w pakcie są najkonieczniejsze dla uspokojenia krytyki jego rodaków. Żądano trzech głównych zmian i czwartej mniejszej wagi — a wszystkie, szczególnie dwie pierwsze, atakowały i osłabiały zasadniczy pierwiastek gwarancji, czyli zmierzały do ograniczenia pełnego i szczerego udziału potężnej Ameryki w sprawach Ligi. Zmiany to były następujące:

1. Specjalne uznanie doktryny Monroe'go.
2. Przewidziana dla Ameryki możność wystąpienia z Ligi.
3. Specjalne wykluczenie kwestyj domowych (taryf, imigracji etc.) z zakresu dysput, podlegających międzynarodowym sądom.

4. Zastrzeżenie, by przyjęcie mandatów było zostawiane do woli wyznaczonego mandatarjusza, a to w celu umożliwienia Ameryce odmowy przyjęcia mandatu, gdyby chciała uniknąć tej odpowiedzialności.

Te zmiany poddał Prezydentowi nietylko senator Hitchcock listem, który Prezydent miał w powrotnej drodze przy sobie, ale kablogramami powtórzyli je dawny prezydent Taft i prezydent Lowell z Uniwersytetu Harvarda, obaj gorliwi członkowie Ligi dla Przeprowadzenia Pokoju, oraz Elihu Root. Zapewniano Prezydenta, że bez tych poprawek republikańscy senatorzy z pewnością nie dopuszczą ratyfikacji traktatu, mając opinię publiczną za sobą — z temi zaś poprawkami traktat będzie łatwo ratyfikowany.

Widać z tego, jak wielce ważną była dla opinii amerykańskiej sprawa doktryny Monroe'go. Za wielce ważną uważał ją także Prezydent w swoim rozumowaniu od samego początku, i nietylko nie chciał jej istotnej zasady niweczyć, ale uważał, że ją rozszerza i dodaje jej mocy. Z tego zapewne powodu nie doceniał hałasu w kraju i nie ocenił właściwie wymagania specjalnej o niej wzmianki w doktrynie paktu.

Dobrze to, naturalnie, wiadomo, że w gruncie rzeczy cały program pokoju i odbudowy świata Wilsona opierał się na tradycyjnej amerykańskiej polityce i doświadczeniu, rozszerzonych zastosowaniem do warunków światowych. Wilson uważał doktrynę Monroe'go za jedną z najżywoźniejszych zasad polityki amerykańskiej — a całe rozwinięcie jego programu „nowego porządku“ można istotnie pojmować jako uogólnienie doktryny Monroe'go w jej pozytywnem ujęciu.

Trzeba bowiem pamiętać, że dwie są dopełniające się tezy w doktrynie Monroe'go: pierwsza, pozytywna, skierowana przeciw europejskiej interwencji na kontynentach amerykańskich — druga, negatywna, przeciw amerykańskiej interwencji w Europie.

Tę drugą tezę łączą zazwyczaj z znaną wskazówką w poźniejszej przemowie w Waszyngtonie: „Unikajcie wikłających w zamieszki sojuszów“ — ale orędzie Monroe'go zawiera ją także. Te dwie zasady tworzyły od stu lat warownię amerykańskiej izolacji. Poczucie narodowego bezpieczeństwa opierało

się na naszej izolacji. Dlatego też każda myśl wprowadzenia zmiany w doktrynie Monroe'go, nawet dla rozszerzenia jej zastosowania, budziła w Amerykanach naturalny lęk i obawy.

Istotna pozytywna zasada doktryny Monroe'go, w myśl której Stany Zjednoczone brały na siebie opiekę nad słabszymi południowo- i środkowo-amerykańskimi republikami — zasada odpowiedzialności silnego za bezpieczeństwo i powodzenie słabego — potężnie się zakorzeniła w duszy Prezydenta. Była to w jego oczach podstawowa zasada moralna. Była to jedyna zasada, mogąca uchronić wielkie i potężne państwo od sidła i pokus imperjalizmu.

Dlatego też chciał rozszerzyć i silniej podkreślić tę zasadę. Był silnym poplecznikiem wszech-amerykańskiej unii, zaprojektowanej w r. 1916, celem wciągnięcia wszystkich państw zachodniej półkuli w bliższy stosunek. Proponował za podstawę tego związku wzajemną gwarancję „terytorjalnej integralności i politycznej niezawisłości“ (i te słowa stały się później sercem artykułu X). Dokoła tej gwarancji miała być zbudowana stała organizacja dla pokojowego prowadzenia wszelkich spraw północnej i południowej Ameryki.

Cóż mogło być naturalniejszym, jak rozciągnięcie tej centralnej idei doktryny Monroe'go, z wzajemnymi gwarancjami, do rozmiarów projektowanej ligi światowej? Prezydent powiedział do Senatu, 29 stycznia 1917 r.:

„Proponuję, niejako, ażeby narody jednomyślnie przyjęły doktrynę prezydenta Monroe'go, jako doktrynę świata.“

Oczywiście, nie było to niweczeniem doktryny Monroe'go, jak mu nieprzyjaciele zarzucali, lecz tylko szerszem jej rozwinięciem.

Gdyby zaś wszystkie narody wstąpiły do jednej ligi z wzajemnymi gwarancjami pokoju i opieki, negatywna teza doktryny Monroe'go, wzbraniająca naszej interwencji w sprawy europejskie, straciłaby tem samem znaczenie całkowicie. Wystąpilibyśmy z naszej izolacji i zajęlibyśmy nasze miejsce w sprawach światowych pod egidą naszej wielkiej międzynarodowej zasady, zawartej w doktrynie Monroe'go.

„Wciąż odczytujemy nieśmiertelną przestrożę Waszyngtona przeciwko „wikłającym sojuszom“ z pełnem zrozumieniem i od-

powiedniemi do tego zamiarami“ — powiedział w swojej odezwie z 27 września 1918. — „Ale tylko specjalne i ograniczone sojusze wciągają w zawikłania — a my..... mamy nadzieję, że powstanie ogólny związek, który uniknie zawikłań.“

W innym miejscu wspomina o Lidze, jako o „przymierzu, rozwiązującym zawikłania“.

Ligę Narodów przeto, w szerszym ich zastosowaniu, można uważać za interpretację raczej, niż za zaprzeczenie tych klasycznych zasad amerykańskich.

Prezydent Wilson nie widział zatem sprzeczności pomiędzy gwarancjami artykułu X a istotnem znaczeniem doktryny Monroe'go. Powiedział przyjaciółom na *George Washingtonie*, że specjalna wzmianka o doktrynie Monroe'go byłaby tylko „prostem powtarzaniem“.

Pomimo to, choć dobrze zrozumiał, podobnie jak ex-prezydent Taft, że w pakcie niema niczego, co by usprawiedliwiała amerykańskie obawy, i że rewizja paktu w celu zrobienia specjalnej wzmianki o doktrynie Monroe'go pociągnie za sobą wielkie trudności i osłabienie amerykańskiej pozycji w Paryżu (co się też i stało), widział się zniewolonym polityczną koniecznością do obrania tej drogi. Naszkicował więc trzy proponowane poprawki (około 22 marca), odnośne do trzech głównych punktów zakwestjonowanych: 1) doktryna Monroe'go, 2) wystąpienie z Ligi, 3) domowe sprawy.

Pierwsza, był to dodatek do artykułu X, poddany przez Tafta i uzupełniony przez Wilsona i brzmiał:

„Nie należy interpretować tego punktu, iż cokolwiek w tym pakcie narusza prawo, albo odmawia prawa któremukolwiek państwu albo państwom Ameryki bronić integralności amerykańskiego terytorjum i niezawisłości amerykańskiego rządu, którego terytorjum byłoby zagrożone, bez względu na to, czy należy, czy nie do Ligi, albo w interesie pokoju Ameryki sprzeciwiać się lub zapobiegać przeniesieniu amerykańskiego terytorjum lub suwerenności na jakiekolwiek inne mocarstwo poza zachodnią półkulą.

Druga poprawka — do artykułu XV — wyjmująca kwestję domowe z pod jurysdykcji Ligi — wzięta jest w całości z kablogramu Tafta.

Trzecia poprawka, poddana przez Tafta i przez Lowella z innemi terminami — oznaczała okres dziesięcioletni na wystąpienie Ameryki z Ligi, z terminem jednego roku na wypowiedzenie.

Ten szkic poprawek został za pośrednictwem pułkownika House'a przedłożony Brytyjczykom do ocenienia, zanim go przedłożył w Komisji. Brytyjczycy zgodzili się chętnie na ostatnie dwie propozycje, ale sprzeciwili się poprawce pierwszej, zawierającej doktrynę Monroe'go. Zrobili nawet kontrpropozycję, wymieniając doktrynę po nazwisku, ale bez jej definicji i mieszcząc ją w grupie innych „zobowiązań i porozumień“ jako to: „traktaty arbitrażowe“.

Druga i trzecia amerykańska poprawka, zaproponowana przez Prezydenta, jakoteż czwarta, z amerykańskich źródeł płynąca, o dobrowolnem przyjęciu lub odrzuceniu przez jakiś naród kolonialnego mandatu, zostały bez dłuższych dyskusyj przyjęte. Główny atak skierował się na poprawkę, mówiącą o doktrynie Monroe'go, którą to poprawkę wniósł Prezydent dnia 10 kwietnia i nad którą dyskusje zajęły większą część czasu ostatnich dwóch posiedzeń — najdłuższych posiedzeń ze wszystkich konferencyj Komisji Ligi Narodów.

Prezydent miał wielką mowę, w której, biorąc za temat doktrynę Monroe'go, rozwijał swój pogląd na nowy porządek, na potrzebę nowej postawy duchowej i na rolę, jaką musi odegrać Ameryka w przyszłych stosunkach światowych. „Nietyle znaczy, powiedział, litera tego dokumentu, który teraz powstaje, ile duch dobrej woli i współpracy, z jakim wielkie narody do tych nowych stosunków przystępują. Muszą one zadowolnić ludy świata, lud Ameryki i lud Francji, a przyjąwszy to oto narzędzie, które obecnie mają w ręku, zabrać się do układów światowych na tej nowej podstawie sprawiedliwości i trwałego pokoju.“

Tu jednak Prezydent znowu natrafił na ciężką przeszkodę — na strach Francuzów, na francuskie żądania zabezpieczenia. Cała walka rozpoczęła się na nowo. Francja przyjęła pierwotnie gwarancję, zawartą w artykule X, ale niezbyt chętnie, uważając ją za zbyt słabą; uważała teraz, że poprawki Prezydenta osłabiają ją jeszcze bardziej, czynią ją mniej stanowczą i mniej wyraźną — i obaj francuscy delegaci, Bourgeois i Larnaude, roz-

poczęli uparty atak. Wszyscy jasno uznawali, że ten spór o gwarancje był istotnie ważny. Artykuł X był naprawdę, jak się później Prezydent wyraził, „sercem paktu“. Lord Robert Cecil powiedział Komisji, że obawę delegatów francuskich powodował fakt, że poprawka została wprowadzona jako dodatek do artykułu X, „który miał największe znaczenie dla Francji.“

„Boją się,“ powiedział, „że poprawka mogłaby ograniczyć opiekę, którą im daje artykuł X“.¹⁾

Prezydent dowodził, że przyjęcie poprawki stwierdza tylko wyraźnie w pakcie to, „co się już rozumiało.“ Lord Robert Cecil także poparł go teraz:

„Poprawka została wprowadzona dla uspokojenia wątpliwości i załagodzenia nieporozumień (w Ameryce). Istocie doktryny ani to nie dodaje, ani nie ujmuje ważności... Niema niczego w doktrynie Monroe’go, coby kolidowało z paktem ani też w pakcie, coby przeszkadzało międzynarodowym porozumieniom, takim, jak doktryna Monroe’go.“²⁾

Jednakże sama wzmianka o doktrynie Monroe’go wywoływała najrozmaitszego rodzaju kwestje i wątpliwości. Francuzi uważali, że „jeżeli nie jest niezgodną z warunkami paktu, w takim razie niepotrzebnem jest powoływanie się na nią.“ Zaraz też poprosili o „wyraźną definicję doktryny Monroe’go... Czy poprawka prezydenta Wilsona uświęca czy zmienia tę politykę?“

Odrazu obie tezy doktryny Monroe’go przyszły pod dyskusję. Jaki skutek miałyby poprawka, podkreślając pozytywną tezę doktryny Monroe’go: że nie wolno europejskim rządóm mieszać się do spraw Ameryki? Ta strona sprawy uderzyła odrazu pana Reisa, delegata Brazylii. Z drugiej strony, jaki skutek miałyby ona, podkreślając negatywną tezę doktryny: że Ameryka nie może się wikłać w europejskie sprawy? To najmocniej obchodziło Francuzów, gdyż pragnęli, by Ameryka bez wątpliwości i bez kwestji zobowiązana była paktem do przyścia im na pomoc w razie zaatakowania.

¹⁾ Protokoły. Komisja Ligi Narodów. p. 95.

²⁾ Ibidem, p. 94.

Chociaż Prezydent uważał, że pakt przewyższał doktrynę Monroe'go, rozszerzając jej zastosowanie, musiał odpierać te szybko gromadzące się wątpliwości i pytania.

Rozważmy najpierw pozytywną tezę tej doktryny, którą Wilson objaśnił wyraźnem przedstawieniem, jak pakt pojmuje:

Mr. Reis zapytał, czy doktryna Monroe'go powstrzyma działanie Ligi w sprawach Ameryki.

Prezydent Wilson odpowiadał przecząco. Pakt postanawiał, że członkowie Ligi mają się wzajemnie bronić w sprawach swej politycznej i terytorjalnej integralności. Pakt był przeto oddaniem najwyższego hołdu doktrynie Monroe'go. Przyjmował zasadę doktryny Monroe'go, jako doktrynę światową.... Jego koledzy w Ameryce zapytywali go, czy pakt ma zniweczyć doktrynę Monroe'go. Odpowiedział im, że pakt jest tylko potwierdzeniem i rozszerzeniem doktryny.¹⁾

Prezydent Wilson zgodził się także z oświadczeniem Cecila, dnia 11 kwietnia.

Lord Robert Cecil uważał, że doktryna Monroe'go bynajmniej nie przeszkodzi temu, by wojska państw europejskich mogły pójść do Ameryki dla obrony praw uciśnionych. Jedynym celem doktryny Monroe'go było zapobiec, ażeby któreś z mocarstw europejskich nie zdobyło wpływu, terytorjalnego albo politycznego zwierzchnictwa na kontynencie amerykańskim.

Prezydent, zajmując takie stanowisko, bez wątpienia uważał, że pakt najzupełniej ochroni prawdziwy cel doktryny Monroe'go, nadając mu tylko jeszcze szerszą i mocniejszą sankcję; zachodziła tu tylko zmiana metody, a nie zmiana zasady. Jednakże sama wzmianka o doktrynie Monroe'go, wyszczególnionej w proponowanej poprawce, budziła kwestje i wątpliwości, jak oto nasunięta przez pana Reisa; zaciemniała i kryła mgłą rzeczywiste stanowisko Ameryki na wypadek, gdyby problem interwencji Ligi w sprawy amerykańskie miał w przyszłości powstać.

Jednakże Europejczycy, a zwłaszcza Francuzi, nie interesowali się pozytywną tezą doktryny. Ich obchodziła, i obchodziła głęboko, druga jej teza.

¹⁾ Protokoły. Komisja Ligi Narodów, p. 94.

„P. Larnaude zauważył, że byłoby to istotnie bardzo niefortunne, gdyby doktrynę Monroe'go wytłumaczono w ten sposób, że Stanom Zjednoczonym nie wolno brać udziału w przeprowadzaniu spraw europejskich, postanowionem przez Ligę.....

Prezydent Wilson znowu zapewnił pana Larnaude, że, jeżeli Stany Zjednoczone podpiszą ten dokument, będą uroczyście zobowiązane dać pomoc w sprawach europejskich, gdyby terytorjalnej integralności którego z państw europejskich groziła napaść z zewnątrz.“¹⁾

To nie znaczyło, oczywiście, żebyśmy musieli dawać pomoc bez głosowania w Kongresie w każdym wypadku.

Larnaude nie chciał dawać za wygraną. Domagał się, by Stany Zjednoczone były „prawnie związane“ bez możliwości nieporozumienia.

Cecil starał się uspokoić obawy Francuzów, „że poprawka może ograniczyć opiekę, którą dawał artykuł X“, umieszczając tę poprawkę pod artykułem XX, traktującym o traktatach i zobowiązaniach ogólnie. (Ostatecznie zrobiono z tego osobny artykuł — XXI).

Wtedy Larnaude zaczął nalegać na definicję, któraby wyraźnie mówiła, że nie można interpretować poprawki w formie nie-interwencji. „Pragnął mieć zobowiązanie, nałożone na Amerykę, brania udziału w europejskich sprawach.“

Gdy Wilson chciał go zawstydzić, zapytując, czy wątpi o tem, że Ameryka byłaby gotową przyjść z pomocą, gdyby coś zagrażało wolności Europy, dał odpowiedź, która błyskawicznie odkryła, co leży w głębi poza żądaniami Francuzów — świadomość przyszłej ekonomicznej walki narodów i pragnienie zapewnienia bezpieczeństwa Francji i na tem polu także — kwestja bardzo niemiła i bardzo drażliwa.

„Przyszłe wojny“ (powiedział Larnaude) mogą nie być... wojnami o wolność. Mogą pochodzić z źródeł ekonomicznych. Stąd pytanie, czy Stany Zjednoczone przysłyby na pomoc

¹⁾ Protokoły. Komisja Ligi Narodów, p. 95.

Francji, gdyby była zaangażowaną w walkę z krajem, któryby mógł być równie liberalnym, jak ona sama.“¹⁾)

Wilson nie pytał Larnaude'a o wytłumaczenie tych słów. Zapytał, dlaczego Francja tak niedowierza Stanom Zjednoczonym i „czy pragnie powstrzymać je od podpisania paktu?“

Tem pytaniem zakończył się dzień 10 kwietnia. Ale Francuzi nigdy nie dawali za wygraną; to też nazajutrz — a było to ostatnie posiedzenie Komisji Ligi Narodów — Larnaude znowu powrócił z poprawką do poprzedniej poprawki, określając „porozumienia“ klauzulą: „o ile one w żaden sposób nie powstrzymują państw podpisujących od spełnienia zobowiązań, tym paktem objętych.“

Prezydent Wilson starał się znowu uspokoić Francuzów; zauważył, że „niema w Ameryce obawy, by doktryna Monroe'go była przeciwną zobowiązaniom paktu. Była jednakże obawa, by pakt do pewnego stopnia nie osłabiał doktryny Monroe'go. Gdyby było coś w doktrynie niezgodnego z paktem, pakt miałby pierwszeństwo przed doktryną Monroe'go, nie tylko przez to, że był od niej późniejszy, ale też dlatego, że stanowił kompleks określonych międzynarodowych zobowiązań.“

Dyskusja na tym punkcie omal że nie doprowadziła do otwartego zerwania. Francuzi upierali się przy swoim żądaniu, choć już było po północy. Uważali, wbrew wszelkim zapewnieniom, że amerykańska poprawka osłabia gwarancje artykułu X. Jednakże Wilson doszedł tymczasem do osobistego porozumienia z Clemenceau w ogólnej kwestji żądań Francuzów, przyczem poczynił Francji o tyle wystarczające ustępstwa w innych sprawach, że Clemenceau zgodził się na pakt taki, jaki chcieli mieć Amerykanie. Wilson czuł się w pozycji o tyle bezpiecznej, że nakoniec zamknął debaty krótkim oświadczeniem, że francuska poprawka nie zostaje przyjętą.

Amerykańskie poprawki zostały zatem przyjęte, jednakże sytuacja, wobec której stanął teraz Prezydent, stała się o wiele trudniejszą. Francuzi, mocno niezadowoleni z paktu, zaczęli teraz, więcej niż kiedykolwiek, szukać gwarancji bezpieczeń-

¹⁾ Protokóły. Komisja Ligi Narodów, p. 96.

stwa poza Ligą. Z drugiej strony, poprawki, które Prezydent wywalczył w nadziei uspokojenia amerykańskiej opozycji, chybiły wkońcu i tego celu. Była to rzeczywiście sytuacja bez wyjścia; o ile zadowalał amerykańską opozycję, przerażał Francję; o ileby zadowalał Francję, wyzywał amerykańską opozycję.

Gdyby Wilson był wytrwał do końca przy swoim pierwotnem pojęciu paktu — mianowicie, że negatywna teza doktryny Monroe'go jest przestarzałą, a pozytywna rozplywa się w szerszym i silniejszym projekcie światowej gwarancji — nie mógł być upaść w Ameryce gorzej, niż upadł — ale byłby przynajmniej upadł na wyraźniejszym punkcie spornym — na punkcie, o który, o ile to Ameryki dotyczy, walka nowego porządku świata musi być ostatecznie stoczona.

Oprócz zarzutów przeciw obu tezom samej doktryny Monroe'go, był jeszcze trzeci zarzut przeciw włączeniu jej w całą grupę „porozumień, co do sfer wpływów“ (*regional understandings*), których ważność została uznana.

Wellington Koo, delegat chiński, szybko spostrzegł, co to słowo „porozumienia“ może oznaczać w zastosowaniu do interesów Chin. Lękał się, że Japończycy mogliby wysunąć rodzaj doktryny Monroe'go w odniesieniu do kontynentu azjatyckiego. „Wydawało mu się to zbyt szerokiem pojęciem. Pokrywałoby ono wszelakiego rodzaju zamiary, dobre, złe i obojętne.“¹⁾ Chciał, żeby doktryna poprostu została uznana, jako taka, ale zarzutów jego, chociaż ponawianych, nie uwzględniono. Drugiego dnia tej debaty zrobił jednak sprytnie zastrzeżenie, które częściowo przynajmniej prowadziło do jego celu, gdyż zapewnił wsuniecie słów „albo porozumień“ w odpowiednie zdanie artykułu XX, postanawiające zniesienie wszelkich zobowiązań, niezgodnych z Ligą.

Ale co wobec tego z doktryną Monroe'go? No tak, ostatecznie nie jest ona „porozumieniem“, ale deklaracją polityczną — a od nas to tylko zależy, czy się jej w życiu trzymamy. Jest albo nie jest zgodną z Ligą, zależnie tylko od naszej interpretacji. Jednem słowem, prawdziwa przyszłość walki o nowy porządek świata

¹⁾ Protokóły. Komisja Ligi Narodów, p. 94.

leży w duszy Ameryki — w tem, jak Ameryka postanowi: czem mają być jej własne prawa, obowiązki i odpowiedzialności, jako najpotężniejszego światowego mocarstwa. Czy ciasna i egoistyczna amerykańska doktryna, gwarantująca Ameryce izolację i bezpieczeństwo, ma być utrzymaną nadal, jako naczelną zasada? Czy też przyjmie Ameryka szerszy porządek świata taki, jakiego żądał Wilson, w którym, jeśli się na Amerykę nakłada nowe odpowiedzialności, spełnia ona również nową służbę, podejmując nowe kierownictwo i przez to zyskuje większe prawa, niż te, które kiedykolwiek posiadała? Choć obraz, kreślony przez Wilsona w Paryżu — obraz wielkiego państwa na usługach świata — zbrukany został w błocie i w gorączce konfliktów w Paryżu, zginać on jednak nie może, a drzwi dla jego urzeczywistnienia — mimo wszelkich kompromisów, jakie Wilson musiał przyjąć — są jednak otwarte; a otworzył je w istocie ostatecznie Wilson.

Na plenarnej sesji 28 kwietnia ostateczny pakt został formalnie i jednogłośnie przyjęty i wtedy stał się „integralną częścią ogólnego traktatu pokoju“, tak właśnie, jak Prezydent zamierzył.



C Z Ę Ś Ć IV.

WALKA O OGRANICZENIE ZBROJEŃ.

ROZDZIAŁ XIX.

AMERYKAŃSKI PROGRAM OGRANICZENIA ZBROJEŃ. REZOLUCJE LLOYD GEORGE'A. — WILSONA ŻĄDANIE OGÓLNEGO ROZBROJENIA, NIE TYLKO ROZBROJENIA NIEMIEC.

Pełne wyjawienie tego, co mówiono i co czyniono w Paryżu, zaczerpnięte z prywatnych dokumentów i protokółów tajnych posiedzeń, dostarczy niezmiernie cennej podstawy doświadczenia dla obecnych i przyszłych dyskusyj nad problemami rozbrojenia. Francja obstaje przy tem samem, przy czem obstawała w Paryżu: albowiem jest Francją — i stanowisko swoje z nieubłaganej konieczności opiera na swoich narodowych interesach i obawach. Podobnie i Brytyjskie Imperjum, i Japonja, i Włochy. Również i Ameryka. Podobnie rozumują też wszyscy przywódcy, czy to ci sami, którzy byli w Paryżu, czy inni, którzy przedstawiać będą narodowe interesy i dążenia. Wszystkie istotne problemy, związane z militarną potęgą i militarnem zbrojeniem — przymusowa służba wojskowa, liczebność armji i marynarki, zasady ograniczenia, problemy komunikacji i blokady, używanie nowych narzędzi wojennych, jako to aeroplanów, telegrafu bez drutu, trujących gazów, łodzi podwodnych — wszystko to omawiane było w Paryżu. Wiemy dokładnie nietylko, co każdy z przywódców pięciu wielkich mocarstw powiedział, ale co, pod naciskiem, uczynił, — a to jest ważniejsze. Opowiadanie odsłoni istniejące trudności, niebezpieczeństwa, możliwości i niemożliwości rozwiązania tego problemu.

Jeżeli wielka wojna dała nam obraz zderzenia największych materialnych sił tego wieku, następująca po niej konferencja

pokojowa ukazała nam poważne starcie największych tego wieku idei.

Żadna zaś z idei, wysuwanych w Paryżu na linię bojową, nie musiała ciężiej walczyć, nie musiała tyłu ostrych ataków odeprzeć, tyłu zawikłań przezwyciężyć, nie miała ponieść tyłu strat, a jednak jakoś utrzymać się na pozycji — co właśnie idea powszechnej redukcji zbrojeń.

Była to jedna z tych idei czy zasad, które Amerykanie przynieśli ze sobą do Paryża. Wyraźnie przedstawił ją prezydent Wilson, jako jedną z głównych podstaw mającego nastąpić pokoju. Był to czwarty punkt z czternastu i przy zawieszeniu broni został „przyjęty w zasadzie“, jak mówią dyplomaci, przez wszystkie wojujące narody — zarówno przyjacielskie, jak nieprzyjacielskie. Zdawało się wtedy, że tylko naprzód iść trzeba i zajmować nową pozycję. Nikt nie zdawał sobie sprawy, na jak zdradzieckim gruncie przyjdzie jeszcze toczyć walkę.

Sama w sobie myśl powstrzymania ludzi od bicia się przez zabranie im narzędzi wojennych, jest tak starą, że sięga chyba epoki kamiennej. Była ona marzeniem wielu proroków — Izajasz nakazywał przekuć miecze na pługi — i programem wielu mężów stanu. Przed wielką wojną angielscy przywódcy szukali porozumienia z Niemcami co do „wakacyj w zbrojeniach morskich“. Był to jeden z ideałów haskiej konferencji pokojowej, który się rozwiął wśród pobożnych rezolucyj.

Gdy prezydent Wilson zaczął myśleć o pokoju jako sprawie, żywo dotyczącej Ameryki, pojął to jasno, że ograniczenie zbrojeń musi być jednym z filarów, na których musi spocząć sprawiedliwy układ. Przystąpiliśmy do wojny dopiero w kwietniu 1917, ale na trzy miesiące pierwej Prezydent w przemowie do Senatu 22 stycznia 1917 przedstawił tę ideę jako „jedną z podstawowych zasad trwałego pokoju“. Oto jego słowa:

„Kwestja ograniczenia zbrojeń na morzu otwiera szerszą i może trudniejszą kwestję ograniczeń armij i wszystkich programów militarnych przygotowań... Nie może istnieć poczucie bezpieczeństwa i równości między narodami, jeżeli wielkie przeważające zbrojenia będą tu i owdzie nadal trwały i nadal się je będzie podtrzymywać. Mężowie stanu świata muszą

ulożyć plan pokoju, a narody muszą do tego dostosować swoją politykę tak, jak ułożyli plan wojny i przygotowali się do bezlitosnych podbojów i rywalizacji. Kwestja zbrojeń, czy to na lądzie, czy na morzu, jest jedną z najbezpośredniej i najintensywniej życiowych kwestyj, związanych z przyszłemi losami narodów i ludzkości“.

W rok później, w styczniu 1918, gdy po długiem myśleniu i dyskutowaniu doszedł ostatecznie do nakreślenia całego swego programu przyszłych układów, postawił zasadę, streszczoną do samych istotnych momentów w punkcie czwartym z czternastu:

„Wystarczające gwarancje, dane i przyjęte, że uzbrojenie narodów zostanie zredukowane do najniższej miary, potrzebnej dla domowego bezpieczeństwa“.

To była oto deska w platformie, na której się oparł cały spór w Paryżu. To też ważnem jest dobrze zrozumieć, co to znaczy.

Wielu z obrońców rozbrojenia w przeszłości starannie unikało prób określania normy uzbrojenia dla świata; zadowalali się propozycjami skasowania pewnej liczby okrętów wojennych i zakazania pewnych nowych broni i środków. Dla tęgich łuczników i rycerzy szabli z przed kilku stuleci proch strzelniczy był pogwałceniem praw wojennych. Lecz Wilson w punkcie czwartym śmiało ujmuje dwa podstawowe problemy zbrojenia:

Najpierw, co będzie prawdziwą funkcją i normą narodowego uzbrojenia? Powtóre, na czem się ma opierać pokój i bezpieczeństwo narodów w razie ustania „wielkich zbrojeń“?

Dwie zatem główne idee wyraża punkt czwarty:

1) Zbrojenia zostaną „zredukowane do najniższej miary, potrzebnej dla domowego bezpieczeństwa“. Domowe bezpieczeństwo miało być normą, a „domowe“ był to najpierwszy wyraz, na który rzucili się krytycy w Paryżu, rozumiejąc, że to oznacza redukcję armji i marynarki w przyszłości do stanowiska prostej narodowej lub międzynarodowej policji. Przejęło ich to dreszczem, gdyż wydało się ciosem, zadanyim ich bezpieczeństwu; ale też w istocie, bez drugiej zasady, w punkcie czwartym postawionej, byłoby to chimera. Tą zasadą zaś było:

2) Wystarczające gwarancje, dane i przyjęte, że ta miara utrzymana będzie w całym świecie. Jednem słowem, musi powstać nowa i wystarczająca sama w sobie kooperacja między narodami, tak silna, by mogła zapobiec potrzebie zbrojeń dla innych celów, poza zapewnieniem domowego i międzynarodowego bezpieczeństwa. Cała idea Ligi Narodów z wzajemnymi gwarancjami jest w tym frazesie zawartą. Jeśli bowiem będzie istnieć Liga Narodów dość silna, by zagwarantować międzynarodowy pokój, czyż potrzeba narodom zbrojeń na inne cele, jak na utrzymanie bezpieczeństwa wewnątrz kraju?

Prezydent Wilson zaczerpnął myśl punktu czwartego, tak jak większość swoich pomysłów, z zasad i z praktyki Ameryki. Tu przecież było czterdzieści ośm państw (stanów) w jednej Unji. Żaden stan nie potrzebował utrzymywać wojska, tylko milicję dla utrzymywania wewnętrznego porządku, gdyż istniała unja ich wszystkich, gwarantująca bezpieczeństwo każdego. Prezydent stosował amerykańską ideę do świata.

Jak to opisaliśmy w rozdziale XIII, idea Prezydenta ograniczenia zbrojeń była od samego początku zawarta w jego szkicach paktu Ligi Narodów. Wilson przejął i opracował artykuł, naszkicowany przez House'a, zmieniając wyraz „bezpieczeństwo“ zpowrotem na „domowe bezpieczeństwo“, jak w punkcie czwartym, i przewidując użycie siły zbrojnej „dla wyegzekwowania wspólną akcją międzynarodowych zobowiązań“. Rozszerzył ten artykuł jeszcze bardziej klauzulami, odnośniami do rekrutacji i skali wyekwipowania, co przejął od Smutsa. Tekst, który ostatecznie wypłynął jako artykuł IV tego szkicu, a który Prezydent wydrukował i rozdał na początku stycznia, brzmiał następująco:

„Kontraktujące mocarstwa uznają zasadę, że ustanowienie i utrzymanie pokoju będzie wymagało redukcji narodowego uzbrojenia do najniższego punktu zgodnego z bezpieczeństwem domowem i wyegzekwowaniem wspólną akcją międzynarodowych zobowiązań, a delegatom poleca się wygotowanie odrazu planów, jak taka redukcja ma być doprowadzoną do skutku. Plan, w ten sposób wykonany, będzie obowiązującym, ale tylko wtedy, gdy jednomyślnie przyjmą go rządy, podpisujące ten pakt.

Jako podstawę do takiej redukcji zbrojeń, wszystkie mocarstwa, podpisujące traktat pokoju, którego ten pakt stanowi część, zgadzają się na zniesienie poboru rekruta i wszystkich innych form przymusowej służby wojskowej, jak również zgadzają się na to, że przyszłe ich wojska, obronne do międzynarodowej akcji przeznaczone, składać się będą z milicji ochotniczej, której liczebność i metody ćwiczenia będą oznaczone, po zbadaniu przez ekspertów, osobnymi umowami ze względu na redukcję zbrojeń, o której mowa w poprzednim paragrafie.

Zespół delegatów oznaczy też i podda pod rozagę odnośnych rządów, jakie wojskowe wyekwipowanie i uzbrojenie będzie sprawiedliwem i rozumnem w stosunku do skali wojska wedle programu rozbrojenia; tych zaś granic, skoro zostaną przyjęte, nie będzie wolno przekraczać bez pozwolenia zespołu delegatów.

Kontraktujące mocarstwa zgadzają się dalej na to, że amunicja i inne materiały wojenne nie będą wyrabiane w prywatnych przedsiębiorstwach albo dla prywatnej korzyści i że będzie zupełna i otwarta jawność w sprawach narodowego zbrojenia i militarnych czy morskich programów“.

Ponieważ taki był konkretny amerykański program ograniczenia zbrojeń, przedłożony w Paryżu, i ponieważ dyskusje skupiały się dokoła niego podczas długich sesyj i Rady Dziesięciu i Czterech i Komisji Ligi Narodów, ważnem przeto będzie wiedzieć, jakie konkretne idee były tu wysuwane. Było ich sześć:

1. Zbrojenia miały być stosowane tylko do dwóch celów: najpierw, do utrzymania „domowego bezpieczeństwa“ wewnątrz państwa, a powtórę, dla możliwości utrzymania międzynarodowego porządku siłą, gdyby który z członków rodziny narodów odmawiał poszanowania ogólnych praw i decyzyj.

2. Nic definitywnego nie dałoby się przeprowadzić natychmiast; możnaby ustanowić tylko zasady, które później opracowałyby inne ciało (organ Ligi), po układzie pokojowym.

3. Rozbrojenie musiałoby zawierać zupełne zniesienie przymusowej służby wojskowej (głęboko zakorzeniony wstręt anglosaski).

4. Przemysł wojenny jako przedsiębiorstwo prywatne lub dla prywatnej korzyści musi być zniesione.

5. Jawność wykluczałaby wszelkie możliwe odchylenia od normy uzbrojenia, na którąby się ostatecznie zgodzono.

6. Musi być jednomyślna zgoda „rządów, podpisujących ten pakt“. Jest to ciekawy fakt, o którym później jeszcze wspomnę, że „niepraktyczny ideał“ Prezydenta ograniczenia zbrojeń, tutaj przedstawiony, został prawie dosłownie przez komisję pokojową w Paryżu zastosowany do Niemiec. Ich uzbrojenie zostało ściśle zredukowane do normy „domowego bezpieczeństwa“, z towarzyszącym temu zapewnieniem, że, wedle traktatu, będą chronione „wystarczającymi gwarancjami“ od obcej napaści. Gdy jednakże sprzymierzone narody spróbowały zastosować te same zasady do samych siebie, zobaczmy, co się zdarzyło! Traktowały wroga swego, o ile chodziło o ciężar kosztownych zbrojeń, lepiej, niż traktowały same siebie.

Silnie popierał Prezydenta w jego propozycji wojskowy członek Amerykańskiej Komisji, generał Tasker H. Bliss. Jako członek Najwyższej Rady Wojennej przed zawieszeniem broni, domagał się rozbrojenia Niemiec do granicy „takich wojsk, jakich potrzeba do utrzymania porządku“, ale tę propozycję ostrej redukcji łączył — zupełnie podobnie, jak Prezydent — z ideą gwarancji zabezpieczenia przed napaścią z zewnątrz. Widział to jasno, że jedno bez drugiego nie da się na stałe osiągnąć. Podczas okresu przejściowego, póki w Europie jeszcze trwać będą zamieszki, proponował, „by mocarstwa zagwarantowały neutralność Niemiec tak, jak one gwarantowały neutralność Belgji“. Później, gdy już Niemcy wejdą do Ligi Narodów, zewnętrzne ich bezpieczeństwo, rzecz prosta, byłoby wzmocnione wspólną gwarancją wszystkich narodów.

Przypominam sobie pełną zdziwienia uwagę pewnego Francuza, któremu dziwnem się wydało, że taki dzielny żołnierz może być tak silnym obrońcą militarnego rozbrojenia. Faktem jednak było, że generał Bliss był przede wszystkim Amerykaninem, a potem dopiero żołnierzem. Był to jeden z najgodniejszych zaufania ludzi w Paryżu i Prezydent polegał bardzo na jego radzie, nie tylko w militarnych sprawach, ale i w innych. Na konferencjach bywał uosobieniem mrukliwego, milczącego,

szczerego żołnierza. Jest to mężczyzna silnie zbudowany, niewysoki, nieco pochylony w ramionach. Natura zamierzała obdarzyć go obfitem uwłosieniem, dała mu gęste brwi i bujny wąs, ale później rozmyśliła się i przyozdobiła go łysiną — niezmiernie błyszczącą łysiną, z wyjątkiem sterczącej frendzelki włosów na tyle głowy i po bokach. Głęboko osadzone jego oczy wydają się zrazu nieco senne, ale gdy się rozgrzeje, otwierają się szeroko i płoną uczuciem. Jest to człowiek niezmiernie nieśmiały, nienawidzący występów publicznych — pyta naiwnie, dlaczego idee same nie wystarczają, dlaczego trzeba do nich przyklejać imiona — jego imię przede wszystkim! Był on pilnym pracownikiem przez całe swoje życie. Gdy go pierwszy raz, przed latami jeszcze poznał w podróży do Panamy, zajęty był codziennem badaniem „stołów doświadczalnych“, odnoszących się do racjonowania armji; w Paryżu zaś żaden z członków delegacji nie spędzał więcej czasu nad studjowaniem fundamentalnych problemów, dokoła których toczyły się spory.

Nikt z tam obecnych nie wierzył silniej w radykalne rozbrojenie i potrzebę Ligi Narodów, jak ten stary żołnierz z czterema gwiazdkami na ramieniu. Jego stanowisko duchowe było tego rodzaju, że nowa organizacja narodów, chcących się rozbroić, wydawała mu się tak najzupełniej rozumną, potrzebną i praktyczną, jak niedoścignioną, niedorzeczną, nierealną wydawała się tym, którzy z więzów starych idei nie potrafili się wyzwolić. Ale w Ligę Narodów, z którychby każdy uzbrojony był od stóp do głów, w taką Ligę Narodów generał Bliss nie wierzył. W istocie, trudno żeby się ziściły nowe idee, „nowy porządek“, bez tej radykalnej zmiany stanowiska — a dziś to wydaje się takie dalekie. Tak to czuł generał Bliss i nieraz przepowiadał, że jeżeli problemu rozbrojenia nie podejmie się teraz, natychmiast i odważnie, wielka wojna może się okazać tylko czteroletnim początkiem nowej trzydziestoletniej wojny.

Przechodzimy teraz do rzeczywistego otwarcia konferencji pokojowej, gdzie zasady, proponowane przez Amerykę i przyjęte przy zawieszeniu broni za podstawę pokoju, miały być wystawione na próbę.

Pierwszą wzmiankę o tym przedmiocie uczyniono d. 21 stycznia, w dziesięć dni po pierwszym posiedzeniu konferencji,

a przy końcu dyskusji w Radzie Dziesięciu nad tem, co robić z Rosją; dyskusja przeskoczyła do propozycji Prezydenta, że należy przedsięwziąć natychmiastowe kroki dla zorganizowania Ligi Narodów. Wtedy to mr. Balfour powiedział, że sądzi, iż, jeżeli ma być utworzony komitet dla rozważania Ligi Narodów, inny komitet powinien odrazu rozważać problem militarnego rozbrojenia.

„Jeżeli Liga Narodów (powiedział) ma wejść praktycznie w życie — delegaci powinni zdecydować się coprędzej w kwestji rozbrojenia. Najważniejszą rzeczą jest dojść do zgody co do tego, jaką broń można Niemcom zostawić. Liga Narodów byłaby oczywiście tylko kłamliwym pozorem, gdyby nie było rozbrojenia.

Zaraz w tej najpierwszej wzmiance zaczyna się zaznaczać dwoistość natury problemu rozbrojenia, ciągnąca się przez całą konferencję. Dwie tutaj były kwestje: program ogólnego rozbrojenia wszystkich narodów, związany z Ligą Narodów, w którym Amerykanie głównie byli zainteresowani — i natychmiastowe rozbrojenie Niemiec, które sprzymierzonych głównie obchodziło.

Już gdzie indziej zwróciłem uwagę na nadzwyczajną sprawność, wyrobioną długą wprawą, urzędów spraw zagranicznych brytyjskiego i francuskiego. Ci ludzie zawsze mieli plan gotowy, a nawet jeśli podstawowa idea, jak w tym wypadku idea ograniczenia zbrojeń, pochodziła od Amerykanów, rezolucja, która ją przedkładała Radzie, bywała dziełem tych doświadczonych dyplomatów. Był to oczywiście szczególnie bardzo dla nich korzystny, jak o tem ci doświadczeni politycy dobrze wiedzieli — gdyż plan zawsze kształtuje poniekąd zapatrywania obecnych, a resztę konferujących stawia w roli krytyków. To też w dwa dni później, 21 stycznia, gdy p. Clemenceau podniósł znowu problem rozbrojenia, mr. Lloyd George już miał gotowy szkic rezolucyj, w których natychmiastowe rozbrojenie Niemiec postawił na pierwszym miejscu.

„Trzeba wyznaczyć komisję z dwóch przedstawicieli każdego z pięciu wielkich mocarstw i pięciu przedstawicieli, obranych przez inne państwa, reprezentowane na konferencji:

- 1) dla obmyślenia natychmiastowej i silnej redukcji siły zbrojnej nieprzyjaciela,
- 2) dla przygotowania planu, w związku z Ligą Narodów, stałej redukcji ciężaru militarnych, morskich i powietrznych sił zbrojnych i uzbrojeń.“

Przez cały czas trwania konferencji ile razy mr. Lloyd George wnosił jakąś rezolucję, zaraz też zrywał się i popierał ją gorącym przemówieniem. Tak też było i teraz. Zaznaczył, że szkic zawierał dwie odrębne propozycje, ale poza tem poświęcił całą uwagę pierwszej tylko — dotyczącej rozbrojenia Niemiec. Oto co powiedział, wedle tajnych protokółów:

„Decyzja na tym punkcie jest dla W. Brytanji sprawą bardzo poważnego znaczenia. Jeżeli wojska nieprzyjacielskie nie zostaną natychmiast zredukowane, rząd brytyjski będzie musiał utrzymać przymusową służbę wojskową. Nie zdaje sobie sprawy, jakby wypadł polityczny rezultat takiej decyzji... Chciałby przeto prosić, by pierwszą klauzulę szkicu odrazu wzięto pod rozwagę. Drugą można odłożyć na czas późniejszy“.

Była to znamienita mowa: niemniej była taką i mowa pana Clemenceau, wygłoszona zaraz po niej, z propozycją, by odrazu marszałka Focha zawezwać i przedyskutować metody rozbrojenia Niemiec. Tu wyłoniły się te nagłe i palące kwestje,wołające o załatwienie najżywotniejsze dla europejskich przywódców. Tu oto zjawiała się odrazu ta szybka propozycja, tak chętnie w początkach konferencji, zwłaszcza przez Francuzów czyniona, by wezwać generałów i robić pokój metodą militarną. Tu także zdradzała się troska kierowników politycznych o wpływ działań w Paryżu na politykę w kraju — naco Lloyd George był zawsze specjalnie wrażliwym. On zawsze myślał o tem, jak się tu wyraził — „jakiby mógł wypaść polityczny rezultat takiej decyzji“. Tak łatwo było zabierać się „odrazu“ do kwestji bezpośredniego interesu — tak łatwo odsuwać ogólne zasady „na czas późniejszy“. Nikogo o to nie można obwiniać; jest to nieuniknione; wypływało z sytuacji — ale trzeba to wyraźnie zaznaczyć, ażeby zrozumieć, co się działo w Paryżu. Charakteryzowało to nieledwie każdą dyskusję na konferencji i było w gruncie rzeczy powodem każdego przesilenia — to potężne ścieranie się ogólnych

zasad i programu trwałych postanowień, popieranych przez Amerykanów, z bezpośrednimi potrzebami, interesami i obawami innych sojusznicznych narodów. Ten sam rozłam wystąpi z pewnością w jakiegokolwiek przyszłej dyskusji nad ograniczeniem zbrojeń, i trzeba będzie wielkiej jasności widzenia oraz upartej odwagi, ażeby wpośród zamętu, zgiełku i kurzawy bliższych i drobniejszych interesów nie stracić z oczu obrazu ogólnego i trwałego dobra dla świata.

Prezydent Wilson rozumiał ten problem w Paryżu trafnie i przenikliwie. Rozumiał, że potrzeby i obawy sprzymierzonych, chociaż często przesadzone, miały realną podstawę. I rzeczywiście, sam silnie pragnął rozbrojenia Niemiec, by móc jaknajprędzej zwolnić wielką amerykańską armję, wciąż jeszcze we Francji stojącą. Ani na chwilę jednak nie tracił z oczu swego wielkiego planu, swojego marzenia o trwałym pokoju na podstawie sprawiedliwości i międzynarodowej współpracy. Im natarczywiej tamci domagali się rozważania bezpośrednich interesów, tem uporczywiej on żądał równoczesnego uznania zasad stałych.

Gdyby konferencja pokojowa, jak można to było wyraźnie spostrzec z dyskusji z d. 21 stycznia, miała nalegać na natychmiastowe rozbrojenie Niemiec, jak to przewidziano w klauzuli 1-szej rezolucji, wtedy zamierzał nalegać na równie ważną w traktacie klauzulę 2 — program ogólnego rozbrojenia, zawarty w pakcie Ligi. Dowodzenie swoje przeprowadził w kilka dni później, 29 stycznia, w odpowiedzi na oświadczenie pana Dmowskiego, głównego delegata Polski, przed Radą Dziesięciu. Pan Dmowski wystąpił z wymownem i długim przemówieniem przeciwko całej zasadzie rozbrojeń. Nietylko nie dopuszczał myśli o ograniczeniu sił zbrojnych Polski, ale dowodził, że Polska znajduje się w wielkiem niebezpieczeństwie przez położenie swoje między Niemcami a Rosją i że raczej potrzebuje więcej uzbrojenia, więcej wojska, niż mniej. W istocie, tego domagały się natarczywie mniejsze narody przez cały czas trwania konferencji. Na to Prezydent odpowiedział uwagą:

„Pan Dmowski powiedział, że Polska musi być barjerą pomiędzy Rosją a Niemcami. Czy to miało znaczyć barjerę, opartą na sile zbrojnej? Oczywiście nie, ponieważ Niemcy

będą rozbrojone, a skoro Niemcy będą rozbrojone, Polsce nie można pozwolić zbroić się, z wyjątkiem dla celów policyjnych. Celem przeprowadzenia takiego rozbrojenia potrzebna ku temu instancja (*instrumentality*) dla nadzoru musi być ustanowiona. W tem jest jądro sprawy. Dlatego prosiłby swoich kolegów o przyspieszenie projektu Ligi Narodów w definitywnej formie.

Prezydent przedstawiał w ten sposób logicznie swoje stanowisko, oparte na dwóch wzajemnie od siebie zależnych propozycjach — rozbrojenie do miary „domowego bezpieczeństwa“, albo, jak się tu wyraził „celów policyjnych“ i Liga Narodów dla zagwarantowania zewnętrznego bezpieczeństwa. Jeśli ma być jedno, musi być i drugie.

Odtąd widzimy, że problem ograniczenia zbrojeń przepływa przez Konferencję dwoma odrębnymi, choć często mieszającymi się strumieniami; jeden wywiera wpływ z konieczności i wywołuje zmiany. Bezpośredni problem rozbrojenia Niemiec, ułożenie do traktatu warunków militarnych na lądzie, morzu i w powietrzu, decyzje co do rozporządzenia niemiecką flotą wojenną i kablami — wszystko to przedstawiono i przewalczano najpierw w komisjach, wojskowej i morskiej, a później na Radzie Dziesięciu i na Radzie Czterech, podczas gdy nad szerszemi i ogólniejszemi problemami dyskutowano z niemniejszą energją w najważniejszej komisji konferencji, komisji, organizującej Ligę Narodów, której przewodniczącym był prezydent Wilson.

Dwa problemy powstały odrazu, równie ważne oba, czy to dzisiaj, czy w przyszłości, gdy kwestja ograniczenia zbrojeń przyjdzie pod obrady. Jeden — to zasadnicze pytanie, jaka ma być norma uzbrojeń. Czy ma nią być „bezpieczeństwo domowe“ (wewnętrzne), czy jaka inna norma; drugi — to kwestja metody, ale kwestja bardzo ważna — przymusowa służba wojskowa. W tej ostatniej kwestji stanęli łącznie obok siebie Amerykanie i Brytyjczycy ze swoim programem zupełnego zniesienia przymusowej służby — Francuzi zaś i Włosi bronili tej instytucji, przejętej od Niemców, jako mocnej, jak skała, podstawy kontynentalnego bezpieczeństwa i potęgi. Tu różnice zaznaczyły się ostro — tu rozpoczęła się bitwa.

ROZDZIAŁ XX.

UZBROJENIE NA LĄDZIE A OBAWY FRANCUZÓW. — WALKA POMIĘDZY AMERYKANAMI I FRANCUZAMI O OGRANICZENIE SIŁ ZBROJNYCH LĄDOWYCH. — PRZYMUSOWA SŁUŻBA I PRYWATNA FABRYKACJA MATERJAŁU WOJENNEGO.

Nie trudno to przyjąć ogólne zasady — cały świat składa nabożny hold frazesowi o „rozbrojeniach“, o „ograniczeniu zbrojeń“ — ale prawdziwe starcie rozpoczyna się przy konkretnem zastosowaniu tych zasad. Gdy pierwszy drukowany projekt paktu Wilsona został rozdany, zaczęły zaraz obiegać Paryż pogłoski o tem, co Amerykanie rzeczywiście rozumieli przez redukcję zbrojeń, wedle wyrażenia w czwartym punkcie z czternastu, „do najniższej skali, zgodnej z bezpieczeństwem domowem.“

Artykuł IV tajemniczego nowego paktu Prezydenta zawierał warunki programu, podcinające u samego korzenia kontynentalną potęgę i bezpieczeństwo. Między innemi, przymusowa służba wojskowa miała być zniesioną, nie tylko w Niemczech, ale wszędzie — „we wszystkich mocarstwach, podpisujących traktat pokoju“. Fabrykacja „amunicji i materiału wojennego przez prywatne przedsiębiorstwa albo dla prywatnej korzyści“ miała być zakazana. „Pełna i szczerza jawność co do wszelkich narodowych zbrojeń“ miała zachwiać węgielnym kamieniem tajności, na którym, wedle starego systemu, spoczywały zawsze przygotowania wojenne. Przedewszystkiem zaś, proponowano nową normę zbrojeń: „domowe bezpieczeństwo“. Zdawało się, że to Samson po raz pierwszy zatrząsł filarami świątyni!

Burza wybuchła odrazu. Prezydent odbywał prywatne konferencje — jedną z przerażonym premierem włoskim, Orlandem, inną, na której roztrząsano całą treść paktu, z lordem Robertem Cecilem i generałem Smutsem; niebawem też rozpoczęły się dyskusje i w Radzie Dziesięciu i w ważnej Komisji Ligi Narodów. Artykuł IV paktu bowiem, oparty o punkt czwarty (z 14 punktów), odkrywał, co było niewątpliwie fundamentalnym problemem konferencji pokojowej: problem bezpieczeństwa narodów, jakimi sposobami miało się je zapewnić.

Wielka wojna wstrząsnęła starym światem i zamieniła go w ruiny; stare przyzwyczajenia i stosunki pozrywały się — a każdy naród w poczuciu zagrożonego bytu chwycił za broń, chcąc się ratować. Wielki strach górował nad wszystkim. Narody powróciły do pierwotnego polegania na własnym mieczu tylko. Mieczem Francji była jej armja, a armja polegała na instytucji przymusowej służby wojskowej. Mieczem W. Brytanji była jej marynarka i jej potęga na morzu.

Dlatego to propozycja ograniczenia zbrojeń uderzała tak silnym ciosem w same korzenie europejskiego bezpieczeństwa. Gdy dotyczyła zbrojeń na lądzie, przejmowała dreszczem Francję i Włochy; gdy dotyczyła zbrojeń morskich, drżało Imperjum Brytyjskie; a zarazem każdy mniejszy naród w Europie, obawiając się sąsiadów, był w śmiertelnym strachu o swoje istnienie na myśl, że może mu być odjęta możność utrzymywania liczniejszych wojsk.

Byłoby to szaleństwem, i Prezydent to uznawał, zaproponować prawdziwe rozbrojenie, nie dając w to miejsce jakiejś nowej gwarancji bezpieczeństwa, któraby uspokoiła obawy Europy i powróciła ufność. Proponował tylko to, co wielu myślących ludzi proponowało przed nim, a co amerykańskie kolonje osiągnęły: gwarancję bezpieczeństwa, opartą na wspólnej ugodzie, popartą siłą w razie potrzeby, i w którąby narody mogły ufać; jednym słowem, silną, kooperatywną Ligę Narodów.

Prezydent jednakże, jak większość Amerykanów — gdyż Ameryka nigdy właściwie nie знаła uczucia strachu — nie oceniał w pełni, póki nie przybył do Europy, jak ogromnie przesadzonemi były obawy, jak kruchem bezpieczeństwo Europy; jak np.

każda dyskusja, w której Francja była interesowaną, powracała do kwestji bezpieczeństwa Francji.

Mówiono mu o tem na każdej konferencji, pełną tego była prasa, unosiło się to w powietrzu.

Pewnego razu, na posiedzeniu Rady:

P. Clemenceau powiedział, że Francja jest najbliższą sąsiadką Niemiec i może być zawsze tak, jak się stało w przeszłości, nagle zaatakowaną... Francja rozumie, że W. Brytanja ma odpowiedzialne stanowiska we wszystkich częściach świata i nie mogłaby skupić całej swojej siły na jednym miejscu. Ameryka jest daleko i nie mogłaby przyjść Francji odrazu z pomocą. Jeżeli ma się ustanawiać Ligę Narodów i pokój światowy, nie trzeba zaczynać od stawiania Francji w położeniu niebezpiecznem. Amerykę chroni cała szerokość oceanu, a Wielką Brytanję jej flota.¹⁾

Przy każdej sposobności mieli też Francuzi dotykalne dowody pod ręką na wykazanie, czem wojna jest dla Francji — mogli naocznie zademonstrować powody swojego strachu. Clemenceau stale wśród dyskusji wtrącał takie np. uwagi:

„Faktem jest, że przez cztery lata wojny prowincje Francji zostały spustoszone w najokropniejszy sposób... Chciałby powtórzyć, co już powiedział, że mianowicie wojna toczyła się w ten sposób, że ani amerykańskie, ani brytyjskie terytoria nie ucierpiały, podczas gdy terytorjum Francji zostało tak zdewastowane, że naprawa wydaje się prawie niemożliwą... Przemysł francuski był rozmyślnie i umiejętnie niszczony... Francja straciła 3 000 000 ludzi w zabitych i kalekach.“

Prezydent w mowach swoich z owego czasu wyraźnie okazywał, że coraz bardziej rozumie powagę zagadnienia.

Przypominam sobie dobrze, jak potężne wrażenie na tłumem audytorjum w francuskiej Izbie Deputowanych uczyniła przemowa Prezydenta w dniu 3 lutego, wkrótce po zwiedzeniu ruin Rheims. („Widziałem szlachetne miasto Rheims w ruinach i nie mogłem się oprzeć myśli: oto tutaj padł cios, gdyż władcy

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Dziesięciu, 30 stycznia.

świata nie wiedzieli zawczasu, jak mu trzeba zapobiec.“) W przemowie swojej powiedział o Francji:

„Francja była w bezpośrednim niebezpieczeństwie, musiała stale drżeć o siebie... Nie potrzebuję wam dowodzić, że na wschód od was, w Europie, przyszłość pełną jest zagadek. Poza Renem, w Niemczech, Polsce, Rosji, Azji są pytania, na które nie mamy odpowiedzi... Francja stoi wobec tych groźnych pytań bez odpowiedzi — groźnych, właśnie dlatego, że bez odpowiedzi — stoi i czeka na rozwiązanie spraw, które jej dotyczą wprost, zbliżka i stale, a jeśli będzie musiała stać sama, cóż uczyni?“

Tutaj Prezydent stawiał problem Francuzów tak wymownie, jak oni to sami czynili; ale jego propozycja nie odpowiadała ich pojmowaniu rzeczy. Francuzi widzieli jedyne zbawienie w militarnym uzbrojeniu, w zbrojnym narodzie lub w zbrojnym przymierzu — podczas gdy Prezydent widział bezpieczeństwo tylko w kooperacji narodów, „które w przyszłości uczyni niepotrzebnym utrzymywanie tych rujnujących zbrojeń, przez które ludy cierpią nieomal tyle w czasie pokoju, ile uciierałyby w wojnie“.

Francuzi pozycję swoją w Paryżu stawiali i bronili jej z uporem i zręcznością bez zarzutu. Niezależnie od tego, do jakiej partji przywódca jaki należał, czy był mężem stanu, żołnierzem, dyplomata, finansistą, był przede wszystkim Francuzem — 100-procentowym Francuzem — i ruszał prosto naprzód ku obronie bezpieczeństwa Francji. Foch miał militarny plan bezpieczeństwa, Bourgeois dyplomatyczny, Loucheur i Klotz plan ekonomiczny (ale koordynacja między nimi była doskonała), zaś Clemenceau był najwyższym strategiem tej całej kampanji. Jeżeli Francuzi nie wszystko osiągnęli, czego pragnęli w Paryżu, to, doprawdy, nie z braku rzetelnej inteligencji.

Francuzi mieli cały swój program opracowany i gotowy, jeszcze zanim się konferencja pokojowa zebrała. Oni najpierwsi złożyli swoje memoranda w ręce Prezydenta. Żaden naród im nie dorównywał — z wyjątkiem może Japończyków — w dyplomatycznym przygotowaniu i jednolitości zamierzeń. Brytyjczycy, zdawało się, że wcale nie są przygotowani; zawsze jakoby żyli z dnia na dzień (w dyplomatycznym rozumieniu),

a jednak nigdy nie przeoczyli żadnego punktu i nie stracili go, podczas gdy Włosi tak się różnili na swych wewnętrznych naradach, że nigdy w jasny ton nie uderzyli.

Pomiędzy papierami Prezydenta znajduje się szczegółowe memorandum marszałka Focha o militarnych poglądach na bezpieczeństwo Francji, datowane 10 stycznia (dwa dni przed pierwszym posiedzeniem konferencji pokojowej); również jest tam plan pana Bourgeois Ligi Narodów i niektóre wcześniejsze memoranda, dotyczące ekonomicznych planów ku zabezpieczeniu Francji.

Marszałek Foch pragnie utrzymać Ren, jako „wspólną barierę bezpieczeństwa, potrzebną lidze demokratycznych narodów“, i w celu osiągnięcia tego żąda, ażeby mocarstwa ententy... zorganizowały się odtąd na militarnej podstawie, by umożliwić w porę interwencję innych państw, będących obrońcami cywilizacji“. Jego liga byłaby, w istocie, dalszym ciągiem przymierza sprzymierzonych mocarstw, które wojnę wygrały, z silną zjednoczoną armją, trzymającą Ren.

Gdy Bourgeois, uczony, dyplomata, oddawna wybitny leader, niegdyś premyer francuski, przedstawił francuski plan ligi narodów (w Komisji Ligi Narodów, w dwa tygodnie później), okazało się, że plan ten harmonizował zupełnie z planem militarnym marszałka Focha. Dopełniał szczegółów organizacji poza linią obronną. Projektował międzynarodową armję i marynarkę ze stałym sztabem, któryby pilnował, ażeby ta armja utrzymywana była w należytych stanie i liczebności, i żeby przygotowywał plany do szybkiego i skutecznego jej użycia. Nie tylko nie znosił przymusowej służby wojskowej, ale przewidywał możliwość przyjęcia tej zasady przez cały świat — gdyż pozwalał międzynarodowemu ciału wezwać państwo — członka do przyjęcia przymusowej służby z polecenia generalnego sztabu. Kładł nacisk raczej na minimum niż na maximum granic uzbrojenia.

Dnia 7 lutego francuscy ekonomiści postawili trzecią nogę trójnoga, na którym bezpieczeństwo Francji miało spoczywać. A stało się to przez referat o rozbrojeniu Niemiec, wykonany w jednym z komitetów Najwyższej Rady Wojennej z panem Loucheur na czele. Pan Loucheur był jednym ze zdolniejszych finansowych kierowników francuskich i w gabinecie Clemenceau

pracował jako minister odbudowy. Referat ów wychodził z założenia, że współczesna wojna opiera się na ekonomicznej podstawie. Chcąc zatem uzyskać zupełne bezpieczeństwo, sprzymierzeni muszą Niemcom narzucić nie tylko militarne rozbrojenie, z kontrolą Renu jako granicy, z poparciem zbrojnej Ligi Narodów — ale ponadto muszą rozbroić i ograniczyć Niemcy ekonomicznie. Tutaj bowiem Francuzi uznawali swoją niższość. Referat Loucheura żądał, by militarne rozbrojenie dopełnić kontrolą fabryk amunicji i broni w Niemczech, ażeby zapobiec zbrojeniu się ich na nowo. Oficerowie ze strony sprzymierzonych mieli więc mieć nadzór nad przemysłem niemieckim, ażeby nie wyrabiano materiału wojennego. Jako stąd wynikającej propozycji, referat Loucheura domagał się „absolutnej kontroli zapomocą militarnej okupacji Essen i głównych zakładów Kruppa i większej części reńsko-westfalskiego zagłębia węglowego wraz z zależnym od niego metalurgicznym przemysłem“.

Prezydent Wilson w energicznych wyrazach potępił wnioski pana Loucheura, którym również sprzeciwił się generał Bliss, gdy je jeszcze przedtem przedstawiono na Najwyższej Radzie Wojennej. Oto jego uwagi:

„Prezydent Wilson uważał, że referat Loucheura, to program, płynący z paniki. Referat nie tylko zaleca wydanie wielkich dział, czego, jego zdaniem, nie należałoby czynić, ale nadto wchodzi w szczegóły aeronautyki i fabrycznej produkcji... Prezydent Wilson sądzi, że posłani tam oficerowie byliby narażeni na niebezpieczeństwo i trzeba by ich chyba popierać wojskami.“¹⁾

Chociaż program Loucheura zwalczała krytyka Amerykanów i Brytyjczyków, jednakże podstawowa myśl okaleczenia Niemiec na stałe w ekonomicznym rozumieniu, dla zagwarantowania bezpieczeństwa Francji, leżała głęboko na dnie walki o stałą kontrolę węglowego zagłębia Saary, o stałą kontrolę granicy Renu i o osłabienie Niemiec na Śląsku. Francuzi proponowali nawet wprost podczas miesięcznej nieobecności Prezydenta, żeby zaprowadzono ciągły nadzór, przez komisje, nad niemieckie-

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Dziesięciu, 7 lutego.

mi zbrojeniami i niemieckim przemysłem, o ile przemysł ten mógłby być obrócony ku produkcji materiału wojennego — co znaczyłoby w istocie stały nadzór oficerów francuskich, angielskich, amerykańskich i włoskich nad niemieckim przemysłem chemicznym, aeronautycznym i stalowym. Clemenceau 3 marca tak się odzywał:

„Nie zadowala go to, że Niemcom zapowie się, że mają ograniczyć swoje wojska, dopóki nie wypełnią warunków pokojowych, ale przyszłość pozostawi się na łaskę wypadków... Inne państwa mogą się zadowalać przejściowymi warunkami co do sił morskich. On sam nie ma ochoty podpisywać zaproszenia do Niemiec, skoro się przygotowują na nowy atak lądowy za trzy lata, za dziesięć albo nawet za czterdzieści lat. Nie zamierza podpisywać pokoju tego rodzaju.“¹⁾

W dwa dni po powrocie Prezydenta do Francji, gdy propozycje te przedłożono na Radzie, Prezydent zaatakował je energicznie i wymógł znaczne zmiany. Nazwał je „stałym ograniczeniem suwerenności Niemiec“, a tego przyjąć nie może, gdyż byłoby to „nieokreślone przedłużaniem“ militarnej kontroli nad Niemcami. Byłoby to także ciąglem wtrącaniem się, mieszaniem, wglądaniem w handlowe tajemnice, co z pewnością doprowadziłoby znowu do wojny.

„Gdyby armje sprzymierzonych“ — powiedział — „były utrzymywane stale dla kontroli wypełnienia warunków pokojowych, wtedy nie pokój byłby ustanowiony, lecz zbrojne panowanie sprzymierzonych. Jego rząd nigdyby się nie zgodził na takie zarządzenie, a on, gdyby wszedł w tego rodzaju porozumienie, przekroczyłby zakres władzy, jaką mu daje konstytucja Stanów Zjednoczonych.“

Ze swej strony proponował ograniczenie działalności komisji międzysojuszniczych do okresu, w czasie którego redukcja uzbrojenia Niemiec będzie przeprowadzoną — a we wszystkich ograniczających klauzulach zmienił wyraz „nigdy“ na „nie“.

Francuzi domagali się, ażeby wielka armja okupacyjna stacjonowaną była nad Renem, której koszt utrzymania ponosiły-

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Dziesięciu.

by Niemcy. Wiebokrotnie dowodzono, że to zredukowałoby odszkodowania. W jednym ze swych gwałtownych wybuchów Lloyd George powiedział, że „skoro niemiecka armja zostaje ograniczoną do 100 000 żołnierza, śmiesznem byłoby utrzymywać armję okupacyjną z 200 000 ludzi nad Renem... Kosztowałoby to 100 milionów funtów rocznie, a jeśli się to przeniesie na skarb niemiecki, na odszkodowanie nic nie pozostanie.“¹⁾

Istotnie, koszt tej armji okupacyjnej od zawieszenia broni był olbrzymi. Do kwietnia 1921, wedle cyfr, podanych urzędowo przez Komisję Odszkodowań, wyniósł on w markach złotych:

Francja	I 276 450 838
Stany Zjednoczone	I 167 327 830
W. Brytania	991 016 859
Belgia	194 706 228
Włochy	10 064 861

Francuzi jednakże stale woleli, by te ogromne wydatki szły na zabezpieczenie raczej, niż na odbudowę. Zresztą, co prawda, przez tę metodę, niechętnie i z przesadą opisaną przez Lloyd George'a, który się wyraził: „zakwaterować francuską armję w Niemczech i kazać koszt jej płacić Niemcom“ — przez tą metodę Francja dostaje zpowrotem część kosztów. Mimochodem można tu zrobić uwagę, że Niemcy są teraz obciążone podtrzymaniem militaryzmu we Francji, od którego same zostały uwolnione — chociaż bynajmniej nie z własnej woli.

W ten sposób nienasycone żądanie bezpieczeństwa działało na polu ekonomicznem i ekonomiści pracowali razem z wojskowymi i z dyplomatami, wedle francuskiego pojmowania bezpieczeństwa, chociaż równocześnie dążyli do niezgodnego z tem celu — reparacji.

Wszystkie te czynniki, decydujące o stanowisku Francji, trzeba zachować w pamięci, jeżeli się chce rozumieć walkę o ograniczenie zbrojeń.

Przechodzimy teraz do szczegółowych punktów tej walki; pierwszy z nich dotyczy ważnego problemu normy uzbrojenia

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Czterech, 2 czerwca.

w przyszłości. Jaką siłę zbroijną będzie miał każdy naród prawo utrzymywać?

Pierwotne pojęcie prezydenta Wilsona o normie rozbrojenia, takie, jakie przedstawił w punkcie czwartym, było: redukcja „do najniższej miary, koniecznej dla bezpieczeństwa domowego” — co też okaże się w przyszłości, gdy świat szczerze będzie przygotowany do spojrzenia w oczy tym problemom, jedyną bezpieczną normą, na której oprzeć będzie można gwarancję zrzeczenia narodów.

Gdy jednakże ta drażliwa propozycja została po raz pierwszy odczytaną w Komisji Ligi Narodów, 6 lutego, na słowo „domowy” rzucono się odrazu. Francja, Włochy i Japonja były przeciwne tej normie uzbrojenia lądowego, chociaż nawet równoważyła je gwarancja Ligi Narodów, a W. Brytania także prawdopodobnie nie była pewną, co to ma znaczyć w ewentualnem zastosowaniu do morskich uzbrojeń. Właściwy zarzut wyszedł na tem posiedzeniu od barona Makino, japońskiego delegata; podsunął on myśl, by zamienić wyraz „domowe” bezpieczeństwo na „narodowe bezpieczeństwo”, co zostało przyjętem i tak też brzmi w ostatecznym szkicu Traktatu.

„Narodowe bezpieczeństwo” zamiast wyrażenia „domowe bezpieczeństwo” stanowiło osłabienie pierwotnej myśli Prezydenta; jednakże w tym czasie, pełnym zamętu, zanim zorganizowano Ligę, narodowe bezpieczeństwo przedstawiało się jako nader trudny problem. Zmiana wyrażenia otworzyła wrota całemu szeregowi francuskich argumentów i domagań się o zabezpieczenie Francji, prowadziła też do beznadziejnych wysiłków ku oznaczeniu, jakiej siły zbrojnej narodowe bezpieczeństwo wymagać może — beznadziejnych, skoro każdy naród sam sobie był sędzią, czego mu do jego bezpieczeństwa potrzeba.

P. Bourgeois śpiesznie skorzystał ze zmiany wyrażenia, podkreślając, że nowa norma „narodowego bezpieczeństwa” nie tylko wymaga silnego narodowego uzbrojenia, ale Ligi Narodów z międzynarodową kontrolą i generalnym sztabem.

Jeden z najzaciętszych sporów z całej konferencji rozwinął się dokoła tej różnicy zdania między Amerykanami a Francuzami.

Francuzi wysuwali jeszcze jedną propozycję, mającą zapewnić im bezpieczeństwo — teorię specjalnego ryzyka — do-

wodząc, że niektóre narody (Francja szczególnie), ze względu na swoje geograficzne położenie, więcej są narażone na atak, niż inne, i że dlatego powinno się im pozwolić na wyższą normę uzbrojenia, niż innym, albo też osłonić je specjalnymi gwarancjami. Ta to teoria „specjalnego ryzyka“ później, w czasie Konferencji, doprowadziła do specjalnej anglo-amerykańskiej umowy co do przyścia na pomoc Francji w razie zaatakowania jej przez Niemcy. Zdaniem Prezydenta był to lepszy sposób czasowego uspokojenia obaw francuskich, niż przyjęcie którejś z tych różnych militarnych gwarancyj, której Francuzi uparcie się domagali.

Prezydent Wilson, popierany silnie przez lorda Roberta Cecila, sprzeciwił się francuskiej idei międzynarodowego uzbrojenia. Widział w tem, jak się wyraził, metodę „zastąpienia narodowego militarystu militarystem międzynarodowym“, cała zaś idea kontroli była dla niego wstrętną.

„Żaden naród (powiedział) nie zgodzi się na kontrolę. Co do nas, Amerykanów, my nie możemy zgodzić się na kontrolę ze względu na naszą konstytucję. Musimy zrobić wszystko, co tylko można, dla zapewnienia bezpieczeństwa świata... Ja wiem, ile Francja ucierpiała, i wiem, że pragnie ona otrzymać najlepsze możliwie gwarancje, zanim przystąpi do Ligi, i wszystko, co możemy uczynić w tym kierunku, uczynimy, jednakże nie możemy przyjąć propozycji, sprzecznych z naszą konstytucją... Jedyną drogą do dopięcia tego celu jest nasze zaufanie w dobrą wiarę narodów, które należą do Ligi. Musi być wśród nich serdeczne porozumienie i dobra wola.“

Ale straszny Bourgeois, chociaż przegłosowany w Komisji, nie dawał za wygraną w swem głównem żądaniu i wciąż wnosił swoją propozycję militarnej ligi w rozmaitych formach, to wprost, to pośrednio; a gdy mu się to nie udało, ostateczne przyjęcie przez Francuzów amerykańsko-brytyjskiej postaci paktu uwarunkowane zostało, po części, specjalnem zobowiązaniem Ameryki i W. Brytanji, że, dopóki „sama Liga nie da wystarczającej opieki“, przyjdą oba te państwa na pomoc Francji, w razie zaatakowania jej przez Niemcy.

Lecz chociaż aljanci odmawiali przyjęcia normy rozbrojenia, w myśl Prezydenta, o ile się to do nich samych odnosiło,

jeżeli okrawali, ile mogli, amerykański program, jednak, gdy stanęła kwestja rozbrojenia Niemiec, zastosowali jedno i drugie — i zasadę i program, prawie dosłownie — gdyż wydało im się to wszystko, w tym wypadku, bardzo rozsądnem. Dnia 12 lutego Prezydent w ten sposób przedstawił program rozbrojenia Niemiec:

„W sprawie rozbrojenia należy uwzględnić dwa pierwiastki — 1) zatrzymanie wystarczającej siły zbrojnej dla celów wewnętrznych, policyjnych i 2) udziału narodu w ogólnej sile zbrojnej Ligi Narodów. Narazie nie myślimy o tem, by Niemcy miały się przyczyniać do tej ostatniej siły zbrojnej... Mamy się tylko zastanowić nad ilością siły zbrojnej, potrzebnej Niemcom do utrzymania wewnętrznego porządku i do tłumienia bolszewizmu... Wogóle uważam, że dopóki się nie dowiemy, jakim rząd niemiecki będzie i jak się lud niemiecki zachowa, świat ma moralne prawo rozbroić Niemcy i dać im możność przyjęcia do zastanowienia.“¹⁾

Tak się więc stało, że idealna norma została zastosowaną do nieprzyjaciela, że służba wojskowa przymusowa została zniesioną, armja zredukowaną do siły zbrojnej policyjnej 100 000 ludzi, a marynarka do prostej normy obronnej. Ponadto, ustępując naleganiom Francji o międzynarodową kontrolę, co, jako ogólna propozycja, nie zyskało uznania — zbrojenia Niemiec podlegają badaniom każdego czasu w razie żądania przez większość głosów w Lidze Narodów, nawet już po dopuszczeniu Niemiec do niej.

Tyle o walce w kwestji normy rozbrojenia; przechodzimy teraz do równie zaciętego sporu o warunki w programie, z których najpierwszym i najważniejszym była propozycja zniesienia przymusowej służby wojskowej.

Ta propozycja podcinała u samego korzenia kontynentalny system militarny; a jednak Prezydent najzwyczajniej tylko, po amerykańsku, tłumaczył tutaj zasadę punktu czwartego, chcąc, ażeby świat przyjął tradycyjny amerykański (i brytyjski) system armij ochotniczych zamiast armij z zaciągu rekrutów. Niemcy były twórcami współczesnej metody przymusowej służby i stały

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Dziesięciu 12 lutego.

się też najwyższym wyrazem militarnego ducha. Prezydent proponował zupełnie różny system, nie teoretyczny, ale oparty na tradycji ras, używających angielskiego języka. Później propozycja ta, gdy chciano ją stosować do mniejszych państw, zyskała nazwę, w dyskusjach Rady Czterech, „propozycji amerykańsko-brytyjskiej“, w przeciwstawieniu do „francusko-włoskiej“.

Protesty odezwały się odrazu; jednym z pierwszych protestujących był Orlando, imieniem Włoch. Wiemy dokładnie, co powiedział Orlando Prezydentowi, gdyż mamy własne jego słowa, użyte później, na Radzie Czterech (15 maja):

„Jak to już wytłumaczył prezydentowi Wilsonowi, Włochy nie mogłyby tworzyć armji na podstawie służby ochotniczej. Ten system byłby zbyt trudnym do zastosowania, ponieważ wszystkie tradycje kraju są temu przeciwnie. Skutkiem tego armja włoska musi być zorganizowaną na podstawie służby przymusowej.“

Pokazało się, że i Francuzi stali na tem samem stanowisku.

Chociaż nawet propozycja Prezydenta odnosiła się do przyszłości dopiero, do czasu, gdy będzie już działać Liga Narodów, — chociaż przewidywała, że plany sformułowane „mają się stać obowiązującami, jeżeli i tylko jeżeli jednomyślnie zostaną uznane przez rządy, podpisujące pakt“ — co mogło stać się w dalekiej dopiero przyszłości — jednakże Włosi i Francuzi bali się nawet dyskusji nad tą zasadą, o ile to ich dotyczyło; później zgodzili się, nie nazbyt chętnie, na zastosowanie jej do Niemiec i Austrii.

Omawiano także te względy na konferencji z lordem Robertem Cecilem i generałem Smutsem, w styczniu. Obaj ci mężowie dzielali silny wstręt ras, mówiących po angielsku, do idei przymusowej służby wojskowej, ale obaj też uznawali trudność zapewnienia poparcia Francji i Włoch dla przyszłej kooperacji narodów, jeśli się zechce utrzymać w mocy tak silne zastrzeżenia przeciw służbie przymusowej. To też w szkicu paktu Hursta-Millera okrajano ten punkt w ten sposób:

„Rada Wykonawcza zbada też możliwość zniesienia przymusowej służby wojskowej i zastąpienia tejże wojskiem, za-

ciągnięciem na podstawie ochotniczej, oraz militarne i morskie wykwapowanie, które trzeba będzie zatrzymać.“

Ale nawet samo to zarządzenie „zbadania“ jeszcze zbyt silnem było dla Francuzów i, gdy artykuł po raz pierwszy został wniesiony na posiedzeniu Ligi Narodów (6 lutego), widzimy, że p. Bourgeois co prędzej zgłasza swój sprzeciw. Nie życzył sobie, by dyskutowano nawet nad możliwością zniesienia przymusowej służby. To samo stanowisko w dalszym ciągu zajęli signor Orlando i p. Larnaude, drugi delegat francuski, tak, że ostatecznie, dla przejednania tej stanowczej opozycji, a jednak zostawiając drzwi otwarte dla przyszłej działalności Ligi Narodów, Prezydent zaproponował w to miejsce:

„Rada Wykonawcza podda też pod rozważanie i zastosowanie się odnośnych rządów, jakie wojskowe wykwapowanie i uzbrojenie będzie odpowiedniem i rozsądnem w stosunku do skali wojsk, ułożonej w programie rozbrojenia; gdy zaś te granice zostaną przyjęte, nie będą mogły być przekroczone bez pozwolenia zespołu delegatów.“¹⁾

Jednem słowem, Prezydent przerzuca tu całą władzę inicjowania działania w sprawie ograniczenia zbrojeń w ręce przyszłej Ligi Narodów. Chociaż propozycja ta została narazie przyjętą, bynajmniej jednak nie zamknęła dyskusji i ostateczne brzmienie propozycji ustalono dopiero po wielu sporach i wprowadzeniu teorii „specjalnego ryzyka“, tak energicznie wymaganego przez Francuzów. Oto jest dosłowne brzmienie, w jakim ten punkt ostatecznie ukazał się w Traktacie:

„Rada, biorąc pod uwagę geograficzne położenie i okoliczności każdego z państw, ułoży plany redukcji zbrojeń dla rozważania i zastosowania się odnośnych rządów. Takie plany będą poddawane ponownej rozprawie i rewizji przynajmniej co dziesięć lat. Po przyjęciu tych planów przez odnośne rządy, granice zbrojeń, w nich oznaczonych, nie mogą być przekroczone bez współudziału Rady.“

Zniesienie przymusowej służby wojskowej zostało jednak narzucone Niemcom! I może się okazać, w istocie, że było to

¹⁾ Protokoły. Komisja Ligi Narodów, 6 lutego str. 25.

jednym z rzetelnych pożytków, osiągniętych w Paryżu, to zniszczenie tego systemu w samejże warowni, skąd on wywiódł swój początek. Przyniesie to niewątpliwie daleko sięgające ekonomiczne jak i militarne rezultaty; gdyż około miliona młodych ludzi pracować będzie w przemyśle w Niemczech, podczas gdy odpowiedni milion maszeruje i uczy się strzelać na koszt państwa we Francji i we Włoszech.

Prawdziwą korzyść osiągnięto także w sprawie jawności, jako czynnika w ograniczeniu zbrojeń. Jawność, w pierwszym szkicu paktu Prezydenta, stanowiła jeden z kamieni węgielnych programu. „Ma być pełna i szczerą jawność w sprawie wszelkich narodowych zbrojeń i militarnych na lądzie i na morzu programów“. Tu znowu francuskie obawy stanowiły przeszkodę. P. Bourgeois dowodził, że dopóki pewne mocarstwa (miał na myśli Niemcy) pozostają poza Ligą, byłoby szaleństwem odkrywać im militarne tajemnice tych, które do Ligi należą; a nawet gdyby do Ligi wstąpiły, nie można im za bardzo ufać. Pragnął jawności w sprawie uzbrojenia Niemiec, ale nie uzbrojenia sprzymierzonych narodów. Nakoniec „pełna i szczerą jawność“ przemieniła się w „zamianę informacji“ pomiędzy członkami Ligi — propozycja bardziej ograniczona, ale oznaczająca postęp w stosunku do przeszłości. Ostateczna klauzula w pakcie, co do tego przedmiotu, brzmi:

„Członkowie Ligi podejmują się zamieniać pełne i szczerą informacje co do skali swoich uzbrojeń, swoich militarnych, na lądzie, morzu i w powietrzu, programów i co do stanu takich swoich przemysłów, jakie do wojennych celów mogą być przystosowane.“

W sprawie fabrykacji amunicji wojennej przez przedsiębiorstwa prywatne, chociaż Prezydent nie osiągnął całego swojego programu, jednakże widać także postęp w stosunku do wszystkiego, co było w przeszłości. Prezydent pozytywnie zaznaczył swoje stanowisko w swoim pierwotnym pakcie. „Kontraktujące mocarstwa zgadzają się dalej, że amunicja i materiał wojenny nie będą fabrykowane w prywatnych przedsiębiorstwach ani dla prywatnej korzyści.“ To wywołało dość znaczną dyskusję: skazywałoby to słabe narody, o niewielkim przemysłowym roz-

woju, na łaskę wielkich narodów. Zastrzeżenie to wykreślono w jednym projekcie paktu, wstawiono zpowrotem w innym na wniosek Prezydenta, ostatecznie w Traktacie ukazuje się w następującem brzmieniu:

„Członkowie Ligi zgadzają się na to, że fabrykacja amunicji i materiału wojennego przez prywatne przedsiębiorstwa podlega poważnym zarzutom. Rada zastanowi się nad tem, jakim sposobem zapobiec złym skutkom, z tego rodzaju fabrykacją złączonym, uwzględniając w należytem stopniu potrzeby tych członków Ligi, którzy nie są zdolni fabrykować amunicji i materiału wojennego, potrzebnego dla własnego ich bezpieczeństwa.“

Nie są to jedyne korzyści, osiągnięte przez opracowywanie konkretnych zagadnień rozbrojenia, gdyż Traktat ustanawia instancję, której użyto dla zwrócenia uwagi całego świata na kwestję ograniczenia zbrojeń. Jest to postanowienie, w artykule IX paktu zawarte, pierwotnie proponowane (przez lorda Roberta Cecila) jako kompromis zamiast międzynarodowego generalnego sztabu, którego Francuzi żądali. Postanawia ono, by „stała komisja została utworzoną jako ciało przyboczne Rady w sprawach wykonania artykułów I i VIII o kwestjach militarnych, morskich i powietrznych wogóle.“ Ta stała komisja została naznaczoną na zjeździe Rady w Rzymie, w maju r. 1920, a pierwszą jej pracą nie było wygotowywanie planów użycia wojsk Ligi, jak pragnęli Francuzi, ale zarządzenie badań w odniesieniu do ograniczenia zbrojeń, jak do tego upoważnia Radę artykuł VII.

Inny ważny pożytek ogólny stanowi formalne uznanie przez wszystkie narody, podpisujące Traktat, że ogólne ograniczenie zbrojeń jest jednym z warunków pokoju. To wypłynęło z proponowanej przez prezydenta Wilsona 26 kwietnia przedmowy do militarnych, morskich i powietrznych klauzul Traktatu, obecnie znajdującej się na str. 74 tego dokumentu. Powiedziano wtedy:

„Prezydent Wilson zauważył, że ułatwiłoby się nieprzyjacielowi przyjęcie militarnych, morskich i powietrznych warunków, gdyby się je przedstawiło jako przygotowanie do ogólnego ograniczenia zbrojeń u wszystkich narodów.

P. Clemenceau odpowiedział, że chciałby widzieć formułę, zanimby się na nią zgodził.¹⁾

Wstępne słowo ostatecznie zostało w ten sposób zreagowane:

„Ażeby umożliwić rozpoczęcie ogólnego ograniczenia zbrojeń wszystkich narodów, Niemcy podejmują się ściśle dopilnować następujących klauzul militarnych na lądzie, morzu i w powietrzu.“

Generał Bliss uważa to za jedno z najważniejszych postanowień Traktatu. „Całą dobrą wiarą i honorem“, powiedział w swoim przemówieniu w Filadelfji, „te dwadzieścia siedm narodów i Niemcy zobowiązały się możliwie najprędzej rozpocząć ogólne ograniczenie zbrojeń, jak tylko Niemcy dopełnią pierwszych swoich zobowiązań.“²⁾

Lecz ze wszystkiego największą potencjalnie korzyścią było przyjęcie, w postaci Ligi Narodów, nowego środka, gwarantującego bezpieczeństwo narodom, uwalniając je przez to od konieczności utrzymywania wielkich zbrojeń dla własnej obrony. Raz przyjęte i wprowadzone w życie będzie ono przedstawiało najbardziej podstawowy czynnik w redukcji zbrojeń. Przeprowadzić Ligę i wciągnąć w nią wszystkie sprzymierzone narody, nie dopuściwszy zatruwającego pierwiastka francuskiego planu zbrojeń, który byłby raczej rozszerzał, niż ograniczał militarną organizację i zbrojenia — już to samo było dokonaniem wielkiego dzieła, jakkolwiek okupione poświęceniem części doraźnego programu rozbrojenia.

Aż do tej pory nie mogła jeszcze Liga osiągnąć realnego postępu ku redukcji. Nawet propozycja pierwszego zgromadzenia, ażeby narody zgodziły się nie zwiększać budżetu swoich zbrojeń przez dwa lata, nie wywołała potwierdzającej odpowiedzi. Usiłowania ku zebraniu informacji o istniejącej sile wojsk i przewidzianem zapotrzebowaniu, jako podstawy do redukcji, również okazały się bezowocnymi. Nie można ukrywać faktu, że główną przeszkodą na drodze postępu ku redukcji zbrojeń lądowych jest Francja, naczelne militarne mocarstwo dnia dzisiejszego. Francja nie jest zadowolona z gwarancyj, jakie posiada przeciwko Niem-

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Czterech, 23 kwietnia.

²⁾ What Really Happened at Paris, p. 372.

com. Gdyby była otrzymała specjalne zapewnienia pomocy ze strony Stanów Zjednoczonych i W. Brytanji, albo ustanowienie silnej międzynarodowej organizacji wojskowej z ramienia Ligi, lub choćby stałą kontrolę nad zbrojeniami Niemiec, może byłoby inaczej. Francja ma wciąż nadzieję, wciąż dąży do tych samych rzeczy, których domagała się w Paryżu. Dopóki ich nie otrzyma, nie chce się zrzec w najmniejszym nawet stopniu niezależności w rozporządzeniu swą własną polityką militarną. Nie chce nawet dyskusji o tym przedmiocie, nie chce poddać pod ocenę swoich zapotrzebowań, choćby ta dyskusja i ta ocena opierały się na teorii specjalnego ryzyka, którą Francja sama wstawiła do paktu. Gdy usiłowano przedmiot ten traktować poza Ligą, na konferencji, obejmującej Stany Zjednoczone i mocarstwa z Ligi, stanowisko Francji pozostało niezmienione. Na waszyngtońskiej konferencji o ograniczeniu zbrojeń premier Briand oświadczył krótko, że odmawia dyskusji nad redukcją armji francuskiej, a dla uzasadnienia swego stanowiska powtórzył wszystkie znane argumenty. Na genueńskiej konferencji Francuzi byli jeszcze bardziej *intransigents*. Sytuacja jest dokładnie taką samą, jaką była w 1919.

Ta sytuacja nie jest wcale prostą. Dopóki Francja obstaje przy stosowaniu do Niemiec warunków, których inne mocarstwa nie uznają i uważają za niebezpieczne dla przyszłego pokoju świata, nie mogą one w pełni i szczerze dać jej tego poparcia i tych gwarancyj, jakich ona żąda. A ponieważ znaczna część warunków, których się trzyma Francja, nie ma innego oparcia prócz siły zbrojnej, nie ma ona nic do wyboru i musi sama starać się siłę tę dostarczyć. Ale to znów z kolei stawia ją w beznadziejnej pozycji: prowadzi ją do izolacji.

Jedynym wyjściem z tego położenia jest szczere i cały świat obejmujące międzynarodowe współdziałanie. Nie cztery mocarstwa, albo dziewięć, albo jakiś specjalny sojusz wielkich narodów może ocalić sytuację. Jeżeli czego dowiodła konferencja waszyngtońska 1921—1922, to prawdy idei prezydenta Wilsona, że nie może być rzetelnego postępu ku uwolnieniu świata od rywalizujących ze sobą zbrojeń, bez postawienia w to miejsce jakiejś skutecznej gwarancji bezpieczeństwa narodów. Samo specjalne narzędzie międzynarodowej kooperacji nie tyle jest

ważne, co stanowcza chęć użycia go z dobrą wolą dla osiągnięcia prawdziwej sprawiedliwości i pokoju na świecie. Takie narzędzie już istnieje w Lidze Narodów, ale brak mu ducha. Gdyby narody chciały mieć się tego narzędzia i użyć go energicznie w czasach nie tak gorączkowych, jak w roku 1919, dla uporania się z obawami i chciwościami, nie tylko Francji, ale i wszystkich innych narodów, możnaby liczyć z pewnością na szybką poprawę nieznośnego położenia obecnego.

ROZDZIAŁ XXI.

PROBLEM ROZBROJENIA NA MORZU.—AMERYKAŃSKI PROGRAM ZATOPIENIA OKRĘTÓW A FRANCUSKIE ŻĄDANIE PODZIAŁU ICH. — BRYTYJSKA POLITYKA MORSKA.

Nigdy rozbrowienie na morzu nie było omawiane w Paryżu z tą zupełną otwartością, jaka cechowała spory o ograniczenie zbrojeń lądowych i o zniesienie przymusowej służby wojskowej.

I miało to swoje przyczyny. Wielka Brytania, której potęga leżała na morzu, wychodziła z wojny w zupełnie innem położeniu, jak Francja. Francuzi w rezultacie po wojnie czuli się we wrzącym kotle kontynentalnej Europy mniej bezpieczni, niż przedtem, i cały program militarnego uzbrojenia albo sojuszu uzbrojonych narodów dla umocnienia bezpieczeństwa Francji stawał się ważną, palącą kwestją. Brytyjczycy, przeciwnie, wychodzili z wojny z poczuciem zwiększonego bezpieczeństwa. Jedyny ich w Europie wielki rywal na morzu został zgnieciony: groźna niemiecka flota, czterdzieści wielkich okrętów wojennych i krążowników, sto albo więcej mniejszych wojennych statków, wszystko to leżało, rdzewiejąc bezpiecznie, w północnym angielskim porcie Scapa Flow. Z małą w przyszłości groźbą wojny łodziami podwodnymi albo powietrznej floty można się było z łatwością załatwić na nadchodzącej konferencji pokojowej.

Następnie z kolei najważniejsze mocarstwo morskie w przeszłości, Stany Zjednoczone, zyskiwało wielce na sile skutkiem potencjalnej nieprzyjaźni flot angielskiej i niemieckiej, te bowiem, lękając się jedna drugiej, trzymały się na bliskich wodach. Gdy jednakże flota niemiecka zginęła, brytyjska flota osiągnęła niezrównaną potęgę na morzach i tę posiada dotąd. Zwiększyła

się ona jeszcze przez sojusz z Japonją, trzeciem z rzędu wielkiem mocarstwem morskiem. Jakkolwiek możliwość konfliktu między W. Brytanią a Stanami Zjednoczonymi była daleką, nietylko z racji sentymentu, zresztą potężnego, ale i z tej przyczyny, że oba te państwa dość miały miejsca na świecie i nie potrzebowaly się wzajemnie zaczepiać — jednakże fakt supremacji W. Brytanji na morzach był silnym czynnikiem w kształtowaniu jej polityki na konferencji pokojowej.

Stąd poszło, że, podczas gdy główną polityką Francuzów było walczyć o więcej potęgi, więcej bezpieczeństwa i raczej o więcej niż mniej militarnego uzbrojenia, skutkiem czego wysuwano silnie na plan pierwszy zagadnienia przymusowej służby wojskowej, prywatnej fabrykacji amunicji i t. p. — główną polityką Anglii było utrzymanie *status quo*. Francja (i Włochy) miały coś do uzyskania na konferencji pokojowej — W. Brytania (i Japonja) miały tylko coś do utrzymania. Francuzi czuli swoją słabość, swoją potencjalną niższość w Paryżu; Brytyjczycy znali swoją potęgę i w działaniu swem stosowali znakomicie przepis starej tradycyjnej brytyjskiej polityki: „Czekaj i patrz“ (*Wait and see*).

Podczas gdy głównym celem Francji — wtedy i później — było raczej jej własne bezpieczeństwo, niżli reparacje albo przyszła ekspansja handlowa, główny interes W. Brytanji leżał w zapewnieniu sobie nowego dostępu do surowców, nowych dróg handlowych, nowych kolonij, które już rzeczywiście były w ich posiadaniu, i zapewnienie sobie właściwego udziału w reparacjach.

Dlatego też, chociaż ważny problem potęgi na morzu zabłysnął niekiedy gdzieś w głębi podczas dyskusji w Paryżu, a raz, w kwietniu, gdy rozważano sprawę rozdziału floty niemieckiej, groził nawet przełamaniem barjery rozmyślnego przemilczania — nigdy jednak realnie i szczerze nie był on poruszony. Nie był poruszany, gdyż nie chcieli go poruszać, a chcieli poruszać problem zbrojeń lądowych. Nie chcieli, by o nim stanowił Traktat. Sprawa to była nie tyle między aljantami a Niemcami, ile między W. Brytanią, Ameryką i Japonją.

O tem jednak, że Brytyjczycy bezwzględnie hołdują idei brytyjskiej supremacji na morzu, o tem nie mogło być najmniejszej wątpliwości.

W listopadzie 1918, wkrótce po zawieszeniu broni, Winston Spencer Churchill, wówczas brytyjski minister amunicji, powiedział to bez ogródek w mowie swojej w Dundee: „Liga Narodów nie zastąpi supremacji floty brytyjskiej“.

Brytyjczycy, jakkolwiek w położeniu o wiele silniejszym, zupełnie nie kryli się z tem, że, podobnie jak Francuzi, przede wszystkim dążą do własnego bezpieczeństwa. I przed przybyciem Prezydenta i po jego przybyciu do Europy prasa ich pełna była nawoływań o to; wtórowali jej wszyscy mówcy publiczni.

„Jedna rzecz jest jasną“, pisał londyński *Times* z 11 grudnia: „tej wojny nie możnaby było wygrać dla cywilizacji, gdyby nie brytyjska potęga na morzu. To też nie może być mowy, o ile to tego kraju dotyczy, o zmniejszaniu ostrości broni, która nam dała zwycięstwo w tej wojnie“.

I w rzeczywistości, każdy argument, przytaczany przez Francuzów, wysuwali ze swej strony także Brytyjczycy. Był więc też i argument „specjalnego ryzyka“, że W. Brytania znajduje się w wyjątkowo niebezpiecznem położeniu. „Nie moglibyśmy zrzec się naszej przewagi na morzu, gdyż jesteśmy mocarstwem — wyspą“, pisał Gilbert Murray: „a gdyby nas raz pokonano na morzu i zblokowano, byłibyśmy zmuszeni albo umrzeć z głodu, albo poddać się w ciągu paru tygodni“.

I zupełnie tak, jak Leon Bourgeois, który dowodził ze strony Francuzów, że gdyby się przyjmowało gwarancję Ligi Narodów dla zabezpieczenia Francji wzamian za jej uzbrojenie, charakter tej Ligi musiałby wymagać stałej militarnej organizacji i generalnego sztabu, — admiralicja brytyjska przewidywała możliwość jakiegoś sztabu marynarki w Lidze, co jednak szybko odrzucono.

Wpływowe czynniki w W. Brytanji, zupełnie tak, jak we Francji, szukały też specjalnych sojuszków, któreby nadal zapewniały państwu bezpieczeństwo. Taki sojusz Francuzi zapewnili sobie w anglo-amerykańskim traktacie — w W. Brytanji pomyślano o anglo-amerykańskim sojuszu.

„Wszyscy uznajemy“ — pisał londyński *Times* z 11 grudnia 1918 — „że przyszłe szczęście świata zależy od zacieśnienia węzłów pomiędzy nami a Stanami Zjednoczonymi i do tego celu zdążać będziemy całą siłą“.

Jednakże Prezydent zarówno w Anglii, jak we Francji, torował drogę swojemu pierwotnemu programowi Ligi Narodów, któraby ewentualnie gwarantowała narodom to bezpieczeństwo, którego się tak gwałtownie domagały. Nie mówił o zbrojeniach albo o sojuszach, ale o zespole sił (*a concert of power*).

„Musi teraz powstać“ — powiedział do Anglików w swej mowie w Guildhall 28 grudnia: „nie równowaga sił, nie jedna potężna grupa narodów, stojąca naprzeciw drugiej, ale jedna przemożna, potężna grupa narodów, będąca opiekunem pokoju świata“.

Przyjął brytyjską zmianę warunków zawieszenia broni w odniesieniu do „wolności mórz“ ponieważ, jak powiedział gronu swych towarzyszy w Paryżu, gdy zaczął badać kwestję wolności mórz w stosunku do Ligi Narodów, przekonał się, że w wypadku przyszłej wojny nie będzie neutralnych, których własność trzebaby chronić, gdyż, mocą Ligi, wszystkie narody złączyłyby się dla wymuszenia jej decyzji na niekarnym narodzie czy narodach, i morza byłyby pod kontrolą mocarstw Ligi. Najważniejszem przeto było przedewszystkiem stworzyć Ligę z jej istotnemi gwarancjami bezpieczeństwa, a potem mogłyby stowarzyszone narody opracować regulacje dla ruchu i handlu morskiego i ustanowić ograniczenia zbrojeń na morzu.

W Anglii znalazł Prezydent poparcie dla swego programu, jakiego nie znalazł we Francji: we Francji bowiem wszystkich przywódców jednoczyła wspólna obawa, podczas gdy w Anglii, bezpiecznej w swoim poczuciu wyższości na morzu, rozwinęły się dwie grupy różnych opinij. Jedną z nich była konserwatywna, pod wpływem admiralicji stojąca grupa — *Morning Post*, lord Curzon, Winston Spencer Churchill — ta była za utrzymaniem przewagi na morzu za wszelką cenę i za zwiększeniem raczej, niż zmniejszeniem potęgi na morzu. *Morning Post* widziała w Lidze Narodów tylko „podstępny intrygę dla umiędzynarodowienia Brytyjskiego Imperjum i rozdzielenia jego zasobów pomiędzy obcych“.

Była jednakże też i inna potężna grupa liberałów i partja pracy w Imperjum, którą prowadzili ludzie tacy, jak generał Smuts i lord Robert Cecil, za organ swój mająca takie pisma, jak

Manchester Guardian; ta silnie popierała program Prezydenta. Ci, nie myśląc o osłabieniu W. Brytanji, zwłaszcza w takim czasie światowego zamętu, podzielali pogląd Prezydenta na bezpieczeństwo świata, nie opierając go na przeważającej militarnej potędze jakiegoś jednego państwa, choćby niem była W. Brytanja, ale na szlachetnej współpracy narodów, gwarantujących sobie wzajemne bezpieczeństwo. Liczyli w przyszłości na ograniczenie zbrojeń morskich i na Ligę Narodów, która „przejmie na siebie, dla sprawy wolności, niektóre funkcje, dotychczas sprawowane przez brytyjską marynarkę”.

Co do Lloyd George’a, ten wykorzystywał obie te grupy i grał na nich w Paryżu w miarę chwilowej potrzeby politycznej. Zabrał jednakże ze sobą, jako swych najbliższych towarzyszy — i to jest fakt znamieny — głównych adwokatów Ligi Narodów, Smutsa i Cecila, a nawet przedstawiciela grupy pracy, w osobie pana Barnes’a, przy sposobności jednakże wzywał Churchilla i Curzona, gdy potrzebował bodźców przeciwnych. Clemenceau przedstawiał jednolitość Francji; Lloyd George różnolitość W. Brytanji. Liga Narodów nie byłaby się nigdy, rzecz prosta, przyoblekła w kształt realny, gdyby nie stanowcza wspólna gra amerykańskich i brytyjskich liberałów.

Wspomniałem o dwóch grupach opinji w W. Brytanji w kwestji ograniczenia zbrojeń morskich; ale i w Ameryce były dwa poglądy, a oba miały przedstawicieli w Paryżu. Tak bowiem, jak byli mężowie stanu brytyjscy, upatrujący przyszłe bezpieczeństwo swego państwa w przewadze uzbrojenia morskiego, tak też byli i amerykańscy przywódcy, którzy obawiali się o przyszłe bezpieczeństwo Ameryki, jeżeli amerykańskie uzbrojenie na morzu co najmniej nie dorówna uzbrojeniu W. Brytanji. Po między bardzo tęgiemi referatami, przedłożonemi konferencji pokojowej, były referaty admirała Bensona, amerykańskiego doradcy w sprawach morskich, który nie przestawał dowodzić, że Stany Zjednoczone powinny mieć flotę równą flocie Wielkiej Brytanji. Po zniszczeniu floty niemieckiej brytyjska marynarka staje się potężniejszą na świecie, niż nią była kiedykolwiek, „dość silną, by panować nad morzami, w którejkolwiek części kuli ziemskiej panowaćby zechciała”. To — dowodzi Benson, nietylko stanowi niebezpieczeństwo dla Ameryki, ale „hamować

będzie nasz wpływ w światowych obradach, czy to w obrębie Ligi, czy poza nią“.

Zupełnie tak samo, jak militaryści francuscy i brytyjscy, którzy mówią o „specjalnem ryzyku“, jako o powodzie do zbrojeń, tak też rozumuje admirał Benson w sprawie Ameryki.

„Nasze własne obecne i przyszłe położenie w świecie wymaga specjalnego rozważenia. Będziemy największym handlowym rywalem W. Brytanji na morzach... Dotychczas żyliśmy osobno, ale odtąd mamy żyć w stałej i bliskiej łączności z resztą świata. Musimy móc stanąć na każdej światowej konferencji z poczuciem równości“.

Dowodził przeto, że amerykańska marynarka powinna być równą brytyjskiej, i proponował, dla osiągnięcia tego celu bez zwiększenia światowych zbrojeń, ażeby brytyjska marynarka została zmniejszoną do równego poziomu z amerykańską, a później „ażeby W. Brytania i Ameryka postanawiały wspólnie od czasu do czasu, jaką ma być siła obu flot“.

To stanowisko admirała Bensona popierał silnie sekretarz Daniels, przybyły do Paryża podczas konferencji pokojowej, który utrzymywał, że:

„Stany Zjednoczone powinny mieć marynarkę równą każdej innej, która pływa po morzach“.

Doprawdy, można nawet zacytować samego prezydenta Wilsona, który ten program popierał — zanim przystąpiliśmy do wojny. Powiedział w przemowie w St. Louis, 3 lutego 1916:

„Niema na świecie marynarki, któraby musiała pokrywać tak wielki obszar obronny, jak marynarka amerykańska, to też powinna, mojem zdaniem, być bez porównania sprawniejszą od którejkolwiek innej marynarki w świecie“.

Rozumiał równie jasno, gdy chodziło o Amerykę, jak gdy chodziło o Francję i o W. Brytanię, że bezpieczeństwo, to sprawa zasadnicza i że, jeżeli poczucie bezpieczeństwa, opartego na uzbrojeniu, ma być zachwiane przez ograniczenie zbrojeń, należy dać w to miejsce inną gwarancję bezpieczeństwa. Jeżeliby podstawą pokoju miały być zbrojne okręty i wielkie działa, to i Ame-

ryka musiałaby się z tem liczyć; on jednakże był za inną metodą i ku tej kierował całą swą energją; popierały go w tem grupy liberalne i grupy pracy W. Brytanji, widzące jasno i z głęboką trwogą możliwość nowej rywalizacji na punkcie zbrojeń morskich.

Nikt w Paryżu nie był gorętszym rzecznikiem ograniczenia zbrojeń na lądzie, jak Lloyd George, i nikt też zřęczniejsz nie unikał problemu ograniczenia zbrojeń na morzu, o ile się to nie odnosiło do Niemiec. Brytyjska przewaga na morzu była zapewnioną, jako rezultat wojny, chodziło tylko o to, żeby ją utrzymać.

Jedna wszakże okoliczność groziła, że przewaga ta może stać się mniej wybitną — a był nią możliwy podział po wielkim rywalu, podział flot, niemieckiej i austriackiej, pomiędzy sprzymierzone i stowarzyszone mocarstwa. Większość tych okrętów była bezpiecznie internowana i strzeżona w angielskim porcie Scapa Flow. W całości stanowiły one wielką i potężną flotę: 27 okrętów bojowych i bojowych krążowników, w tem kilka wielkich dreadnoughtów; 19 lekkich krążowników; 101 „destroyers“ i około 135 łodzi podwodnych. Admirał Benson oceniał, że podział tych niemiecko-austriackich sił morskich podniósłby siłę morską wielkich mocarstw o mniej więcej 30 procent. Amerykańscy doradcy w sprawach marynarki bez wahania decydowali, co z temi okrętami należało zrobić: wyprowadzić je na głębokie morze i całą flotę zatopić.

„Zniszczenie niemiecko-austriackich okrętów“ — powiedział admirał Benson — „byłoby dla świata praktycznym dowodem szczerości wysokich kontraktujących stron w ich postanowieniu ograniczenia zbrojeń“.

Admirał Benson przyjmował w swoim raporcie, że W. Brytania pragnie podziału raczej, niż zniszczenia; niewiele jednak przemawia za tem przypuszczeniem. Trudności byłyby zbyt wielkie, rywalizacja obudzona zbyt przykrą, a wkońcu podział mógłby raczej stosunek przewagi W. Brytanji osłabić. Poza tem — okręty niemieckie budowane były wedle zupełnie innych norm mechanicznych, niż angielskie — na miarę metryczną — i utrzymanie ich mogło wypaść prawie tak kosztownie, jak zbudowanie nowych statków. Chociaż Lloyd George napozór używał kwestji dyspozycji niemieckimi okrętami za manewr strategiczny na konferencjach, zniszczenie ich, zdaje się, było istotnym celem

polityki admiralicji brytyjskiej. Tylko Francuzi obstawali za podziałem, pragnąc powiększyć, a nie zmniejszyć swoje siły zbrojne.

Morskie warunki pokoju, przedstawione przez admirałów na sesji 6 marca, proponowały zniszczenie wszystkich łodzi podwodnych i wszystkich okrętów bojowych poza temi, które pozwalano Niemcom zatrzymać. Francuzi robili zastrzeżenia co do każdej z tych klauzul i zaczął się długi spór. Ostatecznie doszło do ostrego zajścia podczas posiedzenia w dniu 25 kwietnia w rezydencji prezydenta Wilsona na Place des Etats-Unis. Włoski premier pojechał był do kraju dla zaprotestowania przeciw stanowisku Rady w sprawie Fiume. Tylko tak nazwani Wielcy Trzej byli obecni — Wilson, Lloyd George i Clemenceau — ale każdy miał ze sobą swojego głównego morskiego doradcę; admirał Benson był nim dla Ameryki, admirał trenu Hope dla W. Brytanji i admirał de Bon dla Francji. Na tem to posiedzeniu wywiązała się nieomal ogólna dyskusja nad rozbrojeniem na morzu, jak to widać z uwag Lloyd George'a:

„Admirał Benson wskazał na to, że każda inna decyzja, niż decyzja zatopienia okrętów, oznaczałaby zwiększenie zbrojeń.

Mr. Lloyd George powiedział, że mógłby admirałowi Bensonowi przedstawić swoją propozycję wstrzymania zwiększenia zbrojeń, a nawet zmniejszenia, ale wątpi, czyby ją admirał przyjął. (Propozycja, dla amerykańskiego admirała nie do przyjęcia, to prawdopodobnie miała być propozycja redukcji, według istniejącej wtedy proporcji). Brytyjski rząd tych okrętów nie potrzebuje i gotówby nawet dyskutować nad zmniejszeniem flot, gdyby się wszyscy na to zgodzili. Ta kwestja jednak jest bardzo poważna... Zgadzał się w zupełności, że francuską propozycję w tej sprawie należałoby rozważyć. Jego zdaniem Francja powinna dostać kilka z tych okrętów i zatopić odpowiednią ilość starych okrętów swoich, albo, gdyby nie chciała ich zatopić, mogłaby je rozebrać, co, jak mu admirał Hope mówił, opłaciłoby się, jako interes“.

Prezydent Wilson zapytał wtedy, dla jakiego powodu Francja sprzeciwia się zniszczeniu tych okrętów; admirał de Bon odpowiedział:

„...powodem jest, najpierw, że, zatapiając te okręty, niszczy się cenną wartość i jeszcze się zwiększa ogólne straty wojny. Opinia we Francji byłaby temu wręcz przeciwna. Ważniejszym powodem byłoby jednak, że, gdyby rozdzielono te okręty pomiędzy sprzymierzone i stowarzyszone mocarstwa, stanowiłoby to znaczny dodatek... do pokojowej siły francuskiej marynarki. Przez pięć lat, skutkiem niezmiernych wysiłków przemysłu francuskiego w kierunku zaopatrywania armii, nie można było wykończyć żadnych pierwszorzędnych okrętów. Te okręty bardzoby się przydały, nosząc francuską flagę i rozszerzając wpływ narodowy w świecie. Marynarka Francji uległa wielkiemu zmniejszeniu, zwłaszcza w porównaniu z innymi narodami. Nie dla żadnych agresywnych celów, ale Francja nie chciałaby stracić tej sposobności wyrównania swoich strat“.

Rezultatem było odłożenie na później kwestji rozporządzenia w tym względzie, co było zwycięstwem zasady podziału, podtrzymanej przez Francję.

Jednakże niespodziewanym rzeczy obrotem problem ten został wydarty z rąk konferencji pokojowej i załatwiony innym sposobem. D. 21 czerwca Niemcy, którzy w dalszym ciągu obsługiwali okręty w Scapa Flow, mówiąc się, sami otworzyli krany i zatopili większość własnych okrętów w porcie. Rozporządzenie temi, które pozostały, było już rzeczą małej wagi. Lloyd George ofiarował je wszystkim Francji, ażeby powstrzymać Clemenceau od nowego użycia siły, który w tem i w innych zdaniach znajdował do tego sposobność. Te okręty mogły wyrównać Francji wojenne straty jej marynarki, ale zniszczoną została nadzieja znacznego przyrostu jej uzbrojenia na morzu. Tym sposobem czyn Niemców, niszczących swoje okręty, raczej, niż postanowienia konferencji pokojowej, zapobiegł znacznemu powiększeniu (zamiast pomniejszeniu) uzbrojeń na morzu mocarstw sprzymierzonych. Niemcy jednakże uległy rozbrojeniu na morzu, chociaż nie tak zupełnemu, jak na lądzie. Traktat pozwolił im mieć sześć okrętów bojowych i sześć lekkich krążowników, 12 „destroyers“ i dwanaście torpedowców. Nie stoi to, naturalnie, w żadnym związku z utrzymaniem wewnętrznego porządku i może być pomyślane tylko jako środek obronny. Dalej,

pozwolono Niemcom, wedle artykułu 196, zatrzymać wszystkie fortyfikacje wybrzeża, nie mające charakteru podstawy ofensywnej, albo zagrażającej przejściu na Bałtyk. Gdy Lansing zaproponował zniszczenie tychże, Lloyd George ponowił swoje twierdzenia, że Niemcy mają prawo się bronić.

Dlaczego Anglicy nie zadali sobie trudu tak Niemców ukrócić na morzu, jak to uczynili Francuzi na lądzie? Prawdopodobnie dlatego, że nie pragnęli bezbronności Niemiec, wobec Francji, na morzu. Nie obawiali się już Niemców na wodzie. Narzędzi wojny morskiej nie improwizuje się tak łatwo, jak narzędzi wojny lądowej. Anglja mogła się czuć bezpieczną w swej przewadze na swoim żywiole, ale dość zrobiła dla Francji, dając jej bezpieczeństwo na lądzie. Flota, pozostawiona Niemcom, nie stanowiła groźby dla Francji, ale, wraz z urządzeniami warownemi brzegów, mogłaby ją powstrzymać od opanowania Niemiec ze strony morza. Jeżeliby ktoś miał to uczynić, to musiałaby to być Anglja.

Jednakże — pomimo, że rzeczywisty postęp na konferencji pokojowej w kierunku ograniczenia zbrojeń na morzu był nieznaczny, drzwi zostawiono otwarte dla przyszłych badań i dyskusyj, tak, jak w sprawie ograniczenia zbrojeń lądowych, przez postanowienia artykułów VIII i IX paktu. Chociaż jedyną specjalną wzmiankę o zbrojeniach morskich w artykule VIII stanowi końcowa klauzula, ustanawiająca jawność („wymianę pełnych i szczerych informacji co do skali ich zbrojeń”) w morskich zarówno, jak lądowych militarnych programach, jednakże trzeba rozumieć, że ewentualne ograniczenie ma się stosować zarówno do okrętów wojennych, jak do armji, a stała komisja, wyznaczona na zjeździe w Rzymie 1920, dostała polecenie przedsięwzięcia badań zarówno morskich, jak lądowych uzbrojeń.

Chociaż rozbrojenie na morzu nigdy nie przyszło pod prawdziwą dyskusję w Paryżu, jednakże problem ten był ostatecznie dostępniejszy, niż problem rozbrojenia na lądzie. Naczelna w świecie potęga morska, W. Brytanja, chociaż zazdrosna o swoją przewagę, okazała się wkońcu o wiele mniej przeciwną dyskusji nad podstawą swego stanowiska, niż naczelne militarne państwo, Francja. Lloyd George gotów był dyskutować nad redukcją marynarki, chociaż powiedział, że wątpi, czy jego propozycje byłyby

przyjęte przez amerykańskie władze. Wkońcu jednak W. Brytania istotnie przyjęła amerykańskie propozycje w tej sprawie.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego W. Brytania okazała się przystępniejszą dla głosów rozumu. Nie potrzebowała opanowywać hysterji wojennej, gdyż nie poznała tak, jak Francja, co to inwazja i spustoszenie. Okaleczenie wspólnego nieprzyjaciela, Niemiec, na morzu było o wiele pełniejszym i stalszem, niż na lądzie. Pozostawały wprawdzie inne wielkie floty, amerykańska i japońska, w żadnej z nich jednak nie można było dopatrywać groźby dla bezpieczeństwa Brytyjskiego Imperjum. W. Brytania nie nastawała na popieranie siłą najściślejszego zastosowania warunków traktatu wersalskiego. Ostatecznie można powiedzieć, że rozumni przywódcy brytyjscy zaczęli pojmować, iż przy rozwoju nowych narzędzi wojennych pożyteczność „świątyni okrętu“ stawała się nieproporcjonalną w stosunku do jego olbrzymiego kosztu. A Wielkiej Brytanji rozpaczliwie zależało na odzyskaniu zdrowej ekonomicznej podstawy. Dwa lata namysłu wystarczyły, by przygotować ją na wielką ofiarę ze swego wiekowego *prestige*, ofiarę, która stanowi rzeczywisty, chociaż nie nazbyt wielki krok na drodze ku rozbrowieniu.

Tego kroku nie uczyniono za pośrednictwem Ligi, skoro jedno z mocarstw, którego kooperacja była tu istotną, Stany Zjednoczone, pozostało poza Ligą. Nie mógł to być krok bardzo radykalny, skoro Stany Zjednoczone nie były gotowe przyłączyć się do jakiejś stałej, międzynarodowej organizacji, bez której, jako gwarancji narodowego bezpieczeństwa w miejsce zbrojnej siły, żaden dalej sięgający program rozbrowienia nie jest możliwy. Jednakże w obrębie tych granic rząd prezydenta Hardinga zrobił wszystko, co w jego mocy, dla zmniejszenia niebezpieczeństwa przyszłego starcia wielkich morskich mocarstw świata. Podjął inicjatywę na konferencji waszyngtońskiej. Ofiarował ustępstwa i przedstawił konkretny program. Poszedł nawet tak daleko w usiłowaniu zmniejszenia możliwości tarć na Oceanie Spokojnym, że wszedł w traktat, mający wiele wątpliwych, a nawet niebezpiecznych cech specjalnego sojuszu — z Japonją, Wielką Brytanią i Francją.

Rezultat co do warunków rozbrowienia na morzu nie jest wielki. Z samego pojęcia „rozbrowienie“ zrezygnowano zaraz na

początku, zastępując je „ograniczeniem zbrojeń“. Podobnie też trzeba było porzucić wszelkie wysiłki dojścia do absolutnej normy ograniczeń, a poprzestać na empirycznej normie „*status quo*“. Określenia „narodowe bezpieczeństwo“, wciśnięte w pakt przez Japonję i Francję, uznano za poprostu niemożliwe. Jednakże pojęcia tego nie dało się zastąpić pojęciem „domowego bezpieczeństwa“, ponieważ nikt nie obmyślił równorzędnego określenia na zagwarantowanie bezpieczeństwa narodowego. Jedynym możliwym programem był program powstrzymania dalszego rozrostu flot na podstawie utrzymania istniejącego stanu. Nie jest to, i nie ma pretensji być, rozbrojeniem i ograniczenie jest niewielkie. Powstrzymano czasowo wzrost ciężarów, ale nie zmniejszono ich o wiele. Zasady bezpieczeństwa, opartego na zbrojeniach, zasady, będącej jądrem całego problemu, nie porzucono. Może najwięcej znaczącym faktem w całym szeregu kroków naprzód jest to, że Wielka Brytanja przyjęła ostatecznie miarę równości ze Stanami Zjednoczonymi.

ROZDZIAŁ XXII.

KONTROLA NAD UZBROJENIAMI MNIEJSZYCH NARODÓW. — STANOWISKO FRANCJI.

Pewnego wieczora w drugiej połowie maja, w krytycznej chwili konferencji pokojowej (znajduję to zapisane w moich notatkach z owego czasu) zastałem Prezydenta, stojącego samotnie przed wielką mapą południowo-wschodniej Europy. Mapa ta wisiała na ścianie jego gabinetu, gdzie Wielcy Czterej odbywali codziennie swoje narady. Ciepły to był wieczór, okno było odchylone. Na kawałku drogi za oknem amerykańska warta chodziła tam i zpowrotem.

Jeszcze przez kilka chwil po mojem przyjsciu Prezydent nie przestawał studjować mapy z głębokiem przejęciem. Znać było po nim, że miał ciężki dzień, widać to było po wyciągniętych linjach jego twarzy.

Był to, w istocie, ciężki okres dla każdego. Choć nie-miecki traktat skończony był i doręczony, wątpliwem było, czy Niemcy go podpiszą. Atakowali go ostro. Nikt na świecie nie zdawał się zadowolony z tego, co uczyniono, a teraz, gdy Rada zwróciła uwagę swą na traktat austriacki, opadał ją rój nowych problemów, wywołanych przez rozpadnięcie się w gruzy cesarstw wschodu i południo-wschodu — Austro-Węgier, Turcji i Rosji. Na Węgrzech tliła się jeszcze rewolucja, a pożary narodowościowych starć lub wojen domowych paliły się na przestrzeni połowy Europy. Zdawało się w owym czasie, że odbywa się dziki jakiś wyścig — wyścig pokoju z anarchją. Poza tem Prezydenta spotykały jeszcze trudności w kraju. Wykończył właśnie — niewiadomo, jak temu podolał — długie orędzie do Kongresu, opracowując je w wolnych chwilach przed posie-

dzeniami Czterech i po nich; świeżo przybyły komitet irlandzko-amerykański psuł krew jemu i wszystkim innym; a ostatecznie ataki na niego i na pakt Ligi wybuchły w Kongresie z nową zjadliwością.

Uprzytomniłem sobie, wobec jakich ogromnych trudności stoi ten człowiek, starający się wypracować sprawiedliwe postanowienia w tej starej cieplarni walk — gdy tu Austriacy biadają w Saint Germain, że traktat jeszcze nie gotów — starający się wypracować sprawiedliwe postanowienia, tu, gdzie nigdzie nie znajdował dobrej woli! A właśnie przecież ducha dobrej woli, ducha chęci wzajemnej pomocy starał się wpoić Prezydent; na tem to musiały spoczywać jego postanowienia, jeżeli miały osiągnąć skuteczność. Nie dziw, pomyślałem, że te ciężkie tygodnie tak go wyczerpują, że niekiedy, wieczorem, po skończonej konferencji, gdy opuszczało go napięcie nerwowe, twarz jego miała wyraz śmiertelnej martwoty, a jedną jej połowę i oko przebiegały przykre drgawki. Nigdy jednak nie przestawał w tym wrzącym kotle problemów z całym wysiłkiem wysuwać i podtrzymywać swoich zasad; a jeżeli nie mógł przeprowadzić ich w całości, starał się zapobiegać propozycjom z niemi sprzecznym, albo te propozycje łagodzić. Towarzysze jego, a przede wszystkim Clemenceau, chociaż go tak ciężko zwalczali, uznawali absolutną szczerłość jego zamiarów. Przy sposobności przejawiało się to uznanie, jak w słowach Clemenceau:

„Prezydent Wilson przybył do Europy z programem pokoju dla całego świata. Jego ideał jest bardzo wysoki, ale natrafia na wielkie trudności z przyczyny odwiecznych nienawiści między niektórymi rasami.“

— „Studjowaliśmy nowe granice Austrii“ — przemówił do mnie Prezydent nakoniec. „Austriacy idą na ostre z Jugosławianami tu, w dolinie Celowca. Staramy się zarządzić tam prędkie plebiscyt.“

— „Oni wolą się bić“ — odpowiedziałem.

— „Tak“ — odpowiedział — „oni wszyscy wolą się bić. Clemenceau powiedział tu kiedyś, że tu, w Istrii, obie strony zakładają druty kolczaste i przygotowują się do wojny. Tu wyżej, Rumunowie i Węgrzy się biją; i Czesi, i Polacy.“

Opowiedziałem mu, że naliczyliśmy czternaście wojenek, toczących się w różnych stronach Europy.

— „Nie wątpię o tem“ — odpowiedział. — „Zastanawialiśmy się nad ograniczeniem zbrojeń u tych niespokojnych małych państw; ale jakżeż mogą wielkie mocarstwa nałożyć rozbrojenie na nie, skoro nie chcą nałożyć go samym sobie?“

W kilka dni później postawił to samo pytanie, tylko ostrzej, swoim towarzyszom.

„Główne mocarstwa znalazłyby się może w kłopotcie, gdyby je zapytano, czy mają zamiar nałożyć na siebie obowiązki ograniczenia zbrojeń. Odpowiedziałyby: „Tak, Rada Ligi Narodów ma przedstawić plan.“ Na to przedstawiciele małych państw zapytaliby: „Czy zobowiązaliście się go przyjąć?“ a główne mocarstwa musiałyby odpowiedzieć: „Nie“.

Na to ani Lloyd George, ani Orlando nie odpowiedzieli nic, ale Clemenceau, jak podaje sprawozdanie, „wskazał na znacznie większe odpowiedzialności głównych mocarstw.“

Żadne zagadnienia, istotnie, nie okazały się tak trudnemi do przeprowadzenia przez konferencję, jak właśnie te zagadnienia nowych małych państw. Podczas wojny Prezydent był silnym obrońcą praw małych państw. Dawał zachętę Polakom i Serbom, formalnie uznał Czechosłowację. Nie była to tylko polityka, mająca wielką wartość łamania ducha w nieprzyjacielskich mocarstwach przez rozbijanie ich jedności — ale był to wyraz jego głębokiego przekonania o prawach ludów do stanowienia o własnym rządzie i o obowiązku silnego niesienia im pomocy. Zawsze więcej przejmował się obowiązkami silnych, niż prawami słabych. Bardzo go ujęła przemowa marszałka Joffre'a w Akademji Francuskiej, z której jedno zdanie przepisał sobie nawet i użył go później podczas mowy swojej w Guildhall w Londynie i gdzie indziej także. Zdanie to brzmiało następująco:

„Niech ona (Francja) nigdy nie zapomina, że słabi i mali nie mogą żyć wolni na świecie, jeżeli silni i wielcy nie są zawsze gotowi oddać siły swej i potęgi na usługi słuszności.“

To była właśnie idea Prezydenta i on się w niej kochał; wierzył, że probierzem demokracji było traktowanie słabych przez silnych.

Zaledwie jednak rozpoczęła się konferencja pokojowa, wnet zaczęła się rozwijać nowa polityka, biegunowo odległa od idei Prezydenta i Joffre'a; chcieli oni bowiem użyć słabych ku pomocy, osłonie i upewnieniu bezpieczeństwa silnych. Głównym zamierzeniem polityki francuskiej, tutaj, jak zawsze, inspirowanej obawą — było zbudować pierścień małych państw dokoła Niemiec i uzależnić je od siebie raczej, niż od Niemiec, pod względem opieki. Polska, z polską armją pod komendą francuskich generałów, stała się w ten sposób militarnym satelitą Francji; i to z niemal równą prawdą odnosi się do Rumunji i innych małych państw. Francuzi podtrzymywali przez cały czas trwania konferencji pokojowej — w sprawozdaniu z niej jest tego pełno — żądania tych mniejszych państw o możliwe powiększenie kosztem państw nieprzyjacielskich. Polityka ta sprawiała — bez względu na to, czy w poszczególnych wypadkach była sprawiedliwą czy niesprawiedliwą — że każde małe państwo drżało o swoje nowe zdobycze, bało się możliwości zemsty ze strony starych wrogich mocarstw (zachowawszy głęboki respekt przed bitnością Niemców) i zmuszone było zwracać się po opiekę do Francji, wtedy i odtąd już najsilniejszego państwa na kontynencie. Im mniej sprawiedliwem mogło być postanowienie, tem większą obawą małego państwa i poczucie potrzeby opieki. A im więcej im udzielano pomocy, tem bardziej zaostrzał się u nich duch nacjonalistyczny, tem natęczyły dopominano się o szersze granice, o kopalnie węgla i żelaza, o koleje i środowiska przemysłowe.

Posiadamy żywy obraz sytuacji w środkowej Europie w tajnym raporcie dla Prezydenta, złożonym przez amerykańskiego oficera, majora gen. F. J. Kernana, który był głównym amerykańskim przedstawicielem w Międzysojuszniczej Komisji do Polski. Mówi on (11 kwietnia):

„W środkowej Europie widać wszędzie mundur francuski, oficerów i żołnierzy. Zgodnem, wyraźnem usiłowaniem starają się ci agenci podniecać militarnego ducha w Polsce, w Czechosłowacji i, zdaje mi się, w Rumunji. Imperjalistyczna idea opanowała duszę Francuzów, jak rodzaj szaleństwa, i widać wyraźne starania utworzenia łańcucha państw, wysoce zmilitaryzowanych, zorganizowanych, ile możliwości, pod kierunkiem

francuskim i przeznaczonych do tego, by stać się w przyszłości sprzymierzeńcami Francji. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że taki jest plan ogólny, i zdaje się, ma on wielkie powodzenie. Polska stara się sformować armję mniej więcej z 600 000 żołnierza, Czesi z mniej więcej 250 000, a Rumunja dźwiga bardzo wielki ciężar militarny. Wszystko to dowodzi, że te narody nie wierzą w skuteczność opieki ze strony Ligi Narodów i że pod kierunkiem Francji buduje się silny militarny związek, mogący może opanować Europę. Do tego celu, naturalnie, nikt się nie przyznaje. Mówi się, że ten łańcuch silnych militarnie państw jest konieczny dla powstrzymania fali rosyjskiego bolszewizmu. Ja to uważam w znacznej części za „maskowanie“. Każde z trzech wymienionych państw ma agresywne zamiary w kierunku otaczających terytoriów i każde zdecydowane jest brać siłą, jeśli będzie potrzeba, największy możliwie obszar.“

„Agresywna militarna akcja“, przepowiedziana przez generała Kernana w kwietniu, istotnie stała się później faktem. Jest to naprawdę jednym z tragicznych wydarzeń na konferencji pokojowej, że słuszne prawa i interesy Polski, któremi się Prezydent długi czas głęboko interesował, musiały być tak zamącone a nawet zatopione w egoistycznych, kolidujących ze sobą interesach i zamiarach wielkich mocarstw. Ale Polska była zawsze tragiczną postacią w historii, wielce nadużywaną a nigdy nie popartą (*much used, never served*) przez swoich większych sąsiadów. Raz za razem w czasie konferencji Francuzi najzupełniej szczerze mówili o tym stosunku do Polski, nie iżby chcieli Polakom dopomóc, ale ażeby ich mieć na usługi interesów mocarstw sprzymierzonych.

I tak np. 2 czerwca powiedział Clemenceau:

„Gdy mówiliśmy o ustanowieniu Polski, trzeba zapamiętać, że uczyniono to nie tylko dla tego, by naprawić jedną z największych krzywd w historii. Pragniemy stworzyć barierę pomiędzy Niemcami a Rosją.“¹⁾

Polacy mieli być użyci do powstrzymania bolszewizmu, do osłabienia Niemiec, do równoważenia potęgi Czechów —

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Czterech.

do wszystkiego w świecie, tylko nie do zbudowania zdrowego polskiego państwa.

Co się tyczy Anglików, ich stanowiskiem względem małych państw — nutą, która najczęściej brzmiała na konferencji pokojowej, była nuta ostrego zniecierpliwienia, gdyż małe państwa przyczyniały niepokój i były kosztowne — a dopóki się nie uciszyły, nie mógł powrócić pokój, nie mógł odżyć handel i przemysł, w czym Anglicy (a w mniejszym stopniu i Amerykanie) byli żywotnie zainteresowani. Słyszymy Lloyd George'a, smagającego w oskarżeniu „potworne żądania Czechosłowacji“ (11 marca), albo „nędzne ambicje małych państw“ (23 maja). Państwa te bowiem wydawały otrzymywane pieniądze i zasilki nie na odbudowę, ale na uzupełnianie swych zbrojeń i na ćwiczenie żołnierzy — a te pieniądze musiały płynąć z kieszeni wielkich mocarstw. Raz na konferencji mr. Lansing zapytał Brytyjczyków, czy uznają króla Czarnogóry.

„A jakże,“ — odpowiedział -mr. Balfour sucho: „płacimy za niego.“

Istniało także poczucie, że któreś z tych małych państw mogłoby się całkowicie z rąk wysunąć i dalej przewracać równowagę Europy.

„Mr. Lloyd George nalegał, żeby wielkie mocarstwa nie dawały się używać małym państwom do osiągania ich nędznych ambicji. Prusy zaczęły zupełnie tak, jak zaczynają te państwa, i w swoim czasie nie liczyły więcej ludności, niż dziś Jugosławja.“¹⁾

Co się tyczy Włochów, ci nigdy nie mieli jakiejś ogólnej polityki w sprawie problemu małych państw, chyba tę, żeby je wszystkie, a przede wszystkim Jugosławję, utrzymać małemi i słabemi; Włochy bowiem w przeciwieństwie do Francji, nie mogły się spodziewać, by którekolwiek, z wyjątkiem może Albanji, żądało od nich pomocy. Włochy wołały nawet wzmacniać dawnego swego, bezradnego teraz, nieprzyjaciela, Austrię, dla przeciwwagi z potężnem nowem państwem, Jugosławją, najbliższym sąsiadem Włoch ze wschodu.

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Czterech, 15 maja.

Tak wyglądała sytuacja, gdy 15 maja powstał nagle problem ograniczenia zbrojeń małych państw. Dnia poprzedniego austriacy delegaci przybyli do St. Germain i trzeba było układać natychmiast militarne warunki austriackiego traktatu. Zaznaczyła się odrazu zasadnicza różnica opinii. W proponowanym szkicu militarnych klauzul artykuł II zawierał amerykańsko-brytyjską propozycję, by przymusowa służba wojskowa była zniesioną, i francusko-włoską propozycję „jednorocznej, przymusowej krótko-terminowej służby.”

Tutaj Amerykanie i Brytyjczycy, tak jedni, jak drudzy, polegający na potędze morskiej raczej, niż na lądowej, wyrażali swą tradycyjną niechęć do armij przymusowych — podczas gdy Francuzi i Włosi dość naturalnie bronili podstawowej instytucji kontynentalnej militarnej potęgi. Zaledwie prezydent Wilson przedłożył te propozycje, powstał odrazu mr. Lloyd George:

„Mr. Lloyd George powiedział, że najpierwszy zaraz rozdział... poruszał bardzo ważną kwestję zasadniczą, którą trzeba będzie rozważyć, nie tylko ze względu na Austrię, ale także ze względu na wszystkie małe państwa.... Jeżeli się zadecyduje, że każdemu z tych małych państw, włączając w to Rumunję, Czechosłowację i Jugosławję, wolno będzie utrzymywać stosunkowo wielką armję, nic ich nie powstrzyma od rozpoczynania wojen między sobą... Według jego zdania było rzeczą najważniejszą, by Rada przedłożyła ściśle zasady co do uzbrojeń, któreby można zastosować do Austrii, Węgier i wszystkich sąsiadujących państw.”¹⁾

Ale jakąż miała być ta „ogólna zasada”? Wilson zaproponował ogólną zasadę rozbrojenia w swych czternastu punktach — redukcję do „najniższego punktu, zgodnego z bezpieczeństwem domowem” — gdy jednak starał się zastosować to, jako normę w przyszłości, napotkał gwałtowny opór. Sprzymierzeni jednakże zastosowali tę zasadę, której dla siebie przyjąć nie chcieli, do nieprzyjaciela; Niemcy miały mieć tylko policyjną siłę 100 000 ludzi. A teraz zjawiał się problemat małej, słabej Austrii, otoczonej potężnymi nieprzyjaciółmi. Wojskowi proponowali, żeby pozwolić jej na 40 000 żołnierza, podczas gdy

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Czterech, 15 maja.

Clemenceau mówił tylko o 15 000. Jednakże, gdyby Austrii, mającej 6 000 000 ludności, dano 40 000 wojska, nie stałoby to w żadnym stosunku do Niemiec, którzy przy 60 000 000 ludności pozwalano tylko na 100 000 żołnierzy — gdyby zaś Austrię ograniczono do 40 000 tylko, a Jugosławja, Rumunja, Czechosłowacja, już nic nie mówiąc o Grecji i Bułgarji, miały mieć u siebie przymusową służbę wojskową i wielkie armje — jakąż Austrija mieć mogła szansę przeżycia, albo powstrzymania wojny wśród wszystkich tych niespokojnych, warczących na siebie, lękliwych narodowości? I jakże tu zastosować tę samą regułę do państw takich, jak Austrija i Bułgarja, które należały do nieprzyjaciół sprzymierzonych, i do państw takich, jak Serbja albo Rumunja, przyjacielskich i pomocniczych?

Oczywiście, była potrzebną ogólna zasada, ale jaka? Zniesienie służby przymusowej, jak proponowali Amerykanie i Brytyjczycy? Francuzów i Włochów to przerażało. Orlando swoim towarzyszom powiedział otwarcie (15 maja), że nie mógłby sformować armji na podstawie służby ochotniczej. Francja zamierzała system służby przymusowej zatrzymać u siebie (miała wtedy i ma odtąd, najpotężniejszą i najsprawniejszą armję w świecie) — dlaczegożby więc miała znieść go np. w Polsce albo w Rumunji, militarnych swoich sojusznikach? Francja nie pragnęła małych armij w żadnym z tych państw środkowych, z wyjątkiem Austrii. I ten ostatni cel — słabą armję austriacką — Clemenceau osiągnął z łatwością, szybko (15 maja) przystając na amerykańsko-brytyjski plan zniesienia służby wojskowej w Austrii. Zresztą trudno mu było postąpić inaczej, przyjąwszy tę zasadę dla Niemiec. To jednakże nie zadowoliło Włoch, ponieważ nie rozwiązywało problemu uzbrojenia Jugosławji; Orlando tedy zaproponował, żeby zbadać całą tę kwestję na szerszej podstawie; chciał „żeby zbadania planów zbrojeń dokonać we wszystkich częściach dawnej austro-węgierskiej monarchji“.

Prezydent Wilson, widząc tu szansę wysunięcia całego swego programu ograniczenia zbrojeń, zgodził się z Orlandem.

„Wszystkie te kwestje“ — powiedział — „trzymają się razem i tworzą jeden schemat“ — i wtedy śpiesznie podsunął swoją pierwotną normę Czternastu Punktów, że „militarny

régime, zastosowany do Niemiec, powinien być przyjęty za normę."

Rada, przyjmując propozycję Prezydenta, odesłała cały program militarnym przedstawicielom Najwyższej Rady Wojennej, prosząc o wygotowania raportu „wykazującego, na ile wojska można pozwolić Austrii, Węgrom, Czechosłowacji, Jugosławji (z Czarnogórą), Rumunji, Polsce, Bułgarii i Grecji, biorąc cyfry niemieckie za normę proporcjonalną."

Zdawałoby się, że interes brali na serjo! Tymczasem w dwa dni później, podczas gdy jeszcze wojskowi zastanawiali się nad tą sprawą, zaszedł wielce kłopotliwy wypadek. Lord Robert Cecil odkrył, że w chwili właśnie, gdy aljanci starali się wypłenić wojny w środkowej Europie i zapewnić rozbrojenie, olbrzymie ilości materiałów wojennych wysyłano okrętami dla tych państw. Lord Cecil zarządził badanie i otrzymał raport od pana W. T. Leytona, który to raport 17 maja posłał Radzie Czterech. Był to bardzo niemiły dokument. Stwierdzał on, że „odpowiednie ilości amunicji zostały przekazane dla różnych państw przez Francję wedle instrukcji marszałka Focha" i że „w dodatku do tego, różne nowe państwa wnoszą podania do sprzymierzonych o sprzedaż im swoich zbędnych zapasów, i że nic, oprócz finansowych trudności, nie wstrzymuje różnych rządów od sprzedania tych zapasów, dopóki rynek jest pojemny."

A zatem tak się działo!

Skutek tego raportu był ten, że zarządzono jakieś zabiegi, ażeby sprawę tę ująć w ręce, przeszkodzić wojnie i bankructwu małych państw. Jednakże raport został prędko zatuszowany w komisji, a chociaż później podpisano jakiś układ co do handlu bronią, ratyfikacji kompletnej jeszcze się on nie doczekał; niewątpliwie też handel zbędnymi materiałami wojennymi ciągnął się dalej żwawo wśród małych państw. Pozostała przecież nieograniczona ilość amunicji do wystrzelania.

Dnia 23 maja generałowie oddali swój raport o ograniczeniu zbrojeń małych państw. Było to epokowe zebranie; największe, z wyjątkiem jednego, odbyte przez Radę Czterech. Konferencja z małego pokoju Prezydenta musiała przenieść się na górę. Było trzydziestu trzech obecnych, w tem świetny szereg złotem szamerowanych generałów i admirałów. Wielką mowę, jedną

z najświetniejszych mów z całej konferencji pokojowej, miał amerykański generał, Bliss. Był to ten rodzaj prostej, szczerzej mowy, nacechowanej silnem przekonaniem, która słuchaczy porywa wręcz. Zrobiła takie wrażenie, że Clemenceau zaproponował odrazu, ażeby „odbitkę mowy generała Blissa puścić w obieg“; Orlando powiedział, że „mowa generała Blissa zrobiła na nim wielkie wrażenie“; prezydent Wilson zauważył, że „rozważania, które generał Bliss przedstawił, są..... bardzo poważne i na szeroką miarę zakrojone i wymagają, by się nad nimi starannie zastanowić“; zaś Mr. Lloyd George powiedział, „że bardzo wielkie wrażenie wywarła na nim uwaga, zrobiona przez generała Blissa..... o możliwości utworzenia się germańsko-słowiańskiego sojuszu.“

Generał Bliss zreferował, co militarni przedstawiciele zrobili. Obliczyli uzbrojenie małych państw na podstawie dozwolonej Niemcom cyfry 100 000 ludzi. To dawałoby dla Austrii tylko 15 000 ludzi, dla Węgier 18 000, dla Bułgarji 10 000, Czechosłowacji 22 000, Jugosławji 20 000, dla Rumunji 28 000, Polski 44 000 i Grecji 12 000. Jednakże, powiedział, wojskowi nie uważają, by cyfry te były wystarczające dla ochrony małych państw, tam zwłaszcza, gdzie są duże miasta, wymagające liczniejszej policyjnej służby, albo gdzie granicom grożą najścia bolszewickie — i dlatego poddawali inne cyfry dla armji: np. 40 000 dla Austrii, zamiast 15 000, 80 000 dla Polski, zamiast 44 000; 20 000 dla Bułgarji, zamiast 10 000. Chociaż byłyby to małe armje w porównaniu z tem, czego małe państwa pragnęły i w danym czasie istotnie posiadały, wystarczałyby do defensywnych, ale bynajmniej nie do ofensywnych celów.

Generał Bliss powiedział otwarcie, że sądził, iż armja 100 000 ludzi, dozwolona Niemcom, była zbyt małą, nawet dla celów „domowego bezpieczeństwa“ — i że, jeżeliby armje całej środkowej Europy zredukowano do tej samej skali, małe państwa „zamienionoby w prostych wasalów dwóch kontynentalnych mocarstw ententy (Francji i Włoch)“..... Nie wierzył, by taka sytuacja zapowiadała utrzymanie pokoju Europy w przyszłości.“ I wtedy zrobił uwagę, która wywarła wrażenie.

„Blask militarnej glorii“ — powiedział — „oświecający teraz niektóre z zachodnich narodów Europy, może w rzeczy-

wistości nie być dowodem zdrowia, ale tylko gorączkowym rumieńcem choroby, której ewentualnym rezultatem mógłby być upadek naszego pasa łańciskiej i anglo-saskiej cywilizacji wzdłuż zachodniego wybrzeża Europy.“

Clemenceau jednakże był stanowczo przeciwnym wznawianiu kwestji o armję niemiecką; nie życzył też sobie tak silnych redukcji, jak je proponowali wojskowi dla państw środkowej Europy, z wyjątkiem Austrii. Po nieskończeniu długich dalszych dyskusjach zdecydowano naprędce — gdyż trzeba było wykończyć traktat austriacki — że austriacka armja ma być ochotniczem wojskiem z 30 000 żołnierza; niepodobieństwem jednak było zadecydować, jak ograniczyć zbrojenia innych państw. Clemenceau był przeciwnym wszelkiej dalszej akcji, ale Wilson i Lloyd George chcieli koniecznie, żeby coś uczyniono.

„Prezydent Wilson powiedział, że zupełnie podziela obawy pana Lloyd George'a (że małe państwa będą formować duże armje). Obecnie wydaje się, że te państwa chcą się bić i zdobywać, co się da. Sądzi, że możnaby oznaczyć termin, do którego przypuszczalnie ferment w wschodniej Europie się uspokoi..... Możnaby postanowić w traktacie pokojowym, że po 1 stycznia 1921 te różne państwa zgodzą się przyjąć takie a takie ograniczenia swych wojsk, o ile Rada Ligi Narodów nie osądzi, że pewne rozszerzenia są pożądane.“¹⁾

Znowu powstał spór, znowu dowodzenia *pro i contra*, aż wreszcie Prezydent ze smutkiem wskazał na zawstydzający fakt, że w całej tej dyskusji sprzymierzeni wymagają od mniejszych państw tego, czego nie chcieli uczynić sami. Proste ustalenie jakiejś dość dalekiej daty dla ograniczenia zbrojeń jużby oznaczało coś więcej określonego, do czego się wielkie mocarstwa zobowiązują.

Ostatecznie postanowiono zawezwać przedstawicieli mniejszych państw, ażeby przedyskutować z nimi cały przedmiot i przekonać się, czy się zgodzą na ogólne ograniczenie zbrojeń.

Potrzebaby pióra, ironją zaprawnego, by należycie opisać, co się działo na tej konferencji z 5 czerwca w domu prezydenta

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Czterech, 4 czerwca.

Wilsona. Wielcy mężowie pięciu małych, ale ambitnych państw byli tam obecni: Paderewski ze strony Polski, Benesz ze strony Czechosłowacji, Bratiano i Misu ze strony Rumunii, Venizelos ze strony Grecji i Vesnicz ze strony Serbji. Byli to zdolni i tędrzy ludzie, jeden w drugiego, a niektórzy z nich byli to ludzie, których, gdyby się znaleźli na szerszej arenie, możnaby zaliczyć do najwybitniejszych współczesnych postaci. Mówili dobrze, mówili silnie. Wszyscy oni uznawali w zasadzie — zupełnie tak, jak wielkie mocarstwa — że upragnionem jest ograniczenie zbrojeń — i, zupełnie tak, jak wielkie mocarstwa, dowodzili absolutnej konieczności strzeżenia własnego bezpieczeństwa; wytaczali argument własnego swojego „specjalnego ryzyka“; nie dowierzali natychmiastowej skuteczności Ligi Narodów i domagali się raczej powiększenia, niż zmniejszenia sił zbrojnych. Każdy argument, wytaczany przez wielkie mocarstwa, wytaczały teraz małe państwa, broniąc się przed niemi. Lloyd George, czując zapewne słabość ich pozycji, skoro sami nie dawali przykładu rozbrojenia, dowodził Paderewskiemu, że, gdy pokój będzie podpisany, „nastąpi wielka redukcja wojsk Brytyjskiego Imperjum. Rumuńska armja będzie prawie napewno większą, niż brytyjska, a to samo zapewne da się powiedzieć o polskiej.“

Ale Paderewski odparł sucho strzałą, która ukuła: „Wielka Brytania nie potrzebuje „bić się z wodą“ na swojej granicy.“

A jeżeli małe państwa, tu reprezentowane, miałyby się rozbroić, cóż wtedy z neutralnemi, których tutaj niema? Czyż mają wyjść gorzej na tem, np. Holandja albo Szwajcarja? Nakoniec dr. Benesz wystrzelił jeszcze jeden zatruty pocisk. Powiedział, że groźba dla małych państw wychodzi nietylko od Rosji albo od państw neutralnych, ale, „jeżeli już o to idzie, to i od zachodnich mocarstw.“ Jakto! Czyżby małe państwa bały się także swoich opiekunów?

I tak przedstawiciele małych państw wyszli; zaś Wielcy Czterej uznali, że problem jest o wiele za trudny, by się nim dalej zajmować, upuścili go zatem. W cztery dni później, 9 czerwca, nadeszły wiadomości o zaciętych walkach na Bałkanach.

ROZDZIAŁ XXIII.

PROBLEMY KONTROLI NAD NOWEMI NARZĘDZIAMI WOJNY: AEROPLANAMI, GAZAMI TRUJĄCEMI, ŁO- DZIAM PODWODNEMI.

„W grze jest całość współczesnej cywilizacji, i czy zaginie ona i przepadnie, jak wiele dawniejszych cywilizacyj, czy też żyć będzie i rozwijać się dalej, zależy od tego, czy narody, zaangażowane w tej wojnie, a nawet te, które są jej świadkami, wyciągną z niej tę naukę, jaką im doświadczenie daje... Zastosowanie naukowej wiedzy i wynalazki naukowe w czasie tej wojny robiły ją z każdym rokiem coraz straszniejszą i coraz bardziej niszczącą... Jeżeli znowu ma być wojna za dwadzieścia albo trzydzieści lat, jaką ona będzie? Jeżeliby miały się odbywać nadal usilne przygotowania wojenne, badania naukowe skierują się odtąd ku odkrywaniu metod, zapomocą których ród ludzki może być niszczone. Te odkrycia nie mogą się ograniczać do jednego narodu, a cel ich, całkowite zniszczenie, da się o wiele zupełniej osiągnąć w przyszłości, niż nawet w tej wojnie“.

Lord Grey, 1918.

Co miano uczynić z nowemi narzędziami zniszczenia, które szybko doczekały się zastosowania w czasie wielkiej wojny? Oto były dziwne, nieprzewidziane, trudne do opanowania nowe wynalazki — zaledwie w pierwiastkowym stadium możliwego dalszego rozwoju — wynalazki, przewracające wszelką dotychczasową taktykę. Dotychczas szczelnie zamknięte granice narodów traciły znaczenie, skoro w powietrzu roily się latające maszyny; gazy trujące zacierały różnicę między kombatantami a nie-kombatantami, zabijając wszystkich zarówno; telegraf

bez drutu zwyciężał czas i przestrzeń, a łodzie podwodne rewolucjonizowały wojnę na morzu.

Od czasu do czasu, nawet podczas trwania konferencji pokojowej, jakiś nowy przykład tych „cudów“ zdumiewał świat, pobudzał wyobraźnię do lotów. W początkach czerwca np. młody Read przybył do Francji, pierwszy przebywszy burzliwy Atlantyk w aeroplanie. Złożył wraz z towarzyszami uszanowanie swoje Prezydentowi w jego paryskim Białym Domu, skromny młodzieniec w mundurze porucznika komandora amerykańskiej marynarki. Członkowie Rady Czterech schodzili się właśnie na swoje przedpołudniowe posiedzenie i Prezydent przedstawił go, oraz towarzyszących mu admirałów panom Clemenceau, Lloyd George'owi i Orlando.

— „Winszuję panom“, rzekł Prezydent, mając na myśli pochlebstwa, jakimi ich darzono w Paryżu — „że nie tracicie głowy zarówno na lądzie, jak w powietrzu“.

Read i jego towarzysze przebyli odległość między Ameryką a Europą w połowę normalnego czasu podróży okrętem, więc też komentowano ten fakt, że jeżeli można to zrobić w pokoju, można też dokonać tego i w czasie wojny — i to w każdym kierunku. Czemżeż więc stawała się izolacja któregośkolwiek narodu? Takie możliwości roztrząsano poważnie w wielu dyskusjach w Paryżu.

Francuscy generałowie obstawali silnie za zakazaniem nieprzyjacielskim mocarstwom fabrykacji i użytku nawet handlowych aeroplanów, ponieważ możnaby je przez jedną noc naładować wybuchowemi środkami, może jeszcze niebezpieczniej — niż te, które się dotychczas znało, i nagłym atakiem zburzyć całe miasta.

Lord Hardinge powiedział, „że powietrzna sytuacja może do r. 1923 tak dalece się zmienić, że niemądrze byłoby, gdyby rządy obecnie postanawiały, co ma się wtedy uczynić“.

„Niemcy“ — powiedział Lloyd George: „mogliby odkryć jakiś nowy gaz, którym mogliby nagle pokonać nieprzyjaciół“.¹⁾

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Czterech, 28 kwietnia.

Kto mógł wiedzieć, co tkwi w duszach ludzkich? I ktoby mógł im zabronić myśleć, nawet gdyby ta myśl dążyła do zniszczenia?

Coś jednakże należało uczynić dla ograniczenia tych nowych narzędzi — jeżeli nie ustalić nową jakąś politykę dla wszystkich narodów, to przynajmniej rozbroić Niemcy.

Prezydent Wilson obejmował problem ten proroczym okiem szerzej. „Należałoby“, powiedział na konferencji — „objąć myślą obraz świata. Czy nie może nie zastanowić fakt, że wielkie odkrycia naukowe, że spokojne studia uczonych w pracowniach... obrócono dziś ku niszczeniu cywilizacji?“¹⁾

Przedstawia też, jak pojmuje metodę walczenia z tym nowym problemem:

„Tylko czujna i stała współpraca ludzi może tego dokonać, by naukę, zarówno jak uzbrojonych ludzi, utrzymać w korbach cywilizacji“.

Dyskusje nad tym nowym wielkim problemem zaczęły się zawczasu w lutym i trwały z przerwami do połowy czerwca — a wtedy zakończono je, nie rozwiązawszy większości rzeczywiście ważnych wątpliwości. Całe dni poświęcano na dowodzenia, bo roztrząsano sprawę wszechstronnie. W niektórych sporach w sprawie rozbrojenia, jak np. gdy chodziło o zniesienie przymusowej służby wojskowej, zaznaczył się wspólny punkt widzenia amerykańsko-brytyjski w przeciwieństwie do francusko-włoskiego. Ale w wypadku tych nowych narzędzi wojennych (z wyjątkiem łodzi podwodnych, co do których Amerykanie i Anglicy godzili się pod hasłem: „Potopić to lichy“), — Amerykanie mieli swoją stanowczą, odrębną politykę, a wszystkie inne narody stały przeciw nim. Jasne zrozumienie różnicy tych poglądów jest nader ważne, gdyż sięgają one do podstaw nie tylko paryskiej konferencji pokojowej, ale także wszystkich innych międzynarodowych konferencji.

Dwie ważne rzeczy przyjęto odrazu na konferencji i usunięto je na bok, jak się to często dzieje z najważniejszymi problemami — bez dyskusji.

¹⁾ Protokóły. Plenarna Konferencja, 25 stycznia.

Najpierw, że Niemcy mają być całkowicie rozbrojone, w myśl militarnych zwyczajów — z aeroplanów, gazów trujących, łodzi podwodnych, tanków, etc. Na to się wszyscy zgodzili.

Po drugie, nikt w Paryżu nie zastanowił się ani na chwilę nad bezpośredniem ogólnem zredukowaniem uzbrojeń w te nowe narzędzia w zastosowaniu do aljantów, tak jak je zastosowano do nieprzyjacielskich krajów. Były jakieś postanowienia co do przyszłych badań przez Ligę Narodów, ale to były dalekie sprawy. Bezpośrednim rezultatem miał być raczej przyrost, niż redukcja, zasobów sprzymierzonych w aeroplanach, gazach trujących, łodziach podwodnych i t. p., gdyż cały obfity materiał wojenny Niemiec miał być oddany aljantom i między nich podzielony.

Jednakże, poczynając od tego punktu, ważna różnica zdań zaznaczyła się między Amerykanami a Europejczykami.

Zanadto, o wiele zanadto przywiązywano wagi do rzeczonych różnic zdań między pewnymi członkami Amerykańskiej Delegacji, jak np. między panem Lansingiem a Prezydentem. Istniały rzeczywiście ważne różnice w opinii i w metodzie — już nie mówiąc o różnicach temperamentów — i te drażliwości musiano roztrząsać, choć jeszcze były bolesne; gdy jednakże przychodziło do wyrażenia stanowiska Ameryki w stosunku do specjalnych problemów pokoju, istniała prawie we wszystkich wypadkach nadzwyczajna jednolitość zapatrywania. Było to zapatrywanie stojącego na uboczu, starającego się patrzeć na istotę sporu sprawiedliwie i osiągnąć rozwiązanie praktyczne, któreby można podtrzymać, nie dając powodu do nowych sporów. Było to zapatrywanie narodu, mającego za sobą wielką tradycję wolnego, samodzielnego rozwoju. Tak więc p. Lansing w Radzie Ministrów Spraw Zagranicznych, generał Bliss w Najwyższej Radzie Wojennej, Baruch i Lamont, Davis i Hoover w Najwyższej Ekonomicznej Radzie, i Haskins i Lord, albo Seymour i Beer, czy też Young w różnych komisjach — wszyscy oni uderzali w jeden i ten sam ton amerykański i przedstawiali naogół te same zasady, jakich bronił Prezydent w Radzie Czterech. A te szersze zasady i tradycje pozostają te same, czy to mr. Wilson czy mr. Harding zasiada w Białym Domu; są to te naczelne idee, w które się wcielił genjusz rasy — a sięgają one

ponad i poza stronnnicze spory i czasowe zmiany w administracji.

Ta jednolitość zamierzeń ze strony Amerykanów, jako też różnica poglądów pomiędzy Amerykanami a resztą aliantów występowały w rozmaity sposób przy traktowaniu zagadnienia tych nowych narzędzi wojennych. Tamci aljanci usiłowali wytrwale dopiąć dwóch rzeczy, i tak np. w sprawie lotnictwa:

Najpierw, nie tylko odebrać wszelkie wojenne aparaty Niemcom, ale pozbawić je, przynajmniej na długi czas, lotnictwa wogóle — jednym słowem zniszczyć ich cały przemysł lotniczy.

Następnie, dać aljantom prawo przelatywania nad Niemcami i lądowania w Niemczech bez ograniczenia czasu, nie pozwalając Niemcom na wzajemne prawa.

Miały przeto być Niemcy nie tylko rozbrojone w militarnym sensie, ale też okaleczone ekonomicznie na dłużej czy na krócej, pod względem tych nowych wynalazków. Amerykanie zwalczali te propozycje na każdym kroku; w Aeronautycznej Komisji zwalczał je generał Patrick, w Radzie Ministrów Spraw Zagranicznych pan Lansing, a w Najwyższej Radzie Prezydent. Wszyscy zgodnie utrzymywali, że jest rzeczą niepotrzebną i niebezpieczną wtrącać się do suwerennych praw Niemiec; nalegali, ażeby robiono różnicę pomiędzy militarnem a cywilnem użytkowaniem tych narzędzi i że, zabraniając Niemcom dalszej wojennej ich produkcji, nie powinno i nie można zakazywać im używania ich do celów ekonomicznych; nalegali żeby, o ile jest potrzebne względem Niemców zakazać używania aeroplanów w celach handlowych, dopóki pokój nie nastąpi, koniecznie w takim razie wyraźnie określić termin. W oczach Amerykanów takie trwałe zakazy były nieokreślonym przeciąganiem militarnej kontroli i podtrzymywaniem wojennego ducha. A im zależało na tem, by z wojną skończyć i jaknajprędzej przywrócić normalne zasady pokoju.

Tę różnicę poglądów żywo oświecił spór z 17 marca nad proponowanym artykułem preliminaryjnych warunków w sprawach powietrznych, który to artykuł głosił, że Niemcom nie wolno, „dopóki nie nastąpi podpisanie ostatecznego Traktatu Pokoju“ fabrykować ani importować aeroplanów, albo części

aeroplanów, hydroplanów, latających łodzi, sterowców i maszyn do aeroplanów.

To, oczywiście, byłoby wstrzymało całą tę gałąź przemysłu, tak na wojskowe, jak na handlowe cele, na dłuższy szereg miesięcy — to jednakże jeszcze nie wystarczało. Generał Duval, ekspert francuski, powiedział, że brytyjscy, włoscy, japońscy i francuscy przedstawiciele zażądali dodania klauzuli, zastrzegającej w Traktacie zakaz na czas o wiele dłuższy.

„Tej propozycji“, zauważył przytem, „sprzeciwił się przedstawiciel amerykański“ (był nim generał Patrick).

Następnie przedstawił Radzie raport komisji, wykazujący dokładnie, jakim było stanowisko pięciu wielkich mocarstw wobec tego ważnego zagadnienia. Postawiono im następujące pytanie:

Czy będzie potrzeba po zawarciu Traktatu Pokojowego zabronić cywilnego lotnictwa w Niemczech i wszystkich innych nieprzyjacielskich państwach, zważywszy łatwość prze-robowienia aparatów lotniczych handlowych na narzędzia wojenne?

Odpowiedzi na to pytanie brzmiały:

Wielka Brytania: Tak, na okres dosyć długi, by zniszczyć bardzo rozległy przemysł awiacyjny, istniejący teraz w Niemczech i innych państwach, które się stały naszymi nieprzyjaciółmi skutkiem wojny. Ten okres, zdaniem W. Brytanji, nie powinien być krótszym, niż dwa do pięciu lat.

Francja: Tak, na 20 albo 30 lat, okres, jakiego potrzeba dla zniszczenia wszelkiego istniejącego materiału lotniczego i rozproszenia personelu, gdyż niepodobna przewidzieć postępu lotnictwa w najbliższej przyszłości.

Włochy: Tak, na długi okres czasu, gdyż Niemcy i wszystkie nieprzyjacielskie państwa zasłużyły na ukaranie, a sprzymierzeni mają prawo zachować ostrożności.

Japonja: Tak (godzi się z większością).

Stany Zjednoczone: Nie, zważywszy, że wszystkie takie ograniczenia całego lotnictwa Niemiec i ich sprzymierzeńców po podpisaniu Traktatu Pokoju nie są ani mądre, ani wykonalne.

W dyskusji nad tą propozycją Prezydent zajął zupełnie to samo stanowisko, co przedstawiciel amerykański w komisji. Oświadczył Radzie, że nie może przyjąć żadnego takiego dodatkowego warunku i dodał: „Pociągi kolejowe mogą być użyte do przewożenia armat; czyżby dlatego można ograniczać fabrykację pociągów kolejowych? Pewne typy okrętów z łatwością można przystosować do wojennego użytku; czyżby budowa okrętów miała być ograniczoną z tego powodu?”

Dzięki jego opozycji ta poprawka upadła i został tylko przyjęty (w art. 201) zakaz powyższy na sześć miesięcy, ażeby zapobiec możliwemu niebezpieczeństwu, póki wojna nie będzie zupełnie zażegnana.

Podczas nieobecności Prezydenta w czasie, gdy udał się do Ameryki, widzimy, że mr. Lansing zajmuje zupełnie to samo stanowisko, rozróżniając między militarnym i handlowym użytkowaniem tych nowych wynalazków.

Mr. Lansing mówił na Radzie:

„Dopóki istnieć będą aeroplany na użytek handlowy, zawsze będzie je można zamienić na maszyny wojenne. Problem przedstawia te same trudności, co np. problem koni, które dadzą się użyć do ciągnięcia armat zarówno jak i do ciągnięcia pługów. Wszystko zależy od tego, jaki się z danych przedmiotów robi użytek“.

Gdy postanowienie, przyznające nieograniczoną swobodę przelotu nad Niemcami i lądowania w Niemczech samolotom sprzymierzonych przyszło pod obrady Rady Ministrów Spraw Zagranicznych (26 kwietnia), mr. Lansing zaatakował je niemal z brutalną energią.

„Niema tu żadnej wzajemności; Niemcom nie przyznaje się żadnych praw i wydaje się, jak gdyby sprzymierzone rządy chciały stłumić wszelką ekonomiczną powietrzną działalność w Niemczech... Nie pojmuje, dlaczego Niemcom nie ma być wolno przelatywać przez powietrze innych krajów, skoro sprzymierzeni rezerwują dla siebie pełne prawo korzystania z dróg powietrznych Niemiec“.

To też zaproponował klauzulę, ustanawiającą datę ograniczenia — 1-go stycznia 1923 — dla zobowiązań, dotyczących

przelotu i lądowania, co po wielu dyskusjach zostało przyjęte i stało się artykułem 320 Traktatu.

Te sprzeczności nie oznaczały, jakoby Amerykanie choć trochę mniej stanowczo żądali zupełnego rozbrojenia Niemiec pod względem militarnym. Poparli oni takie np. postanowienie w Traktacie:

„Zbrojne siły Niemiec nie mogą zawierać żadnych militarnych albo morskich narzędzi wojennych powietrznych... Nie wolno zatrzymać żadnych sterowców“. (Artykuł 198).

Chcieli tylko uniknąć długotrwałego, drażniącego wtrącania się w ekonomiczne życie nieprzyjacielskich narodów — co, wedle ich mniemania, doprowadziłoby wkrótce do nowych wojen.

Taki sam problem powstał w kwestji używania trujących gazów. Wszyscy zgodzili się na absolutny zakaz używania gazów na wojnie.

„Ponieważ używanie duszących, trujących albo innych gazów i wszystkich analogicznych płynów, materiałów lub środków jest zakazane, fabrykacja ich i import są ściśle zakazane w Niemczech“.

Inni sprzymierzeni jednakże chcieli iść dalej. Chcieli zmusić rząd niemiecki do wydania niemieckich chemicznych procesów i sekretów; a nawet do pozwolenia rządowi sprzymierzonym „nadzorowania wszelkich roślin, używanych do fabrykacji“ chemicznych składników, używanych do wytwarzania gazów trujących.

Anglicy silnie popierali to żądanie — sekundowała im Francja. Przyszło to pod obrady najpierw, 15 kwietnia w Radzie Ministrów Spraw Zagranicznych — „Małych Pięciu“ — gdzie silnie przeciw temu zaoponował mr. Lansing. Wysuwając swoją opozycję, powiedział, że „wyraża poglądy prezydenta Wilsona“.

„... udzielanie szczegółów, dotyczących chemicznych procesów, (powiedział) stanowi właściwie kwestję ekonomiczną raczej, niż militarną, a skoro używanie duszących, trujących albo innych gazów i podobnych materiałów albo środków zostało zakazane, wraz z fabrykacją ich i importem, przeto sądzi, że jest to wystarczająca rękojmia bez żądania od rządu

niemieckiego, ażeby sprzymierzonym oddał w posiadanie wszelkie ich chemiczne tajemnice, w tem wytwarzania substancyj, z których się takie rzeczy wyrabia... sądził, że wszystkie takie procesy chemiczne dałyby się pokryć nazwą „środki farbiarskie“.

Ponieważ Rada „Małych Pięciu“ nie mogła załatwić tego problemu — mimo bardzo gorącej dyskusji — odesłali to do Rady Czterech, gdzie przedmiot ten podjęto 28 kwietnia. Tutaj propozycję brytyjską silnie poparł Lloyd George. Powiedział, że „mówił mu lord Moulton, iż Niemcy w tych sprawach o trzy lata wyprzedzili sprzymierzonych“.

„Brytyjskie militarne powagi (mówił dalej) uważają, że istnieje rzeczywiste niebezpieczeństwo, iż Niemcy mogą odkryć jakiś nowy gaz i bez wielkich zbrojeń mogliby go użyć, jako środka do zaatakowania sprzymierzonych i stowarzyszonych mocarstw, udaremniając postanowienia, dotyczące ich rozbrojenia“.

Ale Prezydent powtórzył z energią swoje zarzuty:

„Prezydent Wilson powiedział, iż przeciw tej propozycji przemawia to, że Niemcy nie mogliby udzielić tych informacji bez wyjaśnienia tajemnic przemysłowych. Pouczyli go jego rzeczoznawcy, że prawie każdy składnik chemiczny, używany w wojnie, odgrywa również rolę w chemii przemysłowej i handlowej i że jest niepodobieństwem wyjawić jeden sekret bez wyjawienia innych... Chciałby uniknąć artykułu, któryby się dawał użyć w odmiennej interpretacji do drażniących wybadywań wszelkich możliwych sekretów. Tego rodzaju sprawy nie należą do zakresu warunków militarnych“.¹⁾

Dowodził także, że takie środki nie doprowadzą do pożądanego celu: „nie przypuszczał, by chemicy Niemcy prawdziwe swe sekrety pozwolili odkryć“. Nie było przecież sposobu, aby zajrzeć do ich mózgów.

Po pewnej dyskusji przyjęto postanowienie, że ma się zażądać od Niemców odkrycia sposobu fabrykacji gazów trują-

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Czterech, 28 kwietnia.

cych, używanych na cele wojenne; jednakże postanowienie inspekcji ze strony sprzymierzonych zostało usunięte.

Co się tyczy łodzi podwodnych, Amerykanie godzili się na to, że nie mają one żadnego zastosowania w czasie pokoju, i chętnie byliby je widzieli, zarówno jak Anglicy, wszystkie doszczętnie zniszczone.

Lloyd George wyraził się, że „najlepiej byłoby zniszczyć jak najwięcej tych djabłów“.¹⁾

Prezydent Wilson oświadczył, że „sam był przeciwnikiem łodzi podwodnych wogóle i że ma nadzieję, iż przyjdzie czas, kiedy zostaną uznane za niezgodne z prawem międzynarodowym. Jego zdaniem, powinny być uważane za wyjęte z pod prawa“.

Ale Francuzi protestowali. Pragnęli dostać łodzie podwodne dla powiększenia swej własnej floty.

Francuski admirał de Bon oświadczył, iż uważa, że „na-leży zatrzymać niemieckie łodzie podwodne, których Francja otrzymała jakieś pięćdziesiąt. Francja ma bardzo mało swoich własnych“.

„Mr. Lloyd George oświadczył, że radby zniszczyć wszystkie niemieckie łodzie podwodne.

P. Clemenceau powiedział, że Francja ma ich bardzo mało, podczas gdy W. Brytania ma ich bardzo wiele“.²⁾

Francuski wniosek przeważył i klauzulę, postanawiającą, że łodzie podwodne mają być zniszczone, skreślono.

Tym sposobem, rozbroiwszy Niemcy kompletnie pod względem łodzi podwodnych, sprzymierzeni zwiększyli własne podwodne floty. Konferencja pokojowa pozwoliła sprzymierzonym państwom uzbroić się silniej, niż kiedykolwiek, w te nowe środki i narzędzia wojenne, chociaż w przedmowie do militarnych klauzul Traktatu zobowiązywano się wobec Niemiec, a i w pewnych postanowieniach paktu Ligi Narodów zastrzeżono, że w późniejszym czasie cała sprawa ograniczenia zbrojeń będzie podjętą.

¹⁾ Tajne protokoły. Rada Dziesięciu, 2 lutego

²⁾ Tajne protokoły. Rada Czterech, 25 kwietnia.

Stało się jasnym, jak słońce, w miarę, jak się te dyskusje rozwijały, że wszystko zależy od punktu widzenia, od duchowego stanowiska człowieka. Jeżeli ludzie zapatrują się na wynalazki i naukowe ich zastosowanie z punktu widzenia wojny, wtedy wszystko staje się niebezpiecznym.

I tego też dowodził Wilson dzień za dniem, cierpliwie i wytrwale, że cała nadzieja pokoju w przyszłości polega na nowej podstawie duchowej ludzkości i na organizowaniu się nie dla celów wojny albo przeprowadzania siłą zakazów, ale dla pokoju i ochrony tych wspaniałych nowych narzędzi, najpiękniejszych naukowych owoców ludzkiego ducha, które powinny służyć dla dobra, a nie dla niszczenia cywilizacji.

Nie wystarczają zakazy; potrzeba konstruktywnych, twórczych wysiłków, kooperacyjnego raczej, niż militarnego ducha — przede wszystkim siły moralnej, a nie zbrojnej siły. To głosił bezustannie i w tem też przekonaniu, tak głębokiem, jak jego natura, obstawał za ustanowieniem wszelkim kosztem, jakiegos „trwałego narzędzia“ — Ligi Narodów — któregoby ludzkość, gdy opuści ją obłęd wojenny, mogła użyć do swych nowych celów.

W żadnym momencie trafność stanowiska Wilsona nie wystąpiła tak jasno, jak w stosunku do nowych narzędzi wojennych. Gdy konferencja waszyngtońska, nie mając czem zastąpić siły zbrojnej, jako gwarancji narodowego bezpieczeństwa, dotknęła takich problemów, jak łodzie podwodne i trujące gazy, poczuła się tak bezradną, jak dawne konferencje haskie; to też i jej akcja w stosunku do nich okazała się mniej więcej równie skuteczną. Chciano przedmiotu tego zupełnie nie poruszać, ale narzucono go z boku delegatom: nacisk opinii publicznej narzucił kwestję gazów trujących, a kwestję łodzi podwodnych upór Francji, odmawiającej przyjęcia proporcjonalności, ustanowionej w programie Hughesa. Że Francja sprzeciwiała się proporcjonalności co do ilości wielkich wojennych statków, to wpływało zapewne z jej *amour propre*, ale nie można tego samego powiedzieć o jej stanowisku w sprawie łodzi podwodnych i okrętów pomocniczych. Wielki statek wojenny jest kosztowny i ulega starzeniu się; współzawodnictwo na tem polu kosztuje dużo i jest interesem niepewnym. Łódź podwodna, powietrzna

flota, to broń przyszłości. Przejęta nieuleczalnie starą ideą bezpieczeństwa, opartego na uzbrojeniu, Francja oparła się wszelkim ograniczeniom co do konstrukcji i używania tych nowych narzędzi. Gdy trzeba było porzucić myśl ograniczeń w tworzeniu pomocniczej floty i łodzi podwodnych, wniesiono projekt układu celem ograniczenia używania łodzi podwodnych; były to rezolucje Elihu Roota. Nie warto się nawet zatrzymywać nad pytaniem, czy byłyby skuteczne, albo czy mogą być skuteczne umowy, dotyczące gazów trujących. Umowy o złagodzenie okropności wojny — nawet gdyby ich miano dotrzymać — albo umowy o zmniejszenie ciężarów zbrojnego pokoju dalekie są od zaspokojenia rozpaczliwych potrzeb ludzkości w tej przełomowej chwili jej historii. Inne sposoby prowadzenia wojny, może jeszcze okropniejsze, mogą być wynalezione dla zastąpienia tych, które się odrzuca. Wojska, choć ograniczone w liczbie, mogą jednak walczyć i mogą być powiększane improwizowanymi środkami. Groźba przyszłej, może katastrofalnej wojny wciąż nad nami wisieć będzie tak długo, dopóki zastępcze metody załatwienia międzynarodowych sporów nie nabiorą skuteczności, dopóki każdy naród będzie zmuszony wobec swego bezpieczeństwa polegać na własnej sile zbrojnej i własnych specjalnych sojuszach.

ROZDZIAŁ XXIV.

UŻYWANIE AFRYKAŃSKICH I AZJATYCKICH ŻOŁNIERZY W WSPÓŁCZESNEJ WOJNIE.

„Stany Zjednoczone... żądają, jako swego prawa, prawa cywilizacji, ażeby... miliony ludzi ras dzikich nie były ćwiczone dla brania udziału w ewentualnych wojnach narodów cywilizowanych. Jeżeli cywilizacja chce się zniszczyć, może to uczynić bez pomocy barbarzyńców“.

Generał Tasker H. Bliss.

Jedno z najpoważniejszych zagadnień, związanych z ograniczeniem zbrojeń, ważnych, bo zagrażających cywilizacji, od czasu konferencji pokojowej uszło prawie zupełnie uwagi. Dotyczy to prawa, jakie sobie przypisały wielkie narody, mające pod opieką słabsze rasy Afryki i Azji, zbrojenia tamtejszych krajowców i używania ich, jako żołnierzy, w prowadzeniu swoich wojen. Byli w Paryżu ludzie, których głęboko raziło nadmierne rozszerzenie się tej brzydkiej wojennej praktyki i którzy widzieli w używaniu w wielkiej wojnie tych setek tysięcy Chińczyków, Syjamczyków, Senegalczyków, Arabów i Sikhów poważną groźbę dla przyszłej cywilizacji. Łatwy i tani transport ze wszystkich stron świata umożliwił, jak nigdy dotąd, używanie tych wojsk pod komendą białych oficerów. Cóż mogło przeszkadzać rozpowszechnieniu się tego zwyczaju? A teraz, gdy tubylców wyćwiczono i wykształcono w sprawach wojskowych, coż może im przeszkodzić obrócić tę wiedzę przeciw swoim białym sąsiadom? Używanie przez Francuzów wojsk kolorowych w Niemczech po skończonej wojnie — „tego czarnego okropieństwa nad Renem“ — obudziło w Niemczech wielkie rozgoryczenie.

Przywódcy, którzy, jak generał Smuts z Południowej Afryki, najlepiej znali to niebezpieczeństwo, bardzo tem byli zgorzeleni. Miał on świeże doświadczenia i wiedział, co to znaczy, przebywszy walkę zwycięską z Niemcami w Wschodniej Afryce.

„Żołnierze tubylcy ze szczepu Askazi, dobrze wyćwiczeni i karni, pod białymi niemieckimi oficerami okazali się potężnem i dzielnem wojskiem“.

Jedną z głównych zasad niemieckich kolonialnych entuzjastów było przekonanie, że można tworzyć wielkie tubylcze armje w niemieckiej Afryce, których następnie będzie można używać nietylko w wojnach afrykańskich, ale do bicia się za niemiecką sprawę i gdzie indziej w świecie. Zimmermann obliczał, że za pięćdziesiąt lat niemieckie państwo kolonialne będzie miało 50 000 000 czarnych i 500 000 białych i że możnaby armję z miliona tubylców, dobrze już pierwszej wyćwiczoną, zmobilizować każdej chwili. Kontrola mórz, dokonywana przez brytyjską flotę podczas wielkiej wojny, zapobiegła użyciu takich wojsk przez Niemcy gdzie indziej oprócz w Afryce samej — jednakże Francuzi, którzy mieli oddawna rodzaj przymusowej służby wojskowej w niektórych częściach swoich kolonialnych posiadłości, używali wojsk takich w dużej mierze na froncie i za frontem w Europie, jak zresztą także i Brytyjczycy. Do 1-go lipca 1918 sami Francuzi użyli w wielkiej wojnie prawie miljon wojsk kolorowych.

W afrykańskich kolonjach, odebranych Niemcom, było tubylczej ludności prawie 13 000 000. Czy można było co uczynić dla zapobieżenia, ażeby tych krajowców nie zbroiły narody, które nad nimi otrzymać miały mandat? Czy możnaby ustanowić jakiś precedens, któryby ujął cały ten niebezpieczny problem?

Niektórzy z przywódców w Paryżu, amerykańscy i brytyjscy, mieli wyraźny pogląd na ten przedmiot i stanowczą wolę przeprowadzenia nowych zasad i restrykcij w tym względzie. Dzieje początku i rozwoju ich programu ciekawe są i ważne, gdyż wykazują, jakie trudności przewyciężać trzeba, gdy się chce naruszyć panujący system.

Prezydent Wilson głosił jasno dwie zasady, obie stosujące się do danego przypadku.

Pierwsza: uzbrojenie wszystkich państw, „ma być zredukowane do najniższej skali, zgodnej z bezpieczeństwem domowem“. (Punkt czwarty z Czternastu). To znaczy, wojska mają być formowane tylko dla utrzymania wewnętrznego ładu.

Druga: państwa, mające mieć prawa mandatoryjne nad temi nierozwiniętymi ludami, mają działać w roli kuratorów dla nich, a nie ciągnąć korzyści z tej opieki. Gdyby się miało tworzyć wojska w kolonjach, miałyoby to być jedynie dla korzyści i obrony ludów tych kolonij, a nie dla korzyści państwa mandatoryjnego. To uważał Prezydent za podstawową amerykańską zasadę.

Generał Smuts zajął zdecydowane stanowisko, zanim się jeszcze konferencja zebrała. W swoim planie Ligi Narodów, ogłoszonym w grudniu 1918, przedstawia swój pogląd na sprawę używania wojsk złożonych z ludności miejscowej:

„Państwo mandatoryjne... nie będzie formowało wojsk ponad normę ustaloną przez Ligę Narodów dla celów wewnętrznych policyjnych“.

Wiadomo, że prezydent Wilson czytał plan Ligi Narodów generała Smutsa, że plan ten zrobił na nim wielkie wrażenie i że niektóre jego pomysły, między innemi i ten właśnie, włączył następnie do swego pierwotnego szkicu paktu. Rozszerzył jednakże dość znacznie tę zasadę; Smuts postanowienie swoje stosował tylko do terytorjów dawnych państw Turcji i Austro-Węgier — Prezydent rozciągnął ją i na dawniej niemieckie kolonie w Afryce i na Oceanie Spokojnym. Brzmienie tego artykułu było następujące:

„Mandatoryjne państwo czy agencja nie będzie w żadnym razie formowała ani utrzymywała łądowych ani morskich wojsk ponad określoną normę, ustanowioną przez Ligę samą dla celów wewnętrznej policji“.

Gdy Prezydent przedstawił swój projekt paktu członkom Amerykańskiej Komisji (10 stycznia) — generał Bliss, amerykański wojskowy przedstawiciel, odpowiedział (14 stycznia) listem, silnie popierającym i podkreślającym tę zasadę Prezydenta. Był on głęboko przekonany, że praktyka zbrojenia tubylców afrykańskich kryje groźne niebezpieczeństwo dla cywilizacji.

Okazało się wkrótce, że Amerykanie i Brytyjczycy zupełnie zgodnie zapatrują się na tę nową zasadę polityczną, wytkniętą przez Prezydenta, a przynajmniej w zastosowaniu do dawniej niemieckich kolonij. Problem zbrojenia i ćwiczenia tubylców w starszych kolonjach brytyjskich, francuskich, belgijskich i portugalskich w Afryce i w Azji — nie wyłączając Indyj — naturalnie nie został poruszonym nigdy — chociaż zauważono, że gdyby się udało zapobiec praktykowaniu tego zwyczaju w nowych kolonjach, podległych mandatom, uczynionoby wielki krok naprzód i prawdopodobnie mogłoby to niebawem oddziaływać i na zwyczaje w starych kolonjach.

Przedmiot ten został po raz pierwszy poruszony na Radzie Dziesięciu (24 stycznia) przez Lloyd George'a. W trakcie jakiegoś sporu o to, że Niemcom odbiera się wszystkie kolonie, Lloyd George powiedział:

„W wielu wypadkach Niemcy traktowali tubylcze ludności bardzo źle. Naprzykład w Południowo-Zachodniej Afryce rozmyślnie prowadzili politykę eksterminacyjną. W innych częściach Afryki byli bardzo brutalni (*harsh*), tworzyli też tubylcze wojska i zachęcali te wojska do zachowywania się w sposób, który wstydby przynosił nawet bolszewikom. Francuzi i Brytyjczycy, to prawda, tworzyli także wojska tubylcze, ale dyscyplina u nich była lepsza“.

Trwały jeszcze dalsze dyskusje między Amerykanami a Brytyjczykami, a gdy 30 stycznia Lloyd George wniósł swoją rezolucję w sprawie mandatoryjnego systemu dla zarządu dawniej niemieckich kolonij, posunął się w niej jeszcze o krok dalej co do kwestji zbrojenia krajowców i dołączył pozytywny zakaz handlu bronią, oraz inne ściśle określone zakazy.

„Mandatarjusz musi... zagwarantować zakaz... handlu bronią... i zapobieżenie budowaniu fortyfikacyj albo podstaw operacyjnych militarnych lub morskich i wojskowemu ćwiczeniu krajowców dla innych celów, jak dla celów policyjnych i obrony terytorjalnej“.

Zaledwie zaczęto ten artykuł rozważać (tego samego dnia) na Radzie, gdy Francuzi, jak zawsze, broniąc bezpieczeństwa

Francji, zaczęli robić zarzuty i domagać się prawa rekrutowania wojsk w kolonjach, ich mandatowi podległych — jeżeli nie przymusowych, to przynajmniej wojsk ochotniczych. Rezultatem dość długiej dyskusji było, że klauzula pozostała w brzmieniu niezmienionem. To nie zadowolniło Francuzów. Chcieli mieć wyraźnie przyznane sobie prawo formowania wojsk murzyńskich, dla użycia ich w Europie, lub gdzie indziej, w miarę potrzeby.

W następstwie tego, gdy przedmiot ten przyszedł pod obrady w Komisji Ligi Narodów (której przewodniczącym był prezydent Wilson) i gdy zastanawiano się nad klauzulą w pakcie, zabraniającą tworzenia wojsk murzyńskich przez państwa mandatoryjne, Francuzi znowu jeli zabiegać o osiągnięcie swych żądań. 8-go lutego generał Smuts przedstawił artykuł do paktu w sprawie systemu mandatoryjnego z zawartą w nim klauzulą, zupełnie taką samą, jak ta, której sprzeciwiali się Francuzi na Radzie Dziesięciu 30 stycznia. Leon Bourgeois, francuski przedstawiciel w komisji, przedstawił także zastępczą poprawkę, w której, rzecz znamienna, nie było żadnej wzmianki o formowaniu wojsk z dzikich lub pół-dzikich ludności dawniej niemieckich kolonij. Tekst Smutsa jednakże został przyjęty i wcielony w projekt paktu, mającego być wstawionym do Traktatu. Wszyscy delegaci uważali sprawę za załatwioną — z wyjątkiem Francuzów. Oni wciąż jeszcze koło tej sprawy chodzili.

Na trzy dni przedtem, zanim Traktat został Niemcom przedstawiony, dnia 4 maja — gdy wszędzie panował największy zamęt i gdy z największym wysiłkiem starano się druk Traktatu wykończyć, Clemenceau — nie radząc się ani swoich kolegów z Rady Czterech, ani członków Komisji Ligi Narodów, którzy mieli pakt w opiece — posłał instrukcje komitetowi redakcyjnemu przez jego francuskiego członka, pana Fromageot — żeby zmienić brzmienie słowne w pakcie w ten sposób, że pozwala się specjalnie mandatarjuszom kolonij formować wojska, nie tylko dla utrzymania wewnętrznego porządku, ale dla walczenia, w razie potrzeby, za kraj ojczysty.

Chociaż ten krok Francuzów nie wypłynął na światło dzienne jawności, poruszył jednak mocno tych, których obchodził. Zwrócono nań zaraz uwagę pułkownika House'a i lorda Roberta Cecila, i ci usiłowali przywrócić pierwotne przyjęte brzmie-

nic. Ale Francuzi upierali się, że ich interpretacja jest trafna i że chcą to mieć czarno na białem. Pułkownik House dowodził im, że toby znaczyło (jak mi to później opowiadał), że gdyby Francja i Anglja miały wojnę toczyć, tak jedna jak druga mogłaby wystawić wojska z Arabów i z murzynów złożone, i kazać im się bić za siebie. I tak Arabowie rznęliby Arabów, murzyni murzynów, nie za żadną swoją sprawę, ale za ambicje albo chciwości, albo obawy dalekich państw, sobie nieznanych. Jednakże wszelkie argumenty były bezowocne i trzeba było całą sprawę wytoczyć przed prezydenta Wilsona i Lloyd George'a tak, że 5-go maja przyszło do otwartej dyskusji w Radzie Trzech (Orlando był nieobecny, bawił we Włoszech). Sekretarz, sir Maurycy Hankey, odczytał raport komitetu redakcyjnego:

„Zmiana w artykule 22 (paktu — traktującym o kolonjach i mandatach) została dokonana wedle instrukcyj, danych osobście panu Fromageot przez pana Clemenceau, przewodniczącego konferencji“.

Wywiązała się wtedy następująca rozmowa:

P. Clemenceau powiedział, że bardzo ważnem jest dla Francji, ażeby wstawiono kilka słów, dających jej możność zużytkowania wojsk z krajowców ku obronie terytorjum francuskiego, tak, jak się to działo w tej wojnie. Nie odpowiadał za dokładność użytego wyrażenia.

Prezydent Wilson zwrócił uwagę na poprzednią dyskusję nad tym przedmiotem w Radzie Dziesięciu 30 stycznia, gdzie się zgodzono, że właśnie podobne wyrażenie w rezolucjach, odnośnych do mandatów, mianowicie „dla innych celów, jak dla celów policyjnych i obrony terytorjalnej“, pokryje potrzeby Francji.

Postanowiono nie używać tekstu francuskiego, lecz przywrócić klauzuli takie brzmienie, jakie pierwotnie ukazało się w pakcie. I tak też została ona wpisana do Traktatu.

Francuzi jednak nie dawali za wygraną i przenieśli swoje zabiegi do komisyj, ustanowionych dla opracowania przepisów mandatoryjnych, i do Ligi Narodów. We wszystkich zarządzeniach mandatoryjnych dla kolonij, przejętych przez Brytyjczyków i Belgów, zakazy wedle artykułu XXII są przyjęte prawie

w brzmieniu paktu, gdy jednak projekt mandatów francuskich dla krainy Togo i dla Kamerunu został przedstawiony Radzie Ligi Narodów 20 grudnia 1920, następujące zastrzeżenie było dołączone w artykule III:

„Rozumie się jednakże, że wojska w ten sposób utworzone (w francuskiej krainie Togo i w Kamerunie) mogą być, w wypadku ogólnej wojny, użyte do odparcia ataku albo do obrony terytorjum poza tem, nad którem mandatarjusz sprawuje administrację“.

Ta klauzula przekreślała postanowienie w pakcie, na które się już zgodzono, ale była wyrazem dążeń Francuzów, zaznaczonych od samego początku, a także przykładem uporczywości, z jaką Francuzi wtedy i później zmierzali do zrealizowania swojego programu. Gdy zacytowana klauzula dostała się przed krytyczne oczy Sekretarjatu Ligi Narodów w Genewie, dołączono do niej taki komentarz w urzędowym sprawozdaniu:

„..... Sekretarjat cytuje klauzule w artykule XXII paktu, które, zdaje się, nie są zgodne z powyższem pozwoleniem“.

Te projekty mandatoryjne nie zostały dotąd przyjęte przez Ligę Narodów — sprawa więc z tego powodu jest w zawieszeniu. Tymczasem militaryzacja Afryki postępuje dalej — jeżeli nie otwarcie w kolonjach dawniej niemieckich, to napewno w innych kolonjach.

Przypomnijmy sobie Cesarstwo Rzymskie, w schyłkowej jego epoce, świadome tego, że jest wyrazicielem szczytów cywilizacji, wzywające ludy pustynnych dziczy ku obronie swego państwa przeciw silniejszemu, surowszemu, więcej męskiemu sąsiadowi. Rzymianie sami, wyczerpani i osłabieni, ustawili swoje barbarzyńskie legjony wzdłuż granic europejskich — Etiopów, Arabów, Persów i jakich ludów tam jeszcze nie było — tak że kultury Izidy z Afryki i Mitry z Azji posunęły swoje ołtarze poza Ren i poza kanał La Manche. Ale takie wojska, sprowadzone ze świata, a nie wychowane starannie w kraju, nie ocaliły Rzymskiego Cesarstwa, a tylko przyspieszyły raczej jego upadek.

S P I S R Z E C Z Y T O M U P I E R W S Z E G O.

	Str.
Przedmowa	3
Ważniejsze daty w związku z konferencją pokojową	7
Wstęp: źródła materiałów; dokumenty prezydenta Wilsona	11

CZĘŚĆ I.

Rozdział Podstawy konferencji pokojowej.

I. Amerykańskie argo pokoju płynie. — Jak Woodrow Wilson zapatrywał się na pokój	25
II. Stara dyplomacja i czego ona broniła. — Europejskie tajne traktaty i ich oddziaływanie na konferencję pokojową. — Stanowisko Ameryki w stosunku do tajnej dyplomacji	44
III. Warunki głównych tajnych traktatów z r. 1915, 1916 i 1917	65
IV. Państwo tureckie łupem wojennym. — Warunki tajnych traktatów i porozumień w celu podziału Turcji	79
V. Szturm na idealizm	94

CZĘŚĆ II.

Stara i nowa dyplomacja. — Organizacja i procedura.

VI. Organizacja i przygotowanie „nowej dyplomacji” do walki ze starą. — Amerykańska „ankieta”. — Powstanie czternastu punktów prezydenta Wilsona	105
VII. Jawność i tajemniczość w Paryżu. — Instytucja Amerykańskiego Biura Prasowego. — Organizacja i korespondenci. — Zwiększenie źródeł wiadomości	120
VIII. Walka prezydenta Wilsona o jawność. — W obrębie tajnych Rad. — Stanowisko Francji i Wielkiej Brytanji. — Problem ogłoszenia Traktatu	137
IX. Moce starego i nowego porządku toczą walkę w Paryżu. — Walka pomiędzy przywódcami militarnymi a cywilnymi	160
X. Organizacja konferencji pokojowej i walka o władzę	172

Rozdział	Str.
XI. Walka o program procedury. — Francuski plan. — Wilsona lista przedmiotów	187
XII. Bitwa o język: czy angielski czy francuski ma być językiem oficjalnym Traktatu	196

CZĘŚĆ III.

Liga i Pokój.

XIII. Geneza Ligi Narodów. — Dzieje paktu. — Szkice Wilsona.	207
XIV. Klucz do pokoju. — Walka prezydenta Wilsona o uczynienie Ligi Narodów „integralną częścią ogólnego Traktatu Pokoju”	223
XV. Łupy wojenne w Paryżu. — Walka o zapewnienie sobie podziału byłych niemieckich kolonij, zanim organizacja Ligi będzie gotowa. — Prezydent walczy o swoje zasady	236
XVI. Formułowanie paktu. — Prace Komisji Ligi Narodów. — Usiłowanie uniknięcia atmosfery wojennej przez zawarcie preliminarjnego Traktatu, ustanawiającego warunki militarne lądowe, morskie i powietrzne	251
XVII. Podczas nieobecności Wilsona. — Usiłowania usunięcia na bok Ligi Narodów. — Rezolucja Balfoura z 22 lutego. — Wilsona ważna deklaracja z 15 marca, że Liga Narodów ma być „integralną częścią Traktatu Pokoju” — Początek ochłodzenia stosunków między prezydentem Wilsonem a pułkownikiem House	274
XVIII. Amerykańska krytyka paktu. — Wilsona program rewizji. — Zacięta francuska opozycja. — Zasada Monroe’go a pakt. — Artykuł X centrum burzy	290

CZĘŚĆ IV.

Walka o ograniczenie zbrojeń.

XIX. Amerykański program ograniczenia zbrojeń. — Rezolucje Lloyd George’a. — Wilsona żądanie ogólnego rozbrojenia, nie tylko rozbrojenia Niemiec	311
XX. Uzbrojenie na lądzie a obawy Francuzów. — Walka pomiędzy Amerykanami a Francuzami o ograniczenie sił zbrojnych lądowych. — Przymusowa służba i prywatna fabrykacja materiału wojennego	322
XXI. Problem rozbrojenia na morzu. — Amerykański program zatopienia niemieckich okrętów a francuskie żądanie podziału ich. — Brytyjska polityka morska	340
XXII. Kontrola nad uzbrojeniami mniejszych narodów. — Stanowisko Francji	352
XXIII. Problemy kontroli nad nowymi narzędziami wojny: aeroplanami, gazami trującymi, łodziami podwodnymi	364
XXIV. Używanie afrykańskich i azjatyckich żołnierzy w współczesnej wojnie	374





